
Inches
Centimetres
Colour Chart #13
DANES PICTA .COM
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black

HISTORJA ŻYDÓW.

HISTORJA ŻYDÓW

(MNIEJSZA)

PRZEZ

Prof. Dra H. Graetza.

Z niemieckiego przełożył

St. Szenhak.

TOM PIERWSZY.

OD POCZĄTKÓW NARODU ŻYDOWSKIEGO
DO POWTÓRNEGO ZBURZENIA JEROZOLIMY
ZA CESARZA WESPAZJANA.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. CENTNERSZWERA
Marszałkowska 143.

1902.

DRUK A GINSA, NOWOZIELNA 47.

C.4326/I

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 мая 1901 года.

KD.93/99/-924.6

PRZEDMOWA.

Od lat wielu z różnych stron zwracano się do mnie z pochlebnemi radami, abym napisał krótki, dla szerszych kół przystępny podręcznik, obejmujący całokształt historji Żydów, gdyż moje jedenastotomowe dzieło ma zakrój zbyt obszerny dla takich czytelników. Jakkolwiek wezwania te sprawiały mi szczególną radość, przebijał w nich bowiem fakt, iż zainteresowanie się tragicznemi, a jednocześnie wzniosłemi kolejami dziejów plemienia żydowskiego ogarnęło koła szerokie, i jakkolwiek chętnie zaspokoiłbym te życzenia, które odpowiadały moim własnym gorącym pragnieniom, inne zajęcia literackie stanęły mi na przeszkodzie do ułożenia podobnego dzieła. Teraz dopiero, po częściowem prac tych załatwieniu, u schyłku życia mego, postanowiłem zadość uczynić ujawnionej potrzebie. Nie łatwo przyszło mi to zadanie, bo nie pomijając żadnego ważnego faktu historycznego, nie pozostawiając luk w ich związku i oświetleniu, w szczupłe ramy wtłoczyć je musiałem. By sprostać tym podwójnym wymogom, zniewolony byłem przedstawić w części materjał historyczny w innem ugrupowaniu, niż w jedenastotomowem dziele. Historja popular-

na nie jest przeto krótkim wyciągiem z obszernego dzieła, lecz zwięźlejszem opracowaniem materjału, tak pod względem formy, jak stylu dostosowanem do pojęć wykształconej publiczności. Rzecz prosta, że do książki tej wplotłem fakty świeżo zdobyte, których pewność ustaliły badania, bądź moje własne, bądź innych historyków.

Przy opracowaniu miałem też na względzie uczącą się młodzież wyższych klas gimnazjów i szkół realnych, której—co z radością zaznaczam — wykładaną też bywa w wielu zakładach historja pobiblijna aż do czasów nowożytnych, a która, jak zapewniają mnie nauczyciele religji żydowskiej, i tą częścią dziejów żydowskich interesuje się żywo. Niniejsza przystępnie napisana historja Żydów nastręcza więc chciwej wiedzy młodzieży pożądaną zapewne lekturę domową, gdy znów nauczycielom służyć może za podręcznik do wykładów. Czym utrafił w ton właściwy, o tem sąd pozostawiam życzliwemu czytelnikowi i krytyce miarodajnej.

Wrocław, w maju 1888.

Graetz.

OKRES PIERWSZY.

Czasy prastare.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Osiedlenie się i początki narodu.

Kraj, położony nad brzegami szumiącego morza, urozmaicony wyniosłemi górami, pagórkami, płaskowzgórzami i głębokiemi dolinami, pobudza zamieszkującą go ludność, o ile nie jest zgoła pozbawiona zdolności, do czynów niepowszednich. Jeżeli kraj ten przedstawia nadto szczególne właściwości przyrody, prawidłowe opady wodne i prawidłowe pory roku, wysoką przeciętną temperatury, a ztąd bujną żyzność i wspaniałą roślinność, mało mgły, przez większą część roku zawsze pogodne i przezroczyste powietrze i inne jeszcze niezwykłe zjawiska, które ściągają na siebie uwagę, to nadają one wyższy polot ludowi i są mu bodźcem do rozwinięcia odrębnego życia umysłowego. Jeżeli nadomiar serca takiego ludu w wieku dziecięcym zapłodniło nasienie duchowe, jeżeli gości w nim przeczucie, acz niejasne jeszcze, że powołany jest do wielkich czynów, które go od innych narodów odróżnią i wyosobnią, jeżeli przewodnicy tak wychowaniem jego pokierują, że to niejasne przeczucie nabierze mocy niezachwianego przekonania, to naród taki, w takiem otoczeniu, niechybnie wyrobi sobie odrębne, niezatarte cechy charakteru.

Taką krainą była ziemia Kanaan (dziś Palestyną zwana), południowa sąsiadka Fenicji, na wybrzeżu morza Śródziemnego, a ludnością, która w niej osiadła, byli

synowie Izraela czyli Izraelici. Przed osiedleniem się swojem doznali już przygód, które w ich oczach za cudowne uchodziły. W siedemdziesiąt tylko dusz wywędrowawszy czasu głodu z kraju Kanaan, odwiecznego siedliska praojców, do Egiptu i przyjaźnie zrazu przyjęci, rozmnożyli się nadzwyczajnie w Egipcie północnym (ziemi Gosen). Siedemdziesiąt dusz rozrosło się w siedemdziesiąt rodzin, te zaś utworzyły dwanaście ściśle zjednoczonych pokoleń. I byliby Izraelici obrali kraj nadnilowy na stałe siedlisko i z biegiem czasu zmieszali się z Egipcjanami, gdyby król pewien, z obawy przed ich rozrostem i przemocą, nie włożył na nich jarzma niewoli i nie przynaglił do budowy grodów śpichrzowych, a może też do wznoszenia olbrzymich obelisków i potężnych mauzoleów w kształcie piramidy. Niewola znów przywiodłaby ich z czasem do stanu zdziczenia, gdyby niektórzy naczelnicy rodów i pokoleń nie zachowali żywego wspomnienia o przodkach: o patryarsze Abrahamie, czczonym jako ideał poświęcenia, szlachetności i bojaźni bożej, o synu jego Izaaku, o jego wnuku Jakóbie-Izraelu, co przeciwności wielu doświadczył, o prawnuku Józefie, który stał się dobroczyńcą Egiptu. Tem dotkliwiej też dawała się we znaki Izraelitom niewola, że była objawem bezwstydnej niewdzięczności.

Do rzędu tych wspomnień należały też swoiste pojęcia religijne patryarchów o oddawaniu czci jedynemu Bogu, Stwórcy nieba i ziemi i jej obfitości, który miłuje sprawiedliwość i sprawiedliwości broni w przeciwieństwie do czczonych pod postacią zwierząt bożków egipskich, Ozyrysa, Izydy, wołów, kozłów i kotów. Im więcej wśród uginającego się pod ciężkiem jarzmem niewoli gminu izraelskiego zacierały się te kontrasty religijne, a nawet samo pojęcie Bóstwa, tem gorliwiej piastowała testament i tradycje patryarchów i chroniła je od zapomnienia szczupła garstka przodowników narodu, a zwłaszcza pokolenie Lewi. Z pokolenia tego wyszli dwaj bracia, synowie Amrama i Jochebed, którzy w głębi serca zachowali odziedziczone po przodkach poznanie Boga i zajaśnieli jako żywi jego świadkowie. Młodszy z nich, Mojżesz, mąż boży, pierwszy i największy z proroków, był wychowawcą ludowym, nie mającym równego sobie; już jako prawodawca tylko zaćmił wszystkich potomnych, a z innemi nadzwyczajnemi zaletami umysłu i serca łączył skromność i łagodność. Starszy brat jego Aron, wymowniejszy odeń, służył mu poniekąd za narzędzie mowy. Obaj napróżno żądali od jednego z Faraonów (nie wiadomo, który to był z samoubóstwiających się władców Egiptu), aby obdarzył wolnością ich współplemieńników i pozwolił im kraj opuścić. Dopiero gdy kilka z rzędu ciężkich klęsk nawiedziło kraj i jego mieszkańców, jeden z Faraonów ujrzał się zniewolonym do zadośćuczynienia temu żądaniu. Wyjście Izraelitów z Egiptu przeistoczyło niewolników w naród. Po tem cudownem zdarzeniu nastąpiły jeszcze inne: przejście przez morze Sitowe (jezioro Krokodylowe [1]), czterdziestoletnia wędrówka przez pustynię, zanim dotarli do granic upragnionej ziemi ojców, i najdonioślejsze ze wszystkich, nadanie na górze Synaj [2]) dziesięciorga przykazań, podwaliny prawdziwego poznania Boga i wysokiego uobyczajenia. Nie mogąc dostać się najkrótszą drogą z południa do kraju Kanaan, wskutek przeszkód, stawianych przez wrogie plemiona, musieli czterdzieści lat przebiegać wzdłuż i wpoprzek pustynię i znacznie nałożyć drogi w kierunku wschodnim, nieraz też miecza dobywać, aby sobie wnijście utorować. U kre-

[1]) Nie zaś morze Czerwone lub zatoka Suezka.

[2]) Albo Horeb, prawdopodobnie Dżebel Al-Araif w pustyni Paran, niedaleko granicy południowej Ziemi Świętej, w każdym razie żaden ze szczytów t. z. półwyspu Synaj, ani Dżebel-Muza, ani Dżebel-Katharin, ani też wreszcie Dżebel-Serbal na południozachód od nich.

su stanąć miało dopiero młodsze, przez Mojżesza wychowane pokolenie, które pozbyło się tchórzostwa i wstrętu do oręża pierwszych wychodźców, nagiętych do niewoli. Wszystkie te nadzwyczajne zdarzenia natchnęły lud odwagą i wiarą, że zdoła opanować Ziemię Obiecaną.

Po zgonie wielkiego proroka, którego grobu nikt nie poznał, aby wielbiciele jego nie oddawali mu czci jako bogu lub półbogu, przeprawił ich z wiosną uczeń Mojżesza, Jozue syn Nuna, przez rzekę Jordan, stanowiącą granicę kraju, i rozpoczął dzieło podboju. Zwycięztwa, odniesione z tamtej strony Jordanu nad dwoma potężnymi książętami, Sihonem i Ogiem, wzmocniły energję ludu i były mu bodźcem do zmierzenia się z mieszkańcami kraju celem wyparcia ich z siedlisk, jak i oni niegdyś wyparli zamieszkałe tam dawniej plemiona. Lecz trudniej było wejść w posiadanie kraju, niż zdobyć go, czego dokonali w gwałtownym zapędzie, przeciwstawiając większe masy szczupłym drużynom. Kanaan bowiem przy wkroczeniu Izraelitów składał się z wielu drobnych państewek (było ich podobno 31), któremi rządzili osobni królowie. Posiadłości tych tak zwanych królów obejmowały przeważnie jedno miasto wraz z należącemi doń polami i pastwiskami. Prawdopodobnie osłabili się wzajem, wskutek częstych waśni, przynajmniej nie łączyły ich żadne związki. I tak już odjęła im odwagę wieść o licznym ludzie, co wyruszył z Egiptu, poraził potężnych królów zajordańskich i ufny w pomoc swego Boga szedł zwycięzko naprzód. Trwoga, wyprzedzająca najeźdzców tak była okropna, iż mieszkańcy czterech miast, objęci wspólną nazwą Gibeonitów, zdali się na ich łaskę i schylili karki pod jarzmo poddaństwa. W ten sposób podbili Izraelici pod wodzą Jozuego, w pierwszym zapędzie, kilka pojedyńczych plemion kanaańskich i królików i owładnęli krajem środkowym oraz częścią południa. Nie tak łatwo już było przebić się dalej na północ, gdyż plemiona tamtejsze bardziej były zaprawione do sztuki wojennej i do walki wyprowadzały wozy żelazne. Wszakże udałoby się pokonać i tych przeciwników, gdyby Izraelici wytrwali w dotychczasowej jednomyślności. Lecz niektóre pokolenia to tylko miały na oku, aby jaknajrychlej wejść w posiadanie zdobytych dzielnic, odpasać miecz i cieszyć się oddawna niezaznanym spoczynkiem.

Przyczyną rozluźnienia spoistego dotąd związku było przedewszystkiem samolubstwo pokolenia Józefa, na którem też ciąży wina połowicznego tylko wykonania planu podboju. Pokolenie to, dzielące się na dwa mniejsze, Efraim i Manasse, rościło sobie prawo do pewnego pierwszeństwa, które usprawiedliwiało stanowiskiem swojem podczas pobytu w Egipcie, dzięki znaczeniu założyciela rodu; roszczenia te podsycała okoliczność, iż naczelny wódz ludu, Jozue, był też członkiem tego pokolenia. Zagarnęło też najlepszą część kraju, wzgórza środkowe, nader obfitą w źródła i urodzajną. Okolicę na północ i południe od Sichem, urozmaiconą górami i dolinami, zajęło pokolenie Efraim. Sichem został stolicą tego pokolenia, a dla swego położenia w dolinie pośród dwóch gór (Garizim i Ebal), które zewsząd zasilają go wodą, zasługiwał, aby obrano go na stolicę całego kraju. Ale pokolenia Efraim i Manasse nie poprzestały na tej pięknej i żyznej ziemi, (która od pierwszego z nich otrzymała nazwę gór Efraim), lecz w nadziei, że wódz, co wyszedł z ich łona, niczego im nie odmówi, wystąpiły z żądaniem większego jeszcze udziału, powołując się na to, iż przyznanej im ziemi nie starczy na potrzeby wielkiej liczby ich rodzin. Żądały przeto nietylko pięknej i urodzajnej równiny, która ciągnie się kilka godzin na północ od gór Efraim, lecz nadto jeszcze ziemi, otaczającej wyniosłą górę Tabor. Ale Jozue okazał się twardszym, niż przypuszczały. Zbył je złośliwą uwagą, że sko-

ro są tak liczne, to niechże zajmą zbrojną siłą położone na północy góry i wykarczują lasy. Widząc, że samolubne ich roszczenia nie znalazły poparcia nawet u Jozuego, wyrzekły się udziału we wspólnych przedsięwzięciach; i, istotnie, mogły być zadowolone z tego co posiadały.

Wystąpienie ich ze związku było hasłem dla pozostałych pokoleń, aby to samo uczyniły, to jest, aby zapewniły sobie przedewszystkiem szmat własnej ziemi. Cztery pokolenia zwróciły oczy ku północy, cztery zaś ku południowi i zachodowi. Na co nie odważyli się Józefidzi, to przedsięwzięli śmiało Isaschar, Zebulon, Aszer i Naftali. Zstąpili na równinę Jezreel (Esdrelom), osiedli częścią tamże, częścią zaś przerznęli się na północ do płaskowzgórza, które się rozpościera u południowego podnóża Libanu. Do wszczynania walk z mieszkańcami równiny pokolenia te mniej jeszcze były pochopne, niż Józefidzi, gdyż nie zdołałyby się oprzeć wozom wojennym. Pokolenie Isaschar zadowolniło się pozyskaniem pastwisk na wielkiej dolinie i nie mogło na razie myśleć o zdobywaniu grodów warownych, uległo owszem zwierzchnictwu okolicznych Kanaańczyków, bo zasmakowało w pokoju, a ziemia była żyzna. Poprzestało ono, lubo nie bez ciężkich ofiar, na roli cierpianych przybyszów. Bliźniak Isaschara, Zebulon, nie tyle łaknący odpoczynku, wywalczył sobie, jak się zdaje, stałe siedliska na płaskowzgórzu, na północ od Tabor. Najtrudniej, zda się, przyszło znaleźć siedzibę dwom pozostałym pokoleniom, Aszerowi i Naftali. Tu bowiem ludność tubylcza była bardziej wojowniczą i ściślej zespoloną. Istniał tu rodzaj miasta stołecznego, Chacor, którego król Jabin panował kilku dziedzinom. Śpiesznie tedy wezwali Jozuego, aby podążył z siłą zbrojną na pomoc. Tyle jeszcze zostało ducha jedności wśród pokoleń, że Jozue znalazł je chętnemi do podania natychmiastowego ratunku zagrożonym na północy braciom. Z wojownikami, których prowadził, napadł Jozue znienacka, nad jeziorem Meromskiem, na sprzymierzonych pod wodzą Jabina Kanaańczyków, pobił ich i zmusił do ucieczki niedobitków. Bitwa nad jeziorem Meromskiem pozwoliła obu pokoleniom usadowić się między górnym biegiem Jordanu a morzem Śródziemnem. Aszer i Naftali, najbardziej na północ wysunięte pokolenia, tworzyły niejako straż kresową.

W tym samym czasie cztery inne pokolenia zdobyły sobie siedliska na południu i to także o własnych siłach, bez pomocy całego narodu. Drobniutkie pokolenie Benjamin otrzymało zapewne od Józefidów, z którymi pozostawało w ściślejszym związku, wązki, niezbyt urodzajny pas ziemi; składały się nań niemal wyłącznie posiadłości ujarzmionych Gibeonitów, z kilkoma przydatkami od wschodu i zachodu. Przerznąć się dalej na południe było również trudno, jak na północ, przez wielką równinę. Albowiem w środku kraju, w górach, mieszkali Jebusyci, lud silny i wojowniczy, którego posiadłości broniła niedostępna twierdza skalna, Cyon. Mieszkańcy równiny na zachodzie, od strony morza, mieli też żelazne rydwany wojenne, którym Izraelici w pierwszych czasach najazdu nie śmieli stawić czoła. A jednak nieopatrzonym dotąd pokoleniom nie pozostawało nic innego, jak tylko rozejrzeć się na południu i zachodzie i tam sobie siedzib poszukać. Wśród tych pokoleń Jehuda (lub Juda) było jednem z najliczniejszych i najpotężniejszych, a stało doń w stosunku wasala do lennodawcy pokolenie Szymon.

Najbardziej po macoszemu uposażono pokolenie Dan, zawisło ono, że się tak wyrazimy, w powietrzu. Liczba składających je rodzin była, zdaje się, niewielką i nie posiadało nawet w innem pokoleniu orędownika, coby je wziął w swoją obronę. Ciągnęło, jak wnosić można, pospołu z Efraimem, a to samolubne pokolenie oddało

mu niepewną i trudną do utrzymania połać na południozachodzie swego udziału, czyli raczej małą cząstkę dziedziny Benjamina. Mieli byli Danici podbić Nizinę (Szefela) lub równinę Sarońską aż do morza i tam się usadowić. Ale zamieszkali w tamtych stronach Emoryci udaremnili te zamiary i wyparli ich w góry. Tu znów Efraim i sąsiedni Benjamin przeszkodzili im do zajęcia stałych siedlisk. Tak więc musieli Danici wieść długo życie tułacze, a później nawet zupełnie wywędrować, aby szukać sobie schronienia na północy. Dwa pokolenia, Ruben i Gad, jeszcze przed przeprawą przez Jordan osiadły w kraju zajordańskim.

Pomimo przeszkód, podboju większej części kraju dokonano tak szybko, że w oczach współczesnych i potomnych za nowy cud uchodzić musiał. Dopiero pół wieku temu cofnęli się Izraelici od granic na wieść przez szpiegów przyniesioną, że kraj zamieszkują olbrzymi zbyt potężni, aby im można było podołać. A teraz groźne te ludy taka na widok Izraelitów zdejmowała trwoga, że przeważnie bez oporu opuszczały swe ziemie, a gdziekolwiek występowały obronnie, tam doznawały porażki. Wpoiło to w naród przekonanie, że sam Bóg kroczył na czele zastępów izraelskich, mieszał szyki przeciwników i rozpraszał ich. Poezja wysławiała w pięknych pieśniach wyjście z Egiptu, pochód przez pustynię, zdobycie i zajęcie kraju. Albowiem i boski dar pieśni przypadł Izraelitom w udziale.

Jakkolwiek skąpo i po macoszemu obdzielono niektóre pokolenia, jak Szymona i Dana, bądź co bądź otrzymały one po skrawku ziemi, jako oparcie dla chwilowego bytu i dla dalszego rozwoju. Jedno tylko pokolenie Lewi wyszło z próżnemi rękoma. Wiernie wykonaną została ustawa Mojżesza, aby Lewici, pokolenie rodowitych kapłanów, w zabiegach koło roli nie sprzeniewierzyli się swemu powołaniu, aby pod pozorem in-

teresów religijnych nie zabierali, jak kapłani egipscy, ziemi ludowi i nie utworzyli kasty bogatej, lecz trwali w ubóstwie i przestawali na tem, czego im użyczą rolnicy i hodowcy trzód. Uwagę ich pochłaniać miała jedynie świątynia i Zakon. Za punkt środkowy służył im zrazu Gilgal, obozowisko między Jordanem a Jerychem, gdzie stał namiot z arką przymierza i dwiema tablicami kamiennemi dziesięciorga przykazań, nadanych na górze Synaj, i gdzie też przynoszono ofiary. Ale Gilgal niedługo mógł służyć za ognisko, leżał bowiem w niezbyt urodzajnej okolicy, zdala od dróg ożywionych. Gdy więc ustaliły się stosunki i wojowników z pokolenia Ruben i Gad wyprawiono do ziemi rodzinnej z tamtej strony Jordanu, należało poszukać innego miejsca dla przybytku. Łatwo pojąć, że w ówczesnem położeniu rzeczy nadawać się mogła jedynie miejscowość, leżąca w udziale Efraima. Obrano Silo, gdzie też przeniesiono arkę przymierza i zbudowano ołtarz. Tu schodziły się, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej środkowe pokolenia: Efraim, Manasse i Benjamin. Najstarszy kapłan z domu Arona, Pinehas, i jego następcy tu mieli swoją siedzibę, tu też zapewne mieszkało wielu Lewitów, podczas gdy inni rozproszyli się wśród pozostałych pokoleń i po innych miastach, pędząc przeważnie życie tułacze.

Wskutek osiedlenia się Izraelitów kraj Kanaan przybrał nie tylko inną nazwę, lecz także cechy odmienne. Stał się Ziemią Świętą, dziedzictwem Bożem. Miał się przyczynić do tego, aby naród mógł spełnić swe posłannictwo: świecić przykładem żywota świątobliwego i sprawiedliwego. Wszystkie inne kraje uchodziły w obec niego za niepoświęcone; dochowanie wiary jedynemu Bogu i stwierdzenie uczynkiem Jego Zakonu, oto zadanie, któreby gdzieindziej, jak mniemano, napróżno czekało rozwiązania. Ziemi Świętej przypisywano wrażliwość, sądzono, że odczuwa ona bogobojne lub bezbożne postę-

powanie narodu, że nie znosi trzech za najohydniejsze poczytywanych zbrodni: zabójstwa, wszeteczeństwa i bałwochwalstwa, że dla takich bezeceństw odtrąciła pierwotnych mieszkańców, wyrzuciła ich poniekąd z siebie, i że nieprawości takich nie ścierpi i u ludu izraelskiego. W oczach ludności izraelskiej kraj ten był jakimś odrębnym, ubłogosławionym ziemiotworem, z którym żaden inny nie mógł iść w zawody.

I rzeczywiście, kraj Izraela, jak się od czasu wejścia nazywa, odznacza się uderzającemi właściwościami, jak żaden inny kraj na kuli ziemskiej, gdziekolwiek stanęła stopa badacza. Na szczupłej przestrzeni, 225 kilometrów długiej, a 90 szerokiej, (wliczywszy w to już ziemię z tamtej strony Jordanu), skupiły się kontrasty, nadające mu znamię swoiste. Wiecznym śniegiem pokryte szczyty Libanu i Hermonu, na północy, spoglądają po przez szereg wierzchołków gór mniejszych, po przez doliny, aż ku pustyni piaszczystej, na południu, gdzie żar afrykański zwarza wszelką roślinność. W blizkiem sąsiedztwie dojrzewają tu społem gatunki drzew, które gdzieindziej unikają się wzajem, wysmukła palma, co w wysokiej jeno temperaturze wyrasta, i dąb, co takiego upału nie znosi. Jeżeli skwar południowy burzy krew w człowieku i popycha go do czynów gwałtownych i namiętnych, to wiatr, co ze śnieżnych pól północy nadciąga, wraca mu chłodną rozwagę i zastanowienie. Woda z dwóch stron ujmuje kraj w ramy: na zachodzie morze Śródziemne, którego szlak nadbrzeżny tworzy przystanie dla okrętów, na wschodzie długą wstęgą snujący się Jordan, co, poczęty w łonie Hermonu, bieży w prostym niemal kierunku z północy ku południowi, i przerzyna dwa wielkie jeziora, jedno u źródeł prawie, drugie u ujścia. Na północy płynie przez jezioro Harfowe (Kineret, Tiberias), a na południu gubi swe wody w dziwnem jeziorze Słonem. I oba te jeziora tworzą kontrast. W jeziorze Harfowem woda jest słodka; w głębinach jego uwijają się rozmaite gatunki ryb; na żyznych brzegach dojrzewają palmy, figi, winograd i inne drzewa owocowe. Wysoki stopień ciepła sprawia, iż w pobliżu jego owoc przychodzi do pory o miesiąc wcześniej niż w górach. Wręcz przeciwny jest wpływ jeziora Słonego, które też słusznie nosi imię morza Martwego, gdyż zwierzęta kręgowe nie mogą żyć w jego wodach. Wielka ilość soli, którą zawiera, w połączeniu z magnezją i bryłami asfaltu, zabija wszelkie życie w jego falach. I powietrze też przesycone jest solą, a ziemia okoliczna, pełna żup solnych, okropną przedstawia pustynię. Owalny wieniec gór otacza morze Martwe, tworząc kotlinę, której ściany wznoszą się miejscami wyżej 1300 stóp nad poziom wód; pozbawione roślinności, nagie jej grzbiety nadają okolicy ponure wejrzenie. A jednak nad brzegami tego jeziora, między zwierciadłem wody a ścianą gór, znajdują się oazy, które pod względem urodzajności nie ustępują najszczodrzej uposażonym zakątkom ziemi i rodzą rzadkie rośliny balsamowe. Żyzną jest oaza En-Gadi w środku mniej więcej wybrzeża zachodniego. Większym może jeszcze blaskiem jaśnieje oaza w południowowschodnim kącie morza Martwego, gdzie leżało miasto Coar, od swoich lasów palmowych miastem palmowem (Tamara) par excellence zwane. I tu też niegdyś dojrzewał krzew balsamowy. O półtorej godziny na północ od morza Martwego rósł słynny balsam gileadzki, opodal miasta Betharam. A nad tem samem morzem ciągną się na kilka godzin błota słone. Oba jednak jeziora, Słone i Harfowe, jedno wspólne cechuje zjawisko, że na ich brzegach biją źródła gorące, siarką nasycone, które przywracają zdrowie w pewnych rodzajach chorób. (Kallirrhoe na wschodzie morza Martwego i Ammaus nad jeziorem Kineret).

Prawdziwem błogosławieństwem dla kraju Izraela są jego góry. Jest to kraj przeważnie górski. Dwa roz-

ciągłe majestatyczne łańcuchy gór, oddzielone od siebie głęboką doliną, wystrzelają na północy, jak dwa potężne olbrzymy z białemi głowami: Liban, którego szczyt najwyższy, przeszło 10,000 stóp wysoki, wznosi się w regjonach wiecznego śniegu i Hermon (Antiliban), którego najwynioślejszy wierzchołek sięga 9,300 stóp. Liban nigdy nie należał do kraju Izraela, zawsze zostawał w posiadaniu Fenicjan i Aramejczyków oraz ich spadkobierców. Ale ze słynnych lasów cedrowych Libanu korzystali też Izraelici, a poezja hebrajska większy jeszcze pożytek ciągnęła z jego wyniośle sterczących wierzchołków i z zapachów rosnących nań drzew. Bliższym był Izraelitów Hermon z błyszczącym śnieżnym szczytem. Gdzie go nie zasłaniają przedgórza, można go podziwiać w odległości przeszło 150 kilometrów. Do podnóża stromych jego stoków południowych sięgała granica kraju Izraela.

Odnogi obu tych łańcuchów tworzyły góry Izraela na północy. Wyżyny te spadają zwolna ku wielkiej urodzajnej równinie Jezreel. Rozległa ta równina, kształtu trójkąta, dzieli poniekąd, wraz z otaczającemi ją pasmami gór: z jednej strony Karmelem, z drugiej zaś Gilboą i niezbyt od niej odległym ostrokręgiem, Taborem (Itabyrium), cały kraj na dwie nierówne części, na mniejszą północną połowę (później Galileą zwaną) i na większą południową. Na południe od doliny Jezreel ziemia znów się wznosić zaczyna i tworzy kilka wyżyn, sięgających przeszło 2,000 stóp. Są to góry Efraim. Od Jerozolimy do Hebronu, ku południowi, piętrzą się ponownie góry, dochodzące do 3,000 stóp; to góry Jehuda. Dalej ziemia opuszcza się nieznacznie, tak iż Beerseba, niegdyś miasto pograniczne, jest już nizko położona (700 stóp). Zarówno góry Efraim, jak góry Jehuda, pochylają się od wschodu ku zachodowi. Tutaj od szlaku gór do morza Śródziemnego rozpościera się równina, zwana równiną Sarońską i Niziną (Szefela). Na wschodzie opuszczają

się góry ku Jordanowi. Kilka szczytów gór Efraim i Jehuda pozyskało szczególne znaczenie: obie góry obok Sichemu, Garizim, „góra błogosławieństwa,“ i Ebal, „góra przekleństwa“; Betel na wschód od późniejszej stolicy i Micpe o kilka godzin od niej, wreszcie góra Cyon (2,610 stóp) na południozachodzie i góra Oliwna (2,720 stóp) na wschodzie Jerozolimy.

Wskutek tego osobliwego ukształtowania kraju powstaje rozmaitość, która nietylko na płody ziemi wpływ wywiera, lecz oddziaływała też na charakter ludzi. Od północy ku południowi dzieli się kraj na trzy pasy. Szeroki pas górski zajmuje środek, nizina zachód aż do morza, a błonia wschód do Jordanu. W nizinie klimat jest łagodny, w górach w porze deszczowej surowy, w letnich zaś miesiącach umiarkowany, a na błoniach nadjordańskich przez większą część roku gorący.

Rzek zasługujących na to miano, któreby przez cały rok zawierały w swem łożysku wodę, kraj nie posiada, jedyny chyba Jordan, a i ten nie jest spławny. Wiosną tylko, gdy roztopy na szczytach Hermonu zasilają go obficie wodami, użyznia doliny po obu swych brzegach, więcej wszakże na wschodzie niż zachodzie. Inne zbiorowiska wód nie są to właściwie rzeki, gdyż w porze gorącej wysychają. Niemniej wszakże i takie rzeki zimowe zapładniają okolicę, przez którą płyną; to też wzdłuż ich brzegów ciągną się grunta orne. Użyźniają również ziemię małe źródła, które wytryskają z gór, lecz nie mogą rzeki utworzyć. Okolice, pozbawione źródeł, zaopatrują się w wodę deszczową, którą przechowują w zbiornikach, wydrążonych w skale.

Dzięki formacji ziemi i bogactwu wód, dostarczanych przez Liban i Hermon wraz z ich odnogami, przez źródła i dwa razy do roku obficie spadający deszcz, w jesieni i na początku wiosny, przeważna część kraju ubłogosławiona jest bujną żyznością. Był to i po części

jest to jeszcze teraz, o ile człowiek ręki przyłoży, kraj „mlekiem i miodem płynący," piękny kraj „potoków i źródeł, jezior, dolin i gór, kraj pszenicy, jęczmienia, winogradu, fig i granatów, kraj oliwy i miodu daktylowego, kraj, którego nie trzeba zabezpieczać od klęski głodowej gromadzeniem zapasów, któremu na niczem nie zbywa, którego kamienie dostarczają żelaza, a góry miedzi." Nadzwyczajną zwłaszcza płodnością odznaczały się równiny i dawały pracowitym dłoniom dwa zbiory do roku. Ale i kraj na północ od równiny Jezreel położony był też urodzajny; rosło tam za dawnych czasów tyle drzew oliwnych, że mówiono: „nogi nurzają w oliwie." Kraj środkowy, na południe od wielkiej równiny Jezreel, posiadłość Efraima i Manassego, obfitym plonem wynagradzał mozoły rolnika. Wszędy ze skał tryskają źródła, skupiają swe wody i, nabrawszy sił, zraszają ziemię i pędzą młyny. Ubłogosławioną była dziedzina synów Józefa.

Darami nieba, rosy
I toni rozlanej pod nią,
I darami, które dojrzewają od słońca,
I darami, które wydobywają księżyce.

Na stokach gór maiły się ongi wspaniałe ogrody i winorośle o jędrnych gronach, na wyżynach rosły lasy cieniste, terebinty, dęby i cisy. W miejscach, nadających się po temu, strzelały wysmukłe palmy, które rodziły słodki owoc i często sok swój na ziemię wylewały. Tylko ku południowi zmniejsza się żyzność, gdyż tu przeważają łyse pagórki wapienne, a coraz mniej napotyka się dolin. Lecz i tu były pastwiska dla trzód. Na samem południu, za Hebronem, krajobraz nosi piętno pustyni.

Klimat kraju, dzięki górom i nieprzerwanemu prądowi powietrza z wyżyn i z morza, jest ze wszechmiar zdrowym i zrodził tęgą rasę ludzi. Niema tu zgniłych

błot, zatruwających powietrze. Choroby są rzadkie, o ile nie mają źródła w zewnętrznym urazie. Rzadko srożą się zarazy, a obecnie zdarzają się tylko wskutek zawleczenia zzewnątrz.

Więcej jeszcze pokarmu i zdrowia dostarczał kraj ten duszy. Jest on wprawdzie drobniuchny w porównaniu z rozległymi obszarami świata starego. Z pewnych punktów na szczytach gór, w środku kraju, można ogarnąć jednem spojrzeniem granice jego od wschodu do zachodu, z jednej strony ujrzeć roztocz morza Śródziemnego, z drugiej zwierciadło wód morza Martwego, Jordan i góry Gilead. Z Hermonu wzrok jeszcze dalej sięga. Lecz jak podniosłym jest ten widok dla duszy! Z wielu miejsc widzi oko najpiękniejsze, najwspanialsze krajobrazy. Powietrze przez większą część roku tak jest czyste i przezrocze, że działa jak szkła sztucznie złożone, znosi rozległe przestrzenie między okiem a widnokręgiem i zbliża punkty dalekie. W kraju tym ukazuje się wrażliwej i myślącej duszy palec boży: „Tabor i Hermon opiewają chwałę Jego imienia." Piękne kształty wierzchołków lub faliste grzbiety gór nie przytłaczają duszy jak niebotyczne olbrzymy, nie przerażają jej fantastycznemi urwiskami i dzikiemi rozpadlinami, lecz unoszą ją łagodnie i miękko nad poziomy i wlewają w nią dobroczynne uczucie czegoś niewypowiedzianie miłego, swojskiego, blizkiego sercu. Jeżeli w piersi widza drzemie zarodek daru wieszczego, to pod wpływem tych pięknych, malowniczych krajobrazów rozkwitnąć może wspaniale. Szczera, głęboka poezja natury na tej tylko ziemi powstała.

Tak późno poznana, a jednak dla wędrówki ziemskiej człowieka tak doniosła idea, że wszechpotężny, światowładny Duch, którego skinieniu posłuszna jest natura, kieruje też kolejami rzeczy ludzkich, że Bóg niezmiennych praw przyrody przejawia się też w pier-

wociu i upadku narodów, idea ta jest płodem myśli plemienia, którego wzrok zaostrzony dzięki jego dziejom i szerokim widnokręgom przeniknął w krainę dziwów i cudów.

Kraj z tamtej strony Jordanu, Gilead, niegdyś posiadłość królów Sihona i Oga, którą zajęły i zachowały pokolenia Ruben i Gad, przedstawiał podobne fenomeny, co kraj z tej strony rzeki. I z jego szczytów oko objąć może rozległe obszary. Ale morza, z hukiem toczącego swe fale oglądać tu nie można, co najwyżej szlaczek niebieski. Tu nie miała poezja dostatecznych podniet, jak w kraju na zachód od Jordanu. Jak daleko pamięć sięga, Gilead nie wydał żadnego poety, a szeregom proroków dostarczył jednego tylko syna, surowego i dzikiego, jak kształty gór, jak szumiące wąwozy tej krainy. Nie tylko granicę naturalną tworzył Jordan, ale i miedzę umysłową. Jeszcze jedną przewagę miał kraj przedjordański nad Gileadem. Tam już przy podboju zastały pokolenia stałe miasta i urządzenia miejskie, pierwsze podwaliny życia społecznego, podczas gdy w Gilead miast było niewiele i nadomiar znacznie odległych od siebie.

Tymczasem kraj przedjordański bynajmniej nie cały został zajęty i podzielony między pokolenia; znaczne przestrzenie pozostawały jeszcze w rękach pierwotnych mieszkańców. Trudno teraz dociec, w jakim stopniu winien był Jozue, że sprawy podboju nie przeprowadzono do końca. Nie miał on takiej rzeźkiej starości, jak mistrz jego, Mojżesz. Na stare lata buława hetmańska, zdaje się, z rąk mu wypadła. Nie ulega wszakże wątpliwości, że wojownicze zapędy powściągały pokolenia Efraim i Manasse. Gdy, ujrzawszy się w posiadaniu najżyzniejszych obszarów, spoczęły na wawrzynach, wówczas innym też pokoleniom uśmiechnął się kawałek własnej ziemi i wypoczynek, włożyły więc miecz do pochwy. Każde pokolenie, każda grupa odtąd polegać musiała na własnych siłach. Trudno przeto było odosobnionym pokoleniom zaokrąglić swe dzielnice kosztem pierwotnych mieszkańców.

Tak więc nie został podbitym cały pas nadbrzeżny, w części urodzajna, w części piaszczysta nizina od Gazy lub od rzeki egipskiej (Rhinokolura) do Akko. Ten kraj nadmorski jakoteż bardziej jeszcze na północ wysunięte wybrzeże, od Akko do Tyru i Sydonu, nigdy też i w następstwie nie zostały wcielone do kraju Izraela. Północna część należała do Fenicjan, południowa zaś do Filistynów. Wskutek tego wiele pokoleń mieszkało w sąsiedztwie lub w pośród ludności pogańskiej. Zupełnie wyosobnione od reszty, pokolenia Jehuda i Szymon przebywały wśród obcych szczepów w ściślejszem jeszcze zespoleniu, a to wśród takich, co z pasterzy przedzierzgnęły się w rozbójników. Jakeśmy nadmienili, Jebusyci stanowili mur, oddzielający pokolenia południowe od północnych.

Jeżeli Jozue u schyłku dni swych przejęty był radością, że ziściła się dana praojcom obietnica, to radość ta nie była wolną od goryczy. Jak to często bywa w życiu osobników i ludów, tak i teraz urzeczywistniła się nadzieja w sposób odmienny zgoła od marzeń. Prawda, iż kraj należał do synów Izraela, ale należał do nich zaledwie w połowie i zdobyte posiadłości, przy energicznem zespoleniu sił pozostałych tubylców, mogły być im napowrót wydarte, oni zaś znowu mogli się znaleźć bez przytułku. Owa niezupełność dzieła zakłóciła niewątpliwie troską ostatnie godziny Jozuego, troską tembardziej uzasadnioną, że urzędu swego nie mógł złożyć w ręce zdolnego dowódcy, takiego przynajmniej, któregoby słuchać chciały pokolenia, a zwłaszcza chciwy władzy Efraim. Zgonem swym osierocił naród, który nie odczuł nawet swego sieroctwa. Nie opłakiwał drugiego

BIBLIOTEKA IMIENIA ...

wodza, jak opłakiwał śmierć pierwszego. Jedno tylko pozostawił Jozue ludowi, nadzieję i widoki, że kiedyś zdoła posiąść kraj cały na własność nietykalną. Nadzieje, do których ludy lgną uporczywie, iszczą się zazwyczaj. Ale czekały Izraelitów ciężkie walki, zanim mógł się urzeczywistnić ten ideał niepodzielnego władania.

Albowiem ilu sąsiadów, tylu wrogów liczyli od samego początku. Jakkolwiek ludy sąsiednie nie wiedziały, że nowa nauka, wyznawana przez Izraela, zmierzała do strącenia ich bogów, do zburzenia ich ołtarzy, do unicestwienia całego aparatu bałwochwalczego, jakkolwiek w ogóle nie miały najmniejszego pojęcia o wybitnej różnicy, zachodzącej między ich własną istotą a najtajemniejszemi dążeniami przybyszów, mimo to nienawidziły najeźdźców, którzy z mieczem w dłoni zajęli znaczną część kraju. Co miały czynić pokolenia izraelskie wobec tej otwartej lub skrytej nieprzyjaźni? Zniewolone były albo prowadzić z sąsiadami wojnę na śmierć i życie, albo zawrzeć z nimi przyjazne, sąsiedzkie stosunki. Walka była niemożliwa, gdyż po śmierci Jozuego zbywało na wodzu, na jedności, a i na duchu wojowniczym. Więc też zdobywcy wkładali stopniowo miecze do pochew i usiłowali wejść z sąsiadami w związki przyjaźni. Kanaańczykowie i Fenicjanie na razie niczego więcej nie żądali. Mając na oku cele raczej pokojowe, niż wojownicze, zadowolnili się tem, że stanęły otworem drogi karawanowe, że więc bez przeszkód mogli prowadzić handel zewnętrzny. Za to inne ludy ościenne, Filistynowie na południozachodzie, Idumejczycy na południu, Ammonici i Moabici na wschód od Gileadu, za Jordanem, postępowały jednomyślnie, ilekroć chodziło o krzywdzenie i ucisk izraelskich sąsiadów.

Gwoli potrzebie wytchnienia ponosili Izraelici wielkie ofiary i niejednokrotnie dla miłości obcych poświęcali

interesy bratnich pokoleń. Aby utrzymać przyjacielskie stosunki z sąsiadami i dać poniekąd rękojmię na przyszłość, zawierali z nimi związki małżeńskie, t. j. ojcowie wydawali swe córki za Kanaańczyków, a dla synów swych wprowadzali do namiotu dziewczęta kanaańskie. Takie małżeństwa mieszane zdarzały się zapewne najczęściej wśród pokoleń kresowych, które stosunki pokojowe uważały za niezbędny warunek dalszego istnienia.—Od spowinowacenia się z sąsiednimi poganami do uczestnictwa w bałwochwalczym ich kulcie jeden był krok tylko. Krajowcy posiadali już objatnice i miejsca cudowne, z któremi kojarzyły się podania, przemawiające do naiwnych umysłów. Większe góry i urocze doliny u stóp ich, w dziedzinie Izraelitów, miały już charakter poświęcony. Wieśniacy, którzy o różnicy, zachodzącej między fałszywymi bożkami pogańskimi a izraelską wiarą w jedynego Boga, słabe tylko mieli pojęcie i uparcie jeszcze obstawali przy przewrotności egipskiej, bez wielkiej odrazy przyjmowali udział w biesiadach ofiarnych pogan. Uczestnictwo w kulcie bałwochwalczym ogarnęło zwolna szersze koła, zwłaszcza, że Fenicjanie w sztukach pięknych i przemyśle mieli przewagę nad Izraelitami. Kult ludów sąsiednich w ogóle aż nazbyt dogadzał zmysłom i przypadał do natury młodzieńczego jeszcze narodu. Natomiast kult izraelski nie przybrał dotąd form ustalonych. W owym czasie, a nawet później jeszcze, ofiara uchodziła za najważniejszy akt służby bożej i obcowania z boską Istotą. Kto więc czuł potrzebę po temu, musiał wznieść sobie ołtarz domowy lub przyłączyć się do jakiego przybytku. A nauka z Synaju nie posiadała jeszcze widomego przedstawiciela i mistrza, któryby nauczał innego rodzaju służby bożej. Lewitom, których zadaniem było mieszkać wśród wszystkich pokoleń i oświecać umysły, nie wyznaczono własnych siedzib po miastach, że zaś nie nadano im

ziemi, byli ubodzy i mało poważani. Wiele okoliczności, przyzwyczajenie, naśladownictwo, zmysłowość, nęciło Izraelitów do bałwochwalczych praktyk sąsiadów, gdy tymczasem czysta służba boża, w myśl nadanego na Synaju Zakonu, niewiele miała powabu i podniet.

Nic dziwnego przeto, że wyżyny ziemi izraelskiej pokryły się mnóstwem ołtarzy, obok których wznosiły się obeliski (macebot). Szczególnie rozwielmożnił się kult bóstw fenickich, Baala (Adonis), jako widomego wizerunku słońca, i Astarty, jako symbolu księżyca, sprowadzającego urodzaje. W zachowaniu też były bożki domowe (Terafim) w postaci ludzkiej, jak mumje, i uchodziły za duchy opiekuńcze.

Bądź co bądź nie zatarły się stare wspomnienia o cudownych wypadkach i niewidzialnymi węzłami oplatały pokolenia mimo ich rozdziału i bałwochwalstwa. Ojciec opowiadał je synowi, a ten z kolei przekazywał je swym dzieciom. W czasach niedoli lgnęły do tych wspomnień jednostki i całe pokolenia. „Gdzież są cuda boże, o których opowiadali nam nasi ojcowie, że z Egiptu zaprowadził nas do tego kraju?“ Zdarzenie na płonącym Synaju zawsze zaprzątało umysły tych, co nie należeli do bezmyślnego pospólstwa. Nie zbywało też na głosach przestrogi, które powoływały się na owe czasy łaski i surowo potępiały żywot bałwochwalczy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byli to Lewici, strażnicy tablic przymierza i Zakonu, słudzy przybytku w Silo, którzy od czasu do czasu, przy nadarzającej się sposobności, a zwłaszcza w dobie klęsk powszechnych, podnosili głos na zebraniach ludowych przeciw rozpasaniu pogaństwa. Jeżeli jednak mówcy jakiemu udało się na chwilę poruszyć umysły zgromadzonych, to nastrój ten niebył trwałym. Dążność do ścisłego połączenia się z sąsiadami i do naśladowania ich obyczajów zbyt była potężną, aby rychło przełamać się dała.

Jedno złe pociągało za sobą drugie. Samolubstwo Efraimitów sprawiło, że inne też pokolenia radziły tylko o sobie, przez co rozluźniła się spójnia narodowa. Samolubstwo to uniemożliwiło jednolite rządy. Ponieważ żadne pokolenie nie mogło w razie naglącej potrzeby liczyć na pomoc innych, wszystkim więc nasuwała się konieczność zachowania dobrych stosunków z ościennymi poganami, zawierania z nimi związków rodzinnych, uczestniczenia w ich obrzędach bałwochwalskich, przyjmowania ich obyczajów i sprosności. Odstrychnienie się wewnętrzne było skutkiem zewnętrznego rozłamu. Daremnie jednak lgnęli do obcych z zaparciem się ducha własnego, nie zapewniło im to ani błogiego spokoju, ani znośnej niezależności.

Odkąd nieprzyjaźni sąsiedzi wzrośli w potęgę, zawsze dawali Izraelitom do poznania, że uważają ich tylko za natrętnych przybłędów, których zniszczenie doszczętne, a przynajmniej upokorzenie, za cel sobie obrali. Zaledwie Jozue zamknął oczy, nastały smutne czasy. Jedno pokolenie po drugiem ulegało napadom, krzywdzie, upokorzeniu, a nawet poniżeniu niewoli. Prawda, że gdy niedola dochodziła do szczytu, stawali u wyłomu mężowie, pełni zapału i odwagi, i dokazywali cudów waleczności. Ci bohaterscy zbawcy narodu (szoftim) lub sędziowie jak ich zwykle nazywają, jednoczyli wprawdzie w czasie ucisku kilka pokoleń do wspólnego działania, nie potrafili jednakże skupić całego narodu, ani nawet utrzymać w jedności zrzeszonych w chwili niebezpieczeństwa pokoleń, nie zdołali słowem stworzyć trwałego porządku. Mniej jeszcze byli w stanie ci zbawcy narodu i chwilowi przewodnicy wytępić naleciałe a bałamutne zabobony i nieobyczajne praktyki i wierze ojczystej jednać zwolenników, gdyż sami zarażeni byli bałwochwalstwem, a o nauce z Synaju mgliste tylko mieli pojęcie. Dwunastu lub trzynastu wojowniczych

sędziów-bohaterów, którzy to w jednem, to w drugiem pokoleniu, współcześnie lub w różnych okresach, zwalczali nieprzyjaciół, nie zdołało wyprzeć na zawsze wrogich sąsiadów z granic ziemi izraelskiej, ani też ładu ustalić. Nawet najznakomitsi z nich, ani pełen entuzjastycznego zapału Barak, ani waleczni bojownicy Gideon i Jeftah, jakkolwiek stali na czele kilku zjednoczonych pokoleń, ani też wieszcza prorokini Debora, która natchnioną pieśnią kilka pokoleń zagrzała do walki, nie zdołali stworzyć, a raczej odbudować jedności narodowej. Wprawdzie jednemu z tych sędziów-bohaterów, Manassycie czyli Gileadycie Jairowi, udało się rozszerzyć granice kraju zajordańskiego ku północozachodowi i przygotować w krainie Basan siedliska dla połowy pokolenia Manasse. Lecz przyrost ten z tamtej strony rzeki nie powiększył bynajmniej potęgi narodu. Sędziowie posiadali wogóle chwilowe tylko znaczenie, dopóki nie odparli nieprzyjaciół, nie zażegnali niebezpieczeństwa i znośnego bytu nie zapewnili ludowi. Władzy żadnej nie mieli nad temi nawet pokoleniami, które bohaterstwu ich zawdzięczały pomoc i swobodę; nie sprawowali też rządów zwierzchniczych i nie cieszyli się powagą, którąby posłuszeństwo nakazywała. Wyosobnienie i rozdrobnienie pokoleń trwało w dalszym ciągu, pomimo doraźnych ich zwycięztw, a osłabienie wewnętrzne wzmagało się raczej niż zmniejszało. Daremnie Samson kąsał jak wąż i kłuł jak bazyliszek, Filistynowie nie przestawali uważać okolicznych pokoleń za swych poddanych, a raczej niewolników i krzywd im wyrządzać, zwycięztwa zaś Jefty nie wpłynęły na Ammonitów, aby się zrzekli roszczeń do ziemi wschodnich pokoleń, Rubena, Gada i połowy Manasse.

Ale właśnie ten wysoki stopień osłabienia, skoro je odczuto, skończył się przesileniem, po którem naród zaczął przychodzić zwolna do zdrowia i sił nabierać.

Niektórzy przewodnicy pokoleń musieli nareszcie zrozumieć, że bratanie się z sąsiadami i przejmowanie obrzędów bałwochwalskich zamiast wyjść im na dobre, zwątliły ich owszem niezmiernie. Wspomnienie o Bogu ojców niewątpliwie znów ożyło i poruszyło sumienia, a gdy się raz odezwało, to zbudzeni przypomnieli sobie poświęcony temu Bogu przybytek w Silo i zaczęli go odwiedzać. Dzięki tej okoliczności pod koniec okresu sędziów zgromadzały się w Silo liczniejsze rzesze niż dawniej. Tu znajdowali się Lewici, którzy strzegli jeszcze przekazanej przez Mojżesza nauki, i ci zapewne na zebraniach ludowych, zwoływanych w chwili niebezpieczeństwa, pouczali zgromadzonych, że tylko odstępstwo od Boga Izraela i oddawanie czci bóstwom kanaańskim w takiej pogrążyło ich niedoli.

W tej dobie ucisku mieszkał w Silo kapłan, godny swych przodków, Arona i Pinehasa, pierwszy Aronida od dłuższego czasu, którego imię przeszło do potomności. Nazywają go poprostu Elim i opisują jako czcigodnego starca, z którego ust wychodziły jeno słowa pełne słodyczy, który nie mógł się zdobyć na surową naganę nawet wobec własnych niegodnych synów. Taki starzec cnotliwem postępowaniem i życiem świątobliwem musiał wywierać wpływ dobroczynny i nauce, której był przedstawicielem, jednać zwolenników. I jeżeli coraz to więcej przybywało do Silo zrozpaczonych ze skargą na ustach, jedni z pokoleń Efraim i Benjamin, żaląc się na krzywdy, doznawane od Filistynów, inni z pokoleń gileadzkich, utyskując na bezprawia Ammonitów, to Eli miał sposobność zwracać ich do pomocnego zawsze Boga Izraela i upominać, aby wyrzekli się obcych bogów. W ten sposób krzepił serca. Niejeden z przewódców pokoleń odwracał się od Baala do Boga swych przodków, a wślad za nimi postępowali zazwyczaj inni członkowie pokolenia.

Eli nie posiadał zapewne ducha wojowniczego, owszem z natury był usposobienia pokojowego. Kapłani izraelscy nie mieli w zwyczaju wyruszać w pole z mieczem i włócznią. Niemniej wszakże zaliczają Elego do sędziów i zbawców Izraela. Działalność jego na tem chyba polegała, że gdy zwracały się doń po radę lub wskazówki hufce izraelskie, w imieniu Boga zagrzewał je do walki z nieprzyjacielem, który na kraj częste robił najazdy.

Jak u wielu innych ludów, tak i w Izraelu nastąpiłyby może po panowaniu bohaterów (okres bohaterski) rządy kapłanów, gdyby powaga Elego przeszła na jego potomków. Lecz okoliczności złożyły się inaczej, niż należało oczekiwać. Dwaj synowie jego, Chofni i Pinehas, nie kroczyli śladami ojca. Gdy później naród nawiedziła ciężka niedola, upatrywano w niej karę Niebios za wykroczenia synów Elego, jakoteż za miękką pobłażliwość dla nich ojca.

Filistynowie dopuszczali się częstych najazdów łupieżczych na ziemię Izraela, a pokolenia sąsiednie, najbardziej wystawione na niebezpieczeństwo, nie występowały przeciw nim bezładnemi gromadami, lecz w porządnym już szyku bojowym. W każdym razie Filistynowie ze swymi wozami wojennymi mieli nad nimi przewagę. Z porady starszyzny sprowadzono z Silo arkę przymierza w przekonaniu, że sama jej obecność zapewni zwycięstwo. Pomimo to bitwa skończyła się porażką. Hufce izraelskie rozproszyły się w dzikim popłochu, arka przymierza wpadła w ręce Filistynów, a synowie Elego, którzy jej strzegli, śmierć ponieśli. Filistynowie szerzyli trwogę w całej okolicy. Ledwie dysząc z przerażenia, przybył zwiastun nieszczęścia do Silo i doniósł pełnemu otuchy ludowi i arcykapłanowi Elemu, który u bramy wyglądał wieści pomyślnej, o klęsce Izraela: „Uciekli Izraelici w wielkiej porażce, polegli też obaj twoi synowie, a arka przymierza wzięta do niewoli.“ Wiadomość o zabraniu arki przymierza przeraziła starca więcej jeszcze, niż śmierć synów; padł nieżywy ze stołka.

Zwycięzcy Filistynowie nie poprzestali na grabieżnych wycieczkach po kraju, lecz wszerz go przebywszy, dotarli aż do Silo. Tu wraz z miastem zburzyli też przybytek, który był jeszcze świadkiem pełnych łaski czasów mojżeszowych. Późniejszy poeta opisał tę dobę niedoli z sercem jeszcze żałością ściśnionem.

„Porzucił (Bóg) przybytek Silo,
Namiot ustawiony wśród ludzi.
I oddał w niewolę potęgę Swoją (arkę przymierza),
A chlubę Swą w rękę ciemiężcy.“

Klęska ta złamała zupełnie siły i odwagę narodu. Bezwładem dotknięte zostały te właśnie pokolenia, które stanowiły poniekąd przedmurze Izraela. Najbardziej może, lubo nie bez winy, ucierpiało pokolenie Efraim. Wraz z upadkiem świątyni, która za Elego zaczęła się stawać miejscem zgromadzeń ludowych, przeciętym też być się zdawał wszelki związek z pokoleniami północnemi.

Filistynowie byli przekonani, że z wzięciem do niewoli arki przymierza, wrzekomego talizmanu Izraelitów, i ze zburzeniem przybytku, zwyciężyli też Bóstwo opiekuńcze narodu izraelskiego. Lecz czekało ich niebawem przykre zbudzenie ze złudnych tych marzeń. Zaledwie przewieźli arkę przymierza do najbliższego miasta Aszdod (Azotus), nawiedziły kraj klęski wszelakie. Zdjęci przerażeniem postanowili książęta filistyńscy za radą kapłanów i wróżbitów, odesłać zdobytą arkę przymierza do kraju rodzinnego i załączyć dary pokutne. Po siedmiu miesiącach niewoli u Filistynów przewieziono ją przez granicę i umieszczono w Kirjat-Jearim (miasto leśne), na pagórku. Strzegli jej zamieszkali tamże Lewici, lecz lud tak dalece nie odczuwał jej braku, że kilka dziesiątków lat minęło, zanim przypomniał ją

sobie. Ani treść, ani starożytność przechowywanych w niej tablic przymierza nie miały w oczach zdziczałego ludu doniosłego znaczenia.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Początki władzy królewskiej. Samuel i Saul.

Lecz właśnie nawał klęsk, zburzenie przybytku w Silo i uczucie opuszczenia, wywołały zmianę na lepsze. Umysły, nie stępiałe ze szczętem, nie mogły przecież nie przyjść do poznania, że przyczyną tych nieszczęść był dotychczasowy rozstrój religijny i polityczny. Lewici, którzy uszli z życiem po zburzeniu Silo i osiedlili się w różnych punktach kraju, nie omieszkali zapewne szczepić w sercach przywiązania do tradycyj ojczystych. Może też odesłanie arki przymierza przez Filistynów wywarło głębokie wrażenie i wznieciło nadzieję lepszych czasów. Coraz większe koła ludu tęskniły do Boga Izraela. Zbywało tylko na wielkim mężu, pełnym ducha i zapału, któryby zaślepionemu narodowi mógł wskazać drogę prawdziwą, aby przygnębionych niedolą poprowadzić ku poprawie. I oto w sam czas pojawił się mąż taki, co zwrot wywołał w dziejach izraelskich.

Samuel, syn Elkany, był owym mężem doskonałym, który spoił na nowo rozpadłe oddawna wiązania społeczeństwa izraelskiego i zapobiegł ostatecznemu upadkowi i skażeniu wewnętrznemu. Wielkość jego w tem już się przejawia, że wyznaczają mu drugie miejsce po Mojżeszu, nietylko w następstwie kolejnem, lecz i ze względu na powagę jego jako proroka. Była to osobistość wzniosła, charakter niezłomny, surowy dla siebie i dla innych. Żyjąc wśród ludu i obcując z nim ciągle, przewyższał swych współczesnych pobożnością, szlachetnym sposobem myślenia i zaparciem się siebie samego. Więcej jeszcze, niż temi cechami umysłu i serca, górował darem proro-

czym. Wzrokiem ducha przebijał mroki, przesłaniające przyszłość, zwiastował swe widzenia, a co przepowiadał, to się iściło.

Samuel był potomkiem jednej z najbardziej poważanych rodzin lewickich, które siedzibę swą miały w Rama, na rubieży pokoleń Efraim i Benjamin. Po matce swej, Chanie (Anna), której żarliwa, lecz cicha modlitwa, wzorem się stała po wszystkie czasy, odziedziczył serce miękkie i tkliwe. Wcześnie powierzyła go opiece Elego. W ten sposób Samuel został Lewitą służebnym przybytku w Silo. Codzień otwierał jego wrota, pomagał przy służbie ofiarnej i nawet noce spędzał w świętym namiocie. Za młodu już, choć sam o tem nie wiedział, obudził się w nim duch proroczy. We śnie głębokim usłyszał z wnętrza przybytku, gdy stała tam jeszcze arka przymierza, głos wzywający go po imieniu. Było to pierwsze widzenie prorocze Samuela. Wkrótce potem spadły klęski, porażka wojska izraelskiego przez Filistynów, porwanie arki przymierza, śmierć Elego i obu jego synów. Służba Samuela skończyła się ze zburzeniem świątyni, powrócił więc do domu rodzicielskiego w Rama żałośny i znękany.

W kołach Lewitów, wśród których wzrósł, panowało przekonanie, że pogrom był skutkiem odstępstwa od Boga Izraela. „Niemasz już przybytku,“ znaczyło to tyleż, co gdyby Bóg lud swój odtrącił. Z czasem jednakże pogodził się zapewne Samuel z nieodwrotnym wyrokiem przeznaczenia i inne idee umysł jego zajęły. Niema przybytku, niema ofiar! Czyż ofiara jest tak nieodzownym warunkiem kultu prawdziwego Boga i życia świątobliwego? Dojrzała w nim myśl, którą później przy sposobności głosił, że ofiary podrzędne tylko mają znaczenie, że tukiem baranów nie można przypodobać się Bogu. Na czemże więc ma polegać służba boża? Na ślepem przestrzeganiu przykazań boskich. A jakaż jest wo-

la boża? Samuel podczas pobytu swego w Silo zapoznał się nietylko z treścią tablic kamiennych, przechowywanych w arce przymierza, lecz i z księgą praw, pochodzącą od Mojżesza, i przejął się jej duchem. Święte te księgi przepisywały prawo i sprawiedliwość, łagodność i równość Izraelitów, bez różnic kastowych, bez przewagi jednego stanu nad drugim, a zalecały je jako przykazania boskie; natomiast nie mówiły nic, albo niewiele o ofiarach. Samuel, który o wiele stuleci bliższym był początków narodu izraelskiego i nauki izraelskiej niż późniejsi prorocy, żywił równie jak oni przeświadczenie, że Bóg nie po to dokonał oswobodzenia Izraelitów, aby Jemu, nie zaś innemu składali ofiary, lecz aby Jego ustawy stwierdzali uczynkiem. Treść tych ksiąg czyli Zakon, oto wola boża, której Izraelici poddać się mają posłusznie. Zakon ten nosząc w sercu, Samuel stał się jego narzędziem, aby go wpoić w lud jako modłę żywota.

Drogą tego rozmyślania Samuel znalazł cel swego życia: nauczanie i wychowanie ludu w duchu Zakonu i odzwyczajenie go od nieprawości pogańskich i przewrotnych poglądów, które z biegiem stuleci w krew mu przeszły. Środkiem, jakim się posługiwał, aby cel ten doniosły osiągnąć, było żywe słowo prorocze. Samuel posiadał ową przekonywającą wymowę, która wywiera wpływ na umysły. Sam przejęty swemi widzeniami proroczemi, dzielił się niemi z słuchaczami, zrazu zapewne w mieście rodzinnem, Rama.

Myśli swoje, które zwiastowały rzeczy nadzwyczajne, przekraczające ciasny widnokrąg umysłowy, wynurzał, zdaje się, w mowie wiązanej, wierszem uczłonkowanym, w obrazach i przypowieściach poetycznych. Jeszcze przed powrotem do domu ojcowskiego poprzedziła Samuela sława, że w Silo kilkakrotnie dostąpił objawień, które się też ziściły. Niebawem rozeszła się wieść w okolicach Ramy, coraz to szersze zataczając kręgi, że po-

wstał prorok w Izraelu, że duch boży, co na Mojżeszu spoczywał, spoczął teraz na synu Elkany. Fakt, że Bóg zbudził drugiego Mojżesza, wzniecił nadzieję, iż świta zaranie lepszych czasów.—Samuel miał przedewszystkiem na oku odzwyczajenie ludu od czci bałwochwalczej Baala i Astarty i wyleczenie go z wiary w wyrocznie.

Skłonność pewnej części narodu do wyrzeczenia się dotychczasowych błędów i do uznania Boga Izraela ułatwiła Samuelowi zadanie. Porywające jego mowy, które ogniskowały się w idei: że bożki pogańskie to marne złudzenia, co ani pomódz, ani zbawić nie mogą, że głupstwem i występkiem jest radzić się zwodniczych wyroczni i dawać wiarę kuglarstwu wróżbitów, wreszcie, że Bóg nigdy nie opuści swego ludu,—mowy te coraz potężniejszy oddźwięk znajdowały w sercach tych, co ich słuchali, i tych, co się o nich dowiadywali. Samuel nie czekał, aż lud przyjdzie do niego, aby przemówień jego słuchać, lecz sam chodził między tłumy. Objeżdżał kraj, zwoływał zebrania ludowe i obwieszczał rzeszom, czem go natchnął duch boży. A lud krzepił się jego proroctwami, budził się z odurzenia, w które wprawiła go niedola, nabierał ufności w swego Boga i we własne siły i wchodził na drogę poprawy. Albowiem znalazł męża opatrznościowego, którego przewodnictwu mógł się powierzyć czasu klęski i ucisku.

Ale Samuel nie stał samotnie, w przeciwnym bowiem razie nie zdołałby dokonać zmian tak pomyślnych. Miał owszem grono pomocników, na których mógł polegać. Lewici, niegdyś w Silo zamieszkali, uciekli po zburzeniu tego miasta i świątyni, a z ucieczką stracili cel życia. Nawykli krzątać się koło ołtarza i pełnić służbę w przybytku; inna działalność była im obcą. Co mieli począć w rozproszeniu? Nowego ogniska kultu dotąd nie założono, aby tam mogli zwrócić swe kroki. Więc też ten i ów garnął się do Samuela, którego znaczenie po-

znał w Silo, a on umiał naginać ich do swych celów. Powoli zebrało się ich tylu, że utworzyli rodzaj bractwa.

Jeszcze inna okoliczność przyczyniła się podówczas do dodania otuchy zdrętwiałemu ludowi. Przez cały okres sędziowski pokolenie Jehuda uchylało się od wszelkiego udziału w sprawach publicznych. Na ustroniu wygonów i puszcz swej dziedziny, wiodąc życie koczownicze hodowców trzód, przestało niemal istnieć dla reszty pokoleń. Jebusyci, którzy zajmowali okolicę między górami Efraim i Jehuda, tworzyli mur, co pokolenie to od braci na północ zamieszkałych oddzielał. Dopiero częste napady Filistynów na ziemię izraelską, zda się, poruszyły to pokolenie i wypłoszyły z odosobnienia.

Jakiekolwiek zresztą okoliczności stan ten wywołały, to pewna, że za czasów Samuela pokolenie Jehuda wraz z swoim lennikiem, Szymonem, przyłączyło się do rzeszy. Jakób i Izrael, rozdzieleni przez wiele wieków od chwili wnijścia do kraju, teraz znów się zjednoczyli. Ze wstąpieniem Jehudy do dziejów przybył świeży, silniejszy, odmładzający niejako żywioł. Pokolenie to zastało w prowincjach, zajętych przez siebie, mało miast i brak rozwoju życia miejskiego. Jedynem znaczniejszem miastem był Hebron; zresztą istniały tylko zagrody, zamieszkane przez hodowców bydła. Zniewieściałość i zwyrodnienie, wychodzące z Fenicji, nie nawiedziły Judejczyków i Simeonitów. Kult Baala i Astarty z jego wszeteczeństwem i zmysłowością nie znalazł do nich wstępu. Pozostali przeważnie tem, czem byli, gdy wchodzili do kraju, prostymi pasterzami, co wolność swą kochali i bronili, lecz nie ubiegali się za sławą wojenną i zaszczytami. Proste obyczaje czasów patryarchalnych zachowały się zapewne dłużej w pokoleniu Jehuda.

Wszelako bez imponującej i dzielnej osobistości Samuela nie wzmógłby się naród, nie spotężniałaby wiara. Syn Elkany, acz nie był wojownikiem, uchodził za mo-

cny filar, na którym opierały się oboje. Poparty przez zakon prorocki Lewitów, wiele lat rozwijał swą działalność z gorliwością i energją. Lud patrzał nań jako na przewodnika, prowadził go też do zwycięstw, porywając natchnionym zapałem. Zwycięstwo w pobliżu miejsca, gdzie przed laty Filistynowie w pień wycięli zastępy izraelskie i zabrali arkę przymierza, miało pierwszorzędne znaczenie. Izraelici podnieśli się, Filistynowie upadli na duchu.

Lat z dziesiątek może cieszył się znów naród błogim pokojem, a Samuel nie szczędził starań, aby szczęście nie zepsuło znów tego, co zrządziła niedola. Dążył zapewne duszą i ciałem do utrzymania związku pokoleń, od którego zależała ich siła. Co rok zwoływał starszyznę narodu, wyłuszczał jej obowiązki, przywodził na pamięć dni klęski, które naród ściągnął na siebie odszczepieństwem, obcowaniem z bałwochwalcami i naśladowaniem ich zdrożności—i ostrzegał ją przed recydywą.

Punktem środkowym jego działalności była Micpa w pokoleniu Benjamin, która też została ogniskiem kultu. Zawdzięczamy mu nowy element w izraelskiej służbie bożej: psalm pochwalny ze śpiewem. Sam też Samuel, protoplasta korachickich psalmistów, co się później wsławili, niewątpliwie pierwszy tworzył pieśni pochwalne dla liturgji. Wnuk jego, Heman, uchodził w następnem pokoleniu, obok Asafa i Jedutuna, za psalmistę i muzyka. Nadobne bliźniaczki, co się wzajem dopełniają, poezję i muzykę, zaprzągł Samuel do służby bożej, która dzięki temu zyskała na uroczystej podniosłości i wywierała trwały i uszlachetniający wpływ na umysły.

Przez wprowadzenie chórów lewickich i pieśni pochwalnych obrzędy ofiarne same przez się straciły na swej pierwotnej doniosłości. Kapłanów, synów Arona, zepchnął Samuel na stanowisko niezbyt poważane, w cień ich poniekąd usunął. Po zburzeniu Silo jeden z wnuków

Elego, Achitub, ocalił się ucieczką do mieściny Nob (w pobliżu Jerozolimy). Zabrał też z sobą szaty kapłańskie. Wszyscy członkowie domu Arona zebrali się później w Nob, które dzięki temu stało się miastem kapłańskiem. Ale Samuel nie uznawał nowego siedliska kultu, miał bowiem na widoku tylko środek i południe kraju. W miarę jednak jak w lata zachodził, nie mógł już rozwijać tej sprężystej energji, co w młodości i dojrzałym wieku męzkim. Synowie jego nie cieszyli się względami narodu, zarzucano im, że przyjmowaniem datków nadużywają swego stanowiska. Innych energicznych mężów w gronie, które otaczało Samuela, nie było. Węzły, zespalające naród, rozprzęgały się zwolna, gdyż prorok nie mógł już teraz tak często stykać się ze starszyzną. Nadomiar odwieczni nieprzyjaciele ludu izraelskiego podówczas właśnie wzrośli wielce w potęgę. Filistynowie za Samuela wprowadzili władzę królewską, albo też narzucił ją im władca jednej z pentapolji. Ambicja nowego króla filistyńskiego łaknęła rozległych podbojów. Zdaje się, że nawet z Fenicjanami prowadził wojny szczęśliwe i zburzył miasto Sydon. Sydończycy schronili się na okręty i na skale, wrzynającej się głęboko w morze, zbudowali nowe miasto, któremu dali nazwę Tyr, miasto skaliste. Tak więc Filistynowie zostali panami całego pomorza od Gazy do Sydonu. Teraz spojrzenia swe zwrócili w głąb lądu i sądzili, że wzbiwszy się w moc, z łatwością zdołają zawładnąć całym krajem Izraela. Znowu więc wszczęły się krwawe walki Filistynów z Izraelitami.

A za Jordanem powstali też znowu upokorzeni niegdyś przez Jeftę Ammonici pod wodzą wojowniczego króla Nachasza, który rozpuścił zagony w siedziby pokoleń Gad i połowy Manasse. Nie będąc w możności same stawić pola najeźdźcom, wyprawiły posłów do Samuela z prośbą o pomoc skuteczną i wyrzekły słowo,

które do żywego ubodło proroka, ale było wyrazem ogólnego nastroju. Żądały, aby na czele rzeszy izraelskiej stanął król, któryby mocą swej władzy mógł przynaglić wszystkie części narodu do zgodnego i energicznego działania, prowadzić do boju i odnosić zwycięstwa. Król w Izraelu! Na dźwięk tego wyrazu Samuel przeraził się niemal. Maż cały naród zależeć od kaprysu i samowoli jednostki! Równość wszystkich członków narodu przed Bogiem i prawem, swobodna niezawisłość każdej grupy rodzin pod patryarchalną władzą naczelnika rodu weszła tak dalece w nałóg, że zmiana tego stanu przechodziła pojęcie i zdawała się kryć w sobie zapowiedź strasznego nieszczęścia.

Prorok Samuel, przejrzawszy odrazu całą brzemienną w klęski doniosłość tego żądania, zerwał się jakby ze snu dręczącego. W dobitnych słowach wyłuszczył starszyźnie nieuniknione skutki władzy królewskiej, dowodził, że dobrowolne poddanie się narodu pod panowanie jednego człowieka w końcu doprowadzić musi do haniebnej niewoli. Lecz nie zważając na usilne przestrogi Samuela, starsi obstawali przy tem, że król tylko wybawić ich może z niedoli, a pokolenia przedjordańskie w utrapieniu swem żądania te natarczywie popierały. Filistynowie, nie napotykając w częstych najazdach na żaden opór lub na słaby, przeprowadzali coraz dosadniej i bezwzględniej swoje zwierzchnictwo i ujarzmienie Izraelitów. Nie poprzestali już teraz na oderwaniu miast pogranicznych, lecz rozciągnęli swe panowanie na całą szerokość kraju, niemal do Jordanu. W niektórych miastach ustanowili poborców dla ściągania podatków w bydle i zbożu. W tym stanie rzeczy coraz głośniej i natarczywiej odzywały się życzenia obioru króla. Nawet Samuel, pomimo iż zrazu opierał się bardzo tym zachceniom, przychylić się musiał wreszcie do powszechnego żądania. Duch wieszczy nakazał mu uledz jednomyślnej woli

przedstawicieli narodu, wybrać króla i namaścić go. Nowa forma rządu, która na odmienne miała pchnąć tory naród izraelski, stała się koniecznością. Odtrącał ją przenikliwy rozum Samuela, lecz duch proroczy, co w nim gościł, przystać na nią musiał. W boleściach przyszło na świat królestwo izraelskie, nie powiła go miłość, przymus był mu ojcem. Nie mogło przeto znaleźć sobie odpowiedniego miejsca w niejednolitym gmachu społeczności izraelskiej, a umysły podnioślejsze patrzyły nań zawsze z nieufnością jako na żywioł szkodliwy.

Król, którego wyniosły gwałtowna natarczywość narodu i niechętne przyzwolenie proroka, osobą swą stwierdził w wyższym jeszcze stopniu, niż przytoczone przez Samuela dowody, że władza królewska nie zdoła sprowadzić błogosławieństwa, jakiego się po niej spodziewano. Człowieka prostego, pełnego zalet, w którym do chwili wstąpienia na tron nie było cienia żądzy zaszczytów i panowania, przywiodła do tego, że nie uląkł się nawet okrucieństwa i zbrodni, byle tylko zachować koronę. Przezorne kierownictwo proroka usiłowało zapobiedz, aby król nie ziścił odstraszającego obrazu jednowładztwa, jaki Samuel tak jaskrawo odmalował, aby w pysze swej nie deptał praw, nie przekraczał granic swej władzy i aby zawsze pamiętał o swojem pochodzeniu. Nie z butnego pokolenia Efraim wybrał go Samuel, lecz z pośród najpodrzędniejszego, Benjamina. Rodzina jego należała do najniższych, ojciec jego, Kisz, niczem się szczególnem nie odznaczał; był pospolitym kmieciem, a na jego pochwałę nic więcej później wyrzec się nie dało, jeno że był zacnym człowiekiem. Saula, który miał być obrany, cechowała iście chłopska wstydliwość i obawa ludzi. Okoliczność ta oraz inne przymioty Saula zdawały się być pewną rękojmią, że do przyszłego króla Izraela podszepty pychy nie znajdą przystępu. Wolno było przypuszczać, że prorokowi, co

go z nizin społecznych na najwyższe wyniósł dostojeństwo, będzie uległy, a słowa jego przyjmować będzie, jakby głos własnego sumienia.

Na sejm elekcyjny zjechał też Saul wraz z rodziną Kisz. Przed przystąpieniem do obioru przypomniał prorok jeszcze raz zgromadzonym, że wprawdzie pragnąc podlegać królowi, sprzeniewierzają się Bogu, niemniej atoli duch proroczy polecił mu uczynić zadość ich życzeniu. Wniósł, aby los rozstrzygnął, a ten padł na Saula. Ale na razie niepodobna go było znaleźć, ukrył się bowiem. Kiedy odszukano go wreszcie i przedstawiono zgromadzeniu, wszystkich uderzyła jego postać. Saul był wzrostu olbrzymiego, wszystkich obecnych przewyższał o głowę, kształtny był i piękny, a silne wzruszenie zapewne też zjednało mu serca. „Patrzcie," rzekł Samuel, „oto mąż, którego Bóg obrał na króla, niemasz mu równego w całym narodzie." Większa część obecnych, porwana uroczystością aktu i postacią Saula, zawołała jednogłośnie: „Niech żyje król!" Poczem prorok namaścił nowego króla poświęconym olejem, co go uczynić miało nietykalnym. Uradowali się starsi, że nareszcie ziściły się ich serdeczne pragnienia, że król stanął na czele Izraela. Obiecywali sobie ztąd przyszłość szczęśliwą. Przy tej sposobności Samuel wyłuszczył zgromadzonym przywileje królewskie. Była to chwila stanowcza w życiu narodu izraelskiego; ten obiór króla zadecydował o całej jego przyszłości. Lecz radosny i uroczysty nastrój zamąciła nuta fałszywa. Kilku niezadowolonych,— byli to prawdopodobnie Efraimici, którzy spodziewali się zapewne, że król wybrany będzie z ich łona,—głośno wynurzyło swój zawód: „Alboż ten nas wybawi?" Podczas gdy wszyscy inni naczelnicy zgodnie z powszechnym zwyczajem składali obranemu królowi dary hołdownicze, a niektórzy z nich, odważnego serca, towarzyszyli mu do Gibea, aby dzielić z nim trudy wyprawy

przeciw wrogom Izraela, malkontenci trzymali się odeń zdala i nie chcieli go uznać.

Męztwo Saula wzmogło się chyba znacznie od czasu elekcji, a może też dzięki niespodzianemu wyniesieniu powziął niezachwiane przekonanie, że Bóg krokami jego kieruje, skoro odważył się bodaj pomyśleć o wystąpieniu przeciw potężnemu nieprzyjacielowi i o uporządkowaniu skołatanego państwa. Gdy obejmował rządy, położenie narodu było nad wyraz smutne i przygnębiające, gorsze może jeszcze niż za czasów sędziowskich. Zwycięzcy Filistynowie odebrali wszystkim bez wyjątku oręż: łuki, strzały i miecze, nie pozostawili też w kraju płatnerzy, którzyby nową broń sporządzić mogli. Jedynie nowoobrany król posiadał miecz, ów symbol władzy królewskiej u wszystkich narodów i po wszystkie czasy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nawet elekcja jego odbyła się w takiej tajemnicy, że do Filistynów wieść o niej dojść nie mogła. Poborcy filistyńscy wysysali kraj do ostatniej kropli, mieli też polecenie, aby wszelkie zakusy rokoszu w zarodku tłumili. Tak dalece upokorzeni byli Izraelici, że część ich musiała wyruszyć z Filistynami, aby dopomagać im do ujarzmienia własnych braci. Sami nieprzyjaciele traktowali ich z pogardą. Cud tylko mógł zrządzić zbawienie, a cud ten zdziałali Saul, syn jego i krewni.

Najstarszy syn Saula, Jonatan, godniejszy byłby jeszcze tronu od ojca. Skromny, bez cienia samolubstwa, odważny aż do pogardy śmierci, łączył z tymi przymiotami jednającą umysły uprzejmość, ciepłe, wierne serce dla przyjaźni; zbyt miękkim był raczej i powolnym. Ta zaleta byłaby niewątpliwie wielkim błędem w monarsze, który bez pewnej stanowczości i surowości obejść się nie może. Z natury szczery, wróg wszelkich wybiegów, zdanie swe wypowiadał otwarcie, nie dbając, że ściągnie na siebie niechęć, że narazić może swe stanowisko, a nawet i życie. Poparty przez tego syna, przez krewnego swego, Abnera, rębacza nieustraszonego, i innych wiernych z pokolenia Benjamin, które dumne było, że przezeń nabrało znaczenia, podjął Saul nierówną walkę z Filistynami.

Taniec rozpoczął Jonatan; napadł znienacka na jednego z wójtów filistyńskich i wyciął w pień załogę. Było to pierwsze wypowiedzenie wojny, a nastąpiło na rozkaz Saula lub przynajmniej zyskało jego aprobatę. Następnie rozkazał król dźwiękiem rogu obwieścić w całym kraju Benjamin, że rozpoczęły się krwawe zapasy z Filistynami. Wielu wieść tę przyjmowało z radością, inni z przerażeniem. Mężni zrzeszali się w hufce i spieszyli pod rozkazy króla, aby wraz z nim zmyć hańbę z Izraela, lub życie położyć. Tchórzliwi uciekali za Jordan lub kryli się po jaskiniach, rozpadlinach skał i podziemiach. Z trwogą oczekiwano wyniku walki. Punktem zgromadzenia Izraelitów był Gilgal, miasto najbardziej odległe od kraju Filistynów. Miejsce to wybrał prorok Samuel i polecił Saulowi, aby sam też udał się do Gilgal i tam oczekiwał przybycia jego i dalszych rozporządzeń.

Tymczasem Filistynowie uzbrajali się do wojny na śmierć i życie z Izraelem. Wieść o napadzie Jonatana na jeden z ich posterunków rozjątrzyła ich niepomału: bardziej byli tem zdumieni niż przerażeni. Jakże mogli tchórzliwi a nadomiar pozbawieni broni Izraelici aż tak się rozzuchwalić, że napadają na Filistynów, swych panów! Liczne zastępy piechoty, zasilone konnicą, wyruszyły przez doliny południowych stoków gór Efraim, przez całą szerokość kraju do Michmas. Była to chwila fatalna dla narodu izraelskiego.

Podczas gdy Filistynowie posuwali się zwolna, Saul z mężnymi swego pokolenia, którzy się dokoła niego skupili w Gilgal, wyglądał niecierpliwie przybycia Sa-

muela, aby mu udzielił natchnionych wskazówek i wojowników izraelskich zagrzał do boju. Ale dzień mijał po dniu, a Samuel się nie pokazywał. Każda godzina w bezczynności strawiona zdawała się udaremniać szczęśliwy obrót sprawy. Już część wojsk, otaczających króla, umknęła chyłkiem, dopatrując się niepomyślnej wróżby w nieobecności Samuela. Nie mogąc już dłużej wytrzymać, postanowił Saul działać na własną rękę. Zgodnie z odwiecznym zwyczajem rozpoczął od ofiary, aby wyjednać u Bóstwa pomyślny koniec walki. W chwili właśnie gdy stał u ołtarza, ukazał się nagle Samuel i ostro zgromił króla, że dał się porwać niecierpliwości, poczem odstąpił go. Był to ciężki cios dla Saula, gdyż w niebezpiecznem tem przedsięwzięciu wielką pokładał nadzieję w pomocy proroka. Po oddaleniu się Samuela z Gilgal, nie miał i Saul powodu pozostawać tam dłużej. Przegląd wojska wykazał nie więcej niż 600 żołnierza. Nie dziw więc, że Saul i Jonatan upadli na duchu na widok tej szczupłej garstki, która nadomiar pozbawiona była oręża, a stanąć miała do walki z dobrze uzbrojonym nieprzyjacielem. Smutne to były miodowe miesiące młodej monarchji! Najbardziej bolało Saula, że przez odstrychnienie się Samuela pozbawiony został narzędzia, któreby w imieniu Boga udzielać mogło wskazówek jemu i ludowi.

I tym razem Jonatan wywołał zwrót pomyślny. Geba, gdzie Saul z hufcami swoimi stanął obozem, odległa jest zaledwie o godzinę drogi od Michmas, w którem rozłożyli się Filistynowie. Między niemi wije się wązka, niezdatna dla wojska dolina, ujęta w ramy stromych, prostopadłych niemal ścian skalnych i urwisk, które ku wschodowi zwężają ją w parów, dziesięć zaledwie kroków szeroki. Manowcami tylko mogli się spotkać z sobą Izraelici i Filistynowie. Otóż dnia pewnego postanowił Jonatan wraz z towarzyszącym mu giermkiem

wdrapać się na rękach i nogach w najwęższem właśnie miejscu parowu na stromą, śpiczastą skałę od strony Michmas. Jeden ruch fałszywy mógłby ich strącić w przepaść i śmierć spowodować. Szczęśliwie jednak dotarli do szczytu. Gdy spostrzegli ich Filistynowie, zdziwili się niepomału, że po tej stromej skale udało się Izraelitom znaleźć drogę do ich obozu. Sądząc, że wślad za nimi wdziera się więcej wojowników izraelskich, zawołali szyderczo: „Patrzcie, Hebrajczycy wypełzają z nor, w których się ukryli! Wspnijcie się wyżej, radzibyśmy zabrali z wami znajomość!“ Jonatan umówił się zawczasu z swym giermkiem, że gdy usłyszą podobne wezwanie, pójdą dalej naprzód i odważnie natrą na wroga. Wkrótce ci Filistynowie, co pierwsi zoczyli śmiałków, drwić przestali, gdyż Jonatan i jego towarzysz, jako Benjaminici, nader zręczni procarze, miotali głazy na nieprzyjaciela. Filistynowie, przerażeni niespodzianą napaścią od strony, która zgoła niedostępną im się zdawała, w mniemaniu, że mają do czynienia z nadziemskiemi istotami, stropili się, jęli razić się wzajemnie lub opuszczać szeregi w dzikim popłochu. Zaledwie Saul z wysokiej strażnicy zauważył coraz bardziej zakrawające na ucieczkę ruchy nieprzyjaciela, podążył na plac boju z swymi sześciuset junakami i dokonał porażki Filistynów. Natychmiast ci Izraelici, których wróg zmusił do walki bratobójczej, zwrócili oręż przeciw ciemiężycielowi. A w każdem mieście wśród gór Efraim, przez które uciekali Filistynowie, zastępowali im drogę mieszkańcy i po jednemu razili. Z każdą chwilą rosnące zastępy Saula, jakkolwiek zmęczone i wyczerpane, ścigały wroga przez góry i doliny.

Tymczasem Ammonici coraz dotkliwiej dawali się we znaki zajordańskim pokoleniom. Król ich Nachasz, obległ warowne miasto Jabesz-Gilead. Mieszkańcy nie mogli stawić długiego oporu i już zaczęli układać się

o poddanie miasta z Nachaszem, który Gileadytom z Jabesz postawił twardy, nieludzki warunek. Cóż mieli począć? Uprosili sobie czas do namysłu, z którego skorzystali, aby wyprawić posłów do swych współplemieńników.

Gdy Saul wracał pewnego dnia z pola za jarzmem wołów, zastał mieszkańców w wielkiem wzburzeniu i we łzach. Kiedy zdziwiony zapytał o powód, gońcy z Jabesz-Gilead opowiedzieli mu, co czeka mieszkańców tego miasta, jeżeli rychła pomoc nie nadejdzie. Rozjątrzony bezczelnym warunkiem króla ammonickiego i zniewagą wyrządzoną całemu Izraelowi, Saul niezwłocznie postanowił dać odsiecz Gileadytom z Jabesz. Po raz pierwszy zrobił użytek z władzy królewskiej. Powołał całego Izraela do uczestnictwa w pochodzie przeciw Ammonitom. Samuel ze swej strony poparł to wezwanie i oświadczył, że sam wyprawie towarzyszyć będzie.

Rozprzężenie okresu sędziów zażegnane zostało, zapanowała silna wola. Liczny poczet wojowników izraelskich przeprawił się przez Jordan i napadł z trzech stron na Ammonitów, którzy rozpierzchli się w strasznym nieładzie. Miasto Jabesz ocalało i za prędką a skuteczną pomoc zachowało szczerą wdzięczność dla Saula i jego domu. Po powrocie z wycieczki za Jordan witano Saula z powodu powtórnego zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi z entuzjastyczną radością. Samuel, który był świadkiem tego radosnego upojenia, uważał za właściwe wystąpić z upomnieniem króla i narodu, aby tryumf ich nie przerodził się w pychę i aby na władzę królewską zapatrywali się nie jako na cel, lecz jako na środek. Zwołał przeto wielkie zgromadzenie, na którem zwrócił uwagę króla i narodu, że powinni dopełniać ciążących na nich obowiązków.

Zgromadzenie w Gilgal ściągnęło liczne tłumy. Samuel powtórnie pomazał Saula, naród raz jeszcze hołd

mu złożył (około 1067) i przyniesiono ofiary zapokojne. Wśród tego upojenia Samuel wystąpił z mową, która świadczy o wzniosłości jego umysłu i o wielkości proroczej.

Dwa walne zwycięstwa Saula i wielkie zgromadzenie w Gilgal, które przyniosło mu hołd większej części pokoleń, utrwaliły jego stanowisko i monarchję w ogóle. Pomimo że Samuel chwalił i wysławiał czasy sędziów, naród czuł przecież, że król lepiej potrafi go bronić, niż to czynili owi sędziowie-bohaterzy. Chętnie poświęcił wolność republikańską za cenę zjednoczenia i płynącej ztąd siły.

Ustrój monarchiczny wywołał, rzecz prosta, zmiany rozliczne. Saul utworzył przedewszystkiem hufiec wyborowy z walecznych mężów i młodzieńców, rodzaj stałego wojska, którego wodzami mianował swego brata stryjecznego Abnera. Potrzebował też król osobnej klasy urzędników: tysiączników i setników, nadto radców i przyjaciół, co do stołu jego zasiadali. Odrębny rodzaj służby stanowili laufry lub drabanci, posłuszni wykonawcy rozkazów królewskich, zarazem policjanci i kaci, zbrojne pachołki. Oni i zwierzchnik ich do króla tylko udawali się po rozkazy.

Dzięki pobytowi stałego wojska i urzędników, Gibea, dotąd małe miasteczko, a może wioska tylko, wyniesioną została do godności stolicy. Z początku król okazywał wielką uległość dla proroka. Gdy mu Samuel w imieniu Boga polecił podjąć wojnę eksterminacyjną z Amalekitami, Saul skwapliwie zgodził się na to i nakazał pospolite ruszenie. Amalekici byli od wieków zaciekłymi wrogami ludu izraelskiego, w pochodzie przez pustynię i w chwili wkroczenia do kraju, dopuszczali się okrucieństw względem Izraelitów. I później łączył się nieraz Amalek z nieprzyjaciółmi Izraela, aby go osłabić. Król ich Agag wyrządził, zdaje się, za czasów Saula

wiele krzywd pokoleniu Jehuda. Uchodził za dzielnego wojownika i siał na okół przerażenie. Amalekici cieszyli się sławą wielkiej waleczności. Nie lada to było zadanie przedsięwziąć przeciw nim wyprawę. Mimo to Saul nie wahał się ani chwili. Walkę prowadził z wielką pono zręcznością i męstwem i zwabił nieprzyjaciela w zasadzkę, dzięki czemu odniósł walne zwycięstwo. Zdobył stolicę, zabił mężów, niewiasty i dzieci i wziął w niewolę groźnego króla. Bogate łupy wpadły w ręce izraelskim wojownikom, wszakże skarby te z rozkazu Samuela nie miały być obrócone na użytek, lecz uledz zniszczeniu, aby zatarty został w pamięci wszelki ślad Amaleka. Ale wojownicy nie chcieli zrzec się bogatej zdobyczy, a Saul, zkądinąd bardzo surowy, patrzał na to przez palce i w ten sposób przekroczył rozkaz proroka.

Z tego zwycięstwa nad groźnymi Amalekitami Saul dumny był niezmiernie. Króla Agaga, co niegdyś postrach taki szerzył, prowadził w kajdanach jako żywą oznakę zwycięstwa. Upojonego powodzeniem oręża odstąpiła dotychczasowa pokora. Wracając do domu, wzniósł w oazie Karmel pomnik tego zwycięstwa. Tymczasem Samuel miał widzenie prorocze, że król polecenia jego nie wykonał ściśle. Powinien był wyjść na spotkanie odurzonego zwycięstwem Saula, lecz przychodziło mu to z trudnością. Całą noc pasował się z sobą i modlił. Wreszcie postanowił wyjechać naprzeciw Saulowi, gdy atoli w drodze doszła go wieść, że król do tego stopnia dał się opanować pysze, iż kazał sobie pomnik postawić, zawrócił i udał się do Gilgal. Saul, dowiedziawszy się o tem, podążył za nim. Starsi Benjamina i sąsiednich pokoleń stawili się również, aby powitać zwycięzkiego króla. Wypadło im wszakże być poniekąd świadkami rozterki, która zapowiadała nastanie złych czasów.

Jak gdyby nic nie zaszło, stanął król przed prorokiem ze słowami: „Wykonałem rozkazy Boga.“ Na

to Samuel ofuknął go ostro: „Cóż więc znaczy ten bek trzody, który słyszę?“ „Lud to,“ odparł Saul, „oszczędził najlepsze stada baranów i wołów, aby je w Gilgal ofiarować na ołtarzu.“ Na tę wymówkę prorok nie mógł już powściągnąć gniewu. Odpowiedział skrzydlatemi słowy:

„Azaliż Wiekuisty ma takie upodobanie
W całopaleniach i ofiarach, jak w posłuszeństwie?
Lepszeć posłuszeństwo, niźli ofiary
I uległość, niźli tuk baranów.
Albowiem grzech wróżbiarstwa wyrasta z nieposłuszeństwa,
A cześć bałwanów i Terafim z krnąbrności.“

„Za to żeś pogardził słowem Boga, Bóg cię odtrącił, abyś nie był królem Izraela.“ Saul upokorzony temi obraźliwemi słowy, chcąc zatrzymać Samuela, uczepił się szat jego tak mocno, że je podarł. Na to zauważył Samuel: „Oto znak! Bóg zdarł z ciebie władzę królewską i odda ją godniejszemu, choćby nawet przez to Izrael rozdartym miał zostać.“ Jeszcze raz błagał Saul proroka: „Uczcij mnie przynajmniej przed starszymi mego pokolenia i zawróć.“ Wówczas Samuel namyślił się i towarzyszył mu do ołtarza, gdzie król upokorzył się przed Bogiem. Następnie rozkazał prorok przyprowadzić okutego w kajdany króla Agaga. Tchórzliwie zawodził król Amalekitów: „O jak gorzką, gorzką jest śmierć.“ Na te lamenty odparł Samuel:

„Jak miecz twój pozbawił niewiasty ich dzieci,
Tak twa matka pozbawiona będzie wojownika.“

Rzekłszy to, rozkazał go zabić.

Od zajścia w Gilgal król i prorok unikali się wzajemnie. Zwycięstwo, które Saul odniósł nad Amalekiem, zamieniło się dlań w porażkę; duma jego poskromioną została. Zapowiedź, że Bóg go opuścił, rzuciła cień posępny na jego duszę. Melancholja, która później przerodziła się w szaleństwo, zaczątek swój miała w groźnych

słowach Samuela: „Godniejszemu odda Bóg władzę królewską nad Izraelem.“ Brzmiały one zawsze straszliwie w uszach Saula. O ile wzbraniał się przyjąć godności królewskiej, o tyle wstrętną mu była myśl wyrzeczenia się jej. Przytem czuł swoją niemoc. Cóż miał począć z surowym prorokiem? W wyprawach wojennych szukał odurzenia. Dość było nieprzyjaciół na granicach ziemi izraelskiej, z którymi można było potykać się zbrojnie. Innej jeszcze drogi chwycił się Saul, aby powagę swego dostojeństwa wrazić w umysły narodu. Wewnątrz kraju mieszkały ciągle jeszcze pośród Izraelitów rody kanaańskie i drobne plemiona, których przy podboju nie wyparto, bo niepodobna było ich wyprzeć. Uwiodły one Izraela do oddawania czci kłamliwym bożkom i do sprosności bałwochwalczych. Sądził tedy Saul, że zasłuży się dobrze narodowi i wierze izraelskiej, jeżeli wytępi lub wyruguje z kraju pogańskich sąsiadów. Stał się więc zagorzałym rzecznikiem Izraela, t. j. jął usuwać wszystko, co obce, nieizraelskie, i cudzoziemców, nieizraelitów. Do tolerowanych innoplemieńników należeli przedewszystkiem Gibeonici, którzy dobrowolnie poddali się wkraczającym Izraelitom. Nie bacząc na przysięgę, która zapewniła im wówczas tolerancję i niezależność, taką rzeź im sprawił, że niewielu tylko zdołało ujść z życiem. Obok obcych plemion kanaańskich ścigał też Saul wróżbitów i zaklinaczów, mających styczność z obrzędami bałwochwalczymi. Jeżeli Saul z jednej strony ubiegał się poniekąd o przychylność i względy narodu, a przesadnem zagorzalstwem narodowem i religijnem chciał pozyskać sławę surowego wykonawcy praw boskich, to z drugiej strony usiłował wpoić w lud korną cześć dla władzy królewskiej. Włożył na głowę złotą koronę na znak, że wysokiem stanowiskiem swem góruje nad ludem. Chciał, aby współcześni, którzy go znali jeszcze rolnikiem i skłonni byli obchodzić się z nim jak równi z równym, zapomnieli o jego przeszłości i przyzwyczaili się spoglądać na niego z uwielbieniem, jako na pomazańca Pańskiego, co nosi świętą koronę. Kto się zbliżał do króla, musiał paść przed nim twarzą. Wprowadził też ów zbytek królewski — wielożeństwo.

W nieustannych zapasach z zewnętrznymi wrogami, w żarliwości, z jaką wewnątrz kraju tępił obce żywioły, w przepychu i blasku, jakim się otoczył, zapomniał może Saul o groźnych słowach proroka, których dźwięk przenikliwy o uszy mu się obił. Lecz nim się obejrzał, słowa te jak upiór stanęły mu przed oczyma, przybrały ciało i duszę, wkradły się doń w postaci pięknego młodziana i czar nań rzuciły. Rywala, którego się obawiał, sam musiał przygarnąć i tulić, wynieść go na tron obok siebie i niejako zaprawić do współzawodnictwa. Los, co mu był zgotowany, musiał ściągnąć na siebie własnemi rękoma.

Gdy pewnego razu, po kilku utarczkach z Filistynami, przyszło do wojny poważnej i Saul wezwał pod broń liczną drużynę, stały czas jakiś naprzeciwko siebie szyki bojowe, oddzielone jeno głęboką doliną. Obie strony ociągały się z pierwszym krokiem, który mógł być brzemienny w następstwa. Wreszcie zaproponowali Filistynowie rozstrzygnięcie sprawy pojedynkiem i stawili jako zapaśnika olbrzymiego rycerza Goliata. Saul pragnął bardzo, aby i z jego wojska stawił się siłacz, przyrzekł szczodrze obdarzyć zwycięzcę, dom jego ojca uwolnić od daniny i zaciągu, a jemu samemu oddać nawet rękę jednej z swych córek. Lecz i za taką cenę nie odważył się nikt z wojska izraelskiego wystąpić przeciw Goliatowi. Natenczas, jakby przypadkiem, znalazł się na placu boju młody pasterz z poblizkiego miasta Betlehem, który rzecz tę rozstrzygnął. Ten pasterz betlehemski, tak bezpośrednio jak pośrednio, wywołał wielki przewrót nietylko w dziejach narodu izraelskiego, lecz

i w historji rodu ludzkiego. Imię Dawida, podówczas znane tylko mieszkańcom wsi czy miasteczka Betlehem, stało się rozgłośnem na całej prawie kuli ziemskiej.

Poróżniwszy się z Saulem, Samuel miał widzenie, w którem Bóg polecił mu udać się do Betlehem i tam z pośród ośmiu synów sędziwego Isai jednego obrać i pomazać na przyszłego króla Izraela na miejsce Saula. Udał się do Betlehem potajemnie, gdyż obawiał się knowań Saula. Lecz tylko najmłodszy, o oku pięknem i wabnem, o miłem obliczu i nadobnej postaci, wydał mu się prawdziwym wybrańcem bożym; był to Dawid. W obecności braci jego namaścił go Samuel na króla izraelskiego. Ten akt prosty, lecz niezmiernie doniosły, odbył się, rzecz prosta, w najściślejszem kole, zachowany w tajemnicy przez Samuela, ojca i braci Dawida.

Isai, ojciec nowego króla, nie pochodził bynajmniej z najznakomitszej rodziny judzkiej, przeciwnie, jak wszyscy mieszkańcy Betlehem, należał do jednej z najniższych. W chwili pomazania na króla Dawid był młodzieńcem; liczył mniej więcej lat ośmnaście i niewiele dotąd doświadczył, a mniej jeszcze zdziałał. Piękne pastwiska dokoła Betlehem były mu dotąd całym światem. Lecz w młodzieńcu kryły się dary, które czekały tylko podniety, by mógł tak wznieść się duchem ponad wszystkich współczesnych, jak Saul przewyższał ich zaletami ciała. Dawid miał przedewszystkiem dar do poezji i muzyki i pewnie niejedna pieśń jego rozlegała się echem po górach, gdy pasł swe trzody. Lecz nawskroś poetyczny nastrój duszy nie uczynił zeń marzyciela. — Gdy nieopodal Betlehem wybuchła walka przeciw Filistynom, nie w smak mu poszło życie pasterskie i z radością przyjął polecenie ojca, aby zaniósł wieść jakąś braciom, którzy podówczas służyli w szeregach. Przybywszy do obozu, zwierzył się nieśmiało otaczającym, że gotów byłby wstąpić w szranki z niegodziwym Filistynem, co

tak urągał wojsku Boga żywego; wkrótce też doszło do uszu króla, że pewien młodzieniec ofiaruje się do pojedynku. Ze zdumieniem, lecz i z uśmiechem niedowierzania pozwolił mu Saul iść w zapasy i dał mu własną zbroję.

Pierwszy kamień, wprawną ręką z procy rzucony, trafił zdaleka ciężko uzbrojonego, nieruchawego olbrzyma, który padł na ziemię. W mgnieniu oka rzucił się nań Dawid, wyrwał mu miecz z pochwy i uciął mu nim głowę. Filistynowie, spostrzegłszy z góry upadek swego szermierza, który za niepokonalnego uchodził, uznali się za zwyciężonych i nietylko zaniechali wojny, lecz nawet uciekli do swych miast warownych. Drużyna izraelska, porwana zwycięstwem Dawida, ścigała uciekającego wroga. Z krwawą głową w ręku stanął młody zwycięzca przed Saulem, któremu był dotąd zupełnie nieznany. Nie przemknął się królowi przez głowę ani cień podejrzenia, że ten młodzieniec, któremu niepodobna było odmówić podziwu, mógł być owym tak groźnym dlań współzawodnikiem. Radowało go tylko walne zwycięstwo. Syn jego, Jonatan, serce szczere, miękkie, ofiarne, nie zdołał się oprzeć urokowi młodego bohatera. Zapałał ku niemu miłością silniejszą nad miłość do niewiasty. Wkrótce rozbrzmiało imię Dawida po dzielnicach wszystkich pokoleń. On zaś, jak gdyby nic nie zaszło, wrócił do domu ojcowskiego, przynosząc tylko na pamiątkę swego czynu czaszkę Goliata i zbroję królewską.

Lecz niedługo w domu zabawił; przeznaczenie Saula spełniać się zaczynało, a Dawid miał być jego narzędziem. Mgła smutku, która od chwili rozterki z prorokiem duszę króla osnuła, coraz gęstszym zalegała ją mrokiem. Rozdrażnienie przeszło w zadumę, która tak się wzmogła, że niekiedy występowały objawy szaleństwa. „Zły duch nawiedził króla,“ szeptali sobie do ucha słudzy. Dźwięk strun tylko mógł go rozweselić; to też

powiernicy radzili mu ściągnąć na dwór zdolnego lutnistę i poetę i polecili mu syna Isai. Dawid przybył na dwór Saula i oczarował go swoją grą i całą swą osobą. Ile razy król wpadał w zadumę, Dawid dotknięciem lutni wnet rozpraszał chmury smutku, co duszę jego tłoczyły. Saul uległ powabom młodziana, pokochał go jak syna i uprosił wreszcie jego ojca, aby go na zawsze przy dworze zostawił. Uczynił go swym giermkiem, by mieć go ciągle przy boku i w towarzystwie jego znajdować rozrywkę. Był to pierwszy szczebel do wyniesienia Dawida. Lecz nietylko król pozostawał pod urokiem swego giermka; na całe otoczenie Saula wywierał wpływ magnetyczny, serca rwały się ku niemu. Najbardziej atoli umiłował go Jonatan, a druga córka Saula, Michal, kryła w swem sercu skłonność do Dawida.

Na dworze Saula zaprawiał się Dawid do rzemiosła wojennego i nieraz lutnię na miecz zamieniał. Że nie zbywało mu na odwadze, odznaczył się wkrótce w małych utarczkach, z których wracał zwycięzcą. Gdy pewnego razu zadał nieprzyjacielowi klęskę dotkliwą i radością napełnił ziemię Izraela, wychodziły z miast na jego spotkanie niewiasty i dziewice ze śpiewem, bębnami i zelami, wykonywały tańce i witały zwycięzcę w radosnem upojeniu: „Saul poraził tysiące, a Dawid dziesiątki tysięcy.“ Te oznaki czci, z jakiemi tak jaskrawo i entuzjastycznie przyjmowano młodego bohatera, otworzyły wreszcie Saulowi oczy. A więc ten godniejszy, którego Bóg wybierze na króla Izraela, według groźby proroka, współzawodnik, którego tak się obawiał, lecz który dotąd zjawiał mu się tylko jako mara senna, żyje, stoi mu przed oczyma przyobleczony w ciało, jest ulubieńcem ludu i samego króla, włada wszystkiemi sercami! Odkrycie to wstrząsnęło do głębi Saula. „Mnie dają tylko tysiące, jemu zaś dziesiątki tysięcy, przekładają go już nademnie, czegóż mu jeszcze trzeba, aby był królem?“ Okrzyki

radosne chórów niewieścich, ich tańce i śpiewy złowrogo brzmiały mu od tej chwili w uszach i przypominały groźne słowa proroka: „Odtrącony jesteś od Boga.“ Odtąd miłość Saula ku Dawidowi zmieniła się w nienawiść, która go przyprawiła o obłęd.

Nazajutrz już po powrocie Dawida z pochodu zwycięzkiego wpadł Saul w szał i cisnął weń oszczepem, lecz Dawid zręcznym ruchem ciosu uniknął. I w tym rzucie chybionym dopatrzył się Saul, gdy przyszedł do siebie, znaku, że sam Bóg osłania jego wroga. Od tego czasu usiłował podstępem usunąć współzawodnika. Na pozór wyróżniał Dawida, uczynił go dowódcą tysiąca wyborowego żołnierza, powierzał mu kierownictwo niebezpiecznych wypraw i w końcu, wbrew woli, musiał mu dać za żonę swą córkę, Michal, która pokochała młodego bohatera. Tak ona, jak Jonatan, bronili sprawy Dawida przed ojcem, co tak rozjątrzyło Saula, że godził na jego życie zrazu tajemnie, później otwarcie, wyprowadzając przeciw niemu swe hufce. Wyjęty z pod prawa, Dawid pozbawiony był wszelkiej pomocy. Lecz niebawem przyłączyli się doń młodzieńcy i mężowie zuchwałej odwagi, rębacze, malkontenci, prześladowani, błędni rycerze, a przedewszystkiem blizcy krewni, Joab i dwaj bracia jego, Abisai i Asael. Utworzyli oni zawiązek hufca bohaterskich wojowników, dzięki którym Dawid szczebel po szczeblu na tron się wspinał. Przystał też do niego pewien prorok ze szkoły Samuela, imieniem Gad. Ostatniego przedstawiciela arcykapłańskiego domu Elego pchnął wręcz Saul w objęcia wrzekomego wroga.

Kazał mianowicie stracić okrutną śmiercią wszystkich kapłanów z Nob, potomków i krewnych Elego, rozgniewany, że sprzyjają Dawidowi, i zburzyć miasto kapłańskie Nob. Jedyny tylko członek tej rodziny uszedł z duszą, Abiatar. Uciekł do Dawida, który go przyjął z otwartemi rękoma.

Nienawiść ku rywalowi uczyniła Saula okrutnym i krwiożerczym. Wszystkie usiłowania Jonatana, który stał w pośrodku obu, aby pogodzić ojca z przyjacielem, spełzły na niczem i pogłębiły jeszcze przepaść, co ich dzieliła. Ponieważ wina była po stronie Saula, część przeto narodu sprzyjała Dawidowi i, gdy nie mogła popierać go otwarcie, przychodziła mu z pomocą potajemnie. W ten tylko sposób uniknąć zdołał zdradzieckich zasadzek.

Źle było, że pędząc życie tułacze, wśród ciągłych opałów, zmuszony był Dawid do nawiązania przyjacielskich stosunków z wrogami swego narodu, jak z królem Moabu, z królem ammonickim, Nachaszem, i z królem filistyńskim, Achiszem. Ściągnął tem na siebie podejrzenie, jakoby dopuścił się zdrady przeciw ojczyźnie i jakoby nieprzyjaźń Saula niepozbawioną była podstawy. Związek zwłaszcza Dawida z Achiszem, u którego lubo raz wypędzony, powtórnie szukał schronienia, nastręczał pole do podejrzeń. Achisz wziął go w opiekę i dał mu miasto Ciklag z warunkiem, aby zupełnie zerwał z Saulem i z ojczyzną, aby na wypadek wojny połączył swój hufiec, liczący sześciuset wojowników, z zastępami filistyńskimi i walczył z własnym narodem, aby nawet w czasie pokoju przedsiębrał wyprawy do odległych dzielnic pokolenia Jehudy i część zdobytych łupów składał swemu lennodawcy. Dawid, jak się zdaje, istotnie zamierzał uchylić się od tych warunków, lub przy sposobności połączyć się z ziomkami przeciw swemu sprzymierzeńcowi. Lecz w takim razie zniewolony był chodzić manowcami i zaprzeć się uczciwości, która go dotąd znamionowała. Co do Achisza, ten w Dawidzie widział wiernego sojusznika, który swój talent wojenny i waleczność swojej drużyny obracał na szkodę własnych rodaków i który wskutek takiego postępowania, nigdy już z narodem swoim pojednać się nie zdoła.

Pod wpływem tego złudzenia, które wywołała przebiegłość Dawida, sądził Achisz, że może teraz podjąć stanowczą wojnę przeciw Izraelowi. Saul zapadł w zadumę i po zerwaniu z zięciem stracił na dawnej sprawności. Najdzielniejsze ramię, co niegdyś zań walczyło, najbogatsza w pomysły głowa, co zań myślała, zwróciły się przeciw niemu. Najbitniejsi młodzieńcy i mężowie Izraela oddali się pod rozkazy Dawidowi. Achisz ściągnął też wszystkie swe wojska, aby zadać cios stanowczy Izraelowi.

W myśl umowy zawezwał król filistyński Dawida, aby wziął udział w tej na wielką skalę podjętej wyprawie przeciw Saulowi i wojowników swoich wcielił do szeregów filistyńskich. Z ciężkiem zapewne sercem wyruszył Dawid w pochód, lecz nie miał innego wyboru, zaprzedał się bowiem wrogom swego narodu. Atoli możnowładcy filistyńscy wybawili go z dwuznacznego położenia. Stanąwszy przed swym królem, natarczywie domagali się, aby odprawił do domu Dawida wraz z jego hufcem, bo na wierności jego polegać nie można. Było to szczęściem dla Dawida, nie groziła mu już alternatywa, albo dopuścić się zdrady przeciw swemu narodowi, albo złamać wiarę Achiszowi.

Tymczasem Filistynowie ciągnęli dalej setkami i tysiącami. Saul, którego doszła wieść o przygotowaniach wojennych Filistynów i o ich pochodzie, nakazał pospolite ruszenie, forsownymi marszami wyszedł naprzeciw wrogowi i stanął obozem dopiero u stóp gór Gilboa. Następnie okrążył przeciwległe stoki i rozłożył się u północnozachodniego podnóża gór tych, nieopodal Endor.

Na widok licznych hufców filistyńskich, a zwłaszcza konnicy, zwątpienie ogarnęło Saula, smutne życie, którego sam był sprawcą, odjęło mu odwagę. Czuł się opuszczonym przez Boga, gdyż na zapytanie, jaki obrót przyjmie wojna, nie mógł otrzymać odpowiedzi od Bo-

ga, ani przez kapłana, ani przez proroka. W tem położeniu bezradnem udał się do pewnej brzuchomówczyni w Endor, która uszła przed prześladowaniem i potajemnie oddawała się praktykom czarnoksięzkim. Dziwnie zawzięły się losy na Saula, że uciec się musiał do guseł, które sam wyplenić pragnął.

Ze smutnem przeczuciem w sercu otworzył Saul bitwę, która, jakgdyby król zwątpieniem swem zaraził szeregi, skończyła się dlań nieszczęśliwie. Mężnie walczyli Izraelici, bitwa trwała cały dzień, lecz na równinie nie zdołali ostać się przeciw konnicy i wozom wojennym i uciekli w góry, gdzie w pościgu wycięli ich Filistynowie. W potrzebie tej poległ też sympatyczny Jonatan wraz z swymi braćmi. Saul ujrzał się naraz samotnym, giermka miał tylko u boku, gdy natarli nań łucznicy filistyńscy. Nie chciał uciekać, a tem mniej jako jeniec podać się na pośmiewisko Filistynów. Nie pozostawało mu więc nic innego, jeno rzucić się na własny miecz i umrzeć śmiercią godną króla. Giermek też śmierć sobie zadał. Klęska była okropna. Kwiat wojska izraelskiego zaległ górę Gilboa i równinę Jezreel. Wypocząwszy w nocy po dniu gorącym, Filistynowie przetrząsnęli pole bitwy i zdarli z poległych szaty i klejnoty. Tu też znaleźli zwłoki Saula i trzech jego synów. Głowę króla i jego zbroję posłali jako trofea do domu i na pamiątkę zwycięstwa nad Izraelem złożyli czaszkę w świątyni Dagona, a oręż w świątyni Astarty. Następnie wtargnąwszy do miast na równinie Jezreel i na północnowschodniem błoniu nadjordańskiem, zajęli je; mieszkańcy na wieść o porażce na wyżynach Gilboa uciekli za Jordan. Na urągowisko Izraelitom zawiesili Filistynowie bezgłowe trupy Saula i jego syna, Jonatana, na murach Betszeanu. Zdaje się, że w dalszym pochodzie zwycięzkim szli od góry Gilboa i Betszeanu ku południowi i opanowali wszystkie znaczniejsze miasta. Na stolicę

Saula, Gibeat-Saul, zbliżenie się Filistynów taki rzuciło popłoch, że piastunka pięcioletniego synka Jonatana, Mefi-Boszeta, ratując się ucieczką w góry, w pośpiechu upuściła chłopca. W upadku dziecko złamało nogę i okulało na zawsze.

W smutnym stanie zostawił Saul kraj po śmierci, w smutniejszym jeszcze, niż w chwili, gdy go królem obrano. Pogrom był tak straszny i nagły, że narazie nikt nie myślał o oporze. Znikła wszelka odwaga; za śmiały już czyn uchodziło, że kilku mężów z Jabesz-Gilead, z tamtej strony Jordanu, powodowanych wdzięcznością dla Saula, który ocalił ich miasto, odważyło się wyzwolić z pohańbienia szczątki swego króla. W nocy, przeszedłszy Jordan, zakradli się do Betszeanu, odcięli z muru zwłoki Saula i Jonatana, zanieśli je do swego miasta i, pochowawszy pod drzewem terebintowem, ustanowili siedmiodniową żałobę. Pokolenia z tej strony Jordanu na takie męztwo zdobyć się nie mogły, albotеż nie żywiły podobnej wdzięczności dla Saula, który unieszczęśliwił kraj rozterką swą z Dawidem. Taki był koniec króla, w którego obiorze naród tak wielką pokładał nadzieję.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Król Dawid.

(około 1055—1015 przed Chr.)

Zdawało się, że naród zapomniał też o Dawidzie, który był niegdyś jego ulubieńcem. Cóż zdziałał, gdy ojczyzna krwią się zalewała? Bez względu na to, czy pochód jego pospołu z Filistynami doszedł lub nie doszedł do powszechnej wiadomości, dziwnem wydawać musiało się wszystkim, że w tej smutnej dobie, myśląc tylko o własnem zbawieniu, trzymał się zdala od wszelkiego niebezpieczeństwa i nie pospieszył na pomoc uciśnione-

mu narodowi, co większa, nie zerwał nawet przymierza z Filistynami. Przyznać trzeba, że sam był w owym czasie w opałach, lecz przygody, których doznał wtedy, ujawniły się później dopiero. Na razie dla wszystkich tych, co się na wypadkach publicznych rozumieli, bolesnem być musiało, że Dawid skojarzył się z wrogiem i, podczas gdy król Achisz prowadził wojnę z Izraelem, bronił poniekąd granic jego państwa.—Gdy bowiem Dawid wskutek nieufności możnowładców filistyńskich, odprawiony został z pochodu, zaskoczyła go w domu niespodzianka: miasto jego, Ciklag, w perzynę obrócone, niewiasty, dzieci i wszyscy, co z nim nie wyruszyli, w niewolę zabrani. Amalekici, niepokojeni najazdami Dawida, zmuszeni byli uciec na pustynię; teraz skorzystali z jego nieobecności, aby wywzajemnić się wyprawą łupieżczą.

Boleść wojowników Dawida, gdy za powrotem nie zastali swych najbliższych i ujrzeli zgliszcza miasta Ciklag, tak była wielka, że w rozdrażnieniu powstali na Dawida. W pogoni za złoczyńcami wywiedzieli się przez niewolnika egipskiego, którego znaleźli chorego przy drodze, o obozowisku bandy Amalekitów i w miejscu wskazanem uderzyli na nią znienacka. Rozjątrzeni wojownicy rąbali tak zaciekle, że większa jej część zaległa pole bitwy i niewielu tylko uciekło na wielbłądach.

Dawid wrócił z swym hufcem do Ciklag, upojony zwycięstwem, i natychmiast zabrał się do odbudowania i urządzenia miasta. Z łupów zdobytych na Amalekitach posłał dary poczesne starszym Jehudy i przyjaciołom swoim w wielu miastach od Beerseby do Hebronu. Pragnął w ten sposób obwieścić wszystkim swe zwycięstwo i zarazem zjednać ich sobie.

Zaledwie znów się usadowił w Ciklag, gdy doszła go wieść żałobna, że wojsko izraelskie poniosło okropną porażkę pod Gilboą i że poległ też Saul wraz z synami.

Pierwszem uczuciem Dawida na tę wiadomość był smutek, smutek głęboki; bolał go nieszczęsny los króla, a bardziej jeszcze zgon ukochanego przyjaciela, Jonatana. Nakazał też publiczną żałobę z powodu ich śmierci i klęski, jaka cały naród dotknęła. Podczas obchodu żałobnego wygłosił pełną głębokiego uczucia elegję.

Jakkolwiek szczerym był smutek Dawida na wieść o śmierci Saula, musiał bądź co bądź obrócić ją na swoją korzyść. Zaciasno mu już było w zapadłym Ciklagu, rwał się na szerszą widownię. Starożytne miasto Hebron, siedzibę szlachty judzkiej, obrał na miejsce pobytu. Nie zaprosili go tam wszakże starsi, lecz sam się poniekąd narzucił, tak dalece ucierpiała popularność jego u własnego nawet pokolenia z powodu przymierza z Filistynami. Sześćset żołnierza wraz z dowodzącymi nim mężnymi wojownikami towarzyszyło mu i osiedlili się z rodzinami w Hebronie. Ten krok samodzielny uczynił, gdy Filistynowie zajęci jeszcze byli zbieraniem na północy owoców swego zwycięstwa. Dopiero gdy Dawid zamieszkał na stałe w ówczesnej stolicy pokolenia Jehudy, starsi całego pokolenia obrali go królem za sprawą przyjaciół, których sobie zjednał uprzedzającą grzecznością. Niezwłocznie wszedł w stosunki z pokoleniami zajordańskiemi, ażeby i te przeciągnąć na swoją stronę. Do przedjordańskich natomiast, które jeszcze pozostawały pod panowaniem Filistynów, nie mógł i nie ważył się zwrócić. Nieszczęsny los uwikłał go w sieci Filistynów; rozsądek borykał się w nim z miłością ojczyzny. Ta nakazywała mu, nie oglądając się na nic, zerwać fatalne przymierze, tamten znów doradzał nie drażnić potężnego sąsiada.

Achisz nie przeszkadzał bynajmniej Dawidowi bawić się w króla Jehudy i przedsiębrać najazdów na okrainy puszczy, z których łupu po dawnemu część swą odbierał; dalej wszakże nie wolno było Dawidowi ani na

krok postąpić. Joab, w którym krył się wódz, pełen genialnych pomysłów, musiał poprzestać na niezaszczytnej roli herszta bandy grabieżczej. Wyzwolenia kraju z mocy Filistynów, o czem Dawid nie mógł i marzyć, bo miał ręce związane, dokonał wódz Saula, Abner. Zdołał on ujść z strasznego pogromu pod Gilboą i nie stracił nadziei, że z rozbicia domu Saulowego da się jeszcze coś uratować. Z innymi zbiegami udał się za Jordan, gdzie ich dosięgnąć nie mogli Filistynowie i gdzie dla domu Saula biły wdzięczne serca. Miasto Machanaim obrał Abner za punkt środkowy dla zwolenników tej dynastji, tu też sprowadził pozostałego przy życiu syna Saula, Isz-Boszeta, i wszystkich członków nieszczęśliwej rodziny królewskiej i dokazał tego, że pokolenia zajordańskie uznały Isz-Boszeta za króla. Zebrawszy zbrojną drużynę z pokoleń zajordańskich i Benjaminitów, którzy się doń przyłączyli, Abner rozpoczął walkę z Filistynami i krok za krokiem wypierał ich z kraju przedjordańskiego. Lecz dopiero po czterech lub pięciu latach udało mu się oczyścić całą ziemię z nieprzyjaciela (1055—1051), tak uparte, widać, toczyły się boje. Najtrudniej pewnie przyszło odzyskać dzielnicę pokolenia Benjamin, gdyż Filistynowie mogli tam z łatwością rzucać swe hufce. Każde pokolenie, które Abner wyzwalał, z radością hołd składało synowi Saula. Abner dokazał czynów nadzwyczajnych, nietylko bowiem wywalczył niezawisłość, lecz wciągnął nadto w sferę jedności państwowej te pokolenia, które jeszcze za Saula zachowywały się opornie. Jego też należy uważać za istotnego założyciela państwa dziesięciu pokoleń, czyli królestwa izraelskiego, którego członki mocniejszem połączył ogniwem. Lecz wskutek jego zwycięstw i usiłowań naród rozpadł się naraz na dwie połowy, królestwo izraelskie i królestwo judzkie, każde rządzone przez osobnego króla. Pokolenie Jehuda, dzięki zabiegom Samuela i Saula zaledwie wy-

rwane z odosobnienia i zespolone z innemi pokoleniami, znowu odstrychnęło się od rzeszy. Zwycięstwo Abnera nie sprawiło radości, bo pociągnęło za sobą rozdwojenie. Szybko przemknął nad niem rylec dziejopisa i zaznaczył je zaledwie kilku rysami.

Położenie było tego rodzaju, że o zlaniu się obu domów mowy być nie mogło. Nietylko obaj królowie, Dawid i Isz-Boszet, opierali się dobrowolnemu zjednoczeniu pokoleń, gdyż w tym wypadku jeden z nich musiałby zrzec się korony, lecz więcej jeszcze może ich stronnicy, a zwłaszcza obaj naczelni wodzowie, Joab i Abner, godni siebie mistrze w sztuce wojennej, którzy wielką ku sobie pałali zawiścią. Doniosłe znaczenie miała dla Jehudy okoliczność, że rządził nią waleczny i w rzeczach wojny doświadczony król, co był namaszczony przez proroka Samuela, a ztąd uchodził za osobę poświęconą, gdy tymczasem Isz-Boszet, król tylko z imienia, nie był zatwierdzony głosem Boga i, jak się zdaje, nie odznaczał się duchem wojowniczym. Cała władza spoczywała w rękach naczelnego wodza, Abnera. Isz-Boszet siedział w zapadłym kącie z tamtej strony Jordanu i nie był chyba świadom wszystkiego, co się działo pomiędzy obiema połowami narodu, podczas gdy Dawid miał siedzibę w środku swego pokolenia i z Hebronu mógł kierować sprawami państwa.

Gdy więc Abner zjednał lub odzyskał dla Isz-Boszeta wszystkie pokolenia, z wyjątkiem Jehudy, wybuchła wojna bratobójcza między dwoma państwami, a raczej między domem Saula a domem Dawida, i trwała dwa lata (ok. 1051—1049). Lecz nad domem Saula zawisło fatum tragiczne. Abner rzucił pożądliwe spojrzenie na piękną nałożnicę Saula, Ricpę, która z swymi dwoma synami bawiła również w Machanaim. Jakkolwiek Isz-Boszet nieraz znosić musiał pobłażliwie wybryki swego wodza, bo nie potrafił obejść się bez niego, tego jednak

nie mógł ścierpieć, aby wdowa po jego ojcu znaleźć się miała w objęciach Abnera, gdyż widniał w tem zamiar przywłaszczenia sobie władzy królewskiej. Zgromił go więc za to uroszczenie, czem dotknięty Abner zarzucił w oczy malowanemu królowi niewdzięczność i sprawy jego odstąpił. Wkrótce potem wszedł w konszachty z Dawidem, przyrzekając zjednać mu wszystkie pokolenia. Wzamian za to zastrzegł sobie zapewne zachowanie godności wodza naczelnego pokoleń izraelskich. Chętnie przystał Dawid na tę propozycję, lecz jako rękojmi przymierza zażądał zwrotu ulubionej małżonki Michal, którą Saul, odebrawszy mu, wydał za Benjaminitę Paltiela. Sam Isz-Boszet uznał niewątpliwie słuszność tego żądania i nie podejrzewał, że się święci coś złego. Następnie opuścił Abner swego króla pod pozorem, że chce się zająć sprawą rozwodu Michal z jej mężem, udał się do dzielnicy Benjamina i zmusił Paltiela do zwolnienia żony; Paltiel z płaczem towarzyszył jej przez część drogi, lecz złajany przez Abnera z boleścią zawrócić musiał. Tak więc Dawid posiadł znów małżonkę, którą ukochał pierwszą młodzieńczą miłością.

Abner tymczasem objeżdżał pokolenia i tajemnie jednał poplecznikow Dawidowi. Wielu Izraelitów życzyło sobie zapewne w skrytości, aby raz położony został koniec nieszczęsnej wojnie domowej przez poddanie się władzy króla judzkiego, nawet niektórzy Benjaminici nie byli przeciwni zjednoczeniu. Z dwudziestu zaufanymi przyjaciółmi, których pozyskał dla sprawy Dawida, przybył Abner do Hebronu, zawsze jeszcze w tajemnicy. Przezorny Dawid, chcąc pozbyć się z Hebronu na czas jego pobytu Joaba i brata jego, zawistnych i podejrzliwych synów Cerui, zlecił im jakąś wyprawę wojenną. Pod ich nieobecność porozumiał się Dawid z Abnerem co do sposobu, w jaki możnaby skłonić naczelników pokoleń do pozbawienia tronu Isz-Boszeta i

złożenia hołdu Dawidowi. Już był Abner opuścił Hebron, celem wydania odezwy do starszych pokoleń, aby, idąc za jego przykładem, przysięgli na wierność królowi judzkiemu, kiedy Joab powrócił z wycieczki z swymi hufcami. Tu go czekała niespodziana nowina, że Abner, dawny wróg Dawida, podejmowany był jaknajserdeczniej i jaknajserdeczniej żegnany. Za jego oczyma wszedł król w potajemne układy, których on paść miał ofiarą, to bowiem wydawało mu się nieuchronnym ich rezultatem. Nie namyślając się też długo, posłał w ślad za Abnerem gońców, a ten zawrócił. U bramy Hebronu zasadzili się nań Joab i Abisai—i Abner znienacka mieczem rażony, padł bez życia na ziemię.

Śmierć Abnera dotknęła głęboko Dawida. Jedyny mąż, co mógł i chciał drogą pokoju zjednać mu wszystkie pokolenia, w przeddzień ziszczenia zamiaru zginął z ręki skrytobójcy. Dawid znalazł się nadto w przykrem położeniu. Aby zrzucić z siebie podejrzenie, jakoby zdradziecko przyczynił się do śmierci Abnera, dał szczeremu żalowi wyraz uroczysty. Poległemu bohaterowi sprawił wspaniały pogrzeb w Hebronie, wszystkim swym dworzanom kazał postępować za ciałem w szatach żałobnych, sam szedł za niem i ze łzami boleść swą wylał w pieśni żałobnej, której początek dochował się jeszcze:

„Jak wyrzutek umrzeć musiał Abner!
Ręce twe nigdy nie były związane,
Nóg twoich nigdy nie tknęły kajdany,
Z ręki zbrodniczej poległeś!“

Pieśń ta wywarła na obecnych potężne wrażenie, wszyscy wybuchli płaczem, a ton, jakim Dawid tren swój wygłosił, przekonał słuchaczów, że żal jego był szczery. Nie śmiał jednakże Dawid pociągnąć do odpowiedzialności synów Cerui, lub nawet odezwać się słowem wyrzutu, zbyt bowiem niezbędni mu byli. Tylko w kole powierników dał folgę gorzkim skargom na nich:

„Wiedzcie, wielki wódz w Izraelu poległ dziś, zbyt słaby jestem, nie pomazany jeszcze na króla całego narodu, a synowie Cerui silniejsi są odemnie. Niechaj Bóg odpłaci bezecnikom.“

Wieść o zdradzieckiem zabójstwie Abnera wywarła na Isz-Boszeta przygnębiające wrażenie. Podstępnej działalności zmarłego wodza nie przeczuwał zgoła. Odczuł też tylko stratę niezastąpionego ramienia, głównej podpory swego tronu. Zaledwie ochłonął z przerażenia, jakim go zdjęła ta wiadomość, gdy go samego śmierć zaskoczyła. Dwaj nikczemni bracia Benjaminici, dowódcy oddziału partyzanckiego, zamordowali pogrążonego we śnie Isz-Boszeta, aby zaskarbić sobie łaskę Dawida. Nędznicy spodziewali się hojnej nagrody za odciętą głowę króla izraelskiego, którą przynieśli Dawidowi w rękach krwią jeszcze zbroczonych. Lecz on wywarł gniew sprawiedliwy na sprawcach tego czynu ohydnego. Skinął na straż przyboczną i wnet rozstali się z życiem.

Po śmierci Isz-Boszeta państwo dziesięciu pokoleń samo przez się przypaść musiało w udziale Dawidowi. Miał on i tutaj z dawniejszych czasów zwolenników, którzy zachowali w pamięci jego czyny wojenne za Saula przeciw Filistynom i którzy go czcili jako wybrańca Pańskiego przez proroka Samuela. Inni przeszli na jego stronę już za sprawą Abnera. Ci nawet, których gorszył sojusz Dawida z nieprzyjaciółmi Izraela, musieli przyjść do przekonania, że nie było innego wyboru, jeno hołd mu złożyć. Więc też starsi pokoleń przybyli do Hebronu, zawarli z nim przymierze, przyrzekli, że wiernie stać przy nim będą, i złożyli mu dary hołdownicze. Nawet Benjaminici przysięgli mu na wierność, jakkolwiek wielu czyniło to z tłumioną niechęcią. Ziściły się najgorętsze pragnienia Dawida; z książątka jednego pokolenia stał się po tylu przeszkodach i cierpieniach królem całego Izraela. Rozterka między domem Jehudy a domem

Izraela zażegnaną została na razie pod wróżbą pomyślną dla króla. Kapłani i prorocy nie zachowywali się względem niego wrogo, jak względem Saula, owszem sprzyjali mu z całego serca. Potomek domu Elego, Abiatar, znajdował się w jego orszaku, dzielił z nim cierpienia, jakie go nawiedzały, a prorocy wzór z niego brali—wszak był namaszczony przez Samuela. Prorok Gad towarzyszył mu również, a inny prorok owych czasów, Natan, był mu poniekąd spowiednikiem. Obie więc potęgi duchowne wspierały jego kroki i w ogóle wewnątrz kraju drogę miał udeptaną. Lecz nazewnątrz należało pokonać wielkie trudności, jeżeli chciał panować jako król niezawisły.

Przedewszystkiem musiał Dawid zerwać z Filistynami, inaczej nie mógłby wywalczyć sobie niezależności i odzyskać w pełni miłości narodu. Musiał się zdecydować na krwawe zapasy z dotychczasowymi sprzymierzeńcami swymi. Jednakże walki z nimi nie podjął natychmiast; zbyt byli jeszcze potężni. Wpierw chciał sobie z innej strony ręce rozwiązać. W środku dzielnicy pokolenia Benjamin znajdowała się enklawa, którą zajmowali Jebusyci. Wysokie wzgórze Cyon z trzech stron było niedostępnem dzięki wązkim dolinom i sztucznym okopom, a najniedostępniejszem od południa, gdzie skalna ściana pagórka wznosiła się niemal prostopadle z wąwozu. Z tego to grodu na skale panowali Jebusyci nad ziemią okoliczną i czuli się bezpiecznymi. Otóż Dawid, przed wdaniem się w wojnę z Filistynami, uważał za pożyteczne zawładnąć twierdzą Cyonu. Wpierw wszakże wezwał Jebusytów, aby ją poddali dobrowolnie i zgodnie, i ofiarował im może wynagrodzenie. Lecz oni wyśmieli te roszczenia i odparli z przekąsem: „Nie dostaniesz się tu, chybabyś usunął ślepych i chromych,“ i ci bowiem mogliby bronić dostępu. Po tej odprawie Dawid przystąpił do zdobycia Cyonu, zwołał swą bohater-

ską drużynę i wyznaczył nagrodę za waleczność. Kto pierwszy od stromej ściany południowej wdrapie się na szczyt skały, ten wodzem zostanie. Zapowiedź ta wywołała współzawodnictwo walecznych, pragnących pozyskać tak cenną nagrodę zwycięstwa. Rzucili się na ścianę skalistą, lecz Jebusyci przyjęli ich gradem głazów i strzał. Jedynie Joabowi udało się dotrzeć do szczytu i przy pomocy dążących za nim wojowników szturmem zdobyć warownię i wyciąć w pień jej obrońców. Widząc, że wszelki opór był daremny, Jebusyci prosili o pokój, na co Dawid się zgodził. Pozwolono im zostać w ich mieście, z wyjątkiem twierdzy, i wyznaczono im siedziby we wschodniej części miasta, na pagórku Morija.

Po zdobyciu Cyonu, przeniósł tu Dawid swoją stolicę, która odtąd nazywała się miastem Dawidowem. Całe miasto otrzymało nową nazwę Jerozolima (Jeruszalaim) — której znaczenie nie jest wiadome — i postradało swe dawne miano Jebus. Tu też osadził Dawid swych wojowników i dworzan wraz z ich rodzinami. Miejscowość, gdzie najwaleczniejsi rycerze mieli siedziby, otrzymała od nich nazwę „domu bohaterów.“ Taki był zaczątek miasta, które od tego czasu przez lat tysiące uchodziło i uchodzi za święte. Wybór tej miejscowości na stolicę w ówczesnym stanie rzeczy był szczęśliwym pomysłem. Wprawdzie Sichem, ze względu na swe położenie w środku pokoleń i dla żyznej okolicy, nadawał się znacznie więcej na punkt środkowy; lecz Dawid nie mógł w żaden sposób przenieść swej rezydencji do miasta efraimickiego, gdyż mieszkańcy nie sprzyjali mu zbytnio, zazdrośni i niezadowoleni, że król, pochodzący z półbarbarzyńskiej Jehudy miał im prawa dyktować. Potrzebował natomiast silnego punktu oparcia o własne pokolenie i znalazł go w położonej na pograniczu Benjamina i Jehudy Jerozolimie, która na wypadek rokoszu pozostałych pokoleń mogła mu służyć za schronienie. Okolica, w której założono nową rezydencję, nie jest jałową, lubo nie może iść w porównanie z okolicą Sichemu. W dolinach płyną niewysychające źródła, źródło Siloa i En-Rogel na południozachodzie, Gihon na zachodzie; mogą one w porze pozbawionej deszczu zaopatrywać w wodę miasto i pola. Z trzech stron otacza Jerozolimę wieniec pagórków, stanowiąc zarazem jej ozdobę i obronę. Na wschodzie wznoszą się wysoko grzbiety góry Oliwnej, tak od gaju oliwnego nazwanej. Na południu rozszerza się w kierunku wschodnim piękna dolina; jest to aż nazbyt wsławiona dolina Hinnom (lub Ge-Hinnom) która nazwę swą otrzymała od męża lub rodziny tegoż imienia i miano to przekazała straszliwemu piekłu (Gehenna). Na zachodzie wyniosłość jest nieznaczną i zaledwie zasługuje na nazwę pagórka. Na północy pagórek przechodzi w łagodną równinę. Pagórki te i doliny bronią z trzech stron Jerozolimy, jak naturalne mury i rowy. W obrębie miasta, na wyniosłym okręgu pomiędzy trzema dolinami, na wschodzie, południu i zachodzie, wystrzela z równiny kilka pagórków, z których najwyższy jest Cyon na zachodzie, na północy nizki, Millo, a na przeciw niego trzeci, Morija, z południową odnogą, Ofel (Ofla) zwaną. Morija, chociaż o wiele niższy od Cyonu, miał przewyższyć znaczeniem Cyon i najwynioślejsze szczyty kuli ziemskiej.

Nie mogło ujść uwagi Filistynów, że obiór Dawida na króla całego narodu izraelskiego rozprzęże łączące ich przymierze, a raczej zmusi go nadal do zajęcia wrogiej względem nich postawy. Mimo to pierwsi zrywać nie chcieli. Lecz zdobycie miasta Jebus-Jerozolimy i przeniesienie do niego stolicy uważali za zwiastuny zmiany przekonań Dawida i, nie czekając, aż zdąży wyćwiczyć zdolną do broni młodzież wszystkich pokoleń, pośpieszyli najechać go zbrojnie. Hufiec filistyński wtargnął przez równinę w góry i zbliżył się do Jerozolimy. Dawid, bądź

zaskoczony napadem, bądź chcąc uniknąć bitwy przed swoją stolicą, opuścił ją z wojskiem i cofnął się na południe, do Adullam. Ośmieleni tym odwrotem, który na ucieczkę zakrawał, Filistynowie dotarli do Betlehem, miejsca urodzenia Dawida, i ztąd puszczali zagony w ziemię judzką. Dawid zwlekał z napadem na Filistynów; hufce jego były zapewne zbyt słabe i czekał może na posiłki od pokoleń. Lecz aby w przestanku przed walką stanowczą podniecić swych wojowników do wysiłków, wyraził życzenie napicia się wody z cysterny pod Betlehem, która znajdowała się w rękach Filistynów. Niezwłocznie trzech głównych bohaterów, Jeszobeam, Eleazar i Szama, udało się w drogę, dotarli do Betlehem, odwagą swą spłoszyli Filistynów, zaczerpnęli wody z cysterny i przynieśli jej Dawidowi do Adullam. Nie chciał pić Dawid tej wody, gdyż waleczni wojownicy dostali jej z narażeniem własnego życia. Chciał ich tylko wystawić na próbę. Nareszcie wojsko izraelskie wyruszyło przeciw Filistynom i pobiło ich pod Baal-Peracim tak stanowczo, że zwycięstwo to porównywano ze zwycięstwem Jozuego pod Gibeon. Rzuciwszy się w dzikim nieładzie do ucieczki, Filistynowie zostawili swych bożków, których Izraelici spalili. Ale Filistynowie nie zrzekli się zamiaru ujarzmienia Dawida i jego narodu. Niejednokrotnie robili najazdy, raz znowu aż do doliny Refaim, drugi raz pod Efesdamim w dolinie terebintów. Drużyna Dawida i pojedyńczy bohaterowie dokazywali cudów waleczności, pobili ich i puścili się w pogoń za nimi.

Nie poprzestał jednakże Dawid na obronie, lecz przeszedł do wojny zaczepnej z Filistynami. Istotnie, chcąc zapewnić swemu ludowi bezpieczeństwo ze strony tego małego lecz potężnego plemienia, które wojną tylko żyło i podbojami, musiał je nieszkodliwem uczynić, lub każdej chwili spodziewać się nowego najazdu.

Dawid wyruszył tedy z wojskiem przeciw ówczesnej stolicy filistyńskiej, Gat, najbliższej granic ziemi judzkiej. Rozumie się, że Filistynowie stawili tu opór zacięty i wywiązały się ztąd krwawe zapasy, które bohaterskim wojownikom Dawida otworzyły pole do popisu. Zdaje się, że Filistynowie, według swego zwyczaju, chcieli walkę rozstrzygnąć pojedynkiem, używając w tym celu ostatnich olbrzymów refaickich. Zmieniły się czasy, gdy bowiem za młodych lat Dawida wśród wojska izraelskiego nie znalazł się ani jeden wojownik, coby się odważył przyjąć wyzwanie Goliata, teraz zgłosiło się przeszło trzydziestu śmiałków, pragnących stanąć do pojedynku.

Wreszcie udało się Izraelitom pobić na głowę Filistynów i to z takim skutkiem, że ci pozostawili w rękach wroga stolicę swoją, Gat, wraz z okolicznemi wsiami i polami. Zmieniły się role. Miasto, które niegdyś widziało syna Isai w błagalnej postawie, teraz ukorzyć się przed nim musiało. Porażka Filistynów była nader doniosłym wypadkiem; zapewniła z tej strony narodowi trwały pokój i swobodę ruchów. Albowiem oprócz nich nie było wrogów, którzyby tak dawali się we znaki Izraelitom. Na tem jednak skończył Dawid dzieło podboju; zdaje się nawet, że później zwrócił królowi filistyńskiemu miasto Gat.

Zwycięstwo nad Filistynami podniosło powagę Dawida u narodu, niemniej też zjednało mu szacunek ludów sąsiednich. Hiram, król, co potęgę Fenicjan z Sydonu przeniósł do Tyru, wyprawił posłów do Dawida z propozycją przymierza i z darami w drzewie cedrowem i materjałach budowlanych, aby mógł godnie przyozdobić nową stolicę, Jerozolimę. Cieszyło go ujarzmienie Filistynów, gdyż w osłabieniu tego bitnego plemienia widział również rękojmię bezpieczeństwa od jego żądzy zaborów. Tem więcej zaś zależało Hiramowi na przymierzu z Dawidem, że chciał, aby karawany fenic-

kie, ciągnące z towarami z Fenicji do Egiptu, lub odwrotnie, mogły bez przeszkód odbywać swą drogę przez ziemię izraelską. Dawid chętnie przystał na tę propozycję, w następstwie czego zawiązał się między nim a królem Hiramem rodzaj przyjaźni. Korzystał z jego usług, aby stolicę przez siebie założoną obwarować i pięknymi gmachami ozdobić. Budownictwo kwitło już podówczas u Fenicjan. Najpierw obwarowano Jerozolimę, a to prawdopodobnie tylko od strony północnej, gdzie przystęp był łatwiejszy. Niezbyt rozległy Cyon, czyli miasto Dawidowe, nie mógł pomieścić całej ludności, która tu już osiadła, lub jeżeli mógł ją narazie pomieścić, to bądź co bądź należało pomyśleć o przyszłym jej wzroście. Z tej też przyczyny wcielono do miasta nizki pagórek na północ Cyonu i nadano mu nazwę Millo (wał); stał się on w stosunku do dawniejszego miasta Dawidowego drugą jego dzielnicą. Pagórek Morija i odnoga jego Ofel znajdowały się zrazu poza obrębem miasta i wogóle nie należały wówczas do Jerozolimy, lecz zamieszkane były przez pozostałych przy życiu Jebusytów. Dawid zbudował też sobie pałac z drzewa cedrowego, które sprowadzono z Libanu. Zamierzał również uczynić Jerozolimę ogniskiem życia religijnego, aby zwrócić na nią spojrzenia całego narodu. W tym celu poczynił przygotowania do przeniesienia arki przymierza z Kirjat-Jearim, gdzie pozostawała od czasu powrotu z niewoli filistyńskiej, i rozbił dla niej namiot wspaniały w mieście Dawidowem. Opowiadają, że Dawid ślubował, iż nie wnijdzie wpierw do domu swego, nie spocznie wpierw na łożu i oczu swych snem nie pokrzepi, dopóki nie znajdzie miejsca dla arki przymierza. Z licznym orszakiem ludu i Lewitów udał się król do Kirjat-Jearim, o jakie trzy godziny na północozachód od Jerozolimy. Wstawiono arkę przymierza na nowy wóz, do którego zaprzężono woły, prowadzone przez dwóch Lewitów. W drodze

zaszedł wypadek, który przeraził Dawida; obawiał się więc wprowadzić arkę do Jerozolimy, aby nie ściągnęła na mieszkańców podobnego nieszczęścia, jak niegdyś na Filistynów. Ponieważ jednak nie wyrządziła szkody domowi Obededoma, u którego następnie trzy miesiące gościła, postanowił Dawid powtórnie sprowadzić ją do Cyonu, tym razem wszakże nie miała być wiezioną, lecz niesioną przez Lewitów. W towarzystwie wielkiego tłumu, wśród wybuchów radości, dźwięku rogów i tańców, wniesiono ją do sporządzonego dla niej namiotu. Sam król, nie bacząc na swą powagę, śpiewał i tańczył z zapałem przed arką przymierza, czem ściągnął na siebie szydercze uwagi swej żony, że jak błazen popisuje się publicznie.

Nowe miasto Jerozolima przez arkę przymierza wyniesione zostało, jak niegdyś Silo, na stopień miasta świętego. Środowisko kultu nie mogło się oczywiście obejść bez kapłana, a nawet całego pocztu kapłanów. Naturalną było rzeczą, że Abiatar, wierny druh Dawida w jego tułactwie, mógł słuszne rościć pretensje do godności arcykapłana arki przymierza na Cyonie. Istniał atoli inny jeszcze arcykapłan, w Gibeon, którego mianował Saul po wytępieniu domu Elego w Nob. Miałże go Dawid zupełnie usunąć? Wywołałoby to rozterkę. Uznał go więc również za arcykapłana i obu jednocześnie pozwolił urzędować, Abiatarowi w Jerozolimie, a Cadokowi w Gibeonie. Z góry można się było spodziewać, że Dawid, wychowaniec chórów lewickich i sam też poeta i muzyk, nie omieszka, za przykładem Samuela, wprowadzić do uroczystej służby bożej psalmów z chórami. Dzięki temu pieśni pochwalne stały się trwałą podwaliną służby bożej, a lubo Dawid był również zwolennikiem ofiarnictwa, to obok niego wprowadził do obrządku na równych prawach psalmy, wywierające podniosłe wrażenie na umysły. Podczas gdy wśród innych narodów zie-

mi poezja może nie zrodziła się jeszcze, w Izraelu tworzyła już główną część składową służby bożej.

Jak pod względem religijnym był Dawid założycielem obrzędu świątyniowego, tak też pod względem moralnym był twórcą opartego na sprawiedliwości ustroju państwowego. Sam na sądach zasiadał, słuchał niestrudzenie spornych spraw jednostek lub gromad i wydawał bezstronne wyroki. Z wysokości swego tronu nietylko sprawował rządy i władzę, lecz wymierzał też sprawiedliwość i krzywdom zapobiegał. Dawid przez wszystkich potomnych poczytywany był za króla idealnego, którego tron był podporą prawa, a berło ostoją pokoju wewnętrznego. Jerozolimę wyniósł poniekąd na stopień miasta idealnego, gdzie czysty kult Boga i szczytna sprawiedliwość znalazły ziemskie siedlisko. Dla wszystkich tych czynów: wyzwolenia z pod jarzma filistyńskiego, bezpieczeństwa, jakie zapanowało, i przestrzegania prawa, stał się Dawid, jak w czasie swej młodości, znowu ulubieńcem narodu. Szczere przywiązanie przyszło samo z siebie, nie potrzebował zdobywać go przymusem. Wewnętrzny ustrój kraju uległ za Dawida zmianom częściowym. Zachowano wprawdzie konstytucję pokoleń, lecz ukrócono wolność, a raczej samowolę pojedyńczych pokoleń w kwestjach wojskowości. Każde pokolenie winne było na wypadek wojny dostarczyć do szeregów pewnej liczby zdatnych do boju mężów od dwudziestego roku życia. Wojskiem dowodził wódz naczelny; podówczas godność tę piastował Joab. Dawid utrzymywał hufiec najemniczy, który składał się z wojowników pogańskich, Kreti, z ziemi Kreta, należącej do kraju filistyńskiego, i Pleti niewiadomego pochodzenia. Benajahu, syn Jojady, jeden z walecznych, był ich dowódcą.

Miał też Dawid to szczęście, że w osobie Achitofela z miasta Gilo posiadał u boku swego doradcę, który w sprawach zawiłych wspierał go roztropnemi radami.

Mówiono wówczas, że rady jego były również nieomylne, jak wyroki boskie przez usta arcykapłana. Ten mądry, przemądry doradca Dawida miał w następstwie wywrzeć fatalny wpływ na koleje jego życia.

Raz sumienie sędziowskie Dawida wystawione było na ciężką próbę. Zapanował w kraju głód nieustanny, dwa lata zrzędu nie padały deszcze. Lud zwrócił się do króla z prośbą o pomoc. W tak okropnej klęsce dopatrywano się gniewu bożego za jakąś niewykrytą i nieukaraną zbrodnię. Dawid badał przeto przez arcykapłana Abiatara, jaka wina ciąży na narodzie, a wyrocznia brzmiała: „Z powodu Saula i krwawego prześladowania Gibeonitów.“ Dawid zawezwał do Jerozolimy pozostałych przy życiu Gibeonitów i zapytał ich, jakiego zadośćuczynienia wymagają. Na wynagrodzenie pieniężne nie przystali, lecz jako ofiary ekspiacyjnej zażądali wydania potomków Saula. Żądanie Gibeonitów uznano za słuszne, gdyż Saul w samej rzeczy złamał pokój, zaprzysiężony im przez naczelników narodu podczas wejścia do kraju. Gdyby Dawid starał się oszczędzić potomków Saula, to rozjątrzyłby przeciw sobie naród, któryby go posądzał, że odmawia zadośćuczynienia, aby nie odwrócić klęski od kraju. Z drugiej znów strony narażał się na podejrzenie, że przez zemstę, lub dla innych samolubnych pobudek, wydaje potomków Saula na zatracenie. Z ciężkiem przeto sercem zniewolony był przychylić się do okrutnego żądania. Odszukano dwóch synów Saula z nałożnicy jego Ricpy oraz wnuka z córki jego Merab i wydano Gibeonitom, ci zaś z zimnem okrucieństwem powiesili ich własnoręcznie na słupach w Gibeat Saul, mieście, gdzie ojciec ich i dziad nosił koronę. Tylko Mefi-Boszeta, syna Jonatana, ocalił Dawid, pomny przysięgi, danej przyjacielowi, że zawsze opiekować się będzie jego potomstwem. Z domu poważanego męża za Jordanem, gdzie bawił Mefi-Boszet, kazał mu przybyć do Jerozoli-

imy i zamieszkać w pałacu królewskim, sadzał go u swego stołu i obchodził się z nim, jak z synem rodzonym. Niemniej atoli Benjaminici oskarżali potajemnie Dawida, że zgładził dom Saula i przy życiu zostawił tylko niezdolnego do rządów, chromego syna Jonatana. Gdy szczęście odwróciło się od Dawida, zawzięci Benjaminici rzucali nań kamieniami.

Po dwudziestu latach panowania, Dawid uwikłał się w wojny rozliczne, które odwiodły go od zajęć pokojowych: ustalenia porządku wewnętrznego i wymiaru sprawiedliwości. Wojny te z odległymi narodami, które narzucono mu wbrew woli, niespodzianie wzmogły jego potęgę i wywołały zdumiewający rozkwit narodu. Najpierw prowadził Dawid zaciętą walkę z Moabitami, z którymi dawniej, gdy tułał się po świecie, był na stopie przyjaznej i u których znalazł gościnne przyjęcie. Była to chyba wojna odwetowa, bo po zwycięstwie Dawid obszedł się z jeńcami tak okrutnie, jak z żadnym pogromionym przez siebie narodem. Ujarzmiony Moab musiał co rok posyłać haracz do Jerozolimy.

Bardziej zagmatwaną była wojna z sąsiednimi Ammonitami, wszczęta dla zniewagi, wyrządzonej posłom Dawida. Ponieważ król ammonicki wezwał na pomoc Aramejczyków, którzy zajmowali rozległe obszary od północnych stoków Libanu i Damaszku aż do Eufratu, zniewolony był Dawid z dwóch stron odrazu potykać się z wrogiem. Hufce jego odniosły w tych bojach walne zwycięstwa. We wszystkich podbitych prowincjach osadzał Dawid wielkorządców, starożytne miasto Damaszek przeszło również pod jego panowanie. Szczęśliwe wojny z potężnymi narodami rozniosły po świecie sławę króla i grozę jego oręża. Cudzoziemcy i krajowcy, należący do plemion kanaańskich, zaciągali się do szeregów izraelskich i dostarczali mu chętnych wojowników. Kiedy po raz pierwszy uznano Dawida

za króla całego Izraela, granice kraju zamknięte były między Danem a Bersebą, teraz panował nad rozległemi ziemiami od rzeki Egipskiej i Gazy aż do Eufratu. Podbite narody musiały corocznie przysyłać dary hołdownicze, opłacać haracz, a może nawet dostarczać niewolnika do budowania i ciężkich robót.

Wielkie wojny i zwycięstwa w wyższym jeszcze stopniu, niż dotychczasowy, przymusem skrępowany żywot, ujawniły podniosłą duszę Dawida. Stały i silny w przedsięwzięciu, ilekroć chodziło o cześć i bezpieczeństwo narodu, gdy zabiegi jego uwieńczyło powodzenie, zachowywał skromność i pokorę, bez cienia pychy. Nie wzniósł sobie, jak Saul, na pamiątkę swych zwycięstw żadnego pomnika, lecz raczej, jak wielki wódz jego Joab, wierzył niezachwianie, że Bóg jedynie dał mu zwycięstwo.

Dwa ściśle z sobą skojarzone przekonania tak silnie wsiąkły, wskutek wielkich zwycięstw, w samowiedzę narodu, że na całą jego przyszłość wywarły wpływ stanowczy. Jedno z nich brzmi w najrozmaitszych zwrotach:

Nie ocalą króla liczne zastępy,
Ani bohatera siła olbrzymia,
Złudny jest rumak ku zwycięstwu.

Sam Bóg wojną kieruje, prowadzi ją do końca, daje zwycięstwo, lub klęską nawiedza, i fraszką jest dlań przyjść na pomoc wielkimi lub małymi środkami. Drugie, z poprzedniem związane przeświadczenie brzmi: Bóg zawsze wiedzie do zwycięstw zastępy Izraela, jeżeli wyruszają w pole za Jego sprawę, ku chwale Jego Imienia, lub dla ocalenia Jego ludu. Bóg Izraela otrzymał dzięki temu miano swoiste, myśl tę jaknajdobitniej oddające, nazwano Go „Bogiem zastępów Izraela (Ihweh Cebaot),“ który im w walce daje zwycięstwo. Przed każdą wojną wzywano odtąd Króla Cebaot i hufce izraelskie szły do boju z przeświadczeniem, że nigdy uledz nie mogą. Przeświadczenie to i w późniejszych czasach cuda zdziałało.

Lecz radość, jaką wywołały te doniosłe zdobycze, niebawem zmąconą została. Pomyślność państw, jak szczęście osobników, rzadko bywa długotrwałą, lub też po dniach słonecznych nastać muszą pochmurne, aby ludy nie zgnuśniały w słodkim wywczasie. Jeden błąd Dawida nietylko pozbawił go wewnętrznego zadowolenia i pokoju, lecz wstrząsnął podwalinami państwa, które z takim wysiłkiem założył. Gdy po zwycięstwach, odniesionych nad Aramejczykami, powrócił do domu i odpoczywał po trudach wojennych, — Joab tymczasem z wojskiem i drużyną bohaterską oblegał stolicę Ammonitów — ujrzał z dachu wyniosłego pałacu, gdzie w godzinach wieczornych szukał ochłody, piękną niewiastę, żonę jednego z najwierniejszych swoich wojowników, Chityjczyka Urjasza. Domy bohaterów Dawida zbudowane były na Cyonie w pobliżu pałacu i dzięki temu spojrzenie jego padło na nadobną Batsebę. Porwany nagłym wybuchem namiętności, nie potrafił chuci powściągnąć i przez gońców wezwał ją do siebie. Powolną była królowi. Po niejakim czasie Dawid dowiedział się, że cudzołóstwo jego z Batsebą nie pozostało bez następstw i, usiłując cześć swą ocalić, brnął coraz bardziej w grzechy. Odwołał męża jej, Urjasza, z obozu do Jerozolimy, przyjął go uprzejmie i pozwolił mu udać się do domu i zażywać uciechy z małżonką. Ponieważ Urjasz z pozwolenia tego nie skorzystał—pobudką było wygórowane poczucie obowiązku, tym razem nader niewygodne dla Dawida—król przemyśliwał, jakby się wywinąć z kłopotu, i z błędu zabrnął w zbrodnię. Widząc, że honoru swego ocalić nie może, postanowił zgładzić męża. Wyprawił Urjasza napowrót do obozu z pismem do Joaba, w którem polecił hetmanowi na wypadek wycieczki Ammonitów wyznaczyć oddawcy stanowisko, gdzieby go czekała śmierć niechybna. Życzeniu króla zadość się stało; Urjasz padł strzałą przeszyty. Batseba,

według zwyczaju, opłakiwała poległego męża, a gdy upłynął czas żałoby, zabrał ją Dawid jako małżonkę do pałacu i urodziła mu syna, który zmarł niebawem.

W każdem innem państwie taki kaprys króla omawianoby w kołach dworskich cichym szeptem, nie ganionoby go nazbyt i w każdym razie prędko o nim zapomniano. Do ludu doszłyby co najwyżej niepewne pogłoski. Cóżbo się stało? Urjasz poległ na wojnie. Któż wiedział za czyją sprawą? Jeden tylko Joab. Wdowa Batseba zamieszkała w gineceum Dawida,—mogłoż to gorszyć kogo? Powiła syna, o kilka może miesięcy zawcześnie. Któż mógł lub chciał sprawdzać liczbę miesięcy? Dziecko mogło uchodzić za pogrobowca Urjasza. Lecz w państwie izraelskiem było oko, które umiało przenikać sztuczne mroki, i sumienie, które głosem donośnym wytykało błędy grzesznikowi, chociażby nawet był królem. Profetyzm był tem okiem przenikliwem i nieubłaganem, czujnem sumieniem. Najpiękniejsze jego zadanie na tem właśnie polegało, że nie pozwalał zbrodni zacierać lub płaszczykiem cnoty pokrywać, bacząc, by nie przeszła w nałóg, lecz owszem w całej jaskrawości wystawiał ją i piętnował. Dawid mniemał pewno, że Batseba tylko była uczestniczką tajemnicy cudzołóztwa i że tylko Joab znał sprawcę śmierci Urjasza. Nagle ku przerażeniu jego rozwiały się te złudzenia.

Pewnego dnia stanął przed Dawidem prorok Natan i prosił, aby mu pozwolił skargę przed siebie wytoczyć. Spokojnie opowiedział przypowieść o właścicielu trzód bogatych, który zagarnął jedyną owcę ubogiego. Wysłuchawszy tej skargi, Dawid wzdrygnął się na takie bezprawie i rzekł z oburzeniem, że nieludzki bogacz na śmierć zasłużył, a przynajmniej owcę porwaną z lichwą wrócić winien. Na to odparł prorok: „Tyś jest ten człowiek.“

Każdy inny król odpłaciłby przykładnym odwetem karcicielowi, któryby się odważył zuchwale powiedzieć

słowa prawdy ukoronowanej głowie, wrzekomemu obrazowi Boga na ziemi. Ale Dawid, gdy mu stawiono przed oczy zwierciadło jego nieprawości, rzekł przejęty skruchą: „Tak, zgrzeszyłem.“

Lecz chociaż Bóg ciężkie grzechy odpuścił królowi, nie przebaczyli mu ich ludzie; podkopały one złowrogo spokój Dawida i dobrobyt kraju. Batseba, żona Urjasza, była córką Eliama, jednego z bohaterskich wojowników Dawida, a wnuczką doradcy jego, Achitofela. Dziad czuł się dotkniętym na czci przez shańbienie wnuczki i nie wybaczył tego nigdy Dawidowi. Milczał wprawdzie i krył się z nienawiścią, lecz podsycał ją ciągle w swem sercu i czekał tylko dogodnej pory, aby dać ją uczuć królowi. Dawid czynił co mógł, by go ułagodzić. Wyniósł Batsebę do godności pierwszej królowej, przyrzekł jej w tajemnicy, że syna z niej zrodzonego, Salomona, uczyni dziedzicem korony, i uroczyście zaprzysiągł tę obietnicę. Ale Achitofel nie dał się przebłagać. Sprawę i tak już zawikłaną pogmatwał jeszcze bardziej brzydki wypadek w rodzinie Dawida, który zatruł mu ostatnie lata życia i był może następstwem własnych win jego.

Najstarszy syn Dawida, Amnon, w mniemaniu, że jako następca tronu, za jakiego się uważał, na wszystko sobie pozwolić może, pokochał przyrodnią swą siostrę, Tamarę, miłością namiętną, lecz występną. Mógł był wprawdzie prosić o jej rękę, ale o tem nie myślał. Idąc za zgubną radą przyjaciela, zwabił ją pod pozorem choroby do swego mieszkania, zgwałcił i do bezwstydu przydając obelgę, kazał wypędzić ją z izby, jak gdyby ona to właśnie jego, cnotliwego Józefa, uwieść zamierzała. Rozdarłszy na sobie szatę, szła Tamara do swojej komnaty z załamanemi rękoma i z płaczem. W tym stanie rozpaczy spotkał ją brat jej, Absalom, i na jej widok myśl jakaś błysnęła mu w głowie. Uspokoił siostrę, nakazał jej milczenie i przyrzekł, że pomści jej hańbę. Wieść o zuchwałym postępku Amnona doszła do uszu Dawida i dotknęła go boleśnie; lecz zbyt pobłażliwym był dla swych dzieci i na sprawki ich i wykroczenia patrzał przez palce. Absalom potrafił zataić nienawiść do starszego brata, hańbiciela siostry, i ukryć zgubne dlań zamysły. Nie zamienił z nim słowa przyjaznego, lecz nie odezwał się też z słowem niechęci, aby zarówno jego, jak i ojca, ukołysać uczuciem bezpieczeństwa i wpoić w nich przeświadczenie, że zapomniał o sromocie swej siostry. Przebiegłością nie ustępował Achitofelowi, który zawarł z nim może przymierze i nakreślił mu plan działania.

Pewnego dnia Absalom, którego dobra i trzody znajdowały się w pobliżu Jerozolimy, zaprosił na uroczystość strzyży owiec wszystkich synów królewskich. Podczas uczty, z okazji tej wyprawionej, słudzy jego napadli z rozkazu swego pana na Amnona i zadali mu cios śmiertelny. Popełniając tę zbrodnię, Absalom miał cel podwójny na oku. Pomścił niesławę siostry i spodziewał się, że przez usunięcie starszego brata utoruje sobie drogę do tronu. Wieść o tem morderstwie oszołomiła Dawida. Jego syn bratobójcą! Pierwszą jego myślą było podążyć za wyrodnym synem, który po dokonaniu niecnego czynu uciekł do swego dziada, na północnozachodnie pogranicze Jehudy, i wymierzyć mu zasłużoną karę, nie cofając się nawet przed użyciem siły zbrojnej. Lecz oparły się temu wpływy uboczne, w ogóle bowiem od wypadku z Batsebą na dworze Dawida wszczęły się intrygi. Joab przeciwny był przeznaczeniu na następcę tronu Salomona, najmłodszego z synów, i sprzyjał Absalomowi, który obecnie był najstarszym. Również Achitofel, nieomylny doradca Dawida, pragnął ocalenia Absaloma, gdyż zamierzał użyć go za narzędzie przeciw ojcu.

Gdy Dawid postanowił udać się do występnego syna, lub zażądać jego wydania, uciekł się Joab do podstępu, aby go odwieść od tego zamiaru. Wezwał do siebie mądrą i wymowną niewiastę z poblizkiego miasta Tekoa i polecił jej wystawić królowi w najżywszych barwach całą zgrozę zamysłu ojca, który godzi na życie rodzonego syna, ponieważ dopuścił się zabójstwa, niepozbawionego zresztą słusznych powodów.

Roztropna niewiasta udała się przeto do króla w szatach żałobnych, jak gdyby przyszła błagać go o sprawiedliwość i zawołała głosem żałośnym: „Ratuj mnie, królu, ratuj!“ Gdy Dawid zapytał, czego żąda, opowiedziała mu przypowieść o dwóch braciach, z których jeden zabił drugiego, a pomimo obsłony król natychmiast zrozumiał, że napomyka ona o stosunku jego do Absaloma. Kiedy kobieta z Tekoa w końcu wyznała mu szczerze, że Joab był istotnym autorem tej maskarady i zmyślenia, kazał go król zawołać i polecił mu sprowadzić Absaloma do Jerozolimy. Mądra i zręczna mowa niewiasty z Tekoa przekonała Dawida, że wywarcie krwawej zemsty na własnym synu byłoby niedorzecznością.

Joab sprowadził Absaloma z Geszur, gdzie się ukrywał, jednakże po powrocie do Jerozolimy nie wolno mu było pokazywać się ojcu, lecz w domu swym musiał pędzić życie wygnańca. Nie domyślał się Joab, że wstawiennictwem swojem wniósł niepokój do domu Dawida. W odosobnieniu, na jakie go niełaska króla skazała, Absalom dniem i nocą knuł zbrodnicze plany strącenia z tronu ojca. Lecz aby bezpiecznie dokonać zamiaru, uciekł się do sztuczek obłudnych. Przedewszystkiem musiał dążyć do pozornego przynajmniej pojednania się z ojcem.

Wreszcie gdy już dwa lata minęły od powrotu Absaloma do Jerozolimy, zdecydował się Dawid, za przyczyną Joaba, przypuścić go przed swoje oblicze. Przy

spotkaniu udawał Absalom po mistrzowsku skruchą przejętego, uległego syna, otrzymał od Dawida pocałunek ojcowski i pojednanie nastąpiło. Siedm lat już upłynęło od śmierci Amnona.

Teraz intrygi następowały jedna po drugiej. Absalom miewał niewątpliwie częste schadzki tajemne z Achitofelem i działał według jego wskazówek. Odtąd grał rolę następcy tronu, sprowadził sobie z Egiptu rumaki i wozy, otoczył się drabantami i w ogóle rozwinął przepych królewski. Był najpiękniejszym mężczyzną swego czasu, w pełni wieku męzkiego, liczył bowiem wtedy lat trzydzieści kilka. Włos bujny, piękny, spływał mu, jak lwia grzywa, na kark i ramiona. Wszystkich, co się doń zbliżali, czarował swoją uprzejmością. A Dawid w zaślepieniu swem nie widział, że przebiegły syn przeciąga na swoją stronę umysły życzliwe dotąd królowi. Absalom czekał tylko sposobnej okazji, aby otwarcie wystąpić przeciw ojcu i zagarnąć władzę. Sposobność ta nastręczyła się niebawem.

W ostatnich latach swego panowania Dawid, jak się zdaje, pracował nad planem wielkiej wyprawy, która wymagała znacznego pocztu wojowników. Już był zwerbował nowe zaciągi najemne, sześciuset Chityjczyków pod wodzą Itai, który, przejęty bezgranicznem uwielbieniem dla bohaterskiego króla, dawał mu dowody niezmiennego przywiązania. Chciał też król powziąć wiadomość o liczbie zdolnych do noszenia broni mężów wszystkich pokoleń izraelskich, poczynając od dwudziestoletnich i wyżej, aby się przekonać, czy może na ich czele podjąć wojnę, przypuszczalnie trudną i długotrwałą. Spis zdatnej do broni ludności powierzył król naczelnemu wodzowi, Joabowi, i innym dowódcom. Z cyfr, które nas doszły—o ile są dokładne — wynikałoby, że cały kraj mógł dostarczyć miliona bitnych młodzieńców i mężów i że ludność jego wynosiła około czterech milionów.

Ten spis ludności był jednak, jak się okazało, chybionym pomysłem, który Dawid ciężko odpokutować musiał, wywołał bowiem w narodzie ogromne niezadowolenie. Już sam przez się był niepopularny, gdyż wskazywał, iż zanosi się na brankę i wojnę długotrwałą. Nadomiar, zgodnie z ówczesnymi poglądami, zapanowała obawa, że spis ludności pociągnąć musi za sobą zgubne następstwa. Gdy więc wkrótce potem wybuchła straszna zaraza i porwała znaczną ilość ofiar, to wielu powzięło niezłomne przekonanie, że spis to właśnie klęskę tę na kraj ściągnął. Stolica, rzecz prosta, z powodu większego skupienia ludności, ucierpiała najwięcej od moru. Na widok stosu ciał, lub, mówiąc obrazowym językiem owych czasów, „anioła zniszczenia," który lud porywał, modlił się Dawid: „Zgrzeszyłem i zbłądziłem, cóż zawiniła biedna trzoda? Niechaj ręka Twa dotknie mnie i dom ojca mego." Zaraza ominęła trafem pagórek Morija, na którym osiedli Jebusyci. Natychmiast też zwiastował prorok Gad królowi, że gdy na tym pagórku zbuduje ołtarz, i złoży ofiarę, wówczas wygaśnie zaraza w Jerozolimie. Dawid udał się tam niezwłocznie wraz z całym swym dworem. Naczelnik Jebusytów, Arna, pospieszył na spotkanie Dawida, powitał go i z pokorną gotowością przystał na życzenie króla, który chciał nabyć na własność pagórek i postawić na nim ołtarz.

Zaledwie stanął z pośpiechem wzniesiony ołtarz i złożono ofiarę, aliści ustała pono w Jerozolimie zaraza. Odtąd pagórek Morija uchodził za miejsce uprzywilejowane, do którego klęska przystępu nie miała i gdzie też niegdyś Abraham zamierzał ofiarować syna swego, Izaaka. Lecz zaraza odstręczyła naród od Dawida; zwalił on nań odpowiedzialność za śmierć tysięcy, zmiecionych tak nagle przez „anioła zniszczenia." Niechęć tę wyzyskał Achitofel dla celów swej zemsty i użył Absaloma za narzędzie. Obmyślił wespół z nim plan sprzysiężenia, który nie mógł ich zawieść.

W Hebronie, stolicy pokolenia Jehudy, miało wszcząć się najpierw powstanie. Tu starszyzna była już po stronie Absaloma. Aby podróżą do Hebronu nie ściągnąć na siebie podejrzenia, umiał Absalom tak zręcznie upozorować ją przed królem, że Dawid, nie przeczuwając knowań, pozwolił mu wyruszyć w drogę.

W towarzystwie przyjaciół, drabantów i dwustu poważanych obywateli jerozolimskich, których pod jakimciś pozorem zaprosił, przybył Absalom do Hebronu. Tych dwustu w niewinności ducha przyczyniło się do powodzenia spisku; gdy bowiem mieszkańcy Hebronu ujrzeli, że znakomici nawet mężowie stołeczni przeszli na stronę Absaloma, uważali sprawę Dawida za przegraną. Achitofel, zmyśliwszy jakiś pretekst, wydalił się ze dworu i przybył również do Hebronu, gdzie otwarcie oświadczył się za Absalomem, co było rzeczą pierwszorzędnej wagi, uchodził bowiem powszechnie za prawą rękę Dawida. Plan sprzysiężenia udał się zupełnie. Hebronici i reszta obecnych obwołali przy ołtarzu ofiarnym Absaloma królem. Niektórzy też członkowie domu Dawida, idąc za podszeptem ambitnych nadziei, przyłączyli się do Absaloma, a zwłaszcza Amasa, brat jego cioteczny, który uważał się za wielkiego wodza i czuł się upośledzonym wyniesieniem Joaba. Gońcy, trąbiąc na rogu, dawali po miastach umówione sygnały, a zjednani Absalomowi spiskowcy, zbiegali się gromadnie i wołali również: „Niech żyje król Absalom!" Porywali za sobą tych wszystkich, co nie ochłonęli jeszcze z oburzenia, jakie wywołał spis ludności, nakazany przez Dawida, oraz tych, co w zamęcie i przewrocie szukali korzyści dla siebie. Benjaminici, zepchnięci z pierwszorzędnego stanowiska, jakie za Saula zajmowali, wiecznie niezadowoleni Efraimici, których najbardziej cieszył upadek Dawida, tem skwapliwiej przysięgli na wierność przywłaszczycielowi korony, że spodziewali się pewno przez strącenie z tronu Dawida

odzyskać dawne swe znaczenie, lub dawną niepodległość. Sądzili, że łatwiej niż z Dawidem dadzą sobie radę z próżnym Absalomem, który nie długo cieszyć się będzie względami narodu. Z wielu miast, ze wszystkich pokoleń przybywali do Hebronu wysłańcy dla złożenia przysięgi nowemu królowi i z każdym dniem rosły zastępy jego zwolenników.

Zrazu wodzireje spisku otaczali go, rzecz prosta, tajemnicą; nie wolno było nikomu jeździć z Hebronu do Jerozolimy, aby wieść o nim nie dotarła do stolicy. Dawid dowiedział się o sprzysiężeniu wówczas dopiero, gdy detronizacya jego była już faktem spełnionym i gdy odstąpiły go pokolenia domu Jehudy i domu Izraela. Była to dlań chwila bolesna. Lecz natychmiast powziął postanowienie: nie chciał dopuścić do wojny domowej, którą doradzali mu zapewne synowie Cerui i inni stronnicy. Opuszczony przez wszystkie pokolenia, musiałby zamknąć się w stolicy, która nie zdołałaby się ostać przeciw naporowi licznych zastępów, a wówczas — co do tego nie łudził się bynajmniej — niecny Absalom nie cofnąłby się przed sprawieniem rzezi w Jerozolimie. Związek Achitofela z samozwańczym synem najbardziej bolał Dawida. Ogarnęło go zniechęcenie. Po niewczasie spostrzegł się, że sprzysiężenie gotuje się oddawna. Teraz zrozumiał, że wobec gruntownie obmyślonego planu wszelki opór na złe mu tylko wyjść może, oznajmił więc swym sługom, że opuści natychmiast Jerozolimę, zanim Absalom zdąży nadciągnąć z Hebronu z liczną rzeszą swoich zwolenników.

W ucieczce Dawid przekonał się, że posiada jeszcze wiernych przyjaciół, gotowych oddać zań życie. Gdy z pałacu swego przybył na rynek przekupniów pachnideł u południowowschodniej bramy miasta, spostrzegł na swoją pociechę, że towarzyszył mu liczny orszak; nietylko wódz naczelny, Joab, i brat jego, Abisai, ze swymi hufcami, nietylko znaczna część drużyny bohaterskiej, najemne wojsko Kreti i Pleti wraz z swym dowódcą, Benajahu, lecz również Itai Chityjczyk z sześciuset wojownikami, których Dawid przed niedawnym czasem zwerbował.

Ludność stolicy zanosiła się od płaczu, gdy Dawid szedł doliną Kidron, aby przez górę Oliwną uciec do pustych okolic Jordanu. Szukać schronienia w jakiemkolwiek mieście nie śmiał z obawy przed zdrajcami. Podążyli za nim dwaj arcykapłani, Cadok i Abiatar, z Lewitami i przynieśli arkę przymierza. Dawid polecił im odnieść arkę do Cyonu i rzekł łagodnie: „Jeśli znajdę łaskę u Boga, że wróci mnie do Jerozolimy, ujrzę znów arkę przymierza i przybytek, jeżeli zaś Bóg mnie odtrąci, gotów jestem poddać się Jego wyrokom.“

Sądził też, że obaj kapłani większą usługę oddać mu mogą w Jerozolimie, niż na wygnaniu. Podczas gdy oni pośpiesznie wracali z arką przymierza do Jerozolimy, Dawid wstępował na górę Oliwną, boso, z zakrytą głową, tonąc we łzach; cały orszak jego wybuchnął głośnym płaczem. Lecz gdy smutek i rozpacz króla wezbrały, zbliżył się doń na najwyższym punkcie góry Oliwnej z przeciwnej strony przybywający przyjaciel, co miał mu przynieść ocalenie.

Chuszai z miasta Erech, powiernik Dawida i doradca, mądrością nie ustępujący Achitofelowi, przybył w szatach żałobnych, aby dzielić z królem niedolę. Ale Dawid ofiary tej nie przyjął, w przeświadczeniu, że starzec nie podołałby mozołom życia wygnańczego, natomiast przy boku Absaloma mógłby mu większą wyświadczyć przysługę, obracając w niwecz zamysły Achitofela i nadsyłając mu w tajemnicy wskazówki. Posłuszny królowi, Chuszai udał się do Jerozolimy.

Pierwsze miasto, które Dawid mijał w ucieczce, było benjaminickie Bachurim. Zamiast życzliwego przyjęcia

spotkały go tu tylko obelgi i zniewagi. Pewien Benjaminita, Szimei, klął i lżył Dawida: „Ty krwiożerco, wyrzutku, Bóg ci odpłacił za to, coś uczynił domowi Saula, którego koronę przywłaszczyłeś sobie.“ Kawał drogi towarzyszył Dawidowi, ciskając nań kamieniami i sypiąc ziemią, że aż wojownicy musieli zasłaniać króla. Lecz i przyjaciół znalazł Dawid w Bachurim. Upokorzony i wyczerpany przybył przez pustynię w strony Jerycha. Tu król nieszczęsny zamieszkał z swoją świtą w namiotach i odpoczywał po wysiłkach ciała i duszy, wyczekując wieści, które mu nadesłać mieli z Jerozolimy wierni przyjaciele.

Kiedy Dawid w ucieczce dążył nad Jordan, Absalom tymczasem wszedł z spiskowcami i zdrajcami do Jerozolimy, mając u boku złego doradcę, Achitofela. Ten podusczał samozwańca do nowych niegodziwości, aby na zawsze zerwał z ojcem i uniemożliwił pojednanie. Namawiał go do zagarnięcia haremu Dawida i shańbienia dziesięciu nałożnic, które tam przebywały. Nie obchodziło to bynajmniej Achitofela, że sromotnym tym czynem Absalom może ściągnąć na siebie nienawiść narodu. Pragnął tylko pomścić się na Dawidzie i strącić go z tronu. Absalom nie był dlań niczem, tylko narzędziem. Występny półgłówek, który się kazał królem nazywać, lecz bez doradców niezdolny był do żadnego przedsięwzięcia, dał się nakłonić do tego bezeceństwa.

Lecz podczas gdy Absalom nurzał się w zbrodniach, przy jego boku znajdował się mąż, który miał zniweczyć zbrodnicze zamiary uzurpatora. Chuszai złożył pozorny hołd nowemu królowi i zapewnił go, że służyć mu będzie z tą samą wiernością, z jaką służył jego ojcu. Na podstęp użył podstępu, a Absalom obdarzał go zaufaniem. Przy współudziale obecnych w Hebronie starszych pokoleń odbyła się narada, na której zastanawiano się nad środkami zwyciężenia i zgubienia Dawida. Achitofel z szatańską przebiegłością radził niezwłocznie, tejże jeszcze

nocy, puścić się z licznem wojskiem w pogoń za Dawidem, niespodzianą napaścią i przewagą liczebną rozproszyć słaby jego hufiec, samego zaś króla, wyczerpanego i przygnębionego — takim bowiem wyobrażał go sobie — wziąć do niewoli i zabić. Po jego zgonie naród bez wyrzutów sumienia i szczerze przywiązałby się do nowego króla.

Chuszai, zapytany o zdanie co do planu wyprawy na Dawida, oświadczył się przeciw wnioskowi Achitofela, który według niego nie rokował zgoła powodzenia, i opinję swą poparł tak wymownymi, acz pozornymi dowodami, że Absalom dał się wyprowadzić w pole. Radził natomiast ściągnąć wszystkie siły, a rada ta przeważyła zdanie Achitofela. Zaniechano natychmiastowego pościgu i odroczono pochód do czasu zebrania liczniejszych zastępów. Chuszai oczywiście zawiadomił niezwłocznie Dawida o wynikach obrad przez Jonatana i Achimaasa, synów obydwu arcykapłanów.

Pierwszy pomyślny zwrot dla Dawida nastąpił, gdy Achitofel opuścił Jerozolimę i w mieście rodzinnem Gilo powiesił się z żalu, że Absalom radę jego odrzucił, a może też wskutek przekonania, że gdy Dawid zyska na czasie, to sprawa Absaloma musi być przegraną, a wtedy nie minie go zasłużona kara. To samobójstwo Achitofela było ciężkim ciosem dla samozwańca, bo w gronie swych powierników nie posiadał ani jednego zdolnego męża, sam zaś nie odznaczał się duchem wojowniczym, ani przezornością. Naczelny wódz jego, Amasa, mało okazał dzielności. Zwołano wprawdzie pospolite ruszenie, lecz zanim wojsko się zebrało, Dawid zdążył daleko posunąć swoje przygotowania do walki. Udał się do Machanaim, z tamtej strony Jordanu, a mieszkańcy tego miasta przyjęli go z taką samą serdecznością, z jaką niegdyś przyjmowali zbiegłego syna Saula. Wszyscy Izraelici zajordańscy oddali się pod jego rozkazy, aby

pomagać mu do zwalczenia niecnego syna. Dwuch mężów z Gileadu przesadzało się w uprzejmości dla nieszczęśliwego króla i ojca i zaopatrywali cały dwór jego we wszelkie potrzeby.

Gdy Absalom, lub Amasa, zebrał nareszcie znaczną ilość żołnierza, wojsko przeszło wbród Jordan i zbliżyło się do Machanaim. W lesistej okolicy tego miasta Absalomici stanęli obozem bez wszelkiego, zda się, planu i ładu Dawid natomiast podzielił swój hufiec na trzy części, z których jedną dowodził Joab, drugą Abisai, a trzecią Itai, wszyscy trzej doświadczeni wojownicy i wodzowie. Samego Dawida usunęli dowódcy od udziału w boju, znali bowiem jego słabość dla wyrodnego syna. Wszczęła się walka, która pochłonęła wiele ofiar. Lubo Absalomici rozporządzali przeważającemi siłami, ulegli jednakże, bo walczyli bezładnie i nie umieli orjentować się w lesie, gdy przeciwnie wojsko Dawida stało jak jeden mąż. Las był dla nich zgubniejszym jeszcze od miecza; legło w nim pono dwadzieścia tysięcy wojowników. I samego Absaloma las Refaim o zgubę przyprawił. Zaczepiwszy się długimi włosami, którymi tak się pysznił, o gałąź wielkiego dębu, zawisł na niej, a muł jego pocwałował dalej. Cios śmiertelny dziwnem zrządzeniem losu zadał mu sam Joab, on, co mu niegdyś tak sprzyjał, czem mimowoli poparł buntownicze zamysły. Joab rozkazał wnet zatrąbić w róg, co było sygnałem dla wojska Dawida, aby dalszej walki zaprzestało. Absalomici, dowiedziawszy się o zgonie swego króla, rzucili się do ucieczki i przeszli Jordan.

Tak się skończyła druga wojna domowa za panowania Dawida, wojna tembardziej godna potępienia, że syn i ojciec stanęli tu wrogo naprzeciw sobie. Smutne były jej następstwa. Przedewszystkiem należało donieść Dawidowi o zwycięstwie, zadanie nader przykre, boć każdy wiedział, jak boleśnie dotknie Dawida, bez względu

na wszystko, co zaszło, śmierć wyrodnego syna. Wieść o niej istotnie przeraziła Dawida, płakał i szlochał i wołał raz po raz: „Synu mój, synu mój, Absalomie, radbym był umrzeć miasto ciebie.“ Niezbadane są głębie serca ojcowskiego. — Uważał może Absaloma raczej za ofiarę Achitofela, który go w sidła swe uwikłał i do buntu nakłonił.

Wojownicy nie śmieli wkroczyć w tryumfie do Machanaim, lecz wkradli się chyłkiem do miasta, jak gdyby po doznanej porażce wstydem okryci wracali. Dawid zamknął się przed ludźmi i opłakiwał ustawicznie śmierć syna. Nareszcie Joab, nabrawszy odwagi, w ostrych słowach strofował go za niewdzięczność, jakiej się swym żalem względem wojowników dopuszcza. Aby wyrwać króla z boleści, w której się pogrążył, nie cofnął się nawet przed groźbą: Jeżeli nie ukaże się natychmiast wojownikom, nie przemówi do nich przyjaznemi słowy, to wszyscy wierni tejże nocy jeszcze porzucą go i pozostawią własnemu losowi. To surowe upomnienie szorstkiego, lecz wiernego Joaba sprawiło, że Dawid przemógł swój smutek i ukazał się ludowi.

Po Absalomie ślad tylko został. Zwłoki jego wrzucono do dołu w lesie Refaim i zasypano wielkim stosem kamieni. Nie zostawił syna, jeno piękną córkę; trzech synów, co mu się urodzili, śmierć jeszcze przed powstaniem zabrała, jak gdyby niewart był syna, kto na życie własnego ojca godził. Atoli za krótkiego panowania swego wzniósł sobie pod Jerozolimą, w dolinie Królewskiej, grobowiec wspaniały, „pomnikiem Absaloma“ zwany, co miał uwiecznić jego imię, a tylko hańbę jego uwiecznił. Lecz jego czyny zbrodnicze zostawiły w dziejach więcej śladów. Po ukończeniu wojny zamierzał Dawid wrócić do Jerozolimy; nie chciał się jednak narzucać pokoleniom, wolał czekać, aż same ze skruchą doń przyjdą i hołd mu złożą. Rzecz dziwna, że właśnie wśród pokoleń północnych nastąpiła

najpierw pomyślna dla Dawida zmiana przekonań. Lud wołał do starszych: „Król, co nas od wrogów wybawił, musiał uciekać przed Absalomem... Czemuż nie spieszycie sprowadzić go napowrót?“ Natomiast pokolenie Jehuda, wbrew oczekiwaniu, ociągało się z objawami wierności dla króla, co ród swój z niego wywodził. Czy od pojednania z Dawidem powstrzymywał je wódz naczelny samozwańca, Amasa, który nie mógł liczyć na przebaczenie? Wywierał on wielki wpływ na Judejczyków. Wątpić się godzi, czy roztropnie postąpił Dawid, przyrzekając mu potajemnie amnestję i wyniesienie na godność pierwszego wodza naczelnego, jeżeli hołd złoży królowi, i przekładając starszym tego pokolenia, że obowiązkiem ich jest prosić króla, aby powrócił do stolicy. Wskutek tego Judejczycy wyprawili do Dawida poselstwo z formalnem zaproszeniem.

Z większą świtą od tej, z jaką w ucieczce przeprawiał się przez Jordan, wracał teraz Dawid, mając przy boku szczerych przyjaciół i wielbicieli. Pierwszem miastem po przebyciu Jordanu był Gilgal. Tu czekali nań wysłańcy pokoleń przedjordańskich celem złożenia mu ponownego hołdu; widząc, że ubiegli ich Judejczycy, zdumieli się i obrazili. Spodziewali się, że Judejczycy pospołu z nimi wyruszą na spotkanie Dawida, i w gorliwości tej dopatrywali się obłudy, którą dom Jehuda pragnął zaskarbić sobie łaski królewskie ku szkodzie domu Izraela.

Starsi izraelscy nie taili się z swojem niezadowoleniem, lecz objawili je w obecności Dawida. Judejczycy nie zostali im dłużni odpowiedzi. Obie strony zwaśnione zawzięły się na siebie. Dawid, jak wnosić można, skłaniał się ku Judejczykom. Pewien Benjaminita, Szeba z rodziny Bichri, skorzystał z zamętu, zadął w róg i zawołał: „Nie mamy działu w Dawidzie, ani dziedzictwa w synu Isai, niechaj każdy z Izraela powróci do swego namiotu!“ Posłuszni temu wezwaniu, starsi pokoleń północnych oddalili się i poszli za Szebą. Tylko Judejczycy dochowali wiary Dawidowi i odprowadzili go do Jerozolimy. Radosny powrót zatruło zmartwienie. Wybuchła nowa rozterka i nowa wojna bratobójcza stanęła u progu. W tem smutnem położeniu Dawid zdecydował się na krok, który, stosownie do poglądu, uważać można za mądry, lub nieroztropny. Odkąd król się dowiedział, kto był sprawcą śmierci Absaloma, Joab wpadł w niełaskę: Dawid nie chciał zostawić mu nadal urzędu wodza naczelnego, a zresztą stanowisko to przyrzekł Amasie i pragnął mu słowa dotrzymać. Ponieważ pokolenie Jehuda było obecnie jedyną jego podporą, czuł tembardziej konieczność zjednania sobie Amasy, który na Judejczyków wpływ przemożny wywierał.

Tak więc za plecami Joaba polecił Dawid Amasie zwołać w ciągu trzech dni wojowników pokolenia Jehudy i wyruszyć przeciwko wichrzycielowi. Termin jednak upłynął, a Amasa nie dawał znaku życia. Zaniepokoiło to Dawida. Miałżeby go Amasa zdradzić i przejść na stronę buntowników? Pośpiech był niezbędny, aby nie dopuścić Szeby do zajęcia miast warownych. Nie miał Dawid innego wyboru, jeno zwrócić się znowu do synów Cerui, wojowników doświadczonych, których niezmiennej wierności nie zdołały zachwiać doznawane często upokorzenia. Jednakże Dawid nie chciał poruczyć naczelnego dowództwa Joabowi, lecz powierzył je bratu jego, Abisai. Pomimo to Joab uczestniczył w pochodzie, a raczej on to właściwie był wodzem. Zdaje się, że wydał odezwę do ludu, aby gromadnie doń spieszył. Przybywszy do Gibeon, zetknął się z podejrzanym Amasą i pchnięciem miecza pozbawił go życia. Nie zatrzymując się tu dłużej, wierni synowie Cerui puścili się w pogoń za buntowniczym Szebą. Judejczycy, których zaciągnął Amasa, podążyli za nimi i we wszystkich mia-

stach, jakie mijali, spotykali zwolenników Dawida. Szeba nie zjednał sobie wielu stronników; z szczupłym hufcem, który mu towarzyszył, rzucił się na warowne miasto Abel, a reszta jego wojska zajęła o godzinę odeń na wschód położony Dan, u stóp Hermonu. Nie wzywając mieszkańców do poddania się, Joab otoczył pospiesznie wałem miasto Abel i poprowadził przekopy celem zburzenia murów. Popłoch padł na mieszkańców. Wówczas jakaś mądra niewiasta wymownemi słowy czyniła mu z muru gorzkie wyrzuty: „Należało wpierw przecież przemówić, należało zapytać w Abel i Dan, czy wszyscy stronnicy pokoju i wierni znikli w Izraelu! Czemu pragniesz zagłady dzieci i matek Izraela? Czemu chcesz zburzyć dziedzictwo Izraela?“

Joab odparł, że chodzi mu o pojmanie męża, co podniósł rękę na króla; jeżeli mu wydadzą Benjaminitę, to niezwłocznie odciągnie od miasta. Mądra kobieta zaręczyła, że niebawem zrzucą mu z muru głowę buntownika. Tak też się stało, a Joab odstąpił od oblężenia, rozpuścił wojsko i powrócił z wieścią o zwycięstwie do Jerozolimy. Dawid musiał wbrew woli zostawić mu godność wodza naczelnego.

Oczyszczony z grzechu wracał król do stolicy, bo za winę swą podwójnie ucierpiał i odpokutował. Shańbił potajemnie żonę jednego z najwierniejszych sług swoich, własny syn jego pohańbił mu żony; przelał krew Urjasza, potoki krwi popłynęły w własnym jego domu i omal nie pochłonęły go samego. Smutne doświadczenie przekonało go, że nawet król dobrotliwy nie może polegać na miłości narodu. Rozbiły się rozległe plany wielkiej wyprawy. U progu przeto starości, w ostatnich latach swego panowania, poprzestał na działalności wewnętrznej. Jedną myśl wszakże, którą zapewne długo żywił w swej duszy, chciał jeszcze przed śmiercią urzeczywistnić. Bogu Izraela, co go z tylu niebezpieczeństw wybawił, zamierzał wznieść wspaniałą świątynię.

Zanim atoli przystąpił do wykonania zamiaru, zasięgnął wpierw rady proroka Natana; prorok górował podówczas nad kapłanem: „Ja mieszkam w domu cedrowym, a arka boża ciągle jeszcze przebywa w namiocie ruchomym. Chcę zbudować dla niej świątynię z drzewa cedrowego.“ Natan pochwalił ten zamiar, lecz oświadczył, że Dawid nie jest powołany do zbudowania świątyni, bo za dużo krwi przelał, że jednak syn jego zadania tego dokona. Zwiastował też Dawidowi, że tron jego przetrwa długie lata, że długi szereg jego potomków królować będzie narodowi, jeżeli z drogi Pańskiej nie zboczą. Jakkolwiek Dawid z całego serca pragnął wznieść w Jerozolimie okazałą świątynię, poddał się jednak z pokorą obwieszczonym mu przez Natana wyrokom boskim i zaniechał zamiaru. A w żarliwej modlitwie przed arką przymierza złożył Bogu dziękczynienie za łaskę, której dostąpił, iż z prochu go wyniósł. Szczególną wdzięcznością przepełniła serce jego zapowiedź, że dom i tron jego królewski przetrwa długie wieki. Uczucia swe wylał w psalmie, co był może jego pieśnią łabędzią.

Lubo Dawid nie przystąpił do budowy świątyni, poczynił przecież ku temu przygotowania. Część łupu, który zdobył na ludach zwyciężonych, przeznaczył na rzecz świętego przybytku. On też niewątpliwie ustalił porządek służby bożej. Uchodził również za wynalazcę różnych narzędzi muzycznych, które później wprowadzono do liturgji.

Zanim wszakże doszedł do lat siedmdziesięciu, Dawid podupadł na zdrowiu. Pełna mozołów młodość, trudy wojenne, przygnębiające wypadki w rodzinie, sromotny postępek Amnona, bunt Absaloma, sterały go przedwcześnie. Ciepło uchodziło z jego ciała, marzł w gorącym klimacie Jerozolimy; ciepłe szaty, któremi się otulał, nie zastąpiły braku ciepła naturalnego. Korzystając z tej niemocy, czwarty syn jego, Adonjasz, usiłował zapewnić

sobie następstwo tronu. Był on po śmierci Amnona i Absaloma najbliższym dziedzicem korony, lękał się przecież, by mu się nie wymknęła, gdyby czekał na nią aż do zgonu ojca. Adonjasz nie zamierzał, jak Absalom, wszczynać buntu przeciw ojcu, chciał tylko, by prawa jego do tronu nie mogły nadal ulegać wątpliwości i aby uznali je dostojnicy państwa. Wszedł więc w stosunki z tymi sługami Dawida, co byli przeciwni następstwu Salomona, zwłaszcza z Joabem, który go popierał. Drugim powiernikiem był Abiatar, któremu Dawid, jak się zdaje, nie okazywał już dawnych względów.

Rozpoczęły się znowu intrygi na dworze. Adonjasz był niemal tak piękny, jak Absalom, i jak on umiał jednać sobie serca; cechowała go też, jak się zdaje, taż sama, co brata nieroztropność, ten sam brak zdolności do rządów. Dawid był dlań z takimże pobłażaniem, jak dla Absaloma, nie kładł tamy jego rozrzutności i tem samem uznawał go milczkiem za następcę. Pewnego dnia Adonjasz zaprosił swych powierników i wszystkich synów królewskich, wyjąwszy tylko Salomona, na ucztę u źródła Rogel na południowschodzie Jerozolimy. Pod skałą składano ofiary, a podczas biesiady wtajemniczeni wołali: „Niech żyje król Adonjasz!“ Pogłoska o hołdzie przenikła do miasta i do pałacu, Dawid tylko o niczem nie wiedział. Grzał zziębłe członki zamknięty w komnacie.

Pierwszym, któremu niepodobało się następstwo Adonjasza, był prorok Natan. Nie obcą mu była tajemna obietnica Dawida, dana pod przysięgą Batsebie, że syn jej, Salomon, tron po nim obejmie. Poszedł więc do niej, opowiedział, co zaszło, i ułożył z nią plan, który miał pokrzyżować zamiary Adonjasza. Batseba udała się do króla, przypomniała mu przysięgę i zauważyła, że w razie wstąpienia na tron Adonjasza ona i syn jej padną ofiarą, a małżeństwo jej z Dawidem naznaczone będzie piętnem hańby. Zaledwie skończyła przerywany szlochaniem obraz

smutnego losu, jaki ją czeka, jeżeli Salomon upośledzony zostanie, gdy zjawił się prorok Natan i potwierdził jej słowa. Dawid zdobył się na prędkie postanowienie, które tegoż dnia jeszcze wykonano. Zależało mu bardzo na przekazaniu, zgodnie z przysięgą, berła Salomonowi. Zwołał więc dostojników, których nie łączyły stosunki z Adonjaszem, i oznajmił im, że wolą jest jego, aby Salomon jeszcze za jego życia pomazany został na króla. Wszyscy oni ślubowali uroczyście, że uznają Salomona za swego pana, poczem Dawid kazał zgromadzić Kreti i Pleti, aby towarzyszyli Salomonowi, który na mule miał jechać z Cyonu do doliny Gihon, na zachodniej stronie miasta. Liczne tłumy ludu dążyły za nimi, a gdy arcykapłan Cadok i Natan namaścili Salomona olejem z naczynia, przechowywanego w przybytku, i wojownicy zatrąbili w rogi, lud zebrany zawołał: „Niech żyje król Salomon!“ Wielkie wzburzenie zapanowało dnia tego w Jerozolimie. Wschodnie góry rozbrzmiewały okrzykami: „Niech żyje król Adonjasz!“ a po zachodnich echa powtarzały: „Niech żyje król Salomon!“ Gdyby obaj synowie królewscy i ich zwolennicy niezłomnie obstawali przy swoich prawach, to przyszłoby znowu do wojny domowej. Lecz Adonjasz pod tym względem niepodobny był do Absaloma; nie chciał posunąć się aż do buntu. Skoro dowiedział się, że Salomon z rozkazu ojca namaszczony został na króla, odstąpiła go odwaga i podążył do ołtarza arki przymierza na Cyonie, aby w świątyni szukać schronienia. Salomon, który niezwłocznie objął rządy państwa, kazał oznajmić bratu, że włos mu z głowy nie spadnie, dopóki nie dopuści się żadnego przewinienia. Adonjasz udał się przeto do młodego króla, złożył mu hołd i doznał łaskawego przyjęcia. Na tem skończył się spór o koronę. Osłabienie Dawida wzmagało się coraz bardziej; zmarł po czterdziestu latach i sześciu miesiącach burzliwego panowania (ok. 1017). Otworzył szereg grobów

królewskich w pieczarze skalnej, którą założył na południowym stoku góry Cyon.

Nie ulega wątpliwości, że zgon Dawida opłakiwano szczerze, bo uczynił naród niepodległym, wielkim i szczęśliwym. Śmierć go opromieniła, zapomniano z czasem o jego błędach, wszak okupił je drogo. Potomność była dlań wyrozumialszą od współczesnych. Wielkie jego czyny, właściwa mu łagodność i pokora wobec Boga sprawiły, że w wspomnieniu późniejszych pokoleń Dawid przybrał postać króla idealnego, co świecił przykładem wszystkim lepszym monarchom. Stał się modłą, z którą porównywano poźniejszych królów z jego domu, by sprawdzić, o ile byli doń podobni lub niepodobni. Okres rządów Dawidowych zajaśniał w oddali czasów jako epoka najdoskonalsza, kiedy to panowały prawo i sprawiedliwość, bogobojność i zgoda, a siła sprzęgła się z pokorą. Z każdym wiekiem potężniała coraz bardziej aureola Dawida, przyoblekając go w kształty czyste, idealne, i czyniąc zeń wzór cnotliwego króla i świętego pieśniarza.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Król Salomon.

(1017—977).

Dawid zostawił państwo w tak kwitnącym stanie, że następca jego, jeżeli nie był półgłówkiem lub rozpustnikiem, jeżeli nie ulegał zgubnym doradcom, mógł sprawować rządy bez wielkich zachodów. Ale Salomon więcej uczynił, kraj Izraela otoczył blaskiem, przechodzącym najśmielsze marzenia, tak świetnym, że najpóźniejsze pokolenia grzały się w promieniach, co z panowania jego wytrysły. Zaprawdę, jeżeli król jaki potęgę i powagę państwa, acz nie zakłada, wszelako zachowuje, wzmacnia i mnoży, jeżeli na lud swój zlewa błogosławieństwo pokoju, jeżeli pełnym rogiem sypie na kraj

swój takie skarby, że z najniższej strzechy nędzę wypłasza, jeżeli poddanym swym toruje nowe drogi do sił rozwoju i przyczynia się doń wielkimi środkami, jeżeli nadomiar przenikliwym rozumem ogarnąwszy doniosłość dążeń umysłowych, nadaje im polot i sam też budzi i szerzy zmysł piękna, jeżeli za pomocą wszystkich tych tworów, materjalnych i umysłowych, kraj przez siebie rządzony czyni państwem wzorowem, jakie nigdy jeszcze przed nim nie istniało, to król taki niewątpliwie godzien jest szumnych pochwał, których nie szczędziła mu potomność. Ujęta ogromem dzieł jego, zamknęła nawet oczy na wady, uważając je za nieuchronne następstwo ułomności ludzkiej. Wszystkie te doniosłe znamiona przebijają się w Salomonie. Przedewszystkiem krajowi swemu zapewnił pokój, chociaż przy środkach, jakie mu ojciec zostawił, nietrudno było o nowe podboje. Ztąd też otrzymał swe imię, „król pokoju“ (Szelomo). Przysporzył ludowi dostatku i wygód życiowych, przez co wyrwał go z przygnębienia i nędzy. Rządził nim mądrze i sprawiedliwie, bezstronnie rozstrzygał spory jednostek i pokoleń. Zasiał kraj miastami i dbał o bezpieczeństwo dróg i wypraw handlowych, przepychem napełnił Jerozolimę i zbudował wspaniałą świątynię ku chwale Boga Izraela. Sam oddawał się poezji, przez co zapoznał naród z powabami życia. Wytknął wreszcie narodowi cele podniosłe i nauczył go ulatać nad poziomy. Słusznie też rozbrzmiewa jego sława jako króla mądrego.

Wszelako początek rządów Salomona krwią był zbryzgany, a koniec zaszedł chmurą, co blask ich przyćmiła. Upodobanie w przepychu wywarło na obyczaje wpływ szkodliwy. Salomon władzę królewską przeistoczył w surowy despotyzm, w którym wola wszystkich musiała się kornie przed jego wolą uginać. Włożył na naród jarzmo, które ten długo znosił cierpliwie, lecz otrząsnął się z niego w chwili przyjaznej. Ale despo-

tyzm ów nie był bądź co bądź podobny do egipskiego, który dusił wszelką dążność do swobody i trzymał naród w niewolniczej zależności.

Młodym był Salomon, gdy obejmował rządy, nie miał może lat dwudziestu. Lecz umysł jego, pomimo młodości, mężny i dojrzały dążył do celu wielkiego, do podniesienia powagi Izraela. Kiedy po wstąpieniu na tron zwiedzał wielki ołtarz w Gibeon, to, według opowieści, nie modlił się o długie życie, ani o bogactwo lub zaszczyty, lecz o rozum, aby lud swój mógł sądzić sprawiedliwie. Ową mądrość, ową zdolność, która pozwala przenikać stan duszy i nastrój stron prawujących się, rozeznawać odrazu w zawiłościach mowy istotę rzeczy i prawdę, nie sądzić z pozorów, nie rozstrzygać sprawy pod wrażeniem dźwięcznych wyrazów, zdolność tę posiadał młody król w stopniu wysokim. Znany jest sąd Salomona. Wyrokiem, przez który uczucie macierzyńskie na jaw wyjść musiało, poznał w sporze pomiędzy dwiema kobietami o prawo do dziecka, po czyjej stronie była prawda, a po czyjej udanie.—Wogóle prawo i jego wymiar najbardziej leżały Salomonowi na sercu. W państwie jego nikt nie powinien był krzywdy doznawać. Gdyby nawet nie pochodziło odeń zdanie „sprawiedliwością tron się utrwala,“ to w każdym razie poglądy jego oddaje.

Mądrość Salomona zjednała sobie sławę w innym też kierunku; oddawał się bowiem również poezji, a mianowicie bajkopisarstwu (maszal). Kazał przemawiać wyniosłym cedrom Libanu i nizkim, z murów wyrastającym roślinom, jako symbolom rzeczy najwyższych i najniższych, czworonogom, górnolotnym ptakom i pełzającym gadom, a nawet niemym rybom. Jednakże popełniał błędy, wypływające przeważnie z przecenienia godności królewskiej. Przestrogę proroka Samuela przy obiorze króla usprawiedliwił w wyższym jeszcze stopniu mądry król, niż jego poprzednik.

Na nieszczęście Salomon był młodszym synem, któremu korona dostała się wbrew prawu zwyczajowemu, gdy natomiast brat jego, Adonjasz, obwołany już królem przez jedno stronnictwo, uchodził w oczach ludu za prawowitego dziedzica. Dopóki on żył, panowanie Salomona nie mogło być trwałem, lub przynajmniej król nie czuł się bezpiecznym. Należało więc usunąć Adonjasza. Dowódca straży przybocznej, Benajahu, wtargnął do jego domu i pozbawił go życia. Gdy ten zginął, przeczuł Joab, że i jego, jako byłego zwolennika Adonjasza, czeka los podobny. Wielce zasłużony hetman, który się tyle przyczynił do pomnożenia potęgi narodu izraelskiego i do blasku domu Dawidowego, niby zbrodniarz schronił się błagalnie pod osłonę ołtarza na górze Cyon i uchwycił się go, aby ujść śmierci. Benajahu przelał i jego krew u ołtarza. Dostojnego stronnika Adonjasza, Abiatara, nie odważył się jednak Salomon sprzątnąć jak tamtych, pozbawił go tylko godności arcykapłańskiej. Odtąd Cadok był jedynym arcykapłanem, potomkowie jego piastowali ten urząd tysiąc lat przeszło. Dał również gardło Benjaminita Szimei, który tak nielitościwie lżył Dawida, kiedy, uciekając przed Absalomem, na współczucie raczej zasługiwał, a którego jednak król ten ułaskawił. Potrójną tą zbrodnią okupiono bezpieczeństwo tronu.

Na samym wstępie panowania Salomon postanowił dwór swój otoczyć blaskiem nadzwyczajnym, jak przystało na wielkiego króla, którego słowo znajdowało posłuch od granic Egiptu aż do Eufratu. W owych czasach nieodzownym warunkiem przepychu królewskiego był liczny poczet małżonek. Więc też Salomon założył sobie również nader ludne gineceum, nie dla zaspokajania żądz nieokiełznanych, lecz ponieważ wymagały tego obyczaje, a raczej nieobyczajność królów ówczesnych. Pierwszą jego żoną była Naama, córka króla ammonickiego. Najwięcej pochlebiło jego dumie, że król egipski

Psusennes dał mu swą córkę za żonę. Salomon mniemał, że małżeństwo to było zręcznym krokiem politycznym, że przez spowinowacenie się z dynastją egipską wzmoże się jeszcze bardziej potęga jego państwa i powaga jego domu. Córkę Psusennesa przyjął w stolicy izraelskiej z najwyższymi honorami i przyznał jej pierwsze miejsce w swoim haremie. Wstyd mu było, że tej królowej nie może oddać do rozporządzenia wspaniałego pałacu. Czemże bowiem był zbudowany przez Dawida na górze Cyon pałac cedrowy w porównaniu z olbrzymimi gmachami i zamkami królów egipskich? Zamyślał przeto Salomon wznieść gmach okazały, godny córki Faraona.

Związek z dynastją egipską spowodował nader doniosłe zmiany w Izraelu. Do inowacji tych należało też wprowadzenie rumaków i wozów. Z Hiramem, królem Tyru, którego już z Dawidem łączyły przyjazne stosunki sąsiedzkie, wszedł Salomon w przyjaźń zażyłą. Ścisły związek obu monarchów dał pochop do rozległych przedsięwzięć. Posiadanie wielkiego gineceum wymagało licznej czeladzi. Salomon prowadził też dwór okazały. Posłowie danniczych i zaprzyjaźnionych monarchów, którzy przybywali do Jerozolimy dla złożenia królowi hołdu i haraczu, przyjmowani byli z nadzwyczajną wystawnością. Salomon przywiązywał najwyższą wagę do przepychu i otaczał się nim przy wszelkiej sposobności, ztąd więc utrzymanie dworu wymagało wielkiego nakładu. Z czego opędzał te niezmierne wydatki? Własnych dóbr dom królewski nie posiadał, naród więc musiał koszta ponosić.

Wielki też przepych roztoczył Salomon w swoich budowlach. Pierwszą jego myślą było wznieść w stolicy kraju wspaniałą świątynię Bogu Izraela. Nie mogło to być dlań obojętnem, że w krajach ościennych, z których władcami łączyła go przyjaźń, w Egipcie i Fenicji, istniały olbrzymie świątynie, poświęcone bogom miejscowym, gdy tymczasem w jego państwie świątynia ciągle jeszcze mieściła się w namiocie. Dla tego też natychmiast po wstąpieniu na tron Salomon rozpoczął przygotowania do budowy. Miejsce już było upatrzone: pagórek Morija na północozachodzie Jerozolimy, gdzie Dawid po ustaniu zarazy wzniósł ołtarz. Przygotowano też zawczasu potrzebne ku temu srebro i złoto, lecz materjały budowlane, kamienie i drzewo cedrowe, należało dopiero sprowadzić. Kamieni było wprawdzie podostatkiem w pobliżu stolicy, ale prawidłowe ciosy i bloki, zdatne do budowy, trzeba było dopiero łamać pod ziemią z wnętrza skalistego. Zkąd brano licznych robotników do mozolnego łamania, ciosania i przenoszenia kamieni? Od swego teścia, Faraona Psusennesa, nauczył się Salomon, jak bez wszelkiego nakładu można zaopatrzyć się w robotnika. W kraju izraelskim mieszkały resztki ludności kanaańskiej. Saul je przerzedził już nieco, lecz dla zatargów z Dawidem nie mógł im zadać ciosu ostatecznego. Dawid pozostawił ich w spokoju, gdyż żyli w zgodzie z Izraelitami i pomagali mu w walkach z Filistynami i innymi nieprzyjaciółmi. Im więcej wzbijali się w potęgę Izraelici, tem mniej szkodliwą mogła być dla nich ta ludność tuziemna. Nie bacząc na to, Salomon ogłosił naraz półniewolnikami niedobitki Emorytów, Chityjczyków, a nawet Jebusytów, którym Dawid pozwolił mieszkać poza obrębem murów, okalających Jerozolimę, i zmusił ich do odrabiania pańszczyzny. Liczyli oni jeszcze 150,000 młodzieńców i zdolnych do pracy mężów i tworzyli ludność robotniczą. Przeszło trzy tysiące dozorców izraelskich nagliło do roboty tych skazanych na poniżającą niewolę autochtonów. Przełożony dozorców, Adoniram, czuwał nad dozorcami i robotnikami, których 80,000 pracowało dniem i nocą w kamieniołomach przy świetle kagańców. Pod kierunkiem specjalistów z Biblos (Giblim) wyłamy-

wali ze skały ciężkie kamienie, ciosali je i zaopatrywali po brzegach w odpowiednie zwory. Siedemdziesiąt tysięcy niewolników wydobywało ciężkie ciosy z otworu i przenosili je na miejsce budowy.

Drzewa cedrowego i cyprysowego do budowy świątyni dostarczał król tyryjski, Hiram, przyjaciel Salomona. Na Libanie ścinano pnie, przewożono je do Tyru lub do innego portu, tam zbijano w tratwy, spławiano do miasta portowego, Jaffy, zkąd przez góry i doliny, co najmniej dziesięć godzin drogi, z mozołem sprowadzano do Jerozolimy.

Jakich robotników używano do ścinania cedrów i cyprysów i do sprowadzania ich na miejsce przeznaczenia? Poddanych kanaańskich nie starczyło ku temu, Salomon więc użył Izraelitów. Trzydzieści tysięcy zebrano w tym celu i po dziesięć tysięcy posyłano co miesiąc na przemian do lasów, aby ścinali tam drzewa i zajmowali się ich transportem.

Trudno było wymagać, by Hiram za darmo wycinał swe lasy cedrowe i cyprysowe i oddawał do rozporządzenia swych cieśli i budowniczych. Wzamian zato Salomon dostarczał mu rok rocznie, dopóki nie ukończył swych budowli, pszenicy, wina i oliwy. I na tę też dostawę zboża, wina i oliwy składały się niewątpliwie zbiory i mozoły narodu. Lecz i złota musiał Hiram pożyczyć do ozdoby wnętrza świątyni. Jeszcze flota Salomona nie wprowadziła tego kruszczu szlachetnego. Za dostarczane złoto Salomon ustąpił mu dwadzieścia miast na pograniczu Fenicji z posiadłości Izraela w pokoleniu Aszer. Miasta te były tak liche, że nieszczególnie podobały się Hiramowi; bądź co bądź były to ziemie izraelskie, które oddano Fenicjanom. Hiram osadził tu różne narodowości, dzięki czemu prowincja ta otrzymała nazwę „obwodu ludów“ (Galil), a ztąd później nazywano ją Galileą.

Gdy kamienie i budulec zniesiono na miejsce, gdzie stanąć miała świątynia, co zajęło trzy lata, rozpoczęto budowę pod kierunkiem architektów fenickich i w stylu fenickim. Wystawiono świątynię z kamienia ciosowego, ściany na wewnątrz wyłożono balami z drzewa cedrowego, na których znajdowały się złotem pokryte wizerunki palm, otwartych kielichów kwiatów i Cherubów (skrzydlate istoty z twarzami ludzkiemi). Sześćdziesiąt łokci długa, dwadzieścia szeroka, a trzydzieści wysoka świątynia dzieliła się na przenajświętsze — kwadrat o boku dwadzieścia łokci długim—i na święte, które miało czterdzieści łokci długości, a dwadzieścia szerokości. W przenajświętszem, jak się zdaje, wzniesionem ponad święte, stały dwa złotem powleczone Cheruby z drzewa oliwkowego, każdy na dziesięć łokci wysoki, o skrzydłach rozpostartych, po pięć łokci długości mających. U wnijścia świątyni znajdowało się otwarte przedsienie (ulam), według miary szerokości świętego, a przed przedsieniem tem stały dwa potężne słupy miedziane, kształtne i kapitelami zdobne, którym nadano dotąd jeszcze niewyjaśnione nazwy Jachin i Boaz.

W przenajświętszem widoczne były tylko Cheruby, przeznaczone do osłony arki przymierza i tablic Zakonu. W świętem stał jeno ołtarz z drzewa cedrowego, ze wszystkich stron pozłacany, pięć pokrytych złotem świeczników po prawej i tyleż po lewej stronie, wreszcie stół złocony na dwanaście chlebów wystawnych.

Świątynię otaczał rozległy dziedziniec. W obrębie przeddworza stała wielka ofiarnica miedziana i zbiornik obszerny, zwany „morzem miedzianem,“ z brzegiem, niby kraj kielicha, u góry liljami obwiedzionym, u spodu zaś kolokwintami ozdobionym. Cysterna ta spoczywała na dwunastu z miedzi odlewanych wołach, z których co trzy w inną patrzały stronę.

Wodę w zbiorniku, przeznaczoną dla kapłanów do umywania rąk i nóg przed wejściem do przybytku, spu-

szczano zapewne za pomocą kranów ruchomych. Dziesięć małych zbiorników kunsztownej roboty stało na kołach w przeddworzu i mogły być przesuwane z miejsca na miejsce. Złote naczynia do służby bożej, czary ofiarne i kadzielnice, kazał Salomon w znacznej ilości sporządzić. Na zewnątrz i na wewnątrz jaśniała świątynia bogactwem i przepychem. Słupy przeddworza i wielki zbiornik uchodziły za arcydzieła sztuki.

Obok ofiar pamiętano też o podniesieniu solenności służby bożej przez wprowadzenie śpiewu i gry na instrumentach strunowych. W tym celu Salomon kazał sporządzić harfy i lutnie z drzewa sandałowego. Uroczyście odbyło się poświęcenie świątyni po dokonaniu budowy, która siedm lat zajęła (ok. 1007). Na obchód ten wybrano miesiąc, w którym kończą się zwykle roboty w polu i winobranie. Zaproszono starszych wszystkich pokoleń i naczelników rodów, zblizka i zdaleka płynęły tłumy ludu, aby podziwiać blask domu bożego i uczestniczyć w niezwykłem widowisku. Uroczystość rozpoczęła się od przeniesienia arki przymierza z góry Cyon, miasta Dawidowego, na pagórek Morija.

Zaledwie ustawiono arkę przymierza w przenajświętszem, gdy gęsta chmura zaległa cały obszar świątyni, tak że kapłani nie mogli odprawiać służby bożej. Zjawisko to poczytano za znak łaski, stwierdzający, że poświęcenie odbyło się podług myśli Boga. W tłumach przytomnych poświęceniu zapanował nastrój podniosły a radosny i pobożne skupienie. Król w krótkiej przemowie dał wyraz uczuciom obecnych: „Bóg zapowiedział, że zamieszka w obłoku. Zbudowałem Ci stałą siedzibę, o Boże! stolicę, abyś w niej osiadł na wieki.“ Góra Morija stała się dzięki temu odbiciem góry Synaj, na której głos Boga objawił się z gęstego obłoku. Z czcią głęboką spoglądał odtąd lud na świątynię, jako na widome siedlisko Boga, który wypełnia też niebo i ziemię. Ztąd spodziewał się niezawodnych zapowiedzi, co wskazywać mu będą drogę, po której ma kroczyć. Obecny tam prorok zwiastował w imieniu Boga królowi Salomonowi: „Jeżeli postępować będziesz według mego Zakonu i spełniać moje przykazania, dotrzymam obietnicy, którą dałem twemu ojcu, Dawidowi.“

Świątynia złotem i miedzią błyszcząca, prosta w budowie i bez wizerunku bóstwa, wywierała głębokie i trwałe wrażenie na umysły widzów. „Dom boży“—w skojarzeniu tych wyrazów tkwi sprzeczność, co też później zrozumiano—„dom boży“ nastręczał punkt oparcia płochej wyobraźni, która duchowości bez obsłony zmysłom dostępnej przedstawić sobie nie umie. Świątynię nazywano dumą, potęgą Izraela, rozkoszą jego oczu. Wraz z poświęceniem jej wzięła również początek hierarchja duchowna, która przedtem ani w ograniczonych stosunkach przybytku w Silo, ani w okresie przejściowym namiotu na Cyonie ustalić się nie mogła. Dopiero za Salomona na czele reszty kapłanów stanął arcykapłan i zaprowadzono porządek hierarchalny. Godność arcykapłańską otrzymał, po śmierci Cadoka, syn jego, Azarjasz. Pod jego zwierzchnictwem piastowała swój urząd reszta kapłanów. Uległ też zmianie ustrój Lewitów, którzy byli podwładni Aronidom. Jedni pełnili służbę przy ofiarach, inni stali na straży po czterech stronach świątyni, wreszcie niektóre rody przewodniczyły śpiewom i grze na instrumentach strunowych.

Dopiero dzięki świątyni i wprowadzeniu hierarchji Jerozolima stała się prawdziwą stolicą kraju. Na święta jesienne przybywali pielgrzymi dla uczestniczenia w uroczystej służbie bożej, jakiej nastręczyć im nie mogły ołtarze rodzinne. Ponieważ Jerozolima zdobyła powoli znaczenie ważnego miasta handlowego, w którem ukazywały się najpierw towary zagraniczne i rzadkie osobliwości i do którego też napływali cudzoziemcy, zaczęła więc ściągać li-

czniejszych jeszcze niż dotąd gości ze wszystkich pokoleń. Jerozolima, najmłodsze ze wszystkich miast kraju Izraela, prześcignęła i zaćmiła starsze ryczałtem. Salomon obwarował ze wszystkich stron wyniesioną przez siebie do znaczenia pierwszorzędnego miasta Jerozolimę, a do obwodu fortyfikacji wcielono też górę Morija.

Budowa pałacu królewskiego trwała lat trzynaście. Lecz też był to cały szereg gmachów, które zajmowały rozległe obszary na północnym pagórku w dzielnicy Millo. Najbliższym wejścia był „dom lasu Libanu," który swą nazwę otrzymał od licznych kolumn cedrowych. Służył on za zbrojownię i kordegardę królewską; stało tu na straży trzystu drabantów, z złotemi włóczniami i tarczami, którzy towarzyszyli królowi, ilekroć udawał się do świątyni. Wiele starania łożył Salomon na urządzenie sali sądowej. W sali tej stał tron, który uchodził za arcydzieło sztuki, cały z kości słoniowej, złotem powleczonej.

W tej otwartej sali sądowej słuchał Salomon stron zwaśnionych i wydawał wyroki. Urząd sędziowski uważał za jeden z najważniejszych i najświętszych obowiązków monarchy. Tu też przyjmował posłów licznych krajów, którzy na dwór jego przybywali dla złożenia mu hołdu, lub dla zagajenia przymierza. Osobny pałac zbudowano dla króla, żon jego i służby. Królewna egipska, główna jego małżonka, zajmowała dom oddzielny, zdala od innych żon i nałożnic Salomona.

Salomon przeprowadził też prawdopodobnie wodociąg do Jerozolimy dla zaopatrzenia miasta i świątyni w wodę, a mianowicie z obfitych źródeł Ain-Etam (dwie godziny na południe od Jerozolimy).

Wszakże nietylko Salomon, lecz i arystokracja krajowa, która stale przebywała w Jerozolimie, książęta, wysocy urzędnicy i ulubieńcy, wznosili sobie okazałe pałace z drzewa cedrowego. Dzięki bogactwom, które napływały do kraju trzema głównymi kanałami, łatwo było

dogadzać pociągowi do przepychu, jaki za przykładem króla ogarnął klasy wyższe.

Poważani kupcy feniccy, prowadzący na wielką skalę interesa, bankierzy i kapitaliści, pożyczający na procent, osiadali w Jerozolimie. Tworzyli oni odrębną korporację lub bractwo, pozostawali pod osłoną traktatu, zawartego z Hiramem, i rządzili się swobodnie własnemi prawami, zwyczajami i obyczajami. Nie broniono im nawet odprawiania nabożeństwa według ich własnego bałwochwalczego obrządku.

Trzema źródłami bogactw, które na stolicę spuściły deszcz złoty, były: potęga państwa, związek z Egiptem i handel z Indjami. Ci monarchowie, co przymierze z Dawidem zawarli, dochowali go też jego następcy, a prócz nich inni o przyjaźń jego zabiegali. Wszyscy ci władcy i ludy posyłali, według przyjętego zwyczaju, na dwór jego bądź haracz, bądź bogate podarki hołdownicze, złote i srebrne naczynia, szaty drogocenne, korzenie, rumaki i muły. Obfitsze jeszcze plony przynosił sojusz z Egiptem, który zdawna dostarczał rumaków wojennych ubogim w konie krajom górzystym. Cieszyły się też wziętością sporządzane w Egipcie wozy wojenne. Władcy Aramu i krajów nadeufrackich, którzy dawniej potrzebne sobie konie i wozy sprowadzali bezpośrednio z Egiptu, teraz nabywać je musieli z rąk korporacji handlowej, powołanej do życia przez Salomona. Kraj izraelski został podówczas pośrednikiem przywozu i wywozu tych artykułów wojennych. Wskutek tego układu towarzystwo handlowe odnosiło zyski olbrzymie i ściągało do kraju wielkie kapitały.

Rzecz prosta, że i do własnego kraju Salomon sprowadzał z Egiptu konie i wozy wojenne. Zbudował też miasta, przeznaczone dla jezdnych i rumaków. Utrzymywał pono dwanaście tysięcy wierzchowców i tysiąc czterysta wozów wojennych, każdy w dwa konie zaprzęgany, i wzniósł w tym celu gmachy obszerne, które mieściły cztery tysiące stajni.

Największe wszakże dochody ciągnął Salomon z handlu z Indjami. Fenicjanie, których nęciły niezmierne bogactwa tej krainy cudów, nie mogli się odważyć na tak daleką, licznemi trudnościami najeżoną podróż, dopóki w okolicach morza Czerwonego grasowały dzikie i łupieżne plemiona. Związek króla Tyru, Hirama, z Salomonem nastręczył bliższą i bezpieczniejszą drogę do Indyj. Otwartą została połać od południowej granicy Jehudy do zatoki wschodniej morza Czerwonego i przylądka Ailat. Odtąd karawany z objuczonymi wielbłądami mogły ciągnąć bezpiecznie z Jerozolimy i od morza Śródziemnego do północnego przylądka morza Czerwonego. Z porady Hirama kazał Salomon w warsztatach okrętowych zbudować i wyekwipować całą flotę mocnych i obszernych statków, a na załogę tej floty dał Hiram najzdolniejszych swoich marynarzy, dobrze z szlakiem morskim obeznanych. Dodano im Izraelitów z pokolenia Aszer i Zebulon, którzy, jako mieszkańcy pobrzeża, przyzwyczaili się do kaprysów morza. Okręty te miały odbyć długą podróż morską aż do ujścia Indu.

Z portu Ailat flota izraelsko-fenicka wypłynęła na morze Czerwone i, żeglując wzdłuż wybrzeży aż do ujścia Indu, zawinęła do kraju Ofir (dzisiejszego Sind). Po upływie trzech lat powróciła z pierwszej podróży z bogatym ładunkiem. Długi sznur wielbłądów wkroczył do Jerozolimy, dźwigając skarby zdobyte, ku wielkiemu zdumieniu całej ludności. Przywieziono więcej niż czterysta talentów złota, srebro w znacznej ilości, kość słoniową, drzewo hebanowe, brzydkie małpy i pawie o pięknem upierzeniu, drzewo sandałowe i wonne rośliny. Tę wyprawę do Ofir, czyli Indyj, Salomon kilkakroć ponawiał, a każda sprowadzała do kraju nowe bogactwa i godne widzenia osobliwości. Ailat, miasto nad przystanią zatoki tegoż imienia, doszło dzięki temu do wielkiego znaczenia; osiedlili się tu Judejczycy, przez co

kraj Izraela rozszerzył swe granice od krańców morza Czerwonego aż do Eufratu.

Dla transportu koni i wozów do krajów aramejskich i okolic Eufratu, a towarów z Fenicji do portu, należało przeprowadzić wygodne drogi i dbać o bezpieczeństwo wypraw handlowych. Salomon starał się i temu zaradzić. W kraju górzystym z trudnością przychodzi zwierzętom jucznym, a tembardziej koniom i wozom przebiegać rozległe przestrzenie, gdyż ciągle stają im na przeszkodzie strome wyżyny, przepaściste urwiska, lub kupy staczających się głazów. Ważnem dla potomności było założenie miasta Tadmor (później Palmyrą zwanego), które jeszcze za czasów rzymskich niepozbawione było znaczenia.

W ten sposób Salomon ustalił ład w całym zakresie urządzeń państwowych i pamiętał też o przyszłości. Nie miał przy boku przenikliwego, mądrego doradcy, jakiego Dawid posiadał w osobie Achitofela, który pomagał mu do zaprowadzenia porządku. Polegał wyłącznie na własnym rozumie. Natomiast umiał dobierać sobie zdolnych urzędników, którzy rozporządzenia jego, według planów przezeń nakreślonych, energicznie wykonywali. Rozszerzenie granic państwa i rosnące potrzeby dworu spowodowały utworzenie nowych urzędów. Rozległa wskutek częstych odwiedzin cudzoziemców gospodarka dworska wymagała zarządcy; mianowany w tym celu nadzorca pałacowy doszedł z czasem do wielkiego wpływu. Osobny urzędnik utrzymywał w posłuszeństwie tuziemców, do pańszczyzny obowiązanych.

Dzięki porządkowi wewnętrznemu, rozszerzeniu na zewnątrz i skarbom, przez Salomona obficie gromadzonym, kraj Izraela stanął na trwałych podwalinach, jako mocarstwo, które z największemi państwami świata starożytnego, z Assyrją i Egiptem, mierzyć się mogło. Do władcy tego państwa udawali się monarchowie i ludy, spór z sobą wiodący, i króla, którego mądrość rozbrzmie-

wała szeroko, obierali na rozjemcę. Największem jednak błogosławieństwem rządów Salomona był niezamącony pokój i bezpieczeństwo kraju. Od Dan do Beerseby mogli Izraelici używać słodyczy istnienia, odpoczywając pod winogradem lub drzewem figowem.

Traktaty handlowe, dobrobyt mieszkańców, bezpieczeństwo życia, owoc długotrwałego pokoju, ściągały do kraju blizkich i dalekich sąsiadów, Moabitów, Ammonitów, Idumejczyków, a nawet Egipcjan. Odrębny, wyższy nad bałwochwalstwo kult Izraelitów, który w świątyni jerozolimskiej znalazł wspaniałą siedzibę, zachęcał prawdopodobnie inteligentnych cudzoziemców do uczestnictwa, do tulenia się pod „skrzydła Boga Izraela.“ Sława kraju, ludu i Boga Izraela rozeszła się szeroko po świecie. Żeglarze izraelscy, którzy zawadzali o tyle krajów, portów i targowisk, i kupcy izraelscy, których łączyły stosunki z zagranicą, zapoznawali odległe narody ze swoją ojczyzną. Izraelscy marynarze i kupcy byli bezwiednie pierwszymi apostołami i krzewicielami nauki Boga Izraela wśród ludów pogańskich. Pewnego dnia niezwykły gość zawitał niespodziewanie do Jerozolimy. Mądra królowa obfitującej w korzenie Sabei, na południowoarabskiem wybrzeżu morza Czerwonego, przybyła z licznym orszakiem do stolicy izraelskiej, tyle bowiem rzeczy nadzwyczajnych słyszała o sławie Salomona i Imieniu Boga Izraela, że naocznie przekonać się chciała o prawdzie lub bezpodstawności rozgłosu, który doszedł do jej uszu. Przyjmowana z należnymi względami przez Salomona, królowa Sabei prowadziła z nim rozliczne rozmowy i podziwiała jego mądrość, świątynię Pańską, którą zbudował, ład i przepych jego dworu. Mądrości jego doświadczała zagadkami, które mu zadawała, a które on ku zdumieniu jej rozwiązywał.

Wszelako świetne panowanie Salomona, który kraj swój otoczył potęgą i dostatkiem, nosiło już w sobie

zarodek niedomagania, co gmach państwowy, z takim mozołem dźwignięty, do upadku przywiodło. Pomimo wzniesienia świątyni, która ogniskiem była dla kraju, pomimo zabiegów podjętych przez Salomona celem wykorzenienia odrębności pokoleń, pomimo dążeń do ścisłej jedności, ciągle jeszcze nie można było osiągnąć zupełnego zlania się pokoleń w jednolity naród. Tylko pokolenie Benjamin łączyły mocniejsze ogniwa z pokoleniem Jehuda, ponieważ Jerozolima i świątynia zbudowane były na ziemi benjaminickiej i możne rody tego pokolenia osiadły w nowej stolicy. Nie osłabła natomiast wzajemna odraza domu Izraela i domu Jehudy, czyli pokoleń północnych i południowych. Północne pokolenia nurtowała niechęć do Salomona, pomimo dostatku, co i na nie spłynął; zmuszone do stałego dostarczania swych plonów na potrzeby dworu, czuły tylko ucisk włożonego na nie jarzma. Salomon podzielił kraj cały na dwanaście powiatów, których granice wytknął dowolnie, a każdy z nich musiał na przemian zaspokajać przez miesiąc olbrzymie potrzeby stołu królewskiego i świetnego dworu, a nawet łożyć na utrzymanie licznych rumaków. Na czele każdego powiatu stał mianowany przez króla powiernik, który czuwał nad regularnym i wystarczającym wpływem daniny. W liczbie tych urzędników znajdowało się dwu zięciów Salomona. Ten nowy podział zerwał odwieczny układ pokoleń. Zarówno ta reforma, jak i powinności, uiszczane na rzecz budowli i dworu, wznieciły wśród pokoleń wielkie, acz tłumione, niezadowolenie, które czekało tylko sposobności, aby wybuchnąć rokoszem. Jakkolwiek mądrym był Salomon, nie czytał dość biegle w przyszłości, by zrozumieć, że własnymi błędami podważa mocny gmach państwa.

Wśród urzędników Salomona, którzy mieli dozór nad wznoszonemi przezeń budowlami, znajdował się pewien Efraimita, inteligentny, odważny, a nadewszystko ambitny.

Był to Jerobeam, syn Nebata, z miasteczka Cereda, nieopodal Jordanu. Ojciec odumarł go wcześnie; dzieckiem jeszcze pozbywszy się rygoru ojcowskiego, mógł iść za popędem własnych skłonności, nie krępowany obcemi wpływami. Jerobeam kierował robotami koło obwarowania Jerozolimy, przyczem okazał wiele zręczności i stałości wobec pańszczyznianych robotników, a Salomon tak kontent był z niego, że powierzył mu zwierzchnictwo nad dzielnicami Efraima i Manassego. Tu miał Jerobeam sposobność obserwować objawy niezadowolenia ludu z ciężaru, jaki na barki jego wtłoczył Salomon, objawy, które wśród wiecznie nadąsanych Efraimitów musiały być głośniejsze, niż gdzieindziej. Niezadowolenie to było mu na rękę ze względu na tajemne, ambitne zamiary, z którymi się nosił, postanowił tedy obrócić je na własną korzyść i czekał tylko dogodnej okazji. Sposobność nastręczyła się niebawem. Źle zrobił Salomon, że tolerował ołtarze ofiarne kultów bałwochwalczych. Bądź że cudzoziemskie żony jego wymogły na nim na starość to ustępstwo, bądź że cudzoziemcy, Fenicjanie i inne narodowości, które osiadły w Jerozolimie, wyjednali sobie u niego pozwolenie na oddawanie czci swym bogom w kraju Izraela według ojczystych zwyczajów, dość, że na górze Oliwnej powstały siedliska kultu pogańskiego Astarty Sydońskiej i innych jeszcze bożyszcz. Jeszcze wierzenia ludu nie ustaliły się o tyle, aby, za tym zdrożnym przykładem, nie mógł znów popaść w bałwochwalstwo. Pewien odważny prorok wyrzucał królowi tę obojętność i groził mu, że tak postępując, postradać może władzę nad Izraelem. Salomon, jak się zdaje, na przestrogi te nie zważał. Oburzony indeferentyzmem króla, prorok Achjasz z Silo udał się do Jerobeama, aby go użyć za narzędzie do ukarania Salomona. Zapewne przejrzał ambitne zamiary Efraimity. Gdy pewnego razu Jerobeam opuszczał Jerozolimę, zbliżył się doń prorok, zerwał z siebie szatę zwierzchnią, rozdarł ją na dwanaście kawałów, a z tych dziesięć wręczył mu ze słowami: „Weź te dziesięć kawałów, oznaczają one dziesięć pokoleń, które oderwą się od domu Dawida, a ty będziesz królem nad niemi.“ Tej właśnie aprobaty proroka trzeba było Jerobeamowi, aby do skutku doprowadzić ambitne projekty. Czemprędzej wyjechał do dzielnicy Efraim i wezwał Efraimitów do oderwania się od domu Dawida. Wieść o tych knowaniach doszła atoli dość wcześnie Salomona; zanim powstanie zdążyło się rozszerzyć, wysłał swych drabantów, aby zabili wichrzyciela, lecz Jerobeam uciekł manowcami do Egiptu.

W kraju tym podówczas właśnie nastąpiła zmiana dynastji. Za pierwszego króla z nowego domu, Szeszenka (Sziszaka), rozprzęgły się węzły, które łączyły Izraela z Egiptem dzięki małżeństwu Salomona z królewną egipską. Szeszenk żywił owszem wrogie zamiary względem państwa izraelskiego, którego potęga korciła go wielce. Gdy więc buntownik Jerobeam szukał u niego schronienia, przyjął go łaskawie, aby go użyć za narzędzie przeciw Salomonowi. Jeszcze jeden wróg Izraela uciekł się pod obronę Faraona i doznał życzliwego przyjęcia, książę idumejski, który zemstą dyszał przeciw narodowi izraelskiemu. Hadad, potomek króla idumejskiego, zwyciężonego przez Dawida, uszedł jako młody chłopiec przed rzezią, którą dla jakiegoś buntu Joab sprawił w tym kraju. Zaledwie Szeszenk wstąpił na tron egipski, królewicz idumejski niezwłocznie udał się do Egiptu. Lecz pomimo uprzejmego przyjęcia, Hadad pragnął powrócić do Edomu, aby odzyskać kraj, który mu wydarto. Plan swój wykonał istotnie, poparty przez Szeszenka, wiedział bowiem, że duch wojowniczy, który panował za Dawida i Joaba, osłabł za pokojowych rządów Salomona i że wojna podjazdowa w kraju górzystym, nie narażając go zbytnio na niebezpieczeństwo, przysporzy mu wiele ko-

rzyści. Hadad, stanąwszy wraz z hufcem przez siebie zebranym na ziemi idumejskiej, wyrządzał wielkie szkody karawanom Salomona, które woziły towary od zatoki Ailat do granic izraelskich i odwrotnie, a wojownicy Salomona bezsilni byli wobec niego.

Tymczasem na północy zbierała się inna jeszcze chmura, której Salomon nie dostrzegł, a która później oberwać się miała, siejąc zniszczenie w Izraelu. Jeden ze sług króla Coby, Hadadezera, którego Dawid zwyciężył, imieniem Rezon, utworzył po porażce swego pana bandę łupieżną i robił najazdy na kraje pomiędzy Eufratem a północnemi odnogami Libanu położone. Dzięki pomyślnym wyprawom rosła coraz bardziej zgraja Rezona, a z nią jego odwaga i potęga. Wreszcie zdołał zawładnąć starożytnem miastem Damaszkiem i narzucił mu się na króla. I on też, na północy, zachowywał się wrogo względem Izraelitów i ich sprzymierzeńców, nie doznając żadnej tamy ze strony Salomona. W ten sposób tu i owdzie rozwinęły się z małych początków nieprzyjaźnie dla szczęśliwego Izraela usposobione potęgi, które z łatwością można było zdusić w zarodku. Nadomiar zanosiło się na rozterkę wewnętrzną. Nie sądziły Izraelowi losy zostać państwem potężnem. Lecz Salomon nie dożył nadciągającego fatum i osłabienia swego królestwa. Zmarł spokojnie w sześćdziesiątym roku żywota (około 977). Zwłoki jego pochowano z wielką pompą w pieczarze, założonej przez Dawida na południowym stoku góry Cyon. Opowiadano później, że tak Salomon, jak jego ojciec przechowywali, we wnętrzu tej pieczary nieprzebrane skarby i klejnoty, które po wielu wiekach wydobyli królowie judzcy. Lubo Salomon posiadał znaczną ilość małżonek, pozostawił jednak, jak się zdaje, niewielu tylko potomków. Na syna jego, Rehabeama, przeszła korona i jemu to przeznaczonem było własnoręcznie rozłam wywołać. Potomność przypisywała Salomonowi nietylko nadludzkie siły umysłu i mądrość, lecz i władzę nad tajemniczymi duchami i demonami, co posłuszne jego skinieniu, gromadziły się lub rozpraszały. Nawet pierścień, na którym wyryte było imię jego, możny pono czar wywierał na demonów i trzymał ich na wodzy. Dźwignięte przez Salomona na szczebel pierwszorzędnego mocarstwa państwo izraelskie podobne było do stworzonego przez skrzętne duchy świata czarodziejskiego. Czar prysł z jego śmiercią; czarodziejskiego pierścienia swego nie przekazał synowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Rozdział państwa.

(977—887).

Po raz pierwszy od czasu ustanowienia królestwa w Izraelu zmiana tronu po śmierci Salomona odbyła się bez zawieruchy i rozterki. Szczęśliwszy od ojca i dziada, mógł Rehabeam bez przeszkód objąć ster do rzędu mocarstw wyniesionego państwa i snuć złote rojenia o potędze i pomyślności. Był to atoli umysł mniej niż mierny; pod żadnym względem nie przypominał swego ojca, a mniej jeszcze swego dziada, Dawida. Jak wszyscy w purpurze zrodzeni synowie królewscy, którym natura odmówiła wybitnych zalet charakteru, krótkowidzem był i pyszałkiem, a przytem tak niesamodzielnym, że radzić sobie nie umiał. Nie posiadał ducha wojowniczego, wzniosłe dążenia nie miały dlań powabu. W tronie widział li tylko źródło potęgi, słodkiego wywczasu i wygód życiowych. Lecz niebawem rozwiały się złudne marzenia, któremi się kołysał, i nastąpiło przykre przebudzenie. Niespodzianie ukazał się wróg, co go pozbawił potęgi, spokoju i wygód, a w państwie izraelskiem wywołał rozprzężenie, którego nic już zażegnać nie mogło.

Jerobeam, Efraimita, który w ostatnich latach panowania Salomona rozwinął sztandar rokoszu, lecz na-

razie nie doznał powodzenia i uciekł do Egiptu, na wiadomość o zgonie Salomona powrócił natychmiast do ojczyzny, aby po raz drugi podjąć ambitne zamiary, przez jakiegoś proroka pochwalane. Powrót do kraju ułatwił mu zapewne orędownik jego, Szeszenk, król Egiptu. Kiedy ten zuchwały, przed niczem nie cofający się Efraimita przybył do Sichem, drugiego a wiecznie burzliwego miasta w kraju, zawrzało wśród zawsze do wiclurzeń pochopnych Efraimitów. Zaproszono go na zebranie ludowe, a raczej sam był inicjatorem i kierownikiem zebrania, na którem obradowano nad środkami, jakie należało przedsięwziąć, aby wyzwolić się z pod jarzma despotyzmu, odzyskać swobodę, a jednak nie zerwać odrazu z uświęconą tradycją. Wezwano również starszych innych pokoleń, do przyjęcia udziału w zamysłach Sichemitów, aby w ten sposób nadać powstaniu cechę woli narodu. Uradzono przedewszystkiem nie wyprawiać starszych pokoleń, według dotychczasowego zwyczaju, do Jerozolimy dla złożenia hołdu nowemu królowi, lecz zaprosić króla, aby dla odebrania przysięgi na wierność sam przybył do Sichem. Rehabeam zgodził się na to, nie bez wstrętu zapewne i w nadziei, że obecność jego zdoła zapobiedz możliwym rozruchom. Była to chwila fatalna, brzemienna doniosłemi następstwami dla dziejów Izraela.

Rehabeam wyruszył do Sichem w towarzystwie swych radców, tak starszych, co służyli jego ojcu, jak i młodszych, których do boku swego powołał. Na wszelki wypadek zabrał też z sobą przełożonego nad dozorcami, Adonirama, który zwykł był nieposłusznych robotników piorunować posępnem spojrzeniem i batem z nóg zwalać. Gdy Rehabeam przybył do Sichem, udali się doń naczelnicy pokoleń, aby wynurzyć przed nim swe żale. W imieniu ich przemawiał Jerobeam, który myśli swych nie zdobił pięknemi słówkami: „Ojciec twój wtłoczył na nas twarde jarzmo i narzucił nam uciążliwe poddaństwo. Jeżeli ulżysz nam ciężkiego brzemienia, będziemy

ci posłuszni.“ Zdumiony tą śmiałą, niedwuznaczną mową, odparł Rehabeam z gniewem tłumionym, że za trzy dni mogą się zgłosić po odpowiedź. Jakąż odpowiedź miał dać starszym pokoleń? Sam tego zrazu nie wiedział i wpierw zasięgnął rady swych powierników. Starsi przemawiali za łagodnością, młodsi za surowością, a nieroztropny król usłuchał tych ostatnich. Gdy na trzeci dzień udzielił znowu posłuchania starszym i Jerobeamowi, przyjął ich groźnemi słowy, które, zdaniem jego, powinny były wywrzeć miażdżące wrażenie: „Mały mój palec grubszy jest od lędźwi ojca mego! Jeżeli on chłostał was rózgami, ja was będę smagał skorpionami.“ Tego spodziewał się Jerobeam, na to liczył. Zwróciwszy się do starszych, rzekł Efraimita, co od początku nosił się z myślą odstępstwa: „Jakiż udział mamy w Dawidzie, jakież dziedzictwo w synu Isai? Wróćcie do swoich namiotów, Izraelici, a ty, Dawidzie, pilnuj własnego domu.“ Rozwinąwszy następnie sztandar buntu, Jerobeam zebrał Sichemitów, którzy ochoczo garnęli się do niego, aby zamanifestować nieprzyjaźń, jaką dla Rehabeama żywili. Wybuchły naraz zazdrość i nienawiść, którą za rządów Dawida i Salomona tłumili w sobie Efraimici, dotknięci utratą pierwszorzędnego stanowiska i wrzekomem upośledzeniem. Skorzystali z sposobności, by wyzwolić się z pod berła Dawidowego i, jak niegdyś za czasów sędziowskich, stanąć na czele pokoleń. Z bronią w ręku rzucili się Sichemici, — zawsze pod wodzą Jerobeama — na dom, w którym mieszkał Rehabeam. Ten wysłał przełożonego nad dozorcami, Adonirama, aby poskromił wichrzycieli, jak się poskramia zbuntowanych niewolników. Przyjęty gradem kamieni, Adoniram padł bez duszy na ziemię. Rehabeam, którego życiu również groziło niebezpieczeństwo, uszedł na wozie z Sichem i przybył do Jerozolimy. Rozłam stał się faktem spełnionym, a nie było nikogo, coby go zagodził.

Pomimo oburzenia, jakiem go przejęły wypadki w Sichem, musiał Rehabeam przed zrobieniem stanowczego kroku zapewnić się, czy może jeszcze liczyć na wiernych zwolenników. Coby to było, gdyby pokolenia najbliższe stolicy, idąc za przykładem Sichemitów, wypowiedziały mu również posłuszeństwo? Gdzieżby kres miało odstępstwo? Lecz ta obawa była płonna. Pokolenie Jehuda, szczerze przywiązane do domu Dawida, nie sprzeniewierzyło mu się i teraz. Pokolenie Szymon tak dalece zrosło się jako aneks z Jehudą, że nie uważano go zgoła za samoistny organizm. Ale i pokolenie Benjamin dochowało wiary Rehabeamowi, zespoliło się już ono ściśle z Jehudą i nazawsze sprzęgło z nim swe losy. W Jerozolimie mieszkało więcej Benjaminitów, niż Judejczyków. Te więc pokolenia wiernie stały przy Rehabeamie. Zapewniwszy się z tej strony, pomyślał, rzecz prosta, o zmuszeniu siłą miecza do posłuszeństwa Sichemitów i wogóle Efraimitów, coby mu się może udało, gdyby Jerobeam nie potrafił obrócić na swoją korzyść rokoszu. Przekonał Efraimitów, że tylko przez obiór własnego króla zdołają stawić skuteczny opór najazdowi Rehabeama, ci zaś sami może żywili przeświadczenie, że tylko król z ich łona zapewnić im może zwierzchnictwo nad resztą pokoleń. Postanowili więc obrać króla. A któż godniejszym był korony od Jerobeama? On jeden okazał odwagę i zręczność, był nadto Efraimitą. Dla zalet tych starsi obwołali go królem i pociągnęli za sobą inne pokolenia. Tak więc mąż ten z Ceredy, co z nizin społecznych się wybił, został władcą większej części narodu (ok. 977—955). Państwo jego obejmowało dziedziny dziesięciu pokoleń. Dom Izraela od wieku zaledwie zespolony z domem Jehudy, znów się od niego odłączył. Oba opierały się zlaniu dwóch połów; odmienne koleje dawniejszych ich dziejów stanęły na przeszkodzie zjednoczeniu. Dom Izraela, a zwłaszcza pokolenie Efraim, zrzec się wolał

wielkich korzyści, jakich i jemu przysparzał związek z dynastją Dawida, byle tylko, zależnym będąc od niego, nie zajmować podrzędnego stanowiska. Ludzi dobrej woli w obydwu państwach rozłam ten smutkiem i żalem przejmował, lecz zaradzić mu nie zdołali. Wojnę domową, blizką wybuchu, zażegnał prorok Szemaja, który do Judejczyków i Benjaminitów, udających się w pochód, zawołał w imieniu Boga: „Nie wyruszajcie na wojnę przeciw waszym braciom z domu Izraela, bo odemnie sprawa ta wyszła!“ Małe tylko utarczki zachodziły przez czas długi pomiędzy obu bratniemi państwami, lecz potyczki te, tak naturalne wobec zawziętości sąsiadów, rzeczy rozstrzygnąć nie mogły.

Aby nie pozostawać ciągle na stopie wojennej i w pełnym rynsztunku wyczekiwać wroga, obaj królowie starali się za pomocą związków wzmocnić swe siły i udaremnić zawczasu napastne zamiary przeciwnika. Rehabeam zawarł przymierze z nowopowstałem królestwem Damaszku, co powściągało Jerobeama od zbrojnego najazdu na państwo judzkie. Jerobeam znów zawarł sojusz z Egiptem i w ten sposób trzymał na wodzy Rehabeama.

Chcąc zabezpieczyć się ze strony Egiptu i Izraela, Rehabeam otoczył stolicę pierścieniem zamków obronnych, o kilka godzin od niej odległych. Lecz gdy wybiła godzina niedoli, twierdze te nie odpowiedziały celowi. Szeszenk podjął przeciw Rehabeamowi wojnę na wielką skalę (około 972), z olbrzymim pocztem piechoty, konnicy i wozów wojennych. Ulegając przemocy, poddawały się miasta warowne jedno po drugiem wojsku egipskiemu i Szeszenk dotarł aż do Jerozolimy. Stolica, jak się zdaje, bez oporu otworzyła swe bramy nieprzyjacielowi, wskutek czego król egipski poprzestał na złupieniu skarbów, nagromadzonych przez Salomona w pałacu i świątyni, zabrał wszystko złoto, jakie znalazł w Jerozolimie, nawet złote tarcze i włócznie, z któremi dra-

banci zwykli byli towarzyszyć królowi w pochodzie jego do świątyni, nie zniósł wszakże królestwa judzkiego i pozostawił też Rehabeama na tronie.

Zawarte przez Salomona z Egiptem przymierze, którego zakładem miała być królewna egipska, było nader krótkotrwałem. Śmierć Salomona położyła kres wspaniałości i potędze państwa; zapadło się ono, rzec można, w ciągu dnia jednego. Większa część jego oderwała się od całości, reszta stała się wasalką Egiptu i musiała może opłacać mu roczną daninę. Hołdownicze niegdyś ludy, Filistynowie i Idumejczycy, skorzystały niewątpliwie z osłabienia Jehudy, aby odzyskać niepodległość. Od czasu, gdy postradał władzę nad Idumeą, nie mógł już Rehabeam wysyłać okrętów do złotodajnego Ofiru, wyschło więc najobfitsze źródło bogactwa. I inne też źródła płynąć przestały. Ustał handel pośredni końmi i wozami wojennymi z Egiptu, których aż w okolice Eufratu dostarczało królewskie towarzystwo handlowe, albowiem wywóz do krajów północnych przecięło powstanie państwa dziesięciu pokoleń. Zgasła w Jehudzie świetność czasów Salomonowych, rozwiała się cudów kraina.

Lecz i w państwie dziesięciu pokoleń nie wszystko szło po myśli Jerobeamowi. Na stolicę swoją i środowisko państwa obrał, rzecz prosta, Sichem, który miał współzawodniczyć z Jerozolimą lub nawet ją zaćmić. Pokolenie Efraim tworzyło podwalinę państwa dziesięciu pokoleń, które też nazywano Efraimem lub domem Józefa. Ale Sichemici, przewodnicy pokolenia Efraim, którzy Jerobeamowi utorowali drogę do tronu, nigdy nie byli pewnymi sprzymierzeńcami, a tem mniej uległymi poddanymi. Zaciekli rzecznicy nowinek, nie posiadali ani cierpliwości, ani zimnej krwi, aby je znosić, gdy im ciężyć zaczynały. Jak za czasów sędziowskich wodza pewnego królem zrazu obwołali i popierali niegodziwe

jego postępki, a wkrótce potem wrogo przeciw niemu wystąpili, tak też, jak wnosić można, odmówili posłuszeństwa Jerobeamowi, gdy ten, nie myśląc być królem malowanym, surowo się z nimi obchodził i uległości wymagał. Między Jerobeamem a Sichemitami przyszło, jak się zdaje, do zatargów, wskutek których król opuścił Sichem i stolicę swą przeniósł do miasta Tircy (dziś Taluza).

Wzgląd na interes własny skłonił Jerobeama do zaprowadzenia reform wewnętrznych. Bądź z przyzwyczajenia, bądź z przekonania niektóre rody pokoleń północnych nie przestawały i po rozdziale państwa odbywać jesienią pielgrzymek na święto żniw do świątyni jerozolimskiej i tam uczestniczyć w kulcie bez wizerunku Bóstwa. Takie ciążenie bodaj cząstki tylko ludu do stolicy judzkiej niepokoiło bardzo Jerobeama. Cóżby się stało, gdyby lud, coraz tłumniej pielgrzymując do świątyni, pojednał się znowu z domem Dawida? Czyż nie groziłby mu wówczas upadek również nagły, jak nagłem było wyniesienie? Aby temu możliwemu odstępstwu zapobiedz, wpadł na pomysł bezecny, który Izraela cofnął w czasy bałwochwalstwa.

Podczas długoletniego pobytu w Egipcie, Jerobeam poznał kult miejscowy i przekonał się, że ubóstwianie zwierząt, a zwłaszcza byka, niezmierną królom korzyść przynosi, przytępia bowiem umysł narodu. Kult taki, politycznie korzystny, mógłby wyjść na dobre i jemu, parwenjuszowi — myślał Jerobeam — zapewniłby mu też zarazem względy dworu egipskiego. Izrael stałby się jeno prowincją Egiptu i oba te kraje łączyłyby, obok wspólnego wyznania i wspólnych obyczajów, wspólne również interesy. Aby jednak w rzeczach wiary dotyczących nie uchodzić za nowatora, postanowił przedstawić kult byka jako starożytną właśnie religję Izraelitów. Wszakże w Egipcie, a nawet później jeszcze, w własnym kraju,

oddawali cześć Apisowi (Abir). Natomiast pozbawiona wizerunku Bóstwa służba boża w świątyni jerozolimskiej miała być wrzekomo reformą, zaprowadzoną przez Salomona, Jerobeam zaś odnowicielem prastarej wiary Izraela. Ten plan, pełen przebiegłej rachuby, Jerobeam wykonał istotnie. Najpierw zabronił pielgrzymek do Jerozolimy i kazał wyobrazić Boga Izraela w postaci młodego byczka (cielca). Dwa takie wizerunki sporządzić polecił i ustawił je w dwóch miastach, które już dawniej uchodziły za miejsca poświęcone, w Betel i w Dan, jeden dla południowych, drugi dla północnych pokoleń. Czyniąc to, miał na względzie wygodę pokoleń, aby mieszkańcy dalszych okolic nie potrzebowali na święta żniw odbywać długiej podróży. Gdy ustawiono owe dwa posągi, Jerobeam kazał obwieścić: „To jest twój Bóg, Izraelu, który cię wywiódł z Egiptu.“ W Betel, w którego kulcie sam uczestniczyć zamierzał, wzniósł świątynię większych rozmiarów. Aby odzwyczaić lud od obchodzenia świąt jesiennych w Jerozolimie, ustanowił, że obchodzone być mają o miesiąc później (ósmego zamiast siódmego). Przeważna część ludu nie gorszyła się bynajmniej tą reformą, która wydawała jej się istotnie wskrzeszeniem kultu odwiecznego. Przecież nie naruszyła zasadniczej nauki i zakorzenionego już przekonania o jedności Boga. Jerobeam nie zaprowadził wielobóstwa, lecz postać tylko nadał jedynemu Bogu Izraela, postać byka, która miała być symbolem siły i płodności. Naród, przeważnie zmysłowy jeszcze, rad był wystawiać sobie Bóstwo w wizerunku; duchowość Boga, żadnym znakiem zewnętrznym nie wyobrażona, była podówczas sferze jego pojęć bardziej niedostępną niż jedyność. Rozwiązłość i wszeteczeństwo kanaańskiej służby Baala obcemi były kultowi byka, nie obrażały przeto uczuć moralnych. Tak więc pielgrzymki do Betel lub Dan na święta jesienne weszły zwolna w nałóg ludowi, pozatem przynosił ofiary w do-

mu lub w najbliższej, zdawna poświęconej miejscowości. Jerobeam najzupełniej cel swój osiągnął; naród zgłupiał i okazywał mu posłuszeństwo niewolnicze: „Efraim stał się podobnym do głupiego gołębia bez rozumu. Drewna pytał o wyroki, a kij miał mu przyszłość obwieszczać.“

Źródłem kłopotów było dla Jerobeama pokolenie Lewi. Żaden Lewita nie chciał się zgodzić na sprawowanie kapłaństwa przy kulcie byka, tak trwały wpływ wywarły na to pokolenie nauki prorocze Samuela. Obawiając się, aby ich do tego siłą nie znaglono, Lewici z miast izraelskich wywędrowali do państwa judzkiego. Cóż miał począć Jerobeam? Lewici, a zwłaszcza potomkowie domu Arona, tworzyli niezaprzeczenie stan kapłański i uchodzili za pośredników pomiędzy Bogiem a ludźmi, składając w tym celu ofiary i spełniając czynności religijne. A teraz odstąpili go ci kapłani, a tem samem całe jego urządzenie odrzucili i napiętnowali. Lecz że bez kapłanów obejść się nie mógł, brał takich, jacy mu się nawinęli, pierwszego lepszego, co mu usługi swoje ofiarował. Sam podczas obchodu jakiegoś święta pełnił funkcje kapłańskie, aby znaczenie ich podnieść w oczach narodu, a może też naśladując tylko zwyczaj egipski. Nowy kult ten zachował się przez cały czas trwania państwa dziesięciu pokoleń; żaden z następców Jerobeama nie usiłował nawet zmian zaprowadzić.

Lubo wojownik pewien, imieniem Baesza, uknuwszy spisek przeciw synowi Jerobeama, Nadabowi, zgotował zupełny upadek temu domowi, to jednak założona przezeń dynastja w kulcie żadnych zmian nie poczyniła. Nie uległ również zmianie stosunek do domu Jehudy. Baesza i syn jego toczyli drobne utarczki z Asą, jednym z następców Rehabeama, podobnie jak ich poprzednicy napastowali Abijama, syna Rehabeama. Dopiero w czterdzieści lat po rozdziale państwa zaszły krwawe wypadki, które w obu połowach zwrot wywołały. Syn Baeszy, Ela, oddany le-

nistwu i pijaństwu, zginął z ręki jednego z sług swoich, Zimrego, a wraz z nim uległ też zagładzie cały dom jego. (ok. 932).

Zimri oczywiście sięgnął po koronę, lecz rządy jego nader krótko trwały, bo jeden tylko tydzień. Zaledwie wojsko dowiedziało się o królobójstwie w Tircy, obwołało niezwłocznie królem wodza naczelnego, Omrego. Ten wyruszył z swymi hufcami pod mury stolicy, a zastawszy bramy zamknięte, obległ miasto i zrobił wyłom w murze. Skoro Zimri zmiarkował, że jest zgubiony, nie chcąc narażać się na śmierć haniebną z obcej ręki, podpalił pałac i rzucił się w płomienie. Był to już trzeci król Izraela z pośród pięciu, co umierał śmiercią gwałtowną, a dwóch tylko pochowano w dziedzicznych grobach królewskich, które założył Jerobeam. Niebawem czwarty król miał paść ofiarą mordercy.

Omri zamierzał zająć natychmiast tron opróżniony, lecz natrafił na opór. Część ludności stołecznej obrała królem Tibnego, syna Ginata, który był, jak się zdaje, tubylcem. Wojsko natomiast usilnie popierało Omrego. W ten sposób utworzyły się w stolicy izraelskiej dwa stronnictwa, które zwalczały się wzajem. Do przepełnienia miary brakowało jeszcze wojny bratobójczej. Całe cztery lata trwała walka stronnictw (932—928). Wreszcie zwyciężyła partja wojskowa; Tibni zginął śmiercią gwałtowną, a Omri został samowładcą (928). Lecz Tirca nie przypadła mu do smaku; pałac od śmierci Zimrego obrócony był w perzynę, a na tem nie ograniczyło się zapewne zniszczenie w ciągu czteroletniej wojny domowej. Zwyciężone stronnictwo żywiło dlań wrogie uczucia. Względy te skłoniły go do obrania innej stolicy. Do Sichemu nie chciał jej przenieść, gdyż niespokojny, wichrzycielski duch ludności nie dawał bynajmniej rękojmi bezpieczeństwa; innego znacznego miasta w środku kraju nie było. Omri postanowił przeto zbudować

nową stolicę. Płaski pagórek o kilka godzin na północowschód od Sichemu wydał mu się w tym celu odpowiednim, nabył go więc, wzniósł na nim budowle, pałac i inne domy, obwarował go i dał mu nazwę Szomron (Samarja). W rok po zwycięstwie nad królem wrogiego stronnictwa Omri opuścił Tircę i osiadł w nowej stolicy (927), która przez dwa stulecia była współzawodniczką Jerozolimy, a później zburzona, po dwustu przeszło latach, powstała z gruzów do nowego życia i odnowiła dawną względem Jehudy i Jerozolimy nieprzyjaźń. Samarja odziedziczyła nienawiść Sichemu ku Jerozolimie i posunęła ją do granic ostatecznych. Nowe miasto przelało swe imię na państwo dziesięciu pokoleń, które też później nazywało się Samarją.

Omri, pierwszy król Samarji, lubo nie odznaczał się wielką dzielnością i wojowniczością, roztropnym jednak był mężem; nie zadowalała go korona, którą zawdzięczał przyjaznej raczej chwili, niż osobistej energji, chciał kraj i lud swój uczynić znowu wielkim, poważanym, a nawet bogatym. Czyżby nie można było wskrzesić dla Izraela czasów Salomonowych? Wprawdzie naród rozdarty został na dwie nierówne połowy, a rozdwojenie to było przyczyną niemocy. Lecz czyż koniecznie między dwiema połowami ciągłe musiały toczyć się boje i miecz pożerać musiał ofiary? Azaliż nie mogłyby, związane przecież pokrewieństwem plemiennem i wspólnymi interesami, zjednoczyć się w pokoju i iść ręka w rękę? Omri usiłował przedewszystkiem zawrzeć przymierze z domem Dawidowym i przekonać go, że polityka pokojowa byłaby nader korzystną dla obu, gdyż dzięki jej mogliby odzyskać panowanie nad dawnymi krajami hołdowniczymi. I w samej rzeczy, przez długi przeciąg czasu panowała zgoda pomiędzy obu państwami, za króla judzkiego Jozafata, syna Asy, i za jego następców, i pomagały odtąd sobie zamiast napastować się wzajemnie. Również,

a może więcej jeszcze, leżało Omremu na sercu utrzymanie przyjaznych stosunków sąsiedzkich z Fenicją, pragnął bowiem, aby część obfitych zasobów, jakich temu krajowi przysparzały rozległa żegluga i handel, wpływała także do państwa dziesięciu pokoleń. I w Tyrze w owych czasach panowało kilku z rzędu monarchów królobójczych, aż nareszcie Itobal (Etbaal), kapłan Astarty, wstąpił na tron po zamordowaniu swego poprzednika. Krwawe wypadki w stolicy fenickiej kraj osłabiły. Możne rody, zmuszone do emigracji, założyły kolonje na północnem wybrzeżu Afryki. Musiał więc Itobal starać się o wzmocnienie sił państwa za pomocą sojuszów, a najbliższem mu było państwo dziesięciu pokoleń. Zawarcie przymierza zaczepno-odpornego korzystnem było zarówno dla Omrego, jak dla Itobala. To pożądane dla obu przymierze przypieczętowano związkiem rodzinnym. Syn Omrego, Ahab, pojął za żonę córkę Itobala, Izebel (Jezabel), a z małżeństwa tego urosnąć miały tragiczne wypadki.

Omri, wzmocniony z tej strony, mógł myśleć o wojennych imprezach. Od Moabu, który prawdopodobnie za Jerobeama wywalczył sobie niepodległość, oderwał kilka miast i kraj ten zniewolił znowu do opłacania haraczu. Moab musiał co rok posyłać w daninie całe trzody kozłów i wełnistych baranów. Ponieważ między Moabem a Aramem zachodził rodzaj związku, mającego na celu pomoc wzajemną, i że wogóle na wzrost potęgi Izraela Aram patrzał okiem zawistnem, więc też aramejski król Damaszku, Ben-Hadad I, najechał państwo izraelskie i zmusił Omrego do zawarcia pokoju pod uciążliwymi warunkami i do otworzenia mu dróg karawanowych przez dzielnice izraelskie, aby jego wyprawy handlowe mogły bez przeszkód kraj przebywać.

Natomiast węzły, łączące go z państwem tyryjskiem Omri zacieśniał coraz więcej i przemyśliwał nad kananizacją swego ludu. Czemuż wyodrębnił się Izrael od

sąsiadów? Jakąż ztąd korzyść odnosi? Czyż nie byłoby rozsądniej i zbawienniej nadać państwu dziesięciu pokoleń charakter zgoła tyryjski lub fenicki? Blizkie sobie językiem i obyczajem, azaliż nie mogłyby oba te ludy zespolić się jeszcze ściślej, gdyby Izrael przyswoił też sobie obrzędy religji fenickiej? Omri utorował drogę do tego zjednoczenia. Wprowadził kult Baala i Astarty, jako religję oficjalną; w stolicy swej, Samarji, wzniósł Baalowi świątynię, powołał do niej kapłanów i rozkazał, aby wszędzie czyniono ofiary Baalowi i Astarcie. Kult byka w Betel i Dan miał być zniesionym, zanadto bowiem jeszcze wydawał się izraelskim, zbyt wielki tworzył przedział między Fenicjanami a Izraelitami. Jehowa, czczony pod postacią widomą lub bez takowej, zawsze stanowił przeciwieństwo do tyryjskiego Baala lub Adonisa, a Omri chciał znieść to przeciwieństwo przez wzgląd na interesy polityczne, aby Izraelowi zapewnić korzyści ścisłego przymierza z Fenicją. I w samej rzeczy, dzięki Omremu do państwa dziesięciu pokoleń znowu zaczęło napływać obficie srebro i złoto. Syn jego mógł sobie pozwolić na taki zbytek, jak wyłożenie pałacu kością słoniową, gdy tymczasem Salomon, pomimo wielkiego upodobania w przepychu, nie miał dość środków po temu i poprzestać musiał na tronie z kości słoniowej.

Reforma Omrego miała o wiele donioślejsze znaczenie, niż reforma Jerobeama, czyli mówiąc językiem źródła, postępował daleko bezbożniej jeszcze od swoich poprzedników. Jerobeam wydawał jeszcze postać byka za Boga Izraela, Omri zaś chciał pozbawić lud jego Boga, wynarodowić go i sprawić, aby zapomniał, że powinien tworzyć odrębną, przeciwną bałwochwalcom narodowość. Ponieważ Omri zmarł w sześć lat po założeniu Samarji (około 922), to oczywiście przewrót, wywołany przezeń we wszystkich dotychczasowych obyczajach i wierzeniach nie mógł puścić głęboko korzeni. Dopiero syn

jego, Ahab (922—901), miał dalej prowadzić jego dzieło, jakgdyby spełniając ostatnią wolę rodzica. Rzecz prosta, że i on utrzymywał ścisły związek z Tyrem i z królem judzkim.

Lecz wykonanie testamentu, nakazującego gwałtowny zamach na sumienie narodu, zawisło, przy najlepszych nawet chęciach spadkobiercy, od okoliczności i zrządzenia losu, których najtęższa głowa nie zdoła z góry przewidzieć. Dwojakie przeszkody stanęły na drodze kanaanizacji państwa dziesięciu pokoleń, jedne leżały w usposobieniu Ahaba, drugie były wynikiem niespodzianego przeciwdziałania, które zamach gwałtowny osłabiło, jeżeli nie sparaliżowało zupełnie. Następca Omrego, skoro chciał lud przeistoczyć w przydatek Fenicji, uczynić go obcym samemu sobie i własnym tradycjom, powinien był odznaczać się dzielnym umysłem, nieugiętą wolą i bezwzględną surowością, aby silną dłonią łamać wszelkie przeszkody. Lecz Ahab był żywem tego przeciwieństwem: słaby, łagodny, zwolennik spokoju i wygód, wolał raczej wymijać trudności i zawady, niż szukać ich i usuwać. Gdyby to wyłącznie od niego zależało, zarzuciłby system swego ojca.

Ahab nie posiadał nawet ducha wojowniczego; od królów sąsiednich znosił cierpliwie obelgi, które monarchę choć cokolwiek o swój honor dbałego popchnęłyby do rozpaczliwego oporu. Lecz jak wbrew swym skłonnościom musiał wypowiedzieć wojnę zuchwałemu sąsiadowi, tak też zniewolony był podjąć walkę z narodowością izraelską. Ojciec dał mu małżonkę, która w przeciwieństwie do niego obdarzona była silną, męzką wolą i zamiary swe w czyn wprowadzała, używając środków surowych i okrutnych. Izebel, królewna fenicka, której ojciec sprawował urząd kapłana przy kulcie Astarty, żarliwie popierała kanaanizację ludu Izraela. Z energją i bezwzględnością podjęła dzieło, rozpoczęte przez Omrego, i pozbawionego woli małżonka popychała do wszelkich gwałtów i zbrodni. Ona dzierżyła berło, a Ahab był tylko narzędziem w jej ręku. Posępny umysł Izebel, jej zaciekłość i niecofająca się przed niczem energja wznieciły w państwie dziesięciu pokoleń niepokoje i rozruchy, z których wynikły krwawe zdarzenia, które wszakże, jak burza niszcząca, spowodowały oczyszczenie powietrza. Najpierw Izebel kazała wznieść Baalowi świątynię w stolicy Samarji. Dla kultu bałwochwalczego ściągnęła do kraju cały rój kapłanów i proroków fenickich, 450 dla służby Baala, a 400 dla służby Astarty, których utrzymywano na koszt domu królewskiego i zapraszano do stołu królowej. Jedni sprawowali urząd ofiarników przy ołtarzach w Samarji, inni zaś snuli się jak szaleni po kraju, aby po wsiach i po miastach oddawać się wszetecznym praktykom.

Odziani w szaty niewieście, z twarzą i oczyma według zwyczaju białogłowskiego umalowanemi, z obnażonemi po plecy ramionami, nosili miecze i siekiery, mieli też bicze, grzechotki, brzmiące cymbały i bębny. Tańcząc i wyjąc, kręcili się w koło, schylali na przemian głowę ku ziemi i włóczyli włosy po błocie ulicznem, szarpali sobie zębami ramiona, i zadawali rany w brzuch mieczami i nożami, aż pociekła krew, którą ofiarowali krwiożerczej bogini. W napadzie szaleństwa niektórzy z nich wytrzebiali się i urządzali ohydne procesje. Przy pomocy tych zastępów kapłanów Baala i Astarty spodziewała się Izebel odzwyczaić lud izraelski od Boga jego ojców i wywołać zupełny przewrót w jego wierzeniach. Przedewszystkiem zburzono ołtarze, poświęcone Bogu Izraela, a na ich miejsce wzniesiono inne według obrządku kanaańskiego. Chciano zmusić w ten sposób lud, czujący potrzebę składania ofiar, do przynoszenia ich, w braku własnych ołtarzy, na miejscach, poświęconych Baalowi i Astarcie.

Jakżeż łatwo, jeśli mocarze użyją przebiegłości i siły, skłonić naród do wyrzeczenia się swych obyczajów i znamion i do przejęcia urządzeń cudzoziemskich. Ludność miast przywykła dzięki dobrobytowi do życia wykwintnego i zniewieściałego i nabrała skłonności do uciech zmysłowych, a pociągowi temu dogadzał aż nadto sprośny kult Baala i Astarty. W miastach nowe porządki przyjęły się rychło i sprowadziły skażenie obyczajów. Koło siedmiu tysięcy tylko wytrwało w wierze swych ojców, nie padali na kolana przed Baalem i nie dawali mu czołobitnych pocałunków. Część wszakże ludu, do której należeli też wieśniacy, chwiała się w swych poglądach i postępkach i, nie wiedząc, kto potężniejszym jest Bogiem, czciła Baala otwarcie, a Jehowę tajemnie. Był to okres naprężenia i zamętu, jaki zwykle poprzedza przełomy dziejowe. W takich czasach osobistość potężna, w której sercu ożyły i zawładły niem niepodzielnie wznioślejsze przekonania, wywiera zazwyczaj wpływ rozstrzygający, stałością swoją, zapałem i poświęceniem porywa chwiejne umysły, pokrzepia słabe, podnieca gnuśne, gromadzi zastęp obrońców zagrożonej przez obce naleciałości swojszczyzny i ocala ją od zagłady.

Mąż taki ukazał się w owej dobie trwożnej niepewności w osobie proroka Eljasza z miasta Tisbe (działał ok. 920—900). Z Gilead, z tamtej strony Jordanu, rodu swego nie wywodził, lecz należał do półuprawnionych tylko osadników (toszabim) tego kraju. Była to natura burzliwa, obca wszelkim względom, gotowa bez namysłu życie położyć w obronie swoich przekonań. W czasach potomnych uchodził za wcielenie żarliwości religijnej i etycznej. Jak burza nadciągał, jak burza spadał z łoskotem na słabego, przez żonę na paskach wodzonego króla Ahaba, piorunował go ogłuszającem słowem, jak burza odlatał i nieuchwytny znikał nagle z widowni. Ożywiała go jedna myśl wyłącznie

—zachowanie pamięci Boga Izraela, która zacierała się powoli w umysłach narodu; Jemu się poświęcił, Jego służbie się oddał.

Na zewnątrz wyróżniał się Eljasz swoją odzieżą. W przeciwieństwie do zniewieściałości, przepychu i cudactwa proroków Baala i Astarty ściągał pasem skórzanym suknię spodnią, na której nosił czarny płaszcz włosiany i zapuszczał sobie włosy na głowie. W przeciwieństwie do rozpustnego życia czcicieli Baala wstrzymywał się od wina i zaprowadził nazarejstwo, które na tem właśnie polegało, aby nie pić wina i nie strzydz włosów. W takiej odzieży i w takim trybie życia głosił jedną, lecz pełną treści ideę: „Jedynie Jehowa jest Bogiem.“ Eljasz znalazł słuchaczów, których swym duchem ognistym porywał do współdziałania. W krótkim czasie utworzył się zastęp proroków lub uczniów prorockich, gotowych oddać życie w obronie odwiecznych znamion narodowych. Przejęli oni tryb życia Eljasza, stali się nazarejczykami. Hasłem tego nowoutworzonego bractwa było: prowadzić życie proste, nie mieszkać w miastach, gdzie panowały przepych i zniewieściałość, lecz na wsi, pod namiotem, nie pijać wina i nie sadzić winnic, wogóle nie uprawiać roli, lecz, jak praojcowie i pokolenia w okresie młodzieńczym, utrzymywać się z hodowli bydła. Jonadab, syn Rehaba, który bezwątpienia należał do grona zwolenników Eljasza, ustanowił te prawidła dla siebie i dla swego domu. Eljasz nietylko gwoli potrzebie chwilowej zbudził i do czynu zapalił obrońców wiary rodzimej, lecz i potomności nowe utorował drogi. Gnuśności i rozkoszy przeciwstawił prostotę i wstrzemięźliwość.

Na czele swych uczniów zaczął w żarliwości swej ku Jehowie przeciwdziałać kapłanom i prorokom Baala, przebiegał z miasta do miasta, zwoływał lud i porywał go namiętną wymową, która ogniskowała się w myśli:

„Jehowa sam tylko jest Bogiem, a Baal i Astarta to nieme, martwe bałwany.“ Dopuszczał się też może nieraz gwałtu na kapłanach Baala, z którymi się stykał. Izebel nie mogła długo patrzeć obojętnem okiem na krzyżujące jej plany postępowanie żarliwego Tisbity. Wysłała zapewne swych drabantów przeciw zwolennikom Eljasza, a ci, co wpadli im w ręce, ginęli śmiercią okrutną. Byli to pierwsi męczennicy, co położyli życie za wiarę staroizraelską. Izebel, córka kapłana Astarty, Etbaala, była pierwszą prześladowczynią wiary. Samego jednak Eljasza, na którym jej najbardziej zależało, nigdy nie można było dosięgnąć; zawsze wymykał się z rąk siepaczów. Już gorliwość jego wpływ tak doniosły wywarła, że rządca pałacowy Ahaba, Obadjasz, sprzyjał pokryjomu dawnej religji. On, co otrzymał może polecenie prześladowania uczniów prorockich, stu z nich ukryć potrafił w dwóch jaskiniach góry Karmel, po pięćdziesięciu w każdej, i zaopatrywał ich w chleb i wodę. Eljasz stał się w ten sposób potęgą, której nie można było skruszyć tak łatwo. Jakżeż mogła Izebel walczyć z niewidzialnym wrogiem, co w własnym jej domu znalazł pomocników?

Pewnego dnia Eljasz przystąpił do Ahaba, aby króla, którego słaby, powolny charakter był mu znany, przerazić obrazem zbrodni, jakie tolerował. Ahab był miłośnikiem budowania i obwarowywania miast. Założył nową stolicę na pięknej równinie Jezreel, aby w niej spędzać surowe miesiące zimowe; Samarja służyła odtąd tylko za rezydencję letnią. Nowe to miasto, Jezreel, które miało zostać widownią tragicznych wypadków, zbudowano z wielkim przepychem. Oboje królestwo wznieśli tam sobie pałac z kości słoniowej. Ale Ahab potrzebował w Jezreel rozległych przestrzeni dla swoich ogrodów i pożądał pięknej winnicy w pobliżu pałacu, która należała do Nabota, jednego z najbardziej poważanych obywateli w Jezreel. Wzamian za nią Ahab ofiarował właścicielowi inną posiadłość lub zapłatę, ale Nabot nie chciał zbyć puścizny swych ojców. Odmowa tak zasmuciła Ahaba, że nie przyjmował posiłku. W tym stanie rozdrażnienia zastała go Izebel i wyśmiała jego dąsy dziecinne i tchórzliwą bezradność. „Także to chcesz zachować panowanie nad Izraelem?“ Przyrzekła mu, że wprowadzi go niebawem w posiadanie upragnionej winnicy. W imieniu króla wystosowała listy do tych starszych w Jezreel, o których niewolniczej uległości nie wątpiła, nakazując im zwołanie sesji sądowej i postawienie dwóch świadków, którzyby oskarżyli Nabota o bluźnierstwo przeciwko bogom i królowi.

Bojaźliwa czy sprzedajna starszyzna, przezwyciężywszy skrupuły, wytoczyła niewinnemu sprawę gardłową. Wystąpiło dwóch wyrzutków i złożyli świadectwo, jakoby słyszeli, że Nabot lżył bogi i króla. Nabot został skazany przez starszych na karę śmierci i wyrok ten wykonano niezwłocznie na nim i na jego synach. Dobra skazańca przechodziły na własność króla. Z tryumfem rzekła potem Izebel do swego małżonka: „Teraz możesz wejść w posiadanie winnicy Nabota, bo już nie żyje.“ Dowiedziawszy się o tej oburzającej zbrodni, Eljasz nie mógł dłużej wytrzymać. Udał się do Jezreel i spotkał króla, gdy ten zwiedzał właśnie winnicę Nabota w towarzystwie dwóch jezdnych, z których jeden miał być później mścicielem niewinnej ofiary. Piorunującym głosem krzyknął prorok na króla: „Zamordowałeś, a teraz wchodzisz w posiadanie? Widział Bóg wczoraj niewinnie przelaną krew Nabota i jego synów, na tem polu karę za to poniesiesz.“ Groźba ta oszołomiła niezatwardziałego bynajmniej Ahaba, opamiętał się i w pokorze czynił pokutę. Lecz do trwałego nawrócenia się króla nie dopuściła niecna Izebel, która zupełnie opanowała niedołężnego małżonka. Eljasz, który znikł również na-

gle, jak się ukazał, stanął po raz wtóry przed Ahabem, aby mu zwiastować, że klęska głodowa kraj nawiedzi i kilka lat potrwa.

Głód istotnie srożył się w kraju, zabrakło nawet paszy dla koni i mułów królewskich. W utrapieniu tem wysyłał Ahab wszędy gońców za gońcami, aby odszukali posępnego proroka, nikt wszakże miejsca pobytu jego nie wyśledził. Pewnego dnia Eljasz ukazał się rządcy pałacowemu, Obadjaszowi, i rzucił mu krótkie słowa: „Idź, powiedz twemu panu: Eljasz przybył.“ Na jego widok zauważył Ahab: „Tyżeś to, co zgubę gotujesz Izraelowi?“ Na to odparł prorok: „Nie ja gotuję zgubę Izraelowi, lecz ty i dom ojca twego waszem przywiązaniem do Baala.“ Jak gdyby jemu to właśnie przystało wydawać rozkazy, polecił królowi, aby zwołał na górę Karmel kapłanów Baala, tam się okaże, kto jest prawdziwym, a kto fałszywym prorokiem.

Zdarzenia na górze Karmel, gdzie spór się rozstrzygnął, musiały wywrzeć niezmierne wrażenie, lecz wieści o nich doszły nas tylko mgłą przesłonięte. Ahab kazał się zgromadzić na górze wszystkim prorokom Baala, sam też przybył, a wraz z nim wyległy tłumy ludu, ciekawe, jaki też obrót przyjmie nieporozumienie króla z prorokiem i czy wskutek tego ustanie oddawna trwająca posucha. W jaskiniach góry Karmel ukrywało się stu proroków, których ocalił i żywił Obadjasz. I oni zapewne byli świadkami owych zapasów. Eljasz, który nad zgromadzeniem górował, przemówił do obecnych: „Długoż jeszcze chcecie jak ptaki przelatać z gałęzi na gałąź? Jeżeli Jehowa jest Bogiem, przystańcie do niego, jeżeli Baal jest Bogiem, dochowajcie mu wiary.“ Następnie rozkazał prorokom Baala wznieść ołtarz, złożyć ofiary i wezwać swego boga, aby zdziałał cuda, co też uczynili, zadając sobie, według swego zwyczaju, rany nożami i mieczami, aż cali krwią ociekli, i wołając

od rana do południa: „O Baalu, wysłuchaj nas!“ Ale Baal nie dawał znaku życia. Z uszczypliwą ironją, która stała się cechą wybitną wymowy proroczej, zachęcał ich Eljasz do podwojenia usiłowań: „Wołajcie nań głośniej, może rozmawia, bawi się lub podróżuje, może śpi, aby się zbudził.“ Kiedy kapłani Baala ze wstydem zaniechali bezowocnych zabiegów, modlił się Eljasz cicho: „Wysłuchaj mnie, Boże Abrahama, Izaaka i Izraela, aby lud poznał, że jesteś Bogiem, żem działał z Twego rozkazu, i abyś serca ich odmienił.“ Znak nastąpił tak nagle, że całe zgromadzenie, padłszy na twarz, zawołało: „Jehowa jedynie jest Bogiem!“ Nagły piorun— tak niesie podanie—spalił ofiarę i wszystko, co było na ołtarzu lub obok niego, pochłonął nawet wodę, poczem Eljasz, płacąc wet za wet kapłanom Baala, rozkazał ludowi chwytać ich, zabijać i ciała ich wrzucać do płynącego nieopodal Kiszonu. Ahab, odurzony scenami, których był świadkiem, nie przeszkadzał temu.

Nie tak obojętnie rzecz tę przyjęła krwiożercza Izebel. Zaledwie doszła ją wieść o tych zajściach, zagroziła Eljaszowi takim samym losem, jeżeli wpadnie jej w ręce. Chcąc życie ocalić, prorok uciekł do państwa judzkiego, tu jednak, ze względu na przymierze, łączące króla Jozafata z Ahabem, nie znalazł, jak się zdaje, przytułku, podążył więc dalej aż za Beersebę i w taką wpadł rozpacz, że śmierci wzywał. Pokrzepiony sennem widzeniem, w którem otrzymał rozkaz udania się w głąb pustyni do góry Horeb, wyruszył w dalszą drogę. W miejscu, gdzie objawioną została prawdziwa i prosta nauka o Bogu i prawach porządku etycznego, miał się dowiedzieć, że w żarliwości swojej dla tej nauki zapędził się zbyt daleko. Kiedy w jednej z jaskiń Synaju, w okropnem pustkowiu, gdzie o uszy obijał mu się tylko dźwięk własnych wyrazów, wylewał swe żale: „Żarliwie broniłem Jehowy, gdy Izraelici od

Twego przymierza odstąpili, Twoje ołtarze zburzyli, Twoich proroków zgładzili, i osamotniony zostałem, a nawet na życie moje czyhają," otrzymał odpowiedź przez znaki, „że Bóg nie przemawia w burzy, ani w trzęsieniu ziemi, ani w żarze płomieni, lecz w łagodnym powiewie." Rozkazano mu, aby powrócił, wybrał następcę i ustąpił z widowni. Za bezwzględną gorliwość, w której posunął się aż do rozlewu krwi, spotkała go na Horebie nagana.

Podczas dłuższej nieobecności Eljasza między domem Omrego a zwolennikami Tisbity nastąpiło, jak się zdaje, niejako zawieszenie broni. Utworzyły się grona uczniów prorockich, których nie prześladowano. Jeden tylko z tych proroków lub uczniów prorockich nie przestawał żywić względem Ahaba uczuć nieprzyjaznych: Michasz, syn Imli. Ile razy Ahab chciał podjąć jaką sprawę i wzywał Michasza, aby z ust jego dowiedzieć się o przyszłości, zawsze przepowiadał mu nieszczęście. Lecz Ahab nie pozbawił go życia, dość miał na tem, że trzymał go w ścisłem zamknięciu. Różne niepowodzenia, jakich doznał, mogły służyć królowi dziesięciu pokoleń za przestrogę, aby z błędnej drogi zawrócił. Król Aramu, Ben-Hadad II, coraz bardziej wzrastał w potęgę, roszczenia swe i żądzę podbojów coraz dalej posuwał. Przy pomocy sojuszników lub wasalów wszczął wojnę z Ahabem, zapewne korzystając z bezsilności, spowodowanej klęską głodową i zamieszkami wewnętrznemi. Ben-Hadad zagarnął całe dzielnice państwa dziesięciu pokoleń i obległ wreszcie Samarję (ok. 904). Przyciśnięty koniecznością, Ahab prosił o pokój, lecz Ben-Hadad stawiał twarde, haniebne warunki: żądał, aby król Izraela wydał mu nietylko wszystko złoto i srebro, ale nawet swoje żony i dzieci. Straciwszy odwagę, Ahab był gotów już niemal za taką nawet cenę pokój okupić, lecz starsi, zapytani o zdanie, i cały naród radzili prowadzić dalej walkę do upadłego.

Ahab mógł przeciwstawić małą tylko garstkę licznemu wojsku nieprzyjaciela. Mimo to Izraelici, zrobiwszy wycieczkę, porazili i rozproszyli hufce aramejskie. Sam Ben-Hadad ocalenie swe zawdzięczał szybkiej ucieczce. Podczas drugiego najazdu, aż do doliny Jezreel, Ahab odniósł powtórne zwycięstwo i tak rozgromił wroga, że Ben-Hadad ujść nawet nie zdążył. Teraz na niego przyszła kolej prosić o pokój. W szatach żałobnych, z powrozami na szyi, biodra worem przepasawszy, słudzy Ben-Hadada stanęli przed Ahabem, oddali mu się w ręce jako jeńcy i błagali o życie swego króla. Widok potężnego wroga, kornie żebrzącego litości, pochlebił dumie Ahaba, przyrzekł więc wszystko uczynić i posadził obok siebie na wozie wydobytego z ukrycia Ben-Hadada. Ułaskawiony tak niespodzianie, król aramejski nie szczędził obietnic. Przyrzekł zwrócić Ahabowi wszystkie miasta, które ojciec jego, Ben-Hadad I, wcielił do swego kraju, a nadto pozwolić mu jeszcze na utrzymywanie i ochronę dróg handlowych w obrębie Damaszku, jak niegdyś podobne ustępstwo wymógł Aram na Omrim w państwie Izraela. Wczorajsi wrogowie przedzierzgnęli się w dobrych przyjaciół, zawarli przymierze, zaprzysięgli je też pewnie na wszystko, co jest najświętszego, aby je złamać nazajutrz przy sposobnej okazji. Ten pokój, dość lekkomyślnie zawarty, zganił słusznie pewien prorok i przepowiedział Ahabowi, że ściągnie przezeń na siebie niebezpieczeństwo.

Ben-Hadad, uszedłszy szczęśliwie z życiem, istotnie nie zamierzał dotrzymać spełna warunków pokoju i przyrzeczeń; miast zajordańskich, zwłaszcza ważnego Ramot-Gilead, punktu oparcia dla całej dzielnicy, nie myślał zwracać, a gnuśny Ahab nie upominał się o nie dość energicznie. Im dłużej z tem zwlekał, tem trudniej przychodziło mu nalegać o dotrzymanie słowa, ponieważ Ben-Hadad wzmógł się tymczasem na siłach. Zosta-

wiony sobie samemu i swemu wojsku, Ahab nie zdołałby może odzyskać mocą oręża Ramot-Gilead, na rękę więc mu były odwiedziny króla judzkiego, Jozafata, z którym łączyło go ścisłe przymierze. Przy jego pomocy odważył się wszcząć wojnę z Ben-Hadadem. Było to w istocie wypadkiem zdumiewającym, że między przedstawicielami obu wrogo względem siebie usposobionych krajów, nastąpiło tak przyjazne porozumienie, iż jeden drugiego odwiedził w jego stolicy. Stosunki z domem Omrego tak były serdeczne, że Jozafat nie wahał się prosić dla swego syna o rękę córki Ahaba, Atalji, i w ten sposób wejść w związki powinowactwa z bałwochwalczą dynastją.

Jozafat niezwykłą swą wizytą w Samarji miał zapewne na widoku zadzierzgnąć jeszcze ściślej węzeł sojuszu z Ahabem i przez to wzmocnić swe państwo, Ahab zaś skorzystał z tej sposobności, aby prosić swego gościa królewskiego o pomoc przeciw Ben-Hadadowi. Jozafat oddał mu do rozporządzenia siebie samego, lud swój i swoją konnicę, lecz pragnął wpierw się upewnić przez wyrok proroka Jehowy o pomyślnym skutku wyprawy i skłonił Ahaba, aby do jednego z nich udał się z zapytaniem. Do proroków Baala nie miał Jozafat zaufania. Przez uprzejmość dla swego sprzymierzeńca Ahab zgodził się na to i pozwolił uczniom prorockim przybyć do Samarji i otwarcie swe myśli wynurzyć. Wszyscy, co z pozwolenia tego użytek zrobili, na zapytanie Ahaba: „Czy mamy wyruszyć na Ramot-Gilead, czy też zaniechać tego?“ odpowiedzieli jednozgodnie: „Wyrusz, a Jehowa odda je w ręce króla.“ Lecz Jozafat w tem zdaniu jednobrzmiącem dopatrzył się snać braku szczerości i dał do zrozumienia, że rad byłby usłyszeć wyrok proroka Michasza, którego Ahab trzymał w zamknięciu. Ahab, acz niechętnie, przystał i na to i rozkazał rzezańcowi, aby przyprowadził proroka przed oblicze obu królów. Michasz, zapytany, dał zrazu, podobnież jak uczniowie proroccy, wykrętną

odpowiedź: „Wyjdź i bądź szczęśliwym, albowiem Przedwieczny odda Ramot-Gilead w ręce króla.“ Lecz ton jego mowy przekonał Ahaba, że wyrok ten nie płynął z głębi duszy, zaklinał go przeto, aby w imieniu Jehowy powiedział mu szczerą prawdę. Natenczas Michasz, natchniony duchem wieszczym, zapomniał zupełnie o świecie i wybuchnął: „Widziałem Izraela rozproszonego, jako trzodę bez pasterza, a Jehowa rzekł: „nie mają pana, niechaj powrócą w pokoju do domu.“ Ahab, na poły wierząc, na poły nie wierząc, kazał bezwzględnego proroka osadzić w Samarji pod surowszą jeszcze strażą i żywić go lichą strawą i skąpemi porcjami wody, dopóki sam z pochodu nie wróci. Lecz gdy już poczynił wszelkie przygotowania do wojny, zdjął szaty królewskie i przebrał się, aby nie być poznanym przez wroga i w ten sposób uniknąć fatalnego przeznaczenia. Zanim wszakże walka rozgorzała na dobre, dosięgła go na wozie wojennym strzała i zadała mu ranę śmiertelną. Ahab zachował jeszcze tyle przytomności, że rozkazał woźnicy, aby go wyprowadził ze zgiełku bitwy. Bojownicy nic o tem nie wiedząc, walczyli dalej do wieczora. Dopiero, gdy król, kąpiąc się we krwi własnej, ducha wyzionął, herold obwieścił głosem donośnym: „każdy do swego kraju, każdy do swego miasta.“ Wskutek tego wojsko izraelskie i judzkie udało się w powrotną drogę przez Jordan, a Aramejczycy dotrzymali pola i zachowali w swem posiadaniu miasto górskie Ramot, o które toczyła się walka. Zwłoki Ahaba przewieziono do Samarji i tam je pochowano. Gdy krew jego, której pełen był wóz królewski, w stawie płukano, psy ją lizały.

Po Ahabie wstąpił na tron syn jego, Achazjasz; po raz to pierwszy w państwie dziesięciu pokoleń korona przeszła na wnuka. Drugi Omryda rządził zbyt krótko (ok. 901—900) i tak mało wspomnień po sobie zostawił, że trudno sądzić o jego osobie. To pewna,

że nie zważając na przestrogi, trwał w przewrotności swoich rodziców, a nawet ubiegł ich w niej jeszcze. Gdy Achazjasz wypadł oknem z galerji pałacu swego w Samarji i legł na łożu boleści, posłał umyślnych do słynnego owymi czasy bożka Baal-Zebuba (Belzebub) w Ekron, aby zapytali wyroczni, czy wzmoże się z choroby, upadkiem spowodowanej. Eljasz powrócił właśnie w tym czasie z dalekiej wędrówki do Horebu, lecz pomny przestrogi, jaką tam otrzymał, żył w odosobnieniu, prawdopodobnie na górze Karmel, i w biegu spraw żadnego nie brał udziału. Obrał sobie następcą Elizeusza, syna Szafata, z okolic Jordanu. Wybór ten rzuca ciekawe światło na charakter Eljasza. Spotkał Elizeusza na polu w chwili, gdy ten, idąc za jarzmem wołów, uprawiał rolę swego ojca. Prorok przystąpił do niego, zarzucił nań w milczeniu swój czarny płaszcz prorocki i oddalił się. Jeżeli Elizeusz godzien był zostać jego następcą, to nie mógł tego znaku nie zrozumieć. I w samej rzeczy młodzieniec pobiegł za nim i prosił go, aby poczekał, aż ucałuje rodziców i pożegna się z nimi. „A więc wróć się," odparł sucho Eljasz, „cóżem ci uczynił?" Elizeusz zrozumiał, że chcąc być gorliwym prorokiem bożym, powinien opuścić ojca i matkę i złożyć w ofierze porywy serca i nałogi życia. Nie wracając więc do domu rodzicielskiego, poszedł za Eljaszem i usługiwał mu, czyli, jak wówczas mówiono, oblewał mu ręce wodą. Raz jeden jeszcze tylko wtrącił się Eljasz do spraw publicznych. Wysłańcom, których Achazjasz wyprawił do Baalzebuba, zabiegł drogę i zawołał: „Powiedzcie królowi, który was wysłał: „Czyż niema Boga w Izraelu, że do Ekron posyłasz, aby w chorobie poradzić się Baalzebuba?" Wysłańcy powrócili do Samarji i powtórzyli królowi, co im powiedział ten mąż niezwykły. Z opisu jego postaci i odzieży domyślił się Achazjasz, że Eljasz znowu jest w kraju, i rozkazał

gońcom, aby wezwali proroka przed jego oblicze. Po długiem wahaniu Eljasz bez żadnej obawy udał się do Samarji i przepowiedział Achazjaszowi, że nie wstanie już z łoża boleści. Król zmarł wkrótce potem, że zaś nie zostawił potomstwa, tron po nim odziedziczył brat jego, Joram (899).

W tym samym czasie znikł i Eljasz z widowni. Gdzież się podział? Uczniowie jego i uczniowie uczniów jego nie mogli sobie wyobrazić, aby ten duch ognisty stać się miał pastwą grobu i prochu, i opowiadali sobie, że podczas burzy wstąpił do nieba. Potomni tylko zdumiewającymi cudami objaśnić sobie mogli owocną działalność Eljasza, który wśród ciężkich walk i prześladowań ocalił naukę rodzimą o Bogu ojców w przeciwieństwie do narzucanego przemocą bałwochwalstwa, o świętości w przeciwieństwie do nierządu kultu Baala i Astarty i o życiu prostem w przeciwieństwie do coraz bardziej szerzącego się zbytku.

Ale największym cudem, jaki zdziałał Eljasz, było założenie bractwa, które podtrzymywało święty znicz starożytnej nauki i w miarę potrzeby występowało z głośnym lub cichym protestem przeciwko zdrożnościom. Powołana przezeń do życia szkoła prorocka utworzyła odrębną gminę w państwie dziesięciu pokoleń. Dłoni swoich nie kalała jałmużną. Uczniowie proroccy żyli z pracy rąk swych w prostocie i ubóstwie. Po zniknięciu Eljasza bractwo to potrzebowało kierownika i młody jeszcze Elizeusz stanął na jego czele. Utrzymywano, że sam Tisbita przekazał mu prawo pierworodztwa nad swemi dziećmi duchowemi i zostawił mu w spuściźnie swój płaszcz prorocki, co spadł mu z ramion. Elizeusz kroczył zrazu śladem swego mistrza, stronił od społeczeństwa i bawił przeważnie na górze Karmel. Lecz nieznacznie zaczął mieszać się z tłumem, odkąd zdołał zachęcić dzielnego męża do strącenia nienawistnej dynastji Omrego i do wytępienia kultu Baala.

Joram, trzeci Omryda (899—887), nie krzewił tak zapamiętale zdrożności bałwochwalczych, jak jego matka, Izebel. Pomimo to Elizeusz żywił ku niemu wstręt tak nieprzeparty, że nie mógł mu patrzeć w oblicze. Po śmierci brata Joram podjął wojnę z Moabitami, aby króla ich, Mezę (Mesza), ukarać za odstępstwo i do uległości przywrócić. Lecz sam jeden lękał się w pole wyruszyć, wymógł więc również na Jozafacie, z którym za przykładem poprzedników utrzymywał związki przyjaźni, aby przyszedł mu z swem wojskiem na pomoc. Wyprawę do Moabu skierowano na Idumeę, kraj na południe morza Martwego położony, a król, czy namiestnik Idumei, zależny od Jozafata, winien był również wysłać posiłki. Po tej drodze ku południowi Joram zawadzić musiał o Jerozolimę i od sprzymierzeńca swego doznał uprzejmego przyjęcia w stolicy judzkiej. Po rozdziale państwa oba domy, Izraela i Judę, zdawała się kojarzyć zażylsza przyjaźń, niż w czasie jedności państwowej. Lecz tylko zwierzchnicy państw tych szli ręka w rękę. I tym razem Jozafat nalegał, aby zapytać proroka Jehowy, jaki obrót przyjmie wyprawa, wezwano więc Elizeusza, następcę Eljasza, jako cieszącego się największą powagą. Prorok, stanąwszy przed obliczem królów, rzekł Joramowi w oczy: „Gdyby nie wzgląd na króla Jozafata, nie spojrzałbym na ciebie; zwróć się do proroków ojca twego i matki twojej!“ Jednakże przepowiedział pomyślny wynik kampanji.

Meza, król Moabu, który z wojskiem oczekiwał sojuszników na południowych kresach swego kraju, uległ przewadze nieprzyjaciela i uciekł do twierdzy górskiej Kir-Chareset. Joram, mszcząc się na Moabitach, zburzył wszystkie miasta, przez które ciągnęły wojska sprzymierzone, zasypał kamieniami urodzajne pola, zatkał źródła i wyciął drzewa owocowe. Kir-Chareset opasano wojskiem i przypuszczono doń szturm kamieniami z procy. Meza

usiłował przerznąć się w kilkaset wojownika przez linję oblężniczą, aby połączyć się z królem Edomu, o którego zdradzieckich zamiarach musiał mieć wiadomość. Ponieważ usiłowania te spełzły na niczem, przyniósł w ofierze swego najstarszego syna na murach miasta w oczach wojsk oblegających, aby przebłagać boga Kemosza (bóg wojny), którego gniewowi przypisywał swą klęskę. Później, jak się zdaje, wybuchła zaraza w obozie Jorama, wskutek czego wraz z swymi sprzymierzeńcami odstąpić musiał od oblężenia. Wprawdzie większa część Moabu uległa spustoszeniu, lecz Meza bądź co bądź posiadłości swoje zdołał zachować.

Wkrótce potem, prawdopodobnie już po śmierci Jozafata, i Edom oderwał się od państwa judzkiego. Już podczas wspólnej wyprawy przeciw Moabowi przybrał postawę, nie wzbudzającą bynajmniej ufności, i po odstąpieniu sprzymierzonych wszedł, jak się zdaje, w konszachty z Mezą. Ścisła przyjaźń i powinowactwo z domem Omrego zdawały się grozić klęską i domowi Dawida. Jehoram, syn Jozafata, tegoż imienia, co szwagier jego, król Izraela (894—888), do tego stopnia zadzierzgnął węzeł przyjaźni z dynastją izraelską, że i w swoim kraju zaszczepił wszeteczeństwo bałwochwalcze. Nie ulega wątpliwości, że do kroku tego popchnęła go żona jego, Atalja, która podobnie jak matka jej, Izebel, była żarliwą wyznawczynią ohydnego kultu Baala.

Nareszcie spełnić się miało przeznaczenie domu Omrego, który zapadając się, pociągnął za sobą do zguby dom Dawidowy. Nici tego przeznaczenia uprządł prorok Elizeusz. W Damaszku nastąpiła zmiana dynastji. Ben-Hadad II, który prowadził wojnę z Ahabem, zginął, zaduszony przez jednego z swoich powierników, a tronem zawładnął morderca jego, Chazael. Wśród uczniów prorockich chodziła gadka, że Elizeusz był sprawcą tej rewolucji pałacowej. Zasiadłszy na tronie, Chazael posta-

nowił odzyskać niegdyś siłą oręża zdobyte na państwie dziesięciu pokoleń, lecz za Ben-Hadada znowu utracone prowincje. Pierwszy atak skierował przeciw pokoleniom zajordańskim. Joram, król Izraela, wyruszył przeto do Ramot-Gilead, na obronę tej ważnej warowni. Wśród uporczywej, jak się zdaje, walki o Ramot-Gilead król izraelski rażony został strzałą. Dla wyleczenia się z rany wyjechał do Jezreel, powierzywszy obronę twierdzy jednemu z swych wodzów, imieniem Jehu. Pewnego dnia z rozkazu Elizeusza odwiedził tego wodza uczeń prorocki, wywołał go z grona starszyzny wojskowej do izby ustronnej, namaścił go na króla izraelskiego, zalecił mu wykonanie wyroku, skazującego na zagładę cały dom Omrego, i znikł tak nagle, jak przybył. Gdy Jehu powrócił do wodzów, zauważyli, że zaszła w nim jakaś zmiana, i zapytali ciekawie, co mu obwieścił ów uczeń prorocki. Zrazu nie chciał prawdy powiedzieć, w końcu jednak wyznał im, że z polecenia Elizeusza namaszczono go na króla państwa dziesięciu pokoleń. Wodzowie niezwłocznie hołd mu oddali, rozpostarli na najwyższym stopniu pałacu swe płaszcze purpurowe, aby mu za tron służyły, zatrąbili w róg i zawołali: „Niech żyje król Jehu!“

Uznany przez wojsko za następcę Jorama, potrafił Jehu działać stanowczo i szybko, aby pomyślnym skutkiem uwieńczyć sprzysiężenie. Najpierw rozkazał zająć wszystkie drogi, prowadzące z Ramot-Gilead do Jezreel, aby dojść tam nie mogła wiadomość o zaszłych wypadkach. Następnie na czele części wojska przeszedł przez Jordan i lotem ptaka podążył do Jezreel, gdzie bawił jeszcze Joram, lecząc się z rany. Po szalonym pędzie, który zdala już zwrócił uwagę straży odźwiernej, król domyślił się, że to dowódca Jehu, znany z gwałtownego temperamentu, a nadomiar podejrzanem mu się wydawało, że nie powrócili gońcy, wysłani naprzeciw niemu. Joram kazał przeto zaprządz do wozu, aby osobiście wywiedzieć się, co sprowadza Jehu z takim pośpiechem do Jezreel. Achazjasz, król judzki, który przed niedawnym czasem wstąpił na tron po swoim ojcu, Jehoramie, (888—887), i bawił właśnie w odwiedzinach u chorego wuja, towarzyszył mu również na wozie. Spotkali Jehu jeszcze na polu Nabota, który za sprawą Izebel padł ofiarą morderstwa sądowego. Gdy spostrzegli nadjeżdżającego Jehu, zawołał doń Joram: „Azali pokój jest Jehu?“ „Jakiż pokój być może wobec wszeteczeństwa i guseł twojej matki, Izebel!“ odparł zapytany. Na tę odpowiedź Joram rzucił się do ucieczki i wołał na Achazjasza, aby poszedł za jego przykładem, bo życiu ich grozi niebezpieczeństwo. W tejże chwili ugodziła go strzała, wypuszczona przez Jehu i padł nieżywy na wóz. Jehu rozkazał ciało jego wyrzucić na pole Nabota i przypomniał swemu towarzyszowi, Bidkarowi, że obaj byli świadkami groźby proroczej, którą Eljasz na tem polu rzucił Ahabowi. On, Jehu, powołany jest na wykonawcę przeznaczenia, które zawisło nad domem Ahaba. I Achazjasz, król judzki, padł rażony strzałą, lecz zawlókł się jeszcze do Megiddo i tam ducha wyzionął. Nastąpił przewrót zupełny, cały dom Ahaba uległ zagładzie, a nie było nikogo, coby go piersią swoją chciał zastawić; nawet domownicy opuścili pozostałych przy życiu członków rodziny królewskiej.

Jehu bez przeszkód wkroczył do Jezreel. Królowamatka, Izebel, zachowała jeszcze dość męztwa, aby w bogatym stroju wyjrzeć przez okno pałacu i zawołać do Jehu: „Co słychać, królobójco, podobny Zimremu?“ Zamiast odpowiedzi Jehu rozkazał rzezańcom pałacowym wyrzucić ją na ulicę, co też posłusznie spełnili. Rumaki stratowały królowę, tylu klęsk sprawczynię, a krew jej obryzgała ściany pałacu i konie. Gdy później Jehu polecił pochować ją, jako córkę królewską, znaleziono tylko jej czaszkę i szczątki rąk i nóg, resztę psy pożreć

zdążyły. Ta zasłużona kara przejęła zgrozą współczesnych, co pamiętali ów dzień, w którym niby przestępców stracono Nabota i jego rodzinę. Lecz ze śmiercią syna i babki nie wszystko się jeszcze skończyło. Żyli jeszcze w Samarji synowie, wnuki i krewni Jorama, blizko siedmdziesiąt dusz, wychowani pod kierunkiem najbardziej poważanych mężów Samarji. Do tych zwrócił się Jehu z wezwaniem, aby jednego z potomków Ahaba osadzili na tronie. Lecz oni nie wierzyli w szczerość tego wezwania i, obawiając się działać na własną rękę, zdali się na wolę tego, co zabił dwóch królów. Wówczas Jehu kazał im przybyć z głowami synów ich pana do Jezreel. Zrozumieli go i przybyli z odciętemi głowami potomków Ahaba, tak mało uczucia życzliwości zdołał obudzić dla siebie dom Ahaba w godzinę niedoli. Naczelnik miasta, rządca pałacowy, inni urzędnicy, wychowawcy i starsi, wszyscy stawili się w Jezreel, przynosząc zwycięzcy w naczyniach okrwawione głowy ostatnich Omrydów. Jehu kazał w nocy ustawić te głowy przed bramą miejską w dwa rzędy i następnego poranka zwołał tam mieszkańców Jezreel. Na widok czaszek, wyszczerzających zęby, oświadczył, że sprzysiągł się tylko przeciw Joramowi, tych zaś inne dłonie życia pozbawiły i że ziściło się proroctwo Eljasza o domu Ahaba. Jehu umiał kojarzyć przebiegłość z stanowczością. Ponieważ nikt z domu królewskiego z życiem nie uszedł, Jehu zajął tron opróżniony, a mieszkańcy Jezreel hołd mu złożyli.

Aby pozyskać sobie serca wiernych Jehowie, postanowił wyplenić kult Baala z Samarji, która była jego środowiskiem. Udał się tam z swymi powiernikami i spotkał w drodze braci i krewnych króla judzkiego, Achazjasza, którzy, nic nie wiedząc o ostatnich wypadkach, zamyślali przyjść na pomoc Izebel, lub pomścić się na Jehu za krwawe jego czyny; być też może, że wydaliła

ich z Jerozolimy matka Achazjasza, Atalja, aby bez przeszkód dokonać zamierzonej zbrodni. Na skinienie Jehu pojmano wszystkich książąt judzkich, zamordowano ich i wrzucono do cysterny. Zanim Jehu przybył do Samarji, przyłączył się doń Jonadab, który w rodzinie swej zaprowadził krzewione przez Eljasza nazarejstwo. „Czy żywisz względem mnie dawne uczucia?“ zapytał go Jehu. „Bez wątpienia,“ odparł Jonadab. „A więc podaj mi rękę.“ Jehu wtajemniczył ucznia Eljasza w zamiary swe względem kapłanów Baala w Samarji i wziął go na swój wóz, aby był świadkiem jego żarliwości. Przybywszy do Samarji, zwołał wszystkich ofiarników Baala na dzień oznaczony do świątyni, udał, że sam w jego służbie chce uczestniczyć, i rozkazał im przywdziać szaty do tych obrządków potrzebne. Tymczasem wewnątrz i zewnątrz świątyni Baala ustawił tajemnie zbrojnych pachołków, a sam wszedł do niej z Jonadabem. Zaledwie złożył pozorne ofiary, aliści wszyscy kapłani i czciciele Baala sami padli ofiarą. Drabanci jego siekli ich wewnątrz świątyni, a uciekających rąbali pachołkowie na zewnątrz ustawieni. Następnie wtargnęli do przenajświętszego, spalili wizerunki bożka, zburzyli ołtarz, obeliski, nareszcie zaś samą świątynię, a miejsce, na którem stała, obrócili w gnojowisko. I wszędzie, w całym kraju, kazał Jehu niszczyć narzędzia tego ohydnego bałwochwalstwa, o ile stały na widoku publicznym; udawał ucznia Eljasza, żarliwego wyznawcę Jehowy. Tylko w jednej Jerozolimie ostał się kult Baala, a raczej wprowadziła go tam na przekór, z całym aparatem fanatyzmu, córka Izebel, godna swej matki.

Jest to zjawisko uderzające, że kobiety, owe z przyrodzenia kapłanki czystości i dobrych obyczajów, czuły w wiekach starożytnych szczególny pociąg do wszetecznego kultu Baala i Astarty. Maacha, królowa-matka, w państwie judzkiem stworzyła dlań siedlisko w Jero-

zolimie, Izebel w Samarji, a teraz znowu Atalja w Jerozolimie. Lecz nie była to ani jedyna, ani największa zbrodnia Atalji. Córka Izebel o wiele przewyższyła swoją matkę okrucieństwem i krwiożerczością. Tamta kazała zabijać tylko proroków i zaciętych wyznawców wiary ojczystej, w każdym razie tych jeno, których uważała za wrogów osobistych, Atalja zaś pozbawiła życia własnych swych krewnych, a przynajmniej krewnych swego małżonka i syna. Zaledwie dowiedziała się o gwałtownej śmierci swego syna, Achazjasza, pod Ibleam, kazała oddanym sobie pachołkom wyrznąć wszystkich pozostałych jeszcze w Jerozolimie członków domu Dawida. Najmłodszy syn króla, Joasz, rok życia dopiero liczący, miał również dać gardło, lecz przez ciotkę ocalony został. Atalja taki na lud judzki popłoch rzuciła, że nie znalazł się nikt, coby usiłował przeszkodzić jej zbrodniom. Lud i kapłani schylili przed nią czoło. Nawet arcykapłan Jojada, spowinowacony z domem królewskim, zachowywał milczenie. W Jerozolimie postawiono posąg Baala wraz z obeliskami i ołtarzami, w tym samym właśnie czasie, w którym Jehu te godła bałwochwalstwa rozkazał zburzyć w Samarji, a dla odprawiania obrządków pogańskich powołano cały poczet ofiarników z arcykapłanem Matanem na czele. Czy Atalja nie targnęła się na świątynię Salomona, czy nie sprofanowała jej? Zdaje się, że w zuchwalstwie swem mniej konsekwentna i bojaźliwsza od królów późniejszych, nie odważyła się wizerunku Baala wprowadzić do wzniesionej na pagórku Morija świątyni, natomiast nie pozwalała odprawiać w niej służby bożej. Karyjskie wojska najemne, które na żołdzie jej zostawały, oraz zdawna do rozporządzenia królowej oddani drabanci stali, jak się zdaje, na straży u bram świątyni, aby nie dopuszczać do niej ludu. Sześć lat (ok. 887—881) trzymała Atalja naród na wodzy, narzucając mu przemocą

swoją politykę i wiarę; arystokratyczne rodziny judzkie prawdopodobnie popierały jej działalność. Najbliższy tylko domu królewskiego arcykapłan Jojada dochował wiary odwiecznej nauce i domowi Dawida. Małżonka jego, imieniem Jozabat (Jehoszabat), była córką króla judzkiego, Jehorama, a siostrą z jednego ojca zamordowanego przez Jehu króla Achazjasza. Gdy Atalja bez litości wytępiła ostatnich członków domu Dawida, Jozabat ocaliła od rzezi najmłodsze dziecko swego brata i umieściła je z mamką w komnacie świątyni, gdzie zazwyczaj sypiali Lewici. W tem schronieniu ukrywało się długo dziecię królewskie, chowane przez ciotkę, a Aronidzi i Lewici, wierni Jojadzie, nie zdradzili tajemnicy. Sam już wiek pacholęcy ostatniej latorośli domu Dawidowego budził wzmożone współczucie. W ciągu sześcioletnich samowolnych rządów Atalji w Jerozolimie Jojada rąk nie zakładał, wchodził w poufne rozmowy z dowódcami żołdaków karyjskich i drabantów i uchylał powoli rąbka tajemnicy, że pozostało przy życiu chłopię królewskie, prawy dziedzic judzkiej korony. Przekonał się, że wszyscy oni przychylni są domowi królewskiemu, a do przywłaszczycielki tronu, Atalji, żywią nienawiść. Upewniwszy się o życzliwości dowódców, wprowadził ich do świątyni i pokazał im siedmioletniego Joasza, a oni po rysach twarzy pacholęcia poznali zapewne prawowitego spadkobiercę tronu i z rozkazu Jojady przysięgli mu na wierność. Przy ich pomocy mógł Jojada doprowadzić do skutku plan przewrotu, a zarazem odbudowy. Pewnej soboty oddział drabantów i Karyjczyków stanął, jak zwykle, na straży, inni zaś zajęli wejście do świątyni. Wszyscy odebrali rozkaz wyraźny, aby porąbali każdego, co w nieprzyjaznych zamiarach przekroczy ogrodzenie dziedzińca świątyni. Zabezpieczywszy w ten sposób królewicza od wszelkiej napaści, Jojada wezwał i lud na dziedziniec. Wśród powszechnego natężenia, gdy Karyjczycy i drabanci dobyli mieczów,

a dowódcy trzymali już w ręku broń honorową Dawida, arcykapłan wywiódł Joasza z komnaty, w której się ukrywał, włożył mu na skronie koronę, namaścił go na króla i posadził na tronie w kształcie kolumny, który ustawiono dla królów na dziedzińcu świątyni. Trąby zagrzmiały, szczęknęli orężem drabanci, lud klasnął w dłonie, a wszyscy zawołali: „Niech żyje król Joasz!“ Dopiero gdy zgiełk w świątyni rozległ się echem w pałacu Atalji, ocknęła się z beztroski i uczucia bezpieczeństwa, którem się kołysała, ufna w wierność wojsk najemniczych. Czemprędzej udała się do świątyni z nielicznym orszakiem i tam ku swemu przerażeniu ujrzała dziecię w koronie na głowie, własne swe wojska, otaczające je ku obronie i tłumy ludu w radosnem uniesieniu. Widząc się zdradzoną, rozdarła na sobie szaty i zawołała: „sprzysiężenie, sprzysiężenie!“ Niezwłocznie ujęło ją kilku dowódców i, wyprowadziwszy z dziedzińca świątyni do pałacu, tam pozbawili ją życia. Tak to ostatnia wnuczka Omrego zginęła również jak jej matka śmiercią haniebną. Ścisłe przymierze z Tyrem nie przyniosło szczęścia obu państwom. Matka i córka, Izebel i Atalja, podobne były do swojej bogini Astarty, sprawczyni zniszczenia, śmierci i upadku. Niewielu snać zwolenników miała córka Ahaba w Jerozolimie; w godzinę śmierci nie znalazła żadnego orędownika. Kapłani Baala nie mogli jej pomódz, sami bowiem potrzebowali pomocy, I oni padli ofiarą gniewu narodu.

Jojada, który był sprawcą tego doniosłego przewrotu, nie szczędził zabiegów, aby tak smutne zdarzenia nie mogły się na przyszłość powtórzyć w Jerozolimie. Korzystając z radosnego i podniosłego nastroju młodziutkiego króla i ludu, starał się zatrzeć ślady kultu Baala i wzniecić w umysłach uczucie wiernego przywiązania do Boga praojców. W świątyni wezwał króla i zgromadzonych do uroczystego oświadczenia, że będą odtąd

wiernie służyli Bogu i nie będą czcili obok niego żadnych bożków. Przyrzeczenie, dane głośno przez króla i naród, zapieczętowano przymierzem. Jojada więcej jeszcze może uczynił, aby temu wyznaniu wiary, po raz pierwszy uroczyście złożonemu, nadać moc i trwałość. Księga praw i nauki, przypisywane Mojżeszowi, uprawiane były dotychczas tylko w kołach Aronidów i Lewitów. Nawet dekalog nie był wszczepiony w serca ludu; tablice, które go zawierały, spoczywały w arce przymierza jako prastary, święty zabytek. W arce przymierza naród widział raczej talizman. Dopiero arcykapłan Jojada zapoznał go, jak się zdaje, z treścią Zakonu i przy tej sposobności zapewne odczytał ze zwoju, zawierającego księgi Mojżeszowe, stosowne do ówczesnego położenia rozdziały. Jeden z rozdziałów opowiada o drugiem objawieniu się Boga Mojżeszowi na górze Synaj. Gdy dla łamiącego przymierze ubóstwiania złotego cielca na pustyni należało naród na nowo pouczać, zawołał Pan do nich z góry, że wprawdzie jest Bogiem łaskawym, miłosiernym, cierpliwym, pełnym miłości i wierności, że łaską swoją obdarza tysiące rodów i nie wytępia ich, że jednak jest też Bogiem zapalczywym i grzechy ojców karze w trzeciem i czwartem pokoleniu; że przestrzegał przed wchodzeniem w związki z bałwochwalczymi narodami kraju, gdyż nieszczęście tylko mogą przynieść ludowi. Wskutek przymierza z sąsiadami zachodziłyby małżeństwa mieszane, a córki bałwochwalców przeciągnęłyby synów Izraela do czci swoich bogów. Należy raczej zburzyć ołtarze pogańskie, potrzaskać obeliski, wyciąć drzewa, poświęcone Astarcie. „Nie będziesz czcił innego Boga, gdyż Jehowa jest Bogiem zapalczywym.“ Prawda słów tego ustępu uderzyła niezawodnie słuchaczy. Każdy wyraz nadawał się wybornie do ówczesnego położenia. Czyż Omri i Ahab, a za nim królowie judzcy nie zawarli przymierza z Tyryjczykami? A jakiż był skutek? Izebel

i Atalja zwabiły swych małżonków do bałwochwalstwa i do zguby przywiodły.

Mieszkańcy Jerozolimy nauki te niezwłocznie w czyn wprowadzili; rzucili się na świątynię Baala, którą wzniosła Atalja, zburzyli ołtarze, rozbili posągi i zniszczyli wszystkie przedmioty, należące do kultu bałwochwalczego. Sam naród podjął obronę swej wiary odwiecznej. Dopiero gdy król i naród zatwierdzili odnowione z Bogiem przymierze, wojsko, drabanci i lud wprowadzili Joasza w tryumfie z góry Morija do pałacu i osadzili go na tronie ojców, a w całej Jerozolimie zapanowało radosne wzruszenie. Stronnicy straconej królowej zachowywali się spokojnie i nie śmieli zakłócić radosnego nastroju.

Rzecz dziwna, że do politycznego i religijnego przewrotu, który w krótkim odstępie czasu zaszedł w Samarji i Jerozolimie, nie przyłożył ręki Elizeusz. Jednemu z swych uczniów kazał namaścić Jehu na króla, pod warunkiem pomszczenia się na domu Omrego, lecz sam trzymał się na uboczu i nie był nawet obecny przy strąceniu Baala, a tembardziej nie miał udziału w upadku Atalji i bałwochwalstwa w Jerozolimie. Elizeusz poświęcił się pewnie więcej kształceniu uczniów prorockich, aby nie dać wygasnąć zapałowi, wznieconemu przez Eljasza. Nie wszyscy jednak uznawali go za przewodnika, jak Eljasza. Zarzucano mu, że nie zapuszcza, jak tamten, włosów i nie pozwala rosnąć im dziko, że przykłada przeto mniejszą wagę do nazareństwa. Dzieci adeptów prorockich przyjmowały go okrzykami: „Ej, ty łysie, łysie.“ Mimo to Elizeusz otaczał swych uczniów gorliwą troskliwością. I pod tym jeszcze względem różnił się od swego mistrza, że nie zasklepiał się sam w sobie, jak tamten, lecz obcował z ludźmi. W pierwszych czasach swej działalności, za Omrydów, i on również mieszkał na górze Karmel i odbywał ztąd podróże do swoich uczniów w okolice Jordanu. W Sunemie, gdzie w pewnym domu bogobojnym zwykł był przyjmować posiłek, gospodyni ofiarowała mu małe mieszkanie na poddaszu z łóżkiem, stołem, krzesłem i lampą, aby się na czas jakiś rozgościł i odpoczął, a prorok przyjął tę ofiarę. Później, za Jehuidów, osiadł na stałe w Samarji i ztąd znany był pod mianem „proroka z Samarji.“ Dzięki przyjacielskim stosunkom z ludźmi wywierał wpływ na nich i wpajał w nich własne przekonania. Poważani mężowie odwiedzali proroka, zasięgając od niego wskazówek. Tylko w państwie judzkiem i Jerozolimie nie ukazywał się Elizeusz.

W Jerozolimie szczególną uwagę zwrócono na świątynię i Zakon, odkąd Jojada dowodnie okazał, że jest surowym ich stróżem. Świątynia za panowania Atalji doznała uszkodzeń. Nietylko złoto, którem wyłożone było drzewo cedrowe, miejscami odbito, lecz nawet kamienie ciosowe gwałtem wyłamano z muru i inne jeszcze szczerby zrobiono. Rzeczą więc było pierwszorzędnej wagi dla młodego króla Joasza, w początku jego panowania, naprawić te szkody, o co też zapewne nalegał Jojada; lecz brakło środków po temu, gdyż skarbiec świątyni, utworzony z wotów poprzednich królów i pobożnych ofiarodawców, zagarnęła niewątpliwie Atalja i użyła na cele kultu Baala. Wskutek tego król polecił kapłanom zbierać pieniądze na odnowienie świątyni i nakazał im zająć się kwestą tak gorliwie, jakgdyby była osobistą ich sprawą. Lecz bądź że składki płynęły ospale, bądź że kapłani obracali je na własny użytek, do odnowienia świątyni przez długi czas jeszcze nie przystępowano. Wreszcie rozkazał król arcykapłanowi Jojadzie (ok. 864), aby w tej sprawie przemówił do serc samego narodu. W przedsieniu świątyni umieszczono zaopatrzoną w otwór skarbonę, do której każdy, idąc za popędem pobożnego serca i szczodrobliwości, rzucać miał odpowiednią do stanu majątkowego dobrowolną ofiarę. Dla zachęcenia ludu

do składania hojnych datków odczytano pewnie poraz drugi, w dzień jakiegoś święta, ze zwoju Mojżeszowego ustęp, dotyczący dziejów budowy przybytku, kiedy to przodkowie, mężczyźni i kobiety, na wyścigi nieśli w ofierze srebro i złoto, miedź i purpurę, aby godnie i wspaniale przyozdobić nową świątynię, i kiedy to darów sypano tak wiele, że Mojżesz kazał ogłosić, aby lud zaniechał składania zbytecznych już ofiar. Być może, że właśnie odczytanie tych nieznanych dotąd ludowi szczegółów wydało pożądane owoce. Składki płynęły obficie i wystarczyły na kupno budulcu i ciosów, oraz na opłacenie mularzy i cieślów. Arcykapłaństwo, które dotąd, za najlepszych nawet królów, zajmowało podrzędne stanowisko, Jojada przy tej sposobności wyniósł na stopień równy władzy królewskiej. Czyż zapałem swym i mądrością arcykapłan nie ocalił monarchji? Azali nie zginęłaby ostatnia latorośl domu Dawida, gdyby Jojada nie strącił krwiożerczej Atalji? Mógł też słusznie wystąpić z żądaniem, aby arcykapłanowi przyznano głos przemożny w sprawach państwowych. Musiało to koniecznie wywołać z czasem rozterkę między władzą królewską a arcykapłańską, pierwsza bowiem z natury swej opierała się na kaprysie osobistym, gdy druga odwoływała się do praw ustalonych. Dopóki żył Jojada, któremu Joasz wszystko zawdzięczał, nie przyszło do starcia. Przez wdzięczność i szacunek Joasz stosował się zapewne do rozporządzeń arcykapłana. Zwłokom jego ten zaszczyt wyrządził, że kazał je pochować w grobowcach w mieście Dawidowem. Atoli po śmierci Jojady między jego synem i następcą, Zacharjaszem, a królem wybuchły z jakiegoś powodu niesnaski, które arcykapłan życiem przypłacił. Z rozkazu Joasza, — jak wieść niesie, — kilku książąt judzkich ukamienowało syna Jojady w przedsieniu świątyni, a młody arcykapłan w godzinę śmierci zawołał ponо: „Bóg widzi i (o krew moją) się upomni.“

Zresztą, po doszczętnej zagładzie wszystkich członków domu Omrego, który tyle wstrząśnień i zatargów spowodował w Samarji i Jerozolimie, zapanował w obu krajach pokój wewnętrzny. Położenie było znośne, wyjąwszy jeno, że w państwie judzkiem stały ciągle jeszcze na wyżynach prywatne ołtarze, a w państwie dziesięciu pokoleń ciągle jeszcze czczono Boga Izraela pod postacią byka. Z obu królestw jednak wyrugowano kult Baala. Lecz na zewnątrz oba kraje nie były szczęśliwe. Jehu, śmiały dowódca jazdy, który dom Omrego wytępił w Jezreel i Samarji, nie okazał równej dzielności wobec potęgi wroga zewnętrznego. W Damaszku wybuchła rewolucja pałacowa. Królobójca Chazael tron sobie przywłaszczył. Byłto mąż wojowniczy, przedsiębiorczy, żądny podbojów i zamierzał uczynić Damaszek państwem potężnem i wpływowem. Przedewszystkiem chciał się rozprawić z królestwem dziesięciu pokoleń, które na poprzedniku jego wymogło pewne ustępstwa. Nie zważając na zawarte przymierze, zalał swymi hufcami kraj izraelski, brał szturmem miasta warowne, pàlił domy i nie przepuszczał ani dzieciom, ani kobietom brzemiennym. Zdobywał też miasta z tamtej strony Jordanu, a król Meza, któremu tak dotkliwie dał się we znaki król izraelski, Jehoram, był, jak się zdaje, jego sojusznikiem.

Całą dzielnicę pokoleń Manasse, Gad i Ruben, od gór Baszan do Arnon, odebrano państwu dziesięciu pokoleń, ujarzmiono mieszkańców, a niektórych z wymyślnem okrucieństwem zmiażdżono pod wozami żelaznymi. Jehu nie zdołał oprzeć się Chazaelowi. Jeszcze gorzej powodziło się synowi jego, Joachasowi (ok. 859—845). Chazael i syn jego, Ben-Hadad III, tak srodze kraj trapili i tak dalece uszczuplili siły zbrojne Izraelitów, że pozostało zaledwie 10,000 piechoty, pięćdziesięciu jezdnych i dziesięć wozów wojennych. Od czasu do czasu Aramejczycy robili najazdy na ziemie izraelskie i nie

tylko łupili kosztowności, lecz porywali też ludzi, których traktowali jak niewolników i sprzedawali. Było to położenie beznadziejne, jak w okresie sędziowskim. Joachas, jak się zdaje, zawarł haniebny pokój z zdobywcą i wojskom jego dozwolił swobodnego przejścia przez swoje posiadłości. Dopiero za króla izraelskiego Joasza (ok. 845—830) udało się powoli złamać przewagę państwa aramejskiego, prawdopodobnie dzięki temu, że sąsiedni królowie chityjscy (nad Eufratem) i egipscy, zazdrosnem okiem patrząc na wzrost potęgi Damaszku, przybrali względem niego wrogą postawę.

Osłabienie Aramu wyszło również na dobre państwu judzkiemu za króla Amazjasza, syna Joasza, który zginął z ręki spiskowców (około 843). Damaszek wziął pod swoją opiekę małe kraiki Moab, Ammon i Edom, które zachowywały się nieprzyjaźnie względem Izraela lub Judy, i bronił ich od napaści. Upokorzenie Ben-Hadada rozwiązało przeto ręce Amazjaszowi i pozwoliło mu odzyskać dawne prowincje domu Dawida. Państewko Edom przed półwiekiem wybiło się z zależności od tej dynastji i uczyniło się niezawisłem. Któryś z jego królów zbudował nową stolicę na jednej z wyżyn gór Seir, co, złożona z wapnia i porfiru, wznosi się więcej niż na 4000 stóp nad poziom morza. Taras do niej z dolin prowadził. W tem gnieździe skalnem (Sela, Petra) Idumejczycy sądzili się w bezpieczeństwie od wrogich napaści. Dumnie przemawiał Edom: „Kto z wyżyn ściągnie mnie na głębinę?“ Amazjasz odważył się zajrzeć do ich górskich warowni. Wyruszyli wprawdzie z licznem wojskiem naprzeciw niemu i w dolinie Solnej, niedaleko morza, przyszło do bitwy; lecz Amazjasz poraził ich na głowę, a niedobitki ratowały się ucieczką i otworzyły mu drogę do zdobycia miasta skalnego. Amazjasz dumny był nader z szczęśliwego tej wojny zakończenia, lecz pychą swą ściągnął klęskę na siebie i na lud swój.

Przyjazne za Omrydów i Jozafata stosunki między państwem dziesięciu pokoleń a Jehudą nadwątliły się za panowania Jehu i jego następców, jakkolwiek zarówno dla obojga sprawą było pierwszorzędnej wagi poskramiać zwolenników kultu Baala i kłaść tamę ich związkom z bałwochwalczą zagranicą. Joasz, król izraelski, i Amazjasz, król judzki, poróżnili się z sobą. Gdy Amazjasz powrócił zwycięzcą z wojny edomskiej, strzeliła mu do głowy myśl śmiała: z wypróbowanymi w boju hufcami swymi chciał najechać również państwo dziesięciu pokoleń i podbić je nanowo. Szukając, jak się zdaje, pretekstu, zażądał dla swego syna ręki królewny izraelskiej, aby na wypadek odmowy, rozpocząć kroki wojenne. Szyderczą odprawą zbył Joasz te roszczenia: „Cierń posłał razu pewnego do cedru Libanu, mówiąc: „Daj twoją córkę synowi memu za żonę.“ I wypadły dzikie zwierzęta Libanu i zdeptały cierń. Przeto iż poraziłeś Edom wynosi się serce twoje. Zachowaj swą sławę i siedź w domu. Czemu kusisz złe losy, abyś upadł i Juda wraz z tobą?“ Lecz Amazjasz nie dał się odwieść od zamiaru. Posunął swe wojska ku granicom państwa dziesięciu pokoleń, a Joasz, którego już wówczas zwycięstwa nad Aramejczykami natchnęły ufnością we własne siły, wyruszył naprzeciw niemu. W Bet-Szemesz, na pograniczu, przyszło do bitwy i Judejczycy, pobici na głowę, uciekli. Sam Amazjasz dostał się do niewoli króla izraelskiego. Jest to niewątpliwie dowodem nadzwyczajnej łagodności, że Joasz nie nadużył zwycięstwa, a nawet nie wyzyskał go należycie. Mógł wszakże strącić z tronu pojmanego króla, unieważnić prawa domu Dawida i kraj judzki wcielić do swego królestwa. Jednak nie uczynił tego, lecz poprzestał na zburzeniu północnej części murów Jerozolimy od bramy Efraim do bramy narożnej (400 łokci) i na ogołoceniu z kosztowności miasta, pałacu i świątyni.

Jerozolima, którą przeznaczenie dziejowe tylekroć nawiedziło zburzeniem, po raz pierwszy od czasu swego istnienia wpadła w ręce królowi izraelskiemu i uległa częściowej zagładzie. Natomiast jeńca królewskiego Joasz obdarzył swobodą, lecz dla pewności kazał sobie dać zakładników. Łagodne postępowanie Joasza przypisać chyba należy wpływom proroka Elizeusza, lub jego uczniów, których rady król często zasięgał. Po śmierci Joasza (ok. 830) Amazjasz panował jeszcze piętnaście lat blizko (830—816), lecz nie płużyło mu szczęście.

Natomiast królestwo efraimickie za panowania prawnuka Jehu do tego stopnia wzbiło się w potęgę i rozszerzyło swe granice, że zdawała się zmartwychwstawać świetność czasów Dawidowych. Jerobeam II, trzeci Jehuida, odznaczał się większą dzielnością, niż wszyscy jego poprzednicy od czasu rozdziału państwa, a szczęście mu sprzyjało. Użyczyło mu niezwykle długiego żywota; przeszło sześćdziesiąt lat rządził (ok. 830—769), a w tym długim okresie mógł prowadzić wiele wojen i wiele zwycięstw odnosić. Najpierw zwrócił zapewne swój oręż przeciw Aramejczykom, najzaciętszym wrogom państwa dziesięciu pokoleń, które od czasów Ahaba niepokoili i trapili. Nie doszły nas szczegóły czynów wojennych Jerobeama, z wyników jeno wnosić można o ich rozległości. Granice państwa Izraela ciągnęły się znowu od drogi do Hamat prowadzącej, aż ku morzu Martwemu. Współczesny prorok Jonasz, syn Amitai, z miasta zebulońskiego Gat-Chefer, zachęcił Jerobeama do tej wojny z Aramem. Zdaje się, że podbił też Moab i wcielił znowu do państwa dziesięciu pokoleń.

Upokorzenie, którego doznał Amazjasz, obezwładniło go zupełnie. Ponieważ Jerozolima postradała swoje warownie, nie mógł prowadzić wojen i za szczęśliwego poczytywać się musiał, jeżeli nie nagabywali go nie-

przyjaciele. Albowiem nie wolno mu było murów naprawić, za co odpowiadali głową zakładnicy, trzymani w stolicy izraelskiej. Zdaje się, że lud, a więcej jeszcze możni książęta judzcy, nie byli zeń zadowoleni, a niezadowolenie to skończyło się sprzysiężeniem na jego zgubę. Trzeci to już król z domu Dawida, co ginął od miecza, a drugi, co padał ofiarą spisku (Amazjasz i ojciec jego, Joasz).

Po śmierci Amazjasza nastały dla Jerozolimy i kraju judzkiego dni jeszcze sroższej niedoli. Książęta judzcy, po strąceniu i zamordowaniu króla, nie wypuścili, zdaje się, z rąk steru rządu, którym zawładnęli. Jedyny syn Amazjasza, imieniem Azarjasz (Asarjasz, przez skrócenie Uzjasz), był jeszcze dziecięciem, a kraj dokoła otaczali sami wrogowie. Z tej bezradnej niemocy skorzystali pierwsi Idumejczycy, pobici niegdyś i upokorzeni przez Amazjasza. Podjęli wyprawę odwetową przeciw państwu judzkiemu, a Egipt poparł ich i tym razem, jak za czasów Rehabeama. Dotarli do Jerozolimy, której mury ziały jeszcze wyłomami, i zagarnęli wielu ludzi w niewolę. Bliższych szczegółów o tym najeździe Idumejczyków nie znamy. Zdaje się, że w owym czasie oderwano kilka dzielnic od Judy i wcielono częścią do Edomu, częścią zaś do Egiptu. Barbarzyńscy wojownicy pojmanych chłopców judzkich i dziewczęta zamieniali na wino i nierządnice. Inne ludy sąsiednie, lubo same czynnego udziału nie brały, ze złośliwą uciechą patrzyły na niedolę Jehudy. Państwo dziesięciu pokoleń, którem rządził wówczas Jerobeam II, pamiętało tylko o krzywdach, doznanych od Jehudy, nie zaś o pokrewieństwie i obowiązku podania dłoni pomocnej uciśnionym braciom. Filistynowie dopuszczali się podwójnych okrucieństw na Judejczykach. Zbiegów, co w ich miastach szukali schronienia, wydawali Idumejczykom, zabranych zaś w niewolę judzkich chłopców i dziewczęta

odkupywali od wojowników za wino i wszetecznice i odprzedawali z kolei Jończykom, którzy wówczas w zawody z Fenicją prowadzili handel niewolnikami. Nie lepiej postępowali Tyryjczycy, niepomni związków przyjaźni, które tak długo łączyły ich z domem Dawida. W owym czasie (około 815—805) państwo judzkie i dom Dawidowy zdawały się być blizkie upadku. Wtedy to po raz pierwszy zaczęło się rozproszenie Judejczyków po krajach odległych, do których Jończycy przedawali ich jako niewolników. Ci niewolnicy judzcy krzewili zapewne wśród ludów zachodnich zarodki szczytniejszych poglądów i wyższego uobyczajenia, gdyż pomiędzy jeńcami znajdowali się też szlachetni młodzieńcy i dziewice z Jerozolimy, którzy z swego otoczenia i z bogatych dziejów swego narodu wynieśli wyższe poznanie i na obczyźnie nauczyli się lepiej je cenić, niż w ziemi ojczystej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Ostatni królowie Izraela i upadek Samarji.

(887—720).

Wskutek rozterek wewnętrznych i najazdów nieprzyjacielskich państwo judzkie po śmierci gwałtownej Amazjasza w taką popadło bezsilność, że stało się pośmiewiskiem u narodów. Współczesny prorok nazwał je „zapadłym namiotem Dawida“ i niejednokrotnie wołał: „Kto podniesie Jakóba, gdy jest tak maluczkim.“ I z tej niemocy i poniżenia dźwignęło się i wzbiło w taką potęgę, że stało się postrachem dla wrogich sąsiadów. Przedewszystkiem należało zaradzić nieładowi wewnętrznemu. Przeciw możnym rodom, które po raz drugi dopuściły się królobójstwa, przez co wznieciły zamieszki, powstał cały lud judzki i ogłosił królem młodego Azarjasza, czyli Uzjasza. Ten król szesnastoletni, co, jak współczesny mu Jerobeam II, panował długo (ok. 805—755), odznaczał się energją, stanowczością i rozwagą, dzięki którym udało mu się podnieść zapadły namiot Dawida. Pierwszym jego krokiem było przeniesienie zwłok ojca, w Lachisz pogrzebanych, do Jerozolimy i pochowanie ich w grobach królewskich. Czy ukarał morderców swego ojca, o tem nic nie wiadomo. Następnie zabrał się do zagojenia głębokich ran swego kraju. Trudne to było zadanie, gdyż nietylko miał przeciw sobie wrogów domowych i ościennych, lecz nie sprzyjała mu też sama natura. Jakgdyby niebo na kraj się sprzysięgło, spadł nań szereg siejących zagładę zjawisk przyrody, zdolnych najodważniejszego nawet tak znękać, że w odrętwieniu zdaje się bez oporu na łaskę wypadków.

Najpierw wstrzęsła się ziemia za czasów Uzjasza i przeraziła ludność Palestyny niezwykłością zjawiska. Zawaliły się lekko zbudowane domy i niektóre miasta rozpadły się w gruzy. Mieszkańcy z okrzykiem rozpaczy uciekali w popłochu po chwiejącej się ziemi, spodziewając się, że lada chwila pochłonie ich otchłań. Towarzyszące trzęsieniu ziemi fenomeny potęgowały jeszcze przerażenie. Wzniosła się nagle gęsta mgła i zasłoniła słońce, a to zaćmienie, od czasu do czasu rozjaśniane miganiem błyskawic, grozę wzmagało. Zdawało się, że księżyc i gwiazdy postradały swe światło. Morze, wstrząśnione w swem łożu, pieniło się i szalało; ogłuszający huk jego słychać było zdaleka. Okropność trzęsienia ziemi tem większym lękiem zdejmowała serca, że prorok pewien przepowiedział je w państwie dziesięciu pokoleń na dwa lata przed jego wybuchem. W imieniu Boga mówił prorok Amos: „Oto sprawię, by ziemia skrzypiała pod wami, jako skrzypi wóz, pełen snopów. I ucieczka zawiedzie chyżego, i mocarz nie zdoła się

ocalić, nie ostoi się łucznik, jeździec z życiem nie ujdzie a najmężniejszy wśród bohaterów dnia tego będzie nago uciekał.“ Ziszczenie się groźnej przepowiedni napełniło trwogą umysły, koniec świata zdawał się zbliżać.

Zaledwie przeminęła ta panika, aliści nowe spadło nieszczęście. Chybiły prawidłowe opady wodne i rosa też nie orzeźwiała ziemi, długotrwała posucha zwarzyła trawę, wyschły zbiorniki wody, słońce buchało żarem i obróciło w pustynię łąki i pola. Mieszkańcy miast, w których panował zupełny brak wody, wlekli się z spieczonemi wargami do najbliższego miasta, gdzie spodziewali się znaleźć większe zapasy, nie mogli jednak dostatecznie ugasić pragnienia. Szarańcza, nie znajdując pożywienia w zalanej lawą okolicy Hauranu, przeleciała przez Jordan i pożarła w państwie dziesięciu pokoleń i kraju judzkim wszystko, co ocalało od suszy. Nadciągała zwartemi chmarami, które zaćmiewały słońce, i w mgnieniu oka toczyła do czysta winorośle, figi, granaty, palmy i jabłonie. Plaga ta powtarzała się przez kilka lat zrzędu, a za nią szły głód i rozpacz.

W kraju judzkim, który wskutek klęsk wojennych stanął nad brzegiem przepaści, przygnębienie dosięgło wysokiego stopnia. Można było mniemać, że Bóg zaparł się swego dziedzictwa, ludu, kraju i świątyni i rzucił je na pastwę hańby i niedoli. Dla odwrócenia nieszczęścia ustanawiano wielokrotnie żałobę publiczną i procesje błagalne. Wiele zapewne przyczynił się do podniesienia upadłych na duchu Joel, syn Petuela, który w dobie klęski publicznie przemawiał i zapowiadał nadejście lepszych czasów. Nie przebrzmiała z pewnością bez wrażenia jego jędrna a dobitna mowa, zwłaszcza że ustała posucha i plaga szarańczy, deszcz pokrył znowu wspaniałą zielonością łąki i ogrody, napełniły się znowu potoki i cysterny i skończył się brak wody i klęska głodowa. Młody król Uzjasz, korzystając z poprawy

położenia, postanowił ukarać nieprzyjaciół Jehudy. Najpierw zwrócił się przeciw Idumejczykom, którzy kraj jego pustoszyli, zwyciężył ich i przyłączył nawet znowu do Jehudy miasto Ailat nad zatoką morza Czerwonego, dzięki czemu można było wznowić zyskowną żeglugę do Arabji i Ofiru (Indyj). Pogromił też Filistynów, którzy podczas jego małoletności zachowywali się wrogo względem Jehudy i wydawali Idumejczykom zbiegów i wychodźców. Oderwawszy niektóre prowincje od kraju filistyńskiego, wcielił je do swego państwa i wzniósł w nich miasta warowne.

Z wielkim zwłaszcza zapałem zabrał się do ponownego obwarowania Jerozolimy. Mur północny wskutek nieszczęśliwej wojny ojca jego z Joaszem, królem Izraela, uległ zburzeniu na przestrzeni czterechset łokci. Uzjasz kazał go naprawić, a może nawet odporniejszym uczynić. W trzech miejscach wzniósł wieże na sto pięćdziesiąt łokci wysokie. Na wieżach i blankach ustawiono maszyny, za pomocą których można było miotać daleko ciężkie kamienie. W ogóle Uzjasz krzątał się gorliwie koło przygotowań wojennych; wojowników zaopatrzył w tarcze, pancerze i włócznie. Wprowadził też na nowo konnicę i wozy wojenne, a to, jak za czasów Salomona, z Egiptu. Dzięki temu bogactwa znów napływały do Judy i Jerozolimy. „Pełna jest ziemia srebra i złota, a niemasz końca jej skarbom, pełna jest rumaków, a niemasz końca jej rydwanom.“ Uzjasz do tego stopnia kraj swój podniósł zbrojnem pogotowiem i bogactwem, że znowu w sąsiadach budził szacunek; nawet w Egipcie imię Uzjasza miało wielkie zachowanie.

Państwo dziesięciu pokoleń doszło w tymże czasie do jeszcze większego rozkwitu za panowania Jerobeama II, który, podobnie jak Uzjasz, ożywiony był duchem wojowniczym. W dalszym ciągu długich swych rządów ucierał się ustawicznie z Aramejczykami, wziął

stolicę aramejską, Damaszek, i dotarł zwycięzko aż do miasta Hamat, które również zdobył i do państwa swego przyłączył.

Samarja tak opływała w bogactwa, że nietylko król, lecz możni panowie i ludzie majętni otaczali się wielkim przepychem, większym może, niż za czasów Salomona. Król Jerobeam posiadał pałac letni i zimowy; domy z dużych kamieni ciosowych, ozdobionych kością słoniową, i krzesła z takiejże kości stały się rzeczą powszednią. Uważając jeno na wzrost potęgi obu krajów, można było uledz złudzeniu, że ciągle jeszcze trwają czasy Salomonowe, że ta tylko zaszła zmiana, iż zamiast jednego panowało dwóch królów, że wreszcie rozłam wcale nie nastąpił, lub że zgoiły się rany. Atoli niemoc wewnętrzna, którą w państwie izraelskiem dobrobyt w wyższym jeszcze stopniu wywołał, niż w państwie judzkiem, rychło położyła kres dniom szczęśliwym i przyspieszyła upadek.

Kult byka w Betel i Dan nietylko trwał po dawnemu, lecz jeszcze się więcej rozkrzewił. W Samarji i Gilgal stanęły również posągi byka. W Betel wzniósł Jerobeam główną świątynię. Tu rządził Amazjasz, coś w rodzaju arcykapłana, o godność swą nader zazdrosny. Jakgdyby nie dość było na tym obłędzie, ohydny kult Baala i Astarty znowu rozparł się w kraju, a w orszaku jego szło skażenie obyczajów, wszeteczeństwo i zgnilizna. Dla dogodzenia chuciom wszystko goniło wyłącznie za złotem. Majętni trudnili się lichwą i wierzytelności swoje ściągali tak bezwzględnie, że zubożałych i nie mogących uiścić się dłużników lub dzieci ich zaprzedawali w niewolę. Szczególnie zajmowali się bogacze lichwą zbożową. W latach głodowych otwierali swe śpichrze, sprzedawali żywność—przyczem używali fałszywej miary i wagi—a gdy biedacy nie mogli zwrócić pożyczki, bez litości zabierali im dzieci. Gdy nieszczęśliwi na zebraniach ludowych użalali się na doznawane krzywdy, nikt im ucha nie dawał; sędziowie sami współwinni lub przekupieni, byli głusi na głos sprawiedliwości. Zgromadzone skarby trwonili w codziennych hulankach. Współczesny prorok Amos maluje dosadnie to życie rozwiązłe bogatych i możnych w miastach stołecznych za panowania Jerobeama: „Leżą na łożach z kości słoniowej i wyciągają się na swoich posłaniach, jedzą tłuste owce i karmne cielce, brzdąkają na harfie, piją wino z puharów i namaszczają się najprzedniejszym olejkiem.“ Żony magnatów naśladowały zły przykład swych mężów, lub nawet prześcigały ich jeszcze, podżegały ich do ciemiężenia ubogich i wołały do nich: „przynieście, a będziemy piły.“

Ale w narodowości izraelskiej nieład moralny nie mógł się tak dalece rozwielmożnić, aby za porządek uchodził i zapanował wszechwładnie. Czystość obyczajów, sprawiedliwość i kult prawdziwego Boga miały tam swoich przedstawicieli, którzy przeciw skażeniu możnych z coraz większą stanowczością podnosili głos przestrogi i potępienia, a jakkolwiek niepozornie odziani, posłuch sobie wyjednać umieli. Wprawdzie minęło już blizko stulecie, odkąd prorok Eljasz z rozwianym włosem gromił zbrodnie Ahaba i Izebel, ale powołana przezeń do życia szkoła prorocka istniała jeszcze i działała w jego duchu i z jego zapałem. Młodzież, pochopniejsza zazwyczaj ku dążeniom idealnym, żywiła odrazę do zagęszczającego się zepsucia obyczajów i kupiła się gromadnie koło uczniów prorockich, w Betel, Gilgal i Jerycho. Ród Eljasza, który Elizeusz wychował i nauczył, przyjął zewnętrzne oznaki nazarejstwa, żywot wstrzemięźliwy, zapuszczanie włosów, a zwłaszcza powściągliwość od wina, nie poprzestał wszakże na powierzchownych znamionach, lecz piorunował na przewrotność religijną, rozpustę i niemoralność. Synowie

występowali przeciw swym ojcom jako sędziowie obyczajów. Młodzieńcy wstrzymywali się od wina, podczas gdy mężowie dojrzali i starcy na ucztach pławili się w winie. Młodociany zastęp adeptów prorockich, jako uosobienie strofującego sumienia, karcił donośnie na zebraniach ludowych, w obliczu króla i magnatów, zdrożności i zatwardziałość bogaczów. Czy od prześladowania broniła tej młodzieży znaczna jej liczba? Czy też może wśród uczniów prorockich znajdowali się synowie możnych rodziców, przeciw którym nie chciano użyć środków surowych? Rzecz to w każdym razie godna uwagi, że żarliwym młodzieńcom żadnej krzywdy nie wyrządzano. Godownicy naglili ich tylko do wina i zakazywali im wygłaszania mów strofujących. Nienawidzili wprawdzie tych karcicieli, co odkrywali ich nagość, nie prześladowali ich przecież.

Z tej wolności słowa w państwie dziesięciu pokoleń zrobił użytek prorok, co otwiera szereg wielkich, wieszczych, bogactwo myśli z pięknością formy kojarzących proroków, którzy magnatom i ludowi w ostrych słowach prawdę mówili. Był to Amos z miasta Tekoa. Nie należał do bractwa proroków, nie był uczniem prorockim, nie nosił zapewne włosienicy, jak Eljasz, nie zapuszczał też chyba włosów, lecz był prostym właścicielem trzód i hodowcą sykomorów, które rosną obficie na równinie (Szefela). Gdy trzód swoich strzegł, porwał go razu pewnego duch wieszczy tak potężnie, że, nie mogąc się oprzeć, wystąpił publicznie. Bóg przemówił do niego, odezwał się w nim, miałże nie prorokować? Duch proroczy kazał mu udać się do Betel, tam w świątyni królewskiej i w czasowej rezydencji króla Jerobeama II gromić zdrożności i występki i skutki zbrodni stawiać przed oczy. Wywołało to chyba w Betel pewne wrażenie, że wieśniak, w którym po odzieży znać było pasterza, odważył się przemawiać publicznie.

Na wysokim snać stopniu stała podówczas oświata i w państwie samarytańskiem, jeżeli pasterz mógł wygłaszać mowy, odznaczające się prześlicznym stylem i doskonałą rytmiką, a lud je rozumiał, lub przynajmniej przypuszczano, że rozumieć je może. Czy Amos pierwszy wprowadził ten nowy rodzaj krasomówstwa. O ile można przejrzeć wstecz szeregi proroków aż do Samuela, wypowiadali oni słowa przestrogi lub nagany w mowie prostej, bez polotu poetycznego, wplatali do niej co najwyżej przypowieść, której towarzyszył jakiś czyn znamienny. Innego rodzaju są mowy Amosa i jego następców; potoczystość i dostępność prozy łączą z uczłonkowaniem, rytmem i dźwięcznością poezji, której dodali jeszcze skrzydeł za pomocą porównań i obrazów pełnych fantazji i życia. Rodzaj ten można nazwać od biedy kunsztowną poetycką wymową. Mowy Amosa zdradzały stan jego, używał w nich bowiem porównań, zapożyczonych z życia pasterzy. Widać z nich, że pasąc swe trzody, ryk lwa nieraz słyszał i że po nocach śledził gwiazdozbiory na niebie. Atoli te właściwości dodawały jeszcze mowom jego powabu.

Amos ukazał się w Betel jeszcze przed trzęsieniem ziemi i zapowiedział je wyraźnie w widzeniu proroczem. Gdy później nastąpiło w orszaku wszelkich okropności, spodziewał się ztąd nawrotu ku poprawie. Lecz płonna to była nadzieja. Przeciw tej zapamiętałości przemawiał z większą jeszcze cierpkością i zwiastował nadejście dnia strasznego:

„Miasto, z którego wychodziło tysiąc,
Stu tylko zachowa,
A z którego stu wychodziło,
Dziesięciu tylko zachowa.“

. . . . . .

„Przeto iż depcecie ubogiego
I zabieracie mu pożyczone ziarno,

W domach z ciosu, któreście zbudowali,
Nie zamieszkacie,
Z winnic, któreście zasadzili,
Wina pić nie będziecie."

Przeciw niedowiarkom, którzy groźby proroka szyderczemi uwagami przyjmowali, przeciw tym, co ufni w swą potęgę, pobożność lub pochodzenie, za nietykalnych się uważali, piorunował z tem większą goryczą i gwałtownością, im bardziej niepoprawnymi się okazywali.

Arcykapłan z Betel, Amazjasz, sądził, że należy kres położyć tym śmiałym przemowom, które nie folgowały nawet domowi królewskiemu. Zawiadomił więc o nich króla Jerobeama. W jego to zapewne imieniu rzekł Amazjasz: „Wieszczu, udaj się co rychlej do kraju Jehuda, jedz tam chleb i tam prorokuj, lecz w Betel nie będziesz odtąd prorokował, gdyż to świątynia królewska i stolica państwa." Nie stropił się tem Amos, lecz odparł: „Nie jestem prorokiem, ani uczniem prorockim, jeno hodowcą trzód i sadownikiem. Ale Pan rzekł do mnie: idź, prorokuj narodowi memu, Izraelowi." Poczem najdosadniejszemi słowy zakończył groźną zapowiedź kary.

Z łagodniejszą mową zwracał się Amos do słabego państwa judzkiego. W widzeniu proroczem, zwiastującem, że nowe klęski kraj nawiedzą i spaść też mogą na Judeę, wstawiał się za nią: „Rzekłem, Panie Boże, zaniechajże tego, któż podniesie Jakóba, co jest tak maluczki?"

Niemoc, w którą wpadła Jehuda po śmierci Amazjasza i z której nie wzmogła się jeszcze w pierwszych latach panowania Uzjasza, budziła w proroku litość dla tego kraju. Nie chciał zniechęcać jeszcze bardziej ludu i domu królewskiego, które podźwignąć się miały, żywił bowiem przekonanie, że z Jehudy wyjdzie zbawienie dla czasów potomnych. Przepowiedział przeto przyszłe

zjednoczenie bratnich pokoleń pod domem Dawida. To były ostatnie, pełne wiary w szczęśliwą przyszłość słowa wielkiego proroka z Tekoa. O jego życiu i zgonie nic nie wiadomo.

W tym samym prawdopodobnie czasie ukazał się prorok w Jerozolimie, o którym mniej jeszcze, a raczej nic zgoła nie wiemy, Joel, syn Petuela. Większa część proroków z pomroki wypływała i w pomrokę zapadała, nie zostawiając śladu swej osobistości. Joel wystąpił w czasie, gdy wskutek całego szeregu nieszczęśliwych wydarzeń, najazdu Idumejczyków i innych ludów sąsiednich, trzęsienia ziemi, długotrwałej posuchy i klęski szarańczy, ogarnęło umysły zwątpienie i rozpacz z osłupieniem graniczącą. W Jerozolimie i całym kraju ludzie umartwiali się postem i żalem, rozdzierali szaty na znak żałoby, z narzekaniem i płaczem kupili się dokoła świątyni, aby gniew boży odwrócić. Joel miał przeto inne, niż Amos zadanie; nie potrzebował karcić i gromić, lecz owszem serca pokrzepić, natchnąć odwagą i uśmierzyć nurtującą je rozpacz. Nie wypadało mu obnażać grzechów i zdrożności narodu, lecz zlekka tylko o nich nadmienić, napomknąć tylko o pijanicach, którym brakło wina, o zewnętrznej pokucie, która objawiała się w rozdzieraniu odzieży, lecz na poprawę serca wpływu nie wywierała, o opacznem mniemaniu, jakoby bez ofiar nie można było przejednać Bóstwa. Całej potęgi swej wymowy użyć musiał Joel, aby w ludzie judzkim i jerozolimskim obudzić przekonanie, że Bóg nie cofnął odeń swej łaski, że Cyon jest jeszcze Jego świętą górą, że ludu Swego na hańbę nie poda, że jest cierpliwym, pełnym miłosierdzia i że bez ofiar i postów klęskę odwróci.

Joel prorokował przewrót polityczny. Powrócą nazad z niewoli jeńcy Judy i Jerozolimy, których Filistynowie i Tyryjczycy zaprzedali Jończykom, a których ci handlarze ludźmi rozproszyli po świecie. Na narody, które

dopuściły się okrucieństwa, przyjdzie dzień surowej kary w dolinie Jozafata, gdzie Bóg wszystkie ludy przed sąd Swój powoła. Judea zaś i Jerozolima zamieszkane będą z pokolenia w pokolenie. Zawita wówczas wyższy porządek etyczny. Wszelkie stworzenie będzie pełne boskiego, proroczego ducha.

„Wyleję ducha Swego na wszelkie stworzenie,
Wasi starcy śnić będą sny prorocze,
Wasi młodzieńcy widzieć będą widzenia.
I na niewolników też i niewolnice
Ducha Swego w one dni wyleję.“

Trzeci prorok za czasów Jerobeama i Uzjasza, Hozeasz, syn Beeri, przemawiał z większą jeszcze stanowczością przeciw państwu dziesięciu pokoleń, a za domem Jakóba. Działał prawdopodobnie w Betel lub Samarji. Podczas gdy Amos za przedmiot gromu i szyderstwa obrał wyłącznie skażenie obyczajów, Hozeasz chłostał odszczepieństwo religijne, gdy państwo dziesięciu pokoleń uderzyło znowu czołem Baalowi. Wprowadzenie kultu Baala do państwa izraelskiego odmalował prorok pod postacią cudzołożnicy, która garnie się do swego gacha w urojeniu, że gach ten, Baal, obdarzył ją dostatkiem, niepomna, że Bóg to był szafarzem jej zboża i wina, srebra i złota, które trwoniła dla swego bożyszcza, Baala. Lecz Bóg pozbawi ją wszystkiego, nie zostawi jej nawet tyle, aby miała czem przykryć swą nagość. W niedoli swej opamięta się i rzecze: „Powrócę do swego pierwszego małżonka, bo wówczas powodziło mi się lepiej.“

Dalej prorok opisuje powrót. Przejęta skruchą niewiasta pozna całą swą niegodziwość i powróci znów do małżonka, nazywać go będzie „mężu mój,“ nie zaś „panie mój,“ już samo bowiem imię pana (Baal) będzie dla niej nienawistnem. Bóg pojedna się ze skruszoną grzesznicą:

„Poślubię cię sobie znowu na wieki,
Poślubię cię sobie w prawie i sprawiedliwości,

Poślubię cię w łasce i miłosierdziu,
Poślubię cię w wierze i poznaniu Boga.“

Małżonkę, co się z Nim pojednała, naród, Bóg obsypie znowu łaskami, jak w czasie wyjścia z Egiptu. Z pustyni wprowadzi ją napowrót do kraju ojczystego i zanuci ona znowu pieśni pochwalne, jak czasu swej młodości, jak w dniu, w którym wyruszyła z Egiptu. Przymierze, które Bóg zawrze z nią nanowo, obroni ją nawet od dzikich zwierząt, znikną łuki, miecze i wojna. Hozeasz zwiastował również zjednoczenie dziesięciu pokoleń z pokoleniami bratniemi pod berłem domu Dawida. Gdy roztaczał świetną przyszłość przywróconych do łaski dziesięciu pokoleń, nie łudził swych słuchaczów, że czas ten już jest niedaleki. W drugiej swej mowie prorokował, że wiele dni nieszczęśliwych upłynie, zanim nastąpi ów nawrót dziesięciu pokoleń i ich pojednanie.

Zdrożności jednego państwa, a niedola drugiego wydobyły z głębokiego ukrycia na światło dzienne szlachetny kruszec wymowy proroczej, która świetną swą formą i treścią wywierała doniosły wpływ na umysły. Zbrodnie Ahaba i Izebel zbudziły Eljasza, a bezprawia Jerobeama II i jego dygnitarzy wyciągnęły z pastwisk Amosa, a Hozeasza z zacisza na widownię dziejową i zniewoliły ich do wygłaszania w formie powabnej myśli, co serca ich nurtowały. Bóle ich i nadzieje, idee i przekonania stawały się nadal własnością szerszego grona, podniecały i uszlachetniały. Słuchający ich w skupieniu uczniowie wrażali sobie w pamięć ich słowa, lub przechowywali je piśmiennie. Były to pierwsze kartki piśmiennictwa proroczego, które miały później wyrwać z odrętwienia narody ziemi. Jeden z tych proroków, Joel lub Hozeasz, nakreślił obraz przyszłości, do którego lgnęły i lgną jeszcze teraz najszlachetniejsze umysły:

„I będzie w późne czasy, utwierdzona stanie góra domu Wiekuistego na szczycie gór, wywyższona ponad wzgórza, a spływać do niej będą wszystkie narody.

„I wyruszą ludy liczne i powiedzą: Zabierzcie się, a wstąpmy na górę Wiekuistego, do domu Boga Jakóbowego, by nas nauczył o drogach swoich, i abyśmy postępowali ścieżkami jego, bo z Cyonu wychodzi nauka, a słowo Wiekuistego z Jerozolimy.

„I rozsądzać będzie między narodami i rozstrzygać u ludów wielu, i przekują miecze swoje na pługi, a włócznie swoje na sierpy. Nie podniesie naród przeciw narodowi oręża i nie będą ćwiczyć się nadal do boju."

Ten wzniosły obraz wiecznego pokoju, którego podwaliny założy wychodząca z Cyonu nauka Izraela, aby narzędzia wojny w środki owocnej działalności przekształcić, promiennym swym blaskiem zaćmiewa wszystkie utwory sztuki, co przykuwają do siebie oko i umysł człowieka.

Wroga postawa obu proroków z państwa dziesięciu pokoleń względem dynastji Jehu nie pozostała bez wpływu na bieg wypadków dziejowych. Jak Elizeusz i uczeń jego uzbroili ambitnego żołnierza przeciw ostatniemu Omrydzie, tak też żarliwość Amosa i Hozeasza wzbudziła wroga na ostatniego Jehuidę. Jerobeam II zmarł spokojnie w późnej starości, po długiem i szczęśliwem panowaniu, lecz gdy na tron wstąpił syn jego, Zacharjasz (ok. 769), uknuto nań spisek, na czele którego stał Szallum, syn Jabesza. On to zamordował czwartego potomka Jehu, po sześciu miesiącach panowania. Zabójca tak samo pastwił się nad rodziną królewską Jerobeama II, jak niegdyś Jehu nad domem Ahaba. Kobietom nawet i dzieciom głowy strzaskano.

Szallum udał się do Samarji, by zagarnąć koronę i państwo; lecz przez miesiąc tylko zdołał się utrzymać. Albowiem i przeciw niemu wszczęły się knowania, których duszą był Menahem, syn Gadi, mieszkaniec dawnej stolicy, Tircy. Wyruszył przeciw Samarji, a stolica bez oporu wpuściła go wraz z innymi uczestnikami spisku;

Szallum zginął od miecza. Atoli Menahem napotkał na silniejszy opór, niż się spodziewał, bo chociaż stolica otworzyła mu bramy, to jednak inne miasta odrazu poddać się nie chciały. Wszelako Menahem był śmielszym od swego poprzednika, a z zuchwalstwem łączył okrucieństwo tamtego. Oporne miasto Tapua póty oblegał, aż je do poddania się zmusił, poczem w pień wyrznąć kazał całą ludność, mężczyzn, kobiety i dzieci, i nie przepuścił nawet brzemiennym, które zazwyczaj w kamiennych nawet sercach litość budzą, lub przejmują je jakąś trwogą przed zagadką bytu; bez miłosierdzia też zgładzić rozkazał mieszkańców okolic tego miasta. Po tym krwawym czynie udał się do Samarji i zasiadł na tronie Jehuidów. Król tak okrutny serc sobie chyba zniewolić nie zdołał. Natomiast zniósł, jak się zdaje, kult Baala, ostał się wszakże kult byka. Za jego panowania losami dziesięciu pokoleń ważyć poczęło potężne państwo, powołane do położenia kresu domowi Izraela.

Jeżeli zacniejsze osobniki z tego domu, obmierziwszy sobie zdrożne postępowanie, zwracały się do domu Jehuda, to i tu odstręczały je ohydne skandale. Za czasów Uzjasza toczyły się w Jerozolimie walki wewnętrzne, na które snać umyślnie rzucono zasłonę. Uzjasz uwagę swą zwrócił wyłącznie na podniesienie siły bojowej państwa, obchodziły go jeno łuki, tarcze i miecze, nie dbał natomiast wcale o sprawy umysłowe. Aronidom dał zapewne nie jeden powód do zgorszenia, zwłaszcza że od czasu dziada jego, Joasza, nadwerężyły się przyjazne stosunki pomiędzy władzą królewską a kapłańską. To niezawodna, że w ostatnich latach panowania Uzjasza między nim a ówczesnym arcykapłanem, Azarjaszem, wybuchły zatargi, jak między Joaszem a Zacharjaszem.

Król chciał być zarazem kapłanem. Udał się do przenajświętszego z kadzielnicą i jął na złotym ołtarzu palić wonności, a jestto właśnie czynność przysługująca wy-

łącznie arcykapłanowi. Samowola ta wywołała wśród Aronidów ogromne oburzenie. Arcykapłan Azarjasz podążył za nim do przenajświętszego na czele ośmdziesięciu kapłanów i rzekł groźnie do króla: „Nie tobie, Uzjaszu, przystoi palenie kadzideł, lecz poświęconemu kapłanowi z rodu Arona. Wynijdź czemrychlej z świątyni, bo dopuszczasz się świętokradztwa, a to ci sławy nie przysporzy.“

Dalsze zdarzenia kryje mrok tajemnicy. Ponieważ Uzjasz w ostatnich latach swego panowania dotknięty był trądem i do końca życia zamieszkać musiał w domu odosobnionym, naród w tej brzydkiej chorobie dopatrywał się kary boskiej za grzech, jaki popełnił, roszcząc sobie pretensje do sprawowania służby kapłańskiej. Z walki władzy królewskiej z kapłańską ta ostatnia wyszła zwycięzko. Lecz niebawem inna potęga duchowa miała wypowiedzieć wojnę zarówno samolubnemu kapłaństwu, jak i pyszniącej się koronie, — profetyzm. Gdy król Uzjasz ostatnie lata swego życia zniewolony był pędzić na ustroniu, objął ster państwa młody jeszcze syn jego, Jotam. W państwie dziesięciu pokoleń rządził żelazną zapewne dłonią okrutny samozwaniec Menahem. Oba państwa kroczyły dawnymi torami i nie przeczuwały, że na dalekim widnokręgu zbierają się chmury brzemienne piorunami, które uderzyć w nie miały, siejąc zniszczenie. Z północy, z krajów nad Eufratem i Tygrysem położonych, ciężkie czekały oba domy próby. Państwo assyryjskie wzbiło się podówczas w szerokowładną potęgę. Assyryjczycy byli dzielnem plemieniem, które żądni podbojów królowie zaprawili do trudnych zapasów. Z gór armeńskich mieli podostatkiem koni i jako tędzy jeźdzcy z łatwością mogli odnosić zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi, którzy przeciw nim wyprowadzali tylko piechotę. Wieszcz judzki kreśli wierny obraz assyryjskiego narodu: „Nadbiega chyżo i rączo. Niemasz wśród nich strudzonego i osłabionego. Ani drzemie, ani śpi. Nie rozwalnia się pas jego bioder, nie pęka rzemień jego sandałów. Strzały jego wyostrzone, a wszystkie łuki napięte. Kopyta koni jego do krzemienia podobne, a wozy jego jako wicher. Ryczy jako lwy, porywa zdobycz i unosi, a nikt mu jej wydrzeć nie zdoła.“ U Assyryjczyków, jak u wszystkich ludów starożytnych—wyjąwszy Greków i Rzymian — król dzierżył wszelką władzę, a naród był tylko trzodą, którą wolno było na rzeź prowadzić. Władcy assyryjscy pierwsi przybrali pyszny tytuł „wielkich królów.“ Wszak mogli się chełpić, że nawet podlegli im monarchowie byli królami!

Rozszerzywszy swe granice od północy, wschodu i zachodu, Assyryjczycy zwrócili oczy ku południowi. Najpierw zamierzali zawładnąć pomorzem fenickiem, by zagarnąć bogactwa tego handlowego narodu. Na drugim planie stał Egipt, którego skarby i świetność również nęciły zdobywców. Tak więc po raz pierwszy ukazało się na ziemi izraelskiej wojsko assyryjskie, naród, którego przeznaczeniem było szerzyć trwogę w obu połowach państwa i położyć kres państwu dziesięciu pokoleń. Phul był pierwszym królem assyryjskim, co wtargnął do dzielnic izraelskich. Z Hamat i Damaszku posuwało się wojsko assyryjskie, napadało na miasta gileadzkie, brało do niewoli mieszkańców, co nie zdążyli ratować się ucieczką, i rabowało ich mienie. Następnie przeszło przez Jordan i srożyło się w ten sam sposób w udziałach Zebulon i Naftali. Król Menahem nie śmiał tej niezmiernej potędze przeciwstawić swych hufców. Zamieszki wewnętrzne snać niepomału moc jego nadwątliły, skoro ani myślał o oporze. Przekleństwo królobójstwa dotknęło go ciężko, a bardziej jeszcze zaciążyło krajowi. Gdy Phul stanął na ziemi izraelskiej, nieprzyjaciele Menahema zanieśli, jak się zdaje, prośbę do niego, aby strącił z tronu króla, który się narzucił narodowi. Ale uprzedził ich Menahem. I on udał się do zdobywcy assyryj-

skiego i przyrzekł mu sumę ogromną, jeżeli w ręku jego rządy pozostawi. Phul poprzestał na ofiarowanym okupie i opuścił państwo izraelskie, uprowadzając jeńców i łupy. Haraczu tego król Menahem nie wypłacił z swego skarbca, lecz wymógł go na bogaczach; każdy z nich musiał złożyć znaczną, jak na owe czasy, sumę (około 126 marek).

Był to początek końca. Proroctwo Amosa, przed półwiekiem jasno wyrzeczone, że daleki naród zapędzi Izraelitów hen za Damaszek w odległą krainę, ziściło się w części. Pierwszych Izraelitów osadzono nad Tygrysem, czy też w innej prowincji wielkiego państwa assyryjskiego. Na pozór atoli państwo dziesięciu pokoleń kwitnąć się jeszcze zdawało. Liczyło jeszcze 60,000 ludzi zamożnych, którzy na tak znaczny okup zdobyć się mogli. Jeszcze Menahem posiadał jazdę, narzędzia wojenne i grody warowne, na których, jak sądził, mógł śmiało polegać. Lecz niepostrzeżenie przyszła na naród zgrzybiałość, jak pewien prorok trafnie określił stan rozprzężenia, które nastąpiło. Zamęt wewnętrzny rozkołatał powoli wiązania państwa. Gdy po śmierci okrutnego Menahema, tron po nim objął syn jego, Pekachjasz, (757), mógł się utrzymać zaledwie dwa lata. Własny jego woźnica, Pekach, syn Remaljahu, uknuł przeciw niemu spisek, pozbawił go życia w własnym jego pałacu w Samarji (756) i zagarnął koronę. Szczegóły tego królobójstwa, siódmego już od czasu powstania państwa dziesięciu pokoleń, kryje tajemnica.

Syn Remaljahu, przedostatni król Izraela (755—736), był mężem stanowczym, bezwzględnym, gwałtownym, który lud srożej od poprzedników swoich uciskał. Prorok Zacharjasz nazywa go nierozsądnym pasterzem, „co zaniedbuje swej trzody, nie szuka zaginionych, nie leczy chorych, a nadomiar zjada mięso zdrowych.“ Dla zabezpieczenia się od napaści Assyryjczyków przystąpił do

przymierza, które zawarli z sobą władcy krajów sąsiednich, aby połączonemi siłami skuteczniejszy mogli stawić opór potędze niniwijskiej. Inicjatywa wyszła zapewne z Damaszku, który znów miał króla, imieniem Recyn, i bardziej niż inne państwa narażony był na zapędy zdobywczych Assyryjczyków.

Sprzymierzeni starali się też wciągnąć do sojuszu Jotama (754—739), króla Jehudy. Nie posiadał on żadnych wybitnych zdolności, zbywało mu na przedsiębierczości, a politykiem był niezbyt wytrawnym; kroczył torem przez ojca udeptanym. Na pozór trwały po dawnemu wszystkie objawy potęgi, którą założył był Uzjasz. Oddziały jazdy, wozy wojenne, okręty Tarszyszu, które pruły wody morza Czerwonego, bogactwo i świetność. Jotam wzmocnił jeszcze więcej twierdze Jerozolimy, a mianowicie od strony wschodniej, na pagórku Morija i jego odnogach. W górach judzkich założył, a raczej obwarował miasta, a na lesistych wyżynach wzniósł zamki i wieże. Z królem Pekachem zawarł przymierze.

Przyjazne stosunki między obu państwami z jednej strony, z drugiej zaś wybujanie pełnej roszczeń szlachty najgorszy wpływ wywarły na obyczaje w Jehudzie, a szczególniej w stolicy. Podczas choroby Uzjasza, za regencji Jotama, możne rody tak wysoko głowę zadarły, że niemal zaćmiły króla. „Książęta Jehudy“ rej wodzili i rozstrzygali najważniejsze sprawy państwowe.

Każdorazowy nadzorca pałacu trząsł dworem i służbą i zwolna doszedł do takiego wpływu, do takiej potęgi, iż uważano go za miarodajnego regenta; on to kierował sprawami państwa, udzielał nagród i wymierzał kary, słowem tak wielką piastował władzę, że król panował tylko, nie rządził. Nosił tytuł „rządcy dworu“ (sochen). Również naczelnicy najznakomitszych rodów, „starsi“ Jehudy i Jerozolimy, rościli pretensje do samodzielnego stanowiska, gospodarowali w swych powiatach

według upodobania i niewiele troszczyli się o rozkazy królewskie. Jeżeli tylko byli w porozumieniu z nadzorcą pałacowym, mogli bezkarnie rozrządzać ludem i osadnikami swego powiatu. Ci wielcy panowie, „książęta Jehudy," byli rakiem, co toczył organizm państwa judzkiego. Rozprzężenie, występki, nierząd, które zawsze towarzyszą możnowładztwu, i tu się zagnieździły. Szlachta judzka nie była ani lepszą, ani gorszą, niż nią po wszystkie czasy była ta uprzywilejowana, lub do przywilejów roszcząca sobie prawo kasta.

Pod błahymi pozorami magnaci przemocą wchodzili w posiadanie domów i gruntów swoich sąsiadów. Jeżeli pokrzywdzeni zanosili skargi przed sędziów, to nie znajdowali posłuchu, gdyż ci, należąc do tegoż, co grabieżcy stanu, albo byli uczestnikami ich zbrodni, albo, przekupieni, prawo gwałcili. Urosły ztąd owe zgubne stosunki, że wrogo naprzeciw siebie stanęły z jednej strony niezmierne bogactwo, z drugiej zaś wycieńczające siły człowieka ubóstwo, ze wszystkiemi nieszczęsnemi następstwami, jakie zazwyczaj kontrast ten pociąga za sobą. Powoli przyszło, jak się zdaje, do tego, że książęta i starsi stali się panami rozległych włości, które dla nich uprawiać musieli niewolnicy, lub do stanu niewoli poniżeni ubodzy. Nie wahali się nawet obracać w niewolników dzieci biedaków, którzy nie mogli uiścić się z długu, i napędzać ich do pracy w deptaku.

Z tem krzyczącem bezprawiem szły w parze inne zdrożności. Bogaci aż do zbytku książęta Jehudy chcieli używać świata, wyprawiać wspaniałe biesiady, pędzić żywot w szumnem weselu. Wczesnym rankiem zrywali się z łoża do uciech kielicha i aż do późnej nocy zagrzewali się winem. A na tych ucztach grały im huczne kapele na lutniach, harfach, bębnach i fletach. Była to atoli niewinna rozrywka w porównaniu z innym rodzajem rozkoszy. Wino zagłusza uczucie wstydu i wznieca

chuci lubieżne. Lecz surowość obyczajów, przez Zakon nakazywana, wrogą była rozpuście. Dopóki ten trwał w swej mocy, przeczulona zmysłowość nie mogła wybujać nad miarę. Na rękę przeto był książętom Jehudy przyjacielski związek z państwem dziesięciu pokoleń. Tam, zwłaszcza w stolicy Samarji, nie ścigało prawo wyuzdanej swawoli, owszem uświęciło ją poniekąd i uczyniło z niej część składową czci oddawanej bożyszczom. Życie rozwiązłe właściwem było kultowi Baala i Astarty. Tam świątynie roiły się od nierządnic. W państwie dziesięciu pokoleń przynoszono ofiary na szczytach gór i palono kadzidła na pagórkach, a w cieniu dębów i terebintów rozsiadło się wszeteczeństwo. Rozwielmożniło się ono do tego stopnia, że córki i synowe nie oparły się zepsuciu i poszły za przykładem swych ojców i teściów. Tam wino i żądze nieczyste skaziły serca możnych. Od tych możnowładców z państwa dziesięciu pokoleń, od „opilców Efraima" przejęli książęta Jehudy życie na wszelką rozpustę wylane. Znieśli słupy graniczne i z obu państw uczynili jedno. Byli to pojętni uczniowie, wprowadzili do swych dzielnic kult bałwochwalczy Baala i Astarty, sporządzili srebrne i złote bałwany—wszak byli bogaci — i napawali się dziwolągami cudzoziemczyzny. Służba boża w świątyni jerozolimskiej była wprawdzie urzędownie uznawaną, hołdował jej król, oddawali się jej Aronidzi i Lewici; lecz nie przeszkadzało to szlachcie uprawiać pod swym dachem kultu Baala. Braterskie pożycie Izraela z Jehudą te tylko wydało owoce, że tu i tam jednako krzewiły się plugawe pogaństwo, rozpasanie, pijaństwo, pycha i urąganie prawu.

Lecz jakkolwiek wyrodziła się szlachta izraelska i judzka, to jednak i w tych sferach dokładano starań, aby to zwyrodnienie nie zostało uznanem za porządek legalny i wskutek tego nie rozpleniło się jeszcze bujniej. W narodzie izraelskim nigdy nie mogły wytworzyć się

tak potworne stosunki, aby bezprawie cieszyło się publicznem uznaniem. Byli tu mężowie, co naigrawanie się z prawa i deptanie ludzi ubogich potępiali głosem donośnym, nawoływali do życia sprawiedliwego, do czystości serca i bronili słabych od gwałcicieli całą potęgą swej wymowy. Właśnie w owej dobie zwyrodnienia, za króla judzkiego Jotama i za króla izraelskiego Pekacha, ukazało się kilku mężów bożych, którzy w płomiennych mowach powstawali przeciw skażeniu możnych. Było to trzecie pokolenie wielkich proroków po Eljaszu, Elizeuszu i po Amosie, Hozeaszu.

Najznakomitszym z pośród nich był Jezajasz, syn Amoca z Jerozolimy. Z współczesnymi sobie prorokami: Zacharjaszem I, Hozeaszem II i Michaszem II, dzieli nieustraszoną otwartość, z jaką grzechy, zdrożności i przywary po imieniu nazywa i piętnuje bezwzględnie. Lecz tak ich, jak wszystkich swoich poprzedników zaćmił bogactwem myśli, powabem formy, wzniosłością języka poetyckiego, misternością porównań obrazowych i jasnością proroczego widzenia. Jeśli wymowę proroka wspierała godna jej dykcja, to wywierała ona niechybnie głębokie, trwałe wrażenie na słuchaczów. O życiu jego wiemy niewiele. W młodości obracał się zapewne w kołach hulaszczych magnatów i pań, pogrążonych w uciechach i zbytku. Znał na palcach szczegóły niewieściego stroju, jak lubieżnik, który do tych fatałaszków wielką przywiązuje wagę. Później pojął żonę, która również dostąpiła widzeń proroczych. Nosił szatę prorocką, płaszcz z włosia koziego. Powołanie proroka obrał sobie, jak Eljasz, za wyłączny cel swego życia. Całą swoją działalność skierował jedynie na przestrzeganie i upominanie ludu i na ukazywanie mu świetnego ideału przyszłości, który miał urzeczywistnić. Synom swym nadał symboliczne imiona, mające zwiastować zawczasu przyszłe zdarzenia i służyć za znak i za przykład. Jednego nazwał „Szear-Jaszub“ (szczątek nawróci się), dając tem do poznania, że część narodu nawróci się szczerze do Boga, ale tylko szczątek. Drugiemu synowi dał imię „Maher-Szalal Chasz-Bac“ (rychło stanie się łupem), co było zapowiedzią, że dwaj niebezpieczni przeciwnicy domu Dawidowego staną się niebawem łupem Assyryjczyków i postradają możność szkodzenia. Więcej niż czterdzieści lat (755 — 710) piastował swój urząd prorocki z zupełnem poświęceniem, niestrudzony, mężny, nieulękły. W chwilach niebezpieczeństwa, gdy wszyscy, wielcy i mali, król i książęta, oddawali się rozpaczy, on jeden nie tracił wiary w zwycięstwo i budził nadzieję i otuchę.

Roku śmierci króla Uzjasza poraz pierwszy wystąpił Jezajasz; mógł wtedy liczyć około trzydziestu lat życia. Obwieścił wówczas ludowi, może na górze świątyniowej, pierwsze swoje widzenie i jak odebrał poświęcenie na proroka.

Opowiedział, że w wizji swej ujrzał Pana zastępów na wyniosłym i wspaniałym tronie, otoczonego skrzydlatemi istotami, Serafinami. Jeden Serafin wołał do drugiego: „Święty, święty, święty Wiekuisty zastępów“, tak przeraźliwym głosem, że zatrzęsły się posady podwojów świątyni. „I rzekłem: Biada mi, jestem zgubiony, bom człowiek nieczystych warg i śród narodu nieczystych warg przebywam i oczy moje widziały Pana zastępów! Ale nadleciał do mnie jeden z Serafinów, a w ręku miał kamień rozżarzony, który wziął z ołtarza, dotknął nim ust mych i rzekł: „Otóż dotyka on ust twoich, a znikła wina twoja, a grzech twój będzie odpuszczony.“ Wtedy usłyszałem głos Pana mówiącego: „Kogoż mam posłać i któż Nam pójdzie?“ I rzekłem: Jestem gotów, poślij mnie. Rzekł: „Idź i powiedz narodowi temu: „Słyszycie tylko, ale nie chcecie rozumieć, patrzycie tylko, ale nie chcecie poznawać.“ „Znieczul serce narodu tego, a uszy je-

go przytęp, a oczy jego zasklep, aby nie widział oczyma swemi i uszyma nie słyszał i sercem nie rozumiał, a nie nawrócił się, by był uzdrowion!“ Rzekłem: Dopókiż Panie? Rzekł: Dopóki nie opustoszeją miasta dla braku mieszkańców, a domy dla braku ludzi, a ziemia spustoszeje jako step. Wydali Wiekuisty człowieka, a wielką będzie opustoszałość wpośród ziemi. A jeżeli jeszcze zostanie w niej część dziesiąta, ta również zniszczona będzie. Ale jak sosna lub dąb, u których po zrzuceniu liści pień zostaje, tak i zagajem świętym pozostanie pień jej.“

W pierwszej swej mowie Jezajasz dotknął tylko zlekka zdrożności magnatów, napomknął tylko, że niedostępnymi byli dla lepszego przekonania. W innej mowie wdał się w szczegóły i zwłaszcza „książętom Jehudy“ stawił przed oczy zwierciadło ich głupoty i niegodziwości. Chłostał ich bałwochwalcze zaślepienie, naigrawanie się z prawa, grabieże, rozpustę, a nadewszystko pychę, zbytki i nieobyczajność szlachcianek i ukazywał w oddali skutki takiego postępowania.

„Wiekuisty na sąd przyjdzie przeciw starszym narodu swego i jego książętom:

„Wyście wszak spaśli winnicę, krzywda biednego w domach waszych.

„Czemu gnębicie lud Mój i zaprzęgacie synów ubogich do pracy w młynie?“

Jezajasz sięga aż do głębokiego źródła złego, które spowodowało obłędne wierzenia i obojętne na łzy krzywdzonych bezprawie. Była to żądza użycia i lubieżność, wzniecana przez kobiety, które dla dogodzenia swym namiętnościom ustawicznie podburzały mężczyzn, książąt Jehudy, do wyzyskiwania, odzierania i ciemiężenia słabych sąsiadów. A rozsnuwając ten wątek, mówi dalej: „I niewiasty panują memu ludowi!“ Jakich środków używają w tym celu? Zalotności, przepychu, zwodniczych fortelów, którymi usidlają mężów i młodzieńców.

„Ponieważ zdumniały córy Cyonu, a chodzą z zadartym karkiem i, z ukosa spoglądając, krokiem drobnym stąpają i nogami podzwaniają,

„Przeto obłysi Pan ciemię córek Cyonu, a Wiekuisty srom ich obnaży.

„Dnia onego zabierze Pan ozdobę sprzączek i t. d.“

Ze zdumiewającą drobiazgowością opisuje prorok ten zbytek córek Cyonu, klekotki, siatki, półksiężyce, zausznice, zasłony, wieńce, nagolenice, przepaski, pierścienie i obrączki nosowe, szaty godowe, płaszcze, chustki, torebki, tkaniny sydońskie, zawoje i szale.

Tu prorok odwraca się od tego ponurego, przygnębiającego widoku i uderza przelotnie w strunę wesela i nadziei. Powrócą—ciągnie dalej—pełne łaski dni odległej przeszłości. Nad szczytem Cyonu i jego wieżami unosić się będzie znowu obłok we dnie, a słup ognisty w nocy i chronić od burz i niepogody. Po tym świetlanym obrazie wieszcz znowu nawiązuje przerwaną osnowę.

Czy ta potężna, tak pod względem treści, jak formy mistrzowska mowa wywarła chwilowe wrażenie na umysły? To pewna, że trwałej poprawy nie wywołała, gdyż Jezajasz i współcześni mu prorocy niejednokrotnie jeszcze przemawiać musieli przeciw tym samym zdrożnościom i tym samym występkom. Szlachta nie jest tak pochopna do poprawy, zbywała też drwinami i pogardliwym uśmiechem stawiane jej przed oczy widmo groźnej przyszłości. Ale nienapróżno wyrzeczone zostały te miażdżące słowa, poskutkowały one w kołach, do których nie były zwrócone, wywierały też wpływ i na późniejsze pokolenia. Niby huk piorunu zbudziły drzemiące sumienia. Nie poprzestał jednak Jezajasz na samem strofowaniu zbrodni, lecz wytknął też narodowi ideał, w którego ziszczeniu mógłby znaleźć spokój duszy i zbawienie. Król nie powinien sądzić z pozorów, ni też roz-

strzygać z posłuchu. „Kto postępuje sprawiedliwie, szczerze mówi, brzydzi się zyskiem nieprawym, dłonie swe otrząsa, aby się nie tknęły przekupstwa, zatyka swe ucho, aby nie słyszał krwawych zamysłów, zamruża oko, aby złego nie widział, ten zamieszka na wyżynach.“ Modlitwę, która polega na ruszaniu wargami, która ustami chwali Boga, gdy tymczasem serce nie bierze w niej udziału, „wyuczony przepis ludzki,“ traktował Jezajasz z najwyższą pogardą, a bardziej jeszcze ofiary, połączone z brakiem serca i niegodziwością. „Cóż Mi po mnóstwie ofiar waszych, rzecze Wiekuisty. Syt jestem całopalenia baranów i tuku karmnych cieląt, a krwi wołów i jagniąt i kozłów nie pożądam. Gdy przychodzicie, aby ukazać się przed obliczem Mojem, któż żąda tego od was, abyście deptali Me przedsienie? Przestańcie składać dary kłamstwa, kadzidło będące obrzydłością Mi. Nów i Sabbat i ogłaszanie świąt — nie cierpię niegodziwości i uroczystości. Nowiów i świąt waszych nienawidzi dusza Moja, stały mi się ciężarem, sprzykrzyło Mi się je znosić.“ Jakże więc należy życie urządzić? Uganianiu się za uciechami i rozpuście, które źródło swe miały w bogactwie, przeciwstawił Jezajasz wzór w niewymyślnem życiu pasterskiem, jakie częstokroć prowadzili przodkowie i jakiemu wiernie i wytrwale oddawali się współcześni mu Rechabici. Każdy powinien chować krowę i parę owiec, mlekiem i miodem żywić się będzie każdy, co pozostanie jeszcze w kraju. Pojęcie Bóstwa,— pierwszą przyczynę czystego czynu i podniosłego sposobu myślenia, — przedstawił jako równoznacznik świętości i szczytności, Boga nazywał zawsze Świętym Izraela, Wspaniałym, którego majestat całą ziemię wypełnia.

Zdaje się atoli, że obok mów, wzniecających zapał, Jezajasz uciekł się do innego jeszcze środka dla wyleczenia Jehudy z moralnych i religijnych ułomności. Podjął znowu zapoczątkowaną przez Samuela i Eljasza działalność celem otoczenia się gronem mężów jedną myślą ożywionych, lub też przyciągał do siebie adeptów, w których ducha swego przelewał. Z pośród ofiar haniebnego bezprawia i ucisku możnowładców judzkich wcielił, jak się zdaje, do swego koła tych, co rządzili się sercem i zdolni byli do uczuć głębokich; byli oni jednocześnie uczniami jego i dziećmi. Przed tem gronem zwolenników Jezajasz nie głosił, jak Eljasz, gwałtownej, popędliwej żarliwości, lecz wręcz przeciwne cnoty: łagodność, cierpliwość, bezwarunkowe poddanie się wyrokom boskim. Rzesze, które cisnęły się do niego, lub któremi sam się otaczał, nazywano „łagodnymi“ lub „cierpiącymi w kraju.“ Byli to albo ubodzy z rodu, albo do ubóstwa, wskutek grabieży książąt Jehudy, przywiedzeni. Nazywali się sami, lub też nazywali ich inni „ubogimi.“ Ci „łagodni“ utworzyli odrębną gminę, którą Jezajasz i jego następcy uważali za jądro, za część zasadniczą narodu, i ku której myśl ich i serce wyłącznie były zwrócone. Po niej spodziewali się poprawy i oczyszczenia całego narodu, ona miała ludowi świecić przykładem.

Wśród „łagodnych“ znajdowali się też oczywiście, lub może nawet rdzenną ich część stanowili Lewici, trzymani przez kapłanów w zależności i ucisku poddaństwa. Lewici znów posiadali w swem gronie pieśniarzy, którzy wylewali w hymnach wzbudzony w swej piersi nastrój niewzruszonej ufności w Boga, rezygnacji i pogardy dóbr doczesnych i uciech światowych. Pieśni te były nowym rodzajem psalmów, wyróżniających się szczególnie głębokością uczucia; jeżeli nie wyszły bezpośrednio z pod pióra uczniów Jezajasza, to przynajmniej pochodzą od ich następców, odzwierciadlają bowiem ducha wielkiego proroka. Psalmy te, co później rozbrzmiewać miały w obcych świątyniach i tumach, stały się pociechą dla milionów ludzi w różnych okresach, gdy dep-

tanie godności człowieka, przemoc i zbrodnie, niby rozhukana burza, spadały na głowy słabych i bezradnych. Śpiewacy z koła Lewitów, którzy zawsze gościli w obrębie świątyni, niczego tak gorąco nie pragnęli, jak tego, żeby im wolno było spokojnie w niej przebywać i opiewać chwałę Imienia bożego.

Zapał pieśniarski unosił tych „łagodnych“ wysoko nad niedolę i utrapienia życia powszedniego. W najróżnorodniejszych zwrotach wyrażali te same myśli i uczucia; zasadniczym tonem ich pienia była ufność w Boga i wysławianie cnoty męczeństwa — rezygnacji.

Jednakże wieszcza źrenica Jezajasza nie spoczęła wyłącznie na własnym narodzie i kraju, lecz wybiegła poza kresy ziemi ojczystej i wpiła się w dwa zwłaszcza mocarstwa, które jak dwa chmurzyska miały zionąć piorunami na Izraela i Jehudę—w Egipt i Assyrję. Kraj nadnilowy, niegdyś potężny i światowładny, wskutek wewnętrznego rozstroju w coraz większą niemoc zapadał. Za słabego króla Bokchorysa (Bok-u-renf), z miasta Sais, powstały stronnictwa, które srożyły się wzajem na siebie, a których przywódcy trzymali się w różnych miastach i ogłosili swą niepodległość. O tem rozprzężeniu Egiptu mówił Jezajasz i przepowiedział, że potężny władca upokorzy wszystkich tych królików i nałoży na kraj jarzmo niewoli.

I w samej rzeczy ziemię egipską ciężkie w tej dobie nawiedziły losy. Z Etjopji wyszedł król, imieniem Sabako (Szabaka), który korzystając z rozterki i osłabienia, wkroczył zbrojnie do kraju, pojmał żywcem króla Bokchorysa i zasiadł na tronie (ok. 740). Sabako założył w Egipcie dynastję etjopską, która przez pół wieku władała tym krajem. Żelazną pięścią rządził król etjopski ziemią dumnych Faraonów. Powodzenie oręża zachęciło go do spróbowania swych sił poza granicami Egiptu. Pochód Sabako dał się i Judei we znaki,

i z niej też uprowadzono jeńców. Król Jotam w ten sam, zda się, sposób okupił pokój u zdobywcy egipskiego, jak dziesięć lat temu Menahem u Assyrji. Musiał zapłacić Egiptowi haracz, a poborcy uwijali się po kraju, by ściągnąć przyrzeczony okup. Obie połowy państwa stoczyły się w krótkim czasie z wyżyn potęgi, w którą się wzbiły za Jerobeama II i Uzjasza ku postrachowi ludów sąsiednich. Obie, jeśli nie z imienia, to w samej rzeczy stały się wasalkami dwóch państw potężnych, które na południu i północowschodzie wystąpiły jak dwaj olbrzymi zapaśnicy, aby zewrzeć się z sobą i kraje w pośrodku nich położone obrać jednocześnie za widownię bojów i nagrodę zwycięstwa.

Atoli dla ciężkiej walki, jaką prawda, lubo przemawiała wymownie przez usta proroków, ciągle jeszcze toczyć musiała z obłędem, znamienną jest okoliczność, że naród w niedoli nie zwrócił się do owego Boga, którego majestat głosili natchnieni mężowie, lecz uciekł się pod obronę złudnych tworów własnej wyobraźni. Radził się martwych bożków domowych, lub też wróżbitom i wykładaczom snów przyszłość sobie przepowiadać kazał.

Przeciw tej zatwardziałości wystąpił pewien prorok, imieniem Zacharjasz, syn Ibrechjahu (lub Zacharjasz I), również, jak się zdaje, rodem z Jerozolimy. Z ognistem, a jednocześnie powabnem krasomówstwem Jezajasza wymowa tego proroka w porównanie iść nie może.

Często używa Zacharjasz I przypowieści o pasterzach, którą stosuje do królów, i o trzodzie, przez którą rozumie naród. Przepowiadał, że ludy sąsiednie, które niejednokrotnie względem Izraela wrogie żywiły uczucia, Aramejczycy, Tyryjczycy, a nawet Filistynowie, uwierzą kiedyś w Boga Izraela i uznane zostaną przezeń za dzieci prawowite, jeśli swych zbrodni zaniechają i zrzucą z siebie pychę fałszywą.

Dla dodania otuchy ludowi prorok Zacharjasz wieszczył następnie, że Bóg pojedna oba państwa, dom Jehudy i dom Efraima, i sprowadzi do ojczyzny wygnańców tych krajów. Lubo rozproszeni wśród narodów, będą jednak pamiętać nań i powrócą ze swemi dziećmi; z Egiptu i Assyrji przywiedzie ich do rodzinnych pieleszy, skupi ich i osadzi znowu w Gilead i kraju Libanu i ziem tych dla nich nie starczy. Wyraźnie zwłaszcza napomyka Zacharjasz o królu izraelskim Pekachu, o tym „nierozsądnym pasterzu," który z swą trzodą obchodził się jeszcze niemiłosierniej od swoich poprzedników. Prorok był może zmuszony przemawiać pod alegorją, użył przeto zagadkowego zwrotu: Bóg ustanowił pasterza nad ludem i wręczył mu dwa pręty, z których jeden nazywał się łaską, drugi zaś związkiem (zgodą). Ponieważ wszakże lud wyrzekł się Boga, Bóg też wyrzekł się ludu, złamał wpierw pręt łaski i zerwał przymierze, które zawarł ze wszystkiemi pokoleniami Izraela. A teraz chce jeszcze złamać pręt drugi, „pręt zgody" między Jehudą a Izraelem. Bóg ustanowił nierozsądnego, okrutnego pasterza. Naród, co prawda, niewart lepszego. Czy tego pasterza, co zaniedbuje swej trzody, porazi karząca prawica Pańska?

Węzły braterstwa, które łączyły Jehudę z Izraelem za panowania Uzjasza i Jotama, rozprzęgły się istotnie ze śmiercią ostatniego, według zapowiedzi proroka Zacharjasza, i niezgoda zagościła w umysłach. Co było tego przyczyną? Na domniemaniach jeno poprzestać musimy. Nowy król judzki, Ahaz (739—725), który na tron wstąpił w dwudziestym piątym roku życia, był półgłówkiem, opanowanym przez bałamutne poglądy, i nie mógł zgoła sprostać niebezpiecznemu położeniu. Pod jego berłem zaszły daleko sięgające powikłania polityczne, w których sploty sam tak się zagmatwał, iż wyplątać się z nich nie zdołał. Wkrótce po objęciu rządów stanął Ahaz

przed kwestją niezmiernej doniosłości: miał powziąć postanowienie, czy wypada mu przystąpić do ścisłego przymierza, jakie zawarli z sobą Pekach, król izraelski, i Recyn, król Damaszku, a zapewne inni też jeszcze monarchowie i kraje. Państwa te bowiem przywiedzione były do konieczności ścisłego skojarzenia się z sobą, aby połączonemi siłami stawić czoło niebezpieczeństwu, grożącemu im z dwóch stron naraz, ze strony Egiptu, który za króla Sabako znowu wzrósł w potęgę, i Assyrji, która miała również chciwego podbojów monarchę, Tiglat-Pilezera. Gdy ten ostatni zdobył i zburzył w Mezopotamji grody warowne, zwrócił swój oręż przeciw krajom na zachód od Eufratu i w okolicach Libanu położonym, aby państwa te, które sobie Phul był zhołdował, zespolić mocniejszem ogniwem z Assyrją. Dla stawienia skutecznego oporu zdobywcy assyryjskiemu Recyn, król aramejskiego Damaszku, zawarł z Pekachem, królem izraelskim, przymierze zaczepnoodporne i usiłował pozyskać dlań również Ahaza. Ten atoli odmówił im swej pomocy, wskutek czego obaj królowie podjęli wyprawę wojenną na Judeę.

Wieści o tym pochodzie rzuciły okropny popłoch na dom Dawidowy, zwłaszcza, że na jaw wyszło postanowienie sprzymierzonych, którzy po zdobyciu Jerozolimy zamierzali nietylko strącić z tronu Ahaza, lecz wogóle usunąć zupełnie dynastję Dawidową, a Jehudzie dać króla w osobie niejakiego Ben-Tabela, z którym łączyły ich stosunki. Położenie rzeczy w Jerozolimie pogarszała jeszcze okoliczność, że w samej stolicy istniało stronnictwo przychylne związkowym, a wrogo dla Ahaza usposobione. Stronnictwu temu, które tworzyła zapewne część książąt Jehudy, niepodobało się wielce chwiejne postępowanie Ahaza, pragnęło ono przyjąć stanowczy udział w walce z Assyrją, by znaleźć sposobność do zwiększenia swych wpływów i bogactw. Lecz podnioślejsze umysły, zwłaszcza prorocy i pieśniarze, stały wiernie przy Ahazie,

nie dla zasług jego, ale z przywiązania do domu Dawida, którego pamięć, w miarę odległości czasów, coraz promienniejszym blaskiem jaśniała. Hufce Recyna i Pekacha wtargnęły do Jehudy, zajęły kraj otwarty i uprowadziły jeńców. Część wojska aramejskiego zrobiła wycieczkę do Edomu, wydarła koronie judzkiej kraj ten oraz ważne miasto portowe Ailat, wypędziła z tego miasta mieszkających tu od czasów Salomona lub Amazjasza Judejczyków, i oddała je Idumejczykom. Obaj główni sojusznicy stanęli pod stolicą i gotowali się do oblężenia. Ahaz, oczywiście, zarządził też środki obrony. Ale trwoga popchnęła go do rozpaczliwego kroku. Wyprawił tajemnie posłów do króla assyryjskiego, Tiglat-Pilezera, z prośbą o pomoc przeciw uciskającym go nieprzyjaciołom. Wzamian za to oddawał mu się jako wasal, a kraj swój jako lenno assyryjskie. Krok ten mógł przynieść doraźny ratunek, lecz na szwank wystawiał całą przyszłość Jehudy, Assyryjczycy bowiem, jak później Rzymianie, zwykli byli tak oplątywać kraje, które oświadczały im się z przyjaźnią i z gotowością do sojuszu, że padały one ofiarą sromotnej niewoli. Nadomiar groziło niebezpieczeństwo ze strony sąsiedniego Egiptu. Państwo to nie mogło patrzeć obojętnem okiem na rozrost potęgi assyryjskiej aż do jego granic; usiłowałoby więc zapobiedz temu, przez co Jehuda stałaby się jabłkiem niezgody między dwoma przemocnemi państwami i areną zapasów dla siejących zniszczenie ich hufców. Krótkowidztwo Ahaza niebezpieczeństwa tego na uwagę nie wzięło, chciał on tylko odwrócić grozę chwilowego położenia i za tę cenę poświęcił niezależność swego kraju.

Atoli prorok Jezajasz przeniknął wieszczem okiem mroczne głębie przyszłości i ostrzegał króla, aby z przesadnej obawy nie zrobił nierozważnego kroku.

Z najbliższej przyszłości prorok wzrokiem duszy w dalszą ulata. Widzi kraj obróconym przez Assyryjczyków w step pełen cierni i głogów, obnażonemi pagórki, porosłe dotąd szlachetnym szczepem winorodnym, który upaja i zmysły odurza. Ale pozostaną pastwiska i człowiek zadowolni się krową i parą owiec, a kraj znów płynąć będzie mlekiem i miodem—dla szczątku narodu.

Na wszystkie przecież proroctwa i znaki Ahaz pozostał nieczułym. Większą ufność pokładał w Tiglat-Pilezerze, niż w Bogu Izraela i prorokach, spełniło się przeto przeznaczenie. Skoro król assyryjski powziął wiadomość, że kilku monarchów i ludów zawarło przeciw niemu przymierze, powiódł swe wojska do ziem ich. Najpierw natarł na Aram damasceński. Wskutek tego Pekach i Recyn musieli odstąpić od oblężenia Jerozolimy i, gwoli własnemu zbawieniu, powrócić do Samarji i Damaszku. Obaj nieprzyjacielscy królowie, „ogarki dymiących głowien,“ nie zdołali już jednak zażegnać następstw swych kroków. Tiglat-Pilezer wziął do niewoli Recyna i pozbawił go życia.

W rajskim Damaszku i jego okolicy osiedli Assyryjczykowie; stał się on od owego czasu miastem nawskroś assyryjskiem, jedną ze stolic królów assyryjskich. Cały dawny Aram nazywano odtąd Assyrją, a przez skrócenie Syrją.

Uporawszy się z Damaszkiem, Tiglat-Pilezer zwrócił swój oręż przeciw państwu dziesięciu pokoleń, zdobył miasta warowne, położone w górach, nad morzem i w okolicach Jordanu, udziały pokoleń Naftali, Aszer i Zebulon i połać, którą zajmowali Danici u źródeł Jordanu i u podnóża Hermonu. Pekach, jak się zdaje, nie usiłował nawet stawić oporu, lecz, stchórzywszy, uderzył w pokorę. Za to Tiglat-Pilezer zostawił go przy życiu, mieszkańców jednak miast północnych i kraju zajordańskiego uprowadził do niewoli (ok. 738) i osadził ich w różnych prowincjach olbrzymiego państwa assyryjskiego.

Zapowiedź Amosa, który dwa pokolenia temu groził proroczo karą Efraimowi, w części ziściła się wtedy.

Państwo izraelskie postradało wówczas połowę swych ziem i ludności. Północna jego granica sięgała zaledwie do góry Tabor, a i ten szczątek został krajem lennym państwa assyryjskiego i musiał co rok płacić haracz jego królom i posyłać im dary hołdownicze. Pekach, „ów pasterz nierozsądny," co zuchwalstwem swem ściągnął na naród niedolę, wzbudził niewątpliwie przeciw sobie wielkie niezadowolenie, które skończyło się wreszcie sprzysiężeniem na jego zgubę. Hozeasz, syn Eli, był tego spisku prowodyrem i pozbawił Pekacha życia (ok. 736) po dwudziestoletnich, dla narodu i kraju fatalnych rządach tego króla.

I w państwie judzkiem zaszły w owej dobie zmiany doniosłe. Zdjęty trwogą, Ahaz z własnego popędu uczynił się wasalem Assyrji. Zniewolony był tedy udać się dla złożenia hołdu do Tiglat-Pilezera, gdy ten, bawiąc w Damaszku, zmusił zwyciężonych królów do jawnej oznaki uległości danniczej. Miasto czuć się upokorzonym rolą służalca, wpadł w zachwyt nad właściwościami ducha assyryjskiego i powziął zamiar zaszczepić je w swym kraju. Przypadły mu do smaku piękne kształty ołtarza, który kazał zbudować w Damaszku Tiglat-Pilezer, polecił więc arcykapłanowi Urjaszowi wznieść ołtarz według przesłanego rysunku pierwowzoru. Arcykapłan nie miał nic przeciw temu. Lecz jakże zdziwić się musiał, gdy Ahaz za powrotem jął na tym ołtarzu sam czynić ofiary! Jak królowie assyryjscy, chciał też i Ahaz władzę królewską wynieść ponad kapłańską, a raczej, gdy tamci, mieniąc się potomkami jakiegoś boga, przystępowali do ołtarza bez pośrednictwa kapłanów, więc i Ahaz rościł sobie podobne pretensje. Nie przygnębiło go bynajmniej upokorzenie, jakiego doznał, owszem wracał z Damaszku z dumą tryumfatora i coraz dalej zapędzał się w naśladownictwie obyczajów assyryjskich. Wprowadził do Jerozolimy kult słońca i planet. U wrót świątyni postawiono prawdopodobnie promienisty wizerunek słońca, a poświęcone bożkowi słońca rumaki i rydwany umieszczono w osobnej hali. Ku czci pięciu wielkich, dla nieuzbrojonego oka widocznych planet, iż tylko w nocy spostrzegać je można, polecił Ahaz, za przykładem Babilończyków, wznieść ołtarze na dachu swego pałacu. I wszędzie, na wszystkich wyżynach i pagórkach, kazał budować ołtarze. Inne też żywioły assyryjszczyzny zaczęły przenikać do Judy za jego panowania. Język assyryjski, do aramejskiego wielce podobny, wszedł w modę u dworu; uczyli się go dworzanie, aby módz porozumiewać się ze swymi rozkazodawcami. Niejedną też rzecz pożyteczną przejęto od Assyryjczyków. Zegar słoneczny czyli kompas, wynalazek chaldejski, wprowadził Ahaz do Jerozolimy i ustawił go w pobliżu pałacu. Kompas ten otrzymał swe imię od Ahaza. Odtąd zwracano zapewne w Jerozolimie uwagę na dokładniejszą rachubę czasu. Jak Grekom, tak zapewne i Judejczykom była Assyrja mistrzynią w sztukach pięknych i stosowanych, które w tym kraju do wielkiego doszły rozkwitu, zwłaszcza w malarstwie pokojowem i sporządzaniu ozdób ponętnych dla oka. Pod wpływem jej budownictwo w Jerozolimie dawny swój styl zarzuciło. Lecz ciemne strony naśladownictwa assyryjskich urządzeń o wiele przeważały jasne. Samorodne cechy narodowe, cześć prawdziwego Boga i wyższe uobyczajenie znów uszczerbek poniosły przez to zamiłowanie cudzoziemczyzny. Ahaz w bezmyślnem małpiarstwie przebrał wszelką miarę. Gdy mu pewnego razu groziło wielkie nieszczęście, wpadł na pomysł ofiarowania własnego syna urojonemu bożkowi Molochowi.

I to grozą przejmujące okrucieństwo właściwem było pogańskiemu kultowi Assyryjczyków. Na południowowschodniem rozszerzeniu doliny Kidron, w pięknej dolinie Hinnom czyli Ben-Hinnom, (tak od właściciela

nazwanej), gdzie wzbudzona przez źródło Siloa i inne zdroje żywej wody urodzajność przystraja ziemię w wspaniałą roślinność, wzniesiono stos ofiarny (tofet), na którym Ahaz spalić kazał jednego z swych synów, głuchy na rozdzierające jęki niewinnej istoty.

Zdrożności Ahaza nie mogły, oczywiście, przeminąć bez wpływu. Książęta judzcy, i tak już rozmiłowani w obczyźnie, która ich żądzom na oścież otwierała wrota, radzi zapewne byli temu ciążeniu do mocarstwa assyryjskiego. Korzystając z bezsilności Ahaza, mogli więcej jeszcze, niż dotąd, popuszczać wodze swym chuciom i po dawnemu lud uciemiężać. Nawet kapłanów ogarnęła zaraza. Bądź w pogoni za zyskiem, bądź też z obawy, w milczeniu znosili bezprawia króla i możnych, lub, co gorsza, potakiwali im jeszcze. Za pieniądze gotowi byli głosić wszystko, czego tylko zapragnęła dusza mocarzy. Od jednego z tych wyrodnych kapłanów pochodzi, jak się zdaje, wykład, że przynoszenie w ofierze pierworodnych nietylko nie jest wstrętnem Bogu Izraela, lecz przeciwnie miłem. Zakon przez Mojżesza objawiony, według tego przewrotnego wykładu, nakazuje wrzekomo poświęcać Bogu pierworodnych, t. j. przeznaczać ich na ofiarę całopalną.

Tymczasem zdarzenia polityczne toczyły się dalszą koleją i nowe zadziergały węzły. W królestwie samarytańskiem, które po oderwaniu wschodnich i północnych prowincyj nie mogło już rościć prawa do nazwy państwa dziesięciu pokoleń krzewiły się zgubnie dawne występki i dawne krótkowidztwo. Rany, zadane mu przez Assyryjczyków, nie zdołały pychy poskromić, ani umiarkować samolubstwa możnych. Urągając opłakanej rzeczywistości, mówili zuchwale: „Domy z cegieł zapadły, zbudujemy więc domy z ciosu, ścięte są sykomory, zasadzimy wzamian ich cedry.“ Opilstwo szlachty efraimickiej nie pozwoliło jej opamiętać się i zrozumieć, że do-

tychczasowe klęski—jeśli nie potrafi zdobyć się na męztwo—będą tylko przegrywką doszczętnej zagłady. Do tego zaślepienia przyplątała się jeszcze anarchja, lub też była jego następstwem. Odkąd Pekach zginął z ręki herszta spiskowców, Hozeasza, upłynęło dziewięć lat, w ciągu których żaden król utrzymać się nie zdołał. Hozeasz, jak się zdaje, zrazu nie przyjął korony cierniowej, którą mu ofiarowała Samarja; innego, coby umiał zjednać sobie powagę królewską, nie było. Książęta izraelscy zawistnem okiem spoglądali wzajem na siebie i berłu równego sobie podlegać nie chcieli. Kilku możnych, co w ciągu tych lat dziewięciu zagarnęli władzę i narzucili się na królów krajowi, rychły nawiedzał upadek. Krótki ten okres zaznaczył się w dziejach nieprzerwanym pasmem królobójstw. W tej dobie rozprzężenia wszystkich węzłów jeszcze bardziej zagęściły się występki i zbrodnie, stłumionem było wszelkie uczucie wstydu. Fałsz i krzywoprzysięstwo, kradzieże i cudzołóstwo szerzyły się w kraju, a krew niewinnych ofiar płynęła potokiem. Możne rody łączyły się w bandy rozbójnicze, czyhały na wędrowców i wyprawy handlowe, którym zabierały pieniądze, a w dodatku i życie. Wyniosłe góry, Garizim opodal Sichem, w środku kraju, Tabor na północy i Micpa, jeden ze szczytów łańcucha gileadzkiego, służyły temu rycerstwu łupieżnemu za kryjówki; tu na upatrzone ofiary zarzucali sidła, tu też dokonywali grabieży i mordów. Ten wrzód, co ciało narodu toczył, wzmógł jeszcze niebezpieczeństwo, grożące mu zzewnątrz. Państwo izraelskie stało się wasalem Assyrji i musiało corocznie haracz opłacać i inne nadto upokorzenia znosić cierpliwie, gdyż mocarstwo to na podbite narody względu nie miało. Strząsnąć otwarcie jarzmo sromotne byłoby szaleństwem. Lecz ci, co stali u steru rządów Samarji, zagaili tajemne rokowania z Egiptem, bądź z własnego popędu, bądź też przez króla etjopskiego podbu-

rzeni do zerwania stosunku poddaństwa względem Assyrji. By zamaskować konszachty z Egiptem, możnowładcy izraelscy nadskakiwali królowi assyryjskiemu, przesadzali się w objawach hołdu i uległości i o łaski jego zabiegali bogatemi darami. Trudne położenie i obawa, by nie być zmiażdżonym między dwoma potężnemi państwami, uczyniły Izraela dwulicym i obłudnym. Współczesny prorok szydził z tej roli fałszywej, jaką w owej dobie grała Samarja:

„Efraim za wiatrem się ugania
„I upędza się za nawałnicą.
„Cały dzień mnoży kłamstwa i matactwa:
„Przymierze zawiera z Assyrją,
„A oliwę śle do Egiptu.“
. . . . . .
„Efraim ujrzał swą niemoc,
„Poszedł tedy do Assyrji
„I posłał (dary) królowi Jareb.
„Lecz ten uzdrowić nie zdoła,
„Waszej rany zasklepić nie może.“
. . . . . .
„Efraim stał się jako głupia gołębica;
„Egiptu przyzywali,
„A do Assyrji zwracali swe kroki.“

Ten opłakany a zarazem zgrozą przejmujący stan moralnego zdziczenia i niemocy politycznej szedł oczywiście w parze z przewrotnością religijną. Wprawdzie i w Samarji ciągle jeszcze słychać było przysięgę: „Żyw Wiekuisty,“ były to wszakże czcze wyrazy, gdyż nietylko w Betel, Dan, Samarji i Gilgal czyniono ofiary gwiazdozbiorom, lecz wznoszono mnóstwo ołtarzy Baalowi, składano objaty, kadzono na szczytach gór i pagórkach, pod dębami i tamaryszkami, i sporządzano kunsztowne obrazy. Jak w Niniwie i Babilonie niewiasty i dziewice oddawały się ku czci bogini wszetecznej miłości, by zbierać dary na rzecz jej świątyni, tak samo działo się i w Samarji; i tu też z zarobku nierządnic wznoszono posągi i ołtarze. Przeciw temu rozpasaniu bez granic wystąpiło znowu kilku mężów bożych, którzy narodowi stawiali przed oczy zwierciadło jego grzechów oraz ich następstwa. Możnowładcy zabronili im przemawiać. Nikomu nie wolno było karcić, nikomu strofować. Ale prorocy nie dali sobie nakazać milczenia. Przeciw krzewiącemu się skażeniu przemawiali owszem z większą jeszcze żarliwością i niepohamowaniem, z tym samym namiętnym zapałem, jaki ongi cechował Eljasza. Dla oczyszczenia zarażonego powietrza trzeba było nawałnic gwałtownych. Ta popędliwość proroków dała znów pochop do prześladowań. Dybano na nich, zastawiano sidła i zabijano ich w obrębie świątyni, na miejscu, gdzie wygłaszali swe mowy. Jakże pogorszyły się czasy w porównaniu z panowaniem Jerobeama II, który prorokom przynajmniej wolność słowa zostawił. Atoli groźba śmierci nie zdołała zamknąć ust tym wieszczom.

Mowy jednego z tych proroków z ostatniej doby państwa izraelskiego dochowały się pod imieniem Hozeasza i dają wierny obraz ówczesnego wyuzdania. Słowa jego ryczą jak burza, huczą jak grzmoty, migocą jak błyskawice. Z pogardą własnego życia prorok ten (Hozeasz II) obnażał niemiłosiernie grzechy, przewrotność, zgniliznę możnych i ludu. Widać z mów jego, że nie mógł spokojnie ważyć wyrazów i kojarzyć ich w całość harmonijną, czyniącą zadość wymogom poezji. Stojąc wobec długiego pasma wad i występków, był w kłopocie, od czegoby zacząć i na czemby skończyć. To też w swych mowach przeskakuje z przedmiotu na przedmiot. Gorzki żal z powodu upadku miesza się z cierpkiem szyderstwem, groźby przeplatają się złorzeczeniem, przekleństwa tkliwością i rozrzewnieniem. Gwałtowny

ten prorok wytyka też Izraelowi ideał, według którego żyć ma i działać, czyni to atoli jedynie w tym celu, aby jaskrawiej jeszcze uwydatnić zwyrodnienie ówczesnego społeczeństwa. Krasomówstwu jego nie zbywa wprawdzie na zwrotach i porównaniach poetycznych, lecz brak mu umiarkowania i spokoju. Mógłże na widok tylu zbrodni, tak grzesznego zaślepienia, tak zuchwałej swawoli zachować dość krwi zimnej, by zastanawiać się nad kunsztownym doborem i szykiem słów swoich, nad prawidłową kolejnością swych myśli? Widząc naród nad brzegiem zawrotnej przepaści, miałże szukać środków krasomówczych, aby go powstrzymać od upadku? Wybucha tedy groźną pobudką, jaką go natchnął duch wieszczy. Siebie samego, dolę swoją i swych towarzyszów maluje w tych słowach:

„Obłąkanym jest prorok,
„Szalonym mąż wieszczego ducha,
„Dla nawału twych grzechów,
„Dla ogromu twych knowań.
„Efraim czyha na lud boży,
„Zastawia na proroka sidła na wszystkich jego drogach,
„Ściga go nienawistnie, nawet w domu jego Boga.“

Ostatni ten prorok z państwa dziesięciu pokoleń nie kołysał się bynajmniej próżną nadzieją, że mowami swemi zdoła naprowadzić naród, a zwłaszcza możnowładców na drogę prawdziwą. Z rzewnym smutkiem wygłosił przekonanie, że tę skażoną społeczność poprawić tylko może straszliwy dzień sądu, niedola i wygnanie; lecz milczeć nie wolno mu było, płynęły więc wartkim potokiem słowa przestrogi i nagany. Wszystkim stanom mówił prorok prawdę bez wszelkiej ogródki, a jeszcze mniej szczędził kapłanów. Pioruny swe miota przeważnie na państwo izraelskie. O Jehudzie mowi jeno jako o uwiedzionym, gdyż książęta jego naśladowali Izraela. Bezmyślne ofiarnictwo, które nie wykluczało bynajmniej niegodziwości, zwalczał Hozeasz z gryzącą ironją:

„Bo miłości pożądam, nie ofiar,
„Lepsze poznanie Boga, niż całopalenie.“

Z szyderstwem przypomina narodowi, jak to za czasów Samuela domagał się wprowadzenia władzy królewskiej, którą zachwalał jako specyfik na swe dolegliwości.

„Gdzież więc jest król twój, gdyś mówił:
„Daj mi króla i książąt?
„Dałem ci króla w rozjątrzeniu
„I zabieram ci go w mym gniewie.“

Tymczasem spełniło się przeznaczenie państwa samarytańskiego. Każdy krok, który możni ku zbawieniu robili, do zguby tylko prowadził. Byłoż to poczucie rozstroju i niemocy, albo też kaprys bezmyślny, że uznali wreszcie za króla Hozeasza, syna Eli, zabójcę króla Pekacha? Ostatni ten król Samarji (ok. 727—719) był lepszym od swoich poprzedników, a raczej nie tak niegodziwym, jak tamci, odznaczał się nadto walecznością. Lecz i on nie potrafił zażegnać upadku. Zdaje się, że pokryjomu zawiązał stosunek z Egiptem, który zawsze mamił czczemi obietnicami. Podówczas właśnie wyruszył wojowniczy król assyryjski, Salmanassar, na Elulai, króla fenickiego, i zmusił go do uległości. Król tyryjski nie zdołał stawić mu czoła. Przy tej sposobności Salmanassar zwrócił się też przeciw Samarji. Hozeasz, nie czekając długo, wyszedł na spotkanie potężnego władcy, ukorzył się przed nim i przyrzekł mu dary hołdownicze. Zaledwie jednak król assyryjski odstąpił, wnet wszczęły się przeciw niemu knowania tajemne. Z jednej strony Elulai przemyśliwał nad odzyskaniem niezależności i krzątał się koło jednania sobie sojuszników, z drugiej zaś [illegible]wichos (Sso), król Egiptu, wtóry władca z dynastji etjopskiej, kusił do oderwania się od Assyrji, gdyż coraz więcej rosnąca potęga tego państwa napawała go

obawą. Hozeasz zawierzył zwodniczemu głosowi i wyprawił posłów do Sewichosa, by zawrzeć z nim przymierze, a zarazem wyjednać sobie u niego posiłki, lub przynajmniej konie bojowe. W tym samym czasie wypowiedział też Tyr posłuszeństwo Salmanassarowi i zbroił się do wojny. Było to ogólne powstanie ludów ościennych przeciw butnej gnębicielce narodów, Assyrji. I Filistynowie również przybrali wrogą względem tego państwa postawę. Po śmierci Ahaza związkowi wyprawili poselstwo do Jerozolimy, aby następcę jego, Hiskjasza, skłonić do otwartego zerwania z Assyrją i pozyskać go dla celów przymierza.

Hozeasz przestał posyłać dary hołdownicze; był to pierwszy krok, jakim zamanifestował swą niepodległość. Wówczas Salmanassar zgromadził liczne zastępy i przez Eufrat i Liban wpadł do Fenicji. Z tem wtargnięciem wojsk assyryjskich rozwiały się marzenia ludów o swobodzie. Miasta fenickie Sydon, Akko, a nawet stolica, Tyr stary, poddały się zapewne bez walki. Z Akko Salmanassar pomknął ku granicom państwa samarytańskiego przez równinę Jezreel. I miasta izraelskie otworzyły swe bramy potężnemu władcy, lub też mieszkańcy uciekli do stolicy. Hozeasz nie upadł na duchu, lecz czynił przygotowania do obrony, lubo, jak się zdaje, nie dopisała oczekiwana, czy też przyrzeczona pomoc Egiptu. Stolica kraju, Samarja, położona na wzgórzu w kształcie ostrokręgu, mogła, gdy ją postawiono na stopie obronnej, trzymać się dość długo; przez ten czas, tak zapewne roili Hozeasz i ludność Samarji, mógł zajść nieprzewidziany wypadek, któryby Salmanassara zniewolił do odstąpienia. Obwarowano tedy i uodporniono mury, baszty i blanki Samarji, zaopatrzono ją obficie w żywność i zapasy wody i wogóle zarządzono wszelkie środki niezbędne ku obronie osaczonego miasta. Atoli Assyryjczycy sztukę oblegania i dobywania grodów warownych doprowa-

dzili już do mistrzowstwa. Usypali wały, dzięki którym napastnicy i maszyny oblężnicze znaleźli się na równej wysokości z murem, zbudowali wieże ruchome i łamali taranami mury. Nacierano i broniono się widocznie z wielką zaciekłością i wytrwaniem, gdyż oblężenie Samarji ciągnęło się blizko trzy lata (od lata roku 721 do lata r. 719). Ale wszelkie wysiłki, odwaga i wytrwałość oblężonych na nic się nie zdały. Stolica państwa samarytańskiego po dwustu latach swego istnienia szturmem zdobytą została. Ostatni król izraelski, Hozeasz, dostał się do niewoli, lecz zwycięzca obszedł się z nim dość jeszcze łaskawie. Pozbawił go dostojeństwa królewskiego i do końca życia trzymał w więzieniu, zapewne w Niniwie. Ile tysięcy zginęło w tej ostatniej walce państwa izraelskiego, a ile zagnano w niewolę, tego żaden rylec nie zapisał.

Tylko jakiś prorok nieznany z imienia poświęcił Efraimowi rzewne słowa pożegnania i zwiastował, że uleczony z swych grzechów i zatwardziałości powróci i zespoli się z państwem judzkiem w bratnim uścisku. Wprowadza Rahelę, matkę rodu Józefa i Efraima, gorzkie łzy roniącą nad dolą nieszczęsnych swych dzieci, lecz pocieszającą je oraz w imieniu Boga: „Powściągnij głos twój od płaczu, a oczy twoje od łez, gdyż jest nadzieja dla twoich dzieci, powrócą z kraju wroga.“ *)

Na razie atoli ziściła się dosłownie tak często powtarzana zapowiedź proroków o straszliwym sądzie nad państwem Izraela. Posągi bożków z Dan, Samarji i innych miast izraelskich powędrowały do Niniwy, a braćców pędzono i rozpraszano tysiącami. Osadzano ich grupami w rzadko zaludnionych dzielnicach, których położenia niepodobna dokładnie oznaczyć, w Chalach, Cha-

*) Ustęp u Jerem. 31, 1 — 25 nie pochodzi od tego proroka, lecz od bezimiennego, który prorokował na krótko przed upadkiem Samarji.

bor, nad rzeką Gozan i w miastach górzystej Medji, zapewne też w Elymais na zachodzie Persji. Półtrzecia wieku (260 lat) przetrwało państwo dziesięciu pokoleń, czyli dom Izraela, panowało mu dwudziestu królów, aż jednego dnia zginęło bez śladu, albowiem przez pychę Efraima sprzeniewierzyło się własnemu gniazdu i nic wiedzieć nie chciało o jego umoralniającej, zbawczej i krzepiącej nauce, wskutek czego wpadło w objęcia bałwochwalstwa i idących z niem w parze występków, które niszczą ciało i ducha. Kraj wyrzucił z siebie dziesięć pokoleń, jak wyrzucił plemiona kanaańskie. Gdzież się podziały? Szukano ich na dalekim wschodzie i na dalekim zachodzie i wrzekomo znajdowano. Oszuści i marzyciele utrzymywali, że ród swój od nich wywodzą. Nie ulega wszakże wątpliwości, że dziesięć pokoleń zatonęło wśród narodów i przepadły bez wieści. Niewielu tylko, rolnicy, winogrodnicy i pasterze, pozostali zapewne w kraju, inni zaś z rodów szlacheckich, mianowicie mieszkający na pograniczu Jehudy, schronili się prawdopodobnie do tego państwa.

Tak więc zgniły członek, co cały organizm narodu zarażał i obezwładniał, odcięty został i unieszkodliwiony. Pokolenie Efraim, które podczas zajmowania kraju przez swe samolubstwo wywołało rozbicie jedności narodowej, później zaś, przez swą żądzę panowania i pychę, rozdwojenie i osłabienie wyniesionego do rzędu potężnych mocarstw państwa, pokolenie Efraïm zawodziło na wygnaniu: „Skarcony zostałem jak byczek swawolny, sromam się i rumienię, gdyż dźwigam hańbę swej młodości.“ Po usunięciu tego członka naród doznał ulgi pozornej i zdawał się przychodzić do zdrowia. Pokolenie Jehuda i Benjamin z obu przydatkami, Szymonem i Lewi, które od upadku państwa dziesięciu pokoleń tworzyły naród izraelski, czyli „szczątek Izraela,“ na nowo wzrosły w potęgę i umaiły się kwieciem wspaniałem. Upadek Samarji wywołał wrażenie ogłuszające, lecz też jednocześnie po-

służył za zbawienną przestrogę i naukę ku chwilowemu przynajmniej zaniechaniu niedorzecznych i przewrotnych postępków, które i tutaj były źródłem zwyrodnienia, niemocy i zaniku. Naród i możni, w pierwszych przynajmniej czasach, nie byli już tak głusi na napomnienia proroków. Spełniła się wymierzona przeciw grzesznej Samarji przepowiednia Jezajasza, że „wspaniały wieniec na szczycie doliny oliwnej opilców Efraima będzie jako wczesna figa, którą rychło pochłoną,“ i prorok odtąd skwapliwszy posłuch znajdował.

Drwiny szyderców, którzy chełpliwie mówili: „Zawarliśmy ze śmiercią przymierze, a z grobem zrobiliśmy umowę, powódź zniszczenia nie ogarnie nas, gdyż obłudę uczyniliśmy naszą ostoją i zasłoniliśmy się kłamstwem,“ drwiny te i ta pewność siebie ustały w Jerozolimie, gdy w stolicy odbiły się echem ponurem jęki konających wojowników i brańców skuwanych w kajdany. Czyż wiele brakowało, by Jerozolima podzieliła losy Samarji? Kaprysu tylko zdobywcy assyryjskiego. Wraz z obawą pojawiła się też w Jerozolimie pokora i powolna gotowość do dawania ucha tym, co wskazywali drogę prawdziwą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Szczątek Izraela.

(719—608).

Szczęściem zasiadł na tronie król, jakiego od czasów Dawida nie miał dom Jehudy. Hiskjasz (724—696), syn Ahaza, stanowił zupełną antytezę swego ojca. Jego łagodna, tchnieniem poezji owiana dusza tęskniła tylko do ideału, a ideałem tym była dlań wiara ojczysta, Zakon i tradycja odwieczna. Z tym samym zapałem, z jakim ojciec jego hołdował obczyźnie i zwalczał prastare urządzenia rodzime, zabiegał Hiskjasz oko-

ło przywrócenia starojudzkich obyczajów i oczyszczenia z obcych naleciałości pojęć i instytucyj religijnych. Torę, Zakon, obrał za gwiazdę przewodnią, by według niej kierować życie swoje i swego narodu. Jeśli kiedykolwiek król jaki świecił przykładem swemu ludowi, to królem takim był Hiskjasz. Zdobiły go nietylko sprawiedliwość, szlachetność i wspaniałomyślność, ale i owe cnoty, co zazwyczaj odrazę czują do korony i schodzą jej z drogi: łagodność, skromność i pokora. Posiadał ową z głębi serca płynącą pobożność i szczerą bogobojność, które również rzadko się spotykają, jak skończony artyzm lub genjusz strategiczny, Czy zawczasu już poznali prorocy w młodym księciu tę szlachetność serca i duszy? Czy też okiem wieszczem ujrzeli na tronie Dawidowym króla, co miał zostać jego ozdobą? A może też byli mu nauczycielami i przewodnikami w dzieciństwie i wychowali go na króla idealnego? To pewna, że gdy Hiskjasz był jeszcze bardzo młodym, dwaj prorocy zwiastowali jego wielkie i otuchą napawające czyny.

Za złych rządów Ahaza, kiedy to niemoc i głupota luzowały się na przemian, prorocy i owo grono ludzi łagodnego serca, co stanowili jądro narodu, pokładali wielkie nadzieje w młodym królewiczu i oczekiwali po nim przywrócenia świetnych rządów Dawidowych, złotego okresu. Hiskjasz, który z bólem patrzeć musiał na przewrotne postępowanie swego ojca, wstręt swój do tych zdrożności zaraz po jego śmierci objawił. Nie pochował zwłok rodzica w grobach dziedzicznych królów z domu Dawida, lecz w umyślnie zbudowanem podziemiu. Nie złożył ich podobno, według zwyczaju, na wieczny odpoczynek w wspaniałym sarkofagu, lecz na łożu z powrozów.

„Ubodzy“ i „łagodni,“ którzy dla świętości swych uczuć, dla prawości swych przekonań, przywiedzeni byli za Ahaza do krańcowego poniżenia, z niecierpliwością wyglądali chwili, w której, zgodnie z przepowiednią, król

młodzieńczy miał ich wyrwać z niedoli. Jeden z pośród nich dał w pięknym hymnie wyraz tym pragnieniom.

Panowanie Hiskjasza, bogate w cnoty, bogate w doniosłe zdarzenia, bogate wreszcie w twory poetyckie, byłoby okresem złotym, gdyby jego chęciom i dążeniom nie położono tamy, której przełamać nie mógł. Korona w Jehudzie oddawna przestała być wszechmocną, książęta judzcy ograniczyli wszechwładzę królewską. Gdy występowali jednomyślnie, król wobec ich oporu był bezsilny. Zajmowali krzesła sędziowskie, a z tym urzędem połączona też była władza administracyjna, wykonywana przez przydanych im pisarzy, lub siepaczów (szoter). Człowiek prywatny, mieszkaniec miasta prowincjonalnego, rolnik lub pasterz, znał tylko bezpośrednio przełożonego nad sobą księcia lub sędziego i korzył się przed nim. Skargi uciśnionych rzadko dochodziły do uszu królewskich. Niewielki ztąd pożytek płynął dla narodu, że Hiskjasz był sprawiedliwym, szlachetnym, bogobojnym, przyjacielem biednych i ciemiężonych, zbywało mu na organach do przeprowadzenia dobrych chęci i zacnych zamiarów. Nawet w stolicy władzę jego uszczuplono. Obok niego rządził nadzorca pałacowy, czyli namiestnik, któremu podlegało wojsko i urzędnicy dworscy, a który króla, niby jeńca, więził w komnatach pałacu. Pogląd, że byłoby to ujmą dla majestatu, gdyby król wtrącał się do spraw drobnostkowych, narzucił mu bierną rolę. O tem, co się działo poza progiem jego pałacu, dochodziły go wieści skąpe lub bałamutne, a rozporządzenia jego albo zgoła nie były wykonywane, albo wykonywane opacznie. Za czasów Hiskjasza nadzorcą pałacowym był Szebna, który tak się zachowywał, jakgdyby w rękach jego spoczywała cała władza państwowa. Potrafił zagarnąć wszystkie środki rządzenia i wolę swą narzucić krajowi jako prawo jedyne.

W pierwszych czasach po wstąpieniu na tron Hiskjasza dworzanie, urzędnicy i sędziowie pozostawili mu po-

zory samodzielności, jak każdemu młodemu królowi, którego charakter i dążenia nie ujawniły się jeszcze. Mógł też przez ten czas Hiskjasz powziąć niejeden dobry zamiar i wykonać go w części, wprowadzać reformy, usuwać bałwochwalstwo, nakazywać jedność kultu, wydalać z pałacu zbyt zuchwałych i występnych dworzan, a na ich urzędach godnych osadzać. Rzecz prosta, że nie zapomniał też o Lewitach, którzy stanowili zasadniczą część śpiewaków i poetów, „łagodnych“ i „cierpiących,“ i nie szczędził starań, aby ich wydobyć z niedoli i nędzy. Wydał rozporządzenie, aby odtąd regularnie wydzielano i oddawano im dziesięcinę, która była jedynem źródłem ich utrzymania.

Nielada to jednak było zadanie, oczyścić kraj i mózgi z nagromadzonego brudu bałwochwalstwa i niemoralności! Świątynia stała pustkami, gdy tymczasem kraj roił się od bałwanów i ołtarzy. Hiskjasz otworzył znów świątynię w Jerozolimie, przywrócił ją do dawnego znaczenia i rozkazał zburzyć wszystkie posągi bożków, niemniej też usunąć węża miedzianego, symbol bóstwa uzdrawiającego. Lecz pragnąc raz na zawsze kres położyć zdrożnemu bałwochwalstwu, zakazał nadal na wyżynach i górach budować ołtarze i składać ofiary, nawet Jehowie; każdy, kto czuł potrzebę oddania czci Bogu, powinien był udać się do świątyni w Jerozolimie. Rozporządzenie to w wielu kołach uchodziło niewątpliwie za zbyt surowe, gdyż wolność kultu była odwiecznym obyczajem. Wiele miejsc cieszyło się sławą świętości. Dla pasterzy judzkich i symeonickich, mieszkających na dalekiem południu, nie było rzeczą dogodną opuszczać pastwiska rodzinne, by z ofiarami swemi pielgrzymować do Jerozolimy. Nie mógł jednakże Hiskjasz uwzględniać tej wolności lub samowoli, jeżeli istotnie zależało mu na odzwyczajeniu narodu od bezmyślnych obrządków. Gdy nadchodziły święta wiosenne, rozkazał, aby baranek wielkanocny, dotychczas przynoszony w ofierze na ołtarzach prywatnych, ofiarowany był wyłącznie w świątyni jerozolimskiej. Przeniósł jednak święto z pierwszego miesiąca na następny, niewątpliwie dlatego, że nie zaczęła się jeszcze wiosna, że pora roku była w niezgodzie z rachubą czasu według miesięcy księżycowych. Spostrzeżenie, iż krótkie lata księżycowe od czasu do czasu nie zgadzają się z porami roku słonecznego, naprowadziło na pomysł wtrącania co dwa lub trzy lata miesiąca księżycowego, t. j. utworzenia roku o trzynastu miesiącach księżycowych i wyrównania tą drogą rachuby według słońca i księżyca. Interkalacja ta wprowadzoną została prawdopodobnie przez Hiskjasza. W Babilonie i Niniwie, z któremi Judeę łączyły stosunki od czasu panowania Ahaza, te skombinowane formy roku księżycowego i lat przybyszowych oddawna były w użyciu.

Lecz niedługo pozostawili dworzanie królowi samodzielne rządy, by mógł w myśl starożytnej nauki dokonać dzieła reorganizacji, lub w ich oczach wprowadzać reformy. Nadzorca pałacowy, Szebna, jak się zdaje, nieznacznie wytrącił mu ster z ręki. Hiskjasz był poetą, naturą idealną, miękką i uległą, pozbawioną silnej woli. Ludzie takiego usposobienia łatwo pozwalają sobą powodować i nawet królowie poddają się zazwyczaj wpływom dzielnych charakterów. Wyprawa Salmanassara na Tyr i Samarję, która przypadła w pierwszych latach panowania Hiskjasza, wywołała troski i niepokoje w Jerozolimie i na dworze. Trzeba się było zdobyć na krok stanowczy i wybór uczynić: albo iść ręka w rękę z sprzymierzonymi, albo królowi assyryjskiemu dać zakład wierności lenniczej. Charakter Hiskjasza i jego usposobienie pozwalają wnioskować, że chwiał się w wyborze pomiędzy temi dwiema drogami. Bratnie pokolenie, które podczas trzy lata trwającego oblężenia Samarji we krwi się własnej pławiło, okropna teraz czekała dola, gdyby

nie dopisał mu oręż. Miałże je opuścić, czy podążyć z pomocą? Lecz z drugiej znów strony miałże ściągnąć na siebie gniew potężnego króla? Hiskjasz rad był może, że Szebna i jego ministrowie uwolnili go od konieczności powzięcia decyzji.

Wskutek tej niezgody w najwyższych sferach kraju okres rządów Hiskjaszowych pełen jest sprzeczności. Wzniosłość i nikczemność, rozkwit moralny i skażenie obyczajów, idealna ufność w Boga i zaloty o cudzą pomoc, król wzorem sprawiedliwości, a stolica jego jaskinią zbójców. Nie udało się nawet Hiskjaszowi wytępić bałwochwalstwa. Magnaci zachowali jeszcze swoje srebrne i złote bałwany i bili pokłony przed dziełami rąk ludzkich. W ogrodach ich stały jeszcze posągi Astarty pod cienistymi terebintami, które umyślnie w tym celu zasadzili.

Rozdźwięk ten, którego źródłem były bezsilność króla i potężna samowola nadzorcy pałacowego i książąt, szkodliwy wpływ wywarł na sprawy zewnętrzne. Stan polityczny wszystkich ludów, osiadłych w pośrodku Assyrji i Egiptu, budził politowanie; niebezpieczeństwa groziły im to z tej, to z owej strony, zarówno ze strony sprzymierzeńców, jak przeciwników.

Judea pozostała w stosunku lenniczym do Assyrji, wówczas nawet, gdy państwo dziesięciu pokoleń goniło ostatkiem sił w zapasach z tym wrogiem. Niepodobna z oddali czasów orzec, azali nieczułość Jehudy na okrutny los bratnich pokoleń była błędem, zbrodnią, czy też objawem rozsądku. Jakkolwiekbądź, Hiskjasz nie był temu winien. Głos jego mało ważył na radzie, kiedy stanowiono o wojnie lub pokoju. Rzecz to do najwyższego stopnia godna uwagi, że judzcy mężowie stanu po upadku Samarji raptem jęli się polityki, która poprzednio byłaby roztropniejszą, a w każdym razie szlachetniejszą. Mniejsza o powody, jakie skłoniły doradców

króla Hiskjasza, co się za bardzo mądrych uważali, do przybrania w końcu wrogiej względem Assyrji postawy, dalsze wypadki dowiodły, że polityka ta była dziełem niepojętego zaślepienia. Chwycili się tej samej zupełnie drogi, jaką dziesięć lat temu obrała Samarja. Zabiegali o pomoc Egiptu, aby otrzymać odeń do walki z Assyrją jeśli nie liczne wojsko, to przynajmniej znaczną ilość koni bojowych. Rzecz prosta, że nad planem oderwania się od mocarstwa assyryjskiego pracowano w najściślejszej tajemnicy, ale przed wieszczem okiem Jezajasza nic się utaić nie mogło. Ze zbliżeniem się niebezpieczeństwa wielki ten prorok rozwinął niezmordowaną działalność, aby wskazać drogę prawdziwą i otworzyć wrota szczęśliwszej przyszłości, którą w duszy swej widział. Teraz spostrzegł, że państwo judzkie, wskutek zaślepienia przemądrych doradców, znalazło się na tej samej równi pochyłej, z której stoczyła się w przepaść Samarja. Chciał przeciw temu podnieść swój głos potężny, lecz nie wolno mu było. Naczelnicy rządu zamknęli prorokowi usta; stłumili wolność słowa w obawie, aby król i naród nie zwrócili uwagi na przewrotność doradców i na niebezpieczeństwa, które oni swem postępowaniem ściągnąć na kraj mogli. Jasno przejrzał przenikliwym wzrokiem Jezajasz, że nadzieja, pokładana w pomocy Egiptu, okaże się zawodną i że drobniuchną Judeę zgnieść musi potęga assyryjska; lecz nakazano mu milczenie. Uciekł się przeto do innego środka. Assyryjczycy podjęli wtedy wyprawę przeciw Filistynom, którzy również chcieli się otrząsnąć z ich jarzma. Już cały kraj był w ich mocy, tylko miasto nadmorskie Aszdod (Azotus) broniło się jeszcze. W Jerozolimie losy oblężenia śledzono z gorączkową uwagą. Wówczas Jezajasz zrzucił włosiennicę, zzuł obuwie i krążył boso i bez szaty zwierzchniej po ulicach Jerozolimy. Przebranie to miało być znakiem, że Aszdod padnie, a mieszkańcy Egiptu nago i boso za-

wleczeni będą w niewolę. Gdy wreszcie upadł po trzech latach oblężenia, Jezajasz przerwał milczenie. Wyjaśnił swe postępowanie w tym czasie.

Upadek Aszdodu i ujarzmienie Filistynów nie otrzeźwiły jednak judzkich polityków, jakby należało się spodziewać; owszem po dawnemu z ogniem igrali. Niewątpliwie podburzał ich do tego trzeci król dynastji etjopsko-egipskiej, Tirhaka (Taharka). Znowu wysłańcy judzcy udali się tajemnie na dwór egipski i, uzyskawszy posłuchanie u króla, uroczyście zawarli z nim przymierze, którego podstawą był, jak się zdaje, warunek, że na wypadek wojny jazda egipska podąży na pomoc Jehudzie. Sznur wielbłądów i mułów wiózł bogate skarby z Jerozolimy do Egiptu, gdyż to państwo samolubne, aczkolwiek potrzebowało przymierza, pomocy swej darmo użyczyć nie chciało.

Wtedy Jezajasz użył całej potęgi swojej wymowy, aby, jeśli można, udaremnić te nierozsądne zamiary. Najświetniejsze mowy jego pochodzą z tego czasu krańcowego naprężenia. Aby zapamiętalców odwieść od zgubnych zamysłów, nie zaniedbał żadnego środka krasomówstwa proroczego, malował obrazy nadciągającej klęski, szydził z zaślepienia, łagodnie upominał i uchylał rąbka przyszłości pogodnej. Najpiękniejsze zwroty, najtrafniejsze porównania płynęły z ust jego, wspaniałe w swej prostocie natchnienia chwili, potężne i porywające. Jezajasz radził, aby Judea w gorącej walce, jaka między Assyrją a Egiptem wywiązać się miała, zachowała neutralność, nic nie przedsiębrała, czekała spokojnie. Ostrze jego wymowy skierowane było przeciw zaślepionym dworzanom i książętom Jehudy.

Dwa pewniki nasuwały się proroczemu oku Jezajasza: że Judea przez oderwanie się od Assyrji dozna niewysłowionych cierpień, że jednak nie ulegnie zagładzie, lecz oczyszczona i podniesiona na duchu wyjdzie z tej

ciężkiej próby, że wprawdzie wojsko assyryjskie da się krajowi srodze we znaki, lecz zginie i to zginie nie z ręki ludzkiej. Przeświadczenie to wypowiedział Jezajasz z wszelką stanowczością jeszcze przed ukazaniem się wojska assyryjskiego.

Tymczasem bez względu na mowy i rady Jezajasza sprawy szły swoim trybem. Król Hiskjasz—w jego to bowiem imieniu działano i przemawiano—wypowiedział posłuszeństwo Assyrji, t. j. przestał posyłać dary hołdownicze do Niniwy. Nastąpiło to, co nieuchronnie nastąpić musiało. Król Sanheryb (Sanaheryb) zebrał liczne wojsko, aby nietylko Jehudzie, lecz i Egiptowi zadać cios śmiertelny. Dzięki dokonanemu poprzednio podbojowi krajów sąsiednich, Aramu, Fenicji, Samarji i Filistei, usunięte zostały zawady na drodze do Egiptu, przez co najazd na to państwo był ułatwiony.

Sanheryb wyruszył na wojnę z wielu monarchami i mógł się słusznie chełpić, że wszyscy jego wodzowie są królami. W Judei czyniono przygotowania do obrony. Na bitwę w otwartem polu nie ważyli się wodzowie judzcy, na to byli zbyt słabi, zamierzali przeto za pomocą twierdz górskich, postawionych na stopie obrony, powstrzymać wojsko assyryjskie, dopóki nie nadejdą posiłki z Egiptu. Z wielkim zwłaszcza zapałem pracowano nad wzmocnieniem Jerozolimy. Zamurowano staw górny, zasilany przez źródło Gihon i napełniony wodą, którą za pomocą podziemnego kanału skierowano do miasta; wodociąg ze źródła Etam, na południe od Jerozolimy, urządzony przez Salomona, zasypano również, aby nieprzyjacielowi odciąć wodę zdatną do picia i udaremnić dłuższe oblężenie. Zbrojownię, „dom lasu Libanu,“ zaopatrzono w narzędzia wojenne.

Duszą wszystkich tych robót koło obwarowania Jerozolimy był Szebna, nadzorca pałacowy i wielkorządca. On, książęta judzcy i ich poplecznicy byli dobrej myśli

i nie lękali się zbliżania Assyryjczyków. W Jerozolimie panowała rozhukana swawola, wieczory spędzano na ucztach wesołych; biesiadnicy jedli i pili, pełni animuszu. Jakgdyby z niecierpliwością oczekiwano przybycia nieprzyjaciela, wstępowano na dachy wysokich domów i wypatrywano, czy nie nadciąga. Szebna, jako mąż przezorny, przygotował się na najgorszą ewentualność, na tę mianowicie, że w wojnie tej może życie postradać. Nie chciał, by w tym razie ciało jego, jak zwłoki innych ludzi, byle gdzie pochowano, pragnął spocząć w sklepieniu królewskiem; równym być się mniemał królowi. W tym celu kazał wykuć sobie w skale ozdobny grobowiec. Miałże Jezajasz takiego zaślepienia i takiej pychy nie zgromić? W mowie, której każdy wyraz jest maczugą, wyrzucał narodowi, a raczej możnym, lekkomyślną ufność w swe siły, poczem zwróciwszy się szczególnie do nadzorcy pałacowego, Szebny, którego uważał za sprawcę niedoli, napadł nań z miażdżącą ironją:

„Co ty tu masz, albo kogo tu masz, żeś wykuł tu sobie grób? Ty, co wykuwasz na wysokości grób swój, co ciosasz w skale przybytek sobie.

„Oto Wiekuisty rzuci cię rzutem, człowieku, i pochwyci, pochwyci cię.

„Zwinie, zwinie cię w kłębek i jako piłkę rzuci na ziemię przestronną; tam umrzesz, tam i rydwany sławy twojej—ty, hańbo domu pana twojego.

„I strącę cię ze stanowiska twego i z urzędu twego złożę cię.“

Mowa ta sprawiła też, że król zdobył się na odwagę złożenia z urzędu wyniosłego wielkorządcy.

Atoli niepodobna już było cofnąć wstecz tego, co się stało. Król assyryjski, Sanheryb, rozjątrzony wypowiedzeniem posłuszeństwa, wyruszył już był przeciw Jehudzie, by ją w pustynię zamienić. Wszystkie grody warowne po swojej drodze szturmem zdobywał i burzył.

Z jękiem rozpaczy uciekali mieszkańcy do stolicy, albowiem Assyryjczykowie nie przepuszczali ani płci, ani wiekowi. Gościńce wyludniły się, żaden wędrowiec nie przebiegał kraju, wróg nikogo nie szczędził. Już Sanheryb wyciągnął groźnie swą rękę przeciw Jerozolimie. Najmężniejsi stracili otuchę, gdy nieprzyjaciel coraz bliżej posuwał się ku stolicy, junactwo obróciło się w zwątpienie. O oporze ani myślano. Ale gdy wszyscy biadali, prorok Jezajasz, sam nieulękły, krzepił upadłych na duchu. Na jednym z obszernych placów Jerozolimy znów wypowiedział jedną z owych mów natchnionych i wspaniałych, które z jego tylko ust płynąć mogły. Zwiastował zagładę wojska assyryjskiego i odsłonił obraz świetnej przyszłości. Wygnańcy wszystkich krajów powrócą, Izrael połączy się z Jehudą, znikną zpośród nich zawiść i nieprzyjaźń, powtórzą się cuda, jak przy wyjściu z Egiptu. Naród zaintonuje pieśń natchnioną:

„Raduj się i wesel, obywatelko Cyonu,
Bo wielkim wpośród ciebie Święty Izraela!“

Podziwu godna siła ducha, nieprzebrana ufność w Boga, w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości i w pokój wieczny, wśród scen okropnych, zniszczenia, rozpaczy, — w cmentarnej teraźniejszości obrazy szczęśliwej przyszłości! Kraj był spustoszony, miasta w zgliszczach, ziemia żywiła zdobywców, co ją deptali, upadek stolicy zdawał się być nieuniknionym. Sanheryb nie zatrzymał przed Jerozolimą swych hufców, które przedewszystkiem rzucić się miały na Egipt, lecz kazał im posuwać się przez nizinę filistyńską, ku południowi. Po co miał podejmować oblężenie Jerozolimy, której broniła potężnie natura i sztuka. Skoro cały kraj judzki wpadnie mu w ręce, stolica sama poddać się musi. A wówczas Jerozolimę spotka ten sam los, co Samarję, trzy lub cztery pokolenia zawleczone zostaną w niewolę, i rozproszone po świecie, zatoną wśród różnojęzycznych na-

rodów. I w tem beznadziejnem położeniu Jezajasz obstawał przy swej zapowiedzi, że Jehuda nie zginie. Wprawdzie wskutek podboju Sanheryba licznych cierpień doświadczy, lecz cierpienia te zbawienny wpływ wywrą, bo przyczynią się do poprawy, jeśli nie całego, to przynajmniej części narodu. „Szczątek się nawróci, szczątek Jakóba do Boga potężnego. Bo choćby był lud twój, Izraelu, jako piasek morza, tylko szczątek się nawróci zpośród niego. Zagłada postanowiona rozlewa sprawiedliwość.“

Jakże odbiegała rzeczywista teraźniejszość od górnych proroctw Jezajasza o wspaniałej, cnotliwej przyszłości! Król Hiskjasz, widząc, że wskutek podboju i spustoszenia kraju Jerozolima jest zagrożoną, upadł na duchu i wyprawił posłów do Sanheryba, aby okazać swą skruchę z powodu odstępstwa i swoją uległość. Król assyryjski zażądał zrazu znacznej sumy trzystu kikarów srebra i trzydziestu złota. Z ciężkiem sercem zebrał Hiskjasz tę sumę; w tym celu musiał odbić złote ozdoby świątyni. Gdy Sanheryb otrzymał okup, żądał jeszcze więcej, bezwarunkowego zdania się na łaskę lub niełaskę. By temu wymaganiu dać wyraz dosadniejszy, wysłał pod Jerozolimę hufiec, a na jego czele trzech dostojników, Tartana, zdobywcę Aszdodu, przełożonego nad rzezańcami i biegłego w językach, imieniem Rabszake. Wojsko assyryjskie stanęło obozem na północowschodzie Jerozolimy, w pobliżu stawu górnego, i czyniło przygotowania do oblężenia. Zanim wszakże przystąpiło do niego, dygnitarze assyryjscy wezwali króla Hiskjasza, aby przybył do nich na rokowanie. Król, zamiast udać się osobiście, wysłał trzech najwyższych dostojników, a w ich liczbie nowego rządcę pałacowego, Eljakima. Rabszake w imieniu Sanheryba przemawiał do nich z taką wyniosłością, jakgdyby zdobycie Jerozolimy nie wymagało ze strony wojsk assyryjskich większego zachodu, niż wy-

branie gniazda ptasiego. Na murze zewnętrznym znajdowali się wojownicy judzcy, którzy z trwogą w sercu czekali na rezultat rokowań. Chcąc im odjąć odwagę, Rabszake wygłosił swe zuchwałe, wyzywające słowa w języku hebrajskim lub judzkim, aby go zrozumieli słuchacze. „Powiedzcie Hiskjaszowi, na co się spuszczasz? Wojna wymaga czegoś więcej, niż wyrazów, wymaga dobrej rady i męstwa.“ Płonne są widoki na pomoc Egiptu: Egipt podobny jest do trzciny złamanej, która, gdy kto na niej oprzeć się pragnie, w dłoń mu się wbija i rani. Lecz gdyby nawet Egipt koni dostarczył, to wśród judzkich wojowników niemasz i dwóch tysięcy, coby potrafili walczyć na koniu. Na opiece boskiej Hiskjasz tem mniej polegać może, że wprowadził reformy i obalił stary porządek kultu. Gdy wysłańcy Hiskjasza prosili Rabszakego, aby raczej mówił po aramejsku, odparł, że umyślnie przemawia językiem zrozumiałym dla wojowników na murach, aby nie dali się uwieść zaślepieniu Hiskjasza. Chcąc tych zjednać sobie, zawołał do nich Rabszake głosem donośnym: „Nie pozwalajcie łudzić się królowi, że Bóg was ocali. Czyż zdołały ocalić bóstwa mieszkańców tych krajów, które podbili Assyryjczycy?“ Rabszake nawoływał wręcz wojowników judzkich, aby odstąpili swego króla, złożyli hołd Sanherybowi i przeszli na jego stronę, wówczas zawiedzie ich do kraju również jak Jehuda żyznego. Lud i wojownicy w milczeniu przyjęli te słowa, lecz gdy rozniosły się po stolicy, wywołały popłoch i zwątpienie wśród wszystkich warstw ludności. Hiskjasz nakazał post ogólny i pochód błagalny do świątyni, gdzie też sam się udał w szatach żałobnych.

Z okazji tej skorzystał Jezajasz, aby przemówić do sumienia zatwardziałych książąt Jehudy, którzy pomimo ucisku niegodziwych swych postępków nie zaniechali, a zarazem obnażyć próżność i nicość powierzchownej pobożności, przejawiającej się w ofiarach i postach. To ka-

zanie postne musiało wywrzeć wstrząsające wrażenie. Ocalenie i zbawienie mogą być jedynie wynikiem gruntownej poprawy obyczajów i czystości serca, a czyż zmian tych można było dokonać tak rychło? Rabszake nalegał o danie odpowiedzi, wojownicy i naród upadli na duchu. Cóżby się stało, gdyby dla ocalenia życia otworzyli bramy i wpuścili wroga? Wszystkie spojrzenia spoczęły przeto na proroku Jezajaszu. Król posłał do niego najznaczniejszych dostojników i przedniejszych kapłanów, aby się modlił za niegodny naród, za szczątek skupiony w Jerozolimie i słowem go swoim ukoił. Wówczas duch proroczy wstąpił w Jezajasza i prorok w krótkich słowach obwieścił swoje widzenie. Król niech pozbędzie się obawy przed urągliwym zwycięzcą, Sanheryb przerażony wiadomością, którą otrzyma, odstąpi od oblężenia i sromotnie powróci do domu. Wskutek tego proroctwa Hiskjasz udzielił Rabszakemu odpowiedzi zupełnie dlań niespodzianej: miasta nie podda, albowiem ufa niezachwianie, że Bóg je obroni od najliczniejszego nawet nieprzyjaciela.

Zanim jeszcze Rabszake powrócił do Sanheryba z otrzymaną odprawą, aliści rzeczy zgoła inny obrót wzięły. Tirhaka, król Egiptu, dla powstrzymania pochodu Assyryjczyków wyruszył naprzeciw nim na czele licznego wojska.

Na wieść o zbliżaniu się wojsk egipskich i etjopskich Sanheryb opuścił swe leże, ściągnął rozproszone w kilku punktach hufce i ruszył dalej na południe, na egipskie miasto Peluzjum. Gdy mu Rabszake przyniósł odpowiedź Hiskjasza, wielki król nie posiadał się chyba ze złości, że monarcha tak drobnego kraiku, któremu została tylko stolica, śmiał opór mu stawić. Natychmiast posłał gońców do Hiskjasza z listem tchnącym najwyższą pogardą dla państewka i Boga, w którym Hiskjasz nadzieję pokładał. Wymienił w nim miasta potężne,

które już zdobyli Assyryjczycy. Czyż bogowie ich zdołali je obronić? A ty ufasz twemu Bogu i wierzysz, że cię ocali? Odpowiedź na to pismo bluźniercze podyktował Jezajasz: Sanheryb nie wypuści jednej nawet strzały na Jerozolimę, lecz drogą, którą przyszedł, powróci do domu, gdyż Bóg dla siebie samego bronić będzie miasta.

Podczas gdy król i możnowładcy, co dawali wiarę proroctwu Jezajasza, z otuchą patrzali w przyszłość i w odwrocie obozujących pod Jerozolimą hufców widzieli początek ziszczenia się tych przepowiedni, zaszedł wypadek, który rzucił nowy popłoch na Jerozolimę. Hiskjasz zaniemógł na wrzód gangrenowy tak niebezpiecznie, że sam Jezajasz radził mu, aby poczynił ostatnie rozporządzenia, bo nie powstanie już z łoża boleści. Śmierć króla w tej dobie klęsk ustawicznych dałaby hasło do wybuchu niesnasek wśród książąt Jehudy i wznieciłaby pożogę wojny domowej. Naród całem sercem przylgnął do dobrotliwego, szlachetnego króla, który był duszą swoich poddanych, i groźba jego straty droższym go jeszcze uczyniła mieszkańcom Jerozolimy. Z twarzą do ściany zwróconą schorzały monarcha wzniósł modły żarliwe ku Temu, co sam tylko pomódz jest władny. Teraz oznajmił mu Jezajasz, że Bóg modlitwy jego wysłuchał i że ześle mu zdrowie, tak że trzeciego dnia będzie mógł udać się do świątyni, a na znak prawdziwości tego, co wieszczył, cofnąć miał się pono o dziesięć stopni zegar słoneczny, zbudowany przez Ahaza. Od przyłożenia miękkiej masy figowej zgoił się wrzód i król wzmógł się z choroby. Po powrocie do zdrowia Hiskjasz ułożył pełen głębokiego uczucia psalm dziękczynny, który zapewne odśpiewano w świątyni.

Z powodu wyzdrowienia króla panowała wielka radość w Jerozolimie; lecz uciechę tę mąciły niepokój i troska, dopóki nie dobiegła końca walka Sanheryba z Egiptem. Gdyby jemu zwycięstwo przypadło w udziale, po-

łożyłoby ono kres istnieniu Jehudy i tronu Dawidowego. Naraz gruchnęła radosna nowina w Jerozolimie, że Assyryjczycy i sam Sanheryb wracają z pośpiechem, zakrawającym na ucieczkę, do swojej ojczyzny (711). Co zaszło, w cóż się obróciły mnogie zastępy? Dokładnych wiadomości o tym wypadku nie powzięto i później, zbyt bowiem odległą była widownia wojny. W Jerozolimie opowiadano sobie, że pustosząca zaraza, anioł zniszczenia, zmiotła w ciągu jednej nocy całe wojsko assyryjskie, 185,000 wojownika. W Egipcie znów prawili kapłani, że pewnej nocy niezliczone mnóstwo myszy polnych pogryzło na sztuki w obozie assyryjskim kołczany, łuki, rzemienie i pasy żołnierzy tak, iż niezdatne się stały do użytku, wskutek czego Assyryjczycy i ich sprzymierzeńcy, pozbawieni broni, co rychlej ratowali się ucieczką.

Bez względu zresztą na okoliczności, jakie zgotować mogły zgubę licznemu wojsku Sanheryba, spółczesnym upadek jego cudem się zdawał, karą, zesłaną przez Boga za chełpliwą pychę i bluźnierstwo króla assyryjskiego. W Jerozolimie przygnębienie ustąpiło miejsca radości tem silniejszej, iż prorok kilkakroć, i to od samego początku najazdu, przepowiadał, że Assyryjczycy ani jednej strzały nie wypuszczą na stolicę i że Sanheryb, nic nie wskórawszy, powróci drogą, którą przybył, do swojej ojczyzny.

Tak więc Jerozolima pozbyła się strachu przed Assyryjczykami. Dosłownie spełniła się wyraźna zapowiedź Jezajasza, że jarzmo assyryjskie spadnie z karku Jehudy. Mieszkańcy prowincji, którzy w części zamknęli się w stolicy, w części zaś szukali przytułku u sąsiadów, lub kryli się po jaskiniach i rozpadlinach, wrócili do swego ogniska i zabrali się do uprawy ziemi, wolni od obaw.

Gdy ustała trwoga przed posępnym wzrokiem króla assyryjskiego, Judejczycy którym za ciasno już było w ziemi ojczystej, mogli szukać sobie innych siedlisk,

tam się sadowić i mnożyć. Wzmożona wskutek cudownego ocalenia ufność w własne siły wznieciła ducha wojowniczego. Acz nie jaśniejąc czynami wojennymi, zajęła jednak Judea za Hiskjasza, po pogromie Sanheryba, wpływowe stanowisko wśród państw, położonych między Eufratem a Egiptem, które zapewne w tym samym czasie otrząsnęły się z jarzma. Król dalekiej krainy zabiegał o sojusz z Hiskjaszem. Babilonja, która przed kilkudziesięciu laty wyzwoliła się z pod władzy Assyrji, znów, jak się zdaje, uległa wybujałej potędze assyryjskiej za Tiglat-Pilezera, Salmanassara, a wreszcie Sanheryba. Gdy do Babilonji doszła wieść o porażce Sanheryba, Merodach-Baladan, piąty król z kolei od Nabonassara, wyprawił posłów z listami i darami do Hiskjasza pod pozorem złożenia mu życzeń z okazji powrotu do zdrowia; istotną wszakże do tego kroku pobudką była niewątpliwie chęć zawarcia z nim przymierza przeciw wspólnemu wrogowi. Hołd ten, który odebrał z odległego kraju, wielką Hiskjasza napawał radością, podejmował też posłów babilońskich z należnymi honorami i pokazał im swe skarby, zwłaszcza zapasy wonności, a szczególniej balsam, który był rzadkością na całym świecie poszukiwaną.

Ta radość i te popisy Hiskjasza nie podobały się Jezajaszowi. Przepowiedział, że kraj, co obecnie pragnie zadzierzgnąć z Judeą węzły przyjaźni, żywić będzie dla niej wrogie uczucia. Król z pokorą przyjął naganę proroka.

Piętnaście lat rządził jeszcze Hiskjasz po upadku państwa assyryjskiego (710—696), a czas ten był złotym wiekiem dla rozwoju wewnętrznego „szczątków Izraela.“ Spokojnie mógł każdy odpoczywać pod swoim winogradem lub drzewem figowem. Jak za Dawida i Salomona napływali cudzoziemcy do szczęśliwej Judei i przyjaźnie przyjmowani łączyli się z narodem izraelskim. Zubożałych i znękanych, pogardzonych męczenników podźwignął Hiskjasz, aby mogli żyć dla swych

dążeń umysłowych. Teraz dopiero zdołał urzeczywistnić najgorętsze swoje życzenia, aby tylko wierni, bogobojni, nieskazitelni mieszkali w jego pałacu. Dzięki jawnej niebios pomocy wyzwolił się z opieki i zależności, w jakiej go dotąd trzymali rządca pałacowy i książęta Jehudy. Uczniowie Jezajasza, w których prorok tchnął swego ducha, stali się powiernikami króla. Nazywano ich „ludźmi Hiskjasza.“ Niegodziwi, występni, grzesznicy, w uciechach zmysłowych pogrążeni rozkosznisie nie znikli wprawdzie z kraju, lecz postradali swe stanowisko i władzę.

Druga połowa rządów Hiskjaszowych była też świetnym okresem poezji oraz piśmiennictwa nadobnego i pouczającego. Lewici nucili pieśni radosne o cudownem ocaleniu, gdy hufce pysznego Sanheryba zapadły w sen wieczny wraz z swymi końmi i rydwanami. Wiersze to piękne i dźwięczne, godne stać obok złotych mów Jezajasza. Wogóle psalmy z tej doby pełne są szczerej poezji tak co do treści, jak formy. „Ludzie Hiskjasza“ zbierali dawne przysłowia, do których sami dodawali nowe a potoczyste przypowieści. Obok tych rodzajów, jeśli nie stworzono, to przynajmniej udoskonalono podniosły styl prozaiczny w obrazach historycznych czasów minionych. Dzieje epoki sędziów z ich dzikiem bohaterstwem, przejście od niej do okresu królewskiego, szereg dobrych i niegodziwych królów do rozdziału państwa i do upadku Samarji zestawiła umiejętnie ręka mistrza w księgach sędziów, Samuela i królewskich, w które też wplotła cudowne opowieści o prorokach Eljaszu i Elizeuszu. Kreśląc bieg zdarzeń dziejowych, autor nie spuszcza nigdy z oka myśli zasadniczej, którą pragnie wszczepić w duszę czytelnika, że Izrael dopóty cieszył się pomyślnością, dopóki pozostał wierny swemu Bogu, że czasy niedoli zawsze były skutkiem odszczepieństwa od Niego i zwracania się do bałwochwalstwa. Autorem

rdzennej części tych trzech ksiąg historycznych był zapewne Lewita lub uczeń prorocki za czasów Hiskjasza.

Do końca życia mógł Hiskjasz panować spokojnie i bez przeszkód. Sanheryb poniósł klęskę tak stanowczą, iż nie był w stanie nowej przeciw Jehudzie przedsięwziąć wyprawy; król jednak i naród nie przestali żywić obaw, by Assyryjczycy nie zrobili ponownie pustoszącego na kraj najazdu. Z radością przeto przyjęto wieść, iż Sanheryb, który Boga Izraela i lud jego tak dumnemi i bluźnierczemi obraził słowy, zginął z ręki własnych synów w świątyni jednego z bóstw assyryjskich. Hiskjasz dożył prawdopodobnie świadczącego o karzącej prawicy Pańskiej zgonu potężnego władcy assyryjskiego, przed którym drżał i ukorzyć się musiał. Wynikłe niebawem w Niniwie zatargi między synami Sanheryba napawały otuchą, że żadne tam już nie wylęgną się zamysły zdobywcze. Hiskjasz był ostatnim królem, którego ciało pochowano w grobach królewskich. Lud, oddany mu całem sercem, wspaniałym uczcił go pogrzebem. Król ten, jak się zdaje, jednego tylko pozostawił syna, Manassego, który urodził się w parę lat po ukończeniu wojny.

Nie sądzono atoli ludowi judzkiemu cieszyć się pomyślnością, któraby bodaj kilka pokoleń ludzkich przetrwała, jakgdyby szybka zmiana szczęścia i niedoli miała być probierzem jego żywotności. Po okresie skupionej siły i jedności, znamionujących drugą połowę panowania Hiskjasza, nastąpiły rychło rozstrój i bezsilność, po rozkoszach pokoju dzikie burze niepokoju, po wspaniałym rozkwicie twórczości duchowej posucha wyczerpania. Wprawdzie za następcy Hiskjasza nie było żadnych klęsk natury politycznej; groziły one zdala tylko krajowi i niebezpieczeństwo przemijało prędko; lecz zato wewnątrz ohydne wytworzyły się stosunki, a ich rezultatem było rozprzężenie i długotrwała ztąd niemoc.

Cóż gorszego być może dla społeczności państwowej nad zazdrość i nienawiść, jakiemi pałają ku sobie jej członki, nad głęboką niechęć, jaką ku stolicy żywi ludność prowincji? Takie to stosunki powstały za syna Hiskjasza, który na nieszczęście dla kraju rządził nim przeszło pół wieku (695—641). Fatalnemu stanowi rzeczy winną była w części młodość Manassego. Pod dwunastoletniem pacholęciem, które zasiada na tronie, lecz w którego imieniu rządzą słudzy, brama dla ambicji, chciwości i żądz szkaradniejszych jeszcze na oścież jest rozwarta, chyba że rządzący stoją na wysokim stopniu moralności i dobra ojczyzny nie poświęcają dla własnych, samolubnych widoków. Nie wznieśli się wszakże tak wysoko książęta, otaczający tron Dawidowy. Przeciwnie, rozjątrzeni usunięciem od spraw państwowych, jakiemu ulegli za Hiskjasza, przemyśliwali tylko nad tem, jakby zająć znowu dawne swe stanowisko, wyprzeć z niego natrętów i, jeśli można, zemstę swą na nich wywrzeć. U steru państwa stanęli dworzanie i urzędnicy, którzy niezwłocznie jęli z gorliwością obalać wszystkie rozporządzenia Hiskjasza. Ustawy przez króla tego wprowadzone—niewiadomo dokładnie, czy były to stare, do nowego życia powołane, czy też świeżo ogłoszone ustawy,—płynęły bezpośrednio ze źródła staroizraelskiej nauki o jedności i bezpostaciowości Boga, o ohydzie wszelkiej swawoli bałwochwalczej i o jednocie kultu. Do zniesienia tych ustaw zabrali się z zaciekłym fanatyzmem ci, co bezpośrednio lub pośrednio najwyższą władzę dzierżyli. Powstało stronnictwo bałwochwalcze, które bądź z nałogu i naśladownictwa, bądź pod wpływem opacznych pojęć religijnych, bądź wreszcie z namiętnej nienawiści, odrzucało tradycję rodzimą, przekładając nad nią wszystko, co trąciło obczyzną.

Na czele tego stronnictwa stali książęta rodu królewskiego, młodsi synowie i kuzyni króla Ahaza, którzy

żywili odrazę do dzieła Hiskjasza, jako do nowatorstwa, lub też, upatrując w niem poniekąd objaw buntu synowskiego przeciw rozporządzeniom ojca, z tłumioną je dotąd złością znosili. Na pastwę zgubnego ich wpływu i kierownictwa oddany był młodziutki Manasse, z ich to zapewne grona pochodził nowy rządca pałacu. Wkrótce po wstąpieniu na tron Manassego, zabrali się możnowładcy, działający w imieniu króla, do wprowadzenia zamierzonej przez się gruntownej reformy. Obwieszczono przedewszystkiem, że ołtarze na wzgórzach, tak surowo przez Hiskjasza potępione, znów są dozwolone. Zarządzenie to pozyskało dla sprawy reformy większość narodu; uważając bowiem zakaz ów za ograniczenie wolności, wyrzekł się on niechętnie uświęconych przybytków kultu, zwłaszcza iż odbywanie z ofiarami ciągłych pielgrzymek do Jerozolimy połączone było z licznemi niedogodnościami. W Jerozolimie i samej świątyni krzewili naczelnicy rządu szkaradę wyuzdanego bałwochwalstwa. Nie dość, że zagnieździł się znowu kult starokanaański, narzucony wśród walk zaciętych państwu dziesięciu pokoleń przez Ahaba i Izebel, Jerozolimie zaś przez Atalję, i wśród walk również ztamtąd wyparty,—dano też znowu gościnę czci bogów assyryjsko-babilońskich, jakby na urągowisko Bogu Izraela, ku chwale którego dźwigniętą została świątynia. Wzniesiono napowrót w obu przedsieniach świątyni ołtarze Baala i Astarty, na dachach zaś mniejsze ku czci pięciu gwiazd błędnych. Wskrzeszono ryczałtem wszystkie urządzenia Ahaza, gwieździe dziennej ofiarowano wóz słoneczny i trzymano konie dla uroczystych pochodów, w pewne odbywanych święta. W przedsieniu świątyni postawiono posąg olbrzymi (sêmel), zapewne bogini assyryjskiej, Mylitty, niejako w zamiarze upokorzenia Boga Izraela. Zgubniejsze od oznak zewnętrznych tego zlepku rozwydrzonego bałwochwalstwa były następstwa moralne. Ku czci Astarty, czy też Mylit-

ty, utrzymywano wszeteczników i wszetecznice świątyniowe (kedeszot) i urządzono osobne cele dla rozpustnej swawoli. W pięknej dolinie Ben-Hinnom poczęto znów wznosić stosy ofiarne (tofet), na których palono dzieci. Niewiarogodne te niemal bezeceństwa, przewyższające o wiele zdrożności państwa dziesięciu pokoleń za Omrydów, bujnie się za Manassego rozpleniły; zagorzali rzecznicy bałwochwalstwa za cel postawili sobie doszczętne zatarcie pamięci o Bogu Izraela. Kapłani z rodu Arona wzdragali się zapewne z początku przyłożyć ręki do tego odszczepieństwa od Boga Izraela. Ściągnięto przeto do kraju, jak za czasów Izebel i Atalji, kapłanów pogańskich (khemarim) i przypuszczono ich nawet do pełnienia służby w samej świątyni. Z biegiem czasu, gdy Aronidzi wraz z utratą stanowiska pozbawieni zostali środków do życia, wielu zpośród nich, a zwłaszcza potomkowie Abiatara, którzy oddawna już w przykrem znajdowali się położeniu, przystali, acz, być może, nie bez zgryzoty sumienia, na sprawowanie obowiązków kapłańskich przy obrządkach kultu pogańskiego. Nie zbywało też i na fałszywych prorokach, orędujących za tą ohydą. Każda bowiem, choćby najgorsza sprawa, byle się poparciem możnych cieszyła, znajdzie zawsze usta wymowne, które ją nietylko ubarwić i usprawiedliwić potrafią, lecz i zalecać będą usilnie, jako jedynie prawdziwą, jedynie zbawienną. Długo przetrwały te smutne stosunki, a rezultatem ich mogło być zupełne zapomnienie całej przeszłości, zatarcie w narodzie charakteru krzewiciela błogosławieństw, które miały stać się wspólnem dobrem całego rodu ludzkiego. Czemże bowiem jest Jehuda i Izrael bez tego posłannictwa? Spadłby do poziomu drobnych ludów bałwochwalczych, które, gdyby nie pomniki dziejowe Jehudy, zginęłyby na zawsze dla ludzkiej pamięci.

Na szczęście nabrało już wówczas krzepkości, przynajmniej w Jerozolimie, stronnictwo, które wysoko nio-

sło sztandar tyle przez partję dworską wzgardzonej i wyszydzanej nauki o Bogu duchowym i o życiu cnotliwem i czystem, czciło dawne wspomnienia i, w żywym kontraście z zwolennikami bałwochwalstwa, gotowe było krwią stwierdzić swoje przekonania. Byli to owi „uczniowie boży," których prorok Jezajasz jak dzieci rodzone nauczał i kształcił, owi psalmiści, co za Hiskjasza, święcąc cudowne ocalenie narodu, nucili pełne melodji pieśni radosne, owi słodcy męczennicy, których król ten obsypał łaskami, dalej kapłani z domu Cadoka, co rąk swych kalać nie chcieli przy obmierzłych praktykach pogańskich, a przedewszystkiem byli to prorocy, których złotousta wymowa Jezajasza płomiennym natchnęła zachwytem dla wiecznej Jehowy spuścizny,—wszyscy oni, lubo liczbą i stanowiskiem społecznem nieznaczne, niezłomnością przecież swoją potężne tworzyli stronnictwo. Można ich nazwać stronnictwem proroków, lub Anawitów; sami zaś mianowali się „gminą dążących prostą drogą." Gminę tę ożywiało przekonanie, że bałwochwalstwo wszystkich ludów, bodaj najmędrszych, czczem jest i marnem, głupstwem jest i zaślepieniem, że Bóg nie z możnymi i potężnymi, lecz ze słabymi trzyma, iż ujmuje się za wdowami i sierotami, że kocha i cudzoziemca. Gdy dawniej kołatały się jeszcze w umysłach mgliste wyobrażenia, że bogowie narodów, acz podwładni Bogu Najwyższemu, żyją jednak życiem odrębnem i swoiste posiadają znaczenie, w dobie tej i w tem gronie zwyciężyło przekonanie o bezwzględnej bożków nicości. Od chwili, gdy ta prawda, lubo w szczupłej tylko gminie, zapuściła korzenie, nie można było wątpić o jej ostatecznym tryumfie.

Z nowym zwrotem po wstąpieniu na tron Manassego, rozpoczął się dla tego koła okres ciężkich doświadczeń. Najmniejszej to jeszcze było wagi, iż ci jego członkowie, których Hiskjasz na urzędach osadził, wyparci

zostali przez partję dworską ze swych stanowisk; że Aronidów z arcykapłańskiego rodu Cadoka wypędzono z świątyni i pozbawiono dochodów z ofiar i darów; że Lewitów, pomagających przy służbie ofiarnej i podwładnych kapłanom, znaglono, jak niewolników świątyni, do bałwochwalstwa. Sroższe ciosy spadły na wiernych. Czyż mogli być niemymi świadkami wywrotu wszelkiego porządku, czyż mogli patrzeć obojętnem okiem na znieważanie wyobrażającego świętość domu bożego zapomocą wszetecznych wizerunków i nie czuć bólu przenikającego do głębi serca, nie unieść się świątobliwym gniewem? To też bynajmniej nie milczeli. Prorocy owego czasu gromkim protestowali głosem, a inni członkowie koła w inny zapewne sposób dawali wyraz wstrętowi swemu do bezwstydu stronnictwa dworskiego i przestróg mu nie szczędzili. Atoli książęta Jehudy i król Manasse żadnej nie ulękli się zbrodni. Tłumili oni krwią głosy prorocze. Jak niecna Izebel, tak i oni mieczem tępili proroków. Nie doszły nas imiona tych męczenników za wiarę prawdziwą i czystość obyczajów. Istnieje podanie, że Manasse kazał rozpiłować wielkiego, późnym obarczonego już wiekiem Jezajasza.

Jezajasz wszakże nie dożył chyba haniebnych tych rządów, uczniowie jego natomiast padli zapewne ich ofiarą. Manasse, czy też jego słudzy, a raczej panowie, tyle przelewali krwi niewinnej, że—jak się źródło wyraża—Jerozolima była jej aż po brzegi pełną. Albowiem karano nietylko tych, co się głośno na sromotę oburzali, lecz i ich dzieci.

Nie ocalała przecież żadna z mów proroczych owego nieszczęsnego okresu, prócz może mowy Michasza z Maresza (Michasz II). Żarliwym mężom bożym nie pozostawiono dość czasu, by zdążyli spisać swe słowa. Śmierć gwałtowna obezwładniała im dłonie, zanim zdołali ująć za rylec, lub też dwuznacznikami myśli swe maskować

musieli. Smutna ta epoka skazaną została niejako na zagładę, bo i historycy nader mało zanotowali wypadków dziejowych z tej doby. Za rządów Manassego zaszedł wypadek doniosłego dla Jehudy znaczenia, a mimo to dziejopisowie zbyli go milczeniem, lub zlekka tylko o nim napomknęli.

Jeden z synów Sanheryba, Assar-Haddon (ok. 680—668), owładnąwszy drogą bratobójstwa tronem assyryjskim, skorzystał z zawichrzeń i wojny domowej, która wybuchła w Babilonie i lat już kilka trwała, by kraj macierzysty Assyrji znów swemu berłu uczynić podległym. Wzmocniwszy się dzięki temu na siłach, ponowił Assar-Haddon wyprawę do Egiptu, podboju którego ojciec jego musiał zaniechać. Kilku jego wodzów wylądowało, jak się zdaje, po drodze na wybrzeżach Jehudy i pogróżkami zmusili Manassego do poddania się. Ten ostatni udał się do nich zapewne osobiście w celu uzyskania znośnych warunków pokoju, lecz podobno został uwięziony i w kajdanach uprowadzony do Babilonu. Była to niepomyślna wróżba dla domu Dawida, który się sprzeniewierzył tradycji rodzimej. W tymże czasie osadził syn Sanheryba jeńców, pobranych w podbitych przez się krajach, więc z miast Babelu, Chuty i innych, w dzielnicach Samarji. Wypadek ten, lubo na razie żadnego nie miał dla Jehudy znaczenia, brzemienny był przecież w następstwa dla czasów potomnych. Wygnańcy owi, zwani przez ludność krajową „Chutejczykami," a od miejsca pobytu „Samarytanami," przyswoili sobie zwolna obyczaje izraelskie, zapewne od drobnego szczątku Izraelitów, pozostałych w kraju po upadku państwa dziesięciu pokoleń. Chutejczykowie odbywali pielgrzymki do świętych miejsc Betelu, gdzie służbę bożą pełnili jeszcze izraelscy kapłani. Opowiadano później, że cudzoziemcy, osadzeni w Samarji, uległszy napadowi lwów, które się rozmnożyły podczas wyludnienia kraju, i przy-

pisując ten napad zwierząt drapieżnych gniewowi boga krajowego, prosili jednego z królów assyryjskich o przysłanie im izraelskiego arcykapłana. Król do ich prośby przychylił się pono i posłał im arcykapłana, który obrał siedzibę w Betel, obok starej świątyni Jerobeama. Pomimo to Chutejczykowie nie zaprzestali czcić również i bożków ojczystych, a niektórzy z pośród nich zabijali nawet ludzi na ofiarę i w ten sposób stali się na poły Izraelitami, na poły poganami. Assar-Haddon podbił następnie cały Egipt, powierzył rządy krainy nadnilowej własnym swym wodzom i powiózł do Assyrji oznaki zwycięstwa, a między niemi kamienne sfinksów kolosy.

Manasse został przez Assar-Haddona, czy też następcę jego, wypuszczony z niewoli i odprawiony do ojczyzny. Niedola nie poprawiła go chyba. Bałwochwalstwo i cały ów stan rzeczy, wywołany przez rozwiązłe obyczaje i krwawe prześladowania, przetrwał do końca jego życia. Gdy umarł (641), nie pochowano go, jak poprzedników, w mieście Dawidowem, lecz w ogrodzie Uzza, obok pałacu królewskiego, zapewne pod osłoną jakiegoś wzniesionego tamże posągu bóstwa.

Tron po nim odziedziczył syn jego Amon (640—639), a chociaż berło piastować począł w wieku dojrzalszym niż ojciec,—liczył bowiem podówczas dwadzieścia dwa lata—to przecież, jak się zdaje, nie więcej posiadał rozumu, niż miał go Manasse, gdy chłopięciem jeszcze obejmował rządy. Za jego panowania nie ustał bynajmniej zakał pogaństwa i, co za tem idzie, skażenie obyczajów. Rządy jego wszelako trwały tak krótko, iż niewiele doszło nas wieści o jego osobie, czynach i dążeniach.

Z jakiego powodu obudził niezadowolenie możnowładców? Słudzy jego, t. j. rządca pałacowy i inni blizcy mu dygnitarze dworscy, sprzysięgli się przeciw Amonowi i zamordowali go we własnym pałacu (639). Przychylność ludu Amon snać zjednać sobie potrafił, gdyż na wieść o skrytobójstwie tłumy napadły na spiskowców,

pomordowały ich i królem obwołały ośmioletniego syna Amona, Jozjasza (638—608). Zmiana tronu żadnych na razie nie wywołała przeobrażeń. W imieniu nieletniego króla rządzili znowu książęta Jehudy i synowie królewscy, a ci trwali uparcie przy zdrożnych urządzeniach Manassego, usiłując nadać im moc wiekuistą. Jakgdyby niedość było wszetecznego kultu Baala i Astarty, babilońskiego kłaniania się gwiazdom, ohydnej służby Molocha, ku czci którego zabijano dzieci, — wprowadzali nadto obrządki pogańskie od innych jeszcze zapożyczone ludów. Ponieważ Egipt znowu zjednoczył się wówczas i wzrósł w potęgę pod królem Psametychem, książęta judzcy zabiegali o łaski tego monarchy i sądzili, że najłacniej zaskarbią je sobie przez przyswojenie egipskich obyczajów, a raczej sprosności. W ten przeto sposób znalazł wstęp do Jerozolimy egipski kult zwierząt. Przed bramą miejską wzniesiono kozłom ołtarze. Obok bałwochwalstwa podczas małoletności Jozjasza trwały nieprzerwanie przemoc i bezprawie.

Ten ogrom przewrotności i zepsucia zbudził za Jozjasza szereg proroków, co, poświęciwszy krasomówstwo swe i zapał płomienny wyszydzonej wierze i wzgardzonemu prawu, pomyślny zwrot wywołali; była wśród nich i prorokini, słów której chętnie słuchano, jak niegdyś przemówień Debory. Najstarszym z tej późnej odrośli proroków był Cefanjasz. Pochodził on z Jerozolimy, z zacnej rodziny. Nieulękle chłostał ułomności swych współczesnych, a zwłaszcza możnych i synów królewskich, szukających chluby w naśladowaniu cudzoziemczyzny. Podobnież jak dawni prorocy, Amos i Joel, zwiastował nadejście „straszliwego dnia Pańskiego.“ Innym również narodom wróżył Cefanjasz klęski: Filistynom, Ammonitom i Moabitom, którzy w pysze swej z góry na naród judzki spoglądali. Lecz nadewszystko dumnej Niniwie prorokował sromotną zagładę.

W tym czasie poczęła istotnie Assyrja staczać się zwolna z wyżyn swej potęgi. Ludy, które wcześniej jeszcze nie odpadły, odzyskały swobodę za przedostatniego króla assyryjskiego, lub też do wypowiedzenia posłuszeństwa zmuszone zostały przez Medów, którzy z kolei narzucili na nie jarzmo niewoli. Wtóry król Medów, Fraortes, zwalczał narody jeden po drugim, wreszcie podbił i Persów i wespół z nimi podjął wyprawę przeciwko Niniwie. Wszelako Assyryjczycy, lubo opuszczeni przez sojuszników, dość jeszcze zachowali potęgi i ducha wojowniczego, by zadać klęskę wojsku medyjskiemu (635), przyczem Fraortes życie postradał. Atoli syn tego ostatniego, Kyaksares, bardziej jeszcze przedsiębierczy i śmielszy od ojca, pragnąc co rychlej pomścić śmierć swego rodzica, zgromadził liczne zastępy, które podzielił odpowiednio do różnych gatunków broni, najechał Assyrję, pobił hufce nieprzyjacielskie i dotarł pod samą Niniwę (634). Gdy wszakże oblegał stolicę Assyrji, zaskoczyła go wieść, iż ze stepów Donu, Wołgi, Kaukazu i okolic morza Kaspijskiego wtargnęły do Medji niezliczone hordy, barbarzyńskie, okrutne, szkaradne, — dzicy Scytowie czyli Sakowie, wspierani przez ujarzmione plemiona; że tłuszcza ta na koniach cały kraj zalała, rabując, plądrując, szerząc zniszczenie i pożogę, żywej duszy nie przepuszczając. Rad nierad musiał Kyaksares zaniechać oblężenia Niniwy i poprowadzić wojska ku obronie kraju własnego. Nie zdołał wszakże hord tych pokonać i zniewolony był pokój okupić daniną. Koczownicze to plemię w pogoni za grabieżą i łupem obfitym przeciągnęło też, jak burza niszcząca, przez Assyrję. Ztąd zwrócili się na zachód, ku zasobnym miastom Fenicji, następnie pomknęli wzdłuż wybrzeża morskiego do kraju Filistynów (ok. 632), zamyślając zalać i Egipt, który nęcił ich swymi skarbami. Ale król Psametych skłonił ich bogatym okupem do poniechania jego państwa. Jeden hufiec pozostał w kraju Filistynów, gdzie spalił świątynię assyryjskiej bogini nierządu (Mylitty). Z Filistei roje barbarzyńców spadły i na sąsiedni kraj judzki i nawiedziły go okropnem zniszczeniem, uprowadzając bydło pasterzom i w perzynę obracając miasta i sioła. Do Jerozolimy nie wtargnęli może: młodociany król Jozjasz wyszedł prawdopodobnie na ich spotkanie i skarbami skłonił do oszczędzenia stolicy.

Owa epoka grozy, kiedy to przerażające wieści o spalonych miastach, okrutnie pomordowanych ludziach wszystkie dokoła narody ustawicznym zdejmowały lękiem, potężne wywarła w Judei wrażenie. Jeśli nie wróżby proroków, to same już fakty dowiodły namacalnie niedorzeczności bałamuctw bałwochwalczych. Czyż bożkowie Assyryjczyków, Babilończyków, Fenicjan, Filistynów zdołały ocalić te ludy od najazdu barbarzyńskich Scytów? Dzięki temu wśród ludności, przynajmniej jerozolimskiej, zaszedł zwrot w poglądach, a najpotężniej przejawił się w umyśle samego króla Jozjasza. Był on z natury łagodny, pobożny, wrażliwy; przy szkaradzie bałwochwalczej trwał tylko z nałogu. Wstrząsające zdarzenia posłużyły mu za zbawienną naukę; pojął, że wraz z ludem na błędnej znajduje się drodze. Lecz wbrew lepszemu przekonaniu nie śmiał przecież wyrugować pogaństwa, które dłużej niż pół wieku, bo od czasu objęcia rządów przez jego dziada, panoszyło się w stolicy i kraju. Nie chciał ściągnąć na siebie gniewu książąt Jehudy. Trzeba tu było bohaterskiej odwagi, a na taką Jozjasz zdobyć się nie umiał. Należało tedy zagrzać go do czynu, do zaimponowania swemu otoczeniu królewską powagą. Stronnictwo proroków pracowało też usilnie, by skłonić Jozjasza do przywrócenia należnej czci Bóstwu praojców i do wyparcia kultu obcego. On tymczasem jeden krok tylko uczynił; postanowił podźwignąć osierociałą i zapadającą świątynię Jehowy. Po wprowadzeniu cudzo-

ziemskich kultów świątynia, lubo nie poszła całkiem w zapomnienie, mało wszakże na siebie zwracała uwagi. Tyle przecież innych było siedlisk kultu, tyle bóstw, ile grodów. Mury, krużganki i zabudowania świątyni porysowały się i groziły runięciem, ornamentacje były zeszpecone. Któż bo miał dbać o to? Aronidzi, którym powierzoną była piecza nad świątynią, obcym zaprzedali się kultom, ci zaś, co wytrwali w wierze, potomkowie Cadoka, popadli w niełaskę i wygnani zostali z obrębu świątyni. Tej to zewnętrznej ruinie starał się przedewszystkiem Jozjasz zaradzić. Powołał Aronidów i Lewitów do służby świątyniowej i polecił im (ok. 627) zakrzątnąć się koło gromadzenia ofiar na odnowę świątyni. Na ich czele postawił arcykapłana Hilkjasza, syna Meszullama z rodu Cadoka. Lecz zkąd mieli czerpać potrzebne fundusze? Bogaci tak ostygli w swej ku świątyni miłości, ogół zaś mieszkańców, wskutek łupieżnego Scytów najazdu, tak zubożał, iż trudno było liczyć na składki dobrowolne, jak temu dwa niemal stulecia za króla Joasza. Musiano więc żebrać poprostu o datki i ofiary na odnowienie świętego przybytku. Odźwierni Lewici krążyli od domu do domu, po miastach i siołach, prosząc o zasiłek na cel powyższy.

Jakkolwiek król Jozjasz gorliwie zajął się sprawą świątyni, niedość wszakże posiadał energji, by czynnie wystąpić przeciw fałszom pogaństwa. Dopiero pod wpływem innych wypadków, zdobył się na konieczną odwagę. Z dwóch stron naraz wyszła dlań podnieta do przedsięwzięcia stanowczych środków w tej mierze: z ust proroka, który już w zaraniu młodości władał potężną, zniewalającą umysły wymową, oraz z księgi, która królowi unaoczniła jego połowiczność. Jedno zaś i drugie wrażało się w serca z nieprzepartą siłą i w szerszych kołach podnioślejszy wywołało nastrój, nadając odwiecznej nauce zapach świeżości i urok poezji. Młodzieńcem

tym był prorok Jeremjasz, księgą zaś — nowe objawienie, a raczej nowy wykład starego objawienia Zakonu.

Jeremjasz, syn Aronidy Hilkjasza (ur. 645—640, zm. 580—570), pochodził z małej mieściny Anatot (o 1½ godziny na północowschód Jerozolimy) w udziale pokolenia Benjamin. Z rodu acz nie ubogi, nie wielkiem przecież uposażony był bogactwem. Bogatą natomiast i zasobną była dusza Jeremjasza, przezrocza, by gładkie zwierciadło, lub źródło z głębiny bijące. Tkliwego serca i do smętku skłonny, od najpierwszych lat swej młodości bolał niezmiernie nad moralno-religijnym stanem współczesnego społeczeństwa. Wstręt żywił do fałszu, przewrotności, bezprawi: widok ich napawał go żałością. Rodacy jego, kapłani z Anatot, od chwili, gdy począł działać, z tak zaciekłą prześladowali go nienawiścią, iż niepodobieństwem jest, aby oni to właśnie nadać mieli kierunek umysłowi jego. Na nastrój jego i sposób myślenia wpływ niewątpliwie wywarły pisma, pozostałe po dawniejszych prorokach. Tak w nich ducha swego zagłębiał, iż używał, jak własnych, ich myśli, zwrotów i wyrazów. Te studja nad piśmienną wieszczów spuścizną naprowadziły młodzieńca na drogę prawdziwą, natchnęły go wzniosłemi pojęciami o Bogu i moralnym świata porządku, o Izraela wielkiej przeszłości i znaczeniu jego dla czasów potomnych i wznieciły w nim nienawiść do nikczemnych postępków i rozpustnej swawoli, pogardę dla bałamuctw i nicości bałwochwalstwa.

Wzniosłym tym poglądem przejęty, czuł się obcym w swojem otoczeniu, w małej mieścinie Anatot. Naraz spłynął nań duch proroczy. Usłyszał wyraźnie głos wzywający go, jak ongi Samuela w Silo: „Zanim cię utworzyłem w żywocie, wybrałem cię, a zanim wyszedłeś z łona, poświęciłem cię, na proroka narodom postanowiłem cię.“ Lękliwie odpowiedział na to: „O Panie, Wiekuisty! Otom niezdolny mówić, bom młodzieńcem jeszcze.“ Na to głos: „Nie powiadaj: młodzieńcem ja; lecz dokąd-

kolwiek cię poślę, pójdziesz, a cokolwiek ci rozkażę, mówić będziesz.“ Jednocześnie zdawało mu się, że dłoń jakaś ust jego dotknęła, i znów głos się odezwał: „Oto kładę słowa Moje w usta twe. Patrz, ustanawiam cię dzisiaj nad narody i królestwy, abyś wypleniał i druzgotał, i niweczył i burzył, budował i zasadzał!“ Tu ujrzał pełne znaczenia wizje, które dlań były wyraźną wskazówką, że „od północy spadnie niebawem klęska na wszystkich mieszkańców Jerozolimy i kraju.“ W końcu otrzymał przestrogę, by był mężnym i nie obawiał się przemawiać przeciw królom, książętom, kapłanom i ludowi. Wrogiem wprawdzie ku niemu zapałają uczuciem, lecz szkodzić będą mu mogli nie więcej, niż kolumnie żelaznej lub murowi ze śpiżu.

W taki to sposób odebrał święcenia prorocze, o czem obwieścił też innym, bądź w Anatot, bądź w Jerozolimie. Wymowa jego nie może wprawdzie iść w porównanie z mistrzowskiem krasomówstwem syna Amoca. Lecz co jej zbywa na pięknie i polocie, wynagradza przystępnością i przejrzystością. Czas innej wymagał, niż dawniej, wymowy. Skażenie moralne głęboko wżarło się w życie narodu, zwłoka groziła niebezpieczeństwem, — trzeba było natychmiast pomyśleć o lekach. Nie przemawiał też Jeremjasz, jak dawniejsi prorocy, do szczupłego tylko koła wykształconych, lecz do całego narodu. Styl wykwintny i subtelny byłby tu niewłaściwym. Aby mowa nie chybiła celu, mówić należało jasno i zrozumiale; przemawiał tedy Jeremjasz najczęściej niewyszukaną prozą, tu i owdzie tylko wplatając retoryczne kwiecie. Inną jeszcze właściwością odznaczały się prorocze mowy Jeremjasza. Większość proroków z czasów ubiegłych wróżyła w słowach mgłą przesłoniętych przyszłość odległą, przepowiadała „straszny dzień Pański,“ co sprowadzić ma przewrót zupełny, po którym zabłyśnie dla Izraela jutrzenka idealnego okresu. Groźby kary i wieszczby zbawienia niejasno brzmiały w ustach dawniejszych proroków; jedyny w tym względzie wyjątek stanowi Jezajasz. Ztąd też skłonna do szyderstwa ludność Jerozolimy drwiła sobie ze strasznych przepowiedni proroczych. „Przeminą dni, a proroctwa się nie ziszczą,“ mawiano, lub „prorokują dla dni odległych i czasów dalekich.“ Jeremjasz podjął walkę z tą szyderską obojętnością na przepowiednie prorocze. Zwiastował ludowi karę, która w najbliższej przyszłości, za jego jeszcze czasów, spotkać miała Jehudę i Jerozolimę. Wszystkich swych poprzedników ryczałtem przewyższył niezaprzeczenie cudownym darem proroczego widzenia. Przepowiadał zdarzenia zrazu z roku na rok, później, gdy tragiczne rozwiązanie stało już u progu, z miesiąca na miesiąc, a wizje jego sprawdzały się z podziwu godną dokładnością. Widział przyszłość nie w dwuznacznych marzeniach sennych, lecz wśród białego dnia, na jawie, obcując ze światem zewnętrznym. Nie zagadkami tedy przemawiał, nie uciekał się do sztucznych aluzyj, lecz po imieniu rzeczy nazywał.

Od pierwszej chwili swego powołania — w trzynastym roku panowania Jozjasza (626), a w rok po częściowem otrząśnięciu się króla tego z gnuśnego nałogu— świetlana ta dusza prorocza pół wieku niemal mozoliła się nad ciężkiem zadaniem sprowadzenia na drogę prawdy zbłąkanego ludu. Skoro tylko Jeremjasz otrzymał z góry rozkaz przemawiania bez wszelkiej bojaźni, znikły natychmiast nieśmiałość jego i potulność. Sam odmalował wrażenia, jakie wzbudził w nim duch proroczy. W piersi swej czuł żar ognia i uderzenia żelaznej maczugi, zdolnej kruszyć skały. Porywającą odznacza się potęgą pierwsza jego mowa, wymierzona przeciw sprzeniewierzeniu się ludu tradycji ojczystej, przeciw zdrożnościom bałwochwalstwa, wszeteczeństwu i zbrodniom. Słowa takie, z ust młodych płynące, nie mogły przebrzmieć bez echa. Niektóre rodziny szlachetne zaniechały rozpustne-

go życia i nawróciły się do Boga, wyznawanego przez Jeremjasza i innych proroków. Ród Szafanów, wysokie piastujący urzędy, przyłączył się do stronnictwa proroków i sprawy jego bronił usilnie.

Król Jozjasz tymczasem pracował gorliwie koło odnowy chylącej się do upadku świątyni. Trzem wysokim dostojnikom, a między nimi i kanclerzowi Szafanowi, polecił (621) nakłonić arcykapłana Hilkjasza, by zrobił nareszcie właściwy użytek z funduszów, zebranych w tym celu. Hilkjasz, zdając ofiary, wręczył jednocześnie Szafanowi wielki zwój ze słowami: „Tę oto księgę Zakonu znalazłem w świątyni.“ Szafan zwój otrzymany odczytał i tak jego treścią został uderzony, iż składając przed królem rachunek z zebranych pieniędzy, zawiadomił go zarazem o znalezieniu rodału. Osobliwsze to dzieło wywarło wpływ niezmierny.

Rodał, czyli księga Zakonu, którą arcykapłan Hilkjasz przez Szafana doręczył królowi, podaje się za ostatnią wolę proroka i prawodawcy Mojżesza, jaką tenże przed śmiercią gorąco polecił pamięci wychowanego przez się ludu. Ma ona wstęp historyczny i takiż epilog; doprowadza mianowicie dzieje do zgonu Mojżesza, a nawet do czasów późniejszych. Sama sobie nadaje miano nauki powtórnej, czyli powtórnej księgi Zakonu (Deuteronomium).

Księga praw, pełna ujmującej serdeczności i tkliwego wylania, niewątpliwie rzadkie to zjawisko. Prawa przemawiają zazwyczaj chłodno, bezwzględnie i szorstko, wznosząc jednocześnie z groźbą palec: „czyń to, lub nie czyń tego, inaczej surowa spotka cię kara.“ Nie tak przemawia za panowania Jozjasza znaleziony kodeks — nazywają go deuteronomicznym. Upomina on, przestrzega, błaga poprostu, to czynić, a tamtego zaniechać; nie grozi, lecz powołuje się na złowrogie następstwa przekroczenia. Mówi językiem kochającego ojca,

który synowi wielkie wytyka cele i ostrzega go, by nie marnował lekkomyślnie świetnej swej przyszłości i nie narażał się na pogardę i hańbę. Wieje z tej deuteronomicznej księgi Zakonu jakieś łagodne, orzeźwiające tchnienie.

Stawiąc przed oczy dzieje dawniejsze, nie snuje ich wątku chronologicznie, lecz na porządek nie bacząc, takie wybiera zdarzenia, któreby, jako materjał dowodowy, stwierdzić i poprzeć mogły doniosłe nauki. Ze wspomnieniem takich ważnych chwil w życiu narodu izraelskiego łączy zachętę lub przestrogę; historja czasów ubiegłych ma być mistrzynią pokoleń potomnych. Cztery szczególniej idee pragnie w umysły wpoić deuteronomiczna księga Zakonu: Majestat Boży, wielkość posłannictwa ludu izraelskiego, nader nizki, wbrew temu posłannictwu, poziom współczesnego pokolenia i wreszcie uświadomienie następstw nierozwiązanej tej sprzeczności. Boga Izraela przedstawia, jako nad wszelkiem górującego jestestwem, nieznoszącego żadnych przyrównań do istot przez ludy jako bóstwa czczonych. „Dowiedziono ci namacalnie, że Wiekuisty tylko jest Bogiem na niebie wysoko i na ziemi nizko, niemasz innego.“ Szczególny kładzie nacisk księga deuteronomiczna na jedyność i wyłączność Boga tego. „Słuchaj, Izraelu, Wiekuisty Bóg nasz, Wiekuisty jedyny.“ Bóg ten z osobliwszą troskliwością prowadził w minionych czasach Izraela, jak ojciec nosi rodzonego syna. A celem wyboru tego i tkliwego przewodnictwa jest wyniesienie Izraela na stopień ludu świętego. Pragnie następnie księga deuteronomiczna uprzytomnić żyjącemu pokoleniu, że lud nie ziścił pokładanych w nim nadziei, że nie zasługuje bynajmniej na miłościwe zbawienie. Od swych zaczątków aż po dziś dzień trwa w krnąbrności, nieposłuszeństwie i uporze, wciąż jeszcze nie ma oka ku widzeniu, ucha ku słyszeniu, serca ku uwadze. Koleje

wreszcie dziejowe służyć winny niepoprawnym pokoleniom za dowód niezbity, że zaparcie się Boga własnego zawsze za sobą pociągało karę. Albowiem Bóg jest wprawdzie Bogiem wiary, który słowa Swego i łaski Swej dochowuje aż do tysiącznego pokolenia miłującym Go i przestrzegającym Jego przykazań, lecz wrogom Swoim odpłaca, każdemu w obliczu jego.

Z przestrzegających części kodeksu deuteronomicznego dobywa się głos nowego niejako objawienia, lub nowego poznania. Sam on podaje się za coś nowego, za nowe przymierze, które Bóg zawarł nad Jordanem na krótko przed śmiercią Mojżesza i przed wnijściem do kraju, odmienne od pierwszego na Horebie przymierza.

Dziesięcioro synajskie tak proste jest i przystępne, iż nawet dusze służalcze zrozumieć je są w stanie. Nie można przecież było się spodziewać, by ci, co jeszcze wczoraj niewolnicze dźwigali łańcuchy, wniknąć zdołali głębiej w pojęcie o Bogu takim, jaki się objawiał w toku dziejów ludu izraelskiego. Uważano, że dopiero synowie ich i wnuki dojrzeli po temu. W nich to wszczepił Mojżesz, na krótko przed zgonem, w piśmie deuteronomicznem pojęcie o miłości ku Bogu: „Wiekuisty jest jedyny i będziesz miłował Wiekuistego Boga twego, całem sercem, całą duszą, całą mocą twoją.“ „Czego, Izraelu, żąda Bóg twój od ciebie? Nic więcej nad to, byś Go czcił, Jego drogami chadzał, miłował Go, wielbił Go całem sercem, całą duszą.“ U wszystkich ludów ziemi pobożność była córą bojaźni; obawa niewidzialnej potęgi, istoty zagadkowej w obłokach, lub miejscach budzących grozę, zginała kolana, a wszelkie narzędzia czci bóstwa, ołtarze, świątynie, ofiary, ceremonje, miały na celu jedynie przebłagać wszechmocne jestestwa i przychylnie usposobić je dla siebie. Przedział między bóstwem a człowiekiem mierzono na odległości niebios. Kodeks to deuteronomiczny po raz pierwszy obwieścił

miłość ku Bogu, jako sprężynę bogobojności i czystości obyczajów, i dzięki temu o całe niebo zbliżył człowieka do Bóstwa. Uczynił serce ludzkie przybytkiem, kędy pragnie być uwielbianą boska Istota, i nadał stosunkowi obojga cechę tkliwego przywiązania, podobną do stosunku ojca do syna. Nie ma już odtąd człowiek potrzeby drżeć przed Bóstwem, jak niewolnik przed ponurym swym panem, może się on doń zbliżać z radością dziecięcą. Wzniosłe to pojmowanie miłości Boga powtarza się nieustannie w księdze deuteronomicznej.

Z tem samem przejęciem, co nad wyrugowaniem bogów fałszywych, zastanawia się to prawodawstwo i nad trybem służby bożej, zwłaszcza zaś nad czcią Boga praojców. Uderza tu okoliczność, jak małe stosunkowo znaczenie przywiązuje ono do ofiar. Wprawdzie prawodawstwo deuteronomiczne nakazuje składać ofiary li tylko w określonem miejscu, które Bóg sam sobie upatrzy, a zatem uznaje służbę ofiarną za uprawnioną i miłą Bogu, pragnie ją ono atoli zamknąć w nader ciasnych granicach. Poza miejscem, stanowiącem punkt ogniskowy, wcale ofiar składać nie wolno. Mięsa poza obrębem tego ogniska nie trzeba święcić starym obyczajem, jako ofiarę, może je owszem spożywać, bez uprzedniego poświęcenia, zarówno czysty, jak i nieczysty. W ten sposób prywatne przybytki kultu i wzniesione na wyżynach ołtarze straciły rację dalszego istnienia.

Pragnęło tedy prawo deuteronomiczne odwieść naród od samowolnego obierania przybytków kultu. Miało ono również na oku ujęcie w ciaśniejsze ramy kultu ofiarnego głównej świątyni. Wolno więc było w jej murach spożywać według rytuału ofiarnego tylko dziesięcinę, pierworodne zwierzęta i ofiary ślubne. „Jeśli zaniechasz ślubowania ofiary, nie będzie na tobie grzechu. Winieneś dochować tylko wyrzeczenia warg twoich.“ W tym względzie prawodawstwo deuteronomiczne zna-

cznie wyprzedza dawniejsze. Dziesięcin, pierworodnych trzód i pierwocin płodów wolno było nie wręczać Aronidom, mógł je właściciel spożyć sam w środowisku kultu. Usilnie tylko zaleca prawo, by do biesiad ofiarnych dopuszczano Lewitów, a również i sieroty, wdowy i cudzoziemców, nie posiadających gruntu własnego, szczególniej zaś niewolników i niewolnice; należało ich przeto uważać za członków ofiarującej rodziny.

Podnosi dalej znaczenie żywego słowa przy zwiedzaniu świątyni. Rozdawcy dobrodziejstw dziękczynienie i modły składać należy. Ile razy rolnik odbędzie do świątyni pielgrzymkę, winien wynurzyć przed ołtarzem coś nakształt wyznania i, sięgając wstecz wspomnieniem, dziękować za wybawienie z niewoli egipskiej i objęcie kraju w posiadanie. Co trzeci rok, roku doręczania dziesięciny Lewitom, obcokrajowcom i sierotom, winien posiadacz gruntu zeznać przed ołtarzem, że sumiennie spełniał obowiązki swe w miarę danych mu przez Boga środków, że z dobytku swego użyczał potrzebującym; winien wreszcie zmówić modlitwę nietylko za siebie, ale i za ogół.

Trzy do świątyni pielgrzymki ustanawia prawo deuteronomiczne, jako święta radości: święto przaśników, święto tygodni oraz święto szałasów. W uciechach biesiadnych ma brać znowu udział ludność bezrolna. „Pamiętaj, iż niewolnikiem byłeś w Egipcie," a przeto i nieszczęśliwych należy dopuścić do godów.

Szczególną uwagę zwraca prawodawstwo deuteronomiczne na sprawy sądownictwa. We wszystkich miastach należy ustanowić sędziów i pisarzy (szoterim), pierwszych do ferowania, drugich do wykonywania wyroków. Sędziowie powinni mieć na oku prawo jedynie i nic prócz prawa, mają wszelkich wystrzegać się względów i nie frymarczyć sumieniem.

Wyrok śmierci wydać wolno tylko na podstawie zgodnego zeznania dwu lub trzech świadków. Świadków należy badać gruntownie i szczegółowo, aby stwierdzić, czy oskarżenie słusznem jest i uzasadnionem. Sędziowie pilnie baczyć mają, by nie przelano krwi niewinnej, a wina nie została bez kary. Sześć „miast schronienia" wyznaczyć należy, aby mimowolni mordercy mogli w nich znaleźć przytułek. Karę śmierci ustanawia prawo deuteronomiczne nietylko za zabójstwo, bałwochwalstwo i kupczenie ludźmi, lecz także za cudzołóstwo i udowodniony nierząd oblubienicy w domu jej ojca; śmiercią też karze nieposłusznego, krnąbrnego syna, który mimo wychowanie dane przez rodziców, głosu ich nie słucha i pogrąża się w pijaństwie i rozpuście. Nader surowo obchodzi się również prawodawstwo to z przekonanym o winę świadkiem fałszywym: „Uczyńcie mu to samo, co zamyślał uczynić bliźniemu swemu" bez litości, życie za życie, oko za oko, noga za nogę, ręka za rękę. Lecz i w przestępcy prawo to nie zapoznaje godności człowieka. Ciało skazanego na śmierć i powieszonego na drzewie nie powinno pozostawać na niem przez noc, należy zdjąć je i pochować tegoż jeszcze dnia. Gdy sędzia skaże kogo na chłostę, wolno mu wymierzyć określoną tylko ilość razów: „czterdzieści" — nie więcej, „by brat twój nie był poniżony w twych oczach (przez nadmierną ilość razów i rany)." Kara chłosty wymierzaną być ma oszczercy, gdy np. oskarży fałszywie wprowadzoną w dom żonę o rozpustę i potwarcze rozsieje wieści o córze Izraela.

Kodeks deuteronomiczny mówi też o władzy królewskiej i za pomocą ograniczeń stara się uczynić ją nieszkodliwą. Król powinien być wybrany przez Boga, t. j. zatwierdzony przez proroka. „Nie ustanowisz nad sobą cudzoziemca, któryby nie był twym współplemiennikiem." Król niech nie utrzymuje znacznej liczby koni i niech nie zawiera sojuszu z Egiptem, by ztamtąd konie sprowadzać. Dalej nie powinien się otaczać licz-

nym zastępem małżonek, by serce jego, skłaniając się do nich, Boga nie odstąpiło. Nie wolno mu wreszcie gromadzić srébra i złota. Serce jego nie powinno wynosić się w pysze nad braci swych, a prawo ma być stałym jego drogoskazem. Księga ta zawiera również oryginalne prawo wojenne. Po zwalczeniu tuziemnych szczepów kanaańskich żadnej duszy nie należy przy życiu zostawić, „aby was nie nauczyli naśladowania ich plugastw.“ Natomiast przy obleganiu miast poza granicami kraju należy naprzód przedłożyć mieszkańcom warunki pokoju. Gdy przystaną na nie, należy na nich haracz tylko nałożyć, lecz życia nie pozbawiać. Jeśli jednak odrzucą propozycję pokoju, to niechaj po zdobyciu miasta wszyscy dojrzali mężczyźni, wojownicy, głowy pod miecz dadzą, kobietom zaś i nieletnim życie ma być darowane. Przy obleganiu miast należy oszczędzać drzewa owocowe, nie wolno ich niszczyć nawet w celach oblężniczych. Każdy nowożeniec ma być wolnym przez rok od służby wojskowej i w ogóle od wszelkich osobistych powinności państwowych, „aby mógł żonę swą ucieszyć.“ Przed zgromadzonem i do wyprawy wojennej gotowem wojskiem heroldowie obwołać winni: „Kto nowy dom zbudował, lub nową zasadził winnicę, albo zaręczył się z niewiastą, niech opuści szeregi, aby, gdy zginie na wojnie, kto inny nie wszedł w posiadanie świeżej a drogiej mu własności.“ Lękliwym i tchórzliwym wolno opuścić szeregi, aby tchórzostwem swem nie zarażali wojowników. Obóz wojenny należy utrzymywać w czystości i nie plugawić niechlujstwem. Albowiem Bóg (arka przymierza) kroczy wśród twego obozu, ma on przeto być świętym, niech w nim nie będzie widać nic sromotnego.“

Główną troską kodeksu deuteronomicznego jest dobro nędzarzy, pragnie też wpoić dla nich w umysły tkliwe uczucie braterstwa i otacza ich pieczą szczególną. Oprócz dziesięciny pewna jeszcze część zbiorów na ich ma iść użytek. Wracając siódmego roku swobodę niewolnikowi hebrajskiemu, nie należy go puścić z próżnemi rękoma; pan jego dotychczasowy powinien udzielić mu ze swych stad, klepiska i tłoczni. I w innych też stosunkach zaleca usilnie to prawodawstwo łagodność, ludzkość i miłosierdzie. Niewolnika, który z kraju sąsiedniego zbiegł do kraju Izraela, szukając schronienia przed swym panem, wydać nie wolno. „Niech zostanie z tobą i wybierze sobie miasto na zamieszkanie, ty zaś nie uciemiężaj go.“ Nawet względem wroga powodować się trzeba litością. „Gdy kto piękną brankę wprowadzi do domu, by ją pojąć za żonę, niech jej da miesiąc czasu do opłakania swych krewnych; dopiero, gdy skończy się jej żałoba, niech mu żoną zostanie.“ Gdy pan jej przestanie sobie w niej podobać, niech jej nie sprzedaje jako niewolnicy, lecz niech jej zwróci swobodę. Przy wybieraniu gniazda ptasiego, niechaj ptasznik nie zabiera matki wraz z pisklętami i jajami, nawet w zwierzęciu powinien szanować uczucie macierzyńskie.

Ze szczególnym naciskiem zaleca Mojżesz ludowi przestrzegać i pilnie wykonywać wszystkie te prawa i ustawy. Stanowią one bowiem „w oczach ludów chwałę Izraela, mądrość jego i rozum.“ Usłyszawszy o prawach tych, powiedzą one: naród ten z pewnością mądrym jest i rozumnym.“

Boć przecież tak łatwo ustaw tych przestrzegać i dzięki temu życie swe przedłużyć. Nie jest to prawo ani niedostępne, ani dalekie. „Nie na niebie ono, żebyś rzekł: któż wstąpi dla nas do nieba, aby go nam dostał i obwieścił je, abyśmy je pełnili. Ani za morzem ono, abyś rzekł: kto przeprawi się dla nas za morze i dostanie go nam i obwieści je, abyśmy je pełnili. Lecz nader blizkiem tobie słowo to: w ustach ono two-

ich i w sercu twojem, abyś je pełnił.“ Co siódmy rok, w końcu roku odpuszczenia, w święto szałasów, Zakon ten odczytywać należy ludowi zgromadzonemu: mężom, niewiastom, dzieciom i cudzoziemcom, aby się wszyscy uczyli czcić i miłować Pana i praw tych przestrzegać. Każdy król Izraela powinien po wstąpieniu na tron odpis sobie tych praw sporządzić, mieć go zawsze pod ręką i ustawicznie w nim się rozczytywać.

Słusznie wysławiają ten odnaleziony kodeks, ostatnią odrośl nauki synajskiej, jako księgę niezwykłą i szczytną. Ogłoszenie jej stanowi punkt zwrotny nietylko w dziejach ludu izraelskiego, lecz i wszystkich narodów cywilizowanych. Treść tych praw, forma, w jaką są ujęte, głos serdeczny, ojcowski, jaki w nich rozbrzmiewa, przepis, by w pewne uroczystości były odczytywane i głoszone całemu ludowi, nie wyłączając kobiet i cudzoziemców, wszystko to miało nader doniosłe znaczenie. I nauka ta nie w ciasnem zamknęła się kole, lecz stała się wspólnem dobrem całego narodu i nawet przychylnych dlań cudzoziemców. Jakkolwiek niejeden zawiera ona przepis, dotyczący świątyni, ofiar, ochędóstwa publicznego i obrządków, największy przecież kładzie nacisk na sprawiedliwość, łagodność, obyczajność i czystość, a zwłaszcza na pobożność z serca płynącą.

Przewidział Mojżesz—prawi dalej księga—że pomimo przestróg jego i przedstawień, lud przecież uchybi Zakonowi i że wskutek tego na schyłku dni straszna nań zwali się niedola. Lud jednak zapozna wpływ nieposłuszeństwa i winę Bogu swemu przypisze. W przewidywaniu tego wygłosił pieśń i rozkazał uczyć się jej na pamięć. Pieśń ta zapowiada, że lud, zepsuty powodzeniem, zboczy z drogi prawdy i zwróci się ku bałwanom, jakich przodkowie jego nie znali, i że ukarze go wyrzutek ludów, lud-potwór. Wówczas zrozumie, że obrani przezeń bogowie nic mu nie pomogą, że jeden Bóg,

który mu tak cudownie przewodniczył i szczęściem obsypał, zabija i wskrzesza, rani i uzdrawia, że On jeden pomści go i oczyści skalaną glebę kraju Swego.

Wstrząsającą do głębi duszy jest zapowiedź kary, którą kodeks ten grozi ludowi, jeśli praw jego nie będzie przestrzegał. Zdziera on zasłonę z tajników przyszłości i maluje okropne katusze, jakie czekają naród i jego króla, jeśli trwać będą na dotychczasowej drodze. W najżywszych barwach oddaje posępny ten obraz wszelkie klęski, które człowieka przywieść mogą do głuchej rozpaczy: nieurodzaj, głód, posuchę i pomór z jednej strony, poniżenie, upokorzenie, gnębiącą niewolę i hańbę z drugiej — a jako następstwa tych cierpień ciała i duszy—złamane serca, obłęd i stępienie umysłu. „Bóg przywiedzie na ciebie naród zdaleka, z krańca ziemi, lotny jak orzeł, lud, którego mowy nie rozumiesz, lud zuchwały, okrutny, który pozbawi cię wszystkiego i osaczy twierdze twe i grody wyniosłe, na których polegasz. Wśród klęsk oblężenia będziesz pożerał ciało własnych dzieci. Bóg cię rozproszy między wszystkie narody od krańca do krańca; tam wielbić będziesz bogi z drzewa i kamienia, a spokoju między ludami tymi nie zaznasz, da ci Pan serce lękliwe, duszę chorą i rozpacz. Zrana będziesz mawiał w trwodze: o gdybyż już był wieczór! —a wieczorem: gdybyż poranek nastąpił! A i król twój, którego ustanowisz nad sobą, pójdzie wraz z tobą w niewolę do nieznanego ci ludu.“

Oryginalny ten kodeks, pełen za serce chwytających nauk i ponurego przeczucia przyszłości, kodeks, który arcykapłan Hilkjasz po znalezieniu odczytał i doręczył Szafanowi, kanclerz niezwłocznie zaniósł do króla Jozjasza i odczytał mu z niego niektóre ustępy. Król, do żywego przejęty zapowiedzią kary i świadomością winy zgnębiony,—albowiem pozwalał dotychczas na takie właśnie występki, jakie wyraźnie wzmiankuje zwój

odnaleziony,—rozdarł w rozpaczy szaty na sobie. Owładnęła sercem jego trwoga, że mogą ziścić się kary, któremi pismo grozi za naruszenie przymierza. Sam nie wiedząc, co począć, polecił Jozjasz wezwać arcykapłana Hilkjasza, aby jego rady zasięgnąć. Za jego wskazówką wysłał król samego arcykapłana wraz z kilku urzędnikami do pewnej niewiasty, słynącej z daru proroczego, aby ją o przyszłość zapytać. Jeremjasza pominięto zapewne dla jego młodości, zbyt krótko jeszcze działał, by wróżbami swemi mógł zjednać sobie uznanie; lecz i proroka Cefanjasza, nie wiedzieć dla jakiej przyczyny, o zdanie nie zapytano. Niewiastą, do której zwrócił się król, była prorokini Hulda, żona jednego z urzędników królewskich, szatnego Szalluma, ze starego pochodząca rodu. Kazała ona posłom uspokoić króla, że zapowiadana klęska, jaka nawiedzić ma naród i króla, nie spadnie za dni jego, gdyż ukorzył się ze skruchą przed Bogiem. Skrucha przecież sama nie wystarcza, należy przystąpić do czynu i wyplenić całą ohydę czci bożków, wszelkie bezprawia i zbrodnie.

Uspokojony co do losu narodu za dni swego panowania, zabrał się król Jozjasz z niezwykłym zapałem do poprawy obyczajów i stosunków. Znalezioną księgę praw obrał za drogowskaz w pracy i o wiele jeszcze surowiej i radykalniej, niż Hiskjasz, poczynał sobie z tępieniem bałwochwalstwa. Zwołał przedewszystkiem do świątyni starszych ludu, tak ze stolicy, jak i kraju całego, tudzież, rzecz prosta, całą ludność stołeczną, kapłanów i proroków, a nawet nizkiego stanu drwalów i nosiwodów świątyniowych i polecił wobec nich wszystkich odczytać treść znalezionego kodeksu; sam przy czytaniu stał na trybunie, wzniesionej na słupach w świątyni dla królów. Następnie rozkazał wszystkim obecnym zawrzeć formalne przymierze i zobowiązać się do wypełniania z całej duszy i z całego serca wszelkich praw i przepisów, które dnia tego poznali. Rozległy się okrzyki: „Przeklęty, kto przekroczy słowa przymierza tego!“ Wszyscy obecni zawołali na to: „Amen.“ Z rozkazu króla usunięto szkaradę różnych obrządków bałwochwalczych. Gorszący wizerunek Astarty, który Manasse ustawił w świątyni, ołtarze i cele dla nierządnic świątyniowych, rumaki słońca u wrót świątyni, ołtarze wreszcie ku czci gwiazd wzniesione — wszystko to usunięto, zburzono, spalono w dolinie Kidron, a popioły rozsypano na grobach pospólstwa. Przybytek w dolinie Hinnom, gdzie dzieci palono na stosach ofiarnych, kazał Jozjasz splugawić. Potem zniesiono wszystkie ołtarze na wyżynach krajowych. Usunięto ofiarników bożków i ołtarzy, wzniesionych na wyżynach; ci z nich, co pochodzili z pokolenia Lewi, zamieszkać musieli w Jerozolimie, gdzie oddano ich pod dozór, ofiar składać nie wolno im było, otrzymywali wszakże swoją część z dziesięciny należnej Aronidom. Ofiarników cudzoziemskich, którzy sprawowali kapłaństwo przy obcych obrzędach, wydalono z kraju. Okrutny uczynił Jozjasz wyjątek względem izraelskich kapłanów w Betel, którzy trwali jeszcze w zaprowadzonej przez Jerobeama czci byka. Kapłanów tych kazał zgładzić na znajdujących się tamże ołtarzach, same zaś ołtarze, kośćmi ludzkiemi znieważyć. Z Betelu wyszedł pierwszy impuls do wierzeń obłędnych, uwłaczających prastaremu poznaniu prawdziwego Boga, dla tego też Jozjasz tak surowo obszedł się z kapłanami tamecznego kultu. Mniej winni wnukowie musieli, jak to często bywa, odpokutować za występnych przodków. Taki był koniec czci byka w Betelu. Profanacja świątyń fałszywych w tem mieście odbyła się pod osobistym kierunkiem króla.

W miesiącu wiosennym tegoż roku (621) zwołał Jozjasz cały naród, by zgodnie z przepisem Zakonu wspólnie obchodził święto przaśników w Jerozolimie. Lud stawił się teraz nie z przymusu, jak to było za czasów His-

kjasza, lecz dobrowolnie. Podniosłe psalmy z towarzyszeniem instrumentów strunowych i śpiewu Lewitów nadały świętu, po raz pierwszy wspólnie obchodzonemu przez lud, zgromadzony tak licznie i tak chętnie, szczególnie uroczysty charakter. Sprężyste wystąpienie Jozjasza przeciw bałwochwalstwu wydało się prawowiernej części narodu tak płodnem w następstwa, że stronnictwo proroków nową od tego roku rozpoczęło rachubę czasu. Liczyło ono lat tyle a tyle od czasu oczyszczenia świątyni przez Jozjasza. Poprawiły się też zapewne stosunki społeczne. Jozjasz nakazał prawdopodobnie wyzwalanie niewolników hebrajskich po sześciu latach służby, gdyż nauka, którą obrał sobie za modłę, przestrzeganie tego prawa usilnie zaleca. Może też wysyłał do miast i wsi światłych Lewitów z odnalezionym kodeksem, by ciemny lud nauczali. Zaprowadził też Jozjasz podobno doniosłą reformę. Arki przymierza, która dotąd stale, jako talizman, towarzyszyła hufcom, wyruszającym na wojnę, i którą dźwigali Lewici, zakazał nadal używać w tym celu; miała ona służyć swemu pierwotnemu przeznaczeniu, a mianowicie być punktem środkowym świątyni i mieścić się w przenajświętszem. Obok arki król złożył zapewne, zgodnie z przepisem, kodeks deuteronomiczny, który sobie obrał za drogoskaz.

Jeremjasz w pierwszej swej mowie proroczej przepowiedział okres powszechnej zagłady i spustoszenia, po którym miało nastąpić odrodzenie. Zwrót ten rozpoczął się w ostatnich latach panowania Jozjasza. Olbrzymie państwo assyryjskie, które tyle ujarzmiło narodów, chyliło się ku ostatecznemu upadkowi, a na jego gruzach nowe miały powstać mocarstwa. Kyaksares, król Medji, i Nabopolassar, król Babilonji, stargali ostatnie ogniwa, jakie jeszcze łączyły kraje ich z Assyrją, i uczynili się niezawisłymi. Wzrastającą niemoc państwa assyryjskiego zapragnął wyzyskać i Egipt, by przedewszystkiem pomścić

tak często wyrządzane sobie krzywdy. Rządy tego kraju objął król pełen odwagi, Necho, syn Psammetycha, który postanowił wskrzesić dawną świetność Egiptu. Kilku więc naraz ambitnych monarchów dążyło podówczas usilnie do złamania niezmiernej potęgi państwa assyryjskiego, aby zagarnąć pozostałą po niem spuściznę. Necho, bardziej jeszcze wojowniczego i przedsiębierczego ducha, niż ojciec, z którego rozkazu flota fenicka poraz pierwszy opłynęła Afrykę, uzbroił liczne zastępy, gotując się do wielkiej wyprawy, aby zdobyć krainę Libanu do samego Eufratu i upokorzyć Assyrję. Ponieważ współzawodnik jego, Kyaksares, uwikłał się w uciążliwą wojnę z Alyattesem, królem Lidji, mniemał Necho, że z łatwością uda mu się wcielić do Egiptu kraje syryjskie, a może i samą Assyrję. Zamiaru tego wszakże urzeczywistnić nie zdołał. Kyaksares bowiem zawarł z Alyattesem i Nabopolassarem ścisłe trójprzymierze, które większej jeszcze mocy nabrało dzięki małżeństwu córki króla lidyjskiego z synem Kyaksaresa, córki zaś króla medyjskiego z synem Nabopolassara, Nebukadnecarem. Związek ten wymierzony był przeciw Assyrji, rządzonej podówczas przez rozpustnego i nikczemnego króla, Sardanapala. O jednej porze wyruszyli najpotężniejsi królowie owego czasu (608) na rozległe podboje; Kyaksares pospołu z Nabopolassarem przeciwko Niniwie, Necho zaś na kraje nadeufrackie, do których droga wiodła przez dawne dzielnice izraelskie. Ponieważ podjęta przez Faraona wyprawa zagrażała również Jehudzie, postanowił Jozjasz czynnym oporem pokrzyżować mu plany zdobywcze. Ufał on w pomoc Boga, którego Zakon z takim zapałem krzewił wśród swego narodu. Zaledwie Necho z hufcami swymi dotarł do środka równiny Jezreel, zetknął się pod Megiddo z wojskiem judzkiem, zamierzającem przeciąć mu drogę. Przyszło do rozprawy orężnej. Walka wypadła nader dla Jozjasza niepo-

myślnie, wojsko jego zostało pobite, a on sam śmiertelnie raniony (608). Słudzy ponieśli z pośpiechem dogorywającego króla do Jerozolimy, gdzie po przybyciu wnet ducha wyzionął. Na widok zwłok ukochanego monarchy zapanowała w stolicy nieutulona żałoba. Gdy grzebano je w ogrodzie Uzza, w nowych grobach ostatnich królów judzkich, mężczyźni i kobiety, płacząc i narzekając w zawody, wołali: „O panie, o majestacie!“ Odtąd w każdą rocznicę dnia, w którym padł przeszyty strzałami ostatni dzielny król z domu Dawida, powtarzano pieśń żałobną, z okoliczności tej przez Jeremjasza ułożoną. Nigdy poległego króla nie opłakiwano szczerzej niż Jozjasza. Nieszczęsna bitwa pod Megiddo, na równinie Jezreel, stanowiła punkt zwrotny w kolejach dziejów ludu judzkiego.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Ostatni królowie judzcy.

(608—586).

Dalekoż sięga przezorność ludzka? O włos zaledwie poza chwilę obecną. Pragnąc zabezpieczyć niezawisłość Jehudy, zamierzał Jozjasz położyć tamę wścibstwu Egiptu, który ustawicznie wtrącał się do spraw obcych krajów, — i tem właśnie przyczynił się do ujarzmienia przez to mocarstwo własnego narodu. Bitwa, przegrana pod Megiddo, przetrzebiła chyba doszczętnie zdatne do oręża zastępy Jehudy, skoro nie spróbowano nawet wywołać powstania na tyłach posuwającego się naprzód Faraona. W Jerozolimie, opłakującej śmierć poległego króla, o niczem więcej nie pomyślano, prócz przystąpienia do wyboru następcy. Jozjasz z dwóch żon trzech zostawił synów, pierworodnego Eljakima i dwóch młodszych, Szalluma i Matanjasza. Ojciec, jak się zdaje, miał zamiar przeznaczyć na następcę syna średniego. Szanując wolę nieodżałowanego monarchy, lud obwołał królem Szalluma, o dwa lata młodszego od Eljakima. By tron jego królewski zabezpieczyć przeciw sporom o sukcesję, namaszczono go w drodze wyjątku. Obejmując rządy, przybrał on, stosownie do zwyczaju, nowe imię — Jehoachas (Joachas).

Atoli przyszło już do tego, że ani wola ludu nie mogła króla ustanowić, ani święty olej uczynić go nietykalnym; inna teraz rozstrzygała potęga. Necho, któremu zwycięstwo pod Megiddo oddało w ręce zwierzchnictwo nad krajem, inne miał widoki. Na pozór nie troszcząc się bardzo o Jehudę, dotarł Necho spiesznymi marszami do okolic Eufratu, objął w posiadanie należące do Assyrji ziemie Aramu, czyli Syrji, i obrał sobie w Ribla tymczasową rezydencję. Tam też udał się do niego Szallum-Jehoachas, aby uzyskać odeń zatwierdzenie wyboru i otrzymać w lenno kraj judzki. Ale nowoobrany król nie znalazł łaski w oczach zwycięzcy egipskiego. Necho pozbawił go dostojeństwa królewskiego, kazał okuć w łańcuchy i wywieźć do Egiptu, królem zaś Jehudy mianował Eljakima. Jehoachas trzy tylko miesiące nosił koronę.

Eljakim, czyli, jak się po objęciu rządów nazywał, Jojakim (607—596), zaraz na wstępie swego panowania przykrą musiał spełnić powinność. Za karę, że Jozjasz przeszkodzić chciał jego pochodowi przez Judeę, nałożył Necho na kraj wysoką kontrybucję w złocie i srebrze. Nie było podówczas skarbów w pałacu ani świątyni. Obciążył przeto Jojakim podatkiem wszystkich zamożnych mieszkańców, odpowiednio do majątku każdego, i podatek ten polecił swym sługom ściągać przemocą. Do upokorzenia, zwątpienia, niemocy i potulnej uległości względem zwycięzcy, nowa się przyplątała klęska. Lud, ufając zapowiedzi odnalezionej i odczytanej księgi Zakonu, oczekiwał, po zarządzeniu przez Jozjasza poprawy religijnych i obyczajowych stosunków, nadejścia dni szczęśliwych

i sądził, że Jehuda, jak za czasów Dawida i Salomona, znów między narodami wybitne zajmie stanowisko. A oto stało się wręcz przeciwnie. Król, całem sercem oddany Jehowie, padł w zgiełku walki i, przewieziony do stolicy, zawarł gasnące oczy, kwiat wojska izraelskiego zaległ plac boju. Syn królewski jęczał w kajdanach, a kraj cały w haniebną popadł niewolę. Co za rozczarowanie! Wraz z zwrotem tym zaszła też zmiana w poglądach, następstwem której była recydywa. Lud, nie wyłączając nawet inteligencji, zaczął powątpiewać o potędze Boga Izraela, który poniekąd nie dotrzymał, lub nie mógł dotrzymać swych obietnic. Uroił więc sobie, że kult bożków, który tak długie za Manassego przetrwał lata, snadniej potrafi go uszczęśliwić. Znów tedy zabrnął w dawne swe grzechy, puścił w niepamięć uroczyście ślubowany rozbrat z bałwochwalstwem, znów pobudował ołtarze na każdem wynioślejszem wzgórzu, pod każdem drzewem rozłożystem. Znów każde miasto w Jehudzie miało swego Boga. Zwłaszcza też poczęto cześć oddawać bogini egipskiej Neit, królowej niebios, którą najgorliwiej uwielbiano w Sais, rezydencji króla Necho. Alboż bogini ta nie obdarzyła zwycięstwem króla egipskiego. Potężna ta niebianka mogłaby i zwyciężonym mocy użyczyć i wyrwać ich z niedoli. Więc też na ulicach Jerozolimy i w innych miastach Jehudy składano ofiary wrzekomej niebios władczyni. Wznoszono znowu w domach posągi bóstw ze złota i srebra, z drzewa i kamienia, ba, nawet figury ze wstyd obrażającemi częściami i w gorszącej postawie. Znów, jak za czasów Manassego, zelżono świątynię sprośnymi bałwanami. Lecz co najbardziej oburzać mogło, weszły znów w zwyczaj, jak za czasów Ahaza i Manassego, ofiary dzieci. Znowu wzniesiono ołtarz w pięknej dolinie Ge-Hinnom, by na cześć Molocha palić tu bez litości dzieci kwilące. Szczególniej pierworodnych rzucano na pastwę ognia. Bałwochwalstwo, zawleczone niegdyś do kraju w niewinności ducha, bądź skutkiem ciemnoty, bądź też poprostu z popędu do naśladownictwa, uprawiano za Jojakima, jak za Manassego, z świadomym czynu zapałem.

Ręka w rękę z bałwochwalczym obłędem, z rozpasanym i dzieciobójczym kultem szły występki i skażenie obyczajów, cudzołóstwo, ciemiężenie cudzoziemców, wdów i sierot, przedajność sędziów, kłamliwość, nierzetelność, nadmierna lichwa i srogość względem niewypłacalnych dłużników, wreszcie morderstwa.

Dzieło poprawy, nad którem Jozjasz z takim zapałem pracował, w kilka lat po fatalnej jego śmierci runęło i znikło, nie pozostawiając śladu w życiu publicznem; przestrogi księgi, której odkrycie tak wstrząsające wywarło wrażenie, nie znajdowały posłuchu u tłumu. Istniały już wprawdzie koła, co Zakon wysoce ceniły i wzdychały na widok ohydy i zbrodni. Lecz, niestety, szlachetniej myślący na westchnieniach jeno poprzestać musieli wobec olbrzymiej masy tych, co się z każdym dniem bardziej pogrążali w zakale bałwochwalstwa i zwyrodnienia moralnego. Część kapłanów z domu Arona zaofiarowała dobrowolnie swe usługi temu wszetecznemu kultowi, stanowiskiem swem i powagą nadając mu znamię świętości. Popierali bałwochwalstwo i związaną z niem swawolę nadewszystko, zda się, Aronidzi z Anatot, krewni i towarzysze proroka Jeremjasza. Fałszywi prorocy przemawiali w obronie pogańskiego szału i rozpusty, już nietylko dla własnej korzyści i chleba, jak to było dawniej, lecz i z pewnem przekonaniem i żarliwością. A król Jojakim? Nie nakazał on wprawdzie, ani popierał tego nawrotu ku bałwochwalstwu, cierpiał je przecież, pozwolił mu się krzewić, sam może w niem uczestniczył i nie usiłował zażegnać upadku obyczajów.

Prorocy Jehowy, bojujący za sprawę prastarej nauki, szczerej bogobojności i czystości obyczajów, w zwy-

rodniałej tej epoce znajdowali się, rzecz prosta, w ciężkich warunkach i wystawieni byli na nienawiść, prześladowanie i obelgi. Mało atoli zważali na niebezpieczeństwa, czując w sobie nieprzeparty popęd do nieustraszonej walki z moralnem i religijnem zepsuciem. Nigdy tylu nie było proroków, ile w ostatniem dwudziestoleciu przed upadkiem państwa judzkiego. Upatrywali oni zbawienie ojczyzny li tylko w przywiązaniu do Boga Izraela, w posłuszeństwie dla pochodzącej odeń nauki, powstrzymywaniu się od plugawych praktyk bałwochwalstwa, tudzież w niepokalaności słowa i czynu. Przemawiali niemal codziennie, przy każdej okazji, do ludu, do książąt, do króla, zachęcali, zagrzewali, grozili i zapowiadali zgubę, gdyby zdrożności wszelkiego rodzaju trwać nadal miały. Czterech z nich tylko przeszło do potomności: Jeremjasz, Urjasz, Habakuk i Ezechjel; dochowały się przecież proroctwa i takich, których imiona poszły w niepamięć. Proroka Urjasza, syna Szemaji z miasta leśnego (Kirjat-Jearim), znamy tylko z jego śmierci tragicznej. Zwiastował on w pierwszych chwilach panowania króla Jojakima (między 607 a 604) klęski i zagładę Jerozolimie i całemu krajowi, jeżeli lud i król nie zejdą z błędnej drogi i do Boga nie wrócą. Jojakim, dowiedziawszy się o tej złowróżbnej przepowiedni, posłał gońców, by ujęli i pozbawili życia proroka. Urjasz atoli uszedł do Egiptu. Jojakim, rozjątrzony na niego, wyprawił do Egiptu jednego z książąt, aby zażądał wydania zbiega. Przyprowadzonego do Jerozolimy kazał król gardłem ukarać, a zwłoki jego rzucić na cmentarz pospólstwa.

Działalność prorocza Jeremjasza rozpoczęła się dopiero ze wstąpieniem na tron Jojakima, z chwilą więc, gdy zaszedł zwrót ku dawnym szkaradom; w ostatnich latach panowania Jozjasza prorok zachowywał milczenie. Teraz dopiero pojął Jeremjasz znaczenie słów, jakie usłyszał młodzieńcem w pierwszą uroczystą godzinę proroczego swego powołania: „Czynię cię grodem obronnym, słupem żelaznym i murem śpiżowym przeciwko królom Jehudy, książętom, kapłanom i ludowi.“ Należało być stałym i niezłomnym i bez obawy spoglądać w oczy grożącemu prześladowaniu. Przygotował się też do energicznego wystąpienia przeciw powodzi zepsucia i do zwiastowania nieuchronnej zagłady, aczkolwiek tkliwe serce jego krwią się przy tem zalewało i sam częstokroć dodawać sobie musiał otuchy, by nie paść pod ciężarem złowieszczych przepowiedni, co duszę jego tłoczyły. Lubo już doszedł wieku męzkiego, nie wprowadził Jeremjasz żony do domu swego; nie był bowiem w stanie napawać się uciechami życia rodzinnego, widząc z trwogą w duszy, jak coraz gęściej kładły się cienie, rzucane przez przyszłość klęskami brzemienną. Kroczył więc samotny i posępny, nie biorąc udziału w życiu towarzyskiem, gdyż wesołego nastroju pozbawiał go ból serdeczny na widok samobójczej zapamiętałości narodu. Radby był zamieszkać gdzieś daleko, bodaj w najokropniejszej pustyni, radby był lud swój opuścić, byle nie być świadkiem jego nieprawości. Ale nie mógł zejść z pola, coś go przykuwało, jakby żelaznemi więzy, w piersi gorzał zapał do czynu: musiał przemawiać, przekładać, ostrzegać, aby lud ku zgubie na oślep dążący powstrzymać swem słowem. Nieraz pod stropem świątyni wylewał smutek swej duszy w cichej modlitwie, prosząc, by Bóg, mimo wszystko, raczył odwrócić od ludu swego wiszącą nad nim klęskę, a zawsze duch mu szeptał proroczy, że modły te są daremne.

Jedną z swych pierwszych mów za rządów Jojakima ściągnął na siebie nienawiść stronnictwa zagorzałych bałwochwalców, a zwłaszcza kapłanów i pseudoproroków. Gdy w pewne święto licznie się lud zgromadził z ofiarami w świątyni, w ostrych słowach wy-

rzucał mu Jeremjasz jego przewrotność. Z szczególną zapalczywością uderzał na nowozaszczepiony kult egipskiej bogini Neit, rzekomej królowej niebios, i na ofiarowanie dzieci.

Zaledwie skończył przemowę, ujęli go kapłani i fałszywi prorocy, wołając: „Umrzesz, boś prorokował, że świątynia ta zginie, jak przybytek w Silo.“ Wskutek tego powstało zbiegowisko na placu przed świątynią. Niektórzy z obecnych stanęli w obronie Jeremjasza. Zgiełk sprowadził do świątyni kilku książąt. Wśród nich znajdował się Achikam, syn Szafny, i inni, należący do stronnictwa proroków. Książęta ci zarządzili doraźne posiedzenie sądowe u jednej z bram świątyni i wysłuchali oskarżenia i obrony. Kapłani i kłamliwi prorocy mówili: „Mąż ten na śmierć zasłużył, albowiem zwiastował zagładę miastu temu i świątyni.“ Jeremjasz zapewniał uroczyście, że przemawiał w imieniu Boga: „Wiedzcie, że gdy mię zabijecie, przelejecie krew niewinną; sprostujcie drogi swe i uczynki, a Bóg odwróci od was nieszczęście.“ Na to rzekli książęta do rozjątrzonych kapłanów i pseudoproroków: „Mąż ten na śmierć nie zasłużył, przemawiał bowiem do nas w imieniu Boga naszego.“ Staraniem przyjaciół, a zwłaszcza Achikama, uniewiniono na ten raz Jeremjasza. Lecz tem zacieklej ścigali go swą nienawiścią kapłani i fałszywi prorocy, czyhając na lada sposobność, aby dać mu się we znaki.

Tymczasem państwo assyryjskie dosięgła dłoń karząca. Pierwsze to mocarstwo, co sześć z górą wieków dyktowało prawa narodom, a rozpościerając się od podnóży Kaukazu i brzegów morza Kaspijskiego do morza Perskiego i od Medji wschodniej do Azji Mniejszej i Egiptu, wszystkie te ujarzmione ziemie z niesłychanem traktowało okrucieństwem, państwo, którego arcykrólowie za bogów się uważali, państwo to olbrzymie runęło

sromotnie dzięki skojarzonym usiłowaniom Kyaksaresa, króla Medji, i Nabopolassara, króla Babilonji. Niniwa, gród kolosalny, upadła po oblężeniu (ok. 605). Taki wymiar kary na stolicę i lud assyryjski zwiastowali już dawniej dwaj prorocy judzcy, Nahum i Cefanjasz. Śledzący bacznie losy dziejowe ludów współczesnych prorocy w upadku Assyrji upatrywali świadectwo swych przekonań o istnieniu moralnego układu świata, przejawiającego się w życiu narodów. Assyrja zginęła, ponieważ była występną i butną, i tak też legną w gruzach najpotężniejsze państwa wszechświatowe, skoro dopełnią miary nikczemności. Z powodu upadku Assyrji znaczne wynikły zmiany na ówczesnej widowni dziejowej. Medja główną została spadkobierczynią assyryjskich niegdyś posiadłości; lwią część zagarnął Kyaksares, sojusznikowi swemu, Nabopolassarowi, zostawiając tylko Babilonję, Elymais, a nadto prawo do krajów na zachodnim brzegu Eufratu, do których zaliczała się też Jehuda.

Gdy zmarł współpogromca Niniwy, król Nabopolassar, mniemał Necho, iż łatwe odniesie zwycięstwo nad młodocianym jego następcą. Ale młody ten władca, Nebukadnecar, który po ojcu objął rządy Babilonji (604—561), był bohaterem pełnym cnót wojennych; jemu to przeznaczonem było przeobrazić z gruntu polityczne stosunki narodów, zamieszkałych między Egiptem a Eufratem. Przyszło do bitwy pod Karkemisz (Circesium), miastem przy ujściu Chaborasu do Eufratu. W Jehudzie i Jerozolimie z natężeniem oczekiwano wyniku starcia Egiptu z Babilonją. Lud życzył porażki Nechowi, który był sprawcą upokorzenia Jehudy, ujarzmiając ją na poły. Jeremjasz zaostrzył jeszcze ogólne napięcie mową, w której przepowiedział porażkę wojska egipskiego; rzecz ta posiada też wartość artystyczną.

Wojsko Necha w istocie poniosło nad Eufratem (604) klęskę okropną. Zdobywca egipski musiał zanie-

chać planu podboju Babilonji. Z trudnością udało mu się utrzymać przy dotychczasowych zaborach. Gdy wojsko egipskie wracało z pogromu do ojczyzny, poznali Judejczycy, że ziściło się proroctwo Jeremjasza. Dzięki klęsce pod Karkemisz kraj chwilowo wyzwolił się z pod władzy egipskiej. Lud, a zwłaszcza możni, pozbyli się też innej obawy, znikła groźba stojącej już niemal u progu ruiny państwa. Jeremjasz zwiastował nieraz żyjącemu pokoleniu przyszłość ponurą, gdyby nie wyrzekło się swego obłędu i nieprawości. Jeżeli te wróżby złowieszcze nie oddziałały na zachowanie się króla i dworzan, niemniej jednak dręczyli się oni trwogą tajemną. Lecz oto Egipt, najbliższy wróg, doznał porażki, co siły jego zwątliła, Assyrja, przez sto lat z górą biczem i jarzmem będąca dla Judy, wykreśloną została z listy narodów. Mógł przeto król Jojakim i jego książęta, wybiwszy sobie z głowy troskę o przyszłość, oddać się bez przeszkód rozpuście i wybrykom.

Jojakima opanowała niepohamowana namiętność budowania, jakgdyby pragnął Jerozolimę, której zgubę przyśpieszał swoją przewrotnością, oddać w ręce wroga niby strojną ofiarę. Polecił wznieść sobie pałac obszerny, z przewiewnymi krużganki i długim szeregiem okien, kazał go barwnie pomalować i pokryć boazerją z cedru. Do budowy sprowadzał również cedry z Libanu. Chciał naśladować Salomona. Przy budowie przecież nie zatrudniał, jak ten ostatni Kanaanitów, lecz zmusił do szarwarku wolnych obywateli, każąc smagać aż do ostatniego tchu tych, co usiłowali uchylić się od tej pańszczyzny. Wolny chwilowo od kłopotów, pędził życie hulaszcze, trawiąc czas na biesiadach i orgjach pijackich.

Z błogiego wywczasu, w jakim pogrążyli się król i magnaci, zbudził ich szorstko Jeremjasz. Wieszcze jego oko jasno przejrzało, że upadek Assyrji nietylko nie położy końca wglądaniu ludów z nad Eufratu i Tygrysu w sprawy krajów zachodnich, a wraz z niem krwawym wojnom, łupieztwu, niedoli i przesiedlaniu mieszkańców, lecz że trwać będą one w wzmożonym jeszcze zakresie. Widział w ukazaniu się ludu chaldejskiego, dotąd zaledwie znanego z imienia, i w królu jego Nebukadnecarze, którego postać wyłoniła się z mroków,—narodziny nowej monarchji światowładnej, co potęgą swą zaćmi jeszcze Assyrję i całą ziemię napełni zdumieniem. Zaraz po pierwszem wystąpieniu króla babilońskiego, wkrótce po zwycięstwie odniesionem nad Nechem, przepowiadać zaczął Jeremjasz zwycięzką jego nad narodami przewagę, która zwłaszcza Jehudzie da się dotkliwie we znaki. Gdy raz z jakiejś okazji zgromadziła się ludność stolicy i kraju, obwieścił prorok z Anatot nieulękle objawione sobie widzenie i bez ogródek wyjaśnił, jakie losy czekają Jehudę i ludy sąsiednie. Przypomniawszy na wstępie, że sam od lat już dwudziestu trzech zachęca do poprawy, że inni także prorocy niemal codziennie w tymże sensie daremnie przemawiali, prorokował, że zdawna zapowiadane klęski spełnione będą przez ludy północy, dłonią Nebukadnecara, którego Bóg w tym celu powołał. Lecz i ta mowa prorocza odbiła się bez echa od głuchych, zatwardziałych, lekkomyślnych serc króla i możnych. Niemniej wszakże prawił Jeremjasz i nadal niestrudzenie w najróżnorodniejszych, porywających zwrotach o zagrażającem ujarzmieniu przez Chaldejczyków i Nebukadnecara.

Jednocześnie z Jeremjaszem przepowiadał i prorok Habakuk straszliwy sąd Pański nad Jehudą i Jerozolimą i głosił również, że wykonawcami jego będą Chaldejczycy. Habakuk wielce przypomina Jeremjasza. Była to także dusza szlachetna i tkliwa.

Przestrogi, przepowiednie i karcące mowy Jeremjasza, Habakuka oraz innych proroków, pomimo elokwencji swej i dosadności, rozbijały się o zakamieniałe serca

możnowładców. Owo właśnie tak częste powtarzanie przez proroków ich gróźb—co rano bowiem przemawiali—ten wywołało skutek, że się ucho z niemi oswoiło, stępiało i straciło wrażliwość. Pędzono dalej żywot bez trosk, licząc na traf szczęśliwy i lekceważąc potęgę Nebukadnecara, i szydzono z proroków, że jakoś się nie spełnia przepowiadana przez nich kara. „Gdzież słowo boże?“ mówiono, „niechże się ziści!“ albo też przeczono prawdziwości proroctwa: „Klęska na nas nie spadnie, wojny ani głodu nie zaznamy, prorocy z wiatrem się rozwieją, nie mówi przez nich głos Boga.“ — Ci nawet, co dawali wiarę słowom proroków, pocieszali się, że nie spotka ich zapowiedziana niedola, że wróżby dotyczą późniejszych, odleglejszych czasów: „Upłyną dni i wszelkie proroctwa obrócą się w niwecz.“ Zwodnicze przemówienia kłamliwych proroków obezwładniały w zupełności wpływ i przestrogi Jeremjasza i jego towarzyszy. Uspakajali oni lud, wołając bez ustanku: „Pokój, pokój! wojna ominie kraj.“ Od fałszywych tych proroków i fałszywych kapłanów znosił Jeremjasz najwięcej przykrości, że bezwzględnie i ostro przemawiał, kładąc palce w jątrzącą się ranę. Właśni jego przyjaciele knuli przeciw niemu plany mordercze i zastawiali nań sidła. Wierny jego uczeń Baruch, syn Nerjasza, nieodstępnie za nim kroczący, jak Elizeusz za prorokiem z Tiszby, ściągnął również na siebie gniew prześladowców, którzy mistrza jego gnębili. I on też miał słuszny powód narzekać na troski i cierpienia.

Lecz nakoniec przyznano słuszność prawdziwym prorokom, wróżby ich poczęły się iścić, nadchodziła godzina głoszonej przez nich klęski z rąk Chaldejczyków. Nebukadnecar, utrwaliwszy na wewnątrz potęgę rozszerzonego państwa, pobudowawszy olbrzymie gmachy i przekopawszy kanały celem ułatwienia żeglugi, nową zamyślił wyprawę zaborczą. Assyrja aramejska, czyli Syrja, uległa zapewne bez oporu; przyszła następnie kolej na Fenicję, której król, Itobal II, również został wasalem Nebukadnecara. Wielka ta wyprawa chaldejska wymierzoną właściwie była przeciw Egiptowi. Dla uskutecznienia trudnego tego i uciążliwego przedsięwzięcia niezbędnem było podbicie krajów, położonych między Syrją a Egiptem: Jehudy, Filistei i Edomu. Lubo w porównaniu z mocarstwem wszechświatowem były to karlęta, wroga przecież postawa tych państewek mogła być zawadą dla Nebukadnecara, ujarzmienie zaś ich otworzyłoby mu drogę. Coraz więc dalej posuwało się wojsko chaldejskie, dążąc ku kresom Egiptu. Jojakim otrzymał zapewne wezwanie potężnego zdobywcy do ukorzenia się i poddania kraju, jeżeli pragnie uniknąć zagłady. Z drugiej atoli strony zachęcał go Egipt do energicznego oporu, obiecując pomoc i łudząc, jak zwykle, pięknemi słówkami. Judea znalazła się znów między młotem a kowadłem, jak niegdyś za czasów Hiskjasza, zmuszona służyć za boisko, na którem dwa miały się zmierzyć potężne mocarstwa. Trzeba było powziąć jakie postanowienie, lecz w oczekiwaniu pomocy Egiptu, czy też cudu, odkładali je Jojakim i doradcy jego z dnia na dzień.

W tej trwodze zapowiedziano post na miesiąc dziewiąty (zimą 600 r.) i zwołano kraj cały, by się zgromadził w Jerozolimie i tu błagał Boga o odwrócenie groźnego nieszczęścia. Mimo wszelkie zabobony bałwochwalcze naród wciąż pokładał ufność w poświęconej Jehowie świątyni, wierząc, iż osłonić go zdoła przed najpotężniejszym bodaj wrogiem. Spodziewano się zakląć niebezpieczeństwo za pomocą licznych ofiar i oznak żałoby, głowę posypawszy popiołem. Lud miotany niepokojem i trwogą o przyszłość, płynął tłumnie na plac świątyni, jakby tu bezpieczne mógł znaleźć schronienie. Jeremjasz zaś polecił swemu wiernemu uczniowi, Baruchowi, spisać mowę proroczą, jaką przed kilku laty wygłosił, o niezwy-

ciężonej potędze państwa chaldejskiego, które dopiero co wynurzyło się na widownię dziejową, i odczytać jej treść przed świątynią wobec zgromadzonego ludu stolicy i prowincji. Niechże się z niej przekona, że tak blizkie dziś niebezpieczeństwo prorok dawno już przewidywał i wieszczył. Przeszkodziło mu coś wystąpić osobiście, prosił przeto Barucha, by go wyręczył. Ale ten wzdragał się zrazu dopełnić tak niebezpiecznego zlecenia. Powtórzeniem mowy Jeremjasza miał nakłonić lud cały do ukorzenia się przed Nebukadnecarem w chwili właśnie, gdy lud ten umartwiał się postem, pragnąc uniknąć jarzma chaldejskiego. Zawołał tedy Baruch: „Biada mi, bo do dawnych nowe mi Bóg przydaje strapienia! Jużem wyczerpany wzdychaniem, a spokoju znaleźć nie mogę.“ Jeremjasz odrzekł na to na poły z wyrzutem, na poły ze słodyczą: „Tak mówi Bóg: Oto, com zbudował, chcę zburzyć, com zasadził, chcę wykorzenić, a ty dla siebie wymagasz rzeczy nadzwyczajnych? Nie powinieneś tego wymagać.“ W dobie bolesnych walk i przeobrażeń winna jednostka życie swe chętnie położyć w ofierze. Baruch uległ i podjął się zlecenia. W otwartym krużganku, w przedsieniu świątyni, odczytał treść zwoju przed całym zgromadzonym ludem. Niektórzy z obecnych słyszeli zapewne już dawniej tę mowę pełną przestróg, nie zwrócili wszakże na nią uwagi, albo zapomnieli. Obecnie atoli, w obliczu blizkiego niebezpieczeństwa, gdy zastępy Nebukadnecara stanęły nieopodal Jerozolimy, rzecz ta wywarła potężne wrażenie. A więc wypadki, tak groźnie dziś nad Judeą wiszące, już kilka lat przedtem przewidziane były przez proroka, który zwiastował, że król Babelu wtargnie niechybnie do kraju i odda go na zagładę, jeżeli naród nie wejdzie na drogę poprawy. Zdumienie i wzruszenie ogarnęło słuchaczy. Młodzieniec pewien, imieniem Micha, syn Gemarjasza, pospieszył natychmiast ze świątyni do książąt, zebranych

w jednej z sal pałacowych i, cały jeszcze pod wrażeniem mowy proroczej, doniósł im o tem, co słyszał. Książęta również doznali wstrząśnienia. Zaprosili oni Barucha, aby odczytał raz jeszcze w ich obecności treść zwoju, stwierdzającego prawdziwość proroctw Jeremjasza. Każdy jego wyraz w serce ich godził, opanowała ich trwoga. Postanowili więc podać go do wiadomości króla w nadziei, że i jego przejmą te słowa i skłonią do zaniechania wszelkiego wobec Nebukadnecara oporu, a może nawet do zabiegów koło zmiany i poprawy stosunków, jak niegdyś ojca jego, Jozjasza, do podobnych starań zniewoliły słowa kodeksu deuteronomicznego. Udali się przeto do króla i oznajmili mu o tem, co zaszło w świątyni. W pierwszej chwili zabłysła im nadzieja, albowiem Jojakim rozkazał rodał odczytać. Król, że było zimno, grzał się przy ustawionym na środku komnaty piecyku, pełnym płonących węgli, a dokoła niego stali książęta krwi królewskiej i możnowładcy. Z natężoną uwagą słuchali oni słów zwoju Jeremjaszowego, który odczytywał jeden z umiejących czytać dygnitarzy. Tymczasem Jojakim kazał sobie podawać kolejno każdą przeczytaną kartę i z zimną krwią rzucał ją w piecyk. Z przerażeniem patrzyli na to ci z magnatów, co spodziewali się pomyślnego wyniku, i błagali króla, by nie wyzywał przeznaczenia. Lecz nie zważając na ich przekładania, król rzucał dalej w ogień kartę za kartą, póki cały nie spłonął rodał. Nadomiar wydał rozkaz odszukania zwiastującego niedolę proroka i ucznia jego, zamierzając pozbawić ich życia, jak to uczynił był z prorokiem Urjaszem. Na szczęście zaniepokojeni możnowładcy zarządzili zawczasu odpowiednie środki, by Jeremjasza i Barucha ukryć w bezpiecznem schronieniu. Uszli tedy z życiem.

Był to niewątpliwie dzień ogromnego w Jerozolimie wzburzenia, wielkie atoli zgromadzenie ludowe rozproszyło się bezowocnie. Odczytanie zwoju nie zostało bez

wpływu; wywołało ono rozłam wśród książąt. Ci, co wierzyli w proroctwa Jeremjasza i czynili starania, aby go ocalić, byli stanowczo za poddaniem się Nebukadnecarowi; do nich należał pisarz wojskowy, który zarządzał sprawami wojny. Skoro ci i wielu jeszcze innych poważanych mężów rady oświadczyli się przeciw wojnie, nie mógł jej Jojakim podejmować, w przeciwnym bowiem razie postawiłby na jedną kartę bezpieczeństwo swego tronu. Zawarł więc pokój z Nebukadnecarem, zapłacił nałożony haracz, przyrzekł też zapewne brać czynny udział w jego wyprawach i wogóle pełnić wszelkie powinności, jakie podówczas obowiązywały wasala. Taki był początek zależności Jehudy od Chaldejczyków (600). Jeremjasz opuścił zapewne swe schronienie: lubo król nienawiścią dyszał ku niemu, włos mu przecież nie mógł spaść z głowy. Osłaniali go książęta, co mu sprzyjali. Podobnież i zdobywca chaldejski, przed którym nie zatajono chyba, że prorok świetną przepowiedział mu karjerę i radził uznać jego potęgę, pewno go już wtedy, jak później, otaczał opieką.

Jojakim wszakże zżymał się na jarzmo chaldejskie, nie mógł już bowiem, jak dawniej, wodzy popuszczać swym namiętnościom. I król egipski z pewnością nie przestał go podżegać do sprzeniewierzenia się Nebukadnecarowi. Gdy przeto król fenicki, Itobal II, wypowiedział temu ostatniemu posłuszeństwo (598) i miasto Tyr tak obwarował, iż mogło stawiać opór długotrwały, w niepojętem zaślepieniu zbuntował się i Jojakim, odmówił daniny i połączył się z Egiptem, a może i z Fenicją. Nebukadnecar musiał wskutek tego skupić potęgę swą wojenną przeciw Fenicji i wszczął oblężenie Tyru, które ciągnęło się lat trzynaście. Nie był tedy na razie w możności ukarać buntowniczego króla Jehudy, tak że Jojakim łudził się, iż nazawsze odzyskał niezależność. Nie mógł się jednak cieszyć nią spokojnie. Wprawdzie Nebukadnecar nie był w stanie wysłać przeciw niemu hufców znaczniejszych, natomiast trapił kraj judzki podjazdami. Była to przegrywka do sroższej jeszcze niedoli. Wśród takiej spraw niepewności zmarł Jojakim (597) i spoczął w grobach, przez Manassego dla królów Jehudy założonych; ostatni to był król z domu Dawida w ojczystej pogrzebany ziemi. Rządy po nim objął osiemnastoletni syn jego, Jojachin, (zwany też Jechonja, a przez skrócenie Khonjahu), właściwie zaś matka jego Nechuszta, córka obywatela jerozolimskiego, gdyż ona to ster rządów dzierżyła. Jojachin trwał w urojeniu, że zdoła oprzeć się Nebukadnecarowi, i nie chciał mu złożyć powinnego hołdu. Trwał też we wszystkich zdrożnościach i bałwochwalczych zabobonach swego ojca. Wszelako zaślepienie Jojachina i matki jego rychły kres wzięło. Nebukadnecar zdołał wreszcie uwolnić z pod Tyru znaczną część wojska, by je poprowadzić przeciw Egiptowi, który wrogie rozpoczął działania. Chaldejskie te zastępy z łatwością cały kraj podbiły aż do rzeki egipskiej (Rhinokolura). Zajętą też została cała Judea, z wyjątkiem kilku miast na południu. Mimo to Jojachin nie zaniechał dalszego oporu; mniemał on się być bezpiecznym poza potężnymi murami Jerozolimy, a w razie oblężenia liczył na odsiecz Egiptu. Rozjątrzony niespodzianym oporem wysłał Nebukadnecar kilku wodzów celem oblężenia Jerozolimy.

Jeremjasz, który może milczał w ostatnich latach panowania Jojakima, podczas oblężenia przemawiał z taką odwagą, iż zrozumieć ją można, przypuszczając tylko, że popierali go niektórzy książęta i część ludu. Na młodocianego króla oraz matkę jego miotał cierpkie i pełne groźby wyrazy. Jojachin wszakże nie miał nawet czasu myśleć o poprawie, albowiem klęski, spowodowane oblężeniem, zagłuszały wszystkie inne sprawy. Klęski te, jak się zdaje, potęgował jeszcze brak deszczu. Gdy Nebukadnecar osobiście przybył do obozu, udali

się doń z pokorą król i królowa-matka wraz ze świtą, aby go prosić o przebaczenie. Zwycięzca nie dał się jednak przebłagać i ciężkie stawiał warunki. Jojachin musiał zrzec się korony i wraz z matką, która nim powodowała, żonami, rodzeństwem i rzezańcami pójść na wygnanie do Babilonu; zasiadał on na tronie Dawida sto dni zaledwie. Już w tem Nebukadnecar dostateczną okazał łagodność, iż pozostawił ich przy życiu i że w ogóle krwi nie przelewał. Skazał tylko na wygnanie dziesięć tysięcy mieszkańców Jerozolimy i osadził ich w Babilonji; w tej liczbie siedm tysięcy wojowników, dwa tysiące osób ze starożytnych pochodzących rodów, a między nimi Aronidów, Lewitów i Benjaminitów, zamieszkałych przeważnie w stolicy, wreszcie tysiąc rzemieślników, zajmujących się płatnerstwem i robotami fortyfikacyjnemi. Że Nebukadnecar ogołocił ze skarbów świątynię i pałac, nie był to bynajmniej akt osobliwej przemocy, gdyż czyn ten zgadzał się zupełnie z ówczesnem prawem wojennem. Pozostawił wszakże dawny ustrój państwowy, nie tknął Jerozolimy, ani jej murów, uszanował też i świątynię. Pierwszy cudzoziemski zdobywca Jerozolimy, po pięciuset niemal latach jej istnienia, obszedł się z nią nierównie łagodniej, niż wielu zdobywców czasów późniejszych.

Nie obalił też Nebukadnecar i tronu Dawida, osadził on na nim najmłodszego, dwudziestoletniego syna Jozjasza, Matanję, który przybrał imię Cydkjasza (Cedekjasz). Był to charakter łagodny, nierycerski, obcym wpływom powolny. Zdobywca babiloński w właściwościach tych upatrywał rękojmię, że Cedekjasz żadnych mu kłopotów nie przysporzy. By atoli zupełnie być pewnym wierności jego, zawarł z nim Nebukadnecar uroczyste przymierze i kazał mu wykonać przysięgę leniczą. Kraj judzki miał dlań szczególne znaczenie, jako przedmurze przeciw Egiptowi, którego podbój zaprzątał

go ciągle. Dla tego też skazał na wygnanie rody szlacheckie i książąt Jehudy, aby ci w zapamiętałości swej i zuchwalstwie nie popchnęli króla do wojennych awantur i do odstępstwa od swego lennodawcy. Judea stanowić miała nadal małe tylko i słabe państewko, któreby się wyłącznie na nim wspierało i z niego całą swą siłę czerpało. Zpośród szlachty tym tylko Nebukadnecar zostać pozwolił, o których przychylności był przekonany, lub na których żadne nie padało podejrzenie. Oni to utworzyli jądro stronnictwa chaldejskiego, które było mu również zakładem wierności. Na czele ich stał dom Szafana, wnuk którego, Gedaljasz, został gorącym poplecznikiem Nebukadnecara. Prorok Jeremjasz, jakkolwiek nie był wprost zwolennikiem Chaldei, stanowił przecież pewniejszą jeszcze porękę dobrych z Babilonją stosunków, niejednokrotnie bowiem głosił, że władza jej nad ludami jest zrządzeniem bożem. Wobec tego życzył sobie Nebukadnecar nietylko dalszego istnienia, lecz nawet pomyślności i wewnętrznego rozwoju społeczeństwa judzkiego, byleby tylko nie unosiło się butą i nie rościło pretensji do niezawisłości. Miało ono przypominać—jak obrazowo wyraża się prorok—winograd o zwisających gałązkach, któremu wzrostu nie tamują, aby jeno nie wystrzelał wysoko, lecz chylił nizkie latorośle ku niemu (Nebukadnecarowi) i swe korzenie w jego ziemię zapuszczał.

I rzeczywiście mogłaby Judea byt swój przedłużyć, gdyby na skromnej poprzestała roli. Po ciężkich ciosach rychłoby się wzmogła. Jakkolwiek bolesnem było dla pozostałych wygnanie tylu rodzin szlachetnych, jądra potęgi wojennej i kwiatu narodu, jakkolwiek jarzmo cudzoziemskie okryło żałobą stolicę i kraj cały, podźwignęły się jednak prędko nad podziw i nowym zakwitły dobrobytem. Któżby dał wiarę, że wkrótce po wywiezieniu przez zdobywcę skarbów świątyni i pałacu i po zabraniu przez zesłańców mienia swego do Babilonu,

ziemi wygnania, w Jerozolimie taki panował dostatek, iż „dzieci w purpurę przybrane ważone były na złoto?“ Jerozolima do ostatka uchodziła za gród ludny i piękny, a jej mieszkańcy wysławiali ją, jako „koronę piękności,“ „pociechę kraju całego, księżniczkę narodów.“ Rozsiadła się na kilku wyżynach, opasana wstęgą uroczych dolin i wieńcem gór, a powab jej położenia podnosiły jeszcze gmachy wspaniałe. Obok pałacu, zbudowanego przez Salomona, a ostatnio rozszerzonego i upiększonego przez Jojakima, wznosiły się okazałe domy dostojników z pni cedrowych lub cyprysowych i z wielkich bloków kamiennych. Świątynia różnymi czasy odnawiana i powiększona szeregiem krużganków, zajmowała niepodzielnie górę Morija i z wysokości swej imponujący przedstawiała widok.

Z jakichże źródeł czerpała Judea dochody tak obfite, że pozwalały jej zdobić się w szatę tak świetną, zkąd brał środki potrzebne ku temu kraik drobny, sięgający zaledwie od Jordanu do morza Śródziemnego, państewko, którego kresem północnym było miasto Geba, a południowym Berseba? Oto ziemia jego kryła w swem łonie nieprzebrane źródła bogactwa. Fenicjanie, którzy ze wszystkimi krajami utrzymywali stosunki handlowe i nabywali od nich za towar zamienny lub za gotówkę najlepsze płody, by w innych sprzedawać je stronach, wywozili rok rocznie z Jehudy znaczną ilość doskonałej pszenicy, miodu daktylowego, oliwy, balsamu i innego jeszcze cennego produktu — panagu, którego znaczenie jest dotychczas zagadką dla językoznawców. Od dłuższego wprawdzie czasu odebrano królowi Jehudy rodzące drogocenny balsam ogrody na południowym krańcu Gileadu, z tamtej strony Jordanu, i obfite ztąd źródło dochodów do innych skierowano kanałów. Wielka przecież staranność, z jaką rolnicy judzcy uprawiali swe niwy, a ogrodnicy hodowali drzewa owocowe, powetowała

niebawem tę stratę. Wzgórza, poczynając od góry Oliwnej aż do Hebronu, podatne były zwłaszcza ku uprawie oliw, a również tyle rodziły wina, iż można je było nawet wywozić zagranicę. Góry aż po same szczyty żyznym pokryte były czarnoziemem i przeistoczone w pola uprawne. Biegli w swym zawodzie ogrodnicy poświęcali się gorliwie hodowli drzew owocowych. Co zbywało krajowi na obszarze, wynagradzały mu wyżyny. W okolicach jałowych, niedostatecznie zapładnianych przez deszcze, przekopano kanały wodne. Zabiegliwość taka, wydzierająca glebie jej skarby, dostarczała ludowi coraz to świeżych źródeł zamożności.

Pewne rzemiosła i sztuki kwitły w Judei aż do ostatniego kresu jej dni. Budowa twierdz wysokiej, jak na owe czasy, dosięgła doskonałości. Rzeźba — jak dawniej w państwie dziesięciu pokoleń — wzięła początek z Assyrji. Giserzy izraelscy, na urągowisko własnej religji, tworzyli ze srebra lub złota, według wszelkich prawideł sztuki, posągi wielkości naturalnej, lub większych jeszcze rozmiarów. Pałace możnych powleczone były farbami, a posadzki komnat zdobiły mozajkowe figury, z pstrych ułożone kamieni. Jeżeli nie w całej Judei, to już stanowczo w stolicy oświata na wysokim znajdowała się stopniu. Pisać i czytać umiały tak niższe, jak i wyższe warstwy. Pisano zazwyczaj na zwojach z wyprawnego łyka lub skór zwierzęcych; rzeczy donioślejszej treści ryto na tablicach z drzewa lub wyrzynano w kamieniu. Wytworzyła się już kursywa ludowa, obok innego pisma, dostępnego tylko dla bardziej wykształconych.

Wysoki poziom oświaty, rozpowszechniony w Jerozolimie, przebijał się w pieśniach poważnych i wesołych, w trenach i przypowieściach. Prorocy ze swem pełnem polotu krasomówstwem, psalmiści ze swymi hymnami i mędrcy ze swemi jędrnemi maksymami stanowili uczel-

nię, w której naród czerpał swą wiedzę. Otaczała go niejako atmosfera poezji i wymowy. Misterne zwroty i finezje proroków przeznaczone były dla słuchaczów na takie rzeczy wrażliwych. Uszczypliwe słówka i urągliwe żarty, którym prorocy opędzać się musieli, świadczą również, jak wielkie przywiązywano w Jerozolimie znaczenie do wykwintnego języka.

Kobiety przyjmowały udział w życiu społecznem, w jego dodatnich i ujemnych przejawach. Ich to ulegając wpływom, w zbytkach się nieraz pogrążali mężowie, one to częstokroć podżegały mężów znakomitych rodów do czynów przemocy i nakłaniały do bałwochwalstwa. Znaleziona za Jozjasza księga praw zawiera przeto przepis, aby i płeć żeńska przytomną była przy odczytywaniu jej i uczestniczyła w nauce. Mądrość przysłowiowa, najrzetelniejsze ukazująca odbicie życia społecznego, niejedno zawiera zdanie o szczęściu, jakie mężowi dobra daje żona, i o zgryzotach, jakie zła mu gotuje. Wszystkie te przysłowia pozwalają wnioskować, iż każdy mężczyzna jedną tylko posiadał w domu małżonkę; ztąd też kobieta korzystała z przywileju uczestniczenia w sprawach społecznych.

Wzajemne obcowanie płci obojej nie było w ogóle w Jehudzie wzbronione. Młodzieńcy i dziewczęta w ochoczym poruszali się tańcu, przy akompanjamencie bębna ręcznego, zwłaszcza na weselach i podczas winobrania, przyczem nie zbywało na głośnych wybuchach śmiechu i śpiewach radosnych. Bo też Jerozolima była miastem wesołem, niegardzącem uciechami życia. Młodzieńcy zbierali się w winiarni, tworzyli coś w rodzaju cechu pijackiego, śpiewali z towarzyszeniem harfy i nie dbali o to, co im jutro przyniesie.

Gdy naród dojdzie do tej fazy rozwoju, że przestaje po omacku sądzić o rzeczach i wypadkach i ogarnia je wysubtelnionym rozumem, gdy zbogacone jego doświadczenie oraz wyższy stopień poznania ścielą mu widnokręgi poza ciasny obręb teraźniejszości, wówczas w łonie jego zachodzi rozdział na stan oświecony i nieokrzesane pospólstwo. Oboje łączą jeno język i obyczaje, poniekąd też poczucie wspólności pochodzenia, przynależność do jednego państwa i wspólne wspomnienia. Atoli sposób myślenia, pogląd na rzeczy i kierunek woli u obu tych warstw tak dalece są różne, jakgdyby do dwu odmiennych należały szczepów. Nieinaczej działo się i w państwie judzkiem. Klasa wykształcona, mająca przedstawicieli głównie w stolicy, dzięki udziałowi w sprawach politycznych i ruchu umysłowym, rozwinęła się intelektualnie i rozszerzyła zakres swych pojęć, stała też nieskończenie wyżej od ludności prowincjonalnej, pędzącej żywot przeważnie po wsiach i w małych miasteczkach, zajętej cały rok boży uprawą roli i hodowlą bydła i ztąd ciemnej i ograniczonej. Za to oświecona ludność stołeczna niedomagała na wyrafinowanie i przemądrzałość. Z pełnem buty zarozumieniem odwoływała się ona do swej mądrości i mniemała, że może się obyć bez wskazówek. „Samiśmy mądrzy,“ mawiała, „nauka boża jest przy nas.“ Do nich to musiał zawołać prorok Jeremjasz, pragnąc przytłumić tę wiarę w własną nieomylność: „Niechaj nie chełpi się mędrzec swoją mądrością, odważny swoją odwagą, bogacz swojem bogactwem.“ Wskutek tych różnic umysłowych zapanował nawet wśród mieszkańców prowincji jakiś wrogi nastrój względem ludności stołecznej, ta bowiem z góry na nich spoglądała i dawała im odczuć swoją wyższość. Zbudziła się znów, pod inną tylko postacią, stara niechęć Jehudy do Benjamina, Benjaminici bowiem byli po większej części mieszczanami, Judejczycy natomiast przeważnie wieśniakami. Książęta Jerozolimy byli to głównie Benjaminici. Ci zpośród ludności stołecznej, co dzięki posiadanym środkom i zacnemu rodowi wybitne

zajmowali stanowiska, wyróżniali się pewną wytwornością mowy i elegancją ruchów. Umieli oni tyleż dokazać łatwością wysłowienia, perswazją i ujmującem obejściem, ile przemocą; potrafili tłum miejski na swoją przeciągać stronę, zniewalać sobie poplecznikow i wszelkie przeprowadzać zamiary. Ta ich wymowność i układność dawały im przewagę i potęgowały znaczenie ich i wpływy. Natomiast dobrodusznym i poczciwym ziemianom ta obrotność języka i umiejętność kaptowania sobie ludzi wydawały się, rzecz prosta, obłudą, hipokryzją i fałszem. Ztąd wzajemna odraza, pomimo wspólności plemiennej i politycznej. Rodziny szlacheckie, zamieszkałe w stolicy, wywierały wpływ nietylko na lud, lecz i na dwór. Królowie niewielkie mieli znaczenie, odkąd, za przykładem Sardanapalów, zamknęli się w swoich pałacach i, niedostępni dla nikogo, trawili czas na płochych rozrywkach, wśród swego haremu. Otaczali się rzezańcami i czarnymi Etjopami, którzy czuwali u wejść do pałacu. Podczas gdy mężczyzni z ludu o tyle postąpili w uobyczajeniu, że zawierali związki małżeńskie z jedną tylko kobietą, królowie utrzymywali liczne małżonki w swoich gineceach. Im większą otaczali się pompą i ceremonjałem, im bardziej poprzestawali na zaspakajaniu błahych zachcianek, tem mniej byli zdolni do przeprowadzania swej woli w doniosłych sprawach państwowych. Książęta krwi królewskiej również zniewieścieli i pielęgnowali przesadnie swe ciało, aby jak najdłużej zachować urodę. I oni większą przywiązywali wagę do przepychu i wystawy, aniżeli do kierownictwa interesami publicznymi, a tembardziej do zabiegów około podźwignięcia ludu i kraju.

W ten więc sposób jedynie rodziny szlacheckie judzkie i benjaminickie w Jerozolimie dzierżyły faktyczną władzę w swych rękach. One to w doniosłych sprawach występowały z inicjatywą i według upodobania nadawały im kierunek. Tem snadniej udało się im głosowi swemu zapewnić przewagę, ile że król Cedekjasz odznaczał się wcale nie królewską słabością i małodusznością i nawet nie śmiał przeciwnego być zdania. Miał on dobre chęci, nie osobliwie, jak się zdaje, popierał bałwochwalstwo, ubolewał na wieść o objawach zdziczenia moralnego i skłaniał ucho na przestrogi proroków. Nie posiadał przecież dość energji, by położyć tamę samowolnej gospodarce szlachty. W pierwszych latach po wygnaniu króla Jojachina i tysięcy rodów starożytnych popłoch i obawa przed potęgą Chaldejczyków tłumiły wszelką poważną myśl oporu przeciw jarzmu obcemu. W ciągu trzech przeto, czy czterech pierwszych lat panowania Cedekjasza nie zaszła żadna zmiana w dawnych porządkach, a raczej nierządzie. Bałwochwalstwo, bezprawia, ucisk wywierany przez możnych na ubogich — wszystko to trwało, jak za Jojakima. Ustało tylko prześladowanie stronnictwa proroków, Cedekjasz bowiem, łagodniejszy od swego przyrodniego brata, Jojakima, nie pozwalał na żaden czyn przemocy, a w głębi duszy wierzył nawet w proroctwa Jeremjasza, który nie przestawał nakłaniać do pogodzenia się z zwierzchnictwem chaldejskiem i zaniechania wszelkich planów powstańczych, dla możności dalszego istnienia.

Ale możnowładcy niebawem przełożyli rokosz, wdali się w nierozsądne knowania i zwolna wciągnęli w przepaść króla i naród. Ogarnął ich szał zawrotny. Z kilku stron naraz poczęto kusić do buntu przeciw Nebukadnecarowi. Naprzód więc obłudny i zwodniczy Egipt z królem Psammisem na czele, Egipt, co wiecznie podżegał, wiecznie świetne czynił przyrzeczenia sojuszu, lecz rzadko słowa dotrzymywał. Był on dla Jehudy, według trafnego porównania proroka, jak złamana trzcina, która, gdy ją ująć, gnie się i rani dłoń drzazgami, a gdy się na niej oprzeć, pęka i powoduje upadek. Utworzyło się

w Jerozolimie pod kierunkiem szlachty stronnictwo egipskie, które pełnymi żaglami dążyło do oderwania się od Babilonji. Otwarcie, co prawda, nie mogło ono okazać swej do Egiptu skłonności, manifestowało ją więc przez zaprowadzenie egipskiej czci zwierząt. W jednym z przedworzy świątyni kazało wyryć na ścianach kilku sal wspaniałych, wykładanych mozajką, wizerunki uwielbianych w Egipcie zwierząt i paliło ku czci ich kadzidła.

Z drugiej znów strony, parł też król Tyru, Itobal, Jehudę wraz z ościennymi krajami do wojny z Nebukadnecarem. Królowie sąsiednich kraików byli już w tym celu zjednani. Chodziło o to, by i króla Cedekjasza nakłonić do związku Babilonowi wrogiego. Jeszcze i trzecia strona popychała Jehudę do wymówienia posłuszeństwa Babilonji; byli to wygnani do Chaldei Judejczycy, którzy z ziemią swą macierzystą przez gońców i listy w ożywionych zostawali stosunkach. Poduszczali do wojny, karmiąc się mglistą nadzieją, że wojsko Nebukadnecara poniesie porażkę, oni zaś, w ten lub inny sposób, odzyskają wolność i powrócą do ojczyzny.

Czwartego roku panowania Cedekjasza (593) zjechali się jednocześnie w Jerozolimie posłowie krajów, pragnących nakłonić króla do złamania słowa i wiary Nebukadnecarowi, mianowicie Edomu, Moabu, Ammonu, Tyru i Sydonu; wysilili oni całą swą wymowę, robili przyrzeczenia i plany, byle tylko zachęcić chwiejnego króla do stanowczego kroku. Jehuda mogłaby się szczycić, iż o udział jej tak się starano i zabiegano. Jeremjasz miał sobie wszakże za obowiązek proroczy naprzód ostrzedz przed sojuszem przeciw Babilonji, następnie zaś wykazać całą bezpodstawność szalonych nadziei i tumanienia fałszywych proroków. Bawiącym w Jerozolimie posłom królów cudzoziemskich podał każdemu z osobna czarę z napojem, co miało oznaczać symbolicznie, że każdy z królów będzie musiał wychylić czarę zatrutą

z ręki Nebukadnecara. Do obałamuconych wygnańców w Babilonji wystosował pismo następującej treści: „Budujcie domy i zamieszkujcie je, sadźcie winnice i pożywajcie ich owoc, pojmujcie żony i płódźcie synów i córki, wprowadzajcie do domów swych żony dla synów i wydawajcie swe córki na obczyźnie, troskajcie się o pomyślność miasta, do którego was wygnano, z jego bowiem pomyślnością związana jest i wasza. Nie dajcie się zwodzić prorokom waszym i wieszczkom, gdyż po siedmdziesięciu dopiero latach zaprowadzę was do Jehudy z powrotem.“

Jeden atoli z tamecznych uwodzicieli ludu, Szemaja Nachlami, oskarżył go listownie, iż działa zdradziecko, nakłaniając wygnańców do stałego osiedlenia się w Babilonji. Dalej gorzkie czynił wyrzuty nadzorcy świątyni, kapłanowi Cefanji, iż zanadto pobłaża prorokowi; twierdził, że obowiązkiem jest jego postąpić surowo tak z Jeremjaszem, jak i ze wszystkimi prorokami tegoż sposobu myślenia, co zachowują się jak szaleńcy; że należy zamknąć ich w więzieniu, bodaj nawet wziąć na tortury. A z warchołami Babilonu w najpiękniejszej zostawali harmonji warchoły jerozolimskie. Kłamliwi prorocy wołali bez ustanku: „Śniło mi się,“ i opowiadali sobie wzajem sny o wielkiem zbawieniu, jakie czeka Jehudę, skoro ośmieli się skruszyć jarzmo Babelu. W ogłuszającym tym odmęcie coraz słabiej brzmiał głos Jeremjasza. Mógł on tylko skargą jeszcze wybuchać: „Z winy proroków serce me we mnie skruszone, rozprzęga się cała ma istota, stałem się, jak człowiek pijany, jak mąż przesiąkły winem.“

Wichrzącym głosom wewnętrznym, naleganiu zzewnątrz Egiptu i krajów ościennych, natarczywości wreszcie ambitnych dostojników Jehudy nie mógł się długo opierać wątły duch Cedekjasza. Dał on się porwać falom burzliwym, odmówił daniny Nebukadnecarowi i, nie-

pomny na przysięgę, zerwał w ten sposób swój stosunek wasala (591).

Padł tedy los, co rozstrzygnąć miał o całej przyszłości ludu judzkiego. Największą ufność pokładali mieszkańcy Jerozolimy w niewytłomaczonej, duchowej sile odpornej miasta, w cudownem jakiemś ocaleniu. Głos Jeremjasza mniejszy jeszcze posłuch znajdował podczas przygotowań do wojny. Powodzenie zdało się potwierdzać wieszczby fałszywych proroków i wróżbitów pomyślności. Nebukadnecar nie wysłał niezwłocznie wojsk swych dla ukarania złej wiary Cedekjasza i nieposłuszeństwa Jehudy. Zwlekał on rok z górą z rozpoczęciem wojny, następnie zaś rok jeszcze z natarciem na Jerozolimę.

W Jerozolimie wyuzdana panowała radość wciągu tych lat, przez które nie pokazywało się taką trwogę budzące wojsko chaldejskie. Nie mniejszym był szał radosny i wpośród zesłańców babilońskich, aczkolwiek musiano się z nim ukrywać. Ich tęsknota do powrotu z wygnania, by zająć w ojczyźnie ponownie wybitne swe niegdy stanowiska, w odległych rachubach kazała im widzieć blizką nadzieję, w nadziei zaś—rzeczywistość. Obłędna wiara Judejczyków babilońskich ze swej znów strony, dzięki nieustannym stosunkom z ojczyzną, oddziaływała na mieszkańców Judei, tak że ani tu, ani tam nie mogły znaleźć gruntu trzeźwa rozwaga i postępowanie.

Naraz wśród wygnańców ukazał się prorok prawdziwy, który po ciężkiej walce i szamotaniu się miał wreszcie utorować drogę zdrowszemu na rzeczy poglądowi. Był to Ezechjel (Jecheskel), syn Buzy, Aronida (ur. ok. 620, zm. ok. 570), wieszcz potężnej, porywającej wymowy, żywej, bujnej, wrącej wyobraźni, słodkiego, ujmującego głosu, pełen odwagi i wytrwałości, cały przejęty szczytnym ideałem, który miał urzeczywistnić lud judzki. Za Jojachina dostał się wraz z innymi wygnańcami do Babilonu, gdzie zamieszkał nad wielkim kana-

łem, który przekopać kazał Nebukadnecar dla połączenia Eufratu z Tygrysem. Tu również osiadły liczne poważane rodziny zpośród wychodźców Jehudy, którym pozostawiono wielką swobodę i dozwolono zachować ustrój patrjarchalny, jaki przynieśli z sobą z ojczystego kraju. Wśród nich żył Ezechjel spokojnie lat kilka, własnemi zajęty sprawami, i mieszkał wraz z żoną w własnem domostwie. Nagle przed wzrokiem jego dziwne poczęły majaczeć widzenia, jakgdyby się niebiosa rozwarły i boskie odsłoniły mu zjawiska. Zrazu przecież nie podniosło go na duchu wspaniałe w swej grozie widzenie, lecz owszem znękało. Odurzony powrócił do domu, do swych współwygnańców, i siedm dni siedział między nimi, milczący i pomieszany, poczem zaczął ziomkom swym opowiadać swą wizję, oznajmując, iż polecono mu wbrew kłamliwym prorokom klęskę zwiastować. Niezwłocznie też doznał srogiego obejścia; jak obłąkańca skrępowano go powrozami i zakazano mu przemawiać publicznie. Dłuższy więc przebył czas w tem częścią przymusowem, częścią dobrowolnem więzieniu i jął się czynów symbolicznych, które widzów dziwacznością swą uderzyć musiały. A gdy pytano go o znaczenie tego symbolicznego postępowania, głosił, że Jerozolima ciężkiem nawiedzoną zostanie oblężeniem, że jej mieszkańcy chleb swój odważony spożywać będą w trwodze i wodę odmierzoną pić w odrętwieniu, że większość ludu, na wszystkie rozproszona wiatry, zginie od ognia, miecza i zniszczenia i tylko mały jego pozostanie szczątek, że będzie nań klęska walić się za klęską, że znieważony będzie sam święty przybytek. Gdy wszystko to dosadnemi wyłuszczył słowy, poczęło wierzyć jego otoczenie, że jest wysłanym od Boga prorokiem. Starsi jęli odwiedzać go w domu i zwracać się doń z zapytaniami. Skoro się doń zbliżyli, byli już na poły pozyskani, wymowie bowiem jego, przyjemnym popartej głosem, trud-

no się było oprzeć. Wzorem wprawdzie Ezechjela był Jeremjasz; mowy jego prorocze na ogół wielce są podobne treścią do mów Jeremjasza; natomiast żywszą posiadał wyobraźnię, więcej daru poetyckiego od swego pierwowzoru. Mowy jego przeto są polotniejsze, bogate w zwroty, zajmujące, częstokroć misternego układu, a wplecione w nie zagadkowe wyrocznie, alegorje i gra słów trzymają w napięciu uwagę słuchacza. Jeremjasz mówił krótko, nie przekraczając miary tematu, jaki sobie założył, obrazy jego są delikatne, refleksje, nastrojone na nutę elegijną, tchną słodyczą i rzewnością, jakgdyby mówił ze łzami. Ezechjel natomiast lubił się rozwodzić; obrazy, jakie maluje, zewsząd występują z ram, nie unika też rubasznych wyrażeń, dbając jeno o to, aby myśli swe oddać jaknajdosadniej, nigdy też nie zdradza roztkliwienia.

Od chwili wystąpienia tego bogato uposażonego proroka datuje się początek pomyślnego zwrotu w zapatrywaniach wygnańców babilońskich. Obnażał on bez litości przed nimi ich niegodziwość i grzechy ludu całego, burzył niemiłosiernie próżne nadzieje dalszego istnienia, wytykał całą ich marność i wskazywał jasno a dobitnie drogę do poprawy. Podobnie jak Jeremjasz, głosił Ezechjel, że zmiana w przekonaniach nie wyjdzie z łona zwyrodniałych mieszkańców kraju ojczystego, lecz objawi się najprzód wśród wygnańców babilońskich. Zasadniczą ideę, tkwiącą w tym zwrocie, zawarł trafnie w określeniu „nowe serca i nowa dusza.“ Nietylko zachęcał on wygnańców do nabycia nowego serca i nowego ducha, lecz zwiastował również, że kamienne ich serca przeistoczą się w miękkie, giętkie, wrażliwe serca z ciała. Pierwszy on, prorok wygnania, przezrocze nadał kształty idei, że Izrael wzorem się stanie dla innych, dzięki wewnętrznemu swemu oczyszczeniu i odnowie.

Ideę tę zaznaczył w pierwszej zaraz przemowie, jaką miał wobec starszych, którzy go odwiedzili. Po-

wtarzał też raz po raz myśl kardynalną, że Bóg wyrzekł się Jehudy i Jerozolimy, a wygnańców natomiast obrał na podwalinę odrodzonego narodu. Podczas gdy mieszkańcy Jerozolimy, nawet zacniejsi, z najbliższego otoczenia proroków, uważali „gród boży i świątynię bożą“ za niepożyte schroniska, które zdaleka omijać będzie wróg i niedola, głosił Ezechjel, iż są one opuszczone i porzucone, że Bóg gości już nie w Jerozolimie, lecz pośród wygnańców w Babilonie.

Szlachta tymczasem na wygnaniu była jeszcze bardzo, bardzo daleką od dania wiary słowom swego proroka i od poprawy. Oderwanie się właśnie Jehudy od Nebukadnecara utwierdziło ją w błędnem mniemaniu, że blizkim już jej powrót do kraju. Urojenie to wypleniał Ezechjel w ich sercach symbolem i słowem. Wdział szaty więzienne i krążył w dzień z miejsca na miejsce, a wieczorem pociemku podkopywał się pod mury, zasłaniał oblicze i rzeczy swe dźwigał na barkach. Gdy go zapytali ziomkowie, coby to znaczyć miało, oznajmił im, że to obraz tego, co czeka lud i króla Jehudy.

Z każdą mową wzrastała powaga jego wśród współwygnańców. Ci, co go niegdyś skrępowali i dręczyli, odwiedzali go często, wypytując o rezultat walki, którego z nadzwyczajnem wyglądali natężeniem. Przychodzili doń nawet z swymi bałwankami na sercu, aby mu zadawać pytania. Gdy wtem oświadczył im znienacka, że nie będzie odpowiadał tym, co stają przed nim, jako jawni bałwochwalcy. Pogróżka ta skuteczną snać była, odwiedzano go bowiem jeszcze częściej, otrzymując odeń wyroki, które niewątpliwie do smaku przypaść im nie mogły.

Nadeszła wreszcie chwila okrutnej niedoli. Nebukadnecar, który czas niejaki nie dawał o sobie wieści, wyruszył wreszcie z wojskiem, aby ludy powstańcze ukarać dotkliwie, jak zbuntowanych niewolników. Przybywszy do okolic Libanu, lub też Jordanu, postanowił

rozstrzygnąć losem, przeciw któremu krajowi rozpocząć ma najpierw kroki wojenne: przeciw Ammonowi, czy też Jehudzie; miotał strzały, na których wypisane były nazwy tych krajów, radził się bożków domowych, kazał badać wątrobę zwierząt ofiarnych. Los padł naprzód na Jerozolimę.

Jak się zdaje, ludy sąsiednie, które pierwsze podżegały do odmówienia posłuszeństwa, ukorzyły się niezwłocznie na widok nadciągającego nieprzyjaciela i u stóp jego pełzały służalczo. Edom najbliżej Judei położony wrogą nadomiar przybrał wobec niej postawę. Tyr, sam w opałach, żadnej dać nie mógł pomocy. Liczyć więc mogła Judea jedynie na poparcie Egiptu. Lecz i ten ociągał się zrazu z krokiem stanowczym. Łatwo więc przyszło Nebukadnecarowi zdobyć większą część grodów obronnych, poczem wojsko chaldejskie przystąpiło do oblężenia Jerozolimy dziesiątego dnia dziesiątego miesiąca (w końcu 588 lub na początku 587). Stolica judzka zdążyła się tymczasem obwarować oraz zaopatrzyć się w żywność i wodę w ilości dostatecznej na wypadek dłuższego oblężenia. Atoli mieszkańcy prowincji wraz z dziećmi i trzodami schronili się za nadejściem wroga do miasta, powiększając liczbę spożywców.

Prawdopodobnie z porady Jeremjasza i na rozkaz króla, możni obdarzyli wolnością współplemiennych niewolników i niewolnice, mężczyzn zapewne celem wcielenia ich do szeregów. Musieli się chyba Jerozolimianie bronić odważnie; z krótką przerwą trwało oblężenie niemal półtora roku (od stycznia 587 do czerwca 586). Przywódcą zastępów judzkich był zresztą eunuch pozostający na służbie u króla Cedekjasza. Król sam zachowywał się biernie.

Gdy już oblężenie Jerozolimy dobiegało roku, w ciągu którego ze zmiennem zapewne szczęściem walczono zdaleka, zaszła naraz niejaka odmiana. Król egipski,

Apries (Hofra), postanowił wreszcie dotrzymać tylekroć powtarzanej obietnicy i wysłał wojsko przeciw Nebukadnecarowi. Hufce egipskie musiały być dość znaczne, gdyż Chaldejczycy na wieść o ich nadciąganiu, odstąpili od oblężenia Jerozolimy i rzucili się na ich spotkanie (luty lub marzec 586). Wielka zapanowała w Jerozolimie radość. Gdy po tak długiem zawarciu otworzono bramy, mieszkańcy z pośpiechem wybiegli za miasto, by znów się nacieszyć wrażeniem swobody, zobaczyć, co się tam dzieje na wsi, w polach i winnicach, a także, by ponownie zaopatrzyć się w żywność na wypadek powtórnego osaczenia. Zaledwie przeminęła okropność oblężenia, a już szlachta i bogacze znów w dawnych pogrążyli się zbrodniach. Dopiero co usamowolnionych niewolników i niewolnice przywrócono do dawnych obowiązków i dawnego poniżenia, bez względu na uroczyste przymierze i przysięgę. Jeremjasza do głębi duszy oburzyła taka zatwardziałość i samolubstwo, zwrócił się też do możnych i króla z piorunującą apostrofą, w której zarzucał im wiarołomstwo i przepowiadał, że lubo cofnęli się Chaldejczycy, wrócą, zdobędą Jerozolimę, i że ogień, wojna, głód i mór srożyć się będą wśród zaślepionych. Królowi, który go przez dwu dworzan i nadzorcę świątyni, Cefanjasza, upraszał, by modlitwą zażegnał ponowny napad Chaldejczyków, odpowiedział, że gdyby nawet zdołali wszystkich wrogów wytępić i gdyby z pośród nich dwóch tylko pozostało rannych, to i ci ranni obrócą miasto w perzynę.

Jeżeli już poprzednio wielu książąt Jehudy niechętnem na Jeremjasza spoglądało okiem, to od czasu ostatniej jego mowy śmiertelną ku niemu powzięli nienawiść. Gdy więc zapragnął również opuścić stolicę, by udać się do rodzinnego miasta Anatot, zatrzymał go naraz strażnik jakiś pod pozorem, że zamierza zbiedz do Chaldejczyków. Mimo zapewnienia, że daleką odeń była

wszelka myśl ucieczki, oddano go w ręce książąt. Ci, radzi, że się im taka do zemsty nastręcza sposobność, obeszli się z nim jak ze zdrajcą, obili go i wtrącili do lochu (wiosną 586) w domu kanclerza Jonatana i tego dostojnika, człowieka twardego, bez serca, ustanowili jego dozorcą. W tem ciasnem, brudnem, niezdrowem więzieniu spędził Jeremjasz dni wiele. Surowy jego dozorca nikogo doń nie dopuszczał, nawet krewnych, jakgdyby miał zamiar zgnębić go samotnością, lub nawet i dobić. Targnąć się otwarcie na życie proroka nie mieli książęta odwagi. W ciemnicy tej wylewał Jeremjasz w trenach żale nad smutnym swym losem, nie tyle narzekając na cierpienia, ile na zapoznanie jego zamiarów.

Upojenie radosne i uciecha niedługo trwały w Jerozolimie. Wojsko chaldejskie, które pociągnęło na spotkanie egipskiego, pobiło to ostatnie na głowę. I oto Judea oddaną została własnemu losowi. Ludy sąsiednie, nawet niegdy sojusznicy, szyderstwo tylko dla niej miały i z niecierpliwością wyglądały dnia upadku Jerozolimy. Chaldejczycy oblegli znowu stolicę i, aby prędzej z nią skończyć, ciaśniejszym jeszcze ścisnęli ją pierścieniem. Teraz odwaga poczęła opuszczać oblężonych. Wielu, myśląc tylko o własnem ocaleniu, wykradało się w punktach niestrzeżonych z osaczonego miasta i przechodzili do Chaldeów, lub uciekali do Egiptu. Sam król Cedekjasz zaczął wątpić o pomyślnym wyniku i poznał po niewczasie, jaką niedorzecznością było mierzyć się z potęgą babilońską, nie mając za sobą ludu, ożywionego gorącą miłością swobody. Wątłą jeszcze nadzieję pokładał w proroku Jeremjaszu.

Kazał go potajemnie sprowadzić do jednej z wewnętrznych komnat pałacu i zapytał, czy mu natchnienie prorocze nie zwiastuje rezultatu walki. „Istotnie,“ odparł Jeremjasz, „zwiastuje, że wpadniesz niechybnie w moc króla Babelu, jeśli się zawczasu przed nim nie

ukorzysz.“ Z przygnębieniem i rezygnacją słuchał tych słów Cekedjasz; był on dość sprawiedliwy, by nie mścić się za nie na wieszczu. Przeciwnie, na prośbę jego nie pozwolił go już odprowadzić do ohydnego więzienia kanclerza Jonatana, lecz dał mu mieszkanie w własnym pałacu, w podwórcu Mattara, polecając wydzielać mu codzień po bochenku chleba z piekarni królewskiej. W tem nowem więzieniu przebył Jeremjasz kilka miesięcy. Używał tu wszakże względnej swobody, mógł bowiem przyjmować gości i przemawiać; miał znów tuż pod bokiem wiernego swego towarzysza, Barucha. Oblężenie Jerozolimy tymczasem z każdym dniem budziło więcej grozy. Już nietylko wojna pochłaniała ofiary, przyłączyła się do niej i klęska głodowa. Zapasy były już na schyłku i chleb musiano na porcje rozdawać. A było go coraz mniej i mniej i bladolice widmo głodu poczęło kosić mieszkańców. Miecz nazewnątrz, głód wewnątrz słały codzień większe stosy ciał w domach i na ulicach, niepodobna już było ich grzebać, gniły więc śród gorącej pory roku i zgubną szerzyły zarazę. Jakgdyby złowieszcze przepowiednie proroków, następujących po sobie przez dwa wieki nieprzerwaną koleją, dosłownie ziścić się miały, aby nadmiarem cierpień i grozy gruntownie uleczyć lud z bałwochwalczego szału i skażenia obyczajów,—ulice Jerozolimy stały się widownią przerażających scen, które nigdy nie mogły zatrzeć się w pamięci tych, co je przeżyli. Tu wątłe dzieci wiły się na placach, kwiląc: „o, matko, daj nam chleba i wina!“ i z jękiem ostatnim oddawały ducha na łonie swych matek. Tam, ze skórą przyschłą do kości, snuli się, jak cienie, starcy i magnaci, którzy dotąd smacznych kąsków mieli podostatkiem i w purpurze byli chowani; dziś nikt ich nie poznawał w tem przeistoczeniu i wlekli się tak, dopóki wyczerpani nie padli. Jak to przepowiadali prorocy, a zwłaszcza Ezechjel, daremnie

bogacze skarby swe za chleb oddawali. Lecz, co najokropniejsza, tkliwe, kochające matki własnemi dłońmi dzieci swe warzyły, aby się ich ciałem posilić.

Dopiero w tej dobie ucisku przemówił Jeremjasz do wszystkich, co go słyszeć mogli: „Kto zostanie w mieście zginie od miecza, z głodu i zarazy, lecz kto przejdzie do Chaldeów, życie zachowa, miasto bowiem upaść musi i stanie się pastwą płomieni.“ Skoro dyżurni dostojnicy otrzymali wiadomość o tych namowach, jęli usilnie nalegać na króla, aby skazał na śmierć proroka, ponieważ odbiera odwagę reszcie wojowników do prowadzenia dalszej walki. Cedekjasz, własnego nie mając zdania, ani woli, odrzekł: „Wszakże jest w waszej mocy, boć i król wam nie podoła.“ Kazali tedy książęta wrzucić Jeremjasza do pełnej szlamu studni w podwórcu Mattara. I teraz jeszcze nie ważyli się targnąć na jego życie, chcieli tylko pośrednio śmierć jego przyśpieszyć. Zginąłby tam niechybnie, gdyby się nad nim nie zlitował pewien Etjop ze służby królewskiej, imieniem Ebed-Melech. Niewolnik ten oburzył się na srogie obejście książąt judzkich z prorokiem i na słabość króla, który na takie postępowanie pozwalał. Zwrócił on uwagę Cedekji, że Jeremjasz zginie niewątpliwie z głodu w tej studni. Wówczas król pozwolił wyciągnąć Jeremjasza na linie z podziemia. Studnia tak była głęboka, a ludzie tak zwątleli, że trzydziestu potrzeba było mężczyzn do wydobycia z jamy jednego. Jeremjasz uszedł z duszą, wolności jednak nie odzyskał, gdyż król trzymał go pod strażą w Mattara, bacząc jednak, by możni na życie jego nadal nie godzili. Cedekjasz w głębi serca skłaniał się już do poddania stolicy wrogowi, wstrzymywały go jednak skrupuły rozliczne. Aby upewnić się co do następstw tak fatalnego kroku, wezwał Jeremjasza do tajemnej komnaty i zapytał go, czy też miasto nieuchronnie upaść musi i, gdyby się odważył przejść

do wroga, czy go zbiegli do obozu chaldejskiego Judejczycy nie zelżą i nie zamordują. Prorok zapewnił go krótko a węzłowato, że i włos mu z głowy nie spadnie w obozie nieprzyjacielskim, natomiast, gdyby dalej walkę chciał toczyć, własne jego niewiasty szydzić zeń będą. Król przecież nie mógł się zdobyć na męztwo, nie uczynił nic i ściągnął na siebie niedolę. Nie zdołał on aż do końca przezwyciężyć wrodzonej chwiejności.

Tymczasem anioł śmierci w trojaki sposób sprzątał ludność stolicy; liczba wojowników coraz bardziej topniała, aż wreszcie taka ich jeno garstka została, że nie byli już zdolni bronić murów miasta. Wybiła nakoniec ostatnia godzina Jerozolimy, uważanej dotąd nawet przez pogan za niezdobytą. Dziewiątego Tammus (czerwiec 586) nie było już w mieście ani odrobiny chleba, a gdy głód wyczerpał do szczętu siły obrońców, udało się Chaldejczykom zrobić w murze wyłom szeroki, przez który wtargnęli do miasta. Dowódcy, kierujący oblężeniem, dotarli bez przeszkód aż do śródmieścia i rozbili swój namiot w bramie środkowej, łączącej miasto dolne (Millo) z Cyonem, by tu ferować na ludność wyroki. Wojownicy chaldejscy rozleli się niewstrzymaną falą po wszystkich dzielnicach miasta, mordowali młodzieńców i mężów, którzy wydawali im się zdolnymi do oporu, innych zaś brali w niewolę i okuwali w łańcuchy. Nieokrzesane żołdactwo, rozbestwione wskutek długotrwałego oblężenia, gwałciło kobiety i dziewice i żadnemu nie przepuszczało wiekowi. Wpadło i do świątyni, gdzie krwawą rzeź sprawiło Aronidom i prorokom, którzy się uważali za bezpiecznych pod osłoną świętego przybytku, i wznosiło wściekłe okrzyki, jakgdyby pragnęło zwalczyć Boga Izraela. Wraz z Chaldejczykami wdarły się i ludy sąsiednie, które się połączyły z Nebukadnecarem, Filistynowie, Idumejczykowie i Moabici. Rabowały one skarby i znieważały świętości.

Cedekjaszowi udało się wszakże umknąć nocą z resztką wojowników przez korytarz podziemny. Usiłował on śpiesznym krokiem dostać się za Jordan. Lecz śpieszniéj jeszcze ścigali zbiegów jeźdzcy chaldejscy i zabiegli im drogę w wąwozach. Ponieważ Judejczycy byli osłabieni i wlekli się raczej, niż szli, łatwo było ich dopaść i wziąć do niewoli.

Zpośród osób wybitniejszych znaleźli w mieście siepacze tylko arcykapłana Seraję, rządcę świątyni, Cefanjasza, eunucha, który kierował obroną, kanclerza, pięciu czy siedmiu powierników króla, odźwiernych i innych jeszcze sześćdziesięciu mężów. Wszystkich tych jeńców wraz z tymi, co dobrowolnie przeszli do wroga, odesłano na razie w okowach do Rama, gdzie mieli czekać, aż Nebukadnecar rozkazem swym o dalszym ich losie zawyrokuje. W liczbie więźniów znajdował się też prorok Jeremjasz; zdybano go na podwórcu Mattara w pałacu królewskim, sądzili więc żołdacy chaldejscy, co go ujęli, że jest sługą pałacowym. Dozorcą brańców i dobrowolnych zbiegów uczynili wodzowie chaldejscy Judejczyka szlachetnego pochodzenia, Gedaljasza, syna Achikama, z rodu Szafana, który od samego początku oblężenia był stronnikiem Nebukadnecara.

Z ostatnią pożegnał się nadzieją nieszczęsny szczątek narodu, gdy gruchnęła wieść, że sam król dostał się do niewoli. Cedekjasza wraz z towarzyszącą mu świtą ujęli jeźdzcy chaldejscy pod Jerycho, niedaleko Jordanu, przejście którego może by go ocaliło. Gdy reszta otaczających go wojowników rozpierzchła się na widok chaldejskiej pogoni i uciekła za Jordan, lub w różnych ukryła się kątach, Cedekjasz, dwaj jego synowie i kilku szlachty, wpadli w moc wroga i uprowadzeni zostali hen daleko od ojczyzny, bo aż do Ribla, gdzie podówczas bawił Nebukadnecar. Ten wywarł na króla gniew sprawiedliwy, mszcząc się za złamanie przymierza i wiary. Atoli kara, jaką mu wymierzył, zbyt była okrutną. Jeśli kto, to chyba Cedekjasz najbardziej na wzgląd zasługiwał, był bowiem jeno pozbawionem woli narzędziem w ręku magnatów. Nebukadnecar kazał bez litości w oczach jego stracić synów i wszystkich krewnych, a następnie jego samego polecił oślepić. Ślepego i spętanego wygnano w końcu do Babilonu, gdzie zapewne nie przeżył długo swej boleści.

Jakiż los czekał Jerozolimę? Zamieniła się ona w trupiarnię; „opustoszały wszystkie jej bramy i rynki ulice okryły się żałobą.“ Jednakże stała jeszcze; dowódcy, którzy ją zdobyli, żadnych co do jej doli nie mieli poleceń. Sam Nebukadnecar, zda się, nie wiedział zrazu, jaką powziąć decyzję. Nie zamierzał on bynajmniej Judei obrócić w pustynię, gdyż była mu nieodbicie potrzebną na wypadek wojny z Egiptem. Kraj znów potrzebował oparcia na jakiemś znaczniejszem mieście, inaczej nie mógłby istnieć. Niejeden więc wzgląd przemawiał za zachowaniem Jerozolimy. Z drugiej wszelako strony niebezpiecznem się wydawało pozwolić na dalsze istnienie buntowniczego miasta. Któż zaręczy za jego wierność w przyszłości? Ten wzgląd przeważył i Nebukadnecar wysłał dowódcę swej straży przybocznej, Nebuzaradana, z rozkazem zburzenia Jerozolimy. Natychmiast poczęli cisnąć się do niego nienawiścią ku Jehudzie ziejący możnowładcy idumejscy, zagrzewając go, by bez miłosierdzia dokonał dzieła zniszczenia: „Zburzcie ją, zburzcie aż do podstaw,“ mówili. Polecił tedy Nebuzaradan zburzyć mury i spalić świątynię, pałace, tudzież wszystkie gmachy wspaniałe, i rozkaz ten wykonano ściśle (10 Ab=sierpień 586). Resztki skarbów świątyni, misternie wykończone słupy śpiżowe, morze śpiżowe, wozy wodne z miedzi, czary ofiarnicze ze złota i srebra, narzędzia muzyczne, wszystko to, wszystko potrzaskano w kawały i wywieziono do Babilonu. Jero-

zolima obróciła się w zwaliska, a góra świątyniowa stała się miejscem przyszłego gaju, jak to nietylko w ostatnich czasach Jeremjasz i Ezechjel, lecz już przed stu czterdziestu laty przepowiedział prorok Michasz.

Żadna atoli z przodujących ludom stolic, które z wyżyn blasku w proch się stoczyły, nie była w swym upadku bardziej nad Jerozolimę wielbioną. Wieszcze jej los boleściwy tak rzewnymi wyśpiewali tony w trenach, psalmach i modłach, iż tkliwsze serce dziś jeszcze nie może jej odmówić współczucia. Skroń jej oplotła poezja koroną męczeńską, która w promienny przeistoczyła się wieniec. Pierwszyż to Jeremjasz na gruzach Jerozolimy pieśń zanucił żałośną, czy też uczeń jego, Baruch? A może też następnie dwu lub trzech poetów snuło dalej żałobne te pienia?

Wszystkie te treny oryginalną posiadają postać; wiersze idą po sobie abecadłowym porządkiem. Pierwszy tren utworzony został bezpośrednio po zdobyciu Jerozolimy, gdy miasto wznosiło się jeszcze, mury, pałace nietknięte jeszcze stały, lecz znikli już mieszkańcy, przebrzmiało wesele. Tren ten opłakuje najbardziej osierocenie Jerozolimy; najwięcej boli ją wiarołomstwo sprzymierzeńców, którzy cieszą się teraz zjadliwie z jej upadku. Drugi tren boleje już nad ruiną miasta i murów, a nadewszystko nad zburzeniem świątyni. Trzeci żali się, że długotrwała klęska głodowa zgładziła wszystko, co szlachetne, i że pojmanie króla pozbawiło nadziei szczątek narodu. W żałośnym psalmie zwięzłemi słowy oddał całą bezdeń palącego bólu pewien Lewita ze śpiewaczego rodu Asafidów, którego również okuto w kajdany.

Lat tysiąc bez mała upłynęło, odkąd pokolenia izraelskie tak śmiało i pełne otuchy pod wodzą dzielnego hetmana, przeszły Jordan i silną stanęły stopą na ziemi kanaańskiej, pół zaś tysiąca od czasu, gdy obaj pierwsi królowie z domu Dawida dźwignęli kraj Izraela na szczebel szerokowładnego mocarstwa—i jakiż koniec! Większa część dziesięciu pokoleń od wieku z górą przepadła bez wieści w krajach nieznanych. Z reszty pokoleń, które składały państwo judzkie, większą część pochłonęły wojna, głód i powietrze, małą cząstkę zagnano w niewolę, drobny ułomek ludności wywędrował do Egiptu, albo zbiegł gdzieindziej, lub też pozostał w kraju, wyczekując w trwodze, jaki też los zgotuje mu zwycięzca. Jakże wiernie spełniła się przepowiednia Ezechjela co do przeznaczenia Jehudy: „Trzecia część z głodu zginie pośród ciebie (Jerozolimy), trzecia od miecza legnie obok ciebie, a trzecia rozproszy się na wszystkie wiatry, lecz i w nią godzić będzie miecz i stanie się ona pośmiewiskiem u narodów.“ I w samej rzeczy, przeciw tej szczupłej garstce niedobitków rozpętała się wściekłość licznych nieprzyjaciół, aby i ją o zgubę przyprawić, jakgdyby żywej duszy z ludu Izraela nie sądzono zostać w kraju ojczystym. Epilog również pełen był grozy, jak i właściwy dramat upadku.

Reszta wojowników, którzy wraz z Cedekjaszem zbiegli nocą przez korytarze podziemne, rozpierzchła się na widok ścigających ją Chaldejczyków. Garść umknęła za Jordan pod dowództwem księcia krwi królewskiej, Izmaela, syna Netanji, znalazła przytułek u króla Ammonitów, Baalisa, i osiadła w Ammonitis i w przyległym Moabie. Inni woleli uciec do Egiptu, dokąd już poprzednio wywędrowało kilka rodzin, spodziewając się znaleźć bezpieczne schronienie u sprzymierzeńca ojczystego kraju, Faraona Hofry. Po drodze wszakże przebywać musieli dzielnice Idumei, a tu oczekiwał ich zacięty, nieubłagany wróg. Idumejczycy, pomni dawnej nienawiści i niewzruszeni braterską uprzejmością Jehudy, jakgdyby niedość im było złośliwej uciechy z powodu zburzenia Jerozolimy, do którego tak żarliwie przyłożyli ręki, niedość zdobyczy, którą się obładowali, nie-

przyjaźń swą do tego posunęli stopnia, że na kresach kraju swego rozstawili straże i wyrzynali, lub aby przypodobać się Chaldejczykom, wydawali w ich ręce zbiegłych Judejczyków. Do okrucieństwa względem nieszczęsnych zbiegów parła Edomitów nie sama jeno nienawiść, lecz i polityczne wyrachowanie. Mieli oni na widoku zajęcie kraju, który tak długo stanowił własność Izraela, i mniemali, iż drogą krwawego prześladowania Judejczyków łatwiej osiągną cel zamierzony. Skoro nikt z nich nie pozostanie przy życiu, wówczas kraj ujrzy się bez pana, a Nebukadnecar, któremu tak gorliwie pomagali, nie omieszka oddać go im przez wdzięczność. Głosili też bez ogródki: „Oba ludy i oba państwa do nas należeć będą, my to wejdziemy w ich posiadanie.“ Drobna tylko gromadka zbiegów judzkich znalazła przytułek w niektórych miastach fenickich. Fenicja zbyt była odległą od Jehudy, zanim więc dotrzeć do niej zdołali, chwytali ich i wiedli w niewolę Chaldejczycy.

Większość przeto wodzów i ich podwładnych, którzy z Cedekjaszem zbiegli z Jerozolimy, wolała pozostać w kraju. Uczepili się gleby, co ich zrodziła, jakgdyby rozstać się z nią nie mogli. Byli to Jochanan z rodziny Kareach i jego zwolennicy. Musieli wszakże szukać kryjówek, aby ich nie ujęli pozostali w kraju Chaldejczykowie. Kryli się w rozpadlinach, grotach i jaskiniach, lub wpośród ruin miast zburzonych i zapewne nieraz opuszczali swe nory, by zaopatrzyć się w żywność, lub napadać na odosobnionych Chaldejczyków i ich stronników. Odwagę ich zwodnicza podsycała nadzieja. Mówili oni: „Abraham, o własnych idąc siłach, został dziedzicem tej ziemi, a nas przecież jest tylu, potrafimy więc kraj sobie wywalczyć.“ Zpośród tego szczątku Judejczyków śmierć haniebna lub krwawe zniewagi czekały tych, co znagleni do opuszczenia kryjówki celem zdobycia żywności dla podtrzymania nędznego życia, dostawali się do niewoli. Starców szlachetnego rodu wieszano, młodszych skazywano na przenoszenie z miejsca na miejsce młynów i zmuszano do innych posług niewolniczych. W tem to rozpaczliwem położeniu stworzył jeden z piewców, co osobiście doznał tej goryczy, ów rozdzierający piąty lament, z którego krótkich wierszy słychać płacz rzewny i łkanie.

Zdawało się przez chwilę, że ta niedola rozbitków, że ta mordercza obława na zbiegów ma się ku końcowi. Nebukadnecar nie pragnął doszczętnej zagłady Judei, potrzebną mu bowiem była jako kraj przechodni na wypadek wojny z Egiptem. Postanowił zatem zezwolić na dalsze jej istnienie, lecz w charakterze drobnej tylko gminy. Nie było i mowy, by król-ziomek miał stanąć na jej czele; nie ufał on królom z domu Dawida po wrogiem względem niego zachowaniu się trzech zpośród nich. Rozsądek wzbraniał dać Judzie za pana króla obcego, taki bowiem nie potrafiłby spoić ponownie wiązań rozprzęgłych. Postanowił tedy mianować zwierzchnikiem małego państwa Gedaljasza z domu Szafana, który dał mu się już poznać jako godny zaufania stronnik. On to miał skupić koło siebie resztki mieszkańców, zorganizować ich i zachęcić do uprawy pól i ogrodów, aby kraj nie przeistoczył się w pustynię. Nebuzaradan, który dokonał zburzenia Jerozolimy, otrzymał rozkaz, aby część podejrzanych jeńców i dezerterów wyprawił do Ribla, gdzie bawił Nebukadnecar, część zaś zesłał na wygnanie do Babilonji, a pospólstwo, rolników i winogrodników pozostawił w kraju. Miano im wydzielić grunta, poniekąd w charakterze lenna, którego panem był zdobywca, pod warunkiem, by je uprawiali i nie pozwalali szerzyć się pustyni. Nad nimi to ustanowił Nebukadnecar namiestnika w osobie Gedalji, któremu rozkazał obrać rezydencję w Micpa.

Lepszego wyboru nie mógł zrobić Nebukadnecar. Gedaljasz, mąż łagodny, miłujący pokój, uczeń poniekąd

proroka Jeremjasza, którego przyjacielem i protektorem był ojciec jego, Achikam, ze wszech miar dorósł trudnego stanowiska. Dla zagojenia krwawiących jeszcze lub jątrzących się ran, potrzebną była dłoń miękka, zupełne poświęcenie i zaparcie się własnej istoty. Gedaljasz był może zbyt łagodnym, albo też zanadto liczył na dodatnią stronę człowieka, na wdzięczność. Nebuzaradan zdał mu na razie nie budzących obaw więźniów, córki króla Cedekjasza, wiele kobiet i dzieci, tudzież rzezańców dworu Cedekjasza; pod jego też władzę poddał rolników, zapewne mało co więcej nad tysiąc dusz.

Nebukadnecar zamyślał jednocześnie dać Gedalji za doradcę proroka Jeremjasza. Polecił więc pełnomocnikowi swemu, Nebuzaradanowi, traktować go z wszelkimi względami i czynić zadość wszystkim jego życzeniom. Słyszał on bez wątpienia o przepowiedniach Jeremjasza, dotyczących każdego jego kroku od czasu wstąpienia na tron, i przeświadczony był o jego darze proroczym, a może dumę jego głaskało, że usta wieszcza obcego przyznały mu wielkie posłannictwo i potęgę. Gdy Nebuzaradan udał się z Jerozolimy do Rama, by zpomiędzy zgromadzonych tam jeńców i zbiegów wybrać przeznaczonych do zostania w kraju i mających pójść na wygnanie do Babilonji, rozkuł okowy, któremi spętano Jeremjasza na równi z innymi więźniami, i od woli jego zależnem uczynił, albo wywędrować do Babelu, gdzie go czekało uprzejme przyjęcie, lub też, według upodobania, obrać sobie jakiekolwiek inne siedlisko. Poradził mu przecież jednocześnie, aby się udał do Gedalji, rezydującego w Micpa. Jeremjasz, bolejący słusznie, iż wybranym został, by patrzeć na niedolę w całej jej pełni, musiał również być świadkiem rozdzierających scen wyprawiania okutych jeńców z Rama do Babilonji. Do głębi duszy wstrząsały go żałośne skargi nieszczęsnych, mężów, niewiast i dzieci, których wleczono z ziemi rodzinnej.

Żegnał ich Jeremjasz pociechą, że jeśli już nie sami, to dzieci ich lub wnuki powrócą do ojczyzny.

Wybór wielce kłopotał Jeremjasza. Serce ciągnęło go do towarzyszów niedoli, tembardziej, że kraj zbyt ciasną zapowiadał dla działalności jego widownię. Duch proroczy zwiastował mu już, iż wygnańcy babilońscy powołani są do odrodzenia. Porównywał on ich do dobrych, smacznych fig, pozostałych zaś w kraju do lichych, przez burzę strząśniętych. Niejednokrotnie radził królowi Cedekjaszowi poddać się zwycięzcy i wywędrować do Babilonu, nad tymi bowiem, co w kraju zostaną, wisi przekleństwo i zagłada. Wniosek ztąd, że i sam powinienby był osiąść w Babilonji. Z drugiej atoli strony ciężko było Jeremjaszowi porzucić kraj rodzinny. Lecz trudno mu było również podać dłoń Gedalji. Bo też, jak się zdaje, i skazani na wygnanie towarzysze cierpień mieli mu za złe, że pragnął ich opuścić, gdy przecież spodziewali się przezeń uzyskać u Nebukadnecara, którego cieszył się łaską, złagodzenie swej doli. Falami sprzecznych uczuć miotany, Jeremjasz walczył sam z sobą i takie wywodził żale: „Biadaż mi, matko, żeś mię zrodziła, męża poswaru i waśni dla świata. Anim pożyczał, anim długów zaciągał, a wszyscy mi złorzeczą.“ Natenczas spłynęło nań objawienie prorocze, które nakazało mu zostać w kraju, przyłączyć się do Gedaljasza i tu, wpośród zdziczałych niedobitków, kontynuować pouczającą swą i wychowawczą działalność. Głosił tedy przed tymi, co słuchali: „Tak mówił Bóg: Zaprawdę, pozwoliłem ci przeżyć ku szczęśliwej doli, gdy z podłego wydzielisz szlachetne, będziesz jako usta Moje. Oni do ciebie się zwrócą, nie zaś ty do nich.“

Z ciężkiem sercem udał się Jeremjasz do Micpa. Uczeń jego, Baruch, towarzyszył mu znowu. Wątłą miał jeno prorok nadzieję, by zdołał z resztek zgrai prostaczej wykrzesać pierwiastek szlachetny. Wszakże w ciągu

czterdziestoletniej swej działalności tak mało mógł wskórać u możnych i wykształconych, cóż pocznie dopiero z tłumem poziomym i ciemnym! Lecz trzeba było uledz. Nebukadnecar tak wysoko cenił Jeremjasza, iż nietylko obdarzył go upominkami, lecz nadto polecił zaopatrywać go codziennie w żywność. Obecność jego w pobliżu Gedalji napawała w istocie pozostałych w kraju większą na przyszłość otuchą. Namiestnik obwieścił, że nikt ze zbiegów, którzy się dokoła niego zgromadzą, nagabywany nie będzie, że wszyscy będą mogli spokojnie osiąść w miastach i pola swoje uprawiać. Skutkiem tego rozproszeni po krajach sąsiednich Judejczycy zaczęli zwolna wracać do Gedalji z miejsc chwilowego pobytu, gdzie czuli się nieswojo, i zawierali z nim przymierze, t. j. zobowiązywali się być wiernymi poddanymi króla chaldejskiego. Poczęli oni uprawiać ziemię, siać zboże, sadzić wino i figi. Gleba znowu stała się żyzną, że zaś ludność była nieliczną, a rolnicy, ogrodnicy i winiarze otrzymali spore działki gruntu, obfite więc zbierali plony. Niejedno miasto dźwignęło się z ruin. Wzniósł też Gedalja w Micpa święty przybytek, gdyż Jerozolima i świątynia zrównane były z ziemią, żerowały tam szakale, i miasta, zresztą, nie wolno było odbudować.

Micpa za uświęconą uchodziła miejscowość, już bowiem Samuel postawił tu był niegdyś ołtarz i uczynił ją ogniskiem zgromadzeń ludowych. Przybytek ten uznali też mieszkańcy napoły izraelskiej, napoły pogańskiej kolonji, Chutejczykowie, w Sichem, Silo i Samarji, i odbywali tu pielgrzymki z darami ofiarnymi i kadzidłem, albowiem kapłanów z Betel wytępiono i zburzono w tem mieście wszelkie ołtarze. W ten sposób stała się Micpa środowiskiem drobnego społeczeństwa. „Szczątkom Jehudy,“ którym za przewodnika dano Gedalję, przypominała wprawdzie obecność Chaldejczyków zależność ich od władcy babilońskiego, ci bowiem nietylko ludu, lecz i namiestnika pilnowali, by czasem nie uknuli spisku zdradzieckiego. W danych wszelako warunkach, wobec ogromu niedoli, jaka się na kraj zwaliła, stan ten był jeszcze znośnym, a w każdym razie pomyślniejszym, niżby się szczątki owe spodziewać mogły. Bądź co bądź po ojczystej stąpali ziemi.

Znużeni życiem awanturniczem w górach i pustyni, walką z dzikim zwierzem i dzikszymi jeszcze Chaldeami, zdecydowali się wreszcie przystać do Gedalji i ukorzyć się ci nawet wodzowie, którzy czas długi stawiali się hardo, ufni w swój miecz i próżną żywiąc nadzieję. Jochanan, syn Kareacha, i inni dowódcy weszli w układy z Gedalją, a gdy dał im rękojmię, którą stwierdził przysięgą, że na przeszłość rzuconą zostanie zasłona, pogodzili się i oni z nowym rzeczy porządkiem, złożyli broń, zasiali pola i odbudowali z gruzów miasta, które dotąd służyły im za kryjówki. Wraz z swymi ludźmi pokaźny stanowili zastęp, a że dotychczasowy rycerski i burzliwy żywot zahartował ich na wszelkie niebezpieczeństwa, przysporzyli niezbędnej siły wątłym „szczątkom Jehudy.“ Ostatni zjawił się dowódca naczelny, Izmael, syn Netanji.

Z tym wyzutym z sumienia przecherą wstąpił do Micpa zły duch, aby zamącić pomyślne względnie położenie szczątków Jehudy. Izmael zawarł wprawdzie również pokój z Gedalją i Chaldejczykami, przyrzekając posłuszeństwo, w głębi jednak serca żywił dla obu stron jednakową niechęć i zawziętość. Byłaż to zazdrość, że on, potomek królów, musiał podlegać niższemu rodem od siebie namiestnikowi, lub może dzika, patrjotyczna nienawiść do panów kraju, Chaldejczyków, czy też jedno i drugie razem podszepnęło mu niecny zamysł targnięcia się na Gedalję? Baalis, król Ammonu, krzywem spoglądający okiem na powstanie i rozwój nowego ustroju społeczeństwa judzkiego pod protektoratem Chaldei,

popchnął Izmaela do zbrodni, która miała zadać cios istnieniu niedawno urządzonej gminy. Inni atoli wodzowie, a zwłaszcza Jochanan, syn Kareacha, otrzymali potajemnie wiadomość o zdradzieckich planach Izmaela, wymierzonych przeciw Gedalji, i ostrzegli niezwłocznie namiestnika o tem, co się święci, ofiarując mu oraz swe usługi, a nawet prosząc go o pozwolenie sprzątnięcia złoczyńcy, by, jak powiadali, nie rozproszył się znowu ledwo co skupiony szczątek Jehudy. Lecz Gedalja nie chciał dać wiary przestrogom, dopóki nie będzie miał w ręku bardziej przekonywających dowodów.

Skrupulatność jego, miała li ona źródło w poczuciu potęgi czy też słabości, była fatalną dla niego i dla świeżo zorganizowanej gminy. Cztery mniej więcej minęły już lata od czasu zburzenia Jerozolimy i od skupienia Judejczyków pod władzą namiestnika, gdy na pewnem zgromadzeniu świątecznem znalazł się w Micpa Izmael z dziesięciu towarzyszami, przyjazną twarzą witając Gedalję. Ten zaprosił ich na ucztę, na której, gdy odurzeni może winem biesiadnicy nic złego nie przeczuwali, Izmael i jego przyjaciele obnażyli miecze i zamordowali namiestnika a wraz z nim wszystkich obecnych a zdatnych do broni mężów. Padli też ich ofiarą i goście chaldejscy. Pozostałych mieszkańców Micpa, starców, kobiety, dzieci i rzezańców, kazał strzedz swym ludziom, aby się wieść o skrytobójstwie nie rozeszła. Dowiedziawszy się, że nazajutrz przybyć ma do Micpa na obchód świąt z ofiarami osiemdziesięciu mężów z Sichem, Silo i Samarji, wyszedł Izmael na ich spotkanie, zwabił do miasta, porozdzielał i wymordował pojedyńczo wszystkich, wyjąwszy dziesięciu, którzy przyrzekli mu wydać ukryte zapasy żywności. Po dokonaniu tej zbrodni Izmael i dziesięciu jego wspólników powlekli do niewoli zgromadzoną w Micpa bezsilną ludność, dzieci i kobiety, a w ich liczbie i córki królewskie, sędziwego

proroka Jeremjasza i ucznia jego, Barucha, zamierzając uprowadzić ich za Jordan do Ammonitis. Mniemał złoczyńca, iż tam z pewnością nie dosięgnie go mściwy miecz króla Babilonu, by krwawym odwetem odpłacić za zgładzenie namiestnika i załogi chaldejskiej.

Jakkolwiek cichaczem piekielnego dokonał dzieła, długo przecież utaić się ono nie mogło. Powzięli o niem wiadomość Jochanan i inni wodzowie i oburzyli się niepomału, że pozbawiono ich punktu oparcia i skazano znów na niepewny jutra, awanturniczy żywot. Uzbroili się też co rychlej, aby przykładnie łotrów ukarać. Już na pierwszym popasie, dla którego mordercy zatrzymać się musieli, u stawu pod Gibeonem, dognali ich Jochanan i reszta dowódców i wnet jęli gotować się do walki. Brańcy, zoczywszy odsiecz, pośpieszyli do niej. Przyszło tu chyba do utarczki, gdyż padło dwu ludzi Izmaela. Sam on uciekł z ośmiu mężami, przeszedł Jordan i powrócił do krainy Ammon. Niecny plan jego uwieńczony został powodzeniem, mała bowiem gmina judzka ze śmiercią Gedalji byt swój skończyła.

Niedobitki w wielkim byli kłopocie. Co począć? Obawiali się w kraju pozostać, gdyż było do przewidzenia, że Nebukadnecar, jeśli już nie upomni się o zabójstwo Gedalji, to z pewnością nie pozostawi bez kary śmierci Chaldejczyków, a zemstę swą wywrze i na nich, jako współwinnych. A choćby nawet płonną była ta obawa, to czyżby mogli utrzymać się w kraju? Pierwszą przeto myślą pozostałych było wywędrowanie do Egiptu, zanim jeszcze Nebukadnecar z wrogiemi przeciw nim wystąpić zdąży działaniami. Wodzowie więc, a na ich czele Jochanan, wyruszyli ku południowi. Niebawem wszelako uśmierzyły się nieco umysły i wyłoniła się idea, czyby nie było roztropniej wytrwać w ojczyźnie, aniżeli w obcym kraju niepewnego szukać przytułku. Myśl ta, jak się zdaje, wyszła od Barucha i zna-

lazła przychylny oddźwięk u niektórych wodzów. Inni natomiast byli jej przeciwni. Wobec takiej różnicy zdań co do planu, od którego zależały losy tylu ludzi, postanowili wodzowie zdać się na wyrok Jeremjasza. Niechaj zaniesie modły do Boga i ubłaga Go o wskazówkę proroczą, jaką obrać drogę i co przedsięwziąć mają. Wzywali przytem Boga na świadectwo, że poddadzą się jego wyrokowi, gdyby nawet nie wypadł im po myśli.

Dziesięć dni wił się Jeremjasz w modłach, aby go oświecił promień prawdy proroczej. Zmartwienia, jakiemi się dręczył, zda się, przyćmiły w końcu jego ducha. Tymczasem zmienił się i nastrój wodzów, obecnie wszyscy już ciążyli ku wychodźtwu. Gdy Jeremjasz zwołał wodzów i wszystek lud od najstarszego do najmłodszego i obwieścił im, że wolą jest bożą, aby pozostali w kraju, nie obawiając się Nebukadnecara, gdyż ten okaże się łaskawym, — poznał wnet po ich ponurych obliczach, że nie w smak im poszedł ten wyrok. Zagroził im przeto, iż, jeżeli nie wyrzekną się zamiaru opuszczenia kraju, wtedy dopiero dosięgnie ich miecz, którego się tak obawiają. Żaden z nich nie ujrzy już więcej ojczyzny, wszyscy zginą od plag przeróżnych w Egipcie. Zaledwie skończył Jeremjasz swą mowę, gdy wodzowie poczęli doń wołać: „Kłamstwa nam wieszczysz w imieniu Boga. Nie On to cię temi słowy natchnął, lecz uczeń twój, Baruch.“ Nie namyślając się dłużej, wyruszyli wodzowie w drogę do Egiptu i pociągnęli z sobą, dobrowolnie czy przemocą, lud cały. Musieli też udać się za nimi Jeremjasz i Baruch. Cóż bowiem robiliby samotni w opustoszałym kraju? Zawędrowała tedy ta rzesza do twierdzy egipskiej Taphnai (Tachpanches) nad peluzyjską odnogą Nilu. Król Hofra przyjął ich łaskawie, był tyle wdzięcznym, iż okazał gościnność tym, co przez jego poduszczenia w taką popadli niedolę. W Egipcie

zastali Judejczyków, którzy dawniej tu już przybyli i osiedli w Migdol, Memfis i Sais (Pathra?). Tak więc po upływie lat blizko tysiąca od czasu wyjścia z Egiptu, powrócili tu synowie Jakóba, lecz jakże zmienieni! Wówczas były to dzielne szczepy pasterskie, wprawdzie o ciasnym widnokręgu myśli, lecz niezepsute, niezłamane, z piersią pełną otuchy. Potomkowie ich natomiast z walk długotrwałych wynieśli serca zranione i dusze kalekie i zanadto się już odstrychnęli od własnych znamion i wierzeń, by w Bogu i w tradycji rodzimej znaleźć mogli pociechę i ukojenie, a nie do tyla przecież z nich się wyzuły, by z innymi zlać się ludami i wśród nich zaginąć. Jak wszyscy wychodźcy, żyli tymczasem złudzeniami, wietrząc każdy ruch polityczny w ustawicznej nadziei, że nastręczy im sposobność powrotu do ojczyzny, gdzie w dawnej żyć będą rozwiązłości.

Tymczasem Judea niemal zupełnie pozbawioną została swych synów. Nebukadnecar bowiem bynajmniej nie obojętnie przyjął wieść o wypadkach w Micpa, a zwłaszcza o zamordowaniu Gedalji i przydanych mu do boku Chaldejczyków. Przyszedł zapewne do przekonania, iż błędem było pozwolić na istnienie słabej gminy judzkiej. Wysłał tedy ponownie do Jehudy Nebuzaradana, który nie zastał już przewodców, Jochanana i jego towarzyszy, ani wogóle żadnego męża jako tako wybitnego, lecz samych tylko rolników, ogrodników i winiarzy. Tych to wraz z żonami i dziećmi, ogółem siedemset czterdzieści pięć głów ludności wiejskiej — ostatnie już szczątki—poprowadził w niewolę do Babilonji (ok. 582); trzecie to wygnanie od czasów Jojachina. Niewinni i tym razem odpokutowali za winnych. O losie Izmaela i jego siepaczów historja żadnego nie przechowała wspomnienia. Imię natomiast Gedalji, dzięki gwałtownej jego śmierci, pozostało nazawsze w pamięci potomków. Rocznica jego zgonu była w Babilonji

obchodzona stale, jako dzień żałobny. Od czasu zamordowania Gedalji powziął Nebukadnecar zamiar wysiedlenia z kraju reszty Judejczyków. Judea więc wyludniła się całkowicie i opustoszała, ogołocona z ludzi i zwierząt domowych. Miejsce ich zajęły dzikie zwierzęta. Późniejszy prorok skarżył się na tę doszczętną spustoszałość kraju. „W pustynię obróciły się święte miasta, rumowiskiem stał się Cyon, pustkowiem Jerozolima.“ I ta więc ziściła się kaźń boża, jaką prorocy zwiastowali krajowi. Gleba judzka mogła wypocząć do syta i święcić lata Sabatowe, jakich tak dawno już nie obchodzono. Tylko na południu przywłaszczyli sobie Idumejczykowie — samowolnie, czy też za zgodą króla babilońskiego—kilka dzielnic pogranicznych Jehudy i rozpostarli swe posiadłości w Nizinie (Szefela) aż do morza Śródziemnego. To też między wygnańcami zawzięta naówczas panowała nienawiść ku Idumejczykom, którzy ze złośliwą uciechą z powodu upadku Jerozolimy połączyli grabieże, wydawanie zbiegów i przywłaszczanie odwiecznego dziedzictwa. Temu bolesnemu uczuciu żywy dali wyraz dwaj prorocy, co uszedłszy krwawej łaźni i powszechnej zagłady, żyli wśród wychodźców: Obadjasz i bezimienny. Obaj przepowiadali klęski Edomowi, jako odwet za zbrodnie, których się dopuścił na swych pobratymcach i na Jerozolimie.

Lubo Judejczycy wszędzie spotykali się z nieludzkością, a kraj ich w części zajęli wrogowie, niemniej przecież wychodźcy, przebywający w Egipcie, wciąż jeszcze kołysali się próżną nadzieją, że niebawem powrócą do kraju i zaludnią go znowu. Nadzieję tę podsycały w nich wypadki wojenne. Rojenia ich pragnął rozwiać sędziwy prorok Jeremjasz. Już i bez tego parło go serce do skarcenia ostrem słowem Judejczyków egipskich, ci bowiem nie nauczeni i nie poprawieni nieszczęściem, oddali się w Egipcie ponownie kultowi bogini Neit, rzekomej królowej niebios. Obok tej pasji wynoszenia cudzych obyczajów, w niepojętem zaślepieniu nie porzucali i własnych, ciągle jeszcze wzywając imienia Jehowy i zaklinając się na nie. Chciał więc Jeremjasz zapowiedzieć im po raz ostatni, przed zstąpieniem do grobu, że dla tej nieuleczalnej głupoty nigdy już nie ujrzą ojczyzny. Zwołał przeto wszystkich Judejczyków na wielkie zgromadzenie do Taphnai. Cieszył się jeszcze taką u nich powagą, iż posłuszni byli jego wezwaniu. Bez ogródek napiętnował wobec zgromadzonych całą ich przewrotność. „Czemuż pragniecie sami na siebie ściągnąć niedolę, aby żaden z was szczątek nie został, czemu nawet na obczyźnie nie przestajecie bałwochwalstwem waszem urągać Bogu?“ Ale skażenie bałwochwalcze tak już głęboko wżarło się w ich serca, iż chełpili się niem otwarcie i wręcz oświadczyli prorokowi, że kultu Neit nie porzucą. Najbezczelniej zachowywały się kobiety. „Dotrzymamy ślubu, jaki usta nasze wyrzekły, byśmy królowej niebios paliły w ofierze kadzidła i rozlewały wino, jakośmy niegdyś czynili, my i nasi ojcowie, w miastach Jehudy i na ulicach Jerozolimy. Mieliśmy wówczas chleba podostatkiem i byliśmy szczęśliwi. Odkąd wszakże przestaliśmy składać ofiary bogini niebios, zbrakło nam wszystkiego i ginęliśmy od miecza i z głodu.“ Na taką bezczelność odparł Jeremjasz: „Spełnijcie więc wasze śluby, a wszyscy Judejczycy w ziemi egipskiej zginą. Niewielu tylko z tych, co ujdą miecza, powróci do kraju judzkiego. Ci zaś zobaczą, czyje ostoi się słowo, moje czy wasze.“ Na znak tego przepowiedział, że król Hofra, na którego tyle liczyli, wpadnie w ręce swym wrogom, jak Cedekjasz wpadł w ręce Nebukadnecarowi.

O tym samym, jak się zdaje, czasie (ok. 571) powiódł Nebukadnecar wielkie wojsko przeciw Egiptowi. Pragnął on obecnie urzeczywistnić zamiar podbicia kra-

iny nadnilowej, z jakim już od wstąpienia na tron się nosił, a to tem więcej, że Hofra ośmielił się najść zbrojnie podwładną Babilonowi Fenicję. Jeremjasz w Egipcie i Ezechjel w Babilonji, obaj przepowiadali wielką porażkę Egiptu z ręki władcy babilońskiego. I przepowiednia, że Hofrę smutny koniec czeka, ziściła się najzupełniej. Hufce egipskie poniosły klęskę w wyprawie wojennej na Cyrenę, a kasta wojowników, zazdrosna o szczególne względy, jakie Hofra okazywał Karyjczykom i Jończykom, zbuntowała się przeciw niemu. Egipcjanin nizkiego rodu, Amazys (Amosis), stanął na czele rokoszan, zwyciężył Hofrę, złożył go z tronu i niebawem kazał go zadusić (571—570). Nowy ten Faraon, wszelkich dokładający starań, aby zaskarbić sobie przychylność Egipcjan, a jednocześnie pozyskać i Greków, nie zwracał żadnej uwagi na osiadłych w Egipcie Judejczyków. Zapomniano o nich, musieli przeto wyrzec się marzeń powrotu do ojczyzny za sprawą Egiptu. Jak się zdaje, Jeremjasz doczekał się jeszcze tej zmiany.

Tkliwą jego duszę na starość większy jeszcze pewno smutek ogarnął, nie udało mu się bowiem „wydzielić z pospolitego pierwiastków szlachetnych.“ Otoczenie jego, szczątki Jehudy, przebywające w Egipcie, trwało w swym obłędzie i zatwardziałości serc. Atoli mozoły Jeremjasza nie poszły na marne. Nasienie, jakie rozsiał, przez proroczych towarzyszy pielęgnowane, weszło wspaniale na innej niwie. Powołany był nietylko na to, by burzył, lecz też, by budował i nowe szczepił płonki, a usiłowania jego w tym kierunku wydały owoc wśród innego grona.

C. 4326/I
2021 I p.

HISTORJA ŻYDÓW.

HISTORJA ŻYDÓW

(MNIEJSZA)

PRZEZ

Prof. Dra H. Graetza.

Z niemieckiego przełożył

St. Szenhak.

TOM DRUGI.

OD POWTÓRNEGO ZBURZENIA JEROZOLIMY
DO CZASÓW
PRZYMUSOWEGO NAWRACANIA ŻYDÓW W HISZPANJI.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. CENTNERSZWERA i S-ki.
Marszałkowska 143.
—
1908.

BIBLIOTEKA IMIENIA ZIELIŃSKICH
C. 4326/II

DRUK A. GINSA, NOWOZIELNA 47.

OKRES DJASPORY.

Doba przejściowa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Epilog wojny i szczątki w Judei.

(70—93).

Któż zdoła opisać cierpienia nieszczęsnych, którzy dostali się w rzymską niewolę! A było ich z górą 900,000 w tej wojnie. Jeńców jerozolimskich kazał Tytus spędzić na dziedziniec kobiet i los ich złożył w ręce przyjaciela swego, Frontona. Oszczędził tylko książąt adjabeńskich, lecz wysłał ich do Rzymu w kajdanach, aby mieć w nich zakład wierności domu adjabeńskiego.

Wszystkich uczestników walki, poznanych lub zdradzonych, kazał Fronton na miejscu przybijać do krzyżów. Kogo los ten minął, ten zazdrościł im rychłego końca; bo siedemnaście tysięcy zginęło, nie mogąc zaspokoić głodu skąpemi porcjami, jakie im wydzielali dozorcy. Część jeńców nie chciała wcale przyjmować pożywienia od Rzymian i pomarła z wycieńczenia. Z reszty wybrał Fronton najurodziwszych i najtęższych młodzieńców na tryumf. Starszych nad lat siedemnaście wysłano do kopalni egipskich, aby tam dożywotnio pracowali dla Rzymian; przedtem już brańców galilejskich skazano na ciężkie roboty przy kopaniu międzymorza korynckiego. Większą część młodzieży rozdano prowincjom, aby na arenach cyrkowych zmagała się z dzikiemi zwierzętami. Dzieci i kobiety sprzedano drogą licytacji, a było ich takie mnóstwo,

że oddawano je za bezcen handlarzom. Za szczęśliwego mógł się jeszcze uważać ten, co się dostał do miasta, w którem istniała gmina żydowska. Tam bowiem mógł liczyć napewno, że go współwyznawcy za wszelką cenę wykupią i otoczą braterską opieką.

Wespazjan ogłosił Judeę za swoją własność prywatną i polecił urzędnikom rzymskim sprzedawać ją z młotka działkami. Czemuż bo nie? Toć krwią ją użyźnił. Była to operacja zyskowna, a Wespazjan bardziej jeszcze łaknął złota niż sławy. Cóż czynił dobrotliwy Tytus po straceniu tysięcy i po zaprzedaniu tysięcy w niewolę? Gdy się wyprawiał do Syrji, wysłano za nim najdorodniejszych młodzieńców judzkich w łańcuchach. W Cezarei przyjmował hołdy i urządzał zabawy w guście rzymskim dla swoich przyjaciół. Wprowadzano w szranki dzikie zwierzęta i jeńcy judzcy musieli się z niemi póty borykać, aż nie ulegli i nie zostali rozszarpani w kawały.—Czasem dla odmiany kazano jeńcom potykać się z sobą i nawzajem przebijać się mieczem. Tak przy obchodzie urodzin brata Tytusowego, zacnego Domicjana, zginęło w Cezarei 2,500 Judejczyków w kwiecie sił i wieku (24 października). Ztąd udał się Tytus do innej Cezarei (Filippi) pod Hermonem, rezydencji króla judzkiego Agryppy, i tu również wyprawiał igrzyska, w których znowu utraciło życie wielu Judejczyków na oczach Agryppy i Bereniki. Święcąc potem w Berycie urodziny rodzica (17 listopada), rozwinął Tytus przepych wspaniały; nie obeszło się, rzecz prosta, bez walk zwierząt i znów mnóstwo Judejczyków zabarwiło krwią swoją piasek areny. We wszystkich miastach nastręczał Tytus żydożerczym Syryjczykom skwapliwie pochwytywaną sposobność napawania się przedśmiertnem rzężeniem nieszczęśliwych. Taka była łagodność i ludzkość Tytusa.

Wieleż brakowało, aby wszyscy Judejczycy w całem państwie rzymskiem, zwłaszcza w Syrji, Azji Mniejszej,

Aleksandrji i Rzymie, podzielili smutny los swoich braci w Judei! Bo zaciekłość ludności pogańskiej przeciw synom Jakóba wzmogła się skutkiem wojny aż do fanatyzmu. Byłże to traf tylko, czy zrządzenie Opatrzności, że obraz Bereniki królował w sercu Tytusa i usposobił je łagodnie dla jej współwyznawców? Była ona orędowniczką swojego narodu w owych czasach klęski i niedoli.

Gdy się Tytus zbliżył do Antjochji, wylegla na jego spotkanie cała ludność tameczna i kadząc mu pochlebstwami, domagała się poprostu wypędzenia Judejczyków z tego miasta. Żądania te zbył Tytus uwagą, że byłoby to niesprawiedliwością wypędzać ludzi, nie mających ojczyzny, którąby przygarnąć ich mogła. Nie uwzględnił nawet prośby Antjocheńczyków, aby przynajmniej pozbawił Żydów praw obywatelskich i pokruszyć kazał tablice spiżowe, na których wyryte były przywileje żydowskie. Bezowocnie też kołatali do Tytusa Aleksandryjczycy, aby Żydom wśród nich mieszkającym odjął ich swobody i prawa.

Wjazd Tytusa do Rzymu miał być uświetniony tryumfem z odniesionego nad Judeą zwycięstwa. W tym celu wysłano przodem siedemset dorodnych jeńców żydowskich i obydwu wodzów zelockich, Jana z Gischali i Szymona Bar-Giorę. Jan, schorowany i głodem trawiony, poddał się wraz z braćmi Rzymianom. Co do Bar-Giory, ten w towarzystwie kilku drabantów spuścił się do podziemnych chodników i zaopatrzony w narzędzia spodziewał się przebić sobie drogę na wolność, aby z innego miejsca zwalczać nieprzyjaciół. Ale zeloci natrafili na twardą opokę, o którą rozbiły się ich wysiłki. Skąpe zapasy żywności wyczerpały się rychło, postanowił tedy Bar-Giora umrzeć, jak na bohatera przystało. Odziany w białą szatę spodnią i płaszcz purpurowy, wynurzył się nagle z pod ziemi tam, gdzie niedawno stała świątynia, i przeraził straż rzymską niezwykłością

swego zjawienia. Rzucił krótkie słowa: „Prowadźcie mnie do waszego dowódcy.“ Gdy ten przybył, rzecze hetman zelotów: „Jestem Szymon Bar-Giora“ i wnet wzięto go w dyby. Wiedział, jaka czeka go dola, i wyglądał jej spokojnie. Uprowadzono go do Rzymu na tryumf. Podczas tego uroczystego obchodu, którym uczczono Wespazjana i obydwu jego synów, Tytusa i Domicjana, niesiono przed niemi sprzęty świątyniowe, złoty świecznik, złoty stół i rodały, prowadzono jeńców w łańcuchach i pokazywano żądnemu widowisk tłumowi obrazy bitw i zniszczenia. Szymona Bar-Giorę powleczono przez ulice na powrozie i w końcu obyczajem rzymskim, wymagającym ofiary z człowieka, strącono go ze skały Tarpejskiej. Jan z Gischali dokonał żywota w więzieniu. Tyberjusz Aleksander, istotny zwycięzca w tej wojnie, uczestniczył w tryumfie i otrzymał statuę na Forum Romanum. Józef był tylko widzem. Ten tryumf wspaniały, jakiego Rzym już dawno nie widział, świadczył o wielkiej radości z odniesionego nad Judeą zwycięstwa. Albowiem z tak wytrwałym przeciwnikiem dawno już nie ścierały się rzymskie legjony.

Pokonanie Judei taką sprawiło w Rzymie uciechę, że na jego pamiątkę przez kilka lat bito monety ze złota, srebra i miedzi. Monety te wyobrażają nieszczęśliwą Judeę w postaci niewiasty pod drzewem palmowem z giestem rozpaczy, to siedzącej na ziemi, to stojącej z skrępowanemi rękami. Napis na tych monetach w języku łacińskim lub greckim stale opiewa: „pokonana (devicta)“ lub „ujarzmiona (capta) Judea.“ Atoli przydomku „Judaicus“ nie przybrał obyczajem zwycięzców Wespazjan ani Tytus, bądź dla tego, że ta nazwa już podówczas dla ucha rzymskiego brzmiała niemile, bądź też, że Tytus, którego afekt dla Żydówki Bereniki nie był tajemnicą, nie chciał ściągać na siebie przez przybranie tego miana drwin żartownisiów. Łupy zagarnięte w przybytku przechowywane były przez czas długi w Rzymie w świątyni Pokoju, a rodały, zapewne zwój za wzór służący, z hali świątyniowej zabrany, spoczywały w pałacu cesarskim. Ztąd, gdy Rzym odpokutował za swe ciężkie grzechy, zawleczono te szczątki świątyni judzkiej do innych krajów. Ku czci Tytusa wzniesiono łuk tryumfalny, na którym dziś jeszcze oglądać można wizerunki sprzętów świątyniowych. Podobno Judejczycy rzymscy przez czas długi woleli drogi nadłożyć, byle tylko nie patrzeć na ten łuk Tytusowy.

Jeszcze jednak Judea nie była zupełnie podbita, trzy twierdze trzymały się jeszcze: Herodjum, Macherus, i Masada. Dla zdobycia ich wysłał Wespazjan do Judei prokuratora Bassusa. Załoga twierdzy Herodjum poddała się na pierwsze wezwanie. Twardym orzechem okazał się położony z tamtej strony Jordanu Macherus. Warownia ta, założona przez Aleksandra Jannaja, a przez Heroda przeciw Nabatejczykom umocniona, stała na stromej górze, zewsząd otoczonej głębokiemi i szerokiemi wąwozami, co ją czyniło niemal niezdobytą. Załoga judzka była zaopatrzona w zapasy żywności i wodę, której dostarczały obficie źródła ze skały tryskające. Te utwierdzenia naturalne i sztuczne takie budziły poczucie siły w zelotach, którym przewodził waleczny młodzian Eleazar, ze czynili wycieczki przeciw oblegającym Macherus Rzymianom i burzyli sypane przez nich wały. Gdy atoli dnia pewnego Eleazar, wracając z wycieczki, stanął zuchwale w pobliżu wroga, pochwycił go jakiś Rzymianin i spętał. Bassus kazał go wziąć na męki, a następnie zagroził mu śmiercią na krzyżu. Widok przygotowań do kaźni taką zdjął oblężonych żałością, że poddali fortecę pod warunkiem przebaczenia wodzowi. Tak tedy nieostrożność jednego człowieka zgubiła Macherus. Bassus dochował wprawdzie słowa załodze, z którą się układał; natomiast z pośród nieobjętych umową mieszkańców dolnej części warowni wyciął 1700 mężów i młodzieńców, a kobiety i dzieci zaprzedał w niewolę.

Trzy tysiące zelotów pod wodzą Judy Ben-Jair, który, szczęśliwszy w tej mierze od Bar-Giory, wydostał się na wolność chodnikiem podziemnym, znalazły przytułek w lesie nieopodal Jordanu i połączyły się ze zbiegami z Macherus. Tu ich osaczyli Rzymianie i po walce gorącej wyrżnęli. Śmierć nie pozwoliła Bassusowi zdobyć Masady; następca jego Silva podjął to trudne zadanie. Ta górska warownia nad morzem Martwem była może jeszcze obronniejszą od Macherus. Rozsiadła się na stromej skale, a wiodły do niej dwie tylko ścieżyny, ledwie dostępne nawet w czasie pokoju. Załoga złożona z tysiąca zelotów z żonami i dziećmi, której komendantem był Eleazar Ben-Jair, potomek założyciela partji zelotów, Judy Galilejczyka, rozporządzała obfitemi zapasami żywności, wody i broni. Walczyła też z właściwą temu stronnictwu odwagą. Ale sztuka oblężnicza Rzymian zrobiła wyłom w murze; drugi mur naprędce z drzewa wzniesiony zapalił się od miotanych przez Rzymian pocisków ognistych. Niepodobieństwo stawiania oporu tak szczupłemi siłami, natchnęło Eleazara myślą namówienia załogi do zadania sobie śmierci własną dłonią, aby nie paść z rąk nieprzyjaciół. Z radością przystali na to towarzysze i w pierwszy dzień Paschy (73) pozabijali mężczyzni swe żony i dzieci, poczem sami pozbawili się życia. Rzymian, którzy wtargnęli do Masady, aby stoczyć tu walkę, powitała cisza śmiertelna; tylko dwie kobiety i pięciu chłopców odezwało się na ich wołanie. Taki był koniec ostatnich zelotów na ziemi żydowskiej.

Wespazjan wywarł okrutną zemstę na Judejczykach, którzy się ośmielili zrzucić jarzmo rzymskie. Zburzona została synagoga w Cezarei, o którą wybuchnął był niegdyś krwawy zatarg pomiędzy poganami i Żydami, zatarg, który był iskrą, co się rozpłomieniła niebawem w pożogę wojenną. Na miejscu jej zbudował Wespa-

zjan z łupu Judejczyków obszerne odeum. Ale to było jeszcze drobnostką w porównaniu z innemi środkami represji. Całą ludność żydowską państwa rzymskiego obarczono odpowiedzialnością za rokosz, i pociągnięto do kary. Dwie drachmy (ok. 70 kop.) które ofiarowali co roku na potrzeby świątyni, mieli teraz opłacać na rzecz kapitolińskiego Jowisza, a co przedtem było dobrowolną danią pobożności, zamieniło się w podatek przymusowy, obrażający sumienie. Ten po raz pierwszy wprowadzony podatek żydowski otrzymał miano „fisku żydowskiego.“ Swoich judzkich przyjaciół i pomocników wynagrodził Wespazjan zaszczytami i bogactwy. Agrypie udzielił tytułu pretora i powiększył jego królestwo o kilka okręgów. Zasłużył sobie na to u zwycięzców, bo gorliwością swoją przyczynił się do ich tryumfu. Drugi zdrajca, Tyberjusz Aleksander, otrzymał wysoką rangę wśród dostojników rzymskich i posąg na forum stolicy świata, na który zresztą Rzymianin zawzięty spoglądał z pogardą i drwiącym uśmiechem. I Józef nie wyszedł też z próżnemi rękoma. Cesarz obdarzył go za zdradę włościami na równinie Sarońskiej i uwolnił od czynszu gruntowego. Dał mu też mieszkanie w swym domu prywatnym i przyjął do rodziny cesarskiej, pozwoliwszy mu przybrać imię Flawjusz do własnego imienia. Nienawidzili go też z duszy serca rodacy i współwiercy i zatruwali mu, ile tylko mogli, rozkosze z łask cesarskich płynące.

Zdobycie ostatnich twierdz judzkich nie położyło jeszcze końca walkom zelotów. Przeszczepili swą nienawiść dla Rzymian do krajów, do których przed przemocą wroga ujść zdołali. Ci, którym się poszczęściło wydobyć na wolność podziemnemi chodnikami z płonącej Jerozolimy lub z twierdzy Masada, rozproszyli się po świecie, szukając przytułku u swych braci nad Eufratem, w Arabji, Egipcie i Cyrenie. Zeloci, którzy uciekli

do Aleksandrji, podburzyli swych rodaków do rozwinięcia chorągwi buntu przeciwko Rzymianom, że zaś Żydzi aleksandryjscy w świeżej jeszcze mieli pamięci rzeź, którą na kilka lat przedtem sprawili im Rzymianie pod wodzą apostaty Tyberjusza Aleksandra, oświadczyli więc swoją gotowość w tej mierze. Tylko bogacze i członkowie Rady oparli się temu szalonemu przedsięwzięciu i urządzili na wichrzycieli obławę. Pojmano 600 zelotów i wydano ich namiestnikowi Lupusowi, który kazał ich stracić; reszta rozpierzchła się po Egipcie aż po same Teby. Wyławiano ich powoli i brano na męki, aby uznali cesarza swoim panem. Ale mężowie i wyrostki w zawody znosili najsroższe katusze i, nie sprzeniewierzając się swym zelockim zasadom, umierali na mękach. W obawie, aby w Egipcie nie rozpaliło się ognisko nowych buntów żydowskich, kazał Wespazjan zamknąć świątynię Onjasza i pozbawił je w ten sposób środowiska. Wota świątyni Onjaszowej powędrowały za jerozolimskiemi do skarbnicy cesarskiej.

Część zelotów, która uciekła do miast cyrenejskich, popchnęła również Judejczyków miejscowych do powstania, i nie doznała też losu lepszego. Zelota Jonatan, tkacz z zawodu, zgromadził dokoła siebie licznych Judejczyków cyrenejskich i zawiódł ich na pustynię libijską, gdzie obiecał im ukazać znaki cudowne. I tutaj notable judzcy donieśli o zawiązującym się rokoszu namiestnikowi rzymskiemu, Katullusowi, który kazał powstańców chwytać i po części tracić. Dopiero po długich wysiłkach wpadł Jonatan w ręce władz rzymskich i zemścił się na bogatych rodakach z Cyreny denuncjacją, że brali udział w jego knowaniach. Oszczerstwo to przyprawiło o zgubę tysiąc zamożnych Judejczyków. Wysłany wraz z towarzyszami w kajdanach do Rzymu, usiłował Jonatan przez zemstę zamieszać w swoją sprawę Józefa i kilku innych ziomków tamtejszych. Ale Wespazjan zbyt pewny był wierności Józefa dla Rzymian, aby miał dać ucha tym oskarżeniom, uwolnił tedy wszystkich od winy. Jonatana po uprzedniem wychłostaniu żywcem spalono. Tak się skończyła ruchawka zelocka, która ogarnęła znaczną część żydostwa podległego berłu rzymskiemu i ściągnęła nań klęski dotkliwe. Za najszczęśliwszych mogli się jeszcze poczytać zeloci, którzy uciekli do Arabji północnej w okolice Jatrybu (Medina). Udało im się tam założyć gminę odrębną i utrzymać ją aż do wieku siódmego. Wśród okoliczności odmiennych odegrali oni rolę poważną.

Uporczywa wojna przeciw Rzymianom sprawiła w świecie rzymskim taką sensację, że pobudziła kilku pisarzy do skreślenia jej przebiegu. Atoli historycy greccy, schlebiając zwycięzcom, odzywali się lekceważąco o bohaterskich czynach Judejczyków. Taka stronność oburzyła Józefa, pomimo iż zaprzedał duszę Rzymowi; resztki uczucia patrjotycznego nie pozwoliły mu znieść obojętnie posądzenia jego ludu o tchórzostwo. Zebrał więc swoje doświadczenia i wspomnienia i opisał wojnę żydowską wraz z wypadkami, które poprzedziły jej wybuch (około 75-79). Dzieje te w siedmiu księgach zawarte przedstawił obydwu cesarzom i Tytus pozwolił je ogłosić; były też ułożone w takim duchu, aby mogły uzyskać jego aprobatę. Justus z Tyberjady, przewódca zelotów w swoim mieście rodzinnem, napisał kilka lat przedtem historję wojny żydowskiej, w której oskarżał Józefa o nieprzyjaźń dla Rzymian i przypisywał mu wywołanie buntu w Galilei. Obadwaj przywódcy stronnictw poważnionych prowadzili po skończeniu walki orężnej walkę na pióra. Nie był i Justus wzorem cnotliwości. Zrazu kierował on rewolucją galilejską i odbył wyprawę odwetową przeciwko Grekom ościennym, następnie przeszedł do Agryppy. Za przyczyną Bereniki ułaskawiony przez króla i hojnie na domiar obdarowany, zaciągnął się

w jego służbę, lecz dwukrotnie wtrącony został do więzienia, wygnany i znów ułaskawiony. Jakiś niewyjaśniony związek zachodzić musiał pomiędzy Justusem i królem Agryppą. Justus posiadał gruntowne wykształcenie greckie. W języku greckim też napisał dzieje koronowanych książąt żydowskich, których zaginięcia żałować należy. Przez lat dwadzieścia nie ogłaszał Justus swojej „Wojny żydowskiej“ i wystąpił z nią wówczas dopiero, gdy podrażnił w nim patrjotyczne uczucie widok faworów, jakie i po śmierci Tytusa zlewał na Józefa nowy monarcha, bezecny Domicjan, i nie mniej bezecna cesarzowa Domicja.

Dla poniżenia swego narodu nie miał Józef żadnego współczucia. Z oburzającym spokojem przyglądał się wspaniałemu tryumfowi z ujarzmienia Judei, z zimną krwią go opisał, a sromotna śmierć bohaterów, Jana z Gischali i Szymona Bar-Giory, nie obudziła w nim innego uczucia prócz złośliwej uciechy.

Tak więc narodowość judzka uległa zagładzie. Drobny tylko szczątek pozostał w ojczyźnie, a i ten wpadł w odrętwienie zupełne, przerażony nieszczęśliwym wynikiem walki z takiem bohaterstwem toczonej, zburzeniem grodu świętego i nadewszystko czczonej świątyni. Judea opustoszała w większej części, wsie i miasta obróciły się w gruzy. Zdołaż utrzymać się wątły ten szczątek? Podniesież się jeszcze kiedy córa Judy z nagłego upadku? Ozdrowiejeż krwawiące z ran tysiąca, w najszlachetniejszych organach okaleczałe ciało? A raczej,—skoro już nie stało ciała narodowego, lecz tylko walały się członki odcięte—czyż podobna, aby te członki zrosły się znowu, pozbawione organu życiowego w świecie pełnym przeciwności? Zali bez ożywczego tętna serca nie zamrą powoli? Jakże zdoła tylu walkami, potokiem krwi męczeńskiej okupiona nauka ciągnąć żywot w takiej niemocy? Niewątpliwie istniały liczne gmi-

ny żydowskie w Syrji i Partji, gminy w Azji Mniejszej i ciągle jeszcze ludna gmina w Aleksandrji. Ale one żyły tylko tchnieniem duchowem, które wiało ku nim od Jerozolimy. I teraz jeszcze spoglądały w stronę Judei, lecz ztamtąd wytrzeszczała na nich oczy rozpacz ponura. Kto pod wrażeniem ciosów straszliwych nie zobojętniał na wszystko, co przekraczało materjalne potrzeby, tego całkowicie pochłaniało pytanie: czyżby już wybiła ostatnia godzina tysiącletniego plemienia judzkiego, czyżby już nastał koniec nauki żydowskiej, która już zdążyła rozsiać po świecie zapładniające pyłki moralności? Niejeden z tych, co głowę unieśli z pogromu, pożegnał się w istocie z nadzieją dalszej egzystencji, jak waleczny przywódca zelotów, Eleazar z Masady, który, zanim przebił się mieczem, mówił z rozpaczą, że samo Bóstwo poświęciło na zagładę niegdyś drogi mu szczep Judejczyków. To aż nazbyt usprawiedliwione zniechęcenie oddziaływało jednak w różnych kierunkach. Jedni umartwiali swe ciało, wyrzekali się mięsa i wina, trwali w ponurej żałobie, usiłując w ten sposób przebłagać lub przynajmniej złagodzić gniew Boży. Inni, którzy przedewszystkiem nie mogli przeboleć utraty świątyni, jako siedliska ekspjacji, rzucali się w objęcia młodego chrześcijaństwa, aby myślą o innej ofierze i o blizkości królestwa Bożego zapełnić szczerby w umysłach i sercach. Gdzież więc szukać przyczyny, że ten szczątek, pozbawiony podpory i ogniska, nie rozpadł się na trzaski, że judaizm przetrwał największe niebezpieczeństwo i nie uległ zagładzie?

Cudownem bądź co bądź zjawiskiem jest to ocalenie nauki i narodowych pierwiastków. Prawda, że sytuacja była pomyślniejsza, niż po zburzeniu pierwszej świątyni, gdyż resztki narodu mogły się uczepić gleby ojczystej. W tem właśnie tkwiła moc, która pozwoliła się zrosnąć członkom rozpadłym. Podźwignięcie się z pro-

chu ułatwiała przedewszystkiem egzystencja królestwa judzkiego, lubo poniekąd bez ziemi, i egzystencja głowy Synhedrjum, lubo także bez ciała. Aczkolwiek pozbawione środków potęgi, wystrzelały jeszcze dwa wyniosłe wierzchołki, niejako świecki i duchowny.

Juljusz Agryppa II, wierny wasal Cezarów, uchodził jeszcze zawsze za króla judzkiego, lubo posiadłości jego zamykały się jedynie w granicach Galilei. Jego oddanie się i służalstwo dla nowej dynastji zjednały mu łaski Wespazjana. Większe jeszcze znaczenie miała u Tytusa jego siostra, czarująca Berenika, której uroda zdawała się urągać czasowi; odgrywała ona w Rzymie rolę narzeczonej dziedzica korony. Tak był o nią zazdrosny, że kazał zamordować współbiesiadnika swego, męża konsularnego Cecinę, podejrzewając go o tajemne miłostki z Bereniką. Aby się przypodobać Tytusowi, Areopag, Rada sześciuset i lud ateński wznieśli Berenice statuę z pompatycznym napisem, wysławiającym ją jako wielką królowę, córkę wielkiego króla Juljusza Agryppy. Tytus, jak się zdaje, miał najszczerszy zamiar połączyć się z nią związkiem małżeńskim, lecz wpływ ojca oraz wzmożona skutkiem wojny nieprzyjaźń Rzymian do Żydów stanęły jego chęciom na przeszkodzie. Gdy atoli po śmierci Wespazjana (79) Tytus nie urzeczywistnił jej marzeń, lecz trwając w roli cnotliwego monarchy i lękając się narazić swej popularności u ludu, polecił jej napozór z sercem złamanem, wyjechać z Rzymu, wówczas zaszedł zwrot w myślach tak jej jak Agryppy. Oboje, odczuwając może teraz głębiej smutną dolę swego narodu, przylgnęli mocniej do wiary ojczystej. Agryppa mianował zarządcą Galilei pobożnego Judejczyka. Dzielnicy tej nie dała się wojna w tym stopniu we znaki, jak Judei. Operacje wojenne trwały tam tylko kilka miesięcy i zakończyły się zburzeniem kilku twierdz i wytępieniem wojowników. Rany zadane Galilei mogły się też rychlej zabliźnić, gdyż

podlegała berłu Agryppy. Dwa znaczne grody galilejskie, Sepforis i Tyberjada, w których na przemian rezydował wielkorządca królewski, mogły służyć bezdomnym za schronienie. A i niedobitki z zniszczonej ogniem i mieczem Judei mogły przyjść powoli do siebie, gdyż wstawiennictwo Agryppy u obydwu cesarzy ulżyło zapewne ich doli. Dzięki temu kilka miast podźwignęło się z gruzów: Lidda, która stała się ważnem emporjum i którą Herodjanin Alexas obrał za swoją siedzibę, dalej Emaus (Gimso), słynne z obfitych źródeł leczniczych, zakwitnęło teraz również jako miasto handlowe. Odbudowane też zostało Jerycho, do czego przyczynili się sami Rzymianie, gdyż w okolicach jego rósł drogocenny krzew balsamowy, o który w ostatniej wojnie toczyły się walki zaciekłe, bo Rzymianie chcieli go koniecznie zachować, a Judejczycy zniszczyć, aby się nie dostał wrogowi. Ocalał, i skarb cesarski ciągnął z niego bogate dochody. Aby ten krzew złotodajny módz pielęgnować rękami ogrodników żydowskich, musiał cesarz zezwolić na odbudowanie Jerycha. Gęściej jeszcze niż na wschodzie, w okolicy Jordanu, zaludniły się niektóre miasta nieopodal morza.

Agryppa, który otaczał te szczątki opieką, pozyskał sobie ich miłość. Gdy pewnego razu zwiedzał Judeę południową, ściągnęli zewsząd na jego powitanie mieszkańcy, i nawet Aronidzi cisnęli się do niego, krocząc przez cmentarze, co było pogwałceniem przepisów, dotyczących czystości lewickiej. Był to wprawdzie tylko król malowany, lecz osoba jego przywodziła na pamięć czasy szczęśliwsze. Jednakże tej garstce ocalałej, lecz na luźne gminy rozbitej, brakło jednoczącego ogniska, a przytem, wśród tak radykalnie zmienionych warunków, nie wiedziała, jakie obowiązują ją jeszcze przepisy religji. Dopóki stała świątynia, ofiarnictwo uchodziło za centrum obrządków religji. Ofiary stanowiły węzeł, sprzęgający

jednostkę z Bóstwem. Kto dopuścił się jakiego wykroczenia przeciwko religji, usiłował przebłagać Boga za pomocą ofiar różnego rodzaju. Brak ołtarza zdawał się przecinać wszelką możność zbliżenia się do Boga, nasuwał nawet myśli, że Bóg wyparł się swego narodu. Czas świąt, które miały budzić nastrój religijny, zależał od uchwały Synhedrjum. Ale Synhedrjum legło pod gruzami stolicy. Któż będzie nadal normował i obwieszczał dzień święta? W tem rozprzężeniu powstał mąż, który sam stał się dla swych braci ogniskiem i znalazł słowo wyzwolenia z dręczących umysły wątpliwości. Mężem tym był Rabban Jochanan Ben-Zakkaj; stworzył on ośrodek, dokoła którego skrystalizować się mogła powszechność gminna. Jeszcze za istnienia świątyni cieszył się on wielką powagą. Gdy na dziesięć lat przed zburzeniem Jerozolimy Saduceusze podnieśli znowu głowy, zwalczał ich na czele swego stronnictwa. W rozległym cieniu świątyni wykładał gronu uczniów naukę żydowską. Obok patrjarchy Szymona Ben-Gamaliel, który był zwierzchnikiem duchownym i świeckim, zażywał Jochanan w Jerozolimie takiej powagi, że mógł samodzielnie prawa uchylać. Łagodnym charakterem przypominał Hillela, za którego ucznia uchodził, lubo widzieć go mógł chyba dziecięciem. Podczas zawieruchy wojennej należał do miłośników pokoju i nawoływał zelotów do pojednania się z wrogiem. Gdy po opasaniu Jerozolimy zeloci usiłowali przeszkodzić zbiegostwu środkami przemocy, postanowił, nie bacząc na trudności, przejść do obozu rzymskiego, powodowany bowiem mądrą przezornością, chciał dla nauki judaizmu założyć zawczasu przytułek. Ale wobec czujności wojowników niełatwo było się wydostać za mury. Lecz pomoc wodza sykarjuszów i użycie fortelu pozwoliły mu dokonać szczęśliwie zamiaru; dwaj uczniowie jego, Jozue i Eliezer, wynieśli go w trumnie niby trupa za bramę. Tytus przyjął r. Jochanana łaskawie, wiedział

bowiem, że jest zwolennikiem pokoju i że przemawiał za poddaniem Jerozolimy Rzymianom. Uwzględnił też jego prośbę, aby mu było wolno osiąść w Jamnji (Jabneh), leżącej na zawojowanym terenie, i tam pełnić obowiązki religijne, tudzież założyć uczelnię. To życzenie nauczyciela judzkiego nie obudziło w Tytusie żadnych skrupułów; ani mu przez myśl przeszło, że dzięki temu błahemu aktowi wątłe żydostwo przetrwa o całe tysiąclecia pełnią sił tryskające, śpiżowe rzymiaństwo. Osiadł tedy r. Jochanan w Jamnji, w pobliżu wybrzeży morza Śródziemnego, pomiędzy miastem portowem Joppą a dawnym grodem filistyńskim, Aszdodem. Było to miasto dość znaczne, miejsce składowe dla wywozu pszenicy.

Na nowej siedzibie nie mogło być mowy o natychmiastowem podjęciu jakiejkolwiek pracy, dopóki wrzała walka zajadła pod murami Jerozolimy, na jej ulicach i dokoła świątyni. Gdy nadeszła wiadomość, że miasto upadło a przybytek obrócony został w perzynę, r. Jochanan i jego uczniowie rozdarli szaty na sobie i pogrążyli się w żalu niezmiernym, jakby im umarł ktoś bliski. Ale mistrz nie zwątpił, jak jego adepci; zrozumiał, że istota judaizmu nie jest tak nierozerwalnie przytwierdzona do świątyni i ołtarza, aby wraz z nimi nieodzownie zginąć musiała. Uczniów bolejących nad utratą miejsca ekspjacji pocieszył uwagą, że „dobre uczynki“ zastępują ofiarę, według słów Pisma św.: „Gdyż miłosierdzia pożądam, nie ofiary.“ Ten swobodniejszy pogląd na znaczenie ofiary pozwolił mu jasno zrozumieć, że przedewszystkiem należy stworzyć nowe ognisko zamiast świątyni. Zorganizował tedy w Jamnji Synhedrjum, którego prezydentem uznano go tem skwapliwiej, że nie było nikogo, coby mu dorównał powagą i znajomością Zakonu. Skleconemu na prędce Synhedrjum jamneńskiemu nadał jego założyciel przedewszystkiem kompetencje religijne, które posiadało w Jerozolimie, a z któ-

remi połączone też były funkcje sędziowskie. Tylko niezaprzeczony autorytet r. Jochanana mógł dokonać takiego dzieła, jak stworzenie i utrwalenie Synhedrjum wśród najniepomyślniejszych warunków. Musiał bowiem stoczyć walkę z panującym poglądem, jakoby atrybucje Synhedrjum przywiązane były wyłącznie do hali ciosowej w świątyni i jakoby poza jej obrębem ciało to traciło swój prawodawczy i jurysdykcyjny charakter i przestawało być przedstawicielstwem narodu. Oderwawszy w ten sposób funkcje synhedrjalne od posad świątyni i przeniósłszy je do Jamnji, oderwał r. Jochanan w ogóle judaizm od kultu ofiarnego i uniezależnił go niejako tym krokiem. Nie rozległ się znikąd żaden głos protestu przeciw temu aktowi; Jamnja zastąpiła Jerozolimę i stała się religijno-narodowem ogniskiem dla gmin rozproszonych. Najważniejsza czynność Synhedrjum, która u gmin tak krajowych jak zagranicznych jednała mu cześć i powagę władzy miarodajnej i normatywnej, ustanowienie kalendarza świątecznego—dotąd wyłącznie prerogatywa Syonu, źródła nauki—czynność ta obecnie odbywała się w Jamnji. Ztąd wysyłano gońców, aby gminom w Syrji i Babilonji obwieszczali terminy świąt uroczystych, a w pewnych latach interkalacje miesiąca.

Stworzywszy w ten sposób niejako surogat uświęconego gruntu Jerozolimy, nie uważał przecież r. Jochanan bynajmniej ofiarnictwa za rzecz nieistotną i nie myślał wyrzekać się go nazawsze. Miłosierdzie, które ogłosił za ekwiwalent ofiary, miało tylko chwilowo odgrywać rolę zastępczą, poprostu dlatego, że zabrakło miejsca przejednania. Nie przeszkadzało mu to wcale żywić nadziei, że Jerozolima i świątynia za sprawą cudu mesjanicznego w krótkim czasie z gruzów powstaną i znów będzie można składać ofiary. W tej nadziei wydał prawo, że prozelici, którzy ofiarą stwierdzać musieli ścisłe zespolenie się z rzeszą żydowską, składać powinni

drobną sumę na zakup takowej. Z jego też zapewne inicjatywy wyszedł przepis, zakazujący na znak żałoby z powodu zburzenia świątyni wdziewać oblubieńcom wieńców w dzień ślubu, a grajkom wygrywać przytem wesołych melodji.

Pod względem politycznym był r. Jochanan, jak się zdaje, puklerzem dla nowego życia gminnego, które sam stworzył. Słodycz swą, którą tak przypominał Hillela, zachowywał też w stosunkach z poganami; witał ich z uprzedzającą grzecznością, a uprzejmość jego stanowi jaskrawy kontrast z nienawiścią zelotów do pogan, która wzmogła się jeszcze po zburzeniu świątyni. Werset „miłosierdzie ludów jest grzechem“ objaśniali współcześni dosłownie, z widocznem rozjątrzeniem przeciw poganom: „Choćby nam bałwochwalcy świadczyli jaknajwięcej dobrego, będzie im to za grzech poczytane, bo czynią to jedynie, aby nam urągać.“ R. Jochanan natomiast wykłada wiersz ten w duchu szczerej miłości bliźniego: „Jak ofiara zagrzeszna odkupia Izraela, tak dobre uczynki i miłosierdzie odkupiają narody pogańskie.“ Ta właśnie niezmierna jego pojednawczość przyczyniła się może do tego, że dwaj cesarze z domu Flawjuszów, Wespazjan i Tytus, nie zemścili się za rokosze Judejczyków w Cyrenie i Egipcie na gminach w Judei.

Osobistość r. Jochanana służyła im zapewne za rękojmię pokojowego usposobienia metropolji judzkiej. Cesarze z tego domu potrafili w ogólności być wdzięczni względem tych, którzy trzymali wiernie ich stronę. To też aż do wstąpienia na tron krwiożerczego Domicjana nie słychać o żadnym szczególnym ucisku gmin judzkich. Ściągano tylko bezwzględnie dań świątyniową, którą Wespazjan zamienił na dań przymusową dla kapitolińskiego Jowisza. Podatek ten szarpał boleśnie serca i tak już zranione i utratę samodzielności dał uczuć jeszcze dotkliwiej. Ale r. Jochanan umiał ukoić

umysły, przedstawiając to upokorzenie jako następstwo win własnych: „Nieszczęsny narodzie,“ mówił, „nie chciałeś służyć Niebu, teraz więc służyć musisz obcym narodom, nie chciałeś dać pół szekla na potrzeby świątyni, teraz musisz płacić piętnaście szeklów twojemu wrogowi, nie chciałeś utrzymywać w porządku dróg i gościńców dla pielgrzymów świątecznych, dziś utrzymywać musisz blokhauzy dla obrony winnic cesarskich.“ Tak działał syn Zakkaja, uśmierzając i łagodząc z jednej strony, konserwując i budując z drugiej. Z małego środowiska, jakim była Jamnja, kierował on licznemi gminami djaspory w państwie rzymskiem i Partji.

Trwalszą jeszcze i płodniejszą była naukowa działalność r. Jochanana. Skupiło się dokoła niego grono uczniów, chciwie słuchających słów jego. Pięciu znamy z imienia, lecz trzech z nich tylko wsławiło się później: Jozue i Eliezer, którzy go wynieśli w trumnie z Jerozolimy, oraz Eleazar Ben-Arach, przez samego mistrza za najwybitniejszego uznany. Grono to zaznajamiał przedewszystkiem z bogatą skarbnicą praw niepisanych, pochodzących z czasów odwiecznych, a przez szkoły Szammaja i Hillela wielostronnie pomnożonych i wzbogaconych. Była to t. z. tradycja, prawo ustne czyli wtóre (Miszna, Deuterosis), która prawo pentateuchiczne (Torę) uzupełniała, zmieniała lub prostowała. Zawierała też ona postanowienia i zapobiegawcze restrykcje (ogrodzenia), przez ciało synhedrjalne lub inne autorytety wprowadzone. Uczył też r. Jochanan uzasadniania niektórych praw dodatkowych, co umożliwiły dopiero sformułowane przez Hillela reguły wykładu, i nawiązywał je mniej lub więcej trafnie do brzmienia Pisma św. Istnym balastem był ten przebogaty materjał, którego trzeba się było uczyć na pamięć, aby go z ust do ust podawać. R. Jochanan uchodził w swoim czasie za wcielenie i żywy filar tej ustnej nauki. Obok tych dwóch

dziedzin nauki, materjału prawnego dla stosowania, dla praktyki (Halacha), tudzież uzasadniających motywów dla teorji (Midrasz), zwykł był przełożony z Jamnji wykładać swym adeptom niezakonne działy Pisma świętego, księgi proroków i hagjografy, w części dla objaśnienia ich sensu, w części zaś dla wyciągnięcia z nich nauk moralnych (Agada*). Jego wykład Pisma bywa nieraz nader dowcipny. Tak np. zakaz używania żelaza przy budowie ołtarza uzasadnia w ten sposób, że żelazo przypomina miecz, zabójstwa i wojnę, ołtarz zaś jako symbol pokuty i pojednania się z Bóstwem nie powinien był budzić reminiscencji podobnych.

Nie był atoli r. Jochanan bynajmniej głębokim komentatorem Pisma św., jak w ogólności proste rozumienie literatury biblijnej zostało już w owych czasach zaciemnione przez rozliczne, często bałamutne wykłady, Szkoła alegoryczna w Aleksandrji, kaznodzieje w gminach mówiących po grecku, poczęli już wykręcać tekst Pisma w poszukiwaniu komunałów filozoficznych. Zarazili się tą manją mówcy ludowi w Judei, zwłaszcza wichrzyciele zeloccy, którzy potępienie domu Idumejczyka Heroda uzasadniali słowami proroków o Edomie. Marzycielstwo eseńskie z swej znów strony doszukiwało się w Piśmie świętem nadzwyczajnych tajemnic. Za przykładem tym poszli apostołowie chrześcijańscy i ojcowie kościoła, którzy za pomocą swoistego wykładu wyprowadzali z wersetów argumenty na korzyść posłannictwa i boskości Jezusa. W egzegezie tego zakroju posunęła się najdalej zrodzona z esenizmu i chrześcijaństwa

---

* *Halacha* oznacza pierwotnie prawo obyczajowe, lecz pod mianem tym rozumieją powszechnie prawo tradycyjne czyli talmudyczne. *Agada* oznacza sentencję lub mowę budującą, nawiązaną do wiersza Pisma św., homiletyczny wykład i rozbiór; nie ma ona z praktyką religijną lub pełnieniem „Zakonu“ nic zgoła wspólnego. *Midrasz* oznacza wykład Pisma w ogóle, bądź to dla praktyki (*Halacha*), bądź też dla kazania (*Agada*).

sofistyka gnostyczna, która roiła o wyższem poznaniu Bóstwa, o budowie świata i dziele zbawienia i dla swych chaotycznych a pustych konstrukcji myślowych czerpała również argumenty z Pisma świętego. Słowem, przekręcanie wierszów Biblji stało się rzeczą tak dalece powszechną, że opaczna egzegieza zaćmiła zupełnie proste znaczenie wyrazów. Od tej chorobliwej metody wykładu nie było wolne ani jedno koło, związane z judaizmem lub wywodzące odeń swój początek; wzniosłe lub powabne obrazy świętych zabytków wykrzywiały się w jej świetle w szpetne dziwadła. Rabban Jochanan Ben-Zakkaj i jego uczniowie podzielali ten obłęd i przekazali go w spuściznie pokoleniom potomnym.

Jakkolwiek r. Jochanan nie był bynajmniej genjuszem, ani też torownikiem dróg nowych, to jednak niepodobna w należytej mierze ocenić zasługi, jaką położył przez stworzenie węzła, który połączył w jedną wielką całość rozstrzelone członki w ojczyźnie a również gminy odległe. Przygotował przejście z zgiełkliwego, skomplikowanego życia państwowego w ciche, lecz niemniej bogate życie komunalne i myślowe. R. Jochanan łączył w swej osobie proroka Jeremjasza i wróconego z wygnania księcia Zerubabela. Jak Jeremjasz, płakał na gruzach Jerozolimy, jak Zerubabel, był twórcą nowego ustroju. Obadwaj, r. Jochanan i Zerubabel, stali na progu dwóch epok, spadkobiercy jednej, a pionierzy drugiej; obadwaj położyli kamień węgielny pod nowy gmach dla swego narodu, zostawiając pokoleniom następnym wyciągnięcie pod dach rozpoczętej budowy.

R. Jochanan umarł na łożu w objęciach swoich uczniów. Przed śmiercią miał z nimi rozmowę, która pozwala nam zajrzeć w głąb jego ducha. Dziwili się, widząc, że ich mężny mistrz zdradza w godzinę śmierci lękliwość. Objaśnił ich, że nie śmierć go przeraża, lecz myśl, że wkrótce ma stanąć przed Sędzią przedwiecznym, którego sprawiedliwości nie można przekupić. Uczniów swych pobłogosławił przed zgonem temi znamiennemi słowami: „Bodajby bojaźń Boża równy wpływ wywierała na wasze postępki, jak obawa ludzi.“ Już nawpół przytomnie wyrzekł te ostatnie wyrazy: „Wynieście sprzęty z mieszkania i przygotujcie tron dla Hiskjasza, króla judzkiego, który przybywa.“ Skrupulatność w przestrzeganiu przepisów lewickich, dotyczących czystości, i mesjaniczne nadzieje zaprzątały do ostatniej chwili jego duszę, rozstającą się z ciałem. Przebija się w tem charakterystyczna cecha ówczesnego koła judzkiego.

Przewodnicy narodu—a za takich z mocy okoliczności uznani zostali faktycznie uczniowie r. Jochanana Ben-Zakkaj nietylko przez drobny szczątek w Judei, lecz i przez gminy całej djaspory, w Babilonji, Syrji, Egipcie i wszędzie, gdziekolwiek mieszkali Judejczycy— przewodnicy ci uważali za rzecz najpilniejszą kontynuowanie dzieła, rozpoczętego przez mistrza. Kombinacje polityczne, plany odzyskania utraconej wolności, odbudowania zburzonej państwowości, nie zaprzątały ich, jak się zdaje, zupełnie. Byli to właśnie Hillelici, mężowie pojednawczy, miłośnicy pokoju, którzy pogodzili się z nowem położeniem, którzy się niczem tak nie brzydzili jak mieczem, i prócz zachowania i pielęgnowania ocalonej z rozbicia nauki żadnej innej troski nie mieli. Pieścili tylko mesjaniczne nadzieje; zbawienia wyczekiwali nie od własnych wysiłków, lecz od interwencji cudownej. Niezwłocznie po zgonie mistrza wybitniejsi uczniowie odbyli naradę nad wyborem miejsca, w którem mieli nadal uprawiać naukę. Większość oświadczyła się za pozostaniem w Jamnji, gdzie mieszkało grono mężów obeznanych z tradycją. Tylko Eleazar Ben-Arach, ulubiony uczeń Jochanana, nalegał na przeniesienie siedziby uczelni do Emmaus. W urojeniu, jakoby niezbędny był dla swoich kolegów i że ci niebawem sami doń przyj-

dą, rozłączył się z nimi z podszeptu swojej żony i zamieszkał w Emmaus. Osamotniony i odcięty od żywej wymiany myśli, tak dalece miał zapomnieć co umiał, że opowiadano sobie komiczne anegdoty o jego późniejszem nieuctwie. Stosowano do losu Ben-Aracha maksymę: „Udaj się do miejsca nauki i nie wmawiaj sobie, że koledzy twoi pociągną za tobą, że tylko dzięki twemu pośrednictwu zachować zdołają naukę; nie polegaj zbytnio na swoim rozumie.“ Kiedy Ben-Arach, rokujący świetne nadzieje poszedł w niepamięć, towarzysze jego tymczasem ciągnęli dzieło swego mistrza i stali się chlubą następnych pokoleń. Prym trzymają, jako osobistości wybitne: Gamaliel, Jozue, Eliezer, oraz r. Akiba, który później przyłączył się do nich; wszyscy oni wyryli swe imiona na tym okresie i utworzyli grono pierwszych Tanaitów.*)

Jakkolwiek miasto synhedrjalne Jamnja miało już obecnie znaczenie głównego ogniska, nie przeszkodziło to przecież po śmierci r. Jochanana niektórym jego uczniom tudzież starszym uczonym, zwłaszcza dopóki nie dokonano wyboru ogólnie uznanego zwierzchnika, zakładać poza obrębem tego miasta, lecz zawsze w pobliżu, własnych uczelni. Eliezer nauczał w Liddzie, Jozue w Bekiin, na równinie pomiędzy Jamnją a Liddą. Nie osierociała tedy nauka po zgonie założyciela Synhedrjum, rzecby można, że pielęgnowano ją nawet z gorliwością wzmożoną; natomiast brak autorytetu, jakim był powszechnie czczony Ben-Zakkaj, zagroził poważnie zaledwie utwierdzonej jedności. Spory pomiędzy szkołami Hillela i Szammaja, które przed zburzeniem świątyni wywołały krwawe zatargi, dopiero przez burzę rewolucyjną stłumione, wybuchły teraz ponownie. Każde gremium

*) Tanaitami zwą się nauczyciele i autorytety ustnej nauki. Miszny (po grecku Deuterosis), skąd nauczyciele Miszny nazywają się także Deuterotami.

uczonych wykładało inaczej Pismo i Zakon i odmiennie też stosowało je w praktyce. Co w jednem miejscu uchodziło za rzecz dozwoloną, to gdzieindziej zakazane było surowo; zdawało się, że judaizm posiada dwa prawa. Ważne stosunki życiowe i kwestje nader doniosłe, np. dotyczące małżeństwa, stanowiły przedmiot tych sporów. Młodzi członkowie wywlekali na nowo sporne pytania w całej ich ostrości. Łagodzenie tych waśni, utrzymanie blizkiej rozprzężenia jedności i zabezpieczenie jej od dalszych ataków stało się zadaniem życia godnego potomka domu Hillela, Gamaliela II; atoli dążąc nieodstępnie do celu, naraził się mąż ten swym przyjaciołom i kolegom i zniewolony był podjąć z nimi walkę otwartą.

Gamaliel był synem owego patrjarchy Szymona, który należał do partji umiarkowanych zelotów i wojną z Rzymianami kierował gorliwie. Przy upadku państwa był Gamaliel prawdopodobnie jeszcze młodzieńcem, a tem samem niezdolnym do objęcia wakującego patrjarchatu, który wymagał powagi i dojrzałości wieku męzkiego. Z powodu politycznej postawy swego ojca nie miał też może miru u władz. Wobec tego r. Jochanan był właściwie prowizorycznym tylko prezydentem Synhedrjum, gdyż godność ta należała się bezsprzecznie potomkom Hillela, którzy ją piastowali dziedzicznie w trzech pokoleniach. Kiedy i w jakich okolicznościach objął r. Gamaliel ten urząd, nie wiemy. W odróżnieniu od dziada, Gamaliela Starszego, nazywają go Gamalielem z Jabneh (Jamnji). O jego stosunkach prywatnych wiemy niewiele, lecz i te skąpe szczegóły świadczą o wzniosłym charakterze moralnym i bogatym umyśle. Gamaliel posiadał grunta, które wypuszczał w dzierżawę wolnym ogrodnikom za nieznaczną część plonu.

Wzruszająca jest jego tkliwość dla ulubionego niewolnika Tabiego, którego rad byłby obdarował wolnością, gdyby nie obawa kolizji z surowym szwagrem r. Eliezerem,

uważającym wyzwolenie niewolnika za niezgodne z prawem. Po śmierci swego faworyta przyjmował kondolencje, jak po stracie krewnego. Posiadał, jak się zdaje, pewną znajomość matematyki. Posługiwał się teleskopem, a na ścianach swego pokoju porozwieszał wyobrażenia odmian księżyca, z któremi porównywał zeznania świadków, stwierdzających widzialność księżyca na nowiu. Lubo zdrowia słabego, nie lękał się największych wysiłków, ilekroć chodziło o dobro ogółu.

Za przykładem przodków nosił Gamaliel tytuł „Nasi“ (książę) — Rzymianie tytułowali go patrjarchą—i grał też zapewne rolę polityczną, jako przedstawiciel gmin judzkich wobec władz krajowych. Patrjarchat jego przypadł na czasy burzliwe i same okoliczności zniewoliły go do wykonywania obowiązków urzędu z tak nieubłaganą surowością, że zapoznano przez to jego właściwy charakter i przypisano mu ambitne zamiary. Główną troską r. Gamaliela było uczynienie z patrjarchatu ogniska społeczeństwa judzkiego i obrona nauki od grożącego jej ze strony szkół rozszczepienia. Przedewszystkiem powziął zamiar pogodzenia różnic w poglądach na sporne pytania; usiłował przeprowadzić zasadę, iżby dopiero uchwała Synhedrjum nadawała każdemu prawu moc i powagę, a patrjarcha czuwał nad jej wykonaniem. Im bardziej zaostrzały się przeciwieństwa obydwu uczelni, im uparciej obustronni zwolennicy obstawali przy tradycjach swoich mistrzów, tem silniej uczuwano, jak się zdaje, potrzebę jedności. Rozważni nie ukrywali przed sobą, że jaskrawe różnice w nauce łatwo doprowadzić mogą do rozłamu i zamętu. Wyrażano obawę, iż „niebawem przyjść może czas, że nadaremnie szukać się będzie w Piśmie i ustnej tradycji jakiejkolwiek decyzji, bo jedno orzeczenie będzie się z drugiem kłóciło.“ Tedy Synhedrjum jamneńskie pod kierunkiem r. Gamaliela poddało kwestje wątpliwe ponownej dyskusji i zaczęło

od zasad Hillela i Szammaja, aby drogą głosowania podnieść je do znaczenia praw obowiązujących ogólnie. Atoli niełatwo było o zgodę. Spór w winnicy jamneńskiej trwać miał długie lata; i jedni i drudzy uważali się za wyłącznych posiadaczy prawdziwej tradycji. Zwłaszcza Szammaici, uparci i zawzięci, jak założyciel ich szkoły, nie dali się do ustępstw nakłonić. Wreszcie, dnia pewnego rozległ się głos mistyczny (Bat-Kol), który w wypadkach wątpliwych i w położeniu bez wyjścia uchodził za wskazówkę z niebios zesłaną, i głos ten sprawę rozstrzygnął. Usłyszano podobno w uczelni te słowa: „Zasady obydwu szkół są wprawdzie słowami Boga żywego, lecz w praktyce powinny obowiązywać wyłącznie zasady Hillela.“ Większość uległa temu wyrokowi. Tylko r. Jozua, natura trzeźwa, oświadczył się przeciw podobnej decyzji. „Nie powinniśmy w takich wypadkach zważać na dźwięki przypadkowe, bo nauka nie jest dla niebian, ale dla ludzi, i żaden cud sprawy tu przesądzać nie może.“ Lecz protest jego przebrzmiał bez echa, podobnie jak protest Szammaity r. Eliezera. Tak długo odrzucane tradycje, wykłady, wnioskowania i prawidła interpretacji Hillela, uzyskały nareszcie autorytet wyłączny.

Ponieważ Szammaici należeli do nieprzyjaznej Rzymianom partji zelotów, gdy natomiast Hillelici byli zwolennikami pokoju, to aktem tym Synhedrjum jamneńskie położyło poniekąd kres rewolucji. Ale odgłos wypadków rewolucyjnych nie przebrzmiał jeszcze w umysłach, oceniano je też rozmaicie, zależnie od stanowiska partyjnego. Miłośnicy pokoju, którzy winę zburzenia świątyni zrzucali na zelotów, wyrażają się surowo o przewódcy zelotów jerozolimskich, Szammaicie Zacharjaszu Ben-Amfikalos.

Zdobywszy w ten sposób dzięki r. Gamalielowi przewagę, nie śmieli jednak Hillelici znieść przeprowadzonej

przez Szammaitów przemocą uchwały, zakazującej wszelkich z poganami stosunków. Utrzymała się tedy w mocy, jako ślad nienawiści Judejczyków do pogan w czasie powstania, utrudniając niezmiernie egzystencję pośród ludności nieżydowskiej. W ogóle czyniono Szammaitom, lubo stanowili mniejszość, skwapliwe ustępstwa. Nie chciano im gwałtu zadawać, nie chciano ich zmuszać, aby bez zastrzeżeń ulegli i tryb religijnego życia przeistoczyli zgodnie z uchwałą. Pozwolono nadal każdemu żyć według własnych przekonań, z tym wszakże warunkiem, aby orzeczenia szkoły Hillela pozostały dla całego ogółu normą jedyną. R. Gamaliel czuwał z największą troskliwością nad dokonanem przez siebie dziełem zjednoczenia stronnnictw obydwu i tłumił surowo wszelki przejaw buntu przeciwko uchwale Synhedrjum. W związku z tym środkiem stoi, jak się zdaje, jeszcze inny środek. Patrjarcha jamneński wydał rozkaz, aby do kół uczelni dopuszczano jedynie osoby nieposzlakowanej opinji, a postanowiony w tym celu odźwierny usuwać miał gości niepewnych.

Obadwa te środki, autorytet władzy patrjarszej, pilnującej jedności, i oględność w przyjmowaniu członków i uczniów, spotkały się jednak w kole towarzyszy z protestem, cichym zresztą z początku. Środkiem, jakim r. Gamaliel poskramiał opornych, była klątwa, którą się posługiwał z całą bezwzględnością głębokiego przekonania. Klątwa ta była jeszcze, co prawda, daleka od posępnej surowości czasów późniejszych, stosowano ją owszem pod łagodną postacią usunięcia winowajcy od ściślejszego ze społeczeństwem pożycia, aż skruszony nie zaniecha oporu. Banita nosił przez miesiąc czarne szaty żałobne; jeśli w przeciągu tego czasu umarł nie uznawszy swej winy, to kamień położony na trumnie świadczył o zatwardziałości grzesznika. R. Gamaliel nie wahał się rzucać klątwy na wybitne nawet osoby, czem oczywiście ściągał na siebie nieprzyjaźń zawziętą.

Przejęty zgubnemi skutkami owego rozłamu dla judaizmu, i tak już zagrożonego przez liczne, nawpół żydowskie, a nawpół chrześcijańskie sekty, imał się r. Gamaliel, nawet w błahych wypadkach, środków surowych, aby nie dopuścić zakłócenia jedności. Gdy ci i owi wyrzekali na taką surowość i zarzucali mu żądzę panowania, zawołał w poczuciu czystości swoich zamiarów: „Tobie, Boże, wiadomo, że ani moja, ani ojców mych chwała postępkami memi rządziła, lecz com czynił, na Twoją chwałę czyniłem, aby rozterki i rozłam nie rozkrzewiły się w Izraelu.“

Dzięki energicznym rządom tego patrjarchy stało się Synhedrjum jamneńskie sercem narodu judzkiego; ztąd płynęły wszelkie pobudki aż do gmin najdalszych. Ocalały szczątek narodu uważał egzystencję Synhedrjum za resztki bytu państwowego i zwierzchnikowi tej instytucji oddawał honory monarsze, jako potomkowi domu Hillela i królewskiej krwi Dawidowej. Dom ten był jego dumą, bo w jego członkach widział prawowitych dziedziców korony Dawida, bo byli oni dlań żywem świadectwem prawdziwości proroctwa praojca Jakóba, że „nie będzie odjęte berło od Judy.“ Patrjarsze przysługiwało prawo obsadzania urzędów sędziowskich i gminnych i prawdopodobnie też sprawowania nad nimi nadzoru. Jeszcze władze rzymskie nie wkroczyły do tego stopnia w sprawy wewnętrzne narodu judzkiego, aby zagarnąć jurysdykcję i wykonywać ją przez własne organy. Autorytet patrjarchy nie krępował jednak samodzielności przełożonych uczelni, którzy własną mocą przyznawali swym uczniom godność sędziego i nauczyciela; sankcja patrjarchy była w tym celu zbyteczna. Promocja na ten stopień odbywała się z uroczystym obrzędem. Mistrz kładł w przytomności dwóch członków rękę na głowach uczniów wybranych, bez żadnej zresztą myśli o przelaniu i udzielaniu Ducha świętego, jak się to działo

przy wyświęcaniu adeptów prorockich. Nie było w tem nic zgoła innego, jeno akt uznania, że ordynowany okazał się godnym objęcia pewnych urzędów. Kandydaci w dzień swej ordynacji występowali w szatach odświętnych.

Działalność patrjarchy skupiała się przeważnie w uroczystych posiedzeniach publicznych Synhedrjum. Zajmował on tam miejsce najwyższe, otoczony najwybitniejszymi członkami, którzy siedzieli przed nim półkolem. Za członkami siedzieli w kilku rzędach ordynowani, a za nimi znów stali uczniowie, wreszcie na szarym końcu rozkładał się na ziemi lud w charakterze słuchaczy.

Ustanowienie kalendarza świątecznego, czynność, która wchodziła przedtem w zakres kompetencji całego kolegjum, ogłosił Gamaliel za wyłączną atrybucję patrjarchy. Przy układaniu tego kalendarza przywiązywał większą wagę do tradycyjnych w jego rodzie obliczeń czasu obrotu księżyca, niż do zeznań świadków, stwierdzających ukazanie się nowiu. I tutaj przyświecał mu cel zachowania jedności w żydostwie i zapobieżenia rozłamowi, jakiby wywołać mogło niejednoczesne obchodzenie przez gminy świąt uroczystych. Rozprzężenie, panujące w chrześcijaństwie nietylko w przedmiocie dogmatów i wykładu Pisma św., lecz i w kwestji dnia Wielkanocy, było dla r. Gamaliela przestrogą. To też przełożeni Kościoła spoglądali z pewnym podziwem na tę jedność, ożywiającą koła żydowskie i włożyli apostołowi Piotrowi w usta te słowa: „Rozproszeni po świecie współplemieńcy żydowscy przestrzegają wszędzie jednego Zakonu o jedności Boga i trybie żywota i nie mogą też bynajmniej mieć żadnych poglądów odmiennych i odstąpić od sensu wieloznacznego Pisma. Nie pozwalają nikomu nauczać, kto się wpierw sam nie nauczył, jak ma Pismo św. traktować. Dla tego też jednego mają Boga, jeden Zakon i jedną nadzieję.“

Mając zawsze na oku utwierdzenie jedności, starał się R. Gamaliel uregulować sprawy synagogalne, stanowiące

środek ciężkości życia religijnego. Wprowadzone już za czasów istnienia świątyni nabożeństwo codzienne rozszerzył i do wersetów o jedności Boga, do dziękczynienia za zesłane przez Boga światło słońca i światło duchowe Zakonu, tudzież do innych jeszcze modlitw na dni powszednie dodał kilka błogosławieństw, które utrzymały się w synagogach aż do dnia dzisiejszego: modły o odbudowanie grodu świętego i Przybytku, o zesłanie zbawiciela mesjanicznego i prośby za prozelitami, którzy z pogaństwa nawrócili się do wiary żydowskiej. Ale niektórym nauczycielom Zakonu nie podobało się wprowadzenie stałych formuł modlitwy. Zwłaszcza nierad był im epigon szkoły szammaickiej, r. Eliezer Ben-Hyrkanos, w ogóle niechętny wszelkim nowinkom, który też wystąpił z takim zarzutem: „modlitwa według wzorów przepisanych nie płynie z głębi serca i nie może znaleźć posłuchu.“

Publiczna służba boża odznaczała się zgoła prostemi formami; nie było celebrantów z urzędu. Każdy Żyd, byle miał wiek odpowiedni i cieszył się nieposzlakowaną opinją, mógł przewodniczyć nabożeństwu. Wzywała do tego gmina i okoliczności tej zawdzięczał celebrant miano „posła gminy.“ Stawał on w niszy przed arką, w której spoczywał rodał Zakonu.

W ten sposób dzięki gorliwości Synhedrjum i patrjarchatu życie religijne zostało unormowane wszechstronnie; zburzenie świątyni nie zostawiło luki w łonie żydostwa, jak sobie wmawiali stojący poza jego obrębem. Modlitwa, studja Zakonu i miłosierne uczynki zastąpiły kult ofiarniczy. Z wyjątkiem ofiarnictwa przestrzegano jaknajściślej Zakonu. Oddawano Aronidom dziesięcinę i inne daniny kapłańskie, zostawiano, jak dawniej, narożniki pola na pożytek ubogich i wręczano im co drugi rok dziesięcinę ubogich. Utrzymano w mocy wszystkie ustawy Zakonu, odnoszące się do świętości gleby Judei, a po części i Syrji. Za-

chowując rok odpustowy, puszczano rolę odłogiem i umarzano też potrosze długi zaległe. Uważano słowem, że państwo judzkie, lubo na razie zgniecione, istnieć nie przestało. Przedsięwzięto też środki, aby grunta w Judei nie przeszły w trwałe posiadanie właścicieli pogańskich i wrazie zbycia nie pozostały na zawsze w ich rękach. Na pamiątkę zburzonej świątyni, której odbudowa w blizkiej przyszłości budziła najsłodsze nadzieje, zachowano również pewne obyczaje, które właściwie tylko na świętych posadach miały znaczenie. Na ogół jednak panował nastrój posępny, wywołany upadkiem państwa i obróceniem w popioły przybytku. Nauczyciele upominali: „kto po Jerozolimie nosi żałobę, ten doczeka się wskrzeszenia jej blasku.“ Cztery posty, które wygnani do Babilonji Judejczycy narzucili sobie dobrowolnie po upadku pierwszej świątyni, zaprowadzone zostały na nowo po zburzeniu wtórej. Prócz tego pościli pobożni dwa dni w tygodniu, poniedziałki i czwartki. Tylko w pochodzące z doby szczęśliwej dni „pamiątkowe i tryumfalne“ nie wolno było pościć. Te wspomnienia o ratunku w ucisku i klęsce nie powinny się były nigdy zatrzeć w pamięci narodu.

Ze zburzeniem świątyni przepisy, dotyczące czystości lewickiej, nie postradały ze wszystkiem swej mocy, zbyt głębokie bowiem w wierzeniach ludu zapuściły korzenie. Pobożni gotowali się do uczt powszednich z tą samą troskliwością, jak do spożycia dziesięciny, dani kapłańskiej lub biesiady ofiarnej. Wystrzegano się wszelkiego zetknięcia z osobami i rzeczami, które prawo za nieczyste uważa, i używano wyłącznie odzieży i sprzętów, sporządzonych z uwzględnieniem przepisów czystości. Ci wszyscy, którzy prawa ściśle przestrzegali i z płodów, bądź to własnych, bądź nabytych, wytykali regularnie dziesięcinę, tworzyli rodzaj zakonu lub korporacji, której początek sięgał czasów waśni stronniczych pomiędzy Faryzeuszami a Saduceuszami. Zakon ten miał też, jak się zdaje, tło polityczne; członkowie jego zwali się „Towarzyszami“ (Chaberim). Kto pragnął wstąpić do niego, musiał w przytomności trzech członków ślubować publicznie posłuszeństwo regułom zakonu. Członek, który przeciw tym regułom wykroczył, był wydalany; ulegali też wykluczeniu i ci, co popierali interesy władz rzymskich w charakterze celników lub poborców podatków. Celnicy, jako narzędzia despotyzmu rzymskiego, stanowili zawsze jeszcze klasę najbardziej wzgardzoną.

Antytezą zakonu „Towarzyszów“ był lud wiejski, niewolnik gleby; tamci tworzyli poniekąd patrycjat żydowski w przeciwieństwie do rolnika-plebejusza. Posiadamy jaskrawy obraz umysłowego i moralnego zaniedbania ludności wiejskiej w tej dobie. Zapewne częste w ostatnich latach państwa judzkiego powstania i długotrwałe wojny rewolucyjne przyczyniły się głównie do skażenia obyczajów i zdziczenia włościan żydowskich. Cechowała ich podobno w interesach nierzetelność, w pożyciu małżeńskiem rubaszność, w obcowaniu z bliźnimi brak poczucia honoru i poszanowania życia ludzkiego. Takich tylko przestrzegali ustaw żydowskich, które przemawiały do ich pojęć brutalnych,a o życiu duchowem nie było tam nawet i mowy. Głęboka też rozwarła się przepaść pomiędzy tą masą nieokrzesaną a oświeceńszemi warstwami; nienawidziły się one z duszy i serca. Członek zakonu nie usiadłby z wieśniakiem do stołu, nie spocząłby pod jednym z nim dachem; lękał się poprostu otrzeć o niego, aby się nie skazić przez dotknięcie jego odzienia. Związki małżeńskie pomiędzy obydwiema klasami były rzadkością; Towarzysze uważali takie małżeństwo za hańbiący mezaljans. Klasy te odpychała od siebie antypatja bodaj większa od wzajemnej odrazy Judejczyków i pogan. „Gdybyśmy im nie byli potrzebni—mówi r. Eliezer—napadaliby na nas z za węgła.“ R. Akiba, pochodzący

z klasy włościańskiej, wyznał sam, że dawniej życzył sobie niekiedy spotkać się gdzieś na ustroniu z jakim Towarzyszem, aby mu w gardło nóż wrazić. Podsycali tę nienawiść również Towarzysze i nie przedsiębrali nic, aby podnieść do siebie lud wiejski. Nietylko unikali wszelkich stosunków z pospólstwem, ale nie dopuszczali go do składania świadectwa, do sprawowania opieki, do żadnego urzędu gminnego. Jeden przestrzegał drugiego, aby się nie udawał w podróż w towarzystwie wieśniaków, bo zdolni są popełnić zabójstwo.

Tak więc niedopuszczony do obcowania z klasą wykształconą, odsunięty od uczestnictwa w życiu gminnem, pozbawiony wszelkich środków do wydźwignięcia się z ciemnoty i grzechu, zdany na siebie samego, bez kierownictwa i rady, uległ lud wiejski wpływom mniej surowego chrześcijaństwa. Jezus i jego uczniowie zajęli się przeważnie tą zaniedbaną warstwą ludową i wśród niej też znaleźli większość swych zwolenników. Jakże to pochlebiać musiało tym wydziedziczonym i odtrąconym przez prawo biedakom, gdy w ich niskie progi zawitał apostoł chrześcijański, jadł i pił z nimi i zapewniał ich, że tylko dla nich przyszedł mesjasz na świat i za nich życie swe oddał, aby i oni mieli udział w dobrach, których pozbawieni byli dotychczas, a przedewszystkiem w szczęśliwości świata lepszego! Kodeks odmawiał im praw najsłuszniejszych, a wiara otwierała im bramy królestwa bożego. Trudno było zawahać się w wyborze. Doktorowie, pochłonięci pracą gorliwą nad zachowaniem nauki i życia judzkiego, przeoczyli z wyniosłego stanowiska pierwiastek, z którego dla tej właśnie nauki urosnąć miał przeciwnik potężny. Ani się spostrzegli, jak na ich własnym gruncie zjawił się wróg, pragnący zagarnąć cały dobytek duchowy, nad którym czuwali z taką wiernością i poświęceniem.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Rozbrat judaizmu z chrześcijaństwem.

Pod gwiazdą szczęśliwą przyszło na świat chrześcijaństwo. Już to samo było dlań szczęśliwem zdarzeniem, że ognisty, burzliwy, krewki Saul z Tarzu z prześladowcy został nietylko jego stronnikiem, ale i głównym założycielem. Albowiem on to dopiero utorował drogę właściwą, którą przypłynęły doń tłumy pogańskie. Bez niego nie mogłaby się chyba długo utrzymać nauka Jezusa, jako niezakończona w sobie, półeseńska, przez nieoświeconych adeptów i dwuznacznej opinji adeptki reprezentowana sekta. Ale i inne jeszcze okoliczności pomyślne sprzyjały wzrostowi chrześcijaństwa. Z jednej strony oziębłość i obojętność dla ustaw judaizmu wśród greckich Żydów w Aleksandrji, Antjochji i Azji Mniejszej, z drugiej zaś odraza cnotliwych Greków i Rzymian do niezbożnego, bałwochwalczego pogaństwa i ich podziw dla opartych na wzniosłej idei jednobóstwa zasad moralnych judaizmu.

Zarówno wykształconym Judejczykom, jak i prawym poganom trafiało wielce do serca chrześcijaństwo paulińskie, uwalniające ich od przestrzegania rytuału judzkiego, sabatu, przepisów pokarmowych, a zwłaszcza obrzezania. Pierwsi przyjmowali może jako rzecz podrzędnego znaczenia trudno zrozumiałą dla nich wiarę w ukrzyżowanego Mesjasza, Boga-człowieka i syna bożego; dla drugich właśnie ta wiara stanowiła najlepsze przejście od wielobóstwa do zasad bezwzględnego monoteizmu. Pomyślnym zwłaszcza wypadkiem było dla chrześcijaństwa zburzenie świątyni i pozorna zagłada narodowości judzkiej. Zrozpaczeni, słabi i żądni pojednania z pośród Judejczyków, tak w Palestynie, jak poza jej obrębem osiadłych, którym serce rozdarła ta wstrząsająca tragedja, rzucali się w objęcia wiary, obiecującej odpuszczenie grzechów i usprawiedliwienie przez śmierć

Mesjasza, a rzucali się temci skwapliwiej, że nie wymagała od nich ciężkiej ofiary i jednała ich ze światem pogańskim. Jak się zdaje, cały zakon eseński i uczniowie Jana Chrzciciela zespolili się zupełnie z uczniami Jezusa podczas zaciekłej wojny z Rzymianami, a zwłaszcza po upadku świątyni. Niemałe też miał znaczenie dla wzmocnienia chrześcijaństwa pewien środek represji politycznej. Edykt Wespazjana nakazywał każdemu Judejczykowi wręczać władzom rzymskim dawną dań świątyniową w charakterze pogłównego, a pierwszy ten podatek żydowski wydał się Judejczykom w Rzymie, Grecji, Azji Mniejszej, Egipcie i w ogóle w djasporze tem uciążliwszym, ile że był pierwszym krokiem do uszczuplenia przysługujących im w państwie rzymskiem praw obywatelskich. To też niejeden wolał się zaprzeć swego pochodzenia, byle uniknąć płacenia wstrętnego podatku, który uważał za brzemię lub za zniewagę dla siebie. Ale tym wybiegom położył kres niebawem trzeci cesarz z domu Flawjuszów, chciwy złota i okrutny Domicjan; kazał ściągać nowy podatek z bezwzględną surowością i poddawać oględzinom tych, co usiłowali ukryć swą przynależność do narodu judzkiego. Potrzeba jest matką wynalazków. Jakoż wielu kontrybuentów pozbywało się za pomocą operacji znaku przymierza. Władze ustawodawcze w Jamnji potępiły oczywiście takie postępowanie, jako sprzeniewierzenie się przymierzu Abrahama. Eleazar z Modinu, jedna z powag ówczesnych, oświadczył, że ten, kto zaciera swe pochodzenie żydowskie, niedostąpi zbawienia, choćby był uczony w Piśmie i wiódł żywot pobożny. Aż oto Paweł i jego szkoła wystąpili z nauką, że obrzezanie, jak i cały Zakon, uległy zniesieniu skutkiem pojawienia się i śmierci Jezusa. Nieobrzezani Judejczycy, byleby tylko wyznawali wiarę prawdziwą, są prawdziwymi potomkami Abrahama, „wybrańcami, kapłanami, królami.“ Ta nauka, która niosła jednocześnie

korzyści, znalazła naturalnie odgłos wśród Judejczyków w Azji Mniejszej i Rzymie i zwabiła wielu na łono chrześcijaństwa. Natomiast Ebjonici i Nazareńczycy, którzy pozostali wierni religji ojczystej, jako obcy zupełnie kultowi mamony, nie widzieli nic obelżywego w podatku żydowskim. Mistrzowi swemu, zapytanemu podobno, czy należy płacić cesarzowi owe dwie drachmy, włożyli w usta odpowiedź: „Oddajcie cesarzowi, co cesarza, a Bogu, co Boga.“

Tym sposobem gmina Chrystusowa w pierwszych dziesiątkach lat po zburzeniu świątyni zasiliła się z dwóch stron, wzmocniła, a przytem podniosła. Wyznawcy nowej wiary nie rekrutowali się już wyłącznie z nieoświeconych i wzgardzonych celników i kobiet; jednała ona sobie teraz licznych przedstawicieli warstw zamożnych i zacnych. We wszystkich wielkich miastach państwa rzymskiego, a zwłaszcza w samej stolicy, zawiązały się gminy chrześcijańskie, których członkowie zaliczali się potrosze do Judejczyków, lub przynajmniej za takich uważani byli przez Rzymian. Opinja publiczna nie mogła już, jak dotąd, lekceważyć chrześcijaństwa, gdyż drobna niedawno sekta staje się obecnie nowym czynnikiem dziejów ludkzości.

Atoli błogosławieństwu, jakie niosło poganom, i dodatniej reakcji, jaką wywrzećby mogło na judaizm, stanął na wstręcie rozłam, który niebawem nastąpił i wprowadził je na drogi błędne i zgubne. Albowiem doktryna paulińska o zbyteczności Zakonu rzuciła w łono prachrześcijaństwa ziarno niezgody, która rozdarła zwolenników Jezusa na dwa wielkie stronnictwa, rozgałęzione z kolei w sekty pomniejsze, z odrębnemi poglądami i odrębnym trybem życia. Sekciarstwo rozwinęło się w chrześcijaństwie od samego początku jako nieuniknione skutek sprzecznych z sobą dogmatów. Dwie partje, z jednej strony chrześcijanie żydowscy, Minejczykami

zwani, z drugiej zaś chrześcijanie pogańscy, stają naprzeciw siebie, jak dwa wrogie obozy. Z wręcz nieprzyjaznem uczuciem dla pomiatających Zakonem chrześcijan pogańskich powołują się pierwsi na słowa Jezusa: „Nie sądźcie, abym przyszedł Zakon rozwiązywać,... kto go przestrzega i naucza, będzie zwan wielkim w królestwie niebieskiem.“ Nawet przywiązanie chrześcijan żydowskich do Jezusa nie było tego rodzaju, aby odstrychnąć się mieli od judaizmu. Uważali go za męża świętego, za człowieka wzniosłych zasad moralnych, który według zwykłych praw przyrodzenia narodził się z rodziców Józefa i Marji z pokolenia Dawida. Ten syn Dawidów założył królestwo niebieskie, przeto iż nauczał ludzi, aby żyli w pokorze, gardzili bogactwem i miłowali się a wspierali wzajemnie jako bracia, jako dzieci boże. Hasłem ich były słowa Jezusa: „Błogosławieni ubodzy, gdyż ich jest królestwo niebieskie.“

Z obawy, aby nie ubiegła jej partja przeciwna, poczęła też żydowsko-chrześcijańska gmina macierzysta wysyłać ze swej strony apostołów do gmin zagranicznych, którzyby obok wiary w mesjanizm Jezusa wpajali zasadę nieustającej mocy i powagi Zakonu. Niektórzy z nich w półwieku z górą po śmierci Jezusa ułożyli jego życiorys według tradycji i legend, jakie powstały w tem kole, i upiększyli go licznymi cudami. Ten życiorys nazwali ewangielją i położyli w niej szczególny nacisk na cześć i uwielbienie Jezusa dla Zakonu judzkiego. Ewangielje te napisali dla czytelników żydowskich w mieszanem narzeczu ówczesnem, nawpół hebrajskiem, nawpół aramejskiem. Zawierały się w nich także cytaty z Pisma świętego, przeważnie nietrafne, mające stwierdzić mesjanizm Jezusa. Apostołowie ci nie pracowali wprawdzie nad dziełem nawracania tak gorliwie i zręcznie, jak Paulini, niemniej przecież potrafili śród okoliczności przyjaznych jednać sobie zwolenników z kół judzkich.

Chrześcijanie pogańscy, pozyskani przez Pawła i jego uczniów dla wiary w Jezusa, zapatrywali się na chrześcijaństwo zupełnie inaczej i odmienne też odnieśli sukcesy. Ponieważ dla świata pogańskiego Mesjasz-odkupiciel, o którym prawili apostołowie, był pojęciem zgoła nieznanem, a syn Dawidów nie mógł ich również pociągać, wytłomaczyli sobie tedy te słowa zgodnie z własnym sposobem myślenia w sensie istotnego syna bożego, wyobrażenie powszednie u pogan, lecz dla Judejczyków gorszące i obce. Wślad za ustaleniem pojęcia o synu bożym musiano nieodzownie usunąć z życia Jezusa wszystkie zjawiska i zdarzenia, które znamionowały go jako człowieka. Naturalne narodziny z rodziców raziły przeważnie pogan i samorzutnie poniekąd wyłoniła się gloryfikująca idea, że ten syn boży narodził się z dziewicy za sprawą ducha świętego. Pierwsza tedy zasadnicza różnica pomiędzy Ebjonitami a chrześcijaństwem pogańskiem dotyczyła poglądu na istotę Jezusa: pierwsi czcili go jako syna Dawida, drudzy ubóstwiali go jako syna bożego. Nadto odrzucali chrześcijanie pogańscy za przykładem Pawła, obrzezanie, przepisy pokarmowe, sobotę i święta, zachowali więc z judaizmu tylko naukę moralną, uznanie Tory i proroków za pisma święte, tudzież swoiste wyobrażenia, które udzielały się im bezwiednie skutkiem obcowania z zabytkami piśmiennictwa judzkiego. Natomiast do wspólności mienia i pogardy bogactwa, najistotniejszego celu ebjonickiego chrześcijaństwa, nie przywiązywali żadnego znaczenia. Nie posiadali też chrześcijanie pogańscy najmniejszej tradycji o tendencjach nauki Jezusa i brakło im również klucza do Pisma świętego, które mogli czytać tylko w greckim przekładzie. Jakoż każdy wybitny zwierzchnik gmin hellenistycznych wykładał po swojemu naukę chrześcijańską, bądź to w charakterze apostoła, bądź też proroka. Dzięki temu powstały w ich łonie sekty poboczne, które się zwalczały

nawzajem i walki te toczyły w sposób wywołujący zobopólną nienawiść. Podobne rozterki panowały zwłaszcza w Azji Mniejszej, w siedmiu miastach: Efezie, Smyrnie, Pergamie, Tyatyrze, Sardes, Filadelfji i Laodicei, które w przenośnej mowie ówczesnej nazywano „siedmioma gwiazdami“ i „siedmioma złotymi świecznikami!“ Efez był stolicą tych gmin chrześcijańsko-pogańskich. Panowało tu zdawna wrogie dla Judejczyków usposobienie, które chrześcijanie helleńscy przenieśli na swych współwyznawców pochodzenia judzkiego. Wywzajemniali im się też chrześcijanie żydowscy nienawiścią zaciekłą, którą również żywili dla Pawła, jego uczniów i dla gmin założonych przez nich na pogardzie Zakonu. Nie szczędzili apostołowi „obrzezka“ złorzeczeń i obmów, nie dając mu nawet pokoju po śmierci, za to że krzewił błędne nauki i głosił chrześcijaństwo sprzeczne z duchem i celem założyciela. Z pewnym podziwem dla jedności i jednomyślności, ożywiającej kierowane przez Synhedrjum jamneńskie żydostwo, w przeciwieństwie do panującego w łonie gmin chrześcijańskich rozprzężenia, pisze jeden z członków partji żydowsko-chrześcijańskiej te słowa: „Nic podobnego niemasz u nas, gdyż nasze słowo prawdy rozszczepia się na liczne opinje. Wiem to nie jako prorok, lecz że widzę korzenie złego. Albowiem niektórzy z pośród pogan odrzucają moje z Zakonem zgodne nauki i idą za sprzeczną z prawem i niedorzeczną nauką wrogiego człowieka (Pawła).“ Słowa te włożone są w usta drugiego głównego apostoła, Szymona Piotra. Lecz nie poprzestając na takiem osądzeniu ewangielji i nauk apostolskich Pawła, poczytującego je sobie za wielką zasługę, nadali mu jeszcze chrześcijanie żydowscy przezwisko, którem napiętnować chcieli zarówno jego, jak jego stronnictwo. Przezwali go Szymonem Magiem, samarytańskim guślarzem, który zaczarował świat cały swojemi słowami. Był wprawdzie ochrzczony, atoli urzędu apostolskiego nie otrzymał od następców Jezusa przez ducha świętego, lecz usiłował kupić go sobie pieniężną ofiarą (na gminę ebjonicką). Wszelako nietylko doznał stanowczej odprawy, ale w dodatku publicznego potępienia przez Piotra; albowiem serce jego pełne było podstępu, pełne gorzkiej żółci i nieprawości. „Jakże mógł był się Jezus ukazać apostołowi pogaństwa,“ mówili do siebie chrześcijanie żydowscy i powiadali też wiernym, „skoro głosi przecież zasady przeciwne jego nauce?“ Zainicjowane przez Pawła wyzwolenie od Zakonu judzkiego nazywali przeciwnicy swawolą, nauką Bileama, uwodzącą do spożywania obiat pogańskich i do praktyk wszetecznych. Chrześcijanie żydowscy, jak i Judejczycy, przezwali Pawła Bileamem, lub w greckim przekładzie tego wyrazu Mikołajem, „uwodzicielem ludu.“ Judejczycy mówili o uczniach Bileama, że można ich poznać po nieżyczliwości, pysze i żądzy użycia. Chrześcijanie żydowscy nazywali jego uczniów „szkołą szatana.“ Autor „Objawienia,“ ogłoszonego na Patmos pod imieniem Jana, chwali chrześcijan efeskich, że pałają tą samą, co i on, nienawiścią do Mikołaitów i że uznawszy zwolenników apostoła Pawła za kłamców, unikają wszelkich z nimi stosunków. Toż samo Objawienie gani gminę tyatyrańską, że pewnej niewieście, zuchwałej jak Izebel i mieniącej się fałszywie prorokinią, pozwala uwodzić wiernych wyznawców do wszeteczeństwa i udziału w obiatach pogańskich,—i grozi jej straszliwemi karami. Wodzireje chrześcijan pogańskich nie pozostali dłużni odpowiedzi, a za nienawiść płacili im równą, bodaj nawet zacieklejszą nienawiścią, bo antagonizmy wyznaniowe zaostrzała jeszcze odraza Greków do Żydów, lubo także wyznawców Jezusa. W listach, wysyłanych do gmin przez przewodników różnych sekt chrześcijańskich, nie żałowano zazwyczaj uszczypliwych słówek i gromów na przeciwników swojej za jedynie prawdziwą uważanej konfesji; były to przeważnie

pisma polemiczne. Nawet spisywanym pod mianem ewangielji opowieściom o narodzinach Jezusa, o jego działalności, męce, śmierci i zmartwychwstaniu nadawały stronnictwa zabarwienie i ton swojego wyznania i wkładali założycielowi chrześcijaństwa w usta nauki i sentencje nie w ich brzmieniu pierwotnem, lecz przystosowane do własnych poglądów: Ebjonici w duchu przychylnym dla Zakonu judzkiego i Judejczyków, Paulini, czyli chrześcijanie pogańscy—w nienawistnym dla obu i wrogim.

Rozterka żydowskiego chrześcijaństwa z pogańskiem nie ograniczała się bynajmniej różnicą obustronnych dogmatów i wierzeń. Nie chodziło tylko o to, czy Jezus był wzniosłym Mesjaszem lub też synem bożym, czy Zakon żydowski postradał swą moc lub też obowiązywał i nadal. Waśń miała podłoże polityczne. Chrześcijanie żydowscy nie mniej od Judejczyków nienawidzili Rzymu, Rzymian, cesarza i jego przedajnych urzędników. Jeden z ich proroków, właśnie ów autor „Objawienia," rodzaju widzeń Danielowych, dyszał płomienną nienawiścią do grodu siedmiogórego, wielkiej wszetecznicy Babilonu. „Widziałem niewiastę (z którą wszeteczeństwo płodzili królowie ziemi), siedzącą na bestji szkarłatnej, pełnej imion bluźnierstwa, mającej siedem głów i rogów dziesięć... Miała puhar złoty w ręce swej pełen obrzydliwości i plugastwa nierządu swojego, a na czole swojem imię napisane: Tajemnica. Babilonja wielka, matka wszeteczeństwa i obrzydliwości ziemi. Widziałem niewiastę pijaną krwią świętych i krwią męczenników Jezusa." Wszelkie nieszczęścia świata, wszelkie okropności zniszczenia i klęski, wszelką hańbę i poniżenie przepowiada i życzy to „Objawienie" chrześcijańskie grzesznemu Rzymowi, nie przeczuwając, że gród ten będzie kiedyś stolicą chrześcijaństwa i w swej zmienionej postaci pozostanie gniazdem tych samych występków i szkarad. Natomiast chrześcijaństwo pauliń-

skie nietylko zalecało uległość państwu rzymskiemu, lecz nadomiar głosiło, że jest ustanowione przez Boga. „Niechaj każdy będzie uległy władzom zwierzchniczym, albowiem niema zwierzchności, któraby nie była od Boga. A które są, od Boga są postanowione. Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności (rzymskiej), ten sprzeciwia się postanowieniu bożemu." To stronnictwo chrześcijańskie nie znało owych skrupułów, które dojmowały miłującym wolność Żydom rodowitym, i zalecało też ustawicznie płacić Rzymianom podymne, cło, pogłówne i wszelkie w ogólności podatki. To ustępstwo władzom państwowym, to przymilanie się grzesznemu Rzymowi, na którego głowę chrześcijaństwo żydowskie klęło ognie piekielne, było jeszcze jedną przyczyną, odpychającą wzajem od siebie chrześcijan różnego wyznania. Bo też nieliczne były właściwie punkty, co do których zachodziła między nimi zgoda w poglądach.

Wobec tego, że życie religijne chrześcijan żydowskich nie różniło się w niczem od starego trybu życia judzkiego, nauczyciele Zakonu i przełożeni ebjoniccy obcowali z sobą bez wszelkich skrupułów. Surowy r. Eliezer, który wszystkim poganom odmawiał w życiu wiecznem udziału, prowadził z Ebjonitą Jakóbem częste rozmowy. Ben-Dama, siostrzeniec r. Izmaela, ukąszony przez węża, chciał udać się do tegoż Jakóba, aby ranę zażegnał imieniem Jezusa. Przejście ze społeczeństwa judzkiego do chrześcijańskiego nie było krokiem nagannym, gorszącym. Członkowie rodzin judzkich, przyjmując wyznanie chrześcijańskie, nie wnosili tem koniecznie do domu niezgody. Nie brakło zapewne i objawów niechęci. Kiedy Chananja, siostrzeniec r. Jozuego, chciał przyłączyć się do gminy chrześcijańskiej w Kapernaum, wuj przeciwny temu zamiarowi, wyprawił go przemocą do Babilonji, usuwając go w ten sposób z pod wpływów chrześcijańskich.

Zgodne pożycie Judejczyków z żydowskimi wyznawcami Jezusa nie trwało jednak długo. Tkwi to w naturze człowieka, że coraz bardziej idealizuje przedmiot swego kultu i że im dalej usuwają mu się z przed oczu jego kształty realne, w tem większy dla niego wpada entuzjazm. Z biegiem czasu sercom zachwyconym wydają się nawet plamy na uwielbionej istocie rzetelnemi zaletami, mącące obraz jej skazy lśnią w ułudnej oddali niby gwiazdy promienne. Usiłując wyjaśnić sobie niezrozumiały żywot swego Mesjasza, zagłębiali się jego zwolennicy judzcy w pisma proroków w poszukiwaniu klucza do zagadkowych rysów jego postaci. Jakoż znajdowali w nich przekonywające ich zdaniem aluzje i wzmianki. Wszystko, co się stało, stało się dla tego, aby się ziściła ta lub owa zapowiedź proroków o Mesjaszu. Nie poprzestając tedy na uznaniu Jezusa Mesjaszem, przechylili się powoli chrześcijanie żydowscy bezwiednie do wierzeń chrześcijan pogańskich, którzy przedstawiali sobie założyciela swej religji jako wyposażonego w boskie przymioty i moc cudotwórczą.

Im bardziej chrześcijanie żydowscy, w drugiem i trzeciem pokoleniu, zbliżali się w kwestji ubóstwienia Jezusa do dogmatów chrześcijan pogańskich, tem bardziej oddalali się od judaizmu. Ebjonici, którzy w wspólności mienia i ubóstwie upatrywali właściwą istotę nauki Jezusa, tracili z dniem każdym zwolenników i stopnieli niebawem w sektę nieliczną. Nazareńczycy, stanowiący większość stronników kierunku minejskiego, wyrzekli się wraz z komunizmem niektórych obrządków żydowskich. Obok obrzezania zachowali wprawdzie jeszcze sobotę, lecz jednocześnie obchodzili również święto niedzielne, wprowadzone przez Hellenistów na pamiątkę dnia zmartwychwstania Jezusa. Ze stopniowem odstąpieniem od wiary ojczystej i ze zbliżeniem się do partji chrześcijańsko-pogańskiej przejęli też Nazareńczycy jej odrazę do

swoich rodaków; im bowiem bliższe są sobie wyznania, im błahsze dzielą je różnice, tem zacieklejszą żywią do siebie nienawiść. Szczególną nienawiścią pałali koryfeusze nazareńscy do przewodników żydostwa, piastunów ustnej nauki, członków Synhedrjum jamneńskiego, uważając ich za zawadę do nawrócenia się wszystkich Judejczyków na wiarę w Jezusa.

Zarówno w kołach chrześcijańsko-żydowskich, jak i judzkich przyzwyczajono się oceniać wszelkie wypadki bieżące ze stanowiska Pisma świętego i szukać dla nich motywów i napomknień w słowach proroków; był to najskuteczniejszy sposób budzenia pewnych nastrojów i wpajania przekonań. Nazareńczycy zastosowali do Tanaitów, których nazywali Deuterotami, a szczególnie do szkół Hillela i Szammaja, karcący, groźbą tchnący wiersz Jezajasza: „Będzie kamieniem obrazy i upadkiem dla obydwu domów Izraela.“ „Przez dwa domy rozumie prorok dwie sekty Szammaja i Hillela, z których powstali uczeni w Piśmie i Faryzeusze.“ Spotwarzali też ich następcę, Jochanana Ben-Zakkaj, którego łagodność mogłaby im służyć za przykład. Z zacietrzewieniem, zaledwie wytłomaczyć się dającem namiętnością partyjną albo sekciarską, wkładają Nazareńczycy Jezusowi w usta inwektywy przeciw nauczycielom Zakonu, które nie mogły pasować do żadnego z członków ówczesnego koła Tanaitów, a przeciw całemu kołu zwrócone były bezwątpienia oburzającą niesprawiedliwością. Stałem wyrażeniem w ustach Nazareńczyków o chronicielach ustnej nauki było: „obłudni piśmiennicy,“ a nazwa Faryzeusz była w tem kole równoznacznikiem wyrazu „obłudnik,“ miano tyleż fałszywe, ile brzemienne w smutne następstwa. Nazareńczycy żydowscy zatruli długą przyszłość rodzimemu szczepowi i w spuściznie przekazali swoją nienawiść, która z biegiem stuleci przybrała straszliwe rozmiary. Albowiem te obelgi zamieścili w ewangieljach, które

wyznawcom Jezusa służyć miały za wzór i naukę. A wkładając Jezusowi w usta słowa nienawiścią dyszące przeciw niewiernym stróżom religji żydowskiej, jemu, którego przecież wysławiali jako mistrza pojednawczości i słodyczy, uczynili z niego twórcy ewangielji zawziętego wroga swych współplemieńców, którzy nie chcieli weń uwierzyć i trzymali się pierwotnego judaizmu.

Przyplątało się do tego jeszcze inne, niemniej smutne zboczenie. Nowa nauka o Bogu-człowieku, przyjęta przez pogrążonych w kontemplacji religijnej Eseńczyków, ojców gnostyki, tudzież przez lubujących się filozoficznymi kwiatkami alegorystów aleksandryjskich, którzy opacznie pojmowali zarówno idee swego wielkiego filozofa Filona, jak i Pismo święte,—nauka ta spłodziła nowy konglomerat pierwiastków żydowskich, chrześcijańskich i mistycznych. Wśród chrześcijan pogańskich, posiadających powierzchowną znajomość filozofji greckiej, a zwłaszcza półmistycznego filozofa Pytagorasa, wywołała ta mieszanina ferment potężny, z którego wyłoniła się dziwotworna poczwara, mistyka gnozy. Z tego skojarzenia kłócących się z sobą żywiołów wylęgły się karykaturalne obrazy, podobne do majaczeń obłąkańca. Stare zagadnienie: „zkąd zło na świecie bierze początek i jak pogodzić się daje z pojęciem dobrotliwej i sprawiedliwej Opatrzności,“ usiłowali teozofowie gnostyczni rozwiązać za pomocą nowej doktryny o Bogu.

Snać potężnym był powab nauk gnostycznych, skoro hołdowały im zrazu nawet powagi Synagogi i Kościoła. Niektóre sekty gnostyczne unaoczniają całą dziwaczność i ekscentryczność tego kierunku. Jedna sekta np. przezwała się Kainitami, z tego jedynie powodu, że jej zwolennicy, naprzekór opowieści biblijnej, przekładali bratobójcę Kaina nad ofiarę jego zbrodni, Abla. Zrehabilitowali również Kainici zwyrodniałych Sodomitów, dzikiego Ezawa, ambitnego wichrzyciela Koracha i twierdzili, że Kain

i jemu podobni powstali z wyższej, potężniejszej mocy, niż Abel i inni ulubieńcy Biblji. Tym samym duchem przekory przeciw tradycjom biblijnym ożywieni też byli Ofici czyli Naasyci, z tą wszakże różnicą, że postępowanie swe lepiej uzasadnić umieli. Nazwę swą otrzymali od greckiego wyrazu „ofis“ i hebrajskiego „nachasz“ (naas, wąż), wąż bowiem uchodzi w Biblji za sprawcę grzechu pierworodnego, a wyobrażenia ówczesne upatrywały w nim pierwowzór złego, powłokę szatana. Ofici wdzięczni byli wężowi, że uwiódł pierwszą parę ludzi do wypowiedzenia Bogu posłuszeństwa, albowiem dzięki temu zbudziło się poznanie dobrego i złego, wyższa świadomość gnozy. Gnostycy chrześcijańscy wyobrażali sobie boską istotę jako rozszczepioną na dwa podporządkowane jeden drugiemu pierwiastki, na najwyższego Boga i stwórcę świata. Pierwszy był według nich praźródłem dobroci i łaski. Natomiast zasadniczą istotą stworzyciela świata, Demiurgiem zwanego, była sprawiedliwość i surowość, przejawiające się w prawach krępujących człowieka. Jak zawsze, tak i w tym wypadku powoływali się gnostycy na opacznie wytłomaczony werset proroka, na wiersz Jezajasza: „Pociągnijmy do Judy i postanówmy innego króla, syna dobrego Boga (Tab-El).“ Obok tych dwóch istot przyjmowali gnostycy bezkształtny pierwiastek, z którego stworzone zostały wszystkie jestestwa, i wyprowadzali zeń różne stopniowania w świecie duchowym i cielesnym. Wszystko, co dobre i szlachetne, jest emanacją najwyższego Boga, prawo i sprawiedliwość pochodzą od stwórcy świata, wreszcie wszystko złe, wadliwe, ułomne ma swe źródło w działaniu przytłaczającego pierwiastku.

Według tego gnostycznego podziału trzech potęg świata istnieją też wśród ludzi trzy klasy lub kasty, zostające w służbie jednego z owych trojga pierwiastków. Są ludzie duchowi (pneumatycy), natchnieni przez najwyższego

Boga i dążący do niego, wolni od jarzma prawa, rozwiązani z pęt ziemskiej natury; sami są sobie prawidłem i prawem i nie potrzebują kierownictwa ani opieki. Należą do tej klasy prorocy i posiadacze gnozy prawdziwej. Są dalej ludzie cieleśni w służbie Demiurga; na tych ciąży jarzmo zakonu, który broni ich poniekąd od potęgi ziemskości, lecz nie pozwala im wznieść się na wyżyny ludzi duchowych. Wreszcie istnieją ludzie ziemscy, którzy na podobieństwo zwierząt skrępowani więzami materji, nie mogą zerwać się do wolnego lotu ludzi duchowych, ani kierować się przepisami prawa. Za typy tych trzech rodzajów ludzkości uważali niektórzy gnostycy trzech synów Adama: Set był pierwowzorem pneumatyków, Abel typem ludzi prawu podległych, Kain obrazem ziemskiego człowieka. Według tegoż schematu klasyfikowali niektórzy gnostycy także religje: chrześcijaństwo miało być tworem najwyższego Boga, judaizm dziełem Demiurga, a pogaństwo produktem niższego pierwiastku. „Prócz wyższego poznania—tak nauczali—wszystko jest zresztą obojętnem; tylko w mniemaniu człowieka jedno jest dobrem, drugie złem, lecz z przyrodzenia niemasz nic złego.“ Niektórzy zwolennicy tej teozofji głosili i praktykowali wręcz wszeteczeństwo, bezładny stosunek płci, wspólność kobiet, a nawet kazirodcze uściski. To zjawisko chrześcijańsko-gnostyczne wywołało pogłoski, jakoby wogóle chrześcijanie podczas nabożeństwa gasili nagle światła i oddawali się dzikiej rozpuście. Różne sekty gnostyczne do krzewienia swoich poglądów posługiwały się językiem hebrajskim, greckim lub syryjskim i pismami swemi, zdobnemi w kwiatki mistyczne, zalewały całą Judeę i zagranicę, aż do Azji Mniejszej i Rzymu. Autorzy tej literatury rzadko występowali pod własnem imieniem; wybryki swej fantazji przypisywali przeważnie starożytnym autorom historji żydowskiej, których imiona kładli na czele swych

utworów. Pojawiły się tedy w tym czasie pisma Adama, Enocha, proroctwa Chama, księgi praojców, Mojżesza, Eljasza, Jezajasza, tworzono psalmy na modłę Dawidowych i nie było chyba postaci biblijnej, którąby nie musiała użyczyć swego imienia tym apokryfom. Gdy już wyczerpały się imiona proroków, wynajdywano nowe o brzmieniu dziwacznem: Pachor, Barkor, Barkof, Armagil, obliczone na podniecenie wyobraźni czytelnika. Myśli swoje i nauki wkładali przeważnie w usta założycielowi chrześcijaństwa i w obrazach biograficznych krzewili podania i mity o jego narodzinach, żywocie, działalności i cudach. Naliczono około pięćdziesięciu takich ewangielji; każda sekta posiadała swoją własną i odrzucała ewangielje sekt innych. Dla przekonania o prawdziwości relacji przypisano każdemu z bezpośrednich uczniów Jezusa autorstwo jednej ewangielji. Ocalałe fragmenty ewangelji Egipcjan są jaskrawym przykładem bezceremonialności, z jaką sekciarze wkładali Jezusowi w usta hasła swojej partji. W ewangielji tej znajdujemy wrzekome orzeczenie Chrystusa, które jedni wykładali jako zakaz małżeństwa, inni zaś jako zachętę do rozpętania popędu płciowego. Jezus prowadzi tam rozmowę z niejaką Salome, która go zapytuje, kiedy się ziści to wszystko, co zapowiedział. Odpowiada jej: „Wtedy, gdy rozedrzecie zasłonę wstydu i kiedy dwoje (obie płci) zmienią się w jedno, męzkie z żeńskiem, ni męzkie ni żeńskie.“

Nie mogły być obojętne dla żydostwa takie pisma ewangieliczne, napisane po części przez Judejczyków i dla Judejczyków; były one zamachem na najwewnętrzniejszą jego istotę i zmierzały do podkopania egzystencji judaizmu i zachwiania wierności jego wyznawców. Z pewnością niemała była liczba tych, co olśnieni błędnymi ognikami doktryn nowotnych, w których prawda dziwnie splotła się z fałszem, dali się uwieść do odstępstwa od wiary ojczystej. Apostazja jednego z tych

uwiedzionych, osławionego Elizy Ben-Abuja, zaznaczyła się smutnymi dla narodu skutkami. Należał on do koła Tanaitów, nie ustępował swoim kolegom w znajomości prawa ustnego i umiał posługiwać się sztuką wykładu. Z tem wszystkiem sprzeniewierzył się religji swych przodków i dopuścił się zdrady na swoim narodzie, gdyż uległ trującym wpływom piśmiennictwa gnostycznego. Nucąc wiecznie greckie pieśni gnostyczne, nie rozstawał się też nigdy Eliza z pismami Minejczyków. Zarwawszy dzięki temu błędu o dwoistości boskiej istoty, stał się wzgardzicielem i wrogiem judaizmu, jako wrzekomej emanacji podrzędnego bóstwa, Demiurga. Nie był Eliza Ben-Abuja jedynym zwolennikiem wyobrażeń gnostycznych. Nie brakło także innych w łonie żydostwa, którzy w modlitwie publicznej kładli szczególny nacisk na słowa: „Ciebie, Boże, chwalą dobrzy“ lub „Imię twe niech będzie wzmiankowane ku dobremu,“ aluzja do podzielności istoty boskiej. Adept z koła nauczycieli Zakonu, Ben-Soma, popadł w błąd gnostyczny, że Bóg stworzył świat z wodnistego pierwiastku, i objaśniał w tym duchu opowiadanie o wodach górnych i dolnych; długie zaciekania nad tą kwestją w końcu pomieszały mu zmysły. Inny tego koła uczestnik, Ben-Asai, hołdował również błędom gnostycznym i uchylał się od związków małżeńskich, gdyż pod wpływem gnozy eseńskiej uważał je za przeszkodę do wzlotów duchowych i za materjalizację duszy.

Jeżeli wobec tego wtargnięcie pierwiastków chrześcijańskich i gnostycznych do judaizmu obudziło poważne skrupuły przeciw zgodnemu współżyciu z chrześcijanami żydowskimi, jeżeli z drugiej strony namiętne inwektywy tych ostatnich, w słowie i czynie, przeciw nauczycielom Zakonu i ich działalności wywołały w dodatku wśród Żydów rozjątrzenie, to inny jeszcze wzgląd nakazywał zerwanie wszelkich z nimi stosunków. Ujawniło się mianowicie, że wśród Nazareńczyków znajdowały

się osobniki bez czci i sumienia, które z nienawiści dla przywiązanych do starej wiary rodaków, zanosiły do władz rzymskich oskarżenia potwarcze, jakoby byli nieprzyjaciółmi narodu rzymskiego i zamierzali znowu rozwinąć sztandar rokoszu lub też w jakikolwiek inny sposób zaszkodzić Rzymianom. Takie denuncjacje były w wysokim stopniu niebezpieczne. Wobec podejrzliwości krwiożerczego Domicjana podobne podszepty mogłyby ściągnąć na całe żydostwo straszną niedolę. Pewnego dnia dwóch szpiegów przebranych za Żydów wkradło się do uczelni r. Gamaliela, usiłując podsłuchać czego tam uczono. Właśnie roztrząsano kwestję palącą, czy Judejczyk obowiązany jest również skrupulatnie wystrzegać się uszkodzenia dobytku pogańskich sąsiadów, jak dobytku własnych rodaków. Temat ten osłaniał właściwe zagadnienie, czy Judejczykowi wolno się uchylać wrazie możności od uciążliwej i upokarzającej dani żydowskiej (fiscus judaicus), czy takie uchylenie się uważać należy za uszkodzenie mienia cudzego. Czy wolno Judejczykowi zrzucić strój narodowy, aby uniknąć płacenia tego podatku? Tym dyskusjom przysłuchiwali się szpiedzy, a ich denuncjacja mogła mieć skutki niemiłe. Patrjarcha ujrzał się tedy zmuszonym do ogłoszenia wyraźnego przepisu, że prawo judzkie tak samo karze wyrządzenie szkody poganinowi, jak i ziomkowi. Jakże niebezpieczne następstwa zarówno dla jednostki, jak dla całej rzeszy, mogła spowodować taka zdrada, gdy napozór wychodziła z jej własnego łona, a przeto tem wiarogodniejsze miała pozory.

Tym knowaniom chrześcijaństwa żydowskiego i gnozy, wymierzonym przeciw duchowi nauki żydowskiej, musiał się bronić judaizm, aby nie uledz zagładzie. Wrogie moce wdzierały się w jego przybytki, znieważały jego świętości, kaziły jego pojęcie o Bogu, przekręcały i paczyły jego nauki, odstręczały od niego wiernych dotąd wyznawców i uzbrajały ich w nienawiść i pogardę dla

przedmiotu dawniejszego uwielbienia. Nie mógł też obojętnie patrzeć na te zakusy. Rzekłbyś, że powraca okres machabejski z jego hellenistami, którzy pierwsi wnieśli niezgodę w dom Izraela; znowu rodzeni synowie sprzysięgli się przeciw swojej macierzy. Koło Tanaitów odczuło żywo grozę położenia; nie spodziewało się ono po Minejczykach nic dla nauki dobrego. R. Tarfon (Tryfon) mówił o tych niebezpiecznych wpływach z najgłębszem przekonaniem: ewangielje (Giljon) i wszystkie pisma Minejczyków zasługują na ogień wraz z zawartemi w nich imionami bożemi; mniej się zaiste należy obawiać pogaństwa, niż sekt żydowsko-chrześcijańskich, albowiem tamto nie uznaje prawd judaizmu przez nieświadomość, te natomiast zaprzeczają im zupełnie świadomie. Wolałby też szukać raczej ocalenia w świątyni pogańskiej, aniżeli w zborach Minejczyków.

Synhedrjum jamneńskie musiało rozstrzygnąć pytanie, jakie stanowisko wyznaczyć wypada chrześcijanom żydowskim w obrębie społeczeństwa judzkiego i czy w ogólności uważać ich jeszcze należy za Żydów. Zapadła uchwała, aby odgrodzić się od nich murem formalnym. Rozbrat z sektą minejską miał być jeszcze bezwzględniejszy, niż z samarytańską. Zakazano mięsa, chleba i wina od chrześcijan żydowskich, jak ich zakazano na krótko przed zburzeniem świątyni od pogan, aby utrudnić wszelkie poufalsze z nimi stosunki. Rzucono klątwę na wyznaniowe pisma chrześcijańskie; postawiono je na równi z księgami magicznemi. Zabroniono najsurowiej wszelkich z nimi interesów, wszelkiej wymiany usług, a szczególny położono nacisk na zakaz poddawania się kuracjom cudownym, które chrześcijanie wykonywali w imię Jezusa. Nadto wtrącono do modlitwy codziennej formułę klątewną, odsądzającą Minejczyków i delatorów od zmartwychwstania. Patrjarcha r. Gamaliel polecił tę formułę ułożyć Samuelowi Młodszemu, postaci

niezmiernie popularnej śród współcześników dla wzniosłych cnót i słodyczy. Była to zresztą niejako próba prawomyślności, mająca na celu rozpoznanie potajemnych zwolenników chrześcijaństwa żydowskiego. Albowiem uchwalono, że kto tę formułę lub prośbę o odbudowanie państwa judzkiego opuści przy odprawianiu modłów publicznych, ten ma być odsunięty od pulpitu. O wszystkich uchwałach, powziętych przeciw sektom żydowsko-chrześcijańskim, poleciło Synhedrjum powiadamiać gminy listami. Ze strony chrześcijańskiej wywołały te zarządzenia w czasach późniejszych zarzut, jakoby Judejczycy co dnia po trzykroć, t. j. w modlitwie porannej, południowej i wieczornej, przeklinali Chrystusa. Lecz to obwinienie jest również bezpodstawnem, jak i wiele innych. Nie przeciw osobie założyciela religji chrześcijańskiej, ani nawet przeciw wszystkim chrześcijanom wymierzona była owa formuła klątewna w modlitwie, ale wyłącznie przeciw Minejczykom, do których zaliczano tych wszystkich, co odstąpiwszy od wiary ojczystej, przyjęli chrześcijaństwo i z nienawiści dla swoich rodaków denuncjowali ich przed władzami rzymskiemi. Natomiast chrześcijan pogańskich nie dotyczyły zgoła te ustawy. Zresztą formuła, wyklinająca Minejczyków, nie znalazła ogólnego uznania. Sam jej autor, pobożny Samuel Młodszy, opuszczał ją przy nabożeństwie publicznem. Nie martwiły też chyba zbytnio one interdykty Nazareńczyków i innych od judaizmu odpadłych sekciarzy, gdyż sami nie czuli się już członkami społeczeństwa judzkiego i wyrzekli się swoich dotychczasowych współwyznawców i ziomków. Dochował się jeszcze akt rozwodowy, przesłany przez chrześcijaństwo żydowskie gminie macierzystej. Ułożono go w formie listu do „Hebrajczyków.“ Pismo to, którego autor (nie był nim Paweł) posiadał godną podziwu zdolność wyciskania z wersetów biblijnych aluzji do Jezusa, wywodzi, że ukrzyżowany Mesjasz był jednocześnie ofia-

rą zagrzeszną i przejednawczym kapłanem. Swiadczy się dalej Zakonem, że za najświętsze uchodziły ofiary, których krwią skrapiano Święte świętych i których ciało palono poza obrębem obozu (świątyni). „Dlatego też," ciągnie dalej ów napominacz żydowsko-chrześcijański, „ucierpiał i Jezus za bramą (Jerozolimy), aby krwią własną naród odkupił. Wynijdźmyż tedy do niego za obóz (społeczeństwa judzkiego), dźwigając jego pohańbienie, albowiem nie mamy tu miasta trwałego (Jerozolima, jako symbol ogółu judzkiego), ale przyszłego szukamy." Tak więc judaizm i chrześcijaństwo odtrącały się wzajem od siebie i traktowały się z tem samem wrogiem uczuciem, jakie obadwa żywiły dla bałwochwalstwa. Im bardziej chrześcijaństwo oddalało się od swego początku, tem więcej zapominało, czy też nie chciało pamiętać, nietylko, zkąd przyszło, ale komu zawdzięcza najistotniejszą część swoich nauk, jednających umysły i serca. Pierwszy krok odstrychnięcia się od źródła swej wiary zawiódł chrześcijan powoli do fanatycznej nienawiści dla Żydów.

Przez wyłączenie sekt żydowsko-chrześcijańskich ze społeczeństwa judzkiego nie zdołano jednak jeszcze zatrzeć wszystkich następstw wywieranego nań przez czas dłuższy wpływu. Pewne poglądy gnostyczne, które w świadomości kół judzkich tak głębokie zapuściły korzenie, że nawet znalazły wyraz w modlitwie, należało rownież raz nazawsze wyplenić. Najusilniej nalegał r. Akiba, aby położono tamę owej wybujałej teozofji, która prowadziła do odstępstwa od judaizmu i do rozkiełznanej swawoli. Sądził, że nie należy wykładać ludowi tekstu o stworzeniu świata i o Ezechjelowym rydwanie bożym, były to bowiem ulubione tematy dla fantazji gnostycznych. Starano się zapobiegać wtrąceniu dwuznacznych formuł modlitwy z aluzjami do sprzeczności, przejawiających się w boskiej istocie. R. Akiba, który również zakosztował ponętnego owocu nauk gnostycznych, co go jednak nie zawiodło

na manowce, sformułował zwięzłą, ale jędrną i pełną treści sentencję, w której właściwe judaizmowi wyobrażenia przeciwstawił błędnej doktrynie: „Wszystko przewidziane jest z góry, ale wolna wola zachowana jest (człowiekowi), dobrocią świat jest sądzony, a to według obfitości uczynków" (nie zaś gnostycznego poznania). Na wniosek tegoż r. Akiby usunięto niepożądany wpływ literatury żydowsko-chrześcijańskiej i gnostycznej w formie ewangielji, listów i pisemek ulotnych, zakazując czytania tych utworów pod utratą zbawienia, kara, której podlegali ci, co przeczyli boskości Tory lub wskrzeszeniu umarłych. Zabiegi te wydały trwałe owoce. Czyste pojęcia judaizmu o Bogu, jego stosunku do świata i o moralnem życiu człowieka pozostały w kołach żydowskich niezmącone, jako plenne na przyszłość ideje. Tanaitom tego okresu przypisać należy zasługę, że jak niegdyś prorocy w środowisku bałwochwalczem, tak oni w swoim czasie uchronili judaizm od inwazji błędnych nauk, grożących mu skażeniem i zanikiem. Kierując się samozachowawczym instynktem, wykluczyli z jednej strony ze swego społeczeństwa sekty żydowsko-chrześcijańskie, z drugiej zaś wyobrażeniom ich zamknęli dostęp do niego i dzięki temu uzbroili judaizm w niepożytą siłę oporną, która pozwoliła mu stawić skutecznie czoło uderzającym weń przez tyle wieków nawałom.

Atoli nieumiarkowanie jednej strony, wywołało przesadę u drugiej. Ponieważ gnostycy pomiatali Zakonem, jako emanacją podrzędnego Boga, a chrześcijanie wszystkich sekt, stosując do praw, zawartych w księgach Mojżeszowych, zapożyczoną od szkoły aleksandryjsko-żydowskiej sztukę wykładu, przeobrażali je w alegoryczne figury i odejmowali im w ten sposób właściwe znaczenie, zaczęto więc w kołach judzkich kłaść szczególny nacisk na ściśle kodeksową stronę Zakonu. Nie o budzenie wzruszeń łagodnych chodziło wrzekomo Prawodawcy bo-

skiemu, lecz jedynie o ślepe posłuszeństwo nadanym przezeń ustawom. Prawo, zakazujące wybierać z gniazda matki z pisklęciem i zawiązywać pyska młócącemu wołowi, nie ma jakoby na celu wpajania uczuć ludzkości i miłosierdzia. Zaprzeczono nagle etyczno-wychowawczemu znaczeniu Zakonu i tem samem zdmuchnięto zupełnie tchnienie idealne, które nas z kart jego tak mile owiewa. Zagnieździło się tedy wyobrażenie, jakoby prawa nie były niczem więcej, jeno rozkazami surowego pana, których pod grozą kary przekraczać nie wolno. Był to błąd fatalny, którego szkodliwe wpływy nurtowały judaizm przez całe stulecia. Narazie atoli przeciwstawienie formalnego prawa wybrykom rozhukanej fantazji i bałamutnym wykładom przyniosło zbawienne owoce.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Ewolucja judaizmu za Domicjana, Nerwy i Trajana.

(93—117).

Ledwie Synhedrjum jamneńskie stłumiło szczęśliwie nazawsze wichrzycielstwo i sekciarskie zboczenia, gdy w jego własnym łonie zagroził mu wybuch rozłamu. Bezwzględność, z jaką r. Gamaliel przeprowadzał w nauce i życiu jedność przeciw wszelkim na nią zamachom, używając w tym celu swej wielkiej powagi, tudzież klątwy i wyłączenia ze społeczności opornych,—bezwzględność ta omal nie wywołała smutnej rozterki, gdyby przewodnicy ludu nie złożyli roztropnie swej ambicji i uraz na ołtarzu dobra publicznego.

Już mniemał był r. Gamaliel, że udało mu się zagodzić rozbieżne kierunki w nauce i jedność utwierdzić, gdy moc jego rozbiła się o męża, po którym nie spodziewał się żadnego oporu. Ów giętki, uległy, napozór najmniej niebezpieczny r. Jozue stał się najgroźniejszym przeciwnikiem surowego patrjarchy. Jak r. Eliezerowi,

tak i r. Jozuemu nie podobały się, o czem była już wzmianka, niektóre zarządzenia r. Gamaliela, lecz przygnębiony może ubóstwem, nie śmiał niezadowolenia swego objawić głośnym protestem, a jeżeli czasem wyrwał się ze zdaniem przeciwnem, to zazwyczaj rejterował pospiesznie. Gdy któregoś roku r. Gamaliel na podstawie zeznań dwóch świadków niepewnych, ustalił początek miesiąca Tiszri, od którego zależne są główne święta, a zatem i dzień Odpuszczenia, wykazał r. Jozue w tym akcie patrjarchy omyłkę i wezwał kolegjum, by zmieniło dzień święta. R. Gamaliel, obstając przy swej rezolucji, posłał r. Jozuemu rozkaz, aby w dniu, w którym według jego obliczeń przypadał dzień Odpuszczenia, stawił się przed nim w codziennym ubiorze, z laską, torbą podróżną i trzosem. Takie postępowanie wydało się r. Jozuemu zbyt arbitralnem, poskarżył się więc przed najwybitniejszymi kolegami i zamierzał nie usłuchać rozkazu. Ale towarzysze, przejęci nieodzowną potrzebą wyobrażającego jedność autorytetu, radzili mu zaniechać tego zamiaru. Uległ ich perswazjom i poddał się upokarzającemu żądaniu. Stanął tedy przed obliczem patrjarchy, a ów zdumiony taką pokorą przyjął go nader serdecznie i temi pozdrowił słowy: „Witaj mi, mój mistrzu i uczniu, mistrzu w mądrości, uczniu w posłuszeństwie! Szczęśliwe te czasy, w których wielcy mniejszych słuchają.“ Atoli to pojednanie nie miało trwać długo.

Surowe sprawowanie rządów patrjarszych zbudziło przeciw r. Gamalielowi wrogie stronnictwo, które potajemnie kopało pod nim dołki. Miał może patrjarcha słuszne powody uważać r. Jozuego za wodzireja tej partji i aby dać mu uczuć swoją wyższość, nieraz go ofuknął i zgromił. Aż dnia pewnego pękła przeciągnięta struna obopólnej niechęci, wywołując przewrót w łonie Synhedrjum. Patrjarcha znów obraził dotkliwie r. Jozuego i zarzucił mu skryty bunt przeciw jakiejś uchwale. Było to formalne oskar-

żenie. W uczelni, przepełnionej właśnie słuchaczami, powstał tumult i rozległy się głośne protesty przeciw zobelżeniu czcigodnego członka, cieszącego się popularnością u ludu. Partja przeciwna nabrała odwagi i bez ogródek wynurzyła swe niezadowolenie. Rzucono patrjarsze wyrazy: „Komuż nie dała się we znaki twoja surowość!“ Uczelnia zamieniła się w trybunał i kolegjum złożyło patrjarchę na miejscu z urzędu. Upadły z nim też natychmiast urządzenia, które przeprowadził wbrew woli większości.

Pragnąc jaknajrychlej obsadzić wakujący urząd najwyższy, obejrzało się kolegjum niezwłocznie za godnym następcą. Okazało dużo taktu, nie wybierając r. Jozuego, głównego przeciwnika ekspatrjarchy, aby mu nie zrobić nowej przykrości. Aspirował do godności patrjarszej r. Eliezer, lecz ciążąca na nim klątwa zamykała mu drogę. Zdolność i charakter zalecały r. Akibę, ale jego wielkość była świeżej daty; nie mógł się on wykazać długim pocztem przodków, co uważano za nieodzowny dla kandydata warunek. Wybór kolegjum padł tedy na młodego członka, Eleazara Ben-Azarja. Przechyliły szalę na jego stronę ród znakomity, bogactwo i zachowanie, jakie u władz rzymskich posiadał; nie ustępował też zresztą swym kolegom w przymiotach umysłu i serca. Złożenie z urzędu r. Gamaliela i wybór jego następcy brzemienne były w skutki doniosłe i dzień, w którym zaszły te wypadki, wrył się tak głęboko w pamięć potomnych, że wspominając o nim, mówili poprostu: „onego dnia.“—Tegoż dnia, jak się zdaje, kolegjum synhedrjalne, może na wniosek r. Jozuego, przejrzało i przedyskutowało ponownie wszystkie ustawy, które r. Gamaliel mocą swej powagi rozstrzygnął w duchu szkoły Hillela. Złożone podówczas z niezwyczajnej liczby 72 członków, przedsięwzięło dla sprawdzenia jednostronnie przyjętych przepisów badanie świadków, będących w posiadaniu tradycji. Szereg uczonych w piśmie złożył świadectwo w sprawie przekazanych tradycji, w tej liczbie dwóch tkaczów, którzy mieszkali niegdyś w pobliżu bramy gnojowej, w najuboższej dzielnicy Jerozolimy. Zbiór świadectw, dnia onego złożonych, nosi miano „Adojat“ (zeznania świadków); najstarszy to niewątpliwie zbiór praw halachicznych.

Dzień zbierania świadectw upamiętnił się jeszcze poruszeniem dwóch kwestji niemałego znaczenia. Stanął przed zgromadzeniem pewien poganin pochodzenia ammonickiego i zapytał, czy może być przyjęty jako prozelita. R. Gamaliel dał mu odmowną odpowiedź, powołując się na dosłowne brzmienie Pisma świętego: „Moabici i Ammonici nie mogą być przyjęci do społeczeństwa bożego, nawet w dziesiątem pokoleniu.“ Na to zauważył r. Jozue, że osnowa tego prawa postradała w dobie obecnej swoje znaczenie, ile że niema już Ammonitów w sensie dawniejszym, bo przez zagony zdobywców z Azji Przedniej zatarły się pierwotne cechy narodów do niepoznania. Druga kwestja dotyczyła świętości dwóch utworów, przypisywanych królowi Salomonowi, „Kaznodziei“ (Kohelet) i „Pieśni nad pieśniami“ (Szir haszirim). Szkoła szammaicka nie uznawała zwłaszcza kanoniczności księgi Kohelet. Stary ten spór podjęło raz jeszcze nowe Synhedrjum, nie aprobujące niektórych orzeczeń Hillela; niewiemy jednak napewno, jaka w tej sprawie zapadła uchwała. Rozgłośne imię Salomona, któremu tradycja przypisywała autorstwo owych utworów, odniosło prawdopodobnie zwycięstwo nad partyjnemi waśniami.

Piękny to rys charakteru r. Gamaliela, oceniony też należycie przez współcześników, że, pomimo przykrości dnia tego doznanych, nie uniósł się niewczesną ambicją i po dawnemu brał udział w rozprawach, acz niewielkie miał chyba widoki, aby w gronie źle uprzedzonych dla niego kolegów mógł kiedykolwiek przeprowadzić swoją opinję. Może gorące debaty dzisiejsze prze-

konały go, że nadmierna surowość odstręczyła mu serca i zdusiła niejedno zdanie prawdziwe. Jakkolwiekbądź, postanowił ustąpić. Odwiedził tedy najwybitniejszych uczonych, aby ich przeprosić za wyrządzone im przez siebie zniewagi. Głównego przeciwnika, r. Jozuego, zastał przy warsztacie robiącego igły. Sam wychowany w dostatkach, zdziwił się niezmiernie r. Gamaliel, widząc, jak mozolnem rzemiosłem para się ten mędrzec, i zawołał: „a więc taką pracą na życie zarabiasz!“ Pochwycił tę sposobność r. Jozue, aby mu zganić otwarcie grzech obojętności na ciężkie położenie zasłużonych mężów. „Źle bardzo,“ odparł, „że dopiero teraz dowiadujesz się o tem! Biada wiekowi, któremu przewodzisz; nie znasz trosk mędrców, niewiesz, jak ciężko pracować muszą na suchy kęs chleba.“ R. Gamaliel jął tedy zaklinać rozgniewanego przeciwnika, aby przez wzgląd na czcigodny dom Hillelowy puścił w niepamięć doznane obelgi. Udobruchał się w końcu r. Jozue i przyrzekł, że podejmie agitację za przywróceniem go na krzesło patrjarsze. Chodziło o to, aby nakłonić elekta do zrzeczenia się zaledwie uzyskanej godności. Była to bądź co bądź delikatna materja. R. Akiba, zawsze do usług gotowy, wziął na siebie tę misję drażliwą, z której wywiązał się zresztą bez wielkich trudności. Zaledwie bowiem nowoobrany patrjarcha, r. Eleazar, dowiedział się, że pomiędzy r. Gamalielem a jego adwersarzem przyszło do zgody, oświadczył zaraz gotowość powrotu do życia prywatnego, zapowiedział też, że następnego ranka złoży wraz z całem kolegjum r. Gamalielowi wizytę hołdowną. Uwzględniając fakt wyboru r. Eleazara, nadano mu godność zastępcy. Wzajemny stosunek obydwu dostojników uregulowano w ten sposób, że patrjarcha przewodniczył w Synhedrjum i zagajał rozprawy w ciągu dwóch tygodni, gdy r. Eleazar co trzeci tydzień sprawował te funkcje. Tak się zakończyły spory namiętne. Nieporozumienia poszły

rychło w niepamięć i od tego czasu między r. Gamalielem a członkami Synhedrjum panowała zgoda zupełna. Może poważne położenie polityczne za cesarza Domicjana odwróciło myśli od stosunków wewnętrznych i dało wszystkim odczuć nieodzowność zgody dla zażegnania niebezpieczeństw zewnętrznych.

R. Gamaliel reprezentował w kole uczonych dążność do jedności i autorytetu, któryby ze stałego, niezmiennego środowiska regulował cały religijny i narodowy byt ludu judzkiego. Szwagier jego, r. Eliezer, był wyobrazicielem przeciwnego kierunku, jako gorący rzecznik własnych przekonań przeciw ustawodawstwu, normującemu życie według uchwał większości. R. Eliezer, syn Hyrkana, założył w Liddzie własną uczelnię, która przetrwała kilka stuleci, jako jedyny przybytek nauki na południu Judei. Lubo wychowany przez r. Jochanana w duchu zasad szkoły Hillela, przechylał się przecież całą istnością do szkoły Szammaja, której przez swoją metodę nadał cechy odrębne, a odrębność ta wywarła wpływ stanowczy na jego własne stosunki życiowe.

Zgodnie ze szkołą Szammaja uważał za autentyczną i wiarogodną jedynie materjalną, dosłowną tradycję, jak ją zasłyszał z ust powag dawniejszych, natomiast nie posiadała dlań pewności ustnego podania cała kategorja twierdzeń pochodnych lub wywnioskowanych, choćby ich prawowitość logiczna rzucała się w oczy. Całe swe życie poświęcił poniekąd zabiegom o zachowanie i zabezpieczenie przekazanej materji, nie przywiązując wagi do jej dalszego rozwoju na danych podstawach. Jego nauczyciel, r. Jochanan, nazywał go pobielaną cysterną, która nie przepuszcza ani kropli wody. W tym duchu nauczał r. Eliezer przez całe swe życie. Gdy wytoczono przed niego jaką kwestję prawną, odpowiadał w myśl tradycji, zasłyszanych od mistrzów, lub wyznawał otwarcie: „nie wiem tego, bom nic o tem nie słyszał.“

W związku z tą szczególną antypatją do wszelkich wywodów pozostaje zapewne przestroga, z jaką zwracał się często do swych uczniów: „trzymajcie swoje dzieci zdala od dociekań (higajon), wychowujcie je raczej między kolanami mędrców.“

R. Eliezer stanowił tedy zachowawczy żywioł w tem kole; był on organem wiernej pamięci dla tradycji, „pobielaną cysterną,“ która nie przepuszcza ani kropli zawartej w niej wody, lecz też nie dozwala jej zzewnątrz przenikać. W najostrzejszej opozycji stał ze swoim szwagrem, r. Gamalielem, i jego dążeniami do bezwzględnej jedności. Ten rzucił na niego klątwę, iż obstając przy swoich zasadach, stosował je też w praktyce życiowej. Ale cześć, jaką żywiono dla jego osoby sprawiła, że nie śmiano mu oznajmić zapadłego wyroku. I tym razem r. Akiba ofiarował swoje usługi. W czarnych szatach udał się do r. Eliezera i aby mu oszczędzić przykrości, doniósł mu o klątwie w tych słowach: „Sądzę, że twoi koledzy usunęli się od ciebie.“ Zrozumiał go r. Eliezer i przyjął cios ten ulegle; poddał się klątwie i pędził odtąd życie zdala od swoich kolegów.

W tem odosobnieniu obcował r. Eliezer z chrześcijanami żydowskimi. Sam opowiadał, że podobał mu się bardzo pewien wniosek prawny, wyciągnięty z Pisma za pomocą dziwnego wykładu, który mu zakomunikowano w imieniu Jezusa. Były to jeszcze czasy, gdy Judejczycy i chrześcijanie żydowscy żyli z sobą, jak bracia, gdy jeszcze między nimi nie wybuchły niesnaski. Właśnie pod tę porę wszczął podejrzliwy i krwiożerczy cesarz Domicjan prześladowanie chrześcijan w Judei. Chrześcijanie żydowscy opierali swą wiarę w mesjanizm Jezusa na jego pochodzeniu z rodu Dawida, co budziło w Rzymie obawę nowego rokoszu i wybuchu nowej wojny w Judei pod wodzą potomka króla judzkiego. Doznał też na sobie r. Eliezer skutków onego prześladowania, gdyż stosunki jego z chrześcijanami podały go u władz rzymskich w podejrzenie. Stawiono go przed namiestnikiem Cezarei, którym był podówczas prawdopodobnie Cnaeus Pompejus Longinus, a ten rzekł do niego: „Czyż podobna, aby członek kolegjum synhedrjalnego zaprzątał się takiemi rzeczami?“ Na to odparł r. Eliezer: „Masz słuszność,“ i tem samem zaprzeczył swej przynależności do chrześcijan żydowskich. Zaczem namiestnik uwolnił go od zarzutu i temi odprawił słowy: „Nie mogło mi się też w głowie pomieścić, aby korporacja mistrzów żydowskich podzielała te błędy.“

Nie biorąc udziału w zebraniach kolegjalnych i nie wywierając wpływu na rozwój nauki, spędził r. Eliezer ostatnie swe lata w samotności i smutku. W tym ponurym nastroju wyrzekł cierpkie wyrazy: „Grzej się przy ogniu mędrców, lecz strzeż się ich węgli, abyś się nie sparzył; albowiem gryzą jak szakale, kąsają jak niedźwiadki, poruszają językami jak węże, a słowa ich to węgle żarzące.“ Wylew to serca wezbranego goryczą, które jednak, pomimo doznanych przykrości, nie może odmówić niejakiej racji swym krzywdzicielom.

Żywy kontrast z uporem i żelazną konsekwencją r. Eliezera stanowi jego towarzysz, r. Jozue Ben-Chananja; był to giętki, skłonny do ustępstw, pojednawczy element w nowym ustroju społeczeństwa judzkiego. Bronił nauki i ludu od jednostronnych i przesadnych kierunków i dzięki temu przyczynił się do wzrostu nauki i szczęścia narodu.—Jako młody Lewita z klasy śpiewaczej oglądał jeszcze świetność Przybytku i w portykach jego nucił psalmy chórem śpiewane. Wraz z swoim mistrzem, r. Jochananem opuścił skazaną na zagładę Jerozolimę, a po jego śmierci założył własną szkołę w Bekiin. Tu wykładał prawo swym uczniom, jednocześnie zaś trudnił się nizkiem rzemiosłem i utrzymywał z pracy rąk swych rodzinę. Należąc jako nauczy-

ciel do korporacji uczonych, a jako rzemieślnik do ludu, był r. Jozue pośrednikiem pomiędzy obydwoma niechętnymi sobie stanami i ztąd też jedyną osobą, oddziaływającą na umysły i wolę pospólstwa. Oprócz znajomości tradycji posiadać również musiał gruntownie astronomję, skoro umiał obliczyć nieprawidłowy obieg komety, co mu się kiedyś w podróży morskiej przydało.

Obliczywszy czas powrotu komety, *) która pojawiała się co lat siedemdziesiąt i wprowadzała w błąd nieświadomych żeglarzy, zaopatrzył się w dostateczną żywność na wszelki przypadek. Taka znajomość astronomji jest tem dziwniejszą, że obrotów komet nie umiały obrachować najbardziej cywilizowane ludy starożytne. Ale więcej jeszcze, niż wiedza i uczoność, zdobiły go chwytające za serce cnoty skromności, słodyczy i pojednawczości, któremi tak przypominał swego mistrza, r. Jochanana. Swojem umiarkowaniem i zgodnością zapobiegał rozterkom w łonie żydostwa.

To samo umiarkowanie i łagodność, co w życiu, okazywał też r. Jozue w nauce; był on wrogiem wszelkiej przesady i dziwactw i przy interpretacji prawa liczył się z wymogami życia. Pobożnym zelotom, którzy po zburzeniu świątyni powstrzymywali się od wina i mięsa z tej przyczyny, że dla ofiar z nich nie stało już ołtarza, zrobił uwagę, iż w takim razie i wody pić nie należy, bo przecież skrapiano nią ołtarz, i z tegoż powodu trzeba wyrzec się chyba i chleba. Głosił tedy mądrą zasadę, że nie należy narzucać żadnych obostrzeń, któreby mogły podkopać byt społeczeństwa. Surowo też potępiał owe „ogrodzenia," które szkoła Szammaja przeparła z niepohamowaną gwałtownością na krótko przed zburzeniem świątyni: „Onego dnia—są to jego słowa—zrównała

*) Chodzi tu prawdopodobnie o kometę Halleya, której czas obiegu wynosi 70—75 lat.

szkoła Szammaja strychulcem miarę nauki; jako gdy się leje wodę w naczynie z oliwą, im więcej wody przybywa, tem więcej ubywa oliwy," co właśnie ma znaczyć, że im więcej wprowadza się obostrzeń, tem więcej ubywa nauce treści istotnej.

Niezmierna łagodność i rozwaga r. Jozuego zalecała go przed wszystkimi innymi do roli pośrednika pomiędzy rozjątrzeniem narodu judzkiego a swawolą zwycięzców. Byłto jedyny Tanaita, cieszący się względami władz rzymskich i prawdopodobnie też ubiegający się o nie. Nie będąc zdradzieckim zwolennikiem Rzymian, lecz trzeźwo oceniając siły obustronne, nawoływał swych rodaków do pojednania się z losem.

W szeregu wybitnych osobistości ówczesnych był r. Akiba Ben-Josef bezsprzecznie najzdolniejszym i najbardziej wpływowym. W krótkim przeciągu swego żywota snuł z własnego ducha nić na tkaninę przyszłości. Dzieje jego młodości i edukacji są ciemne i pełne romantycznych upiększeń; nie ulega wątpliwości jedynie ten szczegół, że pochodził z nizkiej rodziny. Według jednego podania miał być prozelitą, według innego zaś służącym Kalba-Sabui. Podanie dodaje, że córka tego jerozolimskiego bogacza ofiarowała mu swe serce i rękę, z warunkiem, aby przyswoił sobie naukę Zakonu. Czterdziestoletni już podówczas Akiba, postanawia wstąpić do szkoły i zacząć od pierwszych zasad nauki; dotąd bowiem pogrążony był w zupełnem nieuctwie. Kiedy ubogi student ślęczy nad książkami, zdobywając sobie wiedzę, bogata panna tymczasem dochowuje mu wiary i stawia mężnie czoło gniewom rodzica, który ją wreszcie odtrąca i skazuje na nędzną egzystencję. Z całej tej poetycznej opowieści wydaje się niezawodną ta tylko relacja, że r. Akiba jeszcze w pełni wieku męskiego był ignorantem. Sam później opowiadał o sobie, że jako niewykształcony prostak z duszy serca nienawidził uczonych.

A całkiem wiarogodna wieść niesie, że jego żona sprzedała swoje warkocze, aby dostarczyć mu najniezbędniejszych środków do życia. Wszystkie przeszkody, któreby innego zniechęciły w pół drogi, przezwyciężyła jego dzielna natura; stał się też najsłynniejszym z pośród Tanaitów.

R. Akiba zbudował z całą świadomością zgoła odrębny system naukowy na pewnych zasadach, z których niejako samorzutnie wyłaniają się wnioski; był on w ogólności jedynym systematykiem pośród nauczycieli Zakonu. Na gotową materję ustnej nauki zapatrywał się nie jako na martwy skarb, niezdolny do rozwoju i wzrostu, lub też oczami r. Eliezera, jako na przedmiot, który należy wbić sobie w pamięć; miała ona stanowić niewyczerpaną kopalnię, z której przy umiejętnem zastosowaniu środków podanych możnaby coraz to nowe wydobywać skarby. Myśl podstawowa systemu r. Akiby wypływała z przekonania, że sposób wyrażania się Tory, zwłaszcza w jej działach halachicznych (prawnych), różni się zupełnie od sposobu wszelkich pism i kodeksów. Wysłowienie ludzkie używa, jego zdaniem, oprócz niezbędnego zapasu wyrazów, jeszcze pewnych zwrotów, figur mownych, powtarzań i ozdób, słowem pewnej formy, niemal zbytecznej dla zrozumienia i mającej na celu jedynie dźwięczność i wytworność. W języku Tory natomiast niemasz nic formalnego, wszystko w nim należy do treści; niema tam nic zbytecznego, ani jednego słowa, ani jednej zgłoski, ani nawet litery. Wszelka właściwość wyrażenia, wszelka partykuła, wszelka kreska ma swoje specjalne znaczenie, jest jakąś wskazówką, jakąś ukrytą aluzją. R. Akiba dodał tedy do reguł Hillela mnóstwo własnych prawideł wykładu i wnioskowania, nastręczając tem całkiem nowe sposoby rozwijania prawa ustnego. Każdy wniosek, wyprowadzony za pomocą umiejętnego zastosowania tych reguł, mógł według tego systemu służyć za

przesłankę nowego sylogizmu, i tak w nieskończoność. R. Akiba nie cofnął się przed żadną konsekwencją swojej metody. Poprzednik jego w tej metodzie wykładu, Nachum z Gimzo (Nehemjasz z Emmaus), uważał za rzecz ryzykowną tłómaczyć *) partykułę w zdaniu: będziesz czcił Wiekuistego, Boga twojego," gdyż mogłoby to wywołać przypuszczenie, jakoby obok Boga należało oddawać cześć boską jeszcze jakiejś innej istocie, co wobec zamachów chrześcijaństwa na jednoosobowość Boga nie było bynajmniej sprawą obojętną. Dla tego właśnie szkopułu wyrzekł się Nehemjasz całej metody. Natomiast r. Akiba nie zraził się tem wcale i obalił zarzut uwagą, że i ten wiersz zawiera aluzję, iż obok Boga należy czcić jeszcze Jego święte słowo, Torę.

Systemem swym utorował r. Akiba nową drogę, otworzył nowe widnokręgi; materjałowi prawa ustnego, o którem niektórzy powiadali, że wisi na włosku i nie ma w Piśmie żadnego oparcia, dał mocny fundament. Spory halachiczne ustały dzięki temu po części. Współcześników r. Akiby nowość ta, która przecież wydawała się zarazem odwieczną, zadziwiła, olśniła i wprawiła w zachwyt. Przyznawano, że Zakon poszedłby w niepamięć, lub też przynajmniej w zaniedbanie, gdyby r. Akiba nie założył dlań trwałej podstawy. Z przesadnym entuzjazmem utrzymywano: „Wiele ustaw nieznanych Mojżeszowi objawiło się r. Akibie."

Uprawniwszy i zabezpieczywszy za pomocą nowych wykładów ustną naukę, zaprowadził w niej także r. Akiba metodyczny ład i porządek i umożliwił zamknięcie bogatego materjału. Dotychczas wykładano Halachy na wyrywki, nie zważając na związek ich treści i następstwo logiczne. Gruntowne przyswojenie sobie całej ich masy

*) T. j. doszukiwać się w tej partykule (*es*) utajonego znaczenia (Przyp. tł.)

wymagało długoletniego obcowania z uprawcami nauki, niezmordowanej pilności i wybornej pamięci. R. Akiba przyszedł w pomoc pamięci i ułatwił studja przez systematyczne zestawienie praw w grupy. Uporządkował je według treści, tak iż wszystkie ustawy, dotyczące soboty, małżeństwa, prawa karnego, „mego i twego," utworzyły całość, rozpadającą się na działy jednorodne, z których każdy otrzymał miano „Masechta" (textus). Zaczem w obrębie poszczególnych działów ułożył prawa w porządku liczbowym, *) dając tem pamięci wygodne oparcie.

Nawskroś oryginalny system r. Akiby, wyróżniający się pod względem treści traktowaniem przedmiotu, a pod względem formy przejrzystym układem, zdobył sobie powoli, pomimo dwustronnych przeciwników, najwyższą powagę i moc obowiązującą ogólnie i wyparł z czasem dotychczasową metodę. Imię odnowiciela ustnej nauki stało się rozgłośnem w najodleglejszych gminach żydowskich. Żądna wiedzy młodzież, której bardziej przypadały do smaku bystre wywody i analogje, niż wbijanie sobie w pamięć suchego materjału tradycji, garnęła się do niego gromadnie. Zastęp jego słuchaczy liczy przesadne podanie na tysiące. Otoczony tym bądź co bądź rojnym pocztem adeptów, miał się pono r. Akiba udać razu pewnego na poszukiwanie swej żony, żyjącej w nędzy ostatniej. Scenę ich spotkania odmalowała legenda żywemi barwami. Z całej okolicy ściągnęły tłumy, pragnące ujrzeć chlubę narodu. Wśród ciżby ciekawej znajdowała się też ubogo ubrana niewiasta. Była to żona r. Akiby. Na widok mistrza przedziera się porywczo przez gromadę do oblubieńca swojej młodości, aby uścisnąć jego kolana.

*) Porządek ten nie polegał, rzecz prosta, na kolejnej numeracji praw, coby pamięci w niczem ulżyć nie mogło, lecz na następczości według liczb w samej treści prawa zawartych, np.: z *czterech* powodów mogą nastąpić uszkodzenia własności; za *trzydzieści sześć* zbrodni nakłada Pismo karę wytępienia i t. p. (Przyp. tł).

Uczniowie chcą odpędzić natrętną kobietę, gdy wtem mistrz zawoła: „Puścież ją! Albowiem za to, czem ja jestem i czem wy jesteście, jej jednej należy się podzięka." Od tego czasu żył r. Akiba w wielkich dostatkach z swoją żoną, której ubóstwo było dotąd tak straszne, że za całe posłanie miała jeno garść słomy. Dumny też był z tej ciężko doświadczonej małżonki. Mówił: „Bogaty, kto cnotliwą żonę posiada."

Stałą siedzibę miał r. Akiba w Bene-Berak, gdzie znajdowała się jego uczelnia. Ale jako członek Synhedrjum często nawiedzał Jamnję i rzadko kiedy zapadała jaka rezolucja bez jego udziału. Gdy któregoś dnia nie przybył na sesję, musiano odroczyć pewną sprawę doniosłą, gdyż, jak powiadano, „pod nieobecność r. Akiby nieobecną jest także nauka." Hołdy, które spotykały go zewsząd, nie wbiły go bynajmniej w dumę, tę aż nazbyt częstą towarzyszkę rozgłosu; jak przedtem, tak i teraz zachowywał się skromnie wobec swych dawniejszych mistrzów i kolegów.

W rozwoju nauki żydowskiej, do której r. Akiba wniósł poniekąd przewrotowy pierwiastek, zajmuje r. Izmael Ben-Eliza miejsce wcale poczesne. W wykładzie i objaśnianiu prawa pisanego reprezentował on sens naturalny i, iżby tak rzec, zdrowy rozum ludzki, ztąd też był głównym przeciwnikiem systemu r. Akiby. R. Izmael, podobnie jak i r. Akiba, młodszy współcześnik tego pokolenia, był synem jednego z ostatnich arcykapłanów przed zburzeniem świątyni. Czerpiąc z uprawy wina znaczne dochody, łożył je na edukację i wyposażenie dziewcząt żydowskich, które osierociały lub też zubożały skutkiem klęsk wojennych. Poglądy jego na stosunek nauki tradycyjnej do Pisma świętego wyróżniają się trzeźwością i prostotą. Jedna z jego zasad brzmiała w ten sposób: „Ustawy na tradycji oparte nie powinny stać w sprzeczności z wyraźnemi słowami Pisma, Halacha powinna być z literą tekstu w harmonji."

Podług r. Izmaela używa boskie prawodawstwo Tory zgoła ludzkiego języka, w którym spotykają się pewne zwroty mowne, potoczne powtórzenia, ozdoby retoryczne, do których też nie należy przywiązywać szczególnego znaczenia, gdyż mają one tylko wartość formalną. Wobec tego odrzucał ryczałtem wszystkie wywody r. Akiby. Za jedyną normę uznawał tylko logicznie prawowite reguły Hillela. Atoli i dla nich pragnął w Piśmie świętem znaleźć podstawy; jakoż usiłował wykazać, że samej Biblji nieobce jest wnioskowanie a minori ad majorem, co tem samem uprawnia jego użycie. Wszakże bez względu na to uprawnienie zalecał zachowanie miary godziwej. R. Izmael pomnożył liczbę reguł Hillela z siedmiu do trzynastu. Prawidła te, aczkolwiek uznane za normę, nie wyparły stojących z niemi w częściowej sprzeczności zasad r. Akiby; i jedne i drugie utrzymały się na równi w użyciu u potomnych.

Ci pięciu mężów wybitnych: r. Gamaliel, przedstawiciel jedności narodu, r. Eliezer Ben-Hyrkanos, zacięty konserwator tradycji, r. Jozue, mądry rozjemca ostrych przeciwieństw, r. Akiba systematyk bezwzględny, i r. Izmael, trzeźwy wykładacz Zakonu, nadali judaizmowi tak odrębne znamiona, że ani Mojżesz, ani prorocy, ani Ezdrasz nie poznaliby go w tej zmienionej postaci. Z drugiej atoli strony tak go wzmocnili, że nietylko utrwalili jego egzystencję, lecz, co większa, zapewnili mu wpływ niepośledni na zewnątrz. Jeżeli z niepokaźnych początków wyrosłe chrześcijaństwo chlubiło się, że w przeciągu trzech zaledwie pokoleń zjednało sobie wśród pogan tak licznych stronników, którzy przez przyjęcie nowej nauki porzucili dla nieznanego Boga swych bogów ojczystych, to judaizm mógł tem bardziej być dumny, iż i do niego garnęli się wyznawcy z pogaństwa. Zresztą tryumf, odniesiony przez chrześcijaństwo nad światem pogańskim, był przecież w znacznej mierze zasługą religji

żydowskiej, której prawdy zasadnicze i nauka przechylały nieraz szalę w dziele nawracania niewiernych. Toć w walce z mitologicznemi bredniami Greków i Rzymian posługiwali się apostołowie chrześcijańscy jedynie orężem ducha judzkiego, ostrymi grotami ironji, którą prorocy i mędrcy hellenistyczni tak niemiłosiernie razili bałwochwalstwo, płynące z niego zdrożności i beznadziejność. Lecz niezależnie od tego święcił judaizm nad pogaństwem bezpośrednie zwycięstwa, zwycięstwa tem świetniejsze, że nie posiadał owych środków i korzystnych warunków, które tak ułatwiały nawracanie pogan na wiarę w Chrystusa. Chrześcijaństwo wysyłało gorliwych misjonarzy, którzy za przykładem Pawła łowili dusze cudownemi kuracjami i swadą. Nie wkładało ono na nowochrzczeńców ciężkich obowiązków, owszem, było dla nich tak pobłażliwe, że pozostawiało im dawne zwyczaje, a po części nawet dawny sposób myślenia i nie wyrywało ich z koła rodziny, przyjaciół i otoczenia, z którem się zżyli. Głosiło poprostu: „Jeżeli który brat ma żonę niewierną, a tej się podoba z nim mieszkać, niechaj jej nie opuszcza. I żona jeśli ma męża niewiernego, któremu się podoba z nią mieszkać, niech go nie opuszcza.“ — „Jeżeli kto z niewiernych was wzywa, a chcecie iść, wszystko, co przed was położą, jedzcie, nic nie pytając dla sumienia. Lecz jeśliby kto rzekł: to jest obiata pogańska, nie jedzcie dla onego, który oznajmił, i dla sumienia.“

Inaczej judaizm. Ten nie wyprawiał w świat żarliwych i wymownych apostołów. Przed prozelitą judzkim piętrzyły się całe góry trudności; musiał się on wprzód dobrze namyślić, zanim się wreszcie na krok ten odważył Dla przepisów pokarmowych nowej religji trzeba było porzucić ognisko domowe, wyrzec się poufałego obcowania z rodziną. A przecież nie brak wcale przykładów nawrócenia się pogan na judaizm na Wschodzie, w Azji Mniejszej, a najczęściej w Rzymie w ciągu pierw-

szego półwiecza po upadku państwa judzkiego. Prozelici ci byli przedmiotem ustawodawstwa Synhedrjum jamneńskiego. R. Gamaliel kazał dodać osobną benedykcję za szczerych prozelitów. Szczerem było bądź co bądź przyłączenie się pogan do społeczeństwa judzkiego; nie przynosiło im ono żadnych korzyści, raczej uszczerbek, gdyż za Domicjana pociągani byli również do podatku żydowskiego. Wzniosła moralność Pisma świętego, przełożonego na grecki, tudzież urągająca śmierci wierność synów Jakóba dla swojej nauki, stwierdzona przez zelotów w wojnie ostatniej, jednały judaizmowi nowych wyznawców.

Radosnym dla żydostwa wypadkiem było przyjęcie religji judzkiej przez Akylasa (Aquila). Prozelita ten pochodził z Pontu, gdzie posiadał rozległe włości i niewolników. Grek rodem i obeznany z filozofją, porzucił Akylas wiarę ojczystą, aby się przyłączyć do chrześcijan helleńskich, którzy byli dumni niezmiernie z takiej zdobyczy. Niebawem atoli wyrzekł się chrześcijaństwa dla judaizmu. Ta apostazja wywołała wśród chrześcijan oburzenie nie mniejsze, niż przedtem radość z jego nawrócenia; poczęli go obmawiać i szarpać jego sławę. Judaizmowi pozostał Akylas wiernym do grobu, wypełniając z ochotą wszystkie jego przepisy, przestrzegając nawet restrykcji, które nakładali na siebie gorliwcy. Gdy po śmierci ojca dzielił się z braćmi dziedzictwem, wrzucił do morza pieniądze, które otrzymał jako należną mu część wartości bałwanów domowych.

Wsławił się Akylas swoim nowym przekładem Pisma świętego na grecki. Samowola, z jaką chrześcijanie traktowali dawniejsze tłomaczenie greckie, obudziła w nim, jak się zdaje, poczucie potrzeby ścisłego, niezmiennego przekładu. Chrześcijanie, którzy również wprowadzili do nabożeństwa odczytywanie ustępów z Pisma świętego, a mianowicie w tłomaczeniu aleksandryjskiem tak

zwanych Siedemdziesięciu (Septuaginta), radzi byli posiadać w swojej Biblji jak najwięcej napomknień i aluzji do osoby Chrystusa. Przerabiali tedy i interpolowali tekst grecki, poczytywany przez nich za święty, mnożąc tym sposobem przepowiednie, stwierdzające mesjanizm Chrystusa. Nawzajem Żydzi aleksandryjscy, zaniepokojeni temi zmianami w duchu chrześcijańskim, zacierali w greckim przekładzie wszystko, co się odnosić mogło do Chrystusa. Septuaginta stała się dzięki temu areną dla zaciekłych szermierzy, a ślady owej walki partyjnej można w niej po części jeszcze dziś rozpoznać.

Dobre tłomaczenie greckie Pisma świętego było jednak przy czytaniu rozdziałów z Tory i proroków nieodzowną dla Żydów greckich potrzebą. Powszechnym w onych czasach obyczajem przekładano czytane w synagogach ustępy na zrozumiały język krajowy. Powodowany tymi względami a zaopatrzony w dokładną znajomość języka hebrajskiego i greckiego, podjął Akylas nowe tłomaczenie, aby położyć tamę samowoli. W tym celu trzymał się ściśle pierwowzoru hebrajskiego i tłomaczył z pedantyczną dosłownością wyraz za wyrazem, nie troszcząc się wcale, że ucierpieć musi na tem jasność przekładu. Osiadłszy w Palestynie, przedstawił swoją pracę nauczycielom Zakonu, r. Eliezerowi i r. Jozuemu, którzy wyrazili się o niej z wielkiem uznaniem. Wkrótce potem zaznajomił się z r. Akibą i jego metodą wykładu, według której żadne słówko lub litera w Zakonie, zbyteczne dla jasnego wyrażenia myśli, nie powinno być uważane jako forma, lecz jako wskazówka do rozwinięcia lub ścieśnienia danej osnowy. Metoda ta tak mu przypadła do smaku, że postanowił przerobić swoje tłomaczenie. Ten drugi przekład oddawał jeszcze wierniej oryginał hebrajski, nie opuszczając żadnej partykuły, żadnego słówka zbędnego napozór. Przystosowano na jego pochwałę wyrazy Pisma świętego:

„Bóg obdarzył Jafeta (wyobraziciela hellenizmu) pięknym językiem, który mieszkać będzie w namiocie Sema (wyobraziciela judaizmu). Jeżeli pobożni niezadowoleni byli przedtem w ogólności z przekładu Pisma świętego, lękając się, aby nie zamącił prawdy pierwotnej, to dosłowny przekład Akylasa przezwyciężył wszelkie skrupuły i uśmierzył bogobojne obawy. Przyznawano mu niemal świętość pierwowzoru hebrajskiego i zalecano powszechnie do publicznych odczytów.

Dzięki temu tłomaczenie Akylasa stało się własnością najszerszego ogółu. Posiłkowali się niem nawet Ebjonici, których nie mniej niż Judejczyków gorszyły skażenia i wtręty dawniejszego przekładu, mające na celu wykazanie boskości Jezusa. Atoli też same powody, które mu w owych kołach zjednały uznanie, uczyniły zeń przedmiot nienawiści chrześcijan pogańskich i tych sekt żydowsko-chrześcijańskich, które się wyrzekły dogmatów ebjonickich. Oburzali się zwłaszcza na tłomaczenie wiersza Jezajasza, który Akylas oddał w tych słowach: „Oto młoda niewiasta poczęła i porodzi syna i nazwie imię jego Emanuel,“ a który według chrześcijan powinien był brzmieć: „oto panna pocznie i t. d.,“ co miało być zapowiedzią narodzin Jezusa z dziewicy. - Przekład Akylasa, tak podziwiany przez jego współczesnych, z czasem zaginął; dochowały się zaledwie pojedyńcze fragmenty. Wzorował się na nim później tłomacz chaldejski Pięcioksięgu. Tłomaczenie jego znane jest pod mianem „Targum Onkelos,“ co ma znaczyć: dosłowny przekład na wzór Akylasa. *)

Dzieło tłomacza z Pontu zasługuje istotnie na podziw. Zdumiewającą jest rzeczą, że Grek rodowity zdołał tak gruntownie przyswoić sobie język hebrajski i literaturę biblijną, iż mógł ją oddać wyraz za wyrazem w szacie helleńskiej. Tylko jego entuzjastyczne umiłowanie judaizmu objaśnić może to nadzwyczajne zjawisko. Z kołem tanaickiem łączyły go zażyłe stosunki, a dla r. Gamaliela był z takiem uwielbieniem, że po jego śmierci, powszechnym podówczas obyczajem przy pogrzebach osób znakomitych, kazał spalić ku czci jego bogate materje i sprzęty. Daremnie r. Gamaliel, pragnąc ukrócić zbytek, praktykowany przy chowaniu umarłych, rozporządził ostatnią wolą, aby ciało jego złożono do grobu w szatach płóciennych. Jego wielbiciel sprawił mu pogrzeb iście książęcy.

*) Onkelos jest skażoną formą imienia Akylas.

Najwięcej zwolenników znajdowała religja żydowska w stolicy świata, Rzymie, pomimo uprzedzenia i niechęci, jakie ogół rzymski żywił dla Żydów, i pomimo nędznej powierzchowności zubożałych wyzwoleńców judzkich, którzy zarabiali na życie wykładaniem snów zabobonnym Rzymianom, lub też poprostu wyciągali rękę po datek. Możni Rzymianie, pociągnięci wzniosłością Boga Izraela, jego dziwnemi dziejami i szczytną nauką moralną, albo stawali się półprozelitami, t. j. oddawali cześć temu Bogu i przestrzegali niektórych obyczajów judzkich, albo też przyłączali się całkowicie do społeczeństwa judzkiego. Dziejopisarz Tacyt, obserwator przenikliwy, nie mógł jednakże wyrozumieć przyczyny, dla której jego rodacy porzucali swych bogów i wyrzekali się ojczyzny, rodziców, dzieci, rodzeństwa, aby przejść na religję żydowską. Satyryk Juwenal, chłoszcząc zdrożności i wady swego narodu, wyśmiewa między innemi owych ojców rzymskich, półprozelitów, którzy pilnie zachowywali obyczaje żydowskie, dzięki czemu ich dzieci przyjmowały już judaizm w całym jego zakresie.

„Komu los dał rodzica żydowskie czczącego sabaty,
„Ten krom obłoków i niebios znać nie chce bóstwa żadnego,

„Brzydzi się mięsem wieprzowem, by ludzkiem, bowiem i ojciec
„Wieprzowiny nie jadał, wnet i z napletkiem się żegna.
„A ustawy krajowe w pogardzie mając, żydowskiem
„Prawem się para gorliwie i skrupulatnie wypełnia
„Wszystko, co Mojżesz rodakom w mistycznej księdze nakazał:
„Dróg nie wskazywać nikomu, kto wspólnych nie wielbi świętości,
„Do ożywczego źródła prowadzić tylko obrzynków.
„Wina-ć to ojca jedynie, bo co dzień siódmy próżniactwem
„Święcił i wszystkie sprawy żywota na bok odkładał."

Co prawda, bezgraniczna zabobonność Rzymian i ich przesadna predylekcja dla kultów cudzoziemskich stanowiła w tem przywiązaniu do praktyk żydowskich czynnik nie mniej ważny od oceny i uznania treści etycznej judaizmu. Tłumnie cisnęli się do świątyni Izydy zwyrodniali i zniewieściali Rzymianie tamtocześni, być tedy może, iż i do synagóg ciągnęła ich nadzieja, że im tam wywróżą przyszłe ich losy. Istniało wszakże w Rzymie dość pokaźne koło ludzi wykształconych, którzy ze szczerego przekonania o doskonałości judaizmu uczuwali do niego pociąg szczególny. Grono to grupowało się około Epafrodyta, męża wysokich cnót i nauki a uczestnika ważnych spraw państwowych. Był on, jak się zdaje, sekretarzem i powiernikiem cesarza Nerona i miał u dworu wielkie zachowanie.

W tem to kole, otaczającem Epafrodyta, obracał się historyk Józef Flawjusz, który w wojnie z Rzymianami odegrał rolę dwuznaczną, jeśli nie wprost zdradziecką, i teraz pragnął odkupić swe winy gorącą miłością do religji ojczystej i do swoich współwierców. Bolała go wszelka wycieczka przeciw judaizmowi i jego wyznawcom owych chełpliwych niby-filozofów greckich, którzy pomiatali wszystkiem, co przerastało ich poziome umysły.

Nie pominął żadnej okazji, aby nie podnieść wzniosłej moralności swojej religji, a zwłaszcza starożytności swego narodu. Nieraz też Epafrodyt i jego przyjaciele zachęcali go do opracowania na użytek czytelników greckich całokształtu dziejów żydowskich od ich najpierwszych początków. Uległ w końcu ich prośbom i podjął to niełatwe zadanie, wymagające zmudnych studjów źródłowych. Napisał w dwudziestu księgach „o starożytnościach żydowskich" dzieło nieśmiertelne, stanowiące chlubę autora i jego narodu. Obszerna ta praca, nakreślona stylem powabnym, obejmuje historję żydowską od jej zawiązków aż do wybuchu wojny z Rzymianami (skończona w 93 r.), a bijące z niej ciepło serdeczne, umocniło Epafrodyta i jego otoczenie w przywiązaniu do religji judzkiej i zjednało jej nowych czcicieli. Większe może wrażenie sprawił drugiem swem dziełem w dwóch księgach „Przeciw Apjonowi." Do napisania tej książki zniewoliły go napaści paszkwilistów greckich, którzy nietylko nicowali jego historję, lecz zaprzeczali starożytności narodowi judzkiemu, przytaczając na dowód, że dziejopisarze greccy nie wspominają wcale o jego istnieniu, i wywlekali na nowo stare kalumnje, któremi różne żydożercze Molony i Apjony obrzucali prawo judzkie i prawodawcę. Nie mógł Józef ścierpieć tych szkalowań i chwycił za pióro, aby dać potwarcom porządną odprawę. Po mistrzowsku obalił jeden po drugim ich powierzchowne lub kłamliwe zarzuty i w słowach przekonywających przedstawił szczytność i ludzkość nauki żydowskiej. Dziełem tem, poświęconem Epafrodytowi, zmazał Józef po części grzechy, popełnione na stanowisku namiestnika Galilei. Zaleca je gorące przekonanie o doskonałości judaizmu i ujmująca serca wymowa; niezawodnie też obudziło w wielu możnych Rzymianach podziw dla wiary żydowskiej i spowodowało ich, jeżeli nie do zupełnego zespolenia się z wyznawcami tej wiary, to przynajmniej do uwiel-

bienia ich Boga, do pogardy dla niemych bałwanów, do święcenia soboty i przestrzegania innych jeszcze nakazów nauki żydowskiej. Poniewolne wywczasy w pałacu flawjańskich cezarów poświęcił Józef propagandzie na rzecz judaizmu. Jego pisma, tchnące wiarą płomienną, zjednywały prozelitów z pośród wyższych warstw społeczeństwa rzymskiego, dokąd nie sięgały podboje apostołów chrześcijańskich.

Wielką sensację wywołała w Rzymie pogłoska o ciążeniu do judaizmu kuzyna cesarza Tytusa i Domicjana, Flawjusza Klemensa, senatora i raz wtórego konsula. Nie ulega wątpliwości, że czytał on dzieła Józefa i znał go też osobiście, gdyż historyk przyjęty został do familji Flawjuszów i miał mieszkanie w ich własnym pałacu. Czyż więc podobna przypuścić, aby nie prowadził rozmów z Flawjuszem Klemensem i nie wylewał przed nim uczuć, przepełniających mu serce? Jeżeli go nie pozyskał dla judaizmu, to z pewnością wpoił mu miłość dla niego. Wieść, że krewny cesarza, bratanek burzyciela świątyni, sprzyja religji żydowskiej, dotarła aż do Palestyny i obudziła w kole nauczycieli Zakonu najpiękniejsze nadzieje. Dwom synom owego Klemensa udzielił Domicjan tytułu cezara, jeden z nich miał kiedyś zasiąść na tronie. Co za świetne widoki otwierały się dla żydostwa i wiary żydowskiej, gdyby czciciel jej został ojcem monarchy! Myśl o tem nie pozwoliła koryfeuszom judzkim spokojnie usiedzieć. Czterech z nich, pomimo niebezpiecznych dla żeglugi wichrów jesiennych, postanowiło natychmiast wyruszyć do Rzymu, aby bądź osobiście nawrócić dostojnego Klemensa, bądź też być świadkami jego nawrócenia. Patrjarcha r. Gamaliel, jego pojednany przeciwnik, r. Jozue, obaj podeszli już w leciech, zastępca patrjarchy r. Eleazar Ben-Azarja, wreszcie sławny już podówczas r. Akiba, powierzyli swe życie kruchemu statkowi i puścili się w długą podróż po burzliwem morzu. Chrześcijanie palestyńscy, dowiedziawszy się o tej wyprawie, wołali za nimi zawistnie: „Biada wam, doktorowie i Faryzeusze obłudni, że obiegacie morza i lądy, aby pozyskać jednego prozelitę, a gdy nim zostanie, czynicie go synem piekła, dwakroć od was więcej!“ Przybywszy do Rzymu po niejednej przygodzie, zawarli stosunki z przedstawicielami różnych warstw społeczeństwa i, jak się zdaje, przyjęci też zostali przez Flawjusza Józefa.

Czyżby Domicjan dopiero tak późno powziął wiadomość, że liczni możni Rzymianie ciążą do wiary żydowskiej, a pomiędzy innymi własny jego kuzyn Flawjusz Klemens? Czyżby fakt ten wprawił go w wściekłość? Czy też może tak się zawziął na niego, że postanowił go zgubić, a nigdy krwi niesyty, złość swoją wylał na wszystkich prozelitów? Nie znamy prawdziwej natury wypadków rzymskich w ostatnim roku panowania Domicjana. Wiemy tylko, że kazał stracić Flawjusza Klemensa pod zarzutem odstępstwa. Według pewnego podania Klemens przed samym zgonem przyjął znak przymierza. Wraz z nim za to samo przewinienie ukarani zostali liczni prozelici rzymscy, bądź to śmiercią, bądź też konfiskatą majątku (95 lub 96). W tym samym czasie zginął również zapewne Epafrodyt i całe przychylne judaizmowi grono jego przyjaciół. Pod tęż porę dokonał prawdopodobnie żywota i Józef, w pełni wieku męskiego, zaprzątnięty właśnie myślą uświetnienia judaizmu jeszcze jakiemś pismem filozoficznem. Jeżeli, jak się zdaje, poniósł śmierć męczeńską, to zmazał nią całkowicie grzechy swej przeszłości.

Niema powodu odmawiać wiary pogłosce, jakoby ostatni cesarz z domu Flawjuszów nosił się z zamiarem wytępienia wszystkich Judejczyków podległych jego berłu. Toć w ostatnich latach panowania Domicjana egzekucje niewinnych nie były bynajmniej zjawiskiem spo-

radycznem, lecz ciągnęły się nieprzerwanym krwawym łańcuchem. Spisek, do którego należała jego własna żona, uwolnił świat od tego potwora, wcielonego w postać człowieka. Synów Klemensa ominęła korona. Czterej doktorowie napróżno jeździli do Rzymu. Tron objął czcigodny Nerwa, żywa antyteza charakteru Domicjana. Sprawiedliwy, mądry, ludzki, nie posiadał jednego tylko warunku, młodości, aby zdołał przeprowadzić skutecznie swoje zbawienne reformy i tchnąć nowe życie w państwo, zrujnowane okrucieństwem i kaprysami jego poprzednika. Judejczycy i prozelici odczuli natychmiast skutki tego przewrotu. W krótkim, bo zaledwie szesnasto-miesięcznym przeciągu swego panowania (wrzesień 96 do stycznia 98), mając do usunięcia tyle nadużyć i wadliwości w urządzeniach państwowych, znalazł Nerwa czas na zajęcie się sprawą żydowską. Pozwolił każdemu wyznawać judaizm, bez obawy narażenia się na karę jako odszczepieniec. Podatek żydowski, acz nie zniesiony zupełnie, ściągany był pobłażliwie. Ogłoszono zakaz uwzględniania denuncjacji na uchylających się od owego podatku. Snać wielkie przywiązywano do tego aktu znaczenie, skoro uwieczniono go przez wybicie monety pamiątkowej. Przedstawia ona na stronie czołowej cesarza Nerwę, na odwrotnej zaś drzewo palmowe (symbol Judei) z napisem: „Skargi o podatek żydowski zniesiono (fisci judaici calumnia sublata).“ Krótkotrwałość ludzkich rządów zgrzybiałego monarchy przerwała dalsze skutki przychylnego dla Judejczyków nastroju; z następcą jego wraca dawna nienawiść wzajemna obu narodów i niebawem dobędą one powtórnie oręża do wrogich z sobą zapasów.

Nerwa mianował swym następcą Hiszpana Ulpiusa Trajana (98—117). Cesarz ten, zwycięzca Daków nadunajskich, pragnął uwieńczyć swe skronie wawrzynami Aleksandra Wielkiego przez wcielenie do swego państwa

krain, rozpostartych pomiędzy Eufratem i Tygrem, a gdyby się dało, to i porzeczy Indu i Gangiesu. Jakoż zabrał się do urzeczywistnienia swych marzeń gorących (114). Z Partją uporał się prędko, gdyż państwo to, rozdwojone waśniami słabych pretendentów, niezdolne było stawić poważnego oporu. Tylko gęsto zagnieżdżona w tych stronach ludność żydowska, zajmująca tu całe miasta i dzielnice i ciesząca się pewną samodzielnością polityczną pod rządami własnego egzylarchy (księcia wygnania), wystąpiła energicznie przeciw zdobywcy rzymskiemu. Ożywieni religijną antypatją do Trajana, w którym upatrywali dziedzica podpalaczy świątyni i ujarzmicieli swych braci, skazanych na hańbiącą niewolę, uzbroili się Judejczycy babilońscy do świętej z najezdnikiem wojny. Miasto Nizibis, w którego murach zdawna gościli liczni mieszkańcy judzcy, broniło się tak uporczywie, że upadło dopiero po długiem oblężeniu, ale też ciężko za to odpokutować musiało. Adjabena, położona nad środkowym brzegiem Tygrysu, podlegała berłu monarchy, którego przodkowie zaledwie przed stu laty przyjęli judaizm. Nie sprzeniewierzył mu się może i ówczesny król adjabeński Mebarsapes, który walczył mężnie z Trajanem, lecz uległ również w końcu rzymskiej przemocy. Szczęśliwszy od swych republikańskich i cesarskich poprzedników, zbierał Trajan z błyskawiczną szybkością plony swej dalekiej wyprawy. Zwycięstwa same niemal lazły mu w ręce. Wszyscy królowie i książęta Armenji, tudzież ziem, które oblewają Eufrat i Tygrys, złożyli u stóp jego swoje korony i wzięli odeń w lenno własne dziedziny, lub też zostawić je musieli w łupie zaborcy. Wiosną następnego roku (115) podjął powtórną wyprawę, aby zdusić tlejące jeszcze gdzieniegdzie iskry oporu i utwierdzić swe panowanie w podbitych dzierżawach. Ale radość z odniesionych sukcesów zgasiły rychło wieści o rokoszu, wybuchłym w ujarzmionych dopiero co krajach

nad siostrzanemi rzekami. Największy udział w tem odstępstwie mieli Judejczycy, którzy zarzewie buntu rozsypali nadomiar po licznych prowincjach państwa rzymskiego. Nietylko w Babilonji, ale i w Egipcie, Cyrenaice, Libji i na Cyprze powzięli śmiałą myśl zrzucenia jarzma rzymskiego. Jakgdyby ich gnał jakiś duch nieprzeparty —wrogie źródła mówią o opętaniu wściekłości—chwycili za broń mieszkańcy judzcy tych krajów, tak od siebie odległych. Rzekłbyś, że chcieli nieprzyjacielowi pokazać, iż moc ich jeszcze jest niezłamana.

W ciągu półwiecza od upadku państwa judzkiego dojrzało nowe pokolenie, które odziedziczywszy po ojcach ducha zelockiego i w świeżej jeszcze mając pamięci niedawną samodzielność, bolało serdecznie nad dzisiejszem poniżeniem narodu. Nadzieja mistrzów tanaickich: „niebawem odbudowana będzie świątynia," krzepiła i podsycała w młodzieży ducha wolności; nie oduczyła się ona w szkołach ani męstwa, ani władania orężem. Prawdopodobnie bezwzględna samowola i ucisk władz rzymskich podnieciły ją do rozwinięcia chorągwi powstańczych. Inicjatorami i prowodyrami rokoszu byli, jak się zdaje, dwaj bracia z Aleksandrji, Juljan i Pappos (hebrajskiem imieniem może Szymon i Szemaja), zwani zaszczytnie „dumą Izraela." Niewiadomo, gdzie mianowicie uderzyli na pierwszą pobudkę do broni. W Cyrenaice, której mieszkańców żydowskich zagrzewali zbiegli po zburzeniu Jerozolimy zeloci do podjęcia walki z Rzymianami, rozległo się pierwsze hasło insurekcji w Afryce; prowincji tej broniły szczupłe jeno rzymskie załogi, gdyż większość wojsk tamtejszych brała właśnie udział w bojach z Partami. Żydzi cyrenejscy mieli wodza, którego jedni zwą Andreasem, inni Lukuasem. Z początku ruchawka nie różniła się w niczem od zwykłych buntów ludowych. Najpierw napadli Żydzi cyrenejscy na swych rzymskich i greckich sąsiadów i sprawili wśród

nich rzeź, wywierając na najbliższych wrogach zemstę za ujarzmienie swego narodu. Zmyślone są z pewnością opisy czynów okrutnych, jakich dopuszczać się mieli wrzekomo wojownicy żydowscy; relacje z przeciwnego obozu pomawiają ich o pożeranie ciał nieprzyjaciół, wymazywanie się ich krwią, a nawet o piłowanie jeńców. Wiarogodnie brzmi to natomiast, że wziętych w niewolę przynaglali do śmiertelnych zapasów z dzikiemi zwierzętami; korzystaliby tylko z prawa odwetu. Przesadą też jest chyba, jakoby ofiarą tych rozruchów padło 220,000 pogan. Z Cyreny rzuciły się zbrojne gromady judzkie na Egipt i połączyły się z tamecznymi powstańcami. Wyruszył na ich spotkanie namiestnik Lupus, lecz nie wytrzymał gwałtownego natarcia i poniósł porażkę. Bramy miast prowincjonalnych stanęły teraz otworem powstańcom. Lecz zbiegowie pogańscy, którzy znaleźli schronienie w Aleksandrji, napadli wespół z mieszkańcami stolicy na jej ludność żydowską i odpłacili jej równą srogością.

Judzcy pogromiciele Cyreny, mszcząc się z kolei za śmierć swoich braci, wtargnęli do Aleksandrji i do tego stopnia spustoszyli to miasto, że trzeba je było później odbudowywać nanowo. Namiestnik Lupus nie mógł się oprzeć z swem wojskiem szalonemu impetowi hufców żydowskich. Na Greków i Rzymian, zamieszkałych w stolicy Egiptu, padła trwoga paniczna; historyk Appjan opowiada, że uciekł w noc mglistą i błąkał się bezradnie w poszukiwaniu okrętu, na którym mógłby znaleźć ratunek, drżąc na najmniejszy szelest, aby go nie dopadli prześladowcy żydowscy.

Na Cyprze, gdzie zdawna mieszkało wielu Judejczyków, posiadających tam swoje synagogi, stanął na czele powstania przeciw Rzymianom niejaki Artemjon. Rokoszanie zburzyli podobno Salaminę, stolicę tej wyspy, i wymordowali 240,000 Greków.—Trajan, bawiący pod

ówczas w Babilonji, przeraził się rozmiarami rewolty i wysłał co rychlej posiłki odpowiednie grożącemu niebezpieczeństwu. Jednemu z głównych swych wodzów, Martiusowi Turbonowi, powierzył znaczne siły lądowe i morskie, aby stłumił pożogę wojenną, której łuny biły już nad Egiptem, Cyreną i Cyprem. W krajach nadeufrackich, gdzie Judejczycy, pomimo pobliża cesarskiego i przytłaczającej przewagi wojsk rzymskich, przybrali groźną postawę, zdał naczelne dowództwo ulubieńcowi swemu, Lusiusowi Quietusowi, księciu maurytańskiemu, mężowi okrutnego serca, którego wyznaczył na swego następcę. Quietus otrzymał polecenie, aby wyplenił z korzeniem wszystkich Judejczyków, zamieszkałych w obrębie prowadzonych przezeń działań wojennych. W kilku tedy stronach naraz musiał się Trajan ucierać z Żydami, a gdyby te ogniska buntu zestrzeliły się w jedno i wsparły wzajemnie, to może już podówczas olbrzymie państwo rzymskie otrzymałoby cios, który w kilka wieków później zadali mu barbarzyńcy północni.

Martius Turbo, który miał uśmierzyć rokosz, zawichrzający Cyrenę i Egipt, pomknął ku punktom zagrożonym rozpiętymi żaglami. Z mądrem wyrachowaniem unikał wszelkich gwałtownych ataków; byłyby one tylko na rękę zbrojnym gromadom, które cementował raczej zapał, niż ład i porządek, i mogłyby im nastręczać łatwe zwycięstwa. Tępił drużyny powstańcze drobnemi utarczkami, które je nużyły i przerzedzały zwolna ich szeregi. Ale wojownicy judzcy nie ulegli bez mężnego oporu. Dopiero po licznych, długotrwałych bojach udało się Rzymianom opanować powstanie. Zwycięstwo nie mogło w końcu ich minąć; zapewniała je im przewaga liczebna, wyższość sztuki wojennej, a przedewszystkiem jazda, której sprostać nie mogła licho uzbrojona piechota żydowska. Jeńców traktował Turbo z okrucieństwom tak powszedniem u Rzymian, że przestało już dziwić.

Legjony, obstąpiwszy w koło nieszczęśliwych brańców, rąbali ich na sztuki, kobiety gwałcono, oporne zabijano. W gruzy zwalono prastarą synagogę aleksandryjską, arcydzieło budownictwa egipsko-greckiego. Odtąd zamierzchnął blask Izraela,—skarżono się w kołach żydowskich. Po zduszeniu buntu afrykańskiego przeprawił Turbo swe legjony do Cypru, i wyciął do nogi całą ludność judzką tej wyspy. Snać zażarte toczyły się tam boje, skoro zostawiły po sobie zaciekłą do Żydów nienawiść, uwiecznioną w barbarzyńskiem prawie, zakazującem wszystkim członkom tego plemienia wstępu na Cypr, nie wyjmując rozbitków na brzeg wyrzuconych.

Wojnę eksterminacyjną z Żydami w Babilonji i Mezopotamji prowadził Lusius Quietus z właściwą sobie srogością. Domy, ulice, gościńce i drogi usiane były zwłokami. W nagrodę za wielkie usługi, oddane przez zwalczenie Judejczyków, mianował Trajan tego wodza namiestnikiem Palestyny z obszernemi pełnomocnictwami. I tu bowiem również wybuchło powstanie, lubo nie przybrało tak groźnych rozmiarów, jak w Egipcie i Cyrenie. Łatwiej też dał sobie z niem radę Quietus. Przywódcy rokoszu, Aleksandryjczycy Juljan i Pappos, dostali się w niewolę i oczekiwali śmierci z ręki okrutnego Lusiusa. Znów naród opłakiwał bohaterów za wolność poległych, a Synhedrjum do oznak żałoby po zburzeniu Jerozolimy dodało nowe na pamiątkę owych dni klęski. Odtąd zakazano oblubienicom wdziewać w dzień ślubu zwyczajnego wieńca.

Sam Trajan musiał w końcu opuścić Partję i pożegnać się z nadzieją obrócenia jej w prowincję państwa rzymskiego. Znękany doznanem niepowodzeniem, wpadł w ciężką chorobę, z której nie wzmógł się więcej, i po kilku miesiącach dokonał życia w Selinuncie cylicyjskim. Nie ziściło się nawet gorące jego życzenie, aby rządy po nim objął Quietus; jego przebiegła małżonka Plo-

tina udaremniła ostatnią wolę zmarłego, oznajmiając wojskom, że Trajan przed zgonem usynowił i dziedzicem tronu mianował krewniaka swego, Aeliusa Hadrjana.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Wojna za cesarza Hadrjana.

(117—140).

Hadrjan otrzymał berło w dobie burzliwej (sierpień 117). Jedne ludy usiłowały już z mieczem w ręku wyłamać się z pod jarzma światowładnej Romy, inne gotowe były pójść niebawem za tym przykładem. Zaledwie gruchnęła wieść o śmierci Trajana, którego ramię żelazne rzucało postrach na wrogów, gdy Wschód i Zachód stanęły w płomieniach rokoszu. Hadrjan, ambitny i chełpliwy, ale do znojów rycerskich nieskory, zląkł się widoku tylu walk długotrwałych. Zazdrosny zresztą o sławę poprzednika, odstąpił po raz pierwszy od zasad idącej przebojem polityki rzymskiej, która, aby wszystko utrzymać, ważyła się na wszystko; chwycił się drogi koncesji. Jak Partję zwrócił prawowitym monarchom, zrzekając się wszelkich do niej uroszczeń, jak również poczynił ustępstwa innym zbuntowanym dzielnicom, tak też okazał skłonność do zaspokojenia życzeń Judejczyków. Wielkiej otuchy dodało Judejczykom palestyńskim złożenie z urzędu tępiciela rodu ludzkiego, Quietusa. Usunął go wprawdzie Hadrjan jedynie dlatego, żeby się pozbyć groźnego rywala. Niemniej upatrywali Judejczycy w niełasce Quietusa pomyślną dla siebie wróżbę. Zanim jeszcze grom ten w niego uderzył, ferował namiestnik wyrok śmierci na obu wodzów żydowskich, Juljana i Papposa, którzy się w moc jego dostali. Z szyderstwem rzekł do nich: „Jeżeli wasz Bóg jest tak potężny, jak powiadacie, to niechże was z ręki mojej ocali.“ Już

na śmierć prowadzono skazańców, gdy wtem nadszedł edykt, odwołujący z Judei krwawego tyrana. Dzień wybawienia Juljana i Papposa (12 Adar) zaliczyło Synhedrjum do rzędu dni pamiątkowych; nosi on miano dnia Trajanowego. Tak poważani i kochani byli ci bracia.

Judejczycy we wszystkich krajach djaspory żywili jedno gorące pragnienie, które miał im ziścić, jak się spodziewali, nowy monarcha. Ich rokosz w różnych dzielnicach, z niezmiernym wysiłkiem stłumiony przez wodzów Trajana, miał swe źródło w wielkiem rozjątrzeniu przeciw Rzymianom, którzy zburzyli ich święty gród i Przybytek. Nie taili się z tem chyba wojownicy judzcy, że gdyby szczęście dopisało ich orężowi, to pierwszą ich troską byłoby podźwignięcie z gruzów miejsc świętych. Przewodnicy żydostwa wynurzyli niezawodnie swe życzenia przed młodym cesarzem i położyli to ustępstwo za warunek pokoju, lub też wyprosili je sobie jako łaskę monarszą. Nie odmówił im Hadrjan. Jego niechęć do wojen zawikłanych, któreby mu w jakimś zwycięskim wodzu zbudzić mogły rywala, i namiętność odbudowywania miast starożytnością wsławionych, obie te przyczyny sprawiły, że się przychylił do próśb Judejczyków. Natychmiast przystąpiono do odbudowy Jerozolimy. Zaczęto od uprzątania rumowisk. Hadrjan mianował podobno intendentem budowy tłomacza Pisma świętego, Akylasa.

Przedewszystkiem trzeba się było zająć zbieraniem funduszów na koszta budowy. Na czele tej akcji stanęli znowu Juljan i Pappos, wybawieni od śmierci dzięki interwencji Hadrjana. Rozwinęli oni nadzwyczajną gorliwość w tej sprawie. Po wszystkich miastach pomiędzy Antjochją i Akko rozstawiono stoły wekslarskie dla przyjmowania datków pobożnych i zamiany monet zagranicznych na kurs w kraju mające. Niezamożnych

Żydów zagranicznych, którzy przybyli do Palestyny, aby wziąć czynny udział w odbudowie miejsc świętych, zaopatrywali we wszystkie potrzeby. Ofiary płynęły z pewnością obficie. Zapał i radość Judejczyków, w obec otwierających się przed niemi widoków odzyskania świętego środowiska, były oczywiście niezmierne. Pewien poeta grecko-żydowski dał wyraz uczuciom, ożywiającym podówczas Judejczyków w całej djasporze. W dźwięcznych wierszach greckich, które za przykładem swego poprzednika (p. t. I str. 587) włożył w usta wieszczce pogańskiej, Sybilli, wysławia jasnowłosego cesarza i zapowiada przyjście błogich czasów mesjańskich. Sybilla judzka marzyła w ekstazie o rychłym upadku pogaństwa. W początkach swego panowania cieszył się Hadrjan popularnością u Żydów.

Jeżeli nadzieja odbudowy świątyni nieciła wielką radość w sercach żydowskich, to nie mniejszą chyba budziła niechęć w chrześcijanach. Zbyt głębokie zapuściła w nich korzenie wiara, że Jezus jako Mesjasz uczynił niepotrzebnemi wszelkie ofiary i że właśnie dla tego zburzony został Przybytek. Coby to było, gdyby znowu powstał z popiołów? Fakt ten obróciłby w niwecz wszystkie ich argumenty i wywody. Aby wiernych pokrzepić na duchu, wystosował pewien chrześcijanin żydowski z Aleksandrji pod imieniem Barnaby pismo do swych towarzyszy, w którem brzmią wyraźnie echa kwaśnego humoru: „Ci, co ten Przybytek zburzyli, odbudują go znowu! Stanie się. Wskutek wojen ich zburzony został przez wrogów, a teraz oni sami i słudzy ich wrogów podźwignią go z gruzów, ale tylko po to, aby święte miasto, Przybytek i lud Izraela znowu wpadły w moc wroga.“ Obok chrześcijan patrzyli i Samarytanie krzywemi oczami na odbudowę grodu świętego. I jedni i drudzy starali się ją zapewne udaremnić wszelkiemi siłami. Jak niegdyś Samarytanie w okresie panowania

perskiego zanosili do królów skargi oszczercze, że posiadanie własnej stolicy z Przybytkiem podnieci krnąbrny naród judzki do odstępstwa od Persji, tak również ich potomkowie dzisiejsi drogą insynuacji podobnych podburzali cesarza rzymskiego do cofnięcia swej obietnicy. Może też namiestnik Judei, który znał usposobienie ludności żydowskiej, odradzał nadania jej choćby tylko pozornej autonomji. Niepochopny do kroków wojennych, nie śmiał cesarz Hadrjan złamać wręcz słowa danego, uciekł się tedy do wykrętów. Świątynia miała wprawdzie stanąć, lecz nie na dawnem jej miejscu, Jerozolima miała się odrodzić z popiołów, lecz przeobrażona w miasto pogańskie.

Wykręty te, rzecz prosta, wywołały wśród Judejczyków rozgoryczenie niezmierne; nie myśleli oni bynajmniej być igrzyskiem kaprysów Hadrjana. Wielkie tłumy ludu zgromadziły się w Rimmon na dolinie Jezreel. Lada chwila podnieść się mogły chorągwie rokoszu i wojna zażarta, jaka później wybuchnęła istotnie, zdawała się już teraz nieuchronną. Lecz nie brakło też w narodzie pokojowo usposobionych umysłów, które rozumiały wielkie niebezpieczeństwo nowego powstania. Na czele stronnictwa pokojowego stanął r. Jozue. Nie podzielał on zwykłych uprzedzeń do świata pogańskiego, nie odmawiał mu wszelkich cnót i wszelkiej w oczach Boga wartości, jak to czynili nawet chrześcijanie. Przeciwnie utrzymywał: „Bogobojni i cnotliwi z pośród wszystkich narodów mają udział w przyszłem życiu zbawienia.“ Jego to przyzwano co rychlej, aby swą powagą i wymową uśmierzył tłumy wzburzone, dmące w surmy bojowe. R. Jozue użył w swej przemowie formy apologu, która nigdy nie zawiodła, ilekroć chodziło o wywołanie zmiany w nastroju gromady. Opowiedział bajkę i wysnuł z niej morał dla sytuacji obecnej. „Razu pewnego lew najadł się do syta swoją zdobyczą, ale kość uwięzła

mu w gardle. W przerażeniu przyrzekł hojnie wynagrodzić tego, kto mu kość tę wyciągnie. Zjawił się żóraw długoszyjny, dokonał szczęśliwie operacji i zażądał w końcu nagrody. Ale lew odpowie szyderczo: „Miej dosyć na tem, żeś łeb swój cało z lwiej paszczy wydobył.“ „I my też,“ zakonkludował r. Jozue, „powinniśmy się cieszyć, żeśmy uszli bez szwanku z rąk Rzymianina.“ Na razie upomnienie r. Jozuego, poparte jego powagą, powstrzymało tłumy od rozruchów. Ale entuzjazm dla jasnowłosego cesarza rozwiał się bez śladu i ustąpił miejsca zaciekłej nienawiści. On atoli albo nie dostrzegł tej zmiany nastroju, albo lekceważył ją sobie. W częstych podróżach po wszystkich niemal dzielnicach cesarstwa rzymskiego przybył też w ostatniem dziesięcioleciu swego panowania do kraju judzkiego i pisał ztamtąd do Rzymu o serdecznem przyjęciu, jakie mu zgotowała ludność żydowska. Senat uwiecznił to złudzenie cesarza w monetach wybitych na pamiątkę pobytu jego w Judei. Widzimy na nich Hadrjana naprzeciw postaci niewieściej (Judei) obok ołtarza, na którym oboje złożyć mają właśnie ofiarę. Dwoje lub troje dzieci (symbole prowincji) podaje cesarzowi gałązki palmowe, jako symbol pokoju. Była to ciężka pomyłka. Judejczycy gotowali się owszem oddawna do wojny. Płatnerze judzcy, kując oręż dla Rzymian, wykończali go z umysłu niedbale, w przewidywaniu, że niebawem przeciw nim samym będzie zwrócony. W pełnych jaskiń górach wapiennych Judei przebijali spiskowcy po cichu chodniki podziemne i urządzali kryjówki, które przed wojną służyły im za tajne zbrojownie, a podczas wojny za wygodne zasadzki, z których z nienacka napadali na wroga. Cichą lecz użyteczną pomoc w tych przygotowaniach do buntu niósł również, jak się zdaje, r. Akiba. Odbywał on dalekie podróże do gmin żydowskich w Azji Mniejszej i Partji. Celem tych podróży było prawdopodobnie zagrzanie Ju-

dejczyków, zamieszkałych w tych krajach, do odpadnięcia od Rzymu i odbudowania państwa judzkiego. Po śmierci Jozuego został r. Akiba uznany za zwierzchnika duchownego całego żydostwa.

Ukołysany uczuciem zupełnego bezpieczeństwa, nie dostrzegł Hadrjan sprzysiężenia, knującego się niemal w jego oczach, w różnych punktach państwa rzymskiego, aż pełne sił i otuchy wypłynęło na światło; tak zręcznie potrafili Judejczycy omylić czujność rzymskich urzędników i szpiegów. Z wybuchem powstania wszystko było gotowe. Zapasy broni, środki komunikacyjne, wojownicy, a nawet potężny dowódca, który dzięki swemu odrębnemu stanowisku umiał krzesać zapał religijny i animusz rycerski. Za pomyślną wróżbę dla śmiałego przedsięwzięcia poczytano zniszczenie dwóch stanowisk legjonów. Na kilka lat przedtem trzęsienie ziemi zburzyło Cezareę i Emmaus. Cezarea była stolicą rzymską Judei, rezydencją namiestników. Utwierdziło się powszechnie dziwne przekonanie, że jak wielkość Cezarei datowała się od upadku Jerozolimy, tak z jej upadkiem powróci judzka stolica do dawnej świetności. Emmaus wyznaczył cesarz Wespazjan na siedzibę wysłużonym żołnierzom; była to zatem druga cytadela.

Głównym bohaterem insurekcji w ostatnich latach panowania cesarza Hadrjana był Bar-Kocheba, który imperjum rzymskie w jego ówczesnem osłabieniu nie mniejszego nabawił strachu, niż niegdyś Brennus i Hannibal.— O pochodzeniu i poprzednich losach tej częstokroć szkalowanej postaci nic zgoła nie wiemy. Jak każdy bohater rewolucyjny, wynurza się nagle, niby wcielenie woli i gniewu narodu, sieje dokoła trwogę paniczną i ogniskuje w sobie ruch niewstrzymany. Nazywał się właściwie Bar-Kosiba od miasta Kosiba, z którego pochodził. Niemasz w źródłach żydowskich najlżejszego śladu na poparcie poglądu, jakoby to było obelżywe przezwi-

sko i znaczyło „syn kłamstwa.“ Bar-Kocheba jest jeno mesjanicznym przydomkiem, który mu nadał r. Akiba. Mistrz ten, ujrzawszy go po raz pierwszy, doznał tak potężnego wrażenia, że zawołał: „Ten-ci jest król mesjański.“ Wyraził się o nim słowami Pisma świętego: „Kosiba wzeszedł niby gwiazda (Kochab) w Jakóbie.“ Wybitna bądź co bądź osobistość Bar-Kocheby utwierdziła r. Akibę w nadziei, że pycha rzymska upokorzona zostanie, a glorja Izraela nowym blaskiem zapłonie; wierzył, że za jego sprawą nastanie w najbliższej przyszłości królestwo mesjańskie. Stosował doń zapowiedź proroka Chaggaja: „Maluczko a wstrząsnę niebo i ziemię, obalę tron królestw i skruszę moc pogan.“ Nie wszyscy atoli podzielali pobożne zachwyty r. Akiby; Jochanan Ben-Torta wyraził się sceptycznie o tych górnych rojeniach: „Rychlej na twym podbródku trawa porośnie, Akibo, aniżeli pojawi się Mesjasz.“ Wystarczyły przecież najzupełniej uznanie i hołdy r. Akiby, aby otoczyć Bar-Kochebę aureolą płynącej od Boga dostojności i zapewnić mu niezaprzeczoną powagę, która środki, jakimi rozporządzał mnożyła i potęgowała.

Pod sztandary tego króla mesjańskiego garnęli się wojownicy żydowscy ze wszystkich krajów rozproszenia, dzięki czemu ruchawka przybrała wielkie rozmiary. Nawet Samarytanie, zawsze wrodzy imieniowi judzkiemu, zaciągali się teraz do szeregów powstańczych. Co większa i poganie, ożywieni nadzieją skruszenia nieznośnego jarzma rzymskiego, poślubili również sprawę żydowską. Zdawało się, że na państwo rzymskie spadnie wnet cios potężny, który poroztrąca członki kolosu, z takim mozołem spojone. Niema w tem chyba wielkiej przesady, jeżeli źródło żydowskie podaje liczbę uczestników powstania na 400,000, a historyk pogański Dion Cassius nawet na 580,000. Bar-Kocheba, epigon zelocki, żywo przypominający dzikiego Szymona Bar-Giorę, dufny w moc

swego ciała i ducha i wypróbowane męstwo swych hufców, czuł się tak niezwalczonym, że wybuchnąć miał bluźnierczemi słowy: „Panie, jeżeli nie chcesz nas wspierać, nie wspierajże przynajmniej naszych nieprzyjaciół, a już sami damy im radę.“

Tak olbrzymiej potędze nie mógł podołać ówczesny wielkorządca rzymski w Judei, rozporządzający zapewne szczupłemi siłami. Był nim Tinejus Rufus, osławiony w źródłach żydowskich pod mianem Tyrana Rufusa jako stały typ mężobójcy, łączącego z okrucieństwem zuchwałe szyderstwo. Naporowi wojowniczego Mesjasza, którego hufce zdawały się z pod ziemi wyrastać, nie mogły długo pola dotrzymać rzymskie załogi. Rufus w ciągłym odwrocie opróżniał jedną twierdzę za drugą i zanim rok minął (132—133), wpadło w ręce rokoszan około 50 grodów warownych, a prócz tego liczne miasta i wioski otwarte. Pierwsza wiadomość o powstaniu w Judei nie wywarła na Hadrjana wielkiego wrażenia. Ale gdy niebawem wieści o porażkach wojsk rzymskich poczęły spadać gęstą koleją, posłał na widownię wojny posiłki pod komendą najlepszych swych wodzów. Wyprawiono pospiesznie do Judei legje z Fenicji, Egiptu i Arabji, ściągnięto nawet wojska z odległych prowincji Maurytanji i Mezji. Flota fenicka i syryjska ledwie nastarczyć mogły transportowi posiłków. Dwóch wodzów, którzy zbierali już laury na innych placach zapasów, usiłowało jednocześnie czy też kolejno zagasić pożar, zagrażający dzielnicom ościennym: Publius Marcellus, namiestnik Syrji, i Lollius Urbicius, namiestnik dolnej Giermanji. Ale próżne były ich wysiłki; nie powiodło im się lepiej, niż Rufusowi, i obaj pogrzebali swoją sławę na polach Judei.

Niespodziewane powodzenie taką wlało w naród judzki otuchę, jakgdyby niepodległość swą utwierdził na wieki. Ci, którzy zatarli niegdyś sztucznie znak pocho-

dzenia, aby się pozbyć nałożonego na Żydów podatku, poddawali się teraz powtórnej operacji, albowiem naznaczonemu tem piętnem zaprzaństwa groziło wykluczenie z nowego ustroju, z królestwa mesjańskiego.

Jerozolima nie odegrała w tej wojnie żadnej roli. Dostała się ona zapewne w moc wojowników żydowskich; trudno przypuścić, aby legjony rzymskie miały tu swoją główną kwaterę, lub obóz, bo gdyby nawet rozpoczęła się już odbudowa, to punkt, pozbawiony wszelkich utwierdzeń, nie mógłby im służyć za oparcie. A co do Judejczyków, ci też nie mieli czasu budować się i obwarowywać w zgiełku wojennym.

Aby zadokumentować niezawisłość narodu judzkiego, kazał Bar-Kocheba wybijać własne monety, zwane monetami Bar-Kosiby; pokwapił się z tem, co prawda, nie czekając stanowczego zwycięstwa, nie tak, jak książęta machabejscy, którzy dopiero po zupełnem zabezpieczeniu swej udzielności zamanifestowali ją biciem własnej monety.

Lubo już oddawna nurtowała ich serca nienawiść do Rzymian, nie brali wojownicy judzcy okrutnego odwetu na wrogach, którzy wpadli im w ręce. Może wzgląd na pogańskich towarzyszów broni skłonił ich do łagodnego obchodzenia się z jeńcami. Tylko chrześcijan żydowskich, zamieszkałych w Judei, traktował Bar-Kocheba surowo, przeciw nim bowiem żywili ziomkowie większą może niż przeciw Rzymianom zawziętość, uważając ich za odstępców, a co gorsza, za delatorów i szpiegów. Tę zaciętość względem chrześcijan żydowskich wzmogło oburzenie, że się uporczywie wzbraniali wziąć udziału w wojnie narodowej i pozostali jedynymi bezczynnymi widzami okropnego dramatu. W odbudowanem państwie, kiedy wszystkie prawa odzyskały dawną moc i powagę, uważały się władze judzkie za kompetentne do pozywania przed swój trybunał tych rodaków, którzy

nietylko odmawiali prawu posłuszeństwa, lecz nadomiar natrząsały się z niego. Atoli tych chrześcijan, którzy, acz należąc do społeczeństwa judzkiego, uchylali się od obrony ojczyzny, lub też nawet oddawali Rzymianom różne usługi, nie karano śmiercią, jak to utrzymują przesadnie późniejsi kronikarze chrześcijańscy, aby obudzić nienawiść do Żydów,—lecz skazywano ich tylko na chłostę. Ale i wśród Nazareńczyków byli patryjoci, którzy trzymali wiernie stronę rodaków i wydawali sędziom żydowskim zdrajców z własnej sekty. Pewne wynurzenia ewangelji, napisanej w tej dobie, unaoczniają niesnaski, rozdzierające chrześcijan palestyńskich podczas owych zaciekłych zapasów, i malują też żywo ich ponury nastrój i trwożne uczucia. Założycielowi religji chrześcijańskiej włożona jest tam w usta zapowiedź tych burzliwych wypadków. „Patrzcie, aby was kto nie zwiódł. Albowiem wielu przyjdzie pod mojem imieniem, mówiąc, iż to ja jestem, i wielu w błąd wprowadzą. A gdy usłyszycie wojny i wieści o wojnach, nie trwóżcie się, bo się to dziać musi. Ale to jeszcze nie koniec. Albowiem powstanie naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu. I będą miejscami trzęsienia ziemi i głody i niepokoje. Początek to boleści. A wy miejcie się sami na pieczy, bo wydawać was będą synhedrjom i chłostać w bóżnicach... I wyda brat brata na śmierć, a ojciec syna, i powstaną dzieci przeciw rodzicom i będą je zabijać. I będziecie u wszystkich w nienawiści dla imienia mego. Lecz kto dotrwa do końca, ten będzie zbawiony.“ Słowa te świadczą o przygnębieniu i upadku serc, które same usiłują sobie dodać otuchy.

Taki stosunek do chrześcijan żydowskich wywołał nowe rozporządzenie ówczesnego Synhedrjum. Część Nazareńczyków posunęła się w czci dla Jezusa aż do ubóstwienia; nazywali go „Panem,“ nadając mu to samo miano, które w kołach żydowskich przysługiwało Bogu.

Dla odróżnienia tedy prawych wyznawców od zwolenników nowej nauki nakazało Synhedrjum zamiast imienia „Pan“ używać znowu czterogłoskowego imienia „Ihwh,“ zarówno w modlitwie, jak przy powitaniu.

Wojna pod Bar-Kochebą srożyła się niemal dwa lata (132-134). Z troską głęboką śledził Hadrjan jej stadja kolejne; wojna przybrała takie rozmiary i obrót, że mogły z niej wyniknąć nieobliczalne następstwa. Wszystkie zastępy posiłkowe ponosiły stale porażkę. Hadrjan zmuszony był w końcu powołać z dalekiego kraju i wysłać do Judei największego wodza owych czasów, Juljusza Severusa. Był on namiestnikiem Bretanji, gdzie uśmierzył powstanie niemniej gorąco miłującego wolność narodu. Cesarz widział w nim jedynego męża, zdolnego zmierzyć się z bohaterskim Bar-Kochebą. Przybywszy na pole walki, zastał Severus przeciwnika w tak korzystnej i niedostępnej pozycji, że nie śmiał niezwłocznie wydać mu bitwy. Za przykładem Wespazjana, postanowił wojnę przeciągnąć, zwodząc jeno dorywcze utarczki. Za największą szansę poczytywał wyczerpanie się zapasów żywności, które w kraiku zewsząd zamkniętym nieuchronnie musi nastąpić, kiedy ręce od pługa oderwane pochwycą za oręż. Ograniczył się tedy odcięciem nieprzyjacielowi dowozu żywności i napadami na luźne oddziały wojska judzkiego, które wytępiał powoli za pomocą swej jazdy. Taktyka ta uwieńczyła się powodzeniem zupełnem, zwłaszcza że towarzyszyło jej nieludzkie traktowanie jeńców wojennych, których czekała śmierć niezawodna. Warunki takiej wojny wymagają długiego czasu, lecz tem nieomylniej prowadzą do celu. Rewolucja ta obfitowała z pewnością w epizody również godne pamięci i przejmujące, jak wojna zelocka; nie istnieje atoli ani jedno źródło, z któregoby potomność poznać mogła szczegóły walki na śmierć i życie narodu judzkiego. Cuda waleczności wodzów zelockich, Bar-Giory

i Jana z Gischali, uwiecznił mimowoli ich wróg najzaciętszy, gdy natomiast ostatnie przejawy mocy ludu judzkiego, chwała oręża ostatnich bohaterów judzkich nie znalazły rylca, któryby je zapisał na tablicach dziejowych, aby snać echa czynów bohaterskich nie budziły nowych pokoleń, przeznaczonych do oduczenia się sztuki wojennej. Nawet skreślona ze stanowiska interesów rzymskich historja tej wojny krasomówcy rzymskiego, Antonjusza Juljanusa, padła ofiarą niszczącego czasu. Doszły nas tylko luźne informacje, świadczące najchlubniej o waleczności Judejczyków, jako też o ich urągającym śmierci entuzjazmie dla sprawy narodowej. Pięćdziesiąt punktów warownych, które zdobyli, dostało się zwolna napowrót w ręce nieprzyjaciół, z wyjątkiem jednego. Ostatnią twierdzą, w której jeszcze mieli schronienie, był Bethar, miasto świeżej daty, położone nieopodal wybrzeży morskich na południe Cezarei. W niej to po odniesionej klęsce zamknął się Bar-Kocheba z kwiatem swego rycerstwa. W niej też znaleźli przytułek zbiegowie z całego kraju, którzy uniknęli miecza rzymskiego. Dzięki temu zaroił się Bethar nader licznemi rzeszami, oczekującemi z trwożnem sercem rozwiązania dramatu.

Oblężenie tej twierdzy zabrało, jak się zdaje, cały rok czasu. Wódz Juljusz Severus namozolił się chyba więcej nad jej zdobyciem, niż Tytus przy oblężeniu Jerozolimy. Podziemnymi chodnikami, które przeprowadzono przed wybuchem powstania, mogli się mieszkańcy zaopatrywać w artykuły żywności, a przerzynająca miasto rzeczułka dostarczała im wody. Wreszcie wybiła ostatnia godzina Betharu. Co spowodowało jego upadek? Pozostały o tem sprzeczne relacje. To że dwaj Samarytanie, Menasse i Efraim, mieli Rzymianom wskazać tajne chodniki, to znów, że wskutek wyschnięcia rzeczki miał nastąpić brak wody, to wreszcie, że miasto wzięto podstępem. Według tej ostatniej wersji krewny

Bar-Kocheby, Eleazar z Modinu, mąż dla bogobojności czczony powszechnie, pościć miał w worze i popiele, aby żarliwą modlitwą ubłagać Niebo o zesłanie twierdzy pomocy. Wódz rzymski, znużony uporczywemi walkami, gotów już był odstąpić od oblężenia. Naraz stanął przed nim pewien Samarytanin i ofiarował mu swoje usługi. Podjął się podać w podejrzenie r. Eleazara, opiekuńczego ducha warowni, gdyż, jak się wyraził, „dopóki ta kwoka gdacze w popiele, nie zdobyć Betharu.“ Zaczem przekradł się podziemnym chodnikiem do miasta i, przystąpiwszy do zatopionego w modłach r. Eleazara, jął mu coś tajemniczo szeptać do ucha. Obecni, którym nie podobała się ta tajemniczość, przyprowadzili go przed Bar-Kochebę, któremu też donieśli o scenie, jakiej byli świadkami. Wzięty na spytki, zaczął Samarytanin, właściwym wszystkim szpiegom obyczajem, zawodzić: „Jeżeli powiem ci prawdę, zabije mnie mój pan, jeżeli ci ją zataję, zabijesz mnie ty; wolę jednak zginąć z twojej ręki, niż wyjawić tajemnicę mego pana.“ Bar-Kocheba, posądzając r. Eleazara o konszachty z wrogami, wezwał go do siebie i zapytał, o czem się toczyła rozmowa. Eleazar, który w modlitewnem skupieniu nie zauważył może nawet obecności Samarytanina, mógł tylko odpowiedzieć, że o niczem nie wie. Nie posiadając się z gniewu na taką, jak sądził, bezczelność, kopnął go Bar-Kocheba nogą tak silnie, że wyczerpany postami mąż bogobojny padł bez ducha na ziemię. Wówczas usłyszano pono głos: „Obezwładniłeś ramię Izraela i oślepiłeś jego oko, przeto obezwładnieje twoje ramię i oko twoje oślepnie.“ Poczem Bethar miał upaść, a Bar-Kocheba zginąć. Koniec tego potężnego, zbyt dufnego w swe siły walecznika jest nam zgoła nieznany. Krążyła potem gadka, że jakiś Rzymianin przyniósł jego głowę, chełpiąc się, iż go zabił. Ale niebawem znaleziono jego ciało, dokoła którego oplótł się wąż, a na ten

widok rzec miał zwycięzca: „Gdyby go Bóg nie był zabił, nie podołałaby mu żadna moc ludzka.“ Zrządzeniem losu Bethar dostał się w ręce nieprzyjaciół (135) tegoż dnia, co na sześćdziesiąt pięć lat przedtem Jerozolima.

Żołnierze rzymscy, wtargnąwszy do Betharu, sprawili straszną rzeź wśród jego mieszkańców. Podanie niesie, że konie brodziły po nozdrza w posoce; krew rzeką ściekała w morze o milę prawie odległe, tocząc w swoich nurtach głazy ogromne; na jednej skale znaleziono trzysta mózgów dziecięcych, a z całej młodzieży Betharu pozostać miał przy życiu tylko syn patrjarchy. Żony poległych nie mogły znaleźć nikogo, ktoby złożył przed sądem świadectwo o śmierci ich mężów. Trudno zaiste, dać wiarę kolosalnej liczbie ofiar, które pochłonęła wojna Bar-Kocheby, a jednak potwierdza ją źródło rzymskie, zgodne z żydowskiem. Dobrze poinformowany historyk grecki, Dion Kasjusz, podaje, że oprócz tych, których strawił głód i pożoga, zginęło przeszło pięćset tysięcy. Niemniejsze atoli straty ponieśli i Rzymianie, lubo polityka rzymska przemilczała ich cyfrę. Znaczna część legjonów wyginęła w bitwach i podczas oblężenia. Hadrjan, rad takiemu niespodziewanemu niemal zwycięstwu, nie śmiał, donosząc o niem senatowi, użyć uświęconej formuły: „Ja i wojsko mamy się dobrze.“ Nie zadekretował też senat cesarzowi tryumfu z wojny żydowskiej. Tylko zwycięzki Juljusz Severus otrzymał zaszczytną oznakę tryumfatora.

Wszakże pozostały jeszcze rozproszone drużyny, które z wąwozów górskich i jaskiń prowadziły rozpaczliwą partyzantkę. Dla wyłowienia tych zbiegów rozstawił zwycięzca posterunki w trzech punktach. Kto wymknął się jednej straży, miał być schwytany przez drugą. Jakoż wyłapano i wycięto wszystkich wojowników, zburzono wszystkie miasta i wsie zbuntowane i w dosłownem znaczeniu tego wyrazu obrócono kraj cały w pustynię.

W kilka lat później w płynącej oliwą Galilei stało się drzewo oliwne rzadkością. Jeńców, prawdopodobnie tylko kobiety i młodzież nieletnią, gnano tysiącami na rynki niewolników w Hebronie i Gazie, a była tego towaru taka obfitość, że przedawano go niemal za bezcen. Resztę zawleczono do Egiptu, gdzie głód i rozbicie się okrętu położyły nędzny koniec ich życiu. Nie przebrało się atoli jeszcze zbiegów, kryjących się po jaskiniach przed rozstawioną przez wroga obławą. Pewnej soboty gromadka takich nieszczęśników poniosła skutkiem panicznego strachu śmierć w ciasnych chodnikach jaskini. Usłyszawszy klekot nabijanych gwoździmi sandałów nowych przybyszów, sądzili, że to nadciąga krokiem pospiesznym nieprzyjaciel, i w przystępie rozpaczy jęli się tłoczyć z takim zamachem, że się potratowali i pognietli wzajemnie. Wypadek ten sprawił tak przygnębiające wrażenie, że później zakazano nosić w sobotę kutych sandałów. Inni biedacy, gdy im zabrakło żywności, posilali się w pieczarach ciałem poległych, którzy stosami zaścielali pola. Spożywanie mięsa ludzkiego weszło im w nałóg i każdy z nich miał kolejny obowiązek przyniesienia trupa do jaskini. Dnia pewnego jeden ze zbiegów opuścił w tym celu kryjówkę. Ale znalazłszy w pobliżu tylko zwłoki swego ojca, usunął je z przed oczu i powrócił z próżnemi rękoma. Wyprawiono po nim drugiego, któremu szczęście sprzyjało. Gdy już zjedli trupa, przekonał się pierwszy wysłaniec z bliższych szczegółów, że ciałem ojca głód swój nasycił. Ale nawet ten marny żywot, jaki wiedli zbiegowie, korcił nieprzyjaciół; usiłowali też wywabić ich z kryjówek. Heroldowie obwoływali łaskę dla tych, którzy się stawią dobrowolnie. A łatwowiernych zabijano. Szczęśliwi byli, którym udało się dotrzeć w okolice Eufratu i do Arabji. I zapalestyńscy Judejczycy, podlegli berłu rzymskiemu, doznali na sobie skutku gniewu Hadrjana. Nałożył na wszystkich pogłówne, o wiele uciążliwsze od podatku żydowskiego, który zaprowadził Wespazjan. Na pamiątkę opłakanego wyniku ostatniej rewolucji nakazali nauczyciele Zakonu nową oznakę żałobną: skasowano dotychczasowy zwyczaj zanoszenia oblubienicy w lektyce paradnej do domu oblubieńca.

Hadrjan, który cały czas trwania wojny spędził w niepokoju, nie poprzestał na zupełnem zwycięstwie, lecz chciał zdusić zawczasu wszelki zaród przyszłego powstania. Naród judzki leżał trupem olbrzymim na przesiąkłych posoką polach ojczyzny, lecz nie zaspokoiło to jego mściwości; pragnął również wyplenić wszystkie swoiste przejawy ducha judzkiego. W tym celu ogłosił szereg edyktów, zmierzających do zatłumienia życia duchowego niedobitków żydowskich. Wykonawcą swych edyktów mianował byłego namiestnika Rufusa, który będąc obeznany z obyczajami Judejczyków, mógł rozciągnąć nad nimi czujną kontrolę.

Okola Jerozolimy i góry świątyniowej, gdzie może widniały jeszcze ślady podjętej odbudowy, kazał Rufus pługiem zaorać; odbyło się to w dniu tak feralnym w dziejach żydowskich, 9 miesiąca Ab (sierpień). Samo miasto polecił Hadrjan odbudować, zapewne bardziej ku północy, gdzie niegdyś wznosiły się przedmieścia, i osadził w niem kolonję wysłużonych żołnierzy, Syryjczyków i Fenicjan. Zbudowano je na modłę grecką, z dwoma rynkami, teatrem i innymi gmachami publicznymi. Udało się Hadrjanowi urzeczywistnić dawny swój zamysł przemienienia Jerozolimy w miasto pogańskie. Na górze świątyniowej stanął posąg Hadrjana i świątynia ku czci kapitolińskiego Jowisza, opiekuńczego bóstwa rzymskiego; prócz tego ozdobiły, a raczej zaplugawiły Jerozolimę inne jeszcze posągi bożków rzymskich, greckich i fenickich. Nawet odwieczna nazwa grodu świętego miała być zatarta z pamięci potomnych; nosił on odtąd

miano Aelia Capitolina od przedimienia Aeliusa Hadrjana i przydomku Jowisza. Na bramie południowej, prowadzącej do Betlehem, umieszczono w płaskorzeźbie łeb świński, ku wielkiemu pono zgorszeniu Judejczyków, którym zresztą pod karą śmierci zakazano wstępu w mury stolicy. Na świętej dla Samarytan górze Garizim, gdzie niegdyś stał ich przybytek, kazał Hadrjan również wznieść Jowiszowi świątynię.

Cesarz ten wznowił starą politykę Antjocha Epifanesa, za którego przykładem znieważał judzkie świętości i siłą oręża narzucał narodowi judzkiemu religję pogańską. Mniemał, że wykorzeni doszczętnie upartą miłość wolności, gdy go odzwyczai' od praktyk odrębnych. Najsroższe kary spadały na tych, co przestrzegali obrzezania, sabatu, lub też zajmowali się nauką żydowską. Zakazany był pod grozą kary wszelki obrzęd żydowski, wszelki obyczaj i zwyczaj, jeżeli je łączył choćby najlżejszy związek z religją, np. śluby we środę i inne obyczaje, pozbawione specjalnych cech religijnych. Nowy okres krańcowej niedoli żydostwa, ciągnący się od upadku Betharu aż poza śmierć cesarza Hadrjana, otrzymał miano „epoki przymusu religijnego, niebezpieczeństwa i prześladowania."

Okrutne dekrety i jeszcze okrutniejsza ich egzekucja były okropnym ciosem dla ocalałych. Bogobojni ludzie nie wiedzieli, co mają począć w tej toni: czy trzymać się ściśle praktyk religijnych, choćby za to przyszło głową nałożyć, czy też przez wzgląd na i tak już przerzedzone kadry ludności żydowskiej, szczędzić swój żywot i uledz narazie twardej konieczności. Pozostali nauczyciele Zakonu zgromadzili się na poddaszu w Liddzie i jęli obradować nad sprawą życia i śmierci. Różnice w zapatrywaniach na tę kwestję doniosłą miały swe źródło zarówno w samej naturze przedmiotu, jak i w osobach. Rygoryści, jak się zdaje, wyrazili opinję, że każdy

Żyd, naglony do przekroczenia Zakonu, powinien raczej umrzeć śmiercią męczeńską, bez względu na większą czy też mniejszą wagę danego przepisu. R. Izmael odezwał się ze zdaniem przeciwnem: dla ocalenia życia wolno naruszać wszystkie ustawy religijne judaizmu, oczywiście, zewnętrznie jeno i z musu. Przemawiał za poddaniem się do czasu woli ciemięzcy. Jak zawsze, zwyciężył na soborze liddeńskim pogląd pośredni. Przeszła większością głosów uchwała tej treści: dla uniknięcia śmierci męczeńskiej wolno gwałcić wszystkie ustawy, o ile niesumienny wróg nie zażąda tego publicznie, wyjąwszy trzech tylko, bałwochwalstwa, wszeteczeństwa i zabójstwa, które poczytywano za najkardynalniejsze zakazy judaizmu,—osłaniając się jednak w razie nieodzownej konieczności pozorami posłuszeństwa i przestrzegając poza tem wszystkiego, na co tylko pozwolą chwilowe warunki. Nie wszyscy przecież uważali tę uchwałę za obowiązującą normę dla siebie. Było niewątpliwie wielu takich, co kierując się jej wskazówkami, udawali w oczach rzymskich dozorców i szpiegów, jakoby ulegli musowi. Do łez rozrzewniają owe drobne fortele i pobożne wybiegi, których się chwytali, aby i śmierci uniknąć i nie obarczyć sumienia. Katusze moralne, odnawiające się z dniem każdym, z każdą godziną, zwróciły ich wynalazczość w tę stronę. Dla czytania Tory wstępowano na dachy domów odległych, dokąd nie mogło przeniknąć świdrzące oko szpiegowskie. Gdy pewnego razu r. Akiba, otoczony uczniami, spostrzegł szpiega rzymskiego, dał im znak, aby szeptem odmawiali modlitwę „Szema." Albowiem władze rzymskie nie żartowały wcale z wykonaniem prześladowczych dekretów i pilnie śledziły każdy krok Judejczyka. Złapany na gorącym uczynku lub oskarżony przez donosiciela o dokonanie jakiegokolwiek aktu religijnego skazywany był, zależnie od chwilowego humoru sędziego, na grzywny, karę cielesną,

a nawet na śmierć. R. Izmael maluje ów czas opłakany, kiedy na każdym kroku czyhały męki i śmierć, temi przejmującemi słowy: „Odkąd grzeszny Rzym wydał przeciw nam srogie edykty i nie pozwala nam spełniać obowiązków religijnych, a zwłaszcza czytać Pisma świętego, powinnibyśmy właściwie nie zawierać ślubów małżeńskich, aby nie płodzić dzieci; lecz w takim razie wygasłoby pokolenie Abrahama.“

Ale byli i tacy, których sumienie nie mogło się pogodzić z obszernemi swobodami uchwały liddeńskiej, ani z owymi wykrętami i fortelikami, do których uciekali się inni. Obserwowali oni najskrupulatniej wszystkie przepisy religji, choćby przyszło ponieść za to męczeństwo. Młodszy współcześnik tej smutnej doby unaocznia w dramatycznym niemal obrazie nielitościwą bezwzględność władz rzymskich, które za każdy akt religijny nakładały kary okrutne: „Za co masz otrzymać chłostę? Za równiankę świąteczną. Za co cię mają krzyżować? Żem jadł przaśniki w święto Paschy. Za co skazano ciebie na ogień, a ciebie pod miecz? Bośmy czytali Torę lub dali obrzezać nasze dzieci.“ Gdy zdybano kogo z filakterją (tefilin) na czole, roztrzaskiwano mu czaszkę. Straszniejsze jeszcze od rychłej śmierci były dla skazańców męki powolne, w czem rzymskie trybunały kryminalne nie pozostały w tyle za Inkwizycją. Najbujniejsza fantazja nie zdołałaby wymyśleć bardziej wyrafinowanych okrucieństw. Oprawcy rzymscy kładli delinkwentom pod pachy rozżarzone kule lub zabijali im za paznokcie trzciny zaostrzone i znęcali się nad nimi na różne jeszcze inne sposoby.

Pomimo czujności Rzymian mogliby skrupulaci, wprowadzając w błąd władze, oddawać się ćwiczeniom pobożnym, gdyby nie zdrajcy żydowscy, którzy, świadomi praw religijnych, zwracali uwagę mniej wtajemniczonych urzędników rzymskich na wszelką okoliczność, na

najdrobniejszy wybieg. Rekrutowali się oni w części z owej klasy ludzi bez czci i sumienia, gotowych na wszystko dla zysku, w części zaś z sekciarzy gnostycznych, wzgardzicieli Zakonu judzkiego, którzy poczytywali sobie za szczególną zasługę stawać wpoprzek dziełu Demiurga, t. j. Zakonowi. Do najzajadlejszych nieprzyjaciół Zakonu należał Eliza Ben-Abuja z przezwiskiem Acher; udzielał on władzom rzymskim najdokładniejszych wskazówek, jak odróżnić mają akt religijny od obojętnego.

Jeżeli np. Judejczyk, znaglony do pracy w sobotę, gdy mu wypadło dźwigać ciężary, usiłował ulżyć swemu sumieniu, uciekając się do obcej pomocy, co uchodziło za lżejsze naruszenie sabatu, wtedy syn Abui zwracał na ten podstęp uwagę siepaczy. Dzięki takim biegłym w prawach delatorom, wtajemniczyli się podsłuchiwacze rzymscy we wszystkie szczegóły żydowskiego życia religijnego i zdala już wietrzyli akt religijny. Słysząc skrzyp młynka, wiedzieli odrazu, że tam miele się proszek dla nowoobrzezanego dziecięcia, i niezwłocznie dokonywali rewizji. Namiestnik Tinejus Rufus obeznał się powoli z szczegółami praw halachicznych, tak że trudno go było oszukać.

Nad dwiema zwłaszcza sprawami rozciągnął najczujniejszy nadzór i ścigał winowajców najsroższemi karami. Były niemi zgromadzenia w celach nauki i ordynacja adeptów, jądro i dusza judaizmu wśród ówczesnych stosunków, nieodzowny dlań warunek dalszego istnienia. Zdławienie żywego słowa nauczycieli, przerwanie łańcucha tradycji, zatamowanie wyświęcania młodych uczonych na samodzielnych mistrzów Zakonu, wywołałoby niechybnie zastój w sokach żywotnych żydostwa. Przyznać należy, że eksterminacyjna polityka rzymska była dobrze obsługiwana przez swoich ajentów i umiała ugodzić w najczulszy punkt judaizmu. Nauczycieli Zakonu, którzy prowadzili wykłady, lub udzielali święceń swym

uczniom, czekała śmierć obostrzona mękami. Nawet gminy pociągano do odpowiedzialności; miasto i okolica, w których się odbyła ordynacja, ulegały zburzeniu. Być może, iż Acher skierował w tę stronę prześladowania, przynajmniej słychać o nim, że wydawał na śmierć doktorów, uczniów zaś odstręczał od nauki Zakonu. Opowiadają, że nawiedzał szkoły i wołał do uczniów: „Co wy tu robicie! Ty zostań budowniczym, ty cieślą, ty myśliwym, ty krawcem!“

Byli jednak niczem niezrażeni miłośnicy pokoju, którzy posłusznie poddawali się wszystkim żądaniom i nawoływali innych do uległości. R. Jose Ben-Kisma należał do owej klasy ludzi, którzy poczytując cierpliwość za najwyższą cnotę, spodziewają się zajść dalej roztropnem umiarkowaniem i pokorą, niż śmiałym oporem i bezwzględnem poświęceniem. Zastawszy razu pewnego r. Chaninę Ben-Teradjona z zwojem Tory na kolanach wykładającego prawo swym uczniom, jął go upominać w te słowa: „Zali nie widzisz, mój bracie, że same Nieba sprzyjają państwu rzymskiemu? Zburzyło świątynię, wycięło w pień pobożnych, zgładziło najlepszych, a przecież istnieje! Jakże się tedy ważysz nauczać Zakonu wbrew rozporządzeniom? Nie dziwiłbym się wcale, gdyby cię wraz z świętą księgą skazano na ogień!“ Za to też cieszył się r. Jose u dworu namiestnika Judei wielkiemi względami; gdy umarł, szli za jego pogrzebem najwyżsi dostojnicy. Atoli większość Tanaitów nie podzielała jego przekonań. Woleli oni raczej śmierć ponieść, niż zaprzestać wykładów, wyżej bowiem cenili naukę Zakonu, niż przestrzeganie praw religijnych. Niewoleni do zaniechania obrządków, pochylali głowę przed koniecznością chwilową, dając z siebie przykład ludowi, gdy natomiast chodziło o zachowanie nauki, biegli niemal w zawody po koronę męczeńską.

Dziesięciu męczenników, którzy położyli życie za Zakon, pozostało w pamięci potomnych, a w tej liczbie

najwybitniejszy z nich, r. Akiba. Wtrącono go do więzienia za potajemne wykłady. Napróżno przestrzegał go Pappos Ben-Juda, jeden z tych, co dla miłości pokoju gotowi byli na najcięższe ofiary, aby zaprzestał schadzek z uczniami, gdyż badawczy wzrok szpiegów wyśledzi najtajniejszą kryjówkę. R. Akiba odpowiedział mu na to bajką, z której wypływał morał, że obawa śmierci jest równie daremna, jak grzeszna. Krwawy Rufus, znając powagę r. Akiby, jako duchownego zwierzchnika narodu, traktował go jeszcze surowiej niż innych. Trzymał go długo w więzieniu i polecił strzedz go troskliwie, aby nikt nie mógł się dostać do niego. Pozostali na wolności nauczyciele Zakonu, dla których r. Akiba był ojcem i mistrzem, usiłowali, pomimo czujności dozorców, zasięgać jego zdania w wątpliwych kwestjach prawnych.

Rufus spodziewał się zapewne, że surowy regulamin więzienny skruszy r. Akibę i uczyni powolnym jego żądaniom. Za przykładem zwierzchnika pójdzie wielu innych i opór zostanie złamany. Ale r. Akiba nie uległ. Wówczas namiestnik wydał nań wyrok śmierci męczeńskiej i rozkazał obedrzeć go ze skóry zgrzebłem żelaznem. Wśród katuszy modlił się wielki męczennik z błogim uśmiechem. Zdumiony tą nadzwyczajną stałością, zapytał go Rufus, czyby był czarodziejem, że tak lekko znosi cierpienia, na co mu odparł r. Akiba: „Nie jestem czarodziejem, raduję się tylko, że mi się nadarzyła sposobność ukochania Boga również mojem życiem.“ R. Akiba wyzionął swego ducha, szepcąc ostatnie słowo wyznania, zawierającego zasadniczą treść judaizmu, słowo (Bóg jest) „jedyny.“ Śmierć jego, niezwykła jak jego życie, pozostawiła okropną próżnię. Współcześni biadali, że z nim złamane są ramiona Zakonu i zasypane źródło mądrości.

Z równą stałością poniósł śmierć r. Chanina Ben-Teradjon. Nie zważając na przestrogi r. Josego Ben-Kisma, ciągnął dalej swoje wykłady, aż wreszcie stanął przed krwawym trybunałem. Na zapytanie, dlaczego sprzeciwia się edyktom cesarskim, odpowiedział z całą otwartością gorącego przekonania: „bo mi tak Bóg rozkazał.“ Owinięto go w zwój Zakonu i spalono na stosie świeżej wierzbiny. Nadomiar okrucieństwa położono mu na sercu zwilżoną wełnę, aby przedłużyć w ten sposób męki przedzgonne. Sam oprawca, litościwszy od sędziego, radził mu, by zrzuciwszy ją, przyspieszył sobie śmierć, ale r. Chanina nie przyjął tej rady, uważając czyn taki za samobójstwo. Natenczas ów mistrz krwawego rzemiosła, poruszony taką wielkością duszy, zdjął mu sam wełnę i, jak niesie podanie, rzucił się w płomienie. Żonę r. Chaniny skazano podobno również na śmierć, a córkę powleczono do domu nierządu.

Tanaicie r. Chucpitowi wyrżnięto język i rzucono psom na pożarcie. Jako ostatniego męczennika wymieniają r. Judę Ben-Baba, którego współcześni uważali za męża zupełnie wolnego od grzechu. Obawiał się on, że stracenie najwybitniejszych nauczycieli Zakonu spowoduje doszczętny zanik tradycji, jeżeli pozostali przy życiu uczniowie nie otrzymają nieodzownych święceń, aby mogli ciągnąć ją dalej. Postanowił tedy udzielić ordynacji ostatnim siedmiu uczniom r. Akiby. Nie chcąc żadnego miasta narażać na odpowiedzialność za dopełniony w jego murach obrządek, udał się z nimi r. Juda na wązką dolinę pomiędzy miastami Uszą i Szefaram, gdzie przez położenie rąk na ich głowach wypromował ich wszystkich na samodzielnych nauczycieli Zakonu i sędziów. Wtem oddział wojska rzymskiego, naprowadzony prawdopodobnie przez zdrajców, zaskoczył ich przy tej ceremonji. R. Juda miał zaledwie tyle czasu przed sobą, żeby zdołał nakłonić do ucieczki świeżo wyświęconych nauczycieli. Ci zrazu nie chcieli odstąpić go w niebezpieczeństwie, lecz na usilne nalegania w końcu uciekli. Siepacze zastali tylko starca, który bez oporu wystawił swoje ciało na ciosy. Pokłóli go włóczniami na rzeszoto. W obawie krwawych rządów nie śmiano nawet uświęconym obyczajem uczcić mową pamięci tego męczennika.

Lecz i poza obrębem koła nauczycieli nie brakło nieulękłych męczenników za wiarę. Chlubne imię pozostawili po sobie męczennicy z Liddy. Byli to Juljan i Pappos, przywódcy powstania. Ze względu na swą wielką powagę mieli dać z siebie przykład odstępstwa. Ale oni wytrwali niezłomnie i nie chcieli nawet pozornie zgwałcić Zakonu, gdy kazano im pić wodę z barwnego kielicha, aby wywołać złudzenie, że piją wino z obiaty pogańskiej. Zginęli wśród mąk, a śmierć ich pogrążyła naród w takiej żałobie, że zniesiono półświęto, ustanowione na pamiątkę wybawienia ich z rąk Quietusa.

Nietylko przeciw pozostałym przy życiu, lecz i przeciw poległym w wojnie betharskiej zwróciło się okrucieństwo Hadrjana. Leżących pokotem trupów nie wolno było pochować; widok ich miał budzić grozę w żyjących i służyć im za przestrogę, aby porzucili wszelką myśl o wyłamaniu się z pod jarzma rzymskiego. Oddanie ziemi poległych bohaterów zakazane było pod karą surową. Nie troszczyły się o to władze, że trupy pod działaniem gorących promieni słońca zakażają powietrze, owszem, były może rade, że do wszystkich tych okropności, jakich już doświadczył naród żydowski, przyłączy się jeszcze zaraza i odrętwienie rozpaczy. Ale czułe, bogobojne dusze nie mogły pogodzić się z myślą, aby zwłoki poległych, którym obyczaj judzki oddawał szczególne honory, miały stać się pastwą dzikich zwierząt i ptaków, lub zgnić bez pogrzebu. Jeden z owych pobożnych, którzy pojednali się z Rzymianami i pędzili

żywot w zaciszu, chciał, jak się zdaje, przypomnieć rodakom, że mają święty obowiązek chowania ciał pod osłoną nocy, bodajby kosztem szczęścia i pokoju. Ten cel, jeżeli się nie mylimy, przyświecał autorowi księgi Tobit. Kładzie ona główny nacisk na obowiązek potajemnego grzebania zwłok, które tyran wystawił na znieważenie, i tym, co z narażeniem życia pełnią te pobożne uczynki, przyrzeka niezawodną a szczodrą od Niebios nagrodę. Za wzór podaje męża bogobojnego, Tobita, który pochowawszy skazanych przez króla, ściągnął zrazu na siebie wielką niedolę, lecz w końcu za swój pietyzm dla zmarłych hojnie pobłogosławiony został przez Boga. Księga Tobit zamyka rzecz słowami nadziei: „A lubo Jerozolima obróci się w pustynię, Przybytek strawi ogień, a lud Izraela pójdzie w rozsypkę, Bóg przecież ulituje się nad nimi, nie opuści swego ludu wybranego, odbuduje Jerozolimę w olśniewającej świetności i chwałą okryje swój Przybytek, iż Go uznają wszystkie narody i wysławiać Go będą.“

Nie oszczędziły też następstwa powstania Bar-Kocheby chrześcijan żydowskich, którzy podczas wojny przebywali przeważnie za Jordanem, w miastach tak zwanej Dekapolis; stanowią one moment przełomowy w ich losach. Nieszczęśliwy obrót walki i smutne jej skutki przeraziły ich wprawdzie, lecz dały im oraz powód do złośliwej uciechy. W ustawieniu na świętych posadach kapitolińskiego Jowisza – „ohydy spustoszenia,“ jak się Pismo wyraża,—upatrywali zapowiedź Sądu ostatecznego, końca świata i powrotu Jezusa w obłokach. Srogie prześladowanie Hadrjana dotknęło również chrześcijan żydowskich, a może nawet cały ogół chrześcijański, pomimo że odstrychnęli się od społeczeństwa judzkiego, gdyż władze rzymskie nie odróżniały chrześcijan od Żydów. Ewangielje malują ponuremi barwami całą grozę prześladowania, którem nawiedzeni też byli wie-

rzący w Chrystusa. „A gdy ujrzycie ohydę spustoszenia, zapowiedzianą przez proroka Daniela, stojącą, gdzie stać niepowinna, tedy kto będzie w Judei, niech ucieka na góry, a kto na dachu, niechaj nie zstępuje, aby co wziął z domu swego, a kto będzie w polu, niechaj nie zawraca brać sukni swoich. Lecz biada brzemiennym i niemowlętom w dni one. A módlcie się, aby wasza ucieczka nie była w zimie, ani w sabat.“

Aby nie podzielać losu narodu judzkiego, starali się usilnie chrześcijanie obydwu gałęzi o uznanie ich za samoistne, odrębne od Żydów społeczeństwo religijne. Dwaj ojcowie kościoła, Kwadratus i Arystydes, wręczyli podobno cesarzowi Hadrjanowi apologję, w której wywodzili, że chrześcijaństwo nie ma nic wspólnego z religją żydowską. Od tego czasu datuje się połączenie i zlanie z poganami większej części sekt żydowsko-chrześcijańskich. Wyrzekłszy się Zakonu judzkiego, którego nie przestali dotąd przestrzegać, przyjęli chrześcijanie żydowscy chrystjanizm w tej treści i formie, jakie się ukształtowały pod wpływem wyobrażeń chrześcijan pogańskich, i w dowód ścisłego zespolenia się z nimi postawili po raz pierwszy na czele swej gminy nieobrzezanego biskupa Markusa. Od czasów Hadrjana zerwały się wszelkie węzły, łączące chrześcijan z Żydami, i stają oni odtąd naprzeciw siebie już nie jako poróżnieni członkowie jednej i tej samej rodziny, ale jako dwa społeczeństwa całkiem od siebie odrębne. Ponieważ chrześcijanie znaleźli łaskę w oczach Hadrjana, przystępowali tedy do nich i Żydzi, aby przynajmniej cokolwiek zachować z swej religji, gdy pełnienie Zakonu było im wzbronione.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Patrjarchowie Szymon Ben-Gamaliel II, Juda I, Gamaliel III i Juda II.

(190—250).

Wojna hadrjańska i edykty prześladowcze pogrążyły Judeę w strasznej niedoli. Znowu miasta leżały w ruinie, kraj opustoszał, a mieszkańcy jego bądź poginęli na placach walki i kaźni, bądź jako wywołańcy pędzili marny żywot w kryjówkach, bądź też rozproszyli się po krajach gościnnych. Na pozór judaizm uległ zupełnej zagładzie. Albowiem ci, co unieśli życie z pogromu, pojednali się z losem i zaniechali wreszcie oporu. Nastały czasy o wiele smutniejsze, niż po zburzeniu Jerozolimy, gdyż szczątek narodu ledwie mógł się przyznawać do wiary ojczystej. Śmierć Hadrjana w trzy lata po upadku Betharu wywołała jednak przewrót pomyślny. Ci, których oszczędziła proskrypcja, podjęli niezwłocznie gorliwe starania, aby wyjednać u jego następcy cofnięcie krwawych edyktów i pozwolenie pełnienia przepisów religji. Po Antoninie Piusie, mężu ludzkiego charakteru, można się było spodziewać mniej okrutnego traktowania. Można matrona rzymska z Cezarei, prawdopodobnie małżonka Rufusa, zdjęta litością nad niedolą Żydów, poradziła im, aby się udali do wielkorządcy z prośbą błagalną o zaniechanie dalszych prześladowań.

Idąc za tą radą, odważyli się niektórzy z Jehudą Ben Szamua na czele błagać namiestnika o zmiłowanie. W noc ciemną jęli wołać żałośnie: „O nieba, zaliśmy nie bracia wasi, synowie jednego praojca? Czemuż zadajecie nam tyle cierpień nieznośnych?“ Litość czy roztropność skłoniły może Rufusa do wstawienia się u cesarza o łagodniejsze traktowanie Żydów.

Nagle przyszła radosna nowina (18 Adar 139—140), że dekrety hadrjańskie zniesiono. Dzień ten obchodzono nadal, jako szczególnie ważny dzień pamiątkowy, i wcielono go do kalendarza tryumfów. Utrzymał się jeno w mocy zakaz przekraczania bram Jerozolimy i Żydowi, któryby ten zakaz naruszył, groziła po dawnemu kara śmierci. Niespodziewany kres prześladowania i gwałtu zadawanego sumieniu odwołał zbiegów w progi ojczyzny. Powrócili i uczniowie r. Akiby, jedyni stróże odwiecznej spuścizny duchowej, którzy przeważnie wywędrowali do Babilonji. Byli to r. Meir, r. Juda Ben-Ilai, Jose Ben-Chałafta, r. Jochanan z Aleksandrji, rzemieślnik robiący sandały, r. Szymon Ben-Jochaj i trzej jeszcze inni, których Juda Ben-Baba przed ich ucieczką wyświęcił. Udali się oni niezwłocznie na pamiętną z czasów powstania dolinę Rimmon, aby ustanowić interkalację roku przybyszowego; zadania tego niepodobna było dokonać w czasie prześladowań, co wywołać musiało zamęt w kalendarzu świątecznym. Galilea mniej ucierpiała od następstw krwawej wojny, niż południe. Tu istniała jeszcze tylko Lidda. Zebrali się tedy młodzi doktorowie w miasteczku galilejskiem, Uszy, gdyż Jamnja, miasto synhedrjalne, uległa w wojnie zburzeniu. Tu zawiązali się oni w nieliczne Synhedrjum. Przybył też zbiegły syn patrjarchy, rabban Gamaliel. Nowoukonstytuowane kolegjum wezwało pozostałych jeszcze przy życiu uczonych, aby stawili się do Uszy na synod. Wielu poszło za tem wezwaniem, a mieszkańcy Uszy zaopatrywali gości z uprzedzającą uprzejmością we wszelkie potrzeby.

W ten sposób rozszarpane, krwawiące z ran mnogich, blizkie zupełnego rozkładu ciało narodowe podźwignęło się znowu, a nauka i teraz była lekarstwem, które mu miało wrócić zdrowie i siły.

Członkowie tego koła Tanaitów kontynuowali z poświęceniem dzieło poprzedników, starając się nawiązać zerwany łańcuch tradycji, atoli ani liczbą, ani działalnością umysłową nie dorównali poprzedniemu pokoleniu. Prym trzymają w tym chórze uczonych i głębszy wpływ od innych wywarli r. Szymon, syn patrjarchy Gamaliela, r. Natan, który przywędrował z Babilonji, r. Meir i r. Szymon Ben-Jochaj. Pierwszy ocalał cudem z rzezi w Betharze i uniknąwszy pościgu, znalazł również, jak się zdaje, przytułek w Babilonji. Powierzono mu bez namysłu godność patrjarszą, wielkiego po utracie resztek samorządu znaczenia i drogą narodowi jako pamiątka lepszej przeszłości. Kolegjum uzupełnili r. Natan, jako zastępca, i najwybitniejsza osobistość w kole uczonych, r. Meir, jako mówca (meturgeman). Zamiarem zniesienia równości, panującej dotąd wśród głównych członków kolegjum, nowy patrjarcha o mało nie ściągnął na siebie losu swego ojca. I on również, jak ojciec, nie powodował się w tem względami ambicji. O podniosłości charakteru r. Szymona Ben Gamaliel II świadczy jego piękna sentencja: „Na trzech rzeczach opiera się egzystencja świata, — na prawdzie, prawie i pokoju.“

Najoryginalniejszą postacią tego okresu był bezsprzecznie r. Meir, który polotem ducha, stałością przekonań i erudycją przypomina swego mistrza, r. Akibę. Nazywał się właściwie Miasa lub Moise (greckie brzmienie imienia Mojżesz), lecz imię to wyparł przydomek Meir, co znaczy „luminarz.“ Pochodził według wszelkiego prawdopodobieństwa z Cezarei kapadockiej. Utrzymywał się z kaligrafji i przepisywania Pisma świętego, co mu dawało chleb wcale dostatni, zwłaszcza że wprowadził nowy gatunek atramentu, któremu domieszka siarkanu miedzi nadawała trwałość i połysk; uczniom swym zalecał wyuczenie się jakiego łatwego i czystego

rzemiosła. Z zawiłemi regułami języka hebrajskiego, które przepisywanie ksiąg świętych podnosiły niemal do godności nauki, tak był obyty, że w braku wzoru kopjował z pamięci. Jego egzemplarz Pisma świętego zawierał dziwne warjanty, zupełnie różne od zwykłej tradycji. Z trzech szeklów tygodniowego zarobku, które mu przynosiło jego zajęcie, dwa wydawał na utrzymanie rodziny, a resztę na wspieranie zubożałych kolegów. Żonaty był z Berurją (Walerja), uczoną córką męczennika r. Chaniny Ben-Teradjon. Wcześnie udzielił r. Akiba święceń swemu ulubionemu uczniowi, którego przekładał nad innych; ale dla swojej młodości nie mógł uzyskać uznania, jako samodzielny nauczyciel Zakonu. Dowcipnie schłostał ten pedantyzm, który patrzy na wiek, zamiast uwzględniać zasługę: „Nie patrzcie,“ rzekł, „na dzban, lecz na jego zawartość! Czasem nowy dzban zawiera stare wino, a bywają też stare dzbany, w których niemasz nawet młodego.“ Znamy niejeden jeszcze trafny rzut jego dowcipu; słynął też swego czasu jako bajkopisarz.

Gdy po ustaniu prześladowań powrócił do kraju, udać się miał na nalegania małżonki do Cezarei, aby tam odszukać i wyzwolić od hańby swoją szwagierkę. Wpierw atoli chciał wypróbować jej cnotę, aby się przekonać, czy warta wyzwolenia, i przebrał się w tym celu za rycerza rzymskiego. Przeświadczywszy się o jej niewinności, podkupił dozorcę i wykradł ją. Lecz niebawem rzecz się wydała i nad głową r. Meira zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Władze rzymskie wysłały za nim pogoń i raz o mało co nie wpadł w ręce siepaczy, wyprowadził ich jednak w pole dowcipnym fortelem. Udał, że spożywa zakazane pokarmy, a prześladowcy, nie podejrzewając w nim Żyda, puścili się w dalszą drogę. Znana jest pobożna rezygnacja r. Meira i jego małżonki w obliczu nagłej śmierci dwóch synów. Skrom-

ność r. Meira godnie dotrzymywała kroku jego rezygnacji i uczoności. Stwierdzał uczynkiem swoją ulubioną maksymę: „Mniej się zaprzątaj zarobkiem niźli nauką i bądź wobec każdego pokorny.“ O jego niepodległym charakterze świadczy okoliczność, że się nie lękał obcowania z ludźmi, przeciw którym panowały uprzedzenia. Odwiedzał nawet apostatę i zdrajcę Achera, aby korzystać z jego głębokiej nauki. Gdy mu z tego kiedyś robiono zarzuty, odpowiedział, według swego ulubionego zwyczaju, przez parabolę: „Znajduję granat soczysty, zjadam ośrodek i wyrzucam łupinę.“ Pewnej soboty towarzyszył pieszo swemu gnostycznemu mistrzowi, jadącemu na koniu, prowadząc z nim rozmowę o wykładzie Pisma świętego. Wtem odezwie się Acher do niego: „Dotąd, nie dalej, iść ci wolno, tu granica sabatowa, zawróć się tedy.“ Na to odparł r. Meir z ukrytą aluzją: „I ty się zawróć.“ Ale Acher zbył go temi słowy: „Jeżeli nawet wszystkich grzeszników czeka przebaczenie, to przedemną brama łaski zamknięta, bom na złe użył zdolności, któremi Bóg mnie obdarzył.“ Gdy później Acher zaniemógł, udał się do niego r. Meir i po dłuższych w tymże duchu namowach mógł sobie pochlebiać, że go przed śmiercią nakłonił do skruchy.

Utrzymywał też r. Meir stosunki z pewnym filozofem pogańskim, którym, jak się zdaje, był Euonymos z Gadary. Mąż ten posiadał niezwykłą znajomość judaizmu, czem zdumione koła żydowskie mówiły, że Bóg udzielił swej mądrości dwom filozofom pogańskim, Bileamowi i Euonymosowi, aby ją głosili wśród narodów. Gdy Gadareńczyk obchodził po śmierci rodziców żałobę, udał się doń r. Meir z kondolencją; żywił on w ogóle przekonanie, że poganin, który interesuje się Torą, w niczem nie jest gorszy od arcykapłana judzkiego, albowiem według słów Pisma: „tych praw przestrzegać ma *człowiek*, aby żył.“

W traktowaniu materjału tradycyjnego wzorował się r. Meir na swoim nauczycielu, r. Akibie, którego system rozwijał nader drobiazgowo. Współcześni powiadali, że nie można nigdy dojść prawdziwego zdania r. Meira, gdyż, jako subtelny djalektyk, przytacza dowody za i przeciw danej ustawie i drogą analogji i wywodów potrafi wywrócić na wspak najwyraźniejszy przepis Zakonu. Nie wiadomo, czy traktował na serjo tę sofistyczną metodę. To pewna, że nie zyskała ona u współczesnych powszechnego poklasku, owszem, lekceważono ją, jako nieprowadzącą do celu i prawdy. Z pośród uczniów r. Meira przyswoił ją sobie Symmachos Ben-Jose, który ubiegł w niej nawet swego mistrza; mówiono o nim z przekąsem, że wprawdzie umie subtelnie dysputować, ale nie stać go na praktyczne orzeczenie. Z tem wszystkiem ta drobiazgowa metoda traktowania Halachy doczekała się później nadzwyczajnej wziętości i gorliwej uprawy; wysubtelizowano ją do granic ostatnich i nie umiano sobie poprostu wyobrazić bez niej głębszego zrozumienia Halachy. Natomiast responsa r. Meira odznaczały się niezmierną surowością. Utrzymuje on między innemi, że ktoby swej żonie ofiarował morganicę skąpszą, niż każe obyczaj, tego małżeństwo ma być poczytane za nielegalne, gdyż płynie ztąd łatwość uzyskania rozwodu. Twierdzi dalej, że najdrobniejsze odstępstwo od legalnej formy rozwodu, choćby nawet chodziło tylko o użycie w liście rozwodowym innej, niż przyjęta w kraju, rachuby czasu, pozbawia akt wszelkiego znaczenia, tak iż zrodzone z powtórnych związków dzieci małżonków, rozwiedzionych nieformalnie, uważane być mają za nieślubne. Zmartwychwstała w nim szkoła szammaicka z całą jej surowością przesadną. Dowiedziawszy się razu pewnego, że niektórzy Samarytanie pili wino pogańskie, chciał, aby ogłoszono zakaz używania wina samaryjskiego. Za drobne prze-

winienia żądał kary dotkliwej; tak np. za pobieranie procentów chciał karać wierzyciela pozbawieniem procentu wraz z kapitałem. Lecz nie udało mu się przeprowadzić swoich restrykcji. Najsurowszym atoli był dla siebie samego. „Nawet tego, na co innym pozwalam," powiadał, „nie pozwalam sobie samemu, jeżelim się przekonał, że moi towarzysze mają zdanie odmienne." Jak w traktowaniu materjału Halachy, tak też w jej porządkowaniu formalnem kontynuował r. Meir dzieło r. Akiby; uzupełnił też jego zbiór halachiczny. Ujawniła się nieodzowna potrzeba podręcznika praw tradycyjnych. Skutkiem wojny, prześladowań i męczeńskiej śmierci nauczycieli Zakonu zmętniały nadzwyczajnie źródła tradycji i w opinjach jej piastunów zachodziły znaczne różnice. W tym stanie rzeczy poczytywali sobie uczniowie r. Akiby za obowiązek zestawić w przejrzystym układzie całą skarbnicę przekazanej przez mistrza nauki. Najobszerniejszy zbiór praw halachicznych ułożył r. Meir p. t. „Miszna."

Równie wybitną osobistością był Szymon Ben-Jochaj, założyciel uczelni w Tokoi galilejskiej. W przeciwieństwie do swego ojca Jochaja, który podobno cieszył się względami władz rzymskich, żywił śmiertelną do Rzymian nienawiść i nie miał też u nich zachowania. Zagrożony karą śmierci za śmiałą krytykę narodu rzymskiego, o której doniesiono wielkorządcy, ratował się ucieczką. Kilka lat spędził w jaskini, żywiąc się chlebem świętojańskim i wodą kryniczną, a niezdrowe warunki życia tak zgubnie oddziałały na niego, że popękała mu skóra i pokryła się mnóstwem modzeli. Gdy się pewnego razu odważył wyjrzeć na świat, dowiedział się o zaszłym zgonie cesarza. Teraz mógł się bez obawy ludziom pokazać. Dla poratowania mocno nadwerężonego zdrowia udał się do ciepłych wód tyberjadzkich, które odrestaurowały zniszczony organizm. Uciesz-

szony powrotem do sił, wywzajemnił się stolicy galilejskiej ogłoszeniem jej za czystą w znaczeniu lewickiem, dotychczas bowiem stronili od niej pobożni, ponieważ zbudowana była na grobach. Jemu też miała do zawdzięczenia, że mogła później zostać miastem synhedrjalnem.

Ten błahy wypadek wydęło zrazu naiwne podanie, a następnie świadome swego celu zmyślenie do rozmiarów zdumiewającego cudu, pasując trzeźwego nauczyciela Zakonu na cudotwórcę, mistyka i nieledwie wyższą istotę. *) Wprawdzie jaskinię, w której r. Szymon spędził tyle czasu zdala od świata, zalegał zmrok, sprzyjający wszelkim fantasmagorjom mistycznym, on jednak bynajmniej mistykiem nie został.

W wykładzie praw pentateuchicznych poszedł drogą wręcz niemal przeciwną tej, której się trzymał jego mistrz, r. Akiba. Z głębokiem zrozumieniem rzeczy sięgał do podstaw praw i wyciągał z nich nowe konsekwencje. Miast interpretować partykuły, zgłoski i litery, przyjął zgodne z przepisami logiki motywowanie za punkt wyjścia dla swoich wywodów.

Dziwnie brzmi jedna z jego sentencji: Ścisłe przestrzeganie Zakonu dostępne jest jeno dla tych, co żyją manną lub z dziesięciny. „Jakże bowiem może ślęczyć dzień i noc nad Zakonem ten, kogo dręczy troska o chleb i odzienie?" I on też miał swoje koło adeptów, a przeżywszy wszystkich kolegów, został jedynym autorytetem dla następnego pokolenia.

Zdobył sobie również rozgłośne imię w tem kole r. Juda Ben-Ilaj z Uszy, przypominający charakterem

*) Autor zapomniał nadmienić, że pochop tym legiendom dał oryginalny sposób, do jakiego uciekł się r. Szymon, aby odróżnić nieczyste miejsca Tyberjady od czystych. Nie ogłosił też właściwie całego miasta za czyste w sensie lewickim, lecz tylko większą część jego. (Przyp. tł.)

r. Jozuego. Skromny, mądry, giętki, wymowny, umiał łagodzić naprężenie, trwające jeszcze ciągle pomiędzy Rzymianami a narodem żydowskim, co mu zjednało epitety „mądry“ i „mówca.“ R. Juda nie był zamożny, lecz jak r. Jozue, żył z pracy rąk swoich, czego się bynajmniej nie wstydził; często powtarzał maksymę „praca uzacnia pracownika.“ „Kto syna nie uczy rzemiosła, czyni go poniekąd rozbójnikiem,“ głosi inna sentencja r. Judy. Metoda jego nie odznaczała się żadną cechą odrębną.

Jak o r. Judzie, tak i o r. Josem Ben-Chalafta nie dochowały się biograficzne szczegóły. I on także trudnił się rzemiosłem, był bowiem garbarzem. Różny w tem od swych współcześników, pracował r. Jose nad historją żydowską i pozostawił zwięzły latopis od stworzenia świata aż do wojny Bar-Kocheby p. t. „Porządek dziejów“ (Seder Olam). W opowieściach z Biblji czerpanych starał się ustalić chronologję, wyjaśnić ciemne ustępy i wypełnić luki tradycjami. Natomiast, począwszy od czasów Aleksandra Wielkiego, daje ta kronika samodzielne, całkiem wiarogodne, niestety, zbyt krótkie tylko wiadomości. Oprócz tego koła nauczycieli galilejskich istniało jeszcze inne na skrajnem południu Judei, w Liddzie; uprawiało ono metodę r. Izmaela, lecz szło sobie luzem, bez żadnej z tamtem łączności.

Osobliwą postacią był r. Natan, Babilończyk, syn egzylarchy. Niewiadomo, jakie losy zagnały go do Judei i dlaczego zrzekł się świetniejszych chyba w kraju rodzinnym widoków. Odznaczał się on zwłaszcza głęboką znajomością prawa żydowskiego, i może ta jego erudycja, jeżeli nie książęce pochodzenie, zjednała mu godność zastępcy w Synhedrjum uszańskiem.—Na ogół zresztą trzecie pokolenie Tanaitów było niepoczesne w porównaniu z poprzedniem. Wojna Bar-Kocheby i prześladowania Hadrjana wygubiły młodzież biegłą

w Zakonie. Na uwagę zasługuje, jako oryginalny komentator Pisma, r. Eliezer, syn Galilejczyka r. Josego. Podał on trzydzieści dwa prawidła, zapomocą których możnaby w wierszach biblijnych uzupełniać luki, przestawiać pojedyńcze wyrazy, a nawet poprawiać błędy tekstu. Te prawidła Galilejczyka Eliezera mogłyby ułatwić należyte zrozumienie ciemnych ustępów Pisma świętego, gdyby inni weszli w jego ślady i dalsze torowali sobie drogi. Ale osiem wieków minęło, zanim podjęto ponownie i wyzyskano jego metodę.

Wielkich rzeczy nie dokonało to koło Tanaitów, grupujące się w Uszy i jej okolicach. Ale zbudziło ducha judaizmu, zdrętwiałego skutkiem wojny i prześladowań za wiarę, i nawiązało, acz defektownie, przerwany łańcuch tradycji; zasługa to niemała, której lekceważyć nie wolno.

Podczas gdy nauczyciele Zakonu w Galilei usilnie pracowali nad poruszeniem zakrzepłej krwi narodowości żydowskiej, nad wskrzeszeniem rozprzężonego Synhedrjum oraz zabezpieczeniem i rozpowszechnieniem skarbów tradycji przez układanie zbiorów dostępnych, niewiele brakowało, aby gminy babilońskie oderwały się od ogółu, wywołując rozłam w narodzie. Mądrość patrjarchy r. Szymona potrafiła zażegnać tę schyzmę drogą zręcznych układów. R. Chananja, którego wuj, r. Jozue, wyprawił niegdyś do Babilonji, aby go usunąć z pod wpływów chrześcijańskich, umyślił podczas beznadziejnego stanu w Judei stworzyć dla judaizmu nowe w Babilonji ognisko. W Nahar-Pakod, prawdopodobnie w pobliżu Nahardei, zorganizował rodzaj Synhedrjum, na którego czele sam stanął; niejaki Nechunjan (Achija), ówczesny egzylarcha, pomagał mu w tem przedsięwzięciu. Gminy babilońskie, dotąd słuchające postanowień zapadłych w Judei, obecnie zaś, skutkiem upadku wszystkich instytucji religijnych w kraju macierzystym, bezradne, powi-

tały Synhedrjum w swojem łonie, jako radosne zjawisko, i ochotnie przyjmowały jego rezolucje i rozporządzenia. Chananja ogłaszał lata przybyszowe i święta na tych samych zasadach, jakich się trzymano w Judei. Ale z chwilą, gdy się zawiązał ponownie trybunał uszański, nie mógł on tolerować nadal instytucji, która była zamachem na jedność judaizmu i groziła rozszczepieniem go na zachodni i wschodni. Aby nie dopuścić do takiego rozłamu, wysłał patrjarcha r. Szymon do zwierzchnika Synhedrjum babilońskiego dwóch delegatów, r. Izaaka i r. Natana, z pismem pochlebnem, które w intytulacji miało niezwykłą formułę: „Do jego świątobliwości Chananji.“ Ten przyjął posłów nader uprzejmie i przedstawił ich z wielkiemi pochwałami zgromadzeniu gminnemu. Upewniwszy się o zaufaniu ludu, wyjawili delegaci cel swego poselstwa, żądając, aby gminy babilońskie wróciły do dawnej zależności od władzy patrjarszej w Palestynie. Obruszony tem Chananja żywo zaprotestował, lecz delegaci potrafili udaremnić jego protesty i wykazać całą zgubność rozłamu. Podczas nabożeństwa publicznego odczytał jeden z księgi Zakonu: „Teć są dni uroczyste Chananji“ (zamiast „Boga“), drugi w podobnyż sposób przeinaczył słowa proroka: „Z Babilonji wychodzi nauka, a słowo boże z Nahar-Pakod“ (zam. „z Syonu“ i „Jerozolimy“). Obecni, których ta ironiczna parodja przekonała, że niezależne Synhedrjum babilońskie jest niezgodne z Zakonem, zatrwożyli się w duchu. Daremnie usiłował Chananja osłabić efekt tego występu, rzucając na delegatów podejrzenie; ci z większą jeszcze śmiałością jęli wywodzić, że utrzymanie antysynhedrjum w Babilonji znaczyłoby to samo, co zbudowanie ołtarza, przy którym Chananja i Nechunja pełniliby nielegalnie funkcje kapłanów, i równałoby się wręcz odszczepieństwu od Boga Izraela. A gdy Chananja zakwestjonował z swej strony kompetencje Synhedrjum

w Judei, ile że nauczyciele Zakonu, którzy w niem rej wiedli, nie posiadali jego zdaniem żadnej powagi, odrzekli mu posłowie: „Malcy, których odjechałeś, tymczasem dorośli.“ Ale Chananja nie wyrzekł się jednak swego zamysłu, dopóki inny nauczyciel Zakonu, r. Juda Ben-Bathyra z Nizibis, którego radził się w tej sprawie, nie oświadczył, że należy poddać się bezwzględnie rozporządzeniom palestyńskiego Synhedrjum. Nie znajdując znikąd współczucia i poparcia, uległ wreszcie Chananja i tem samem Synhedrjum babilońskie zakończyło swój żywot.

Atoli w samem zanadrzu kolegjum uszańskiego wybuchnęły zatargi, które o mało nie pociągnęły za sobą następstw podobnych, co spór r. Gamaliela z r. Jozuem. Patrjarcha r. Szymon postanowił podnieść swoją godność przez wprowadzenie odrębnej etykiety, znoszącej dotychczasową równość dostojników. Był to raczej nowy porządek hierarchiczny, który uwydatnić miał jego władzę zwierzchniczą. Przybywających na publiczne posiedzenia Synhedrjum przewodniczącego i najbliższych mu rangą dygnitarzy honorował lud przez powstanie i póty nie siadał, aż mu znaku nie dano. Odtąd hołd ten miał się należeć tylko patrjarsze. Gdy na pierwszem z kolei posiedzeniu r. Natan i r. Meir doświadczyli na sobie skutków nowej etykiety, sprzysięgli się przeciw r. Szymonowi i postanowili złożyć go z urzędu. Wszakże dla dopięcia swego celu musieli wpierw uzyskać zgodę zgromadzenia, bo władza patrjarsza miała w opinji publicznej mocną ostoję. Umyślił tedy zapomocą trudnych zagadnień wprawić w kłopot r. Szymona, który w ogóle, jak się zdaje, nie dorównywał im znajomością tradycji, a obnażywszy jego nieudolność i uprzedziwszy przeciw niemu zebranie, zadać mu cios ostateczny wnioskiem usunięcia patrjarchy, nie obeznanego z całym zakresem praw halachicznych. Już nawet podobno po-

dzielili między siebie godności. Lecz plan ten zdradzono r. Szymonowi i spiskowcy zastali go w pogotowiu. Odsłoniwszy zgromadzeniu knowania tajemne, przeprowadził wykluczenie obydwu winowajców z posiedzeń Synhedrjum. Atoli relegowani umieli dać odczuć korporacji doktorów swoją nieobecność; przesyłali na kartkach zawiłe pytania i wprawiali niemi w ambaras całe zgromadzenie. Wreszcie r. Jose wystąpił z nagłym wnioskiem, aby powołano napowrót wygnańców, i przedstawienia swe poparł uwagą: „Siedzimy w uczelni, a nauka stoi za drzwiami.“ R. Natan pojednał się w końcu z patrjarchą, lecz pomiędzy tym ostatnim a r. Meirem trwały po dawnemu naprężone stosunki. Przyszło do tego, że r. Szymon chciał obłożyć klątwą wichrzyciela. Ale r. Meir nie był tak potulny, jak ci, którzy za r. Gamaliela oddali się bez oporu w moc klątwy. Powołując się na dawniejszą uchwałę Synhedrjum uszańskiego, że członek klątwie podlegać nie może, powiedział r. Meir: „Nie dbam o waszą klątwę, aż mi wykażecie, kogo, z jakiego powodu i pod jakim warunkiem obłożyć nią wolno.“ Zdaje się, że od tego czasu usunął się od udziału w posiedzeniach Synhedrjum i osiadł później na stałe w Azji Mniejszej, gdzie też żywota dokonał. Zgodnie z ostatnią jego wolą pochowano go na morskiem wybrzeżu.

Patrjarchat r. Szymona nie był wolny od nagabywań i ucisku ze strony namiestników i podrzędnych władz rzymskich. Wzajemna nienawiść Żydów i Rzymian, która spowodowała wojnę Bar-Kocheby i prześladowania Hadrjana, zbyt była zacięta, aby przemocni zwycięzcy nie dali uczuć jej skutków zwalczonemu i bezbronnemu ludowi. R. Szymon Ben-Gamaliel mówi o tych ustawicznych męczarniach: „Nasi przodkowie wąchali cierpienia tylko zdaleka, a nam doskwierają one tyle dni, lat i czasów, że mielibyśmy słuszniejsze

od przodków do niecierpliwości powody. Gdybyśmy chcieli, dawnym obyczajem, zapisać dla pamięci na jednym zwoju wszelkie nasze klęski i chwilowe z nich wybawienia, zabrakłoby nam miejsca.“ Wrogie usposobienie Rzymian z jednej strony, z drugiej zaś niepożyta wytrzymałość Żydów, którzy po tak długich walkach i po tylokrotnych porażkach ciągle jeszcze przeboleć nie mogli utraty niepodległości państwowej, wywołały, jak się zdaje, w ostatnim roku panowania cesarza Antonina Piusa (ok. 161) nowe powstanie, którego widowni, źródła i przebiegu nie znamy. To usiłowanie nowego rokoszu było prawdopodobnie w związku ze zbrojeniem się do wojny Partów, pragnących się wyłamać z połowicznej zależności od Rzymu. Pomimo tylu bolesnych zawodów, ciągle jeszcze wyglądano w Judei pomocy od Partów, ciągle jeszcze spodziewano się ztamtąd wyzwolenia z jarzma rzymskiego. R. Szymon Ben-Jochaj, śmiertelny nieprzyjaciel Rzymian i ich obłudnej legalności, tak się o tem odezwał: „Jeżeli ujrzysz rumaka perskiego (partyjskiego), uwiązanego do grobowców w kraju Izraela, to spodziewaj się przyjścia Mesjasza.“ Lecz ten bunt, przedstawiający niezawodnie jeno szereg sporadycznych wybuchów, zgnieciony został przez namiestnika Syrji, zanim Partowie zdążyli przybyć powstańcom na pomoc.

Współrządca cesarza Marka Aureljusza Verus wszczął teraz, jak się zdaje, przeciw Żydom palestyńskim nowe prześladowania. Odjęto im przedewszystkiem własne sądownictwo; nie wiadomo zresztą napewno, czy skasowano żydowskie prawo cywilne, czy tylko usunięto sędziów żydowskich. R. Szymon Ben-Jochaj dziękował Bogu za ten akt przemocy, gdyż tak on, jak jego współcześni, nie czuli się na siłach do sumiennego pełnienia obowiązków sędziowskich. Verus odnowił edykty Hadrjana przeciw święceniu soboty, obrzezaniu i łaźniom kobiecym.

Lubo mężowie, stojący na czele Synhedrjum, nie brali, jak się zdaje, w tem powstaniu żadnego udziału, obudzili jednak przeciw sobie podejrzliwość władz rzymskich, które też poleciły szpiegom, aby ich mieli na oku. Pewnego razu doniesiono im o rozmowie, jaką prowadzili z sobą r. Juda, r. Jose i r. Szymon Ben-Jochaj, prawdopodobnie o celach polityki rzymskiej. R. Juda, który, jak r. Jozue, dążył do uśmierzenia umysłów i do pogodzenia ich z smutną koniecznością, podnosił zasługi Rzymian: „Jakże pożyteczny jest ten naród! Buduje wszędzie miasta z rynkami, przerzuca mosty przez rzeki, zakłada łaźnie zbawienne dla zdrowia.“ R. Jose słuchał w milczeniu, nie chwaląc, ani nie ganiąc. Ale r. Szymon Ben-Jochaj nie mógł pohamować swego oburzenia: „We wszystkiem, cokolwiek czynią Rzymianie, rządzą się tylko widokami własnej korzyści. W miastach utrzymują lupanary, łaźnie służą im do praktyk rozpustnych, a na mostach pobierają opłatę.“ Gdy się władze dowiedziały o tej dyspucie, obsypały chwalcę r. Judę zaszczytami, milczka r. Josego zesłały do Laodicei, a ganiciela r. Szymona skazały na śmierć. Ten ostatni, jak to już wiemy, ocalił się ucieczką i spędził lat kilka w jaskini, zapewne aż do śmierci cesarza Verusa (styczeń 169).

Gdy przeminęło niebezpieczeństwo, grożące r. Szymonowi Ben-Jochaj, wezwano go, aby się udał do Rzymu i uprosił łagodnego, lubo niezbyt przychylnie dla Żydów usposobionego cesarza Marka Aureljusza o cofnięcie praw wyjątkowych. R. Szymon puścił się w podróż w towarzystwie syna r. Josego, Eleazara, który być może posiadał znajomość języka rzymskiego. Za przybyciem do Rzymu udało im się może pospołu z wpływowymi Żydami rzymskimi wyjednać uchylenie prześladowczych dekretów, gdyż Marek Aureljusz nie był w ogólności zwolennikiem środków okrutnych i nie pochwalał zapewne surowych rozporządzeń Verusa. I nauczyciele chrześcijańscy zwrócili się również do cesarza z apologją swej wiary i prośbą, aby ją pozwolił wyznawać swobodnie.

Nie był jednak Marek Aureljusz przystępny dla Żydów, chociaż niejedną maksymę zapożyczył bezwiednie od judaizmu. „Ze śmiercią patrjarchy Szymona—jeszcze za panowania Marka Aureljusza—wzmogła się niedola,“ brzmi zwięzła relacja. W tych smutnych czasach odziedziczył po nim godność patrjarszą utalentowany syn jego Juda i uświetnił ją swymi rządami. Stanowi on punkt węzłowy w dziejach żydowskich. Urodzony w dobie ucisku po wojnie Bar-Kocheby (ok. 130, um. 205—210), niewiele zaznał godzin świetlanych. Pomimo to udało się Judzie dopiąć celu, do którego bezskutecznie dążyli jego przodkowie,—uczynić patrjarchat wyłącznem ogniskiem żydostwa, a uczelnię swoją jedynym przybytkiem nauki, nie mającym żadnego rywala. Uznany za życia bezwzględnie miarodajną i wszechwładną powagą, opanował swojem dziełem całą powszechność żydowską, wywierając na nią wpływ przez długi szereg pokoleń aż do dnia dzisiejszego. Potomność otoczyła go może nimbem przesadnym. Atoli i współcześni sławili go, głosząc, że posiadał siedmioro dobrego, które powinno być udziałem iście pobożnych, urodę, siłę, bogactwo, zaszczyty, mądrość, wiek podeszły i godnych siebie synów. Nie znamy źródeł jego bogactwa. Być może, że bogacze żydowscy przez cześć dla jego osoby zostawiali mu w spadku swoje majątki.

Mógł też sobie pozwolić na taki zbytek książęcy, jak utrzymywanie mułów wierzchowych. Poszło w przypowieść, że masztarnie patrjarchy więcej mieszczą skarbów, niż komory króla perskiego. Z bogactw swych, żyjąc zresztą nader skromnie, niewiele wydawał na siebie, lecz łożył je na utrzymanie uczącej się młodzi,

która za jego patrjarchatu napływała gromadnie z kraju i zagranicy. Podczas okropnej klęski głodowej, która za Marka Aureljusza srożyła się przez lat kilka w zawody z zarazą w całem państwie rzymskiem, otworzył z książęcą hojnością swoje śpichrze i rozdzielał zboże pomiędzy zgłodniałych. Zrazu polecił udzielać wsparć tym tylko osobom, które zajmowały się nauką Zakonu, wyłączając gmin prostaczy od korzystania z jego dobrodziejstw. Lecz gdy skrupulatny jego uczeń, Jonatan Ben-Amram, nie chcąc ciągnąć zysku z nauki, zwrócił się doń z słowami: „Nakarm mię, jak się karmi łaknącego kruka," uznał r. Juda, że zbłądził, zakreślając granice swemu miłosierdziu, i odtąd rozdawał żywność wszystkim bez różnicy. Przy innej również sposobności poszedł r. Juda za głosem lepszego przekonania, przezwyciężywszy cierpkość swego charakteru. Córki renegata Achera, cierpiąc nędzę, udały się do niego z prośbą o wsparcie. W pierwszej chwili odprawił je szorstkiemi słowami: „Sieroty po takim człowieku nie zasługują na litość." Lecz gdy mu przywiodły na pamięć głęboką naukę swego ojca, dla której powinny mu być przebaczone jego postępki, zmiękł i cofnął odmowę.

Siedzibę akademji i kolegjum synhedrjalnego przeniesiono za patrjarchatu Judy z miasta Uszy, które utraciło swoje znaczenie, najpierw do Bet-Szearim, na północny wschód od Sepforis, a później do samej Sepforis, której wyniosłe położenie i zdrowe powietrze wywierały dobroczynny wpływ na niedomagającego temi czasy patrjarchę. W Sepforis urzędowała Wysoka Rada w pełnym, jak się zdaje, komplecie 70 członków, którzy zajmowali się roztrząsaniem spraw prawnych i religijnych według zaprowadzonego porządku dziennego. Ale r. Juda cieszył się taką powagą, że kolegjum z własnego popędu złożyło w jego ręce całą pełnię władzy. Z przesadą powiadano o nim, że od czasów Mojżesza

znajomość Zakonu i autorytet nie skojarzyły się nigdy w jednej osobie w tym stopniu, co u r. Judy. Był on wszystkiem we wszystkiem.

Rektorat akademji, kontrola nad urzędnikami gminnymi, ostateczne ustalenie kalendarza świątecznego, ordynacja uczniów na urzędy sędziowskie, kompletowanie kolegjum synhedrjalnego, wszystkie te czynności wchodziły w zakres jego atrybucji bezspornych. Dla jego nadzwyczajnej powagi nazywano go poprostu Rabbi, jakgdyby inni nauczyciele Zakonu nie mieli obok niego żadnej wartości. Mianowano go też „świętym," epitet, do którego w owych czasach nie przywiązywano zresztą większego znaczenia; zawiązało się właśnie podówczas „święte towarzystwo," które zaprzątało się także świeckiemi sprawami. Niebawem rozszerzył jeszcze r. Juda swoje kompetencje postanowieniem, że nawet najzdolniejszy uczony nie ma prawa rozstrzygać kwestji religijnych bez jego wyraźnej autoryzacji.

Gminy krajowe i zagraniczne nie mogły własną mocą ustanawiać sobie nauczycieli, urzędników i sędziów; nominował ich sam patrjarcha. Tak np. gmina w Simonias, ku południowi Sepforis, prosiła go o przysłanie urzędnika z nader szerokim i różnorodnym zakresem czynności, jak oto: prowadzenie wykładów publicznych, rozsądzanie spraw procesowych, nadzorowanie synagogi, sporządzanie dokumentów wierzytelnych, nauczanie młodzieży i w ogóle załatwianie wszystkich potrzeb gminy. Polecił im swego najlepszego ucznia Lewego Bar-Szisy. Inny uczeń r. Judy, Rabba Bar-Chana z Kafri, uzyskał, na skutek swej prośby, od patrjarchy upoważnienie do rozstrzygania w swym kraju rodzinnym, Babilonji, spraw religijnych i prawnych. Taki sam urząd otrzymał z ramienia r. Judy trzeci jego uczeń, Abba-Areka, również Babilończyk, najwyższa później powaga gmin babilońskich. Jedyna tylko godność stała

z patrjarchatem na równi, egzylarchat babiloński, który budził tem większą zazdrość w r. Judzie, że uznawali go i popierali monarchowie partyjscy, gdy tymczasem jego dostojeństwo zaledwie tolerowane było przez Rzymian.

Obleczony tą pełnią samowładzy, trzymał r. Juda swoich uczniów w surowej karności i w stosunkach z nimi ujawniał taką drażliwość, że nie przebaczał im najbłahszego uchybienia przeciw swojej godności. Była to jego słaba strona. Jeszcze na łożu śmierci zalecał usilnie synowi, aby się surowo obchodził z uczniami, i sam od tej zasady nigdy nie odstąpił. Wśród licznych Babilończyków, których ściągała do Sepforis sława jego nauki, znajdował się wybitny uczeń-towarzysz,*) r. Chija, o którego zdolnościach, świątobliwem życiu i niestrudzonej pracy nad krzewieniem nauki wyrażają się współcześni z wielkiemi pochwałami. Sam r. Juda cenił go wysoko i mówił o nim: „zdaleka przybył mi mąż mojej rady.“ Ale i temu r. Chiji nie wybaczył patrjarcha niewinnego żartu. R. Juda oświadczył mu razu pewnego: „Gdyby egzylarcha Huna przybył do Judei, to wprawdzie nie zaparłbym się sam siebie aż do tego stopnia, abym miał mu swoją godność odstąpić, lecz przyjąłbym go jednak z czcią głęboką, jako z linji męzkiej potomka Dawida, gdy w moim rodzie tylko z linji żeńskiej płynie krew królewska.“ Gdy ów książę Huna kazał się po śmierci pochować w Judei, pozwolił sobie r. Chija wobec patrjarchy na żart: „Huna przybywa.“ R. Juda zbladł na te słowa, lecz gdy się wyjaśniło, że chodzi jedynie o zwłoki egzylarchy, ukarał żartownisia usunięciem na dni trzydzieści z przed swego oblicza. Ta sama kara spotkała kiedyindziej r. Chiję

*) Uczniami-towarzyszami nazywali się uczeni, nieordynowani z jakiejkolwiek przypadkowej przyczyny i wskutek tego wyłączeni od niektórych funkcji. (Przyp. tł.)

za to, że wbrew rozporządzeniu patrjarchy nauczał w polu otwartem. Równą drażliwość ujawnił wobec swego ucznia Szymona Bar-Kappara, który z głęboką znajomością Zakonu łączył dar poetycki i subtelną satyrę; jedyny to, o ile wiadomo, w owej dobie poeta hebrajski. Pisał on bajki. Raz w wesołej kompanji zażartował sobie dowcipny Bar-Kappara z bogatego, lecz pozbawionego nauki i próżnego zięcia patrjarchy, Bar-Eleazy. Wszyscy obecni mieli po kolei przemowę do r. Judy, jeden tylko Bar-Eleaza siedział w milczeniu. Wówczas szyderski Bar-Kappara zachęcił go do zabrania głosu i podszepnął mu zagadkę, która według wszelkiego prawdopodobieństwa zawierała aluzję do bliskiej r. Judzie osoby i brzmiała mniej więcej w ten sposób:

„Z wyżyn nieba spogląda jej oko,
„Wieczny zgiełk jej rozbrzmiewa szeroko.
„Stroni od niej istota skrzydlata,
„Straszny widok jej młodzież wymiata;
„Nawet starzec, gdy ją zoczy zdaleka,
„Z krzykiem zgrozy co rychlej ucieka.
„A ktokolwiek wpadnie w jej sieci,
„Tego zdrowie nazawsze odleci.“

Bar-Eleaza w niewinności ducha wyrecytował tę zagadkę. Może z sarkastycznego uśmiechu Bar-Kappary domyślił się r. Juda ukrytego w niej żądła, rzekł tedy gniewnie do jej autora: „Nie uznaję cię za mianowanego.“ Bar Kappara zrozumiał później te słowa, gdy pomimo starań nie udało mu się uzyskać nominacji na samodzielnego nauczyciela Zakonu. Nie dostał jej również Mar-Samuel, jeden z najsłynniejszych uczniów babilońskich, który wyleczył r. Judę z choroby. Gdy kiedyś patrjarcha, zawdzięczający mu powrót do zdrowia, usprawiedliwiał się przed nim z tej postpozycji, odpowiedział mu żartobliwie Samuel, że już w księdze Adama zapisany jest wyrok, „iżby Samuel zwan był mędrcem, ale

nie rabbi.“ Chanina, uczeń, który później zaliczony został również między powagi, uczynił razu pewnego r. Judzie uwagę, że jakieś słowo w księdze Ezechjela należy czytać inaczej, niż on je wymawia. Urażony tem, zapytał go r. Juda, gdzieby to słyszał. „U r. Hamnuny w Babilonji,“ brzmiała odpowiedź. „Dobrze,“ rzecze na to r. Juda, „gdy się z nim zobaczysz, powiedz mu, żem cię uznał za mędrca.“ Taką obraźliwością budził przeciw sobie niechęć, która jednak, wobec wysokiego szacunku, jaki dlań żywiono, nie objawiała się głośno. Ale kiedyś, na uczcie, gdy wino rozwiązało języki, dali przecież dwaj synowie r. Chiji wyraz tej niechęci. Ci wysoce uzdolnieni młodzieńcy, bliźnięta Juda i Hiskjasz, których sam patrjarcha zachęcił do śmiałych wynurzeń, odezwali się w te słowa: „Mesjasz nie może się rychlej ukazać, aż nie wygasną oba książęce domy Izraela, dom patrjarchy w Judei i dom egzylarchy w Babilonji.“ Wino wyjawiło myśl utajoną, że rządy potomków Dawida mają też stronę ujemną.

Musiał się jednak zgodzić patrjarcha r. Juda na uszczuplenie swych atrybucji w pewnym punkcie doniosłego znaczenia. Ustanawianie lat przybyszowych i nowiu dla okresów świątecznych, pozostało prerogatywą Judei, uważanej za rozszerzoną Jerozolimę, i nie mogło się też dokonywać w Galilei. Interkalacja odbywała się w Liddzie, a obwieszczenie nowiu we wsi Ain-Tab, poblizkiej, jak się zdaje, Liddzie. Nie mógł więc r. Juda przewodniczyć tym aktom, nie chcąc atoli wyrzec się zupełnie tak ważnych atrybucji, posyłał tam zazwyczaj swego zastępcę. Wszakże nie śmiał uskuteczniać tych czynności w swojej rezydencji.

Ufny w swą powagę i niezależność, zniósł r. Juda, przez wzgląd na zmienione stosunki, niektóre wiekiem uświęcone zwyczaje i obrządki, a zamysły swoje przeprowadzał z nieoglądającą się na nic stałością.

Poczynił ulgi w prawach, dotyczących roku odpustowego i dziesięciny. Pomimo upadku państwa judzkiego i klęsk nieprzebranych, prawa te utrzymały się w pełni swej mocy, ciążąc podwójnem brzemieniem na ludzie zubożałym przez wojny, podatki i zdzierstwa. To mając na względzie, postanowił patrjarcha, jeżeli nie uchylić ich całkiem, to przynajmniej złagodzić. Następnie obwieścił r. Juda, że terytorja pewnych miast pogranicznych, w tej liczbie Betsanu, w których mieszkało więcej pogan i chrześcijan, niż Żydów, a które uchodziły dotąd za części Judei, tracą nadal świętość ziemi żydowskiej i wolne są od dziesięciny ze zbiorów i od obowiązku ugorowania w roku sobotnim. Nosił się w ogóle z myślą unieważnienia wszystkich przepisów o roku sobotnim, lecz nie odważył się na krok tak stanowczy bez zasięgnięcia opinji osób, które mogły być przeciwne temu zamiarowi. R. Pinehas Ben-Jair uchodził w owym czasie za uosobienie skrupulatnej pobożności. Ten zięć r. Szymona Ben-Jochaj był pesymistą, który po żadnej instytucji nic sobie dobrego nie wróżył i często narzekał: „Od czasu zburzenia świątyni zawstydzeni są towarzysze i wolni, błądzą przestrzegający Zakonu, przemoc i denuncjacja wzięły górę, a nikt nie staje w obronie naszego sieroctwa; w Bogu tylko nasza nadzieja.“ Ściśle zwłaszcza obserwował r. Pinehas przepisy, dotyczące dziesięciny. Do niego to zwrócił się r. Juda o radę w sprawie zniesienia roku sobotniego; prawdopodobnie nieurodzaj czynił nieodzownym ten środek. Ale źle trafił. Gdy w dodatku Ben-Jair spostrzegł na dworze patrjarchy muły, których utrzymywanie niezupełnie było w zgodzie z Zakonem, odwrócił się do niego plecami.

Głównem dziełem r. Judy, którem uświetnił swe imię i uwieńczył gmach judaizmu, było ukończenie Miszny. Od czasu ułożenia najstarszego zbioru pod mianem

Adojat rozrosnął się potężnie materjał prawny w ciągu dwóch pokoleń; nowe przepisy, w części wysnute ze starych, w części zaś wywiedzione z Pisma świętego, rozszerzyły niezmiernie jego ramy. Rozliczne szkoły i kierunki zostawiały w zawieszeniu niektóre ustawy, panowały też co do nich poważne różnice w opinjach. R. Juda przyjął za podstawę swego zbioru uporządkowaną już jako tako Misznę r. Akiby z dodatkami r. Meira. Każdą kwestję badał troskliwie, rozbierając dowody za i przeciw, i ustalał wreszcie przepisy na pewnych zasadach. Starał się dać systematyczne ugrupowanie różnych praw tradycyjnych: o modlitwach, błogosławieństwach, daninach z płodów ziemi, sobocie, świętach, postach, prawie małżeńskiem, ślubach i nazareacie, sądownictwie cywilnem i karnem, kulcie ofiarnym i czystości lewickiej.

Było to pracą olbrzymią rozwidnić i uporządkować ten chaos, zszeregować prawa w ordynku, wynaleźć ich cechy wspólne i niezgodne, podciągnąć pod jedną rubrykę luźne przepisy i cały ten materjał zmieścić w szczupłych ramach, aby go można było ogarnąć pamięcią. Nie jest Miszna r. Judy bynajmniej arcydziełem; na podziw atoli zasługuje zwięzłość wysłowienia. W jednem słowie zawarty bywa nieraz cały szereg myśli, lecz ta zaleta ma jednak swoją stronę ujemną, bo utrudniła następnym pokoleniom zrozumienie licznych ustępów i wywołała mnóstwo komentarzy.

Nie można też nazwać wzorowym języka Miszny; daleko mu do czystości i wytworności, czego zresztą nie zwykliśmy szukać w kodeksach. Przeważa w nim element hebrajski w odmłodzonej postaci (nowohebrajszczyzna). R. Juda uprawiał z zamiłowaniem język hebrajski i pogardzał potocznym w Galilei językiem syryjskim. Hebrajszczyzna nie wygasła bynajmniej doszczętnie w ustach ludu w Judei, szczególnie po miastach.

Nawet niewolnica i tyranka r. Judy posiadała język hebrajski w tym stopniu, że niektórzy zagraniczni uczniowie dowiadywali się od niej znaczenia nieznanych sobie wyrazów. Bar-Kappara pisał wiersze czystą hebrajszczyzną. Władano nią w ogólności tak biegle, że dla wielu terminów i subtelnych definicji prawnych, stanowiących produkt powszechnej owych czasów samowiedzy, znaleziono też z ich przyjęciem w sferach żydowskich odpowiednie nazwy hebrajskie.

Było to atoli wręcz niepodobieństwem sformułować czystą hebrajszczyzną nieprzebrane mnóstwo praw halachicznych; zasoby języka biblijnego nie starczyły ku temu. Dochowała się przecież w ustach ludu i koła uczonych pewna liczba wyrazów i zwrotów, nie spotykających się w piśmiennictwie biblijnem. Posługując się nimi, przyjął również r. Juda naleciałe z aramejszczyzny formy i właściwości syntaktyczne, tudzież potoczne i powszechnie zrozumiałe greckie, a nawet łacińskie wyrazy. Nadało to językowi Miszny charakter djalektu mieszanego.

Na treść tego kodeksu misznaickiego składają się tradycje starodawne, wydane różnymi czasy rozporządzenia synhedrjalne, restrykcje i ograniczenia szkół rozmaitych, tudzież wnioski, jakie wyprowadzono z nich dla nowych wypadków. Przeważa w nim pierwiastek religijno-rytualny; traktuje o rzeczach zakazanych i pociągających za sobą karę lub inne następstwa. Wprawdzie zawiera Miszna jędrną, podniosłą naukę moralną. Cały dział, „Przypowieści ojców“ (Abot), stanowi wspaniałą wiązankę godnych zapamiętania sentencji od dni mężów Wielkiego Zgromadzenia aż do czasów r. Judy. Ale sprawy obrzędowe zagłuszają element moralny.

Doczekały się tedy nareszcie ostatecznej redakcji dodatki do nauki Mojżesza, czyli Pięcioksięgu. Przez ciąg czterech stuleci od czasów machabejskich, kiedy to

tradycja przeniknęła, jako doniosły czynnik, w życie narodu, wisiała ona poniekąd w powietrzu. Przez Faryzeuszów broniona, przez Saduceuszów odrzucana, przez szkołę szammaicką posunięta do przesady, przez Hillela i r. Akibę oparta na słowie Pisma świętego, przez ich następców znakomicie wzbogacona i po części zwalczana, skonsolidowała się ona dopiero dzięki r. Judzie i, zarówno treścią, jak formą, wywierała potężny wpływ na umysły przez długi szereg pokoleń. Miszna stała się obok Pisma świętego głównem źródłem podniet duchowych i studjów; z czasem wyparła samo Pismo i zdobyła sobie władzę niepodzielną. Węzłem duchowym sprzęgnęła rozpadłe członki narodowości żydowskiej, czyniąc zbytecznym węzeł widomy. Miszna, dziecię patrjarchatu, który wydał ją na świat i zapewnił jej autorytet bezwzględny, uśmierciła, że tak powiem, swego rodzica; godność patrjarsza postradała przez nią powoli swój wpływ i powagę.

Ukazanie się Miszny zamknęło szereg Tanaitów i położyło kres samodzielnej, twórczej działalności. Nie słodkie wywczasy doby spokojnej przyspieszyły ostateczną redakcję tego kodeksu, lecz przeciwnie, klęski to i troski znagliły do przykrycia dachem budynku. Okres patrjarchatu rabbi Jehudy nie należy do bardzo szczęśliwych. Początkiem swym sięga ostatnich lat panowania Marka Aureljusza, ów zaś ludzki monarcha nie miał żadnych stosunków z Żydami, a tembardziej nie miał najmniejszego pojęcia o istocie ducha judzkiego. Gdy po gwałtownej śmierci buntownika Kasjusza w Syrji przybył do tej prowincji i w drodze do Egiptu nawiedził Palestynę (175), udali się doń do Cezarei przedstawiciele żydostwa z żalami na nieznośny ucisk podatkowy i z prośbą—może zbyt natarczywą—o ulżenie ciężaru. Wtedy rozdrażniony Marek Aureljusz zawołał: „O, wy Markomannowie, Kwadowie, Sarmaci, nareszcie

znajduję naród burzliwszy jeszcze od was!“ Za Kommodusa (180—192), syna filozofa w koronie, z którym kończy się szereg dobrych lub znośnych cesarzy, a otwiera korowód podrzynających sobie wzajem gardła potworów, wystawiona była Judea na srogie uciski. Na prośbę Żydów o zmniejszenie niepodobnych do zniesienia podatków odpowiedział rządzący wszechwładnie w swej prowincji namiestnik Pescennius Niger: „Żądacie, abym wam ujął podatku od gruntów, a ja, gdybym mógł, opodatkowałbym nawet powietrze, którem oddychacie.“ Burze wojny domowej pomiędzy cesarzami Septymjuszem Sewerem a Pescenniusem Nigrem (193—194) przeciągnęły również nad Judeą. Samarytanie wzięli stronę Pescenniusa, natomiast nienawidzący go Żydzi bronili sprawy Sewera. Ztąd pomiędzy Żydami a Samarytanami zachodziły utarczki, w których obiedwie strony ponosiły straty dotkliwe. Sewer, zwyciężywszy, zemścił się okrutnie na zwolennikach swego rywala, a własnych stronników nagrodził. Miasto samarytańskie Sychem, czyli, jak się nazywało podówczas, Neapolis, pozbawił praw obywatelskich. Żydom w nagrodę za poparcie zwrócił wydarte od czasów wojny hadrjańskiej przywileje. W miastach o mieszanej ludności mogli być wybierani na urzędy municypalne. Przez wzgląd na ich uczucia religijne, uwolnił ich od obowiązków urzędu, o ile obrażały ich sumienie. Lecz niedługo trwała jego życzliwość. Cóż mogło spowodować Żydów, którym działo się niezgorzej, do podniesienia oręża przeciw Sewerowi?

Wybuch nowego powstania żydowskiego przeciwko Rzymowi wywołały prawdopodobnie waby króla partyjskiego, Wologezesa. Od czasu odzyskania niepodległości grała Partja względem żydostwa palestyńskiego tę samą rolę, co niegdyś Egipt względem państwa judzkiego. Nęciła, kusiła, czyniła obietnice, rzadko kiedy dotrzymując słowa, bo go też dotrzymać nie mogła.

Na przynętę rzucała jej nadzieję wywalczenia utraconej udzielności, posiąścia Jerozolimy i odbudowania świątyni. Partowie wtargnęli za Sewera do ościennych prowincji państwa rzymskiego i podburzyli Żydów do porwania za oręż. Uzbrojeni napadli na konsystujące w Palestynie oddziały wojska rzymskiego i zadali im porażkę. Krewka młodzież zapaliła pochodnię wojenną. Natomiast rozważniejsze żywioły i nauczyciele Zakonu trzymali się zdala od tej ryzykownej imprezy i usilnie przestrzegali o grożącej ztąd krajowi nowej niedoli. Współczesny nauczyciel Zakonu, Szymon Ben-Eleazar, upominał: „Jeżeli młodzieńcy mówią: odbuduj zburzony Przybytek, nie słuchaj ich.“ Sewer musiał prowadzić przeciw rokoszanom żydowskim wojnę prawidłową, a zwycięstwo nad nimi (201) poczytano mu za tak świetne dzieło orężne, że senat zadekretował mu tryumf z wojny żydowskiej. Podagra nie pozwoliła mu stanąć na tryumfalnym rydwanie, zastąpił go więc syn jego i współrządca, cny Karakalla.

Skutki tego nierozważnego powstania znać się dały niebawem. Przeciw rozproszonym partyzantom, którzy, jak zwykle, ukryli się w górach, rozpuszczono obławę, jak dawniej przeciwko zelotom i wojownikom Bar-Kocheby. Ale tym razem sami Żydzi podali obławnikom rękę pomocną. Nauczycielom Zakonu polecono wyszukiwać rozbójników, jak ich nazywano, i oddawać ich pod miecz katowski. Byli to Eleazar, syn Szymona Ben-Jochaj, śmiertelnego wroga imienia rzymskiego, i Izmael, syn r. Josego, obaj członkowie kolegjum, któremu przewodniczył patrjarcha r. Juda. Ta lojalność, z jaką prześladowali swoich współwyznawców i ziomków, walczących za sprawę wolności, spotkała się z surową naganą innego doktora. Sędziwy r. Jozue Ben-Karcha zgromił Eleazara temi słowy: „Ty oćcie, synu wina, długoż jeszcze będziesz wydawał na śmierć lud boży?“

A gdy ten jął się usprawiedliwiać: „Oczyszczam tylko z cierni winnicę,“ odparł starzec: „Niechże sam pan winnicy ciernie wytrzebia.“ Izmaelowi zrobił uwagę: „Ojciec twój uciekł, aby nie podawać ręki Rzymianom, i tybyś mógł również ratować się ucieczką.“

Ponieważ nauczyciele Zakonu i patrjarcha r. Juda nie mieli w buncie żadnego udziału, nie wywarł Sewer swego gniewu na wszystkiem żydostwie, lecz zakazał tylko pod grozą kar najsurowszych przechodzić poganom na religję żydowską. Prozelici, jak się zdaje, uczestniczyli w powstaniu. Ktoby się dał obrzezać, miał być karany konfiskatą majątku i wygnaniem, a operator aż gardłem. Żydzi, którzyby przyjęli do przymierza swych niewolników, mieli czyn ten przypłacić, zależnie od okoliczności, wygnaniem, lub życiem. Aby Żydom dobość, przywrócił Sewer Samarytanom swe względy. Mieszkańcy Sychemu otrzymali napowrót odjęte im przedtem prawa obywatelskie; okazali mu oni niezawodnie pomoc przeciw nieprzyjaciołom swym, Żydom.

Tych smutnych wypadków dożył jeszcze patrjarcha r. Juda. Z niezmąconą pogodą ducha czekał swego końca. Starszemu synowi, Gamalielowi, przekazał swoją godność, młodszego zaś, Szymona, mianował chachamem (mówcą). Przyszłemu patrjarsze zalecił, aby był surowym dla uczniów, lecz by też odstąpił od jego obyczaju ordynowania za każdym razem dwóch tylko uczniów i dopuszczał do ordynacji wszystkich uzdolnionych. A przedewszystkiem kazał mu wynieść na godność nauczyciela r. Chaninę Bar-Chama, gdyż czuł, że przeciw niemu zawinił.

Kolegjum synhedrjalne prosił, aby pochowało go bez wszelkich uroczystości, nie nakazywało po nim w miastach żałoby i już po trzydziestu dniach wznowiło wykłady. Wieść o zbliżającej się śmierci patrjarchy ściągnęła do Sepforis rojne rzesze z miast okolicznych.

Jakgdyby było rzeczą wprost niepodobną, aby mógł umrzeć, zagroziły tłumy śmiercią zwiastunowi nieszczęścia. Tak naprężone i wzburzone były umysły, że obawiano się gwałtownego wybuchu boleści mas podnieconych. Jednakże Bar-Kappara zakomunikował ludowi smutną nowinę pod alegorją. Z osłoniętą głową przemówił:

„Aniołowie i śmiertelni walczyli o arkę przymierza,
„Zwyciężyli aniołowie i znikła arka przymierza."

A gdy lud wybuchnął na to okrzykiem boleści: „nie żyje!" rzekł Bar-Kappara: „wy to mówicie." Liczny orszak odprowadził zwłoki r. Judy i w osiemnastu synagogach uczczono jego pamięć mowami. Nawet Aronidzi, wbrew Zakonowi, krzątali się około ciała; obwieszczono: „na dziś ustają święcenia kapłańskie." Synhedrjum i kapłaństwo chętnie podporządkowywały się mężowi, który w swej osobie reprezentował naukę.

O następcy r. Judy, r. Gamalielu III (ok. 210—225), nie wspominają dzieje nic więcej, jeno że wykonał ściśle polecenia ojcowskie. Pozostałe po nim sentencje rzucają jasny snop światła na stosunki ówczesne: „Dobrze jest zajmować się nauką obok świeckiego zawodu, kto koło obojga chodzi, tego grzech się nie czepia; nauka Zakonu bez rzemiosła w końcu marnieje i grzech rodzi. Kto koło spraw gminy zabiega, niechże to czyni dla miłości Boga (bez pobudek własnej korzyści), a wtedy zasługi przodków będą mu podporą i sprawiedliwość jego przetrwa na wieki. Wam zaś—mówił do uczniów—przyrzekam większą nagrodę, niż gdybyście byli czynni praktycznie. Bądźcie ostrożni w stosunkach z mocarzami (rzymskimi), gdyż schlebiając wam, myślą jedynie o sobie. Udają przyjaciół, gdy im to na rękę, lecz w potrzebie z pomocą nie spieszą. Pełń wolę Boga w ten sposób, abyś dla jego woli własnej się wyrzekł, a On twoją wolę za swoją przybierze." Nawoływanie do oględności wobec potentatów rzymskich i do unikania ich sideł nie było w każdym razie bez kozery. Albowiem po śmierci surowego Sewera przybrało państwo rzymskie dzięki trzem cesarzom na całą niemal ćwierć wieku, iżby tak rzec, syryjski, żydowskiemu pokrewny charakter. Panowały nad Rzymem przebiegłe kobiety syryjskie: Julja Domna (właściwie Marta), małżonka Sewera, a matka cesarza Karakalli (211—217), jej siostra Julja Meza i dwie córki Mezy, Julja Soemja i Julja Mamea. Wodziły one na pasku lud rzymski i senat. Pochodziły z miasta syryjskiego Emezy, gdzie istniała znaczna gmina żydowska. Znajdowali się też w Emezie poważani prozelici. Rodzina prozelicka Bar-Asztor posiadała tu wielkie dobra ziemskie.

Te Syryjki, rozkazujące światu rzymskiemu, będąc poniekąd spowinowacone z Żydami, nie gardziły nimi, ale, owszem, podzielały ich pogardę dla wyniosłej rzymszczyzny. W rok po zamordowaniu Karakalli (217) obwołany został cesarzem przez legjon syryjski w Emezie syn Soemji, Elagabal (Heljogabal). Mądra jego babka głosiła o nim, że jest nieprawym synem Karakalli. Chodziło teraz o zjednanie w pobliżu zwolenników temu szesnastoletniemu kapłanowi słońca; usiłowano też skaptować notablów żydowskich. Do tych właśnie zabiegów robi aluzję nawołujący do ostrożności głos patrjarchy Gamaliela III; albowiem mocarze rzymscy szukają zbliżenia dla własnej tylko korzyści.

Rządy syryjskie odbiły się jednak na losach Żydów pomyślnie. Nie traktowano ich już z ową butą rzymską, nie natrząsano się z ich narodowości i wiary. Warjackie wybryki Elagabala niepozbawione były jednak pewnej tendencji. Dążył do rozprzężenia ducha rzymskiego. W świątyni boga słońca, którą poświęcił Baalowi, a właściwie sobie samemu, chciał również udzielić miejsca kultowi Żydów, Samarytan i chrześcijan. Żydzi znów, z swej strony, weszli w przyjaźniejsze stosunki

z światem zewnętrznym. Dwaj utalentowani synowie patrjarchy r. Gamaliela, Juda i Hillel, nauczyli się po grecku i studjowali literaturę grecką, aby mogli obcować z Rzymianami, a żarliwcy nie gorszyli się z tego, lubo to przed wiekiem było surowo wzbronione. Obracając się w świecie, musieli synowie patrjarchy trefić włosy według mody rzymskiej, zakazanej dotąd, jako obyczaj pogański.

Patrjarcha Juda II (ok. 225—260), objąwszy rządy po ojcu, rozszerzył jeszcze wyłom, wybity w murze granicznym wzniesionym przez wygórowaną surowość zelantów; starał się on rozjaśnić posępne życie żydowskie i utorować drogę do życzliwych z poganami stosunków. Przeprowadził w kolegjum uchylenie zakazu zelotów szammaickich używania oliwy, pochodzącej od pogan. Pozwolił znów za zgodą kolegjum nieść oblubienicę w dzień ślubu w lektyce paradnej przez miasto, przywracając tem zwyczaj, skasowany po niefortunnej wojnie hadrjańskiej. Zamierzał też znieść zupełnie lub w części ścisły post 9. Ab, zaprowadzony na pamiątkę kilku nieszczęśliwych wypadków w dziejach żydowskich. Ale temu oparło się mniej wolnomyślne kolegjum. Z tejże przyczyny nie zdołał też unieważnić restrykcji, zakazującej chleba od pogan, coby ostatecznie mur obaliło. Wolnomyślnemu kaznodziei z Liddy, Simlajowi, który go do tego kroku namawiał, odpowiedział: „Nie mogę, bo gotowi mię jeszcze okrzyczeć za ulżyciela.“

Wbrew decyzji swego dziada, że nieprawe dziecko Żydówki i poganina lub niewolnika ma być jako bękart wyłączone z społeczeństwa, orzekł wnuk, że może ono zawrzeć małżeństwo żydowskie. Przez kurtuazję patrzał pobłażliwie na naruszenie wcielonego do Miszny r. Judy I prawa, w myśl którego należało unikać wszelkich z Rzymianami stosunków w Saturnalja, kalendy styczniowe, w rocznicę wstąpienia na tron i śmierci

cesarzy, tudzież w dni uroczystości rodzinnych, ze względu na ich związek z kultem pogańskim; w dni te nie wolno było nawet przyjmować podarunków od pogan. Przełożeni kościoła wyrzekali, że Żydzi przychylniejsi są poganom niż chrześcijanom, lubo ci, tak samo jak Żydzi, brzydzą się bałwochwalstwem. Ale Żydzi rozumieli, że większem grozi judaizmowi niebezpieczeństwem zbliżenie się do rosnącego w siły chrześcijaństwa, niż do dogorywającego pogaństwa.

Temu zbliżeniu się do Rzymian sprzyjało jeszcze bardziej przychylne judaizmowi i Żydom usposobienie cesarza Aleksandra Sewera, który darzył też patrjarchę swymi względami. Ten wtóry cesarz z dynastji syryjskiej, syn Julji Mamei, jeden z najszlachetniejszych mężów na tronie cezarów (224—234), wychowany przez matkę w surowych zasadach moralnych, a przytem gruntownie wykształcony, przejął się podziwem dla wzniosłej moralności judaizmu i chrześcijaństwa, które zapożyczyło od pierwszego swoją naukę etyczną. W domowej świątyni Sewera stały obok wizerunków bóstw rzymskich i dobrych cesarzy również posągi Abrahama i Chrystusa. Na swoim pałacu i gmachach publicznych kazał umieścić sentencję Hillela: „Nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło.“ A podczas wojny, w obozie, musieli heroldowie na rozkaz cesarza obwoływać tę sentencję ku przestrodze i pohamowaniu chciwego cudzej własności żołnierstwa.

Podczas wyprawy przeciw Ardaszirowi, założycielowi nowoperskiego państwa Sassanidów (232—233) spotkał się zapewne w Antjochji z patrjarchą Judą, gdyż udzielił mu, a w jego osobie całemu społeczeństwu judzkiemu, nader ważnych koncesji. Podarował patrjarsze rozległe obszary pól w Gaulanitis (z tamtej strony Jordanu), nadał mu jurysdykcję kryminalną nad rodakami i oczywiście przywrócił też sędziom żydo-

wskim odjętą im za Antonina Piusa lub Marka Aureljusza jurysdykcję cywilną. Patrjarsze Judzie pozwolił jako księciu otoczyć się strażą przyboczną, która jego rozkazom i rozporządzeniom jednała posłuszeństwo. Aleksander Sewer zwrócił Żydom wogóle wszystko, co im wydarły srogie prześladowania Hadrjana. Bramy Jerozolimy stanęły znów przed nimi otworem, choćby tylko po to, aby mogli opłakiwać jej profanację i przemienienie w Aelia Capitolina. W roku sabatowym rolnicy wolni byli od opłaty czynszu gruntowego. Zdaje się, że Aleksander Sewer, którego źródła żydowskie nazywają Sewerem, synem Antonina, lub poprostu Antoninem, nadał, czy też zamierzał nadać Tyberjadzie obszerne prawa kolonji. Ten szlachetny monarcha żył niestety zbyt krótko dla pomyślności społeczeństwa judzkiego; zamordowali go w Giermanji jego właśni żołnierze.

Po jego śmierci rozkład państwa rzymskiego zaczął czynić olbrzymie postępy. Przez dwadzieścia lat niespełna zginęło z ręki morderców dziesięciu cesarzy, z których niewielu tylko po kilka lat zasiadało na tronie; czterech cesarzy padło w ciągu kilku miesięcy. Jakby na kpiny obchodził jeden z tych efemerycznych monarchów, Filip Arab z miasta Bostry w Hauranie, z wielką pompą tysiączną rocznicę założenia Rzymu (248). Rzym wraz z swoim senatem i patrycjuszami był igrzyskiem legji kresowych i ich wodzów. Ludy barbarzyńskie podnosiły już ręce, aby mu zedrzeć z głowy krwią splamioną koronę.

Jakżeż powodziło się Żydom w tym nieładzie i zamęcie pod samowładnymi rządami zmieniających się równie częstą koleją namiestników? Pewna sentencja poważanego powszechnie nauczyciela Zakonu, r. Jannaja, świadczy o dosyć znośnych warunkach ówczesnego życia w Palestynie. Mówi on: „nie cieszymy się ani pomyślnością grzeszników, ani też doświadczamy niedoli

pobożnych.“ Tylko przez czas krótki, jak się zdaje, cierpieli Żydzi ucisk od hauranickiego chłopa Filipa. Szczerze, czy też tylko dla oka, przyjął on z rodziną religję chrześcijańską i uważał za właściwe stwierdzić swą gorliwość krzywdą żydowską. To niezawodna, że w roku sabatowym znowu zażądano od właścicieli gruntów daniny w zbożu, i tenże r. Jannaj, znaglony koniecznością, pozwolił uprawić w tym roku pola, aby można było uczynić zadość wymaganiom.

W ogólności w tej dobie anarchji, w której legje rzymskie toczyły walki z Persami, a ucisk podatkowy i zamachy na własność były na porządku dziennym, nastąpił powoli w Palestynie upadek materjalny. Część ziemi palestyńskiej przeszła z rąk Żydów do pogan. Nie mogła tedy ludność żydowska łożyć jak dawniej na utrzymanie uczelni i uczniów, którzy wskutek tego przyszli do takiego ubóstwa, że nie stać ich było na zmianę w dni świąteczne nędznej odzieży. Aby się szkoły nie wyludniły, zabiegał patrjarcha r. Juda II o nowe źródła dochodu. Wyprawiał zagranicę delegatów, którzy w gminach zamożnych zbierali składki na opędzenie kosztów nauki. Wybitny nauczyciel Zakonu, r. Jozue Ben-Lewi, udał się do Rzymu, aby u tamtejszych bogatych współwyznawców wyjednać nieodzowny zasiłek. Tacy delegaci, którzy od czasu do czasu nawiedzali bogate gminy w Europie, a zwłaszcza w Italji, nosili nazwę *apostołów*, a kwesta na patrjarchę i szkoły zwała się *apostole* (składka patrjarsza). Na popieranie nauki żaden Żyd nie skąpił pieniędzy. Żydowscy właściciele okrętów i negocjanci w Europie ofiarowali zazwyczaj na uczniów w Palestynie dziesiątą część swego zysku. Przez cześć dla patrjarchy uchwalały gminy dobrowolnie i chętnie tę doroczną dań patrjarszą. R. Juda II, który swój urząd wysoki zdobił cnotami, uczonością i świecką ogładą, cieszył się powagą tak zagranicą, jak

w kraju. Niby monarsze składano mu hołdy co rana. Atoli rosnące w kraju ubóstwo nie pozwalało mu otaczać się blaskiem odpowiednim godności, jak to czynił dziad jego tegoż imienia. Często musiał z własnych funduszów nasycać chciwość wielkorządców, aby zapewnić spokój rodakom.

W szkołach niemal wyłącznie wrażano w pamięć materjał tradycji, a to według zamkniętego przez r. Judę I porządku Miszny. Istniały wprawdzie zbiory, ułożone przez innych uczonych, lecz wobec wielkiej powagi tego patrjarchy, zostały przez jego dzieło w cień usunięte lub zupełnie wyparte. Bądź co bądź utrzymały się jeszcze obok niego dawniejsze wykłady *) i obszerniejsze traktaty pod mianem „Dodatków“ do Miszny (Tosefta). Nie utrzymał się natomiast popularny dawniej zbiór Babilończyka r. Chiji, młodszego współcześnika i współpracownika r. Judy, uzupełniony następnie przez jego ucznia r. Uszaję (Boraita); był on zakrojony na ramy nader szerokie.

Przyobleczony tym sposobem w autorytet zbiór Miszny Judy I (zwany poprostu Miszną) zdobył sobie powoli niemal znaczenie Pisma świętego. Jak Pismo wykładano Misznę i objaśniano, nieraz zresztą opacznie. Nauczyciele i uczniowie wbijali ją sobie w pamięć, ponieważ nie wolno było jej spisać. W sprawach spornych, w kwestjach, dotyczących małżeństwa i rytuałów, czyli tego, co wolno, lub co jest wzbronione, zasięgano jej wskazówek, przytaczano za lub przeciw jej paragrafy. Zwięzłość języka Miszny i zawarte w niej obce wyrazy czyniły jej wykład i za-

*) Do starych zbiorów należały: *Sifra*, niemal wyłącznie poświęcona prawom trzeciej księgi Mojżesza; *Sifre*, zajmująca się prawami i innemi rzeczami księgi czwartej i piątej, wreszcie *Mechilta*, traktująca na sposób Sifre drugą księgę Mojżesza.

stosowanie nieomal sztuką, wymagającą bystrego rozumu, ale też dającą pochop do przemądrzałych wywodów.

Rzeczowe i językowe traktowanie Miszny nazwano Talmudem (Gemara). Odtąd działalność przełożonych szkół w Sepforis, Tyberjadzie, Cezarei i Liddzie, miała jeden już tylko cel na oku, zagłębianie się w Misznie i objaśnianie jej uczniom, godzenie istotnych i pozornych sprzeczności jej tekstu; stała się ona alfą i omegą całej nauki. Od tej czynności nadano im miano Amoraitów (Amora, objaśniacz). W pierwszych czasach traktowali niektórzy wykładacze tekst Miszny z pewną jeszcze swobodą. Atoli z biegiem wieków przyszło do tego, że żaden Amoraita nie śmiał odeń odstąpić; uważano go za nieomylny. Pierwszymi i najznakomitszymi talmudystami czyli Amoraitami byli r. Jochanan i r. Szymon Ben-Lakisz, obaj mężowie najzacniejszych obyczajów, pierwszy natura delikatna, istny typ męzkiej urody, drugi obdarzony siłą olbrzymią, która pozwoliła mu niegdyś w potrzebie nająć się do cyrku jako lanista. Ben-Lakisz, jednostronny i przesadnie pobożny, nieraz uraził patrjarchę swoją posępną surowością i szorstką szczerością. Posiadał jednak zmysł naukowy, skoro poznał, że księga Joba jest utworem poetycznym, nie zaś prawdziwą historją. Natomiast r. Jochanan miał charakter łagodny i nie zamykał się na wpływy zewnętrzne. Żądał, aby pozwolono dziewczętom żydowskim uczyć się pięknego języka i piśmiennictwa greckiego, uważając ich znajomość za ozdobę płci żeńskiej. Cenił wykwit hellenizmu, filozofję, którą obok judaizmu uznawał za doniosły czynnik w rozwoju uobyczajenia ludzkiego. Pięknie wyraził r. Jochanan swój pogląd w tych słowach: „Iż Sem i Jafet przykryli nagość rodzica, zasłużył sobie Sem (wyobraziciel żydostwa) na płaszcz z frendzlami (cycys), a Jafet (wyobraziciel hellenizmu) na

płaszcz filozofa.“ Poważał też przekład grecki Pisma świętego; chwali go słowami wiersza biblijnego: „Piękność Jafeta zamieszka pod namiotami Sema.“

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Żydzi w Babilonji i Persji.

(240—300).

Gdyby istnienie judaizmu zależało jedynie od losów ziemi ojczystej, to według rachub ludzkich czekałaby go wśród ówczesnych warunków niechybna zagłada. Coraz głębiej pogrążał się naród w ubóstwie i coraz bardziej marniał na duchu. Ze śmiercią patrjarchy r. Judy II nie stało osobistości wszechwładnej i opiekuńczej. Ucisk podatkowy i przejście gruntów do rąk cudzoziemców wywołały zubożenie, które przywiodło do upadku szkoły w Cezarei i Liddzie; ze szkół galilejskich utrzymała się jeszcze jedna Tyberjada, a gdyby nie dopływ zewnętrzny nie ominęłaby i jej katastrofa.

Z Babilonji czyli Persji powiał wiatr orzeźwiający, jak za czasów Ezdrasza. Babilonja stała się dla narodu judzkiego drugą macierzą, kiedy zabrano mu pierwszą, i zrzadka tylko traktowała go po macoszemu. Królowie partyjscy, suzerenowie tego kraju, nie tamowali Żydom swobody. Poczytywano to za dzieło Opatrzności, że znaczna ich liczba pozostała tu jeszcze z czasów wygnania babilońskiego; w przewidywaniu, że pień narodu nie zdoła się utrzymać pod berłem rzymskich ciemięzców, zachowany miał być w Babilonji szczątek zesłańców. Ta Italja wschodnia, której stolica była w dawnych czasach, jak Rzym, zrazu władczynią świata, a następnie celem pożądliwości ludów wędrownych, Babilonja, już kiedyś chwilowe siedlisko pokoleń judzkich, stała się teraz na długie stulecia przybytkiem

umysłowości żydowskiej. Pokaźna liczba Żydów, zamieszkujących te strony od wieków, pewna niezawisłość, przyznana im, jak i innym osadnikom, przez monarchów partyjskich, blask, spływający na nich z posiadania własnego zwierzchnika, ich dzielność pierwotna, której żadne cierpienia i szykany złamać nie mogły, wszystko to wyciskało na nich piętno swoiste i przyczyniało się do rozwoju nowych zdolności i dążeń.

Pojęcie geograficzne Babilonja, o ile dotyczyło mieszkańców żydowskich, używane było w trojakiem znaczeniu. W najobszerniejszym sensie obejmowało Mezopotamję, całą przestrzeń, oblaną dolnym biegiem rzek bliźniaczych, Eufratu i Tygru, aż do zatoki perskiej. W tej rozciągłości należały też do niej Osroene z stolicą Edesą, cała Mesene (wyspa utworzona przez Tygrys), a dalej ku wschodowi Tygrysu, Adjabene i Suzjana (Elymais, czyli Chuzystan). Na tych obszarach, aż nawet poza ich granice, usadowili się Żydzi oddawna, lecz zapewne ci tylko, którzy nie mieszkali zbyt daleko od Babilonji żydowskiej, posiadali uporządkowaną organizację gminną.

W ciaśniejszem znaczeniu obejmowała Babilonja tylko terytorjum pomiędzy dwiema rzekami, od miejsca, gdzie ich ramiona poczynają się zbliżać do siebie, aż do punktu, gdzie się zlewają zupełnie, krainę, poprzerzynaną niegdyś mnóstwem łączących obie rzeki kanałów: najbardziej na południe wysuniętą część Mezopotamji, dzielnicę starożytnego Babelu i część dawniejszej Chaldei. Ta Babilonja w sensie ciaśniejszym była przeważnie zamieszkana przez Żydów, zkąd mieszkańcy nazywali ją krajem Izraela. Wreszcie w najbardziej ograniczonym zakresie nosiła miano Babilonji niewielka (127 mil kw.) połać na wschodnim brzegu Eufratu, której długość, od Nahardei na północy do Sury na południu, wynosiła mniej więcej 22 parasangi (16½ mil gieogr.)

Kilka miast grało kolejno rolę środowisk. Pierwsze miejsce zajmowała Nahardea, warowny gród nad Eufratem i kanałem Naraga, zamieszkany wyłącznie przez Żydów, reprezentujący przez czas pewien Jerozolimę babilońską. Gdy jeszcze stała świątynia, był tu skarbiec gmin babilońskich, w którym przechowywano złożone na rzecz Przybytku ofiary, by je potem wysłać do Jerozolimy pod osłoną silnego konwoju. Ztąd dwaj młodzieńcy żydowscy stawiali czoło królowi partyjskiemu i założyli niezależne państewko żydowskie (p. t. I str. 705).

O kilka mil na południe Nahardei leżał Peroz-Szabur (później Anbar), miasto warowne i ludne. Nieopodal, nad jednym z licznych kanałów Eufratu, wznosiła się Pumbadita, zdobna w pałace. Mieszkańcy Pumbadity uchodzili za ludzi wielkiej bystrości i finezji, lecz jednocześnie pomawiano ich o przebiegłość i żyłkę złodziejską. „Jeżeli ci towarzyszy Pumbaditańczyk, mówi przysłowie, zmień gospodę.“ Szesnaście mil na południe od Pumbadity rozpościerało się miasto Mata-Mechasja, nad rozległym jeziorem Surańskim, które stanowiło właściwie rozszerzenie przepływającego w tem miejscu głęboką kotlinę Eufratu. Od tego jeziora nosiło i samo miasto nazwę Sura. Tu mieszkała ludność mieszana, Żydzi i Nabatejczycy. Jak Pumbadita odznaczała się wspaniałymi gmachami i chytrością swoich mieszkańców, tak Mata-Mechasja ubóstwem i uczciwością ludności. Przysłowie określa dosadnie charakter obu miast: „Lepiej mieszkać na gnojowisku Sury, niż w pałacach Pumbadity.“ Z temi trzema miastami nad Eufratem rywalizowało czwarte, położona nad Tygrysem Machuza, o trzy mile niespełna od Ktezyfonu, stolicy partyjskiej. Zbudowana na wzgórzu nad kanałem królewskim i obronna mocnymi murami i rowem głębokim, zasiedlona była Machuza, pomimo swojej ważności, przeważnie przez Żydów, których wierności poruczono pieczę nad

miastem i nad zamkiem Akrą. Najznakomitsze rodziny machuzańskie pochodziły z prozelitów; posiadały też odrębny, różny od reszty ludności żydowskiej charakter. Machuzańczyków malują jako ludzi płochych, oddanych rozkoszy i uciechom, raczej światowych, niż pobożnych; skłonności te zjednały im miano „kandydatów do piekła.“ Gęsto też zaludniona była Żydami stolica Ktezyfon i niedawno założony Ardaszyr. Cała ta połać babilońska, pocięta licznymi kanałami na wielowysep, wyglądała dzięki nadzwyczajnej żyzności niby jeden ogród olbrzymi. Gaje palm daktylowych rosły tak gęsto, że przysłowiowo mówiono o Babilończykach: „Kosz daktylów za denara.“ Żydzi babilońscy trudnili się uprawą roli, rzemiosłami wszelkiego rodzaju, a co przedewszystkiem jest naturalnem w kraju zależnym od irygacji, kopaniem i oczyszczaniem kanałów; nadto zajmowali się hodowlą bydła, handlem i żeglugą.

Znaczna liczba zapewniała Żydom babilońskim pewną niezawisłość polityczną, czuli się też w tym kraju, niby we własnem państwie. Stosunek do panów lennych był nadzwyczaj luźny i polegał na opłacaniu podatku pogłównego i gruntowego; było jeszcze podówczas dużo ziemi bezpańskiej w okolicach Eufratu i mógł ją brać na własność każdy, kto tylko oświadczył gotowość płacenia z niej podatku. Ten kraj z jego ludnością żydowską podlegał zwierzchnikowi żydowskiemu, zwanemu egzylarchą (księciem wygnania); był on jednym z dostojników państwa perskiego i w hierarchji perskiej zajmował czwarty stopień po królu. Do królów perskich stał mniej więcej w stosunku wasala. Nie wybierała go jednak, lecz tylko zatwierdzała korona. Za oznaki godności służyły mu płaszcz jedwabny oraz pas złoty.

Książęta wygnania uchodzili za potomków królewskiego domu Dawida przez Zerubabela i z tej przyczyny ludność żydowska składała im hołdy i chętnie

ulegała ich władzy. Lubo źródła wymieniają długi szereg książąt wygnania, to jednak ich egzystencję stwierdzić można napewno dopiero za czasów Hadrjana. Jeden z nich, imieniem Achja lub Nechunja, popierał siostrzeńca r. Jozuego w jego zabiegach o przeniesienie praw zwierzchnictwa religijnego nad ogółem żydowskim z Ziemi Świętej na dostojników w Babilonji. Odtąd aż do wieku jedenastego ciągnie się nieprzerwanie łańcuch egzylarchów. Wywierali oni wpływ znakomity na rozwój żydostwa babilońskiego.

Książęta ci byli przedewszystkiem najwyższymi sędziami gmin judzkich, nie wyłączając spraw kryminalnych; sądownictwo wykonywali osobiście lub też powierzali je sędziom specjalnym. Za środek wymuszenia posłuszeństwa służyła obyczajem wschodnim bastonada. W zakres funkcji egzylarchy wchodziła też policja w miastach i nadzór nad rzetelnością miar i wag, kanałami i bezpieczeństwem publicznem. Należało im się również pewne wyróżnienie zaszczytne, które przysługiwało niegdyś władcom z domu Dawida. Mianowicie w synagodze urządzono dla nich osobne miejsce na podniesieniu i przynoszono im tam rodał Zakonu, jeżeli, według przyjętego zwyczaju, mieli z niego odczytać jakiś ustęp. Posiadali znaczną liczbę niewolników i innej czeladzi. Nawet wolni mężowie oddawali się pod patronat egzylarchów i na oznakę poddaństwa nosili na sukniach herb swego pana. Egzylarchowie byli bardzo drażliwi na punkcie tego godła i nie przebaczali nawet utrzymywanym przez dom ich uczonym, jeżeli je zdjęli lub choćby tylko ukryli. Zbyt wiele władzy skupiali w swoich ręku, a władza ta zbyt niedostatecznie uregulowana była lub ograniczona prawami czy obyczajem, aby się nie zdarzały akty samowoli i nadużycia. Często też narzekano na arogancję, samowładne zamachy i gwałty niektórych egzylarchów albo ich służby; składali z urzę-

du rektorów i mianowali na ich miejsce innych, nieraz niegodnych. W czasach przedhistorycznych, t. j. zanim przeszczepione na grunt babiloński zakonoznawstwo zaaklimatyzowało się w tym kraju, nieuctwo patrjarchów w rzeczach rytuałów było, jak się zdaje, tak wielkie, że w ich domu z najzupełniejszym spokojem gwałcono przepisy, dotyczące pokarmów. Ale nie brakło między nimi czcigodnych postaci, które przyswoiły sobie znajomość Zakonu i stały się chlubą swego narodu.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte, rojność ludności żydowskiej w Babilonji, jej niezależność i potęga egzylarchatu nadały temu światu piętno odrębne; powstały w tym kraju nowe potrzeby, jakich nie znała Judea; nowe potrzeby dały pochop do nowych orzeczeń prawnych, co pchnęło naukę na nowe tory rozwoju, w którym Babilonja miała udział najwydatniejszy.

Tłumniej, niż w czasach dawniejszych, zapełniała żądna wiedzy młodzież babilońska za patrjarchatu r. Judy I uczelnie galilejskie, jakgdyby pochwytać chciała ostatnie promienie zachodzącego w kraju praojców słońca nauki, aby nimi oświecić ziemię rodzinną. R. Chija z Kafri i dwaj jego synowie, tudzież krewni Abba-Areka i Rabba Bar-Chana, Abba i syn jego Mar-Samuel—oto najwybitniejsi wychowańcy szkoły r. Judy I; byli oni pośrednio lub bezpośrednio mistrzami i wzorami Babilonji. R. Chija i jego synowie, Juda i Chiskja, nie powrócili wprawdzie do kraju rodzinnego, lecz zmarli w Galilei, gdzie ich wielbiono jak świętych; odbywano pielgrzymki do ich grobów i za wielki poczytywano sobie zaszczyt być obok nich pochowanym. Atoli r. Chija wywarł najznaczniejszy wpływ na wykształcenie swego ucznia Abba-Areki. Nahardea była siedliskiem trybunału i szkoły, której rektorem w czasie, gdy Abba-Areka i Mar-Samuel powrócili z Galilei, był nieznany skądinąd r. Szila. Ale szkoła ta nabrała dopiero znacze-

nia dzięki dwóm owym mężom, którym nadzwyczajne zdolności pozwoliły zostać twórcami nowych stosunków; oni to wytknęli jej nowy kierunek i podnieśli Babilonję do poziomu Judei.

Abba, historycznem imieniem Rab (ur. około 175, zm. 247), otrzymał przydomek Areka prawdopodobnie od miasta tegoż imienia. Z niezmiernym podziwem mówiono o wcześnie rozwiniętych zdolnościach umysłowych młodzieńca. Dzięki interwencji r. Chiji uzyskał Rab od patrjarchy r. Judy I urząd sędziowski i nauczycielski. Sam nawet rektor r. Szila schylał głowę przed jego nauką. Po śmierci r. Szili miał Rab zostać jego następcą, lecz zrzekł się zaszczytnego stanowiska na rzecz swego młodszego przyjaciela Mar-Samuela, gdyż Nahardea była jego miastem rodzinnem.

Egzylarcha ówczesny, któremu prawdopodobnie na imię było Anan, uwzględniał, jak się zdaje, przy obsadzaniu zależnych od siebie urzędów biegłych w Zakonie Babilończyków. Spowinowaconego z jego domem Mar-Abbę mianował sędzią najwyższym w Kafri; skromność, erudycja i bogactwo czyniły go istotnie godnym tego wysokiego urzędu. Inny zacny uczony imieniem Karna otrzymał od egzylarchy krzesło sędziowskie, a będąc niezamożnym, pobierał od stron jedynie wynagrodzenie za czas poświęcony ich sprawie. Abba-Arece powierzył egzylarcha urząd agoranoma (inspektora targowego) i nadzór nad rzetelnością miar i wag.

Atoli tutaj ujawniła się arbitralna gospodarka księcia wygnania. Poruczył on również Abba-Arece kontrolę nad cenami rynkowemi i polecił mu nie dopuszczać podrożenia artykułów żywności. A gdy uczony nie chciał przyjąć na siebie tych obowiązków, wtrącono go do więzienia. Wróciła mu wolność dopiero interwencja sędziego Karny, który przedstawił egzylarsze, że niesprawiedliwością jest karać męża pełnego soku daktylowego (pełnego ducha). Obowiązki urzędu zniewalały Abba-Arekę do częstych podróży po różnych obwodach Babilonji żydowskiej, dzięki czemu stał się niebawem znaną całemu krajowi osobą. Ostatni król partyjski, Artaban (216—226) z domu Arzacydów, z którym się może spotkał kiedyś w swych objazdach służbowych, wielce go poważał i przysłał mu w upominku drogocenne perły. W podróżach przekonał się Rab, ku niezmiernemu swemu zdumieniu, o niesłychanej ignorancji praw żydowskich wśród gmin oddalonych od środowiska. Przepisy, przestrzegane w Palestynie z nadzwyczajną skrupulatnością, pomijano tutaj bez najlżejszych wyrzutów sumienia. Aby położyć kres takiemu niedbalstwu, obostrzył Rab niektóre zakazy i zabronił nawet rzeczy dozwolonych. W ten sposób powstały nowe restrykcje, które dzięki jego powadze nabrały mocy prawa. Nieznajomość Zakonu, uwydatniająca się najjaskrawiej w okolicach Sury, natchnęła go myślą założenia właśnie w tem mieście uczelni, aby jej słuchacze rozkrzewiali w ludzie światło nauki. Jakoż przywiódł to wielkie dzieło do skutku. Jeżeli rozwój religijnych praw talmudycznych przyczynił się z jednej strony do zachowania, z drugiej zaś do skażenia judaizmu, to pokaźną część tych wyników przypisać należy Abba-Arece. Z górą siedem wieków była Sura siedzibą jurysprudencji talmudycznej, a w końcu szkołą mądrości.

Szkołę otworzył Rab (ok. 219) jeszcze za życia swego protektora Artabana. Tysiąc dwustu uczniów, zwabionych sławą Abba-Areki, ściągnęło ze wszystkich stron Babilonji; przybywali słuchacze nawet z Nabatei i ziem saraceńskich. Przeszło stu znanych z imienia uczniów i uczniów-towarzyszów rozpowszechniło po świecie jego rezolucje i orzeczenia. Nadspodziewanie tłumny napływ młodzieży zmusił go do rozszerzenia szkoły przez nabycie ogrodu pozostałego po zmarłym prozelicie jako majętność

bezpańska. Uczniowie tak go uwielbiali, że nazywali go poprostu „Rab“ (nauczyciel), jak patrjarchę Judę nazywano Rabbi albo Rabbenu, i ten tytuł zamiast imienia przylgnął do niego nazawsze. Uczelnię jego nazywano Be-Rab, nazwa, która stała się później synonimem szkoły w ogóle. Powaga jego rozciągała się poza granice rodzinnej Babilonji. Spory zastęp niezamożnej młodzieży utrzymywał z własnych funduszów, był bowiem bogaty i posiadał własne grunta, które sam uprawiał. Mądry podział czasu, zaprowadzony przez niego, umożliwił uczniom oddawanie się studjom bez zaniedbania zajęć zarobkowych. Dwakroć do roku, w początkach jesieni i wiosny (Ellul i Adar), zbierali się słuchacze w Surze na trwającą za każdym razem miesiąc naukę. W ciągu tych dwóch miesięcy, nazwanych „miesiącami zgromadzenia,“ odbywały się co dzień od samego rana wykłady, przerywane na chwilę zaledwie śniadaniem. Nadto w tygodniach poprzedzających święta uroczyste miewał Rab dla całej gminy odczyty publiczne. W tym czasie przybywał do Sury sam egzylarcha i odbierał tam hołdy od rzesz zgromadzonych. Natłok w owej porze bywał nadzwyczajny, tak iż wiele gości, nie mogąc znaleźć kąta pod dachem, musiało obozować w polu nad brzegami jeziora surańskiego. Sądy na ten czas zawieszano i wierzyciele nie mogli w ciągu tych miesięcy zapozywać dłużników.

Zakazując w kwestjach rytualnych wszystkiego, cokolwiek miało choćby najlżejszy związek z zabronionemi rzeczami, postępował Rab również surowo w sprawach, dotyczących moralności, znajdującej się w stanie nader opłakanym wśród niższych warstw społeczeństwa. Dawna patrjarchalna prostota obyczajów pożycia małżeńskiego uległa w Babilonji skażeniu. Jeżeli młodzieniec i panna, poznawszy się przygodnie, postanowili się pobrać, przywoływali pierwszych lepszych świadków

i małżeństwo było zawarte. Ojcowie wydawali za mąż córki nieletnie, a oblubieniec poznawał oblubienicę dopiero w ostatniej chwili, gdy jej widok budził w nim niekiedy żale niewczesne, albo też mieszkał w domu przyszłego teścia w zbyt poufałych stosunkach z narzeczoną. Prawo, zamiast te zdrożności potępić, osłaniało je swoją powagą. Przeciwko tym zboczeniom walczył Rab z całym zapałem i surowością reformatora. Zabronił wstępować w związki małżeńskie bez uprzednich zabiegów o pannę, zalecił ojcom, aby nie wydawali córek bez ich zgody, a tembardziej przed dojściem do pełnoletności, kandydatów do stanu małżeńskiego upominał, aby przed ślubem starali się poznać wybrankę swego serca. Zakazał też narzeczonemu mieszkać przed ślubem w domu narzeczonej. Jego zarządzenia, zmierzające do poprawy obyczajów, otrzymały moc prawną. Podniósł również autorytet trybunałów; każdy musiał stanąć na pozew, pachołkom sądowym nadano powagę urzędników, nieposłusznym groziły skutki klątwy. W Babilonji, której ludność żydowska stanowiła świat zupełnie odrębny, groza klątwy sama przez się jednała prawu dostateczny posłuch i powagę.—Działalność Raba szła tedy dwoma torami: uzacniał obyczaje i podniecał zamiłowanie nauki w kraju, który dawniej, jak wyrażają się źródła, „leżał szczerym, nieogrodzonym ugorem.“ Rab otoczył go płotem podwójnym surowości obyczajów i pracy umysłowej; pod tym względem stał się tem dla Babilonji, czem Hillel był dla Judei.

Przypomina też Rab Hillela swemi cnotami, cierpliwością, pojednawczością i skromnością. Gdy w dni wykładowe ciągnęły za nim do szkoły nieprzejrzane rzesze, przywodził sobie na pamięć, dla odpędzenia myśli wyniosłych, wiersz z księgi Joba: „Jeżeli wielkość człowieka sięga do niebios, to również nagle przemija.“ Syn jego Chija był biegłym halachistą; drugiemu synowi Aibu

pozbawionemu zdolności umysłowych, zalecił, oprócz innych prawideł życia, zajęcie się rolą: „Lepszy skromny spłacheć pola, niż obszerny magazyn.“ Córka wyszła za mąż w dom egzylarchy; dzieci jej wyrosły z czasem na zacnych i uczonych książąt. Gdy Rab umarł, odprowadzili jego ciało na miejsce wiecznego spoczynku wszyscy uczniowie i nosili po nim rok cały żałobę.

Wielostronniejszym od Raba był jego przyjaciel, przeciwnik halachiczny i współkrzewiciel kultury wśród gmin babilońsko-żydowskich, Mar-Samuel (ur. ok. 180, zm. 257). Ta osobistość, wielkiemi obdarzona zdolnościami, stanowi poniekąd epokę w nauce żydowskiej. Mar-Samuel był trzeźwym myślicielem, dalekim od wszelkich ekstrawagancji mistycznych. Podczas gdy jego współcześnicy spodziewali się, że przed nastaniem doby mesjańskiej powtórzą się dawne cuda, twierdził on, że wszystko odbędzie się przyrodzoną rzeczy koleją, tylko że Izrael wyzwoli się z pod jarzma obcego. Swoją działalność poświęcił trzem dziedzinom nauki: wykładowi Zakonu, astronomji i medycynie.

Znajomością żydowskiego prawa cywilnego znacznie przewyższał Raba. Rozwinął i wzbogacił wszechstronnie prawo talmudyczne i wszystkie jego rezolucje uzyskały moc i powagę. Atoli żadne z jego orzeczeń nie miało takiej doniosłości jak to, że prawa krajowe są równie dla Żydów obowiązujące, jak własne (dina d'malchuta dina). Mar-Samuel chciał, aby ta zasada była przestrzegana nietylko jako wymuszona tolerancja dla obcych prawodawstw, lecz jako norma bezwzględna, której przekroczenie uważaćby należało za naganne nawet ze stanowiska religji. To uznanie ustaw krajowych stało się w następstwie kotwicą ratunku dla rozproszonych. Z jednej strony godziło Żydów z państwem, do którego zagnał ich los nieubłagany; ich sumienie religijne nie

buntowało się przeciw nieludzkim nieraz prawom, któremi poniewierano ich godność. Z drugiej strony obalało trzema słowami zarzuty żydożerców wszystkich stuleci, którzy pod pozorem wrogiego wrzekomo ducha judaizmu nawoływali do prześladowania jego wyznawców.

Prorok Jeremjasz żegnał udających się do Babilonji wygnańców serdeczną nauką, jak zachować się mają na obczyźnie: „Przyczyniajcie się do pomyślności miasta, do którego was wygnano.“ To upomnienie serdeczne przeistoczył Mar-Samuel w przepis religijny: „Prawo państwa jest prawem obowiązującem.“ Stanowi on dzięki temu odrębne wśród Amoraitów zjawisko. Zagłębiony, jak jego koledzy w Babilonji i Judei, w Zakon i tradycję, wzniósł się ponad ciasny widnokrąg narodowości żydowskiej, aby sobie otworzyć widok na życie innych narodów i inne dążenia narodowe. Nie obawiał się szukać nauki u mędrców perskich. Z swym perskim przyjacielem Ablaatem uprawiał wzniosłą naukę o ciałach niebieskich. Równina pomiędzy Eufratem a Tygrysem, której rozległego horyzontu nie zacieśnia żaden pagórek, była kolebką astronomji, która też, co prawda, wyrodziła się w tym kraju w bałamutną umiejętność przepowiadania z gwiazd, w astrologję, sprzęgającą przelotną chwilkę istnienia ludzkiego z wiekuistym gwiazd kołowrotem. Ale Mar-Samuel, czerpiący swoje poglądy z ducha żydowskiego, nie przywiązywał żadnej wagi do horoskopów i zajmował się tylko wiedzą rzetelną. Chlubił się: „Drogi niebieskie znane mi są tak dobrze, jak ulice Nahardei.“ Tylko kapryśnego obiegu komet nie umiał obliczyć. Z nauki tej zrobił użytek praktyczny. Na podstawie obliczeń astronomicznych ułożył stały kalendarz świąteczny, aby gminy babilońskie nie pozostawały w ciągłej niepewności co do dni uroczystych i wyzwoliły się z zależności od ustalenia nowiu w Judei. Jednakże kalendarza tego nie ogłosił, zapewne

przez pietyzm dla domu patrjarszego lub też może z obawy, aby nie rozerwał nim jedności żydostwa. Pomimo tej powściągliwości, gniewano się na niego w Judei, że dał pochop do obliczeń kalendarzowych. Szydzono z jego wiadomości astronomicznych i wyrzucano mu nieznajomość reguły, którą on właśnie pierwszy sformułował. Gdy później córki jego dostały się w niewolę, przypisano to nieszczęście jego grzesznej pracy nad ułożeniem kalendarza świątecznego. Jako lekarz powiadał o sobie, że umie leczyć wszystkie choroby, z wyjątkiem trzech tylko. Maść na oczy jego wynalazku była w powszechnem użyciu.

Pomiędzy Mar-Samuelem a fundatorem szkoły surańskiej panowała zgoda braterska. W skromności swej podporządkowywał się dobrowolnie swemu koledze. Po śmierci Raba uznany został Mar-Samuel za jedynego rektora na Babilonję i przez lat dziesięć piastował tę godność. Jochanan w Judei wzdragał się zrazu uznać jego powagi. On, tudzież inni nauczyciele w Palestynie nie wierzyli, aby posiadał odpowiednią znajomość Zakonu. Gdy Mar-Samuel posłał do Judei obliczony na sześćdziesiąt lat z góry porządek świąt, wywołał tem tylko pogardliwą uwagę r. Jochanana: „Rachować umie niezgorzej.“ Dopiero przesłanie kilku zwojów, zapełnionych orzeczeniami prawnemi, zjednało Mar-Samuelowi większe poważanie. Jochanan i Ben-Lakisz, pragnąc poznać tego niezwykłego męża, gotowali się już w drogę, aby go odwiedzić, gdy wtem przyszła wieść, że Mar-Samuel rozstał się z światem. Nie pozostawił on męzkiego potomstwa, natomiast liczny zastęp adeptów.

W tym czasie w kraju podległym królom partyjskim nastąpiła doniosła rewolucja, która przedewszystkiem dała się dotkliwie we znaki ludności żydowskiej. Czterystoletnia dynastja Arzacydów upadła, nowy i dzielny ród królewski wydarł jej berło, wywołując tą zmianą tronu przewrót wewnętrzny i zewnętrzny. Ardaszyr,

potomek starożytnego rodu perskiego, był sprawcą owego przewrotu. W połączeniu z patrjotami perskimi, a z podniety kapłanów magizmu, którzy nienawidzili dynastji Arzacydów z powodu jej półgreckiego pochodzenia, jej ciążenia do greckich wierzeń religijnych a pogardy dla religji narodowej, tudzież ich bezsilności wobec ciągłych postępów oręża rzymskiego, sprzysiągł się Ardaszyr przeciw ostatniemu Arzacydzie, Artabanowi, zadał mu klęskę w bitwie stanowczej (226) i założył nowoperski dom królewski Sasanidów. Szczep, który obecnie dobił się władzy, nosi w historji imię Nowopersów lub Chebre; do dziś dnia ostał się w Indjach nędzny jego szczątek, zwany Gwebrami. Skutki tej rewolucji dały się odczuć zarówno pod względem religijnym, jak politycznym. Entuzjastyczny zapał zwycięzcy dla odwiecznego kultu ognia zastąpił dotychczasową obojętność dla niego. Dumnie tytułował się Ardaszyr: „czciciel Hormuzda, król królów Iranu, latorośl rodu niebieskiego.“ Wprowadzono wszędzie naukę Zoroastra o podwójnym pierwiastku światła i ciemności. Ardaszyr kazał magom ułożyć kodeks Zend-Awesta z jego czarodziejskiemi formułkami i ogłosić go jako księgę świętą. Magowie, kasta kapłańska tego kultu, urośli w znaczenie, wpływ i potęgę; zwolenników cywilizacji greckiej tępili ogniem i mieczem. Rozbudzony fanatyzm magów zwrócił się również z zaciekłością przeciw chrześcijanom, którzy zamieszkiwali licznie górną Mezopotamję w zdobytych przez Rzymian okręgach Nizibis i Edesie, gdzie też posiadali swoje własne szkoły.

Nie oszczędziło Żydów to zagorzalstwo i tylko ich tłumność, zwartość i odporność mitygowały nieco prześladowców. W pierwszem upojeniu zwycięstwa odjęli Persowie trybunałom żydowskim jurysdykcję kryminalną, którą te wykonywały dotychczas, i zamknęli Żydom drogę do wszelkich urzędów, nie wyłączając nadzoru nad stanem rzek i kanałów. Nie obeszło się nawet bez za-

dania gwałtu ich sumieniu. W pewne święta, w które magowie oddawali w świątyni ognia cześć światłu, jako widomemu obrazowi boga światła Ahura-Mazdy, nie pozwalali Żydom rozniecać ognia i zapalać światła w mieszkaniach. Wdzierali się do domów żydowskich i gasili w nich wszelki płomień, a rozżarzone węgle zgarniali do swych świętych fajerek, by je w świątyni ognia ofiarować. Uważając ziemię i wodę za święte, jako cząstki boga Ahura-Mazdy, które przeto należy strzedz od splugawienia, zakazali Żydom chować umarłych, sami bowiem porzucali swoich na pastwę ptakom drapieżnym, i kąpać się w wodzie źródlanej, gdyż u nich nieczyści obmywali się z brudu krowią urvną. Zgryziony wieścią o śmierci Artabana, rzekł Rab: „Teraz zerwały się węzły.“ Skoro się Jochanan dowiedział, że Sasanidzi wtargnęli zwycięsko do Babilonji żydowskiej, zatrwożył się wielce o los swych babilońskich rodaków i uspokoił się dopiero, gdy mu doniesiono, że zdobywcy są bardzo ubodzy i dadzą się pewnie przejednać pieniędzmi. Z powodu napółdzikiego charakteru Gwebrów nazywał ich ludem wyrzutków, któremu wydano na łup gminy babilońskie. Atoli z czasem fanatyzm Persów złagodniał i Żydzi pogodzili się z nimi. Brali nawet udział w ich ucztach. Ta tolerancja nastąpiła niezawodnie dopiero za panowania drugiego króla z tej dynastji, łagodnego Szabura I (241—272), zaprzyjaźnionego z Mar-Samuelem. Ten wielkoduszny monarcha zapewniał Samuela, że w licznych wojnach, które prowadził z Rzymianami na terytorjach gęsto zaludnionych Żydami nie przelał ani kropli krwi żydowskiej, z wyjątkiem 12,000 Żydów w Kapadocji, którzy stawili mu opór.

Głęboki przewrót w Partji przyczynił się do przyspieszenia rozkładu państwa rzymskiego. Persowie z jednej strony, a Giermanowie i Goci z drugiej wpadli do

różnych dzielnic cesarstwa, jakby powołani zostali do ziszczenia grożących srogiemi karami przepowiedni Sybilli żydowskiej. Wśród wszystkich niemal narodów, przez Rzym ujarzmionych, powstawali mężowie, którzy się narzucali na władców italskiemu Babilonowi; wybiła godzina odwetu. Były to ptaki drapieżne, które wydzierały sobie nawzajem gnijące ciało państwa rzymskiego.

Rzym doczekał jeszcze tej hańby, że jeden z jego cesarzów, Walerjan, który wyruszył, aby odebrać Szaburowi jego zdobycze, dostał się w ręce swego wroga i zakosztował w pełni goryczy niewoli u wyniosłego zwycięzcy. Niewola cesarza Walerjana i niedołęstwo jego syna i następcy, Galljena, podkopały w Rzymie wszelki autorytet i karność, a wypadki następnego dziesięciolecia przypominają szermierkę gladjatorów na olbrzymiej arenie. Na wszystkich krańcach państwa rzymskiego występowali uzurpatorzy. Prowincje wschodnie, w sąsiedztwie potężnego już teraz królestwa perskiego, zawichrzyły się zupełną anarchją. Bogaty i rezolutny Palmireńczyk Odenat, potomek niejakiego Nasora, zebrał hufiec łupieskich i dzikich Saracenów i, gdy imię Rzymu i jego prefektów-satrapów przestało siać postrach dokoła, rozpuszczał z Palmiry częste zagony z jednej strony do Syrji i Palestyny, z drugiej zaś w okolice Eufratu, plądrując i burząc wszystko po drodze.

W ówczesnym rozstroju państwa rzymskiego przyswoił sobie tytuł „konsula i wodza Orjentu.“ Czemużby nie miał sięgnąć po koronę cesarską? Jakoż uczynił to w istocie. Wrogie traktowanie Żydów w granicach jego władzy zjednało mu w sferach żydowskich miano herszta rozbójników Papa Bar-Nasor. Stosowano do niego słowa wizji Danielowej: „Mały róg, z większego wyrosły, z oczami człowieka i wyniośle mówiącemi ustami.“ W pościgu za Szaburem, wracającym do domu

po zwycięstwie nad legjami rzymskiemi, zburzył Odenat miasto Nahardeę (259), której ludność żydowska wzięła widocznie stronę jego wrogów. Amoraici nahardeańscy, uczniowie Mar-Samuela, który po śmierci mistrza kontynuowali jego działalność, uciekli i osiedli w Machuzie i innych miastach w okolicach Tygrysu. Podczas burzenia Nahardei dostały się w niewolę i córki Mar-Samuela. Rabusie uprowadzili je do Sepforis, obiecując sobie zyski obfitsze z okupu, niż ze sprzedaży na rynkach niewolników; wiadomo bowiem było powszechnie, że Żydzi nie żałowali złota, gdy chodziło o wykupienie wziętych do niewoli rodaków.

Odenat, burzyciel Nahardei, stał się powoli niemal cesarzem rzymskim w oazie palmirskiej (Tadmor), którą król Salomon przeistoczył w miasto. Do takiego upadku pochyliło się już cesarstwo, że ten mąż, nieznany dotychczas, musiał kłaść tamę perskim zaborom w granicach państwa rzymskiego. Niedługo cieszył się Odenat wysoką godnością; zamordował go zazdrosny o nią krewny Meonjusz (267) i sam ogłosił się cesarzem. Zabójstwo to nastąpiło podobno z poduszczenia małżonki Odenata, Zenobji, rozgniewanej na męża, że z pominięciem jej synów mianował współrządcą syna swego z pierwszego małżeństwa, Heroda. Ta energiczna, wykształcona i bystrego rozumu regientka powzięła zamiar ambitny: chciała zostać cesarzową i Semiramidą Palmiry. W Judei żywiono do tego państwa palmirskiego głęboką odrazę. R. Jochanan wyraził się: „Błogo temu, kto dożyje upadku Tadmoru!“ Partyzanci żydowscy napadali na przeciągające przez Palestynę wojska Zenobji. Albowiem jako cesarzowa panowała nietylko w Syrji i Palestynie, ale i w Egipcie. Stolica jej w Palmirze przypominała miasto czarodziejskie. Ale państwo jej podobne było do fatamorgany w pustyni. Najwaleczniejszy wśród owoczesnych cesarzy rzymskich, Aurel-

jusz, położył kres jej kilkoletnim, pełnym blasku rządom (267—273) i uprowadził dumną monarchinię w złotych łańcuchach na tryumf do Rzymu. R. Jochanan doczekał jeszcze ziszczenia swych życzeń. Palmira zburzona została doszczętnie i następnie tak przysypana piaskami pustyni, że ruiny jej odkopano dopiero w dobie ostatniej.

Judea przeżyła to efemeryczne cesarstwo, jak wiele innych państw i narodów, ale i jej świetność mierzchnąć poczęła. Patrjarchat, którego znaczenie opierało się jeszcze na osobistej powadze Judy II, darzonego łaskami przez cesarza Aleksandra Sewera, postradał ze śmiercią tego dostojnika swój autorytet. U jego mogiły oddano mu te same hołdy, co jego dziadowi tegoż imienia. Znakomity nauczyciel Zakonu, r. Jannaj, zawołał do Aronidów: „Na dziś zawieszona zostaje świętość kapłaństwa,“ co pozwoliło im krzątać się koło ciała zmarłego. R. Juda II był ostatnim wybitnym patrjarchą. Syn jego, Gamaliel IV, nie odznaczał się ani osobistemi zaletami, ani głębszą znajomością Zakonu. Jedynie przez pamięć na płynącą w jego żyłach krew króla Dawida i Hillela oraz jego wielkich potomków cieszył się patrjarcha szacunkiem i reprezentował po dawnemu powszechność żydowską. Nie stał on już obecnie jak jego poprzednicy, na czele szkoły w Tyberjadzie; prowadzili ją r. Jochanan i Ben-Lakisz, wywierając wielką atrakcję. Rojnie napływała młodzież babilońska do tej akademji, aby tradycje starodawne czerpać u źródła w ich pierwotnej czystości. Niektórzy zostawiali żonę i dzieci w ojczyźnie i do ostatka dni swoich mieszkali w Judei. Koryfeusze tyberjadzcy niebardzo byli radzi tej babilońskiej powodzi. Gdy Ben-Lakisz spostrzegł pewnego razu skupioną gromadkę Babilończyków, zawołał do nich gniewnie: „Rozejdźcie się! Kiedyście mogli być murem Judei, siedzieliście w domu, cóż więc robicie tu teraz?“ Ciągnęła też zagranicznych

Żydów do Palestyny świętość jej gleby. Zamożni ostatnią wolą polecali, aby pochowano ich szczątki w ziemi palestyńskiej. Często widywano małe ozdobne trumny na płynących z Aleksandrji okrętach lub na grzbietach wielbłądów, ciągnących z Babilonji, wiezione do Palestyny, gdzie miały spocząć w nabytych umyślnie w tym celu grobowcach. Umierający spodziewał się, że pewniej i łatwiej zmartwychwstanie z prochu świętego.

Pogarda, z jaką Palestyńczycy spoglądali na Babilończyków, nie była bynajmniej usprawiedliwiona. Tkwiło jakieś zdrowe jądro w tych synach krainy nadeufrackiej, nieprzygnębionych uciskiem dręczycieli rzymskich i nieprzytłoczonych brzemieniem podatków. Wprawdzie z wiarą w potęgę duchów nieczystych przyswoili sobie też niedawno od Persów zabobonne praktyki egzorcystów. Sam r. Jochanan potępiał ten import, zwłaszcza zwyczaj potrząsania w ostatni dzień święta szałasów (Hoszana-Rabba) gałęźmi wierzbowemi, rękoczyn, którym usiłowano odpędzać demonów. Atoli Babilończycy mieli też tęgie głowy i z łatwością przyswajali sobie i wyjaśniali przekazaną osnowę nauki. Do najzdolniejszych uczniów r. Jochanana należeli Babilończycy: r. Eleazar Bar-Pedat, który po śmierci mistrza otrzymał miano „autorytetu Ziemi świętej," dalej para bliźniacza r. Ami i r. Assi, późniejsi kierownicy akademji w Tyberjadzie, tudzież r. Szymon Bar-Abba i r. Chija Bar-Abba. Mężom tym nie dorównał żaden z uczniów palestyńskich r. Jochanana. Ci Babilończycy podsycili jeszcze zbudzony przez Raba i Mar-Samuela entuzjazm dla studjów talmudycznych. W babilońskich uczelniach talmudycznych nauka Zakonu zapuściła tak głębokie korzenie, że roślina ta na obcej glebie jeszcze bujniej zakwitła, niż na gruncie ojczystym. Z niezmiernym zapałem rzuciły się wszystkie klasy ludności do nauki Zakonu, aby regulować swe życie według jego wskazówek.

Za największy poczytywano sobie zaszczyt być uznanym za biegłego w Zakonie, jak za największą hańbę być zaliczonym w poczet nieuków. Dawniejsza niemoralność znikła w Babilonji żydowskiej wraz z rażącem nieuctwem, a życie domowe i publiczne ukształtowało się według ideałów, piastowanych i gorliwie propagowanych przez dwóch wielkich zwierzchników akademji, Raba i Mar-Samuela. Babilonja pod niejednym względem przybrała charakter Ziemi świętej, nawet w sprawie dani kapłańskich, które jednak obracano na pożytek nauczycieli Zakonu; naukę ceniono wyżej, aniżeli kapłaństwo. Babilonja stała się formalnie państwem żydowskiem, którego konstytucją była Miszna, a przedstawicielami książę wygnania i kierownicy zebrań naukowych. Ten rozkwit życia duchowego udzielił się również egzylarchom; i oni też przyswajali sobie odtąd znajomość Zakonu.

Rozbudzony ruch umysłowy miał w następcach Raba i Mar-Samuela dzielnych popieraczy. Do najwybitniejszych należeli: Huna, zwierzchnik akademji surańskiej i uznana też zagranicą powaga; Juda Ben-Jecheskiel, założyciel po zburzeniu Nahardei nowej uczelni w Pumbadicie i twórca nowej metody studjów halachicznych, Nachman Bar-Jakob, zięć egzylarchy, mąż bystrego rozumu, lecz szorstki w obejściu, bogaty r. Chasda i ubogi r. Szeszet, odpychający się wzajem, niby dwa przeciwległe bieguny.

Huna (ur. około 220, zm. 297) z Dio-Kart, następca Raba w Surze, najznakomitszą był tego czasu powagą, przed którą schylali też czoło Amoraici tyberjadzcy, lubo bystrością umysłu ustępował kolegom. Dzieje jego życia służą jednocześnie za obraz obyczajów tej doby, w której niestygnący zapał dla nauki szedł w parze z świeckim zawodem, z uprawą roli lub jakim innym przemysłem. Lubo spowinowacony z księciem wygnania,

nie był jednak Huna zamożnym. Sam uprawiał swój skromny spłachetek i nie wstydził się pracy. Gdy go strony prosiły, by ich sprawę rozsądził, zwykł był odpowiadać: „Dajcie mi człowieka, któryby mnie zastąpił na roli, a będę waszym sędzią.“ Często wracał z pola z rydlem na ramieniu. W tej postawie spotkał go kiedyś największy bogacz w Babilonji, Chama Bar-Anilaj, mąż nader dobroczynny i szczodry, prawdziwy ojciec ubogich. Mówiono o tym Krezusie, że w pełnieniu żydowskiej cnoty miłosierdzia osiągnął ideał i zrównał się w tej mierze z praojcem Abrahamem. W domu jego, do którego zewsząd wiodły bramy, pieczono dzień i noc dla ubogich, a kto wszedł głodny, opuszczał go syt. Na ulicy trzymał Chama zawsze rękę w trzosie, aby wstydliwy biedak nie potrzebował długo czekać w przykrej sytuacji. W czasie klęski głodowej kazał wystawiać na noc pszenicę i jęczmień dla tych, którym ambicja nie pozwalała mieszać się z korowodem żebraków. Gdy zachodziła potrzeba nadzwyczajnego podatku, można było być pewnym, że znaczną część jego Chama pokryje. Pomimo niezmiernych bogactw odznaczał się ten dobroczyńca taką skromnością, że przez cześć dla rektora Huny, zawsze usiłował odebrać mu rydel, ilekroć go spotkał wracającego z roboty. Ale Huna nigdy się na to nie zgodził: „Nie przywykłeś, mówił, czynić tego u siebie, nie pozwolę ci więc na to i tutaj.“

Dorobiwszy się później majątku, używał Huna do robót w polu najemników, którym oddawał część swoich plonów; stada jego pasły się w stepach Babilonji południowej. I on również czynił z swoich bogactw najszlachetniejszy użytek. W dni burzliwe, w które wiatry, wiejące od pustyni syryjskiej, zrządzają zazwyczaj w tych stronach wielkie zniszczenia, kazał się w lektyce obnosić po ulicach miasta, aby dokonać przeglądu domów surańskich, przyczem polecał burzyć wszystkie chwiejące się mury. Jeżeli właściciel nie był w stanie odbudować zwalonego budynku, udzielał mu środków z własnej szkatuły. W porze obiadowej wszystkie drzwi jego domu stały otworem i rozlegały się głośne wołania: „Kto cierpi niedostatek, niech przyjdzie i głód swój nasyci.“ Znamy jeszcze inne rysy jego uprzedzającej, zabiegliwej dobroci. Podczas miesięcy szkolnych utrzymywał własnym kosztem ubogich słuchaczów swojej uczelni, których liczba wynosić miała 800 głów. Jego szlachetny charakter, uczoność i skromność budziły dlań wielką cześć w przyjaciołach, lecz nie zaślepiały ich jednak na jego błędy, choćby najbłahsze. Nauczyciele Zakonu byli nawzajem nader surowi dla siebie i nie pobłażali tym, co pozostawali w tyle za ideałem nauki.

Życie publiczne w Babilonji, spojone najściślejszymi węzłami z uczelnią, otrzymało za rektoratu Huny owe urządzenia i nomenklaturę, które przetrwały niemal osiem stuleci. Stopniowo i nieświadomie ukształtowała się cała hjerarchja wyższych i niższych godności. Zgromadzenie szkolne nazwano Metibta. Kierownik jego, przewodniczący, zwał się Resz-Metibta (rektor). Najbliżsi mu stopniem byli Resze-Kalla (profesorowie), obowiązani w pierwszych trzech tygodniach dwóch miesięcy szkolnych objaśniać temat zapowiedzianych wykładów rektora. Od urzędu nauczycielskiego różnił się urząd sędziowski. Stanowił on właściwie atrybucję egzylarchy. Lecz ponieważ książęta wygnania bądź to nie byli dość biegli w prawie żydowskiem, bądź też nie mieli czasu lub chęci ku temu, mianowali więc sędziów z koła nauczycieli Zakonu. Zasiadali oni na sądy przed pałacem egzylarchy, zkąd każdorazowy sędzia najwyższy nosił tytuł sędziego bramnego (Dajan di Baba).

Przez czterdzieści lat stał Huna na czele swojej Metibty i dzięki jego bezspornej powadze zdobyła Ba-

bilonja zupełną niezależność od Judei. Odważnie przeprowadził zasadę, której nie zdołał urzeczywistnić mistrz jego, Rab: postawił Babilonję pod względem prawnym na równi z Judeą. „Uważamy się w Babilonji zupełnie jak w Ziemi świętej.“ Stargał ostatnią nić, wiążącą kraje wygnania z krajem ojczystym, a raczej dał tylko wyraz faktycznemu stanowi, gdyż Babilonja istotnie prześcignęła Judeę. Tylko przez pietyzm, lub gdy dla jakiej opinji pożądana była wyższa aprobata, udawano się z Babilonji do Ziemi świętej z prośbą o nadesłanie orzeczenia na piśmie. Za czasów działalności Huny trzymała prym akademja surańska. Przeżywszy lat z górą osiemdziesiąt, umarł nagłą śmiercią (297), przekazując synowi Rabbahowi swoją sławę i cnoty. Szczątkom jego oddali przyjaciele i uczniowie najwyższe honory. Mowę pogrzebową zagajono słowami: „Huna godzien był, aby na nim spoczął Duch święty.“ Prawdopodobnie w myśl jego woli ostatniej wywieziono zwłoki do Judei, gdzie na ich spotkanie wyszli najprzedniejsi mężowie i pochowali je w grobowcu r. Chiji, który był także Babilończykiem.

Uzupełniającą antytezę Huny stanowił jego młodszy kolega Juda Bar-Jecheskiel (ur. 225, um. 299). Lubo słuchacz Raba, przechylał się do Mar-Samuela, którego metodę w dalszym ciągu rozwijał. Była to postać z jednej bryły wykuta, nader utalentowana, ale też nader przykra w pożyciu. Potomek starożytnej rodziny, której drzewo gienealogiczne sięgało może do rodów biblijnych, ujawniał nadzwyczajną skrupulatność i drażliwość na punkcie dobrego urodzenia i krwi niezmieszanej. Zwolennik prostoty we wszystkiem, napadał gwałtownie na tych, którym życie wykwintne bardziej trafiało do smaku. Czciciel Ziemi świętej, ganił jednak tych, co opuszczali Babilonję, aby się kształcić w szkołach palestyńskich, a zwłaszcza swoich przyjaciół i uczniów,

którzy przyłączyli się do emigracji. Założona przezeń w Pumbadicie akademja stała się rozsadnikiem oświaty w Babilonji północnej, jak Sura w południowej.

Zgodnie z ogólną cechą charakteru miasta rodzinnego, do tego stopnia przeważał w Bar-Jecheskielu rozum nad uczuciem, że tylko jeden dzień na miesiąc poświęcał modlitwie, zajmując się zresztą wyłącznie Zakonem. Już Mar-Samuel uczcił go epitetem „bystrego;“ jakoż stał się on odnowicielem owej drobiazgowej metody, która po przemijającym żywocie na ziemi palestyńskiej zapuściła mocne korzenie w Babilonji i wyrodziła się w przemądrzałą subtelność. Wykłady Judy obracały się wyłącznie w dziedzinie prawa, gdyż nastręcza ono okazję do bystrych zestawień i rozróżnień, wniosków i zastosowań, a teorja idzie tu ręka w rękę z praktyką.

Materjał prawny skurczył się za czasów Judy do szczupłego zakresu rzeczywistych potrzeb życia codziennego. Wprowadził on zwyczaj przytaczania nietylko treści tradycji, lecz i imion uczonych, co ją przekazali. Rzecz dziwna, że rodzony brat jego Rami (R. Ami) rzucił cień na ścisłość podawanych przez niego tradycji. „Nie wierzcie—odzywał się nieraz—orzeczeniom, które brat mój Juda przytacza w imieniu Raba lub Mar-Samuela, lecz tak a tak opiewa tradycja.“

W kwestji czystości rodowej był Juda tak skrupulatny, że swego syna Izaaka nie chciał ożenić przez czas długi po dojściu do wieku męskiego, obawiając się, aby rodzina, z której wybierze mu żonę, nie miała jakiej skazy ukrytej. Trafną zrobił mu kiedyś uwagę w tym względzie nauczyciel Zakonu Ulla: „Możemyż wiedzieć napewno, czy nie pochodzimy czasem od pogan, którzy przy oblężeniu Jerozolimy pohańbili dziewice syońskie?“ Taką wybrednością w sprawie pochodzenia naraził się Juda na niejedną przykrość. Przybył

do Pumbadity pewien mąż z Nahardei, który wywodził się z Hasmoneuszów; zły, że na każdym kroku dają r. Judzie pierwszeństwo, wyraził się o nim z przekąsem. Na to r. Juda odpowiedział klątwą, a gdy w dodatku doszło do jego uszu, że ten Nahardeańczyk nazywa wszystkich niewolnikami, uniósł się takim gniewem, że go publicznie napiętnował jako potomka podłych niewolników.

Tem napiętnowaniem uczuły się obrażone niektóre rodziny nahardeańskie, spowinowacone z ofiarą porywczości r. Judy. Wszczął się rozruch przeciw r. Judzie; chciano go ukamienować. Ale on nie uląkł się pogróżek i sam im pogroził: „Jeżeli się nie pomiarkujecie, wyjawię jeszcze więcej niemiłych tajemnic rodzinnych.“ Groźba ta rozproszyła napastników.

W Pumbadicie surowość r. Judy dotknęła ulubieńca króla Szabura, niejakiego Bati Bar-Tabi, niegdyś niewolnika, lecz obecnie poważanego przez tłumy i pomimo nizkiego pochodzenia spowinowaconego z możnymi rodami. Dumny faworyt widocznie jakimś czynem lub słowem naraził sobie r. Judę, skoro ten kazał obwieścić, że Bati nie przestał być niewolnikiem, gdyż przez pychę nie wziął od dawnego pana nieodzownego świadectwa nadanej wolności.

Pewnego razu obłożył też r. Juda klątwą poważnego członka kolegjum, o którego sprawowaniu krążyły niepochlebne wieści. Gdy ów wyklęty odwiedził go w ostatniej chorobie, rzekł mu otwarcie: „Szczycę się, żem takiego męża, jak ty, nie oszczędził przez wzgląd na osobę.“ Dla głębokiej wiedzy, bystrego rozumu i prawego charakteru wybaczali mu współcześni jego gwałtowność; zarówno w Babilonji, jak zagranicą cieszył się niezaprzeczoną powagą.

Najmłodszy w tem kole, r. Nachman Bar-Jakob (um. 320), uzmysławiał dumne poczucie własnej godności Zydów babilońskich, oparte na dobrobycie i bezpieczeństwie, a żona jego Jalta, córka egzylarchy, unaocznia upodobanie w przepychu, kapryśność i samowolę ojcowskiego domu. Uczonością dorównywał r. Nachman współczesnym Amoraitom, lecz ustępował im pod względem moralnym. Mianowany przez teścia sędzią, pozwalał sobie rozsądzać sprawy bez asesorów, jakkolwiek mistrz jego Mar-Samuel uważał nawet kolegjum złożone z dwóch sędziów za uzurpatorskie, a dawniejsza Halacha wręcz zabraniała odprawiania sądów pojedyńczemu sędziemu.

Słodycz i dobroczynność były mu obce zupełnie. Bezwzględnie traktował swoich niewolników, w których deptał godność ludzką w sposób obrażający poczucie moralne. Niewolnicom swym nie pozwalał wstępować w stałe związki małżeńskie, niepodobny w tem do Mar-Samuela, który obchodził się z niewolnikami, jak z członkami rodziny, ani do Amoraity tyberjadzkiego, r. Jochanana, który niewolników sadzał u swego stołu. Zkądinąd twórcy Talmudu przestrzegali przeciętnie z równą sumiennością przepisów moralnych, jak rytualnych. Oschłość serca i niemoralność, które w najbliższem sąsiedztwie obserwowali wśród Greków i Rzymian, były dla nich niepojętem zjawiskiem. Za charakterystyczną cechę prawdziwego Żyda uważali miłosierność. Jeden tylko r. Nachman stanowił wyjątek.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Żydostwo za Dioklecjana i pierwszych cesarzów chrześcijańskich.

(284—320).

Ku schyłkowi trzeciego stulecia zdawał się bliskim upadek państwa rzymskiego; długi szereg cesarzy, ledwie na tron wyniesionych, ginie śmiercią gwałtowną.

Wojsko, które tych władców efemerycznych wynosiło, aby ich strącić niebawem, nie składało się z Rzymian, lecz z barbarzyńskich narodów. Rozpoczęła się wędrówka ludów, które bogactwem i pięknością Italji znęcone przekroczyły granice. Cesarz Dioklecjan i jego pomocnicy zażegnali narazie grożącą katastrofę. Mocarz ten, syn niewolnika, nie mógł inaczej opanować zamętu, jak przez zatarcie ostatnich śladów rzymskiej wolności i zakucie całego społeczeństwa rzymskiego w pęta połowicznej niewoli. W Judei śledzono te zmiany polityczne z naprężoną uwagą i w słowach Pisma świętego znajdowano do nich aluzję. W czwartym zwierzu widzeń Danielowych upatrywali wykładacze grzeszne państwo rzymskie, „które swoją tyranją ciemiężyło wszystkie narody.“ Zanim Dioklecjan mógł przywdziać purpurę, trzeba było obalić trzech cesarzy: Carusa, Carinusa i Carausiusa. Zapowiedź tych zabójstw znaleźli wykładacze w słowach wizji Daniela: „Trzy rogi będą przed nim utrącone.“ Wypadki w świecie rzymskim do tego stopnia zaprzątały umysły rektorów żydowskich, że nawet we śnie nie dawały im spokoju. W dniu, w którym Dioklecjan zasiadł na tronie, miał podobno r. Ami w Tyberjadzie widzenie, które mu objawiło wierszem Pisma o książętach Edomu, że Dioklecjan jednego jeszcze tylko będzie miał następcę. Do pewnego stopnia ziścił się ten sen, gdyż po Dioklecjanie jeden jeszcze tylko cesarz pogański panował nad Rzymem, protoplasta cesarzów chrześcijańskich.

Za panowania Dioklecjana piastował godność patrjarszą Juda III, syn Gamaliela IV, mąż nie odznaczający się przymiotami umysłu, a przytem tak niedostatecznie obeznany z Zakonem, że nie mógł wzorem przodków kierować akademją r. Jochanana w Tyberjadzie. Na czele jej stanęli tedy r. Ami i r. Assi, przybysze z Babilonji, którzy wraz z r. Chiją Bar-Abba,

również Babilończykiem, utworzyli kolegjum. R. Abbahu, Palestyńczyk, postać sympatyczna, nie posiadał równej tym mężom powagi. Wszelako patrjarsze oddawano po dawnemu honory książęce. Możne rody ciągle jeszcze składały mu wizyty hołdowne. R. Juda zwracał większą od swych poprzedników uwagę na sprawy gminne i szkolne. Trzem członkom kolegjum polecił, aby się udali w objazd po miastach Judei na rewizję instytucji religijnych i szkolnych i dźwignęli przywiedzione do upadku. W pewnej miejscowości nie zastali komisarze żadnego nauczyciela, prosili więc przełożonych, aby im przyprowadzili stróżów miasta. Zaczem, gdy stawiono przed nimi straż miejską, rzekli: „Nie stróże to miasta bynajmniej, lecz jego burzyciele; prawdziwi stróże to nauczyciele dziatwy i młodzieży; jeżeli Bóg domu nie strzeże, to stróż czuwa napróżno.“

W pierwszych czasach swego panowania bawił Dioklecjan w Antjochji, zkąd rychlej mógł odpierać najazdy wojska perskiego. Nieprzyjaciele i zawistnicy patrjarchy oczernili go tu, jak się zdaje, przed cesarzem. Donieśli też cesarzowi, że otoczenie patrjarchy podrwiwa sobie z jego niskiego pochodzenia i przydomku Aper (dzik). Nagle otrzymał Juda wezwanie, aby się stawił przed Dioklecjanem. Snać jednak umiał rozbroić gniew cesarza, skoro Dioklecjan okazał się dla Żydów nader przychylnym, tem przychylniejszym może, im bardziej nienawidził chrześcijan, których, dla ich wytrwałej walki z rzymską religją państwową i gorliwości w nawracaniu niewiernych, uważał za jedyną przyczynę rozprzężenia państwa. Nie dotknęły też wcale Żydów surowe edykty Dioklecjana i jego współcesarzy (303), zmuszające chrześcijan do bałwochwalstwa, a zwłaszcza do oddawania czci wizerunkom cesarskim, i nakazujące zamykać ich kościoły i zbory, tudzież palić ich pisma religijne. Żydzi byli wręcz wyłączeni z tego edyktu, gwałcącego sumienia. Natomiast

Samarytan, jak chrześcijan, naglono do składania ofiar bogom pogańskim. Czyżby cesarze pomieszali ich z chrześcijanami, ponieważ także stanowili sektę żydowską? A może też wykroczyli w czemkolwiek przeciw majestatowi cesarza? Niektórzy Samarytanie nie wytrzymali próby i ulegli przymusowi. Oburzeni tem Żydzi poczęli traktować wszystkich wyznawców tej sekty jako bałwochwalców i wykluczyli ich zupełnie nazawsze ze swej społeczności. Jakieś dziwne fatum ciążyło nad tymi dwoma pokrewnymi sobie szczepami, że nie mogły znieść się na długo, że, co większa, z błahych powodów zaostrzał się zatarg między nimi wtedy właśnie, gdy wzajemne zbliżenie zdawało się łatwem. Przed wiekiem stosunki były znośne; przyznano Samarytanom, że są poniekąd szczerymi Żydami, i obopólna życzliwość tak głęboko zapuściła korzenie, że upadł wniosek r. Meira, aby uważano Samarytan za bałwochwalców; codzienne obcowanie i interesa zbyt ich zbliżyły do siebie. Nawet r. Jochanan nie wahał się pozwolić mięsa od Samarytan. Atoli jego następcy byli surowsi i przeprowadzili wyłączenie Samarytan, a ten rozdział osłabił obie strony. Chrześcijaństwo, roztropniejsze i energiczniejsze od swej matki, judaizmu, oświeceńsze i giętsze od swojej siostry, samarytanizmu, zdobyło wnet po tej separacji panowanie nad światem i dało obojgu w jednakowym stopniu uczuć swą przewagę. Golgota wydźwignięta na szczyt Kapitolu przytłoczyła podwójnym ciężarem Syon i Garizim.

Rzecz to dość dziwna, że nawet w tej dobie garnęli się do judaizmu poganie. Gdyby się był oddał sprawie nawracania, mógłby sobie może zjednać tyluż prozelitów, co i chrześcijaństwo. Albowiem, po wtargnięciu ludów barbarzyńskich do państwa rzymskiego i po zdławieniu wolności, spragnione pociech religji umysły w świecie pogańskim zwątpiły o opiekuńczych

bóstwach Rzymu, o całej mitologji, o prawdzie wyroczni i skuteczności ofiar. Ostatni cesarz pogański trzymał się konwulsyjnie praktyk religijnych, aby nie wpaść w wir nowego prądu, płynącego z Judei. Ale judaizm nie mógł się zająć połowem dusz pogańskich, bo inaczej musiałby się zaprzeć siebie samego. Podczas gdy r. Abbahu wyrażał swą radość na widok prozelitów, uciekających się pod obronę Boga Izraela, odepchnęli ich ultrapobożni w żyznej krainie Gabalene za to, że przyjąwszy znak przymierza, nie wzięli obrzędowej kąpieli. A jednak Judea nie wydała w tym czasie żelaznym żadnej imponującej postaci. Można było mniemać, że już wyczerpało się łono, z którego przez piętnaście wieków wyszło tylu królów, wodzów, poetów, ognistych bohaterów oraz mistrzów moralności i prawa. Jedyną wybitną osobistością za czasów patrjarchy Judy III, t. j. za panowania Dioklecjana, był r. Abbahu z Cezarei. Wprawdzie jako nauczyciel Zakonu nie miał on w porównaniu z r. Ami i r. Asi żadnego znaczenia, natomiast posiadał pewien talent, którego nie posiadali jego współcześnicy. Odznaczał się wymową i był chętnie słuchanym kaznodzieją. Swemi kazaniami, nawiązanemi do tekstu Pisma świętego, umiał pocieszyć naród, upadający pod brzemieniem przemocy. Znał język grecki, co mu pozwalało obcować z wykształconymi poganami z Cezarei. Córki swe kazał uczyć literatury greckiej, uważając jej znajomość za ozdobę kobiety.

Z powodu obycia się z kulturalnemi formami owej epoki, które wielu poczytywało za zdrożne, zastosowano do niego wiersz: „dobrze jest, abyś się trzymał tego (nauki Halachy) i nie zaniedbywał tamtego (oświaty greckiej), gdyż bogobojny umie uczynić zadość wszystkim obowiązkom.“ Wykształcenie, piękna, pełna godności postać i słodycz charakteru zaskarbiły mu wielkie względy prokonsula rzymskiego, a zapewne też cesarza Dio-

klecjana. Dzięki wpływom, jakie miał u władzy, zdołał odwrócić niejedno surowe zarządzenie. Interesujący wypadek takiej interwencji rzuca zarazem światło na wewnętrzne życie tego czasu. R. Ami, r. Assi i r. Chija Bar-Abba ukarali przykładnie niejaką Tamarę, prawdopodobnie za wykroczenie przeciw moralności. Winowajczyni zaskarżyła sędziów przed ówczesnym prokonsulem. Sędziowie, zaniepokojeni o skutki tej skargi, zwrócili się do r. Abbahu z prośbą, aby użył swego wpływu w tej sprawie. Odpowiedział im, że wpływ jego rozbił się o mściwość, a może też piękność grzesznicy. Charakterystyczny jest styl tej odpowiedzi; słowa na pierwszy rzut oka maskują jej treść. Brzmi ona w sposób następujący: „Załatwiłem już sprawę oszczerców Eutokosa, Eumatesa i Talasseusa, lecz w sprawie upartej, krnąbrnej Tamary daremna była moja instancja.“ *)

R. Abbahu trudnił się wyrobem zasłon kobiecych. Dorobiwszy się na tem znacznego majątku, mógł kupować niewolników gockich i ozdobić swój dom krzesłami z kości słoniowej. Był to wszakże jeden z owych skromnych, łagodnych, zgodnych charakterów, które tem mniej domyślają się swojej wartości, im ona jest większa. Gdy mu chciano udzielić święceń, zrzekł się ich na rzecz Abby z Akko. Wraz z Chiją Bar-Abba miał pewnego razu w jakiemś mieście szereg odczytów; gdy tamten wykładał Halachę, on mówił na temat Agady. Rzecz prosta, że popularne wykłady Abbahu ściągały liczniejszych słuchaczy; aniżeli niezbyt dostępne wykłady

*) Oryginalność tego stylu, którego Grätz nie próbował nawet oddać w języku niemieckim, polega na grze słów.—Imiona owych oszczerców wyszczególnia r. Abbahu—może przez ostrożność—w tłomaczeniu hebrajskiem; w pierwotnej greckiej formie dopisano je, jak sądzę, dopiero później z tradycji, która zresztą uległa w rękop. skażeniu. (Przyp. tł.)

r. Chiji. Gdy ten ostatni użalał się na słabą frekwencję swoich odczytów, uspokoił go Abbahu temi słowy: „Twój przedmiot podobny jest do drogich kamieni, które rzadko kiedy znawców znajdują, mój zaś temat podobny jest do świecideł, które każdemu przypadają do smaku.“

Studja Zakonu, wymagające znacznego natężenia umysłu, chyliły się już naówczas do upadku, ustępując miejsca łatwej, gadatliwej Agadzie. Audytorja, w których wykładano Talmud, zaczęły się powoli wyludniać, gdy natomiast na kazania cisnęły się tłumne rzesze słuchaczów. Pociągnęło to rozpadnięcie się stanu uczonych na dwie ściśle odgraniczone, niechętne sobie klasy nauczycieli Zakonu (Amoraitów) i kaznodziejów. Urząd kaznodziejski wymagał dźwięcznego głosu; Agadysta, który głos taki posiadał, mógł być pewnym, że będzie zawsze mówił przed pełnemi ławami. Krzywili się na te sukcesy swoich przeciwników nauczyciele Zakonu i przycinali im słowami Pisma świętego: „Lepiej słuchać surowych mów mędrca, niż pieśni głupiego.“ Ale te dogryzki na nic się nie zdały. Kaznodzieje zawsze byli górą. R. Abbahu uprawiał oba zawody, wszakże w żadnym nic wybitnego nie zdziałał. Wielkość jego stanowił wzniosły charakter, skromność i łagodność.

Jego słodycz i wyrozumiałość na błędy bliźniego przejawiły się w pełni w pewnem zdarzeniu, które zarazem roztacza przed nami obraz obyczajów owej epoki. W czasie posuchy, dość częstego w Judei zjawiska, odmawiał zazwyczaj najgodniejszy członek gminy przepisane modlitwy o deszcz. Do tej zaszczytnej funkcji zalecono kiedyś zacnemu Abbahu człowieka nader smutnej sławy, którego dowcip ludowy przezwał Pentekaka (pięcioro grzechów). Gdy go Abbahu wezwał do siebie i zapytał o rodzaj zajęcia, przyznał się do hańbiącego zawodu: „Stręczę dziewki, sprzątam w teatrze,

noszę suknie do łaźni, zabawiam tam gości żartami i gram też na flecie.“ „Nicześ w życiu dobrego nie zrobił?“ badał go dalej r. Abbahu. „Pewnego razu, gdym sprzątał w teatrze, spostrzegłem pod kolumną płaczącą kobietę. Zapytana o powód swego smutku, odpowiedziała, że mąż jej dostał się w niewolę i, aby go wykupić, nie pozostaje jej nic innego, jak poświęcić swoją cnotę niewieścią. Usłyszawszy to, sprzedałem łóżko, kołdrę, całą moją chudobę i wręczyłem pieniądze owej kobiecie z temi słowy: „Idź i wykup swego męża bez myta grzesznego.“ Gdy Pentekaka, ta dziwna mieszanina szczytnej cnoty i podłości, skończył swą opowieść, zawołał r. Abbahu w zachwycie: „Nie masz godniejszego nad ciebie, aby się modlił za nas w nieszczęściu.“

Pomimo wrodzonej łagodności użył ten kaznodzieja cezarejski wszystkich zasobów swej agadycznej wymowy do ataków na religję chrześcijańską. Chrześcijaństwo dążyło wtedy z całej mocy do zdobycia panowania nad światem i przybrało wyzywającą postawę wobec judaizmu i pogaństwa, jakgdyby samo tylko miało prawo do bytu. Za śmiałe wystąpienie przeciw pogańskiemu kultowi ukarał je Dioklecjan siłą oręża. Przedstawiciele judaizmu zwalczali je orężem duchowym, usiłując podważyć jego fundamenta i posługując się słowem, dopóki im kneblem ust nie zamknięto. W kazaniu na temat, zaczerpnięty z Pisma świętego, zbijał r. Abbachu w ostrych, ciętych słowach dogmaty chrześcijańskie, wniebowstąpienie i synostwo boże. W następnem pokoleniu przypłaciłby życiem to kazanie.

Atoli ani oręż duchowy, którym przedstawiciele judaizmu posługiwali się przeciw nauce Chrystusowej, ani oręż brutalnej przemocy, którym przedstawiciele pogaństwa zadawali jej ciosy, nie zdołały powstrzymać jej zwycięskiego pochodu. Któż w owym zdumiewającym fakcie, że dziecię żydowskie z Nazaret podbiło pod moc

swą królestwa i trony, nie dopatrzy się konieczności dziejowej, która stary, zgrzybiały świat złożyła do grobu, aby powołać do życia świat nowy. Judaizm mógłby się cieszyć z tego zwycięstwa ducha nad siłą, gdyby tryumfujące chrześcijaństwo naśladowało łagodność swego założyciela. Ale jego panowanie, stanowiące w dziejach świata punkt zwrotny, ściągnęło na judaizm tylko nową ciężką, długotrwałą niedolę. Chrześcijaństwo dotąd znienawidzone, prześladowane, a jednak idące na przebój, rozbroiło swych wrogów i zaprzęgnęło ich do swego rydwanu. Państwo rzymskie, które przeczuwało instynktem, że nauka Chrystusa położy koniec jego istnieniu, musiało przyjąć chrzest, aby policzone już dni swoje przedłużyć o półtora stulecia. Pogaństwo, czerpiące swe soki z bezrozumu, kłamstwa i zdrożności, musiało pożegnać się z życiem pozornem i ustąpić miejsca innej formie religji. Nowa, zwycięzka wiara przewyższała z pewnością o całe niebo religje pogańskie, głosiła bowiem wznioślejsze pojęcia o Bóstwie i czystą naukę moralną. Współcześnie z Rzymem i Italją, które postradały swe znaczenie i pozostały zaledwie cieniem swej dawnej wielkości, zamarła też Judea i reprezentująca Jerozolimę Tyberjada. Świetne czyny Judei i Italji budziły już tylko echa w ludzkiej pamięci; a jednak te z barw życia wypełzłe, widmowe wspomnienia, tak jeszcze były potężne, że mogły iść o lepsze z żywemi siłami i wywierać na nie wpływ niewidzialny. Na razie atoli, dzięki potędze politycznej chrześcijaństwa, któremu cesarstwo użyczyło siekiery liktorów i miecza legjonów, zgasł ostatni promyk działalności duchowej w Judei, wyludniły się niegdyś oblegane przez młodzież żydowską audytorja akademji w Tyberjadzie.

I patrjarchat, acz zawsze jeszcze stojąc na czele żydostwa, świecił już obecnie ledwie marnymi strzępami dawnego splendoru. W epoce, w której chrześcijaństwo

zostało religją państwową, prawowitym dziedzicem tej godności był młody Hillel II (ur. około 310, um. po 362). Ojciec jego, Juda III, o którym pewien kłamliwy apostata rozgłosił, że przyjął jakoby chrzest na łożu śmiertelnem, powierzył go w wczesnej młodości opiece dwóch asesorów kolegjum, którzy zarazem objęli kierownictwo spraw patrjarchatu.

Jednym z tych opiekunów był Józef z Tyberjady, człowiek odarty z czci i sumienia. Właściwe swe oblicze odsłonił, gdy przyjąwszy wiarę chrześcijańską, jął wyrządzać tysiączne przykrości swym dawniejszym współwyznawcom i ziomkom. Wszelako już w czasie sprawowania opieki dopuszczał się różnych brudnych postępków. Posądzają go o zbrodnię świętokupstwa; za kubany miał udzielać ordynacji bogatym nieukom. A ówcześni nauczyciele Zakonu musieli się go bardzo obawiać, skoro nie śmieli zaprotestować przeciw tym haniebnym szacherkom, lecz poprzestali na okazaniu swej pogardy dla wyświęconych taką drogą kolegów. Jeden tylko kaznodzieja dał z ambony wyraz powszechnemu oburzeniu i zadrwił sobie z tych nieokrzesanych doktorów dowcipnem zastosowaniem wiersza proroka: „Biada tym, którzy do drzewa mówią: obudź się! do kamieni: ocknij się! Ten ma nauczać? Toż oprawiony jest tylko w srebro i złoto, a niemasz w nim ducha!“ Nic dziwnego, że wśród tamtoczesnych nauczycieli Zakonu panowało wielkie rozjątrzenie na ludzi patrjarchy i że przy sposobności dawali folgę swojej niechęci. Ów Józef z Tyberjady oszkalował swego pupila Hillela, rozpowiadając o nim, że prowadzi życie rozpustne i zapomocą czarów uwodzi piękne kobiety.

Rzecz dziwna, że właśnie w chwili wewnętrznego upadku zajaśniał patrjarchat nowym blaskiem na zewnątrz, niby trup przystrojony do grobu. W ostatnim wieku swego istnienia otrzymali patrjarchowie od cesa-

rzy pompatyczne tytuły „Oświeconych,“ „Prześwietnych,“ „Przesławnych,“ tytuły, które dzielili z dostojnikami państwa i które ich tem samem stawiały z nimi pozornie na równi. „Kto się ośmieli oświeconych patrjarchów publicznie znieważyć, ma być surowo karany,“ opiewa edykt cesarski, ogłoszony zapewne przez Dioklecjana.

Cesarz Konstantyn, który uczynił kościół potężnym, składając u stóp jego wszystkie wspaniałości doczesne, lecz który dał mu zarazem na dalszą drogę dwuznaczne błogosławieństwo: „Przez miecz żyć będziesz,“ nadał też z początku religji żydowskiej równouprawnienie z innemi religijnemi formami w cesarstwie. Nim się bowiem ostatecznie nawrócił na wiarę chrześcijańską, usiłował przedewszystkiem położyć kres prześladowaniom religijnym i ogłosił w tym celu edykt tolerancyjny, pozwalający każdemu wyznawać swoją religję (w zimie 312—313). Aktem tym objęci zostali również i Żydzi. Ich patrjarchom, starszym, przełożonym szkół i synagóg nadano te same prawa, co klerowi chrześcijańskiemu i kapłanom pogańskim. Edykt ten utrzymał się w mocy i nadal, potwierdzony nowemi jeszcze prawami, zwalniającemi od uciążliwych urzędów magistrackich tych członków synagogi, którzy poświęcili się Zakonowi i nauce, patrjarchów, starszych i innych funkcjonarjuszów religijnych. Wzorem ustroju kapłaństwa rzymskiego i episkopatu chrześcijańskiego uznano patrjarchę w Judei za zwierzchnika wszystkich Żydów w państwie rzymskiem. Ale ta bezstronność Konstantyna nie potrwała długo. Im bardziej ulegał wpływom chrześcijaństwa, tem bardziej przejmował się nietolerancją tej wiary, która niepomna swego początku prześladowała judaizm i jego wyznawców z tą samą zaciekłością, co pogaństwo. Tacy przełożeni kościoła, jak biskup Hozjusz z Korduby, który na soborze w Elwirze (320) wraz z innymi

duchownymi zakazał chrześcijanom pod grozą klątwy obcowania z Żydami, lub jak Euzebjusz z Cezarei, pierwszy historyk kościoła i fałszerz historji, mając posłuch u cesarza, podszczuwali go ustawicznie na Żydów. Toć sami biskupi prześladowali się nawzajem z fanatyczną zajadłością dla najbagatelniejszych różnic w poglądach na wiarę. Czyż mogli się tedy zdobyć na tolerancję dla Żydów? Epidemja kacerstwa, mająca źródło w nieokreśloności dogmatów, zbudziła w przedstawicielach kościoła ducha prześladowczego.

Niebawem judaizm nazywa się już sektą wstrętną, niecną, bezbożną, którą jeśli można, należy zgładzić ze świata. Wychodzi edykt cesarski, zakazujący Żydom przyjmować prozelitów i grożący karami winowajcom czynnym i biernym. Ramię świeckie poczyna wspierać kościół w jego gorliwej pracy misyjnej. Nie dziw, że wobec stanowczego przechylenia się Konstantyna na stronę chrześcijaństwa i otwierających się przed odstępcą widoków zaszczytów i nagród niejeden Żyd chwiejnego umysłu porzucał wiarę swych przodków. Prześladując Żydów, przywiązanych do swojej religji, a zaprzańcom rając korzyści od państwa, wabił kościół na swe łono słabe charaktery. Uczynił z tego formalną zasadę. „Czemu dajecie się zabijać za waszego Boga! Obaczcie, ilu was nawiedza kaźniami, jakiem zniszczeniem. Przyjdźcie do nas, a uczynimy was książętami, namiestnikami i wodzami.“ „Grzeszne państwo rzymskie, syn twojej matki, usiłuje zachwiać wiernych wyznawców,“—oto teksty, na które przemawiali w synagogach ówcześni kaznodzieje ludowi. Konstantyn zniósł odwieczne i poręczone przywileje żydowskie. W starożytnej gminie kolońskiej Żydzi, piastujący jakikolwiek urząd religijny, jako nauczyciele Zakonu lub archisynagodzy, wolni byli zdawien dawna od sprawowania uciążliwych i kosztownych urzędów municypalnych. Nowym edyktem odjął Kon-

stantyn wszystkim te swobody, dorzucając im tym sposobem jeszcze jednego ciężaru; wyjątek stanowić miały dwie lub trzy za każdym razem osoby. Niebawem ujrzał świat niespodziewane zgoła widowisko pierwszego soboru powszechnego w Nicei, złożonego z kilkuset biskupów i prezbyterów z cesarzem na czele (325). Tryumfujące na nim na pozór chrześcijaństwo ujawniło tylko swą słabość i rozstrój wewnętrzny. Albowiem w chwili pierwszego urzędowego występu w całym blasku potęgi duchownej i świeckiej nie posiadało już nic prawie z swej pierwotnej istoty, nic z eseńskiej pokory, braterstwa i wspólności majątku, nic z żarliwości, z jaką Paweł strzegł dobrych obyczajów i stałości przekonań, nic z naukowych dążności szkoły aleksandryjskiej. Jałowe spory dogmatyczne, np. czy Jezus, syn, równy jest ojcu, czy tylko podobny, spory z tem większą zaciekłością toczone, im mniej rozstrzygnięte być mogły, stanowią odtąd tło zasadnicze dziejów kościoła, które się podniosły do znaczenia dziejów powszechnych. Konciljum nicejskie zerwało ostatnią nić, wiążącą chrześcijaństwo z pniem macierzystym. Wielkanoc z poprzedzającym ją postem, obchodzona dotąd w licznych gminach chrześcijańskich jednocześnie z Paschą żydowską w dniu obliczonym i ustanowionym przez Synhedrjum w Judei, miała być nadal oderwana od związku z kalendarzem żydowskim. Kościół rzymski, odstąpiwszy od tradycji żydowskiej, czyli apostolskiej, uchwalił święcenie Wielkanocy w niedzielę po pełni wiosennego miesiąca. Uchwała ta spowodowała rozłam w chrześcijaństwie, tak zwany spór paschalny. Rzym zagroził interdyktem gminom w Azji Mniejszej, Syrji i Mezopotamji, które równocześnie z Żydami obchodziły Paschę wieczorem czternastego Nisan. Temu należało koniec położyć. „Niegodną przedewszystkiem jest rzeczą, byśmy w święceniu tej najważniejszej uroczystości szli za obyczajem żydo-

wskim.—Nie miejmy nadal nic wspólnego ze znienawidzonym narodem żydowskim, Zbawiciel nasz wskazał nam drogę odmienną.—Byłoby to przecież niedorzecznością, żeby Żydzi chlubić się mogli, iż bez ich nauki (obliczeń) nie wiemy, kiedy należy Paschę obchodzić.“ Słowa te włożono w usta cesarzowi Konstantynowi, a choćby ich nawet sam nie wypowiedział, stanowiły one ideę przewodnią kościoła, który odtąd losami Żydów ważyć zaczyna.

Pierwsze słowo, rzucone przez chrześcijaństwo w pierwszym momencie jego zwycięstwa, świadczyło o wrogiem usposobieniu dla judaizmu, o nieprzyjaźni, z której wypłynęły krwawe prześladowania następnych stuleci.

Konstantyn wskrzesił też prawo Hadrjana, wzbraniające Żydom wstępu do Jerozolimy. Święty gród otrzymał napowrót dawne swe imię, tylko że z pogańskiego przeistoczony został w chrześcijański. Matka cesarza, Helena, kobieta złej sławy, odbyła pielgrzymkę do Jerozolimy, a syn jej wzniósł tam kościół św. Grobu na miejscu, gdzie Jezus nie mógł być pochowany. Tylko w rocznicę zburzenia Jerozolimy pozwalały straże cesarskie pielgrzymom żydowskim płakać tam i nucić pieśni żałobne.—W tem tylko był Konstantyn sprawiedliwym, że bronił Żydów od przemocy neofitów, ludzi przeważnie marnego charakteru, którzy chcieli się mścić na swych dawniejszych współwyznawcach i ziomkach.

Zwłaszcza dał się we znaki Żydom palestyńskim przechrzta Józef. Był on jednym z asesorów patrjarchy w Synhedrjum tyberjadzkiem i, o czem była już wzmianka, sprawował opiekę nad młodym Hillelem i urząd delegata gmin cylicyjskich. Tam często potajemnie obcował z pewnym biskupem. Żydzi cylicyjscy poczęli podejrzewać Józefa o nieprawowierność—nie cieszył się on

w ogóle sympatją, gdyż z góry traktował nauczycieli i przełożonych—i któregoś dnia przydybali go w domu na czytaniu ewangielji. Trudno brać im za złe, że dali mu uczuć swoje oburzenie na tę grę dwulicową. Jeżeli mu wierzyć, wrzucili go nawet do rzeki Cydnu i cudem tylko śmierci uniknął. Po tej przygodzie nie pozostało Józefowi nic innego, jak przyznać się publicznie do chrystjanizmu.

Wychrzta ten rozpuścił mnóstwo kłamliwych wieści o swych współwyznawcach. O sędziwym patrjarsze Judzie III rozgłosił, że przed śmiercią przyjął chrzest, a o młodym patrjarsze Hillelu, że prowadził życie rozwiązłe. Zapewne przez protekcję wpływowych biskupów udzielił mu Konstantyn tytułu komesa, który poniekąd zapewniał bezkarność za przekroczenia i bezprawia. Pozwolił mu też budować w Galilei kościoły, w Tyberjadzie, Sepforis, Nazaret i Kapernaum. Ale czcza to przechwałka, że je istotnie powznosił. Sam przecież opowiada, że w tej okolicy nie mieszkali wcale chrześcijanie. Dla kogoż więc miał wystawiać kościoły? Tylko w Tyberjadzie zbudował kaplicę.

Z drugim cesarzem chrześcijańskim, zawziętym prześladowcą kacerzy i bratobójcą Konstancjuszem (337—362), zaczyna się właściwie okres rządów chrześcijańskich w państwie rzymskiem, a zarazem nowy okres niedoli żydowskiej. Gdyby ówczesnych przedstawicieli kościoła nie zaślepiało pragnienie zemsty i nietolerancja dla cudzych przekonań, musieliby zrozumieć, że przez oparcie się o władzę państwową uginają dobrowolnie szyje pod jarzmo i zwracają ostrze przeciw samym sobie. Cesarz Konstancjusz mógł sobie pozwolić na takie słowa: „Moja wola ma być prawem kościelnem, ma być religją.“ Ostatnią instancją w kwestjach religijnych byli nie ojcowie kościoła, lecz rzezańcy i służebnice nadworne. A jeżeli członkowie kościoła od cesarza aż do naj-

niższego pachołka tchnęli duchem takiego zagorzalstwa, że prowadzili z sobą krwawe walki o słowa, mogliż Żydzi spodziewać się względniejszego obejścia? W samym początku panowania Konstancjusza spadły na niektórych nauczycieli zakonu kary dotkliwe, a inni, zagrożeni śmiercią, musieli uciekać do Babilonji. Może apostata Józef, ów drugi Acher, umaczał palce w tej sprawie? Pod karą śmierci zakazano związków małżeńskich pomiędzy Żydami a chrześcijankami (339). Brzemienniejszem jeszcze w następstwa było ogłoszone przez Konstancjusza prawo o niewolnikach. Podczas gdy jego ojciec za przyjęcie niewolnika do społeczności żydowskiej karał tylko utratą tego niewolnika, zagroził Konstancjusz karą śmierci i konfiskatą całego majątku temu, ktoby obrzezał niewolnika chrześcijańskiego. Prawo to miało cel podwójny na oku: po pierwsze, aby się Żydzi przez przyjęcie niewolników nie wzmogli, powtóre, aby chrześcijanie nie służyli panom żydowskim, „bogobójcom.“ Te ograniczenia i surowość nie były bynajmniej legalne, gdyż Żydzi zawsze jeszcze korzystali z pełni praw obywatelstwa rzymskiego i dzięki równouprawnieniu nie podlegali prawom wyjątkowym. Ale czyż krępował się prawem ten zły i nieudolny monarcha, opanowany przez rzezańców i duchowieństwo nadworne? Jego pomysły i kaprysy miały być prawem. Konstancjusz, czy też jego teologowie nadworni, byli wynalazcami „państwa chrześcijańskiego.“

W tym czasie dzikiej przemocy nie dziwi nas wcale postępek wodzów cesarskich, którzy przeciągając przez Palestynę, żądali od Żydów, aby piekli w sobotę świeży chleb dla wojska, a w święto przaśników dostarczali chleba kwaśnego. Był to gwałt zadany ich sumieniu. Ale ówcześni nauczyciele Zakonu, znagleni twardą koniecznością, pozwolili na spełnienie tych żądań i uspokoili sumienie rodaków, twierdząc, że nieprzyjaciel nie

wymaga wprost naruszania praw religijnych, lecz tylko zaopatrzenia wojska w żywność. Natomiast bezpośrednio już gwałcił sumienia zakaz obchodzenia dnia Przejednania, którym Konstancjusz chciał chyba zmusić Żydów, aby szukali przejednania w wierze chrześcijańskiej. Musieli uledz temu zakazowi i obchodzili potajemnie owe święto w następną sobotę. Bizancjum było o wiele gorsze od Rzymu; ten ujarzmiał tylko ciało, gdy tamto ujarzmiało też ducha.

Nikczemniejszym był jeszcze inny przymus, zadany przez dwór bizantyjski gminom żydowskim. Nie zważając na uchwałę soboru nicejskiego, wiele gmin chrześcijańskich w Azji Mniejszej, Syrji i Mezopotamji obchodziło Wielkanoc po dawnemu według kalendarza żydowskiego. Jeżeli patrjarcha i kolegjum w Tyberjadzie postanowili wtrącić miesiąc przybyszowy i przesunęli święta Paschy o kilka tygodni, to śladem ich szły gminy chrześcijańskie i święciły Wielkanoc o kilka tygodni później, niż chrześcijanie zachodni. To kacerstwo, a zwłaszcza oglądanie się na znienawidzonych Żydów gniewało cesarza i biskupów nadwornych. Ale schizmatycy nie dali sobie wyperswadować obchodzenia Wielkanocy współcześnie z Żydami, co większa, ogłosili zwolenników rzymskiej Wielkanocy za heretyków, a byli zbyt liczni, aby cesarz mógł ich ogniem i mieczem odzwyczaić od brzydkiego nałogu. Kozłem ofiarnym ich uporu mieli być Żydzi. Patrjarcha otrzymał surowy rozkaz, aby nie ustanawiał roku przybyszowego, t. j. nie kazał Paschy później obchodzić. Zniewolony był uledz, cóż bowiem mógł poradzić na brutalność rządu Konstancjusza? Gminy palestyńskie powiadomiono może cichaczem, że rok ten ma być uważanym za przybyszowy. Ale jakże dać znać o tem gminom zagranicznym? Posłańcy z okólnikiem patrjarchy, choćby napisanym w języku hebrajskim, mogli być łatwo zatrzymani, a niegodziwi

apostaci żydowscy mogli treść pisma bez trudu zrozumieć i użyć go za dokument, świadczący o krnąbrności żydowskiej. Należało wymyślić jakiś fortel, któryby pozwolił udzielić gminom babilońskim owej ważnej wiadomości niedostępnym dla szpiegów sposobem. Doktorowie palestyńscy dali sobie radę. Zredagowali okólnik w dwuznacznych aluzjach, zrozumiałych jedynie dla rektorów babilońskich. Napisali do ówczesnego zwierzchnika Babilonji żydowskiej: „Potomkowie Naszona (członkowie patrjarchatu) chcieli ustanowić szafarza miesięcznego (miesiąc przybyszowy), lecz Aramejczyk (Rzymianin) na to nie pozwolił; przeto mężowie zgromadzenia (synhedryści) wtrącili miesiąc, w którym Aron umarł (miesiąc Ab).“ Ten enigmatyczny okólnik świadczy wymownie o ciężkiem położeniu Żydów palestyńskich za czasów Konstancjusza. Wobec takich szykan ogłoszono trzymane dotychczas w tajemnicy zasady, według których ustanawiano rok przybyszowy.

Nieustanne zamachy na wolność sumienia natchnęły Żydów palestyńskich rozpaczliwą odwagą, która uzbroiła ich do nowego powstania. Porażki legji rzymskich w wojnie z Persami, bunt Saracenów i Izauryjczyków, tudzież nieudolność mianowanego przez Konstancjusza cezarem Orjentu Gallusa obudziły w Żydach nadzieję, że uda im się zrzucić jarzmo chrześcijańskiego Bizancjum. Powstańcy znaleźli wodza, który umiał wlać w nich otuchę; Rzymianie nazywają go Patrycjuszem, a Żydzi Natroną. Ci ostatni widzieli w nim Mesjasza. Pewien kaznodzieja usiłował zagrzać tłumy w Sepforis, czy też Tyberjadzie, do udziału w rokoszu, przyrzekając im pomoc boską.

Ta buntownicza przemowa jest charakterystyczną dla owoczesnej epoki. Przyobleczona w formę djalogu pomiędzy Bogiem a narodem żydowskim, wskazuje na państwa wszechświatowe, babilońskie, medyjskie, perskie

i greckie, które gnębiły niegdyś Izraela i same upokorzone zostały. Tak samo i Rzym ukarany będzie przez Boga: „Chceszże nas wyzwolić, byśmy znowu pod jarzmo karki ugięli?“ „Nie,“ brzmi odpowiedź. „Kto zesłał kaźń na Babel, Persów i Greków? Kto pomści się na Edomie? Natrona, o którym Pismo napomyka. Nie połowiczna klęska czeka Edom-Rzym, ale zguba doszczętna wraz z jego książętami, namiestnikami, wodzami— i ci też, którzy się zaparli mojej społeczności i odszczepili, strąceni będą w przepaść upadku.“

Pierwsze płomienie buntu za Gallusa wybuchły, jak się zdaje, w Sepforis. Z tego miasta górskiego rozpuszczali śmiałe zagony po okolicy i mścili się za długoletnią hańbę na wrogach. Widownią podobnych wypadków musiały być też chyba jednocześnie dwa najznaczniejsze miasta Judei, Tyberjada i Lidda, oraz inne jeszcze miejscowości. Powstanie przybrało tedy poważne rozmiary. Ale Cezar Gallus, a właściwie jego wódz Ursicinus stłumił je niebawem do ostatniej iskry, i co za tem idzie, dał uczuć zwyciężonym swoją srogość.

Tysiące Żydów padły ofiarą rokoszu, który był raczej odruchem rozpaczy, niż dziełem rozwagi. Sepforis zrównano z ziemią, Tyberjadę, Liddę i inne gniazda powstańcze w części zburzono (352). Na uczestników ruchawki urządzono, jak zwykle w podobnych wypadkach, obławę, aby żaden kary nie uszedł. Najzacieklej polował pewien dowódca legjonu na Sepforytów, jako na instygatorów powstania. Aby wprowadzić w błąd prześladowców, przylepiali sobie na nos plaster dla niepoznaki i, rzeczywiście, przez czas jakiś odwracali tem od siebie uwagę. Ale w końcu znaleźli się zdrajcy, którzy donieśli władzom o tym fortelu. Zdradzonych pojmano i stracono na miejscu. Wielu innych zbiegów ukryło się w podziemnych chodnikach Tyberjady. Nauczyciel Zakonu Huna opowiada: „Kiedyśmy się schronili do

podziemnych chodników, mieliśmy pochodnie; jeżeli płonęły mdłem światłem, poznawaliśmy, że to dzień, gdy paliły się jaśniej, wiedzieliśmy, że jest noc.“ Zbiegowie ci spędzili zatem widocznie czas dłuższy w jaskiniach.

Stracenie na rozkaz cesarza okrutnego Gallusa i niełaska Ursicinusa (354) nie zmieniły rozpaczliwego położenia Judei na lepsze. Na dworze cesarskim w Konstantynopolu uważano wyznawców judaizmu poprostu za ateuszów, ponieważ nie chcieli uznać Jezusa za Boga. Z tego poglądu wypłynęło prawo (357), w myśl którego chrześcijanin, gdyby się przyłączył do „bluźnierczej“ społeczności żydowskiej, ukarany miał być konfiskatą całego majątku. Kreaturom Konstancjusza chodziło właśnie przedewszystkiem o zysk i dla tego też nakładali na Żydów niepomierne podatki, bez uzasadnionych tytułów po temu, chcąc ich wtrącić w nędzę i wyniszczyć, lub zmusić do przyjęcia chrześcijaństwa. Już sporządzono nowe kadastry, aby podnieść jeszcze podatki pod pozorem, że Żydzi, jako ateusze, nie zasługują na względy. Dobrowolna dań Żydów na rzecz patrjarchatu, tak zwana apostole, była już, czy też miała być zakazana. Z tego nowego ucisku wyzwolił ich niespodzianie cesarz Juljan, równie niepodobny do swego brata Gallusa, jak do swego współrządcy i brata stryjecznego Konstancjusza.

Smutne stosunki w Judei zniewoliły ówczesnego patrjarchę Hillela do zrzeczenia się części swych atrybucji. Dotąd, po ustanowieniu nowiu i lat przybyszowych według reguł trzymanych w tajemnicy, powiadomiano gminy w krajach sąsiednich o terminie świąt przez posłów specjalnych. Wskutek prześladowań za Konstancjusza okazał się ten sposób niepraktycznym, a nieraz wprost niewykonalnym. Wprawdzie reguły dla lat przybyszowych były już z konieczności ogłoszone,

ale zasady oznaczania nowiu, a tem samem świąt głównych, chowano jeszcze w sekrecie.

Aby położyć koniec wszelkim trudnościom i kwestjom, zaprowadził Hillel II raz na zawsze stały kalendarz, to jest podał do ogólnej wiadomości prawidła, według których Synhedrjum dokonywało dotąd obliczeń i ustanawiało terminy świąteczne. Własnoręcznie zerwał ostatnią nić, wiążącą z patrjarchatem gminy rozproszone po państwie rzymskiem i perskiem. Zabezpieczenie judaizmowi egzystencji leżało mu bardziej na sercu, niż godność jego domu. Członkowie ówczesnego Synhedrjum zgodzili się na tę innowację; chcieli tylko, aby zachowany został i nadal drugi dzień święta, obchodzony zdawna przez gminy pozapalestyńskie dla niepewności. R. Jose wystosował do gminy aleksandryjskiej pismo tej treści: „Lubośmy przesłali wam porządek dni świątecznych, nie zmieniajcie jednakże obyczaju waszych praojców (t. j. obserwujcie i drugi dzień święta.)“ Babilończykom dano tę samą wskazówkę: „Przestrzegajcie obyczaju waszych ojców.“ Upomnienie to znalazło posłuch bezwzględny; wszystkie gminy pozapalestyńskie dotychczas obchodzą drugi dzień święta.

Obliczenia wprowadzonego przez Hillela kalendarza są tak proste, że do dnia dzisiejszego nie wymagały żadnych poprawek; zarówno żydowscy, jak i nieżydowscy rzeczoznawcy uznali je za doskonałe. Polegają one na prostych prawidłach, tak wygodnych i łatwych, że nie potrzeba wielkiej nauki, aby według nich ułożyć bodaj tysiącletni kalendarz.

Ucisk, w którym żyli Żydzi palestyńscy i który wywołał ogłoszenie kalendarza Hillela, podniósł znaczenie i wpływ Babilonji, i jeżeli chrześcijaństwo mogło się chlubić, że rozprzęgnęło uczelnie w Judei, niby świątynię nauki, to rozprzężenie owo było jeno lokalne. Albowiem studja zakonu doszły w Babilonji do takiego rozkwitu, że

niemal zaćmiły czasy dawniejsze; święciły one porę swej dojrzałości. Na najwyższy szczyt posunęła je dopiero akademja w Pumbadicie. „Subtelni Pumbaditańczykowie“ nadają w tej epoce ton Babilonji i zależnym od niej krajom. Wyobrazicielami tego kierunku byli Rabbah i jego uczniowie-towarzysze, Abaji i Raba. Ci trzej dokończyli budowy Talmudu, a raczej podnieśli studja Halachy na zawrotne wyżyny subtelnej analizy.

Rabbah Ben-Nachmani (ok. 320—330) wkrzesił nawpół zagasły blask Pumbadity i ściągał mnóstwo słuchaczy. Wykładów swych nie ograniczył, jak jego nauczyciel, praktyczną tylko częścią prawoznawstwa, ale objaśniał wszystkie działy Miszny, usiłował uzgodnić wszystkie sprzeczności pomiędzy Miszną a dodatkami i w ogóle rozświecić temat Halachy. Przez głębsze jego ujęcie i egzegezę umiał ożywić rozprawy a zarazem uprzyjemnić suchy przedmiot zaprawą anegdot i dowcipów. Przewodnią jego zasadą było, że trzeba uwrażliwić duszę na przyjęcie myśli poważnych, a wrażliwość tę budziła według niego pogoda umysłu. Nauczyciele Zakonu żywili dla Rabbaha cześć niemal tak głęboką, jak dla twórcy życia babilońsko-żydowskiego. Lecz o ile popularnym był w kole doktorów, o tyle nie miał miru u ludu miejskiego. Pumbaditańczycy nie mogli wybaczyć surowemu moraliście ostrych, karcących wyrazów, któremi jego otwartość i powaga etyczna zwalczała ich sztuczki i szalbierstwa. Gdy pewnego razu podczas posuchy zarządził post i modły publiczne, a deszcz jakoś spaść nie chciał, rzekł z wyrzutem do tłumu: „Cóż temu winni przedstawiciele, że pokolenie zwyrodniało?“

Za czasów Rabbaha zakłóciła głęboki spokój Żydów babilońskich szykana ze strony dworu perskiego, zresztą przemijająca tylko i drobna w porównaniu z prześladowaniem, jakiego ofiarą byli ich rodacy w granicach państwa rzymskiego. Pod nowym królem z dynastji

Sasanidów Szaburem II (309—379) zamącił się przychylny dotąd Żydom nastrój dworu perskiego i, gdyby nie okoliczność, że matka króla, Ifra-Ormuzd, sprzyjała religji żydowskiej, prześladowanoby ich może tak samo, jak chrześcijan. Przeciw Rabbahowi podniesiono ciężki zarzut, że dzięki jego wykładom z górą tysiąc słuchaczy uchyla się w ciągu miesięcy szkolnych od płacenia pogłównego. Wysłano królewskiego urzędnika, aby zajął akademję w Pumbadicie. W porę ostrzeżony, uciekł Rabbah i, kryjąc się przed pościgiem, błądził po okolicy. W tej tułaczce położył kres jego życiu przestrach wskutek nagłego chrzęstu drzew, poruszonych wiatrem, który wziął za odgłos kroków oddziału żołnierzy. Najznakomitsi jego uczniowie, Abaji, Raba i inni członkowie akademji, znaleźli jego zwłoki, ocienione i osłonięte przez ptaki, i odprawili po uwielbionym mistrzu siedmiodniową żałobę. (330). Oskarżenie, które przyprawiło Rabbaha o śmierć, nie miało, jak się zdaje, dalszych konsekwencji. Królowa matka Ifra posłała jego następcy kiesę pełną denarów, prosząc go, by z tych pieniędzy uczynił najlepszy i najzbożniejszy użytek; przeznaczył je na wykup jeńców żydowskich.

Następca i przyjaciel Rabbaha, Józef Bar-Chija (ur. około 270, zm. 333), był człowiekiem chorowitym, drażliwym i krewkim. Posiadał grunta orne, drzewa palmowe i winnice, które pielęgnował lepiej od innych i lepsze też otrzymywał z nich wino. Straciwszy wzrok, nietyle się martwił swoją ślepotą, ile tem, że kalectwo to zwalniało go od pewnych obowiązków religijnych. Większą przywiązywał wagę do pamięciowego ogarnięcia nauki, niż do subtelnych roztrząsań, stanowiąc pod tym względem wyjątek wśród pumbaditańskich rektorów. Oprócz nauki Zakonu zajmował się przekładaniem Pisma świętego na narzecze chaldejskie. Wprawdzie Tora i zapewne też pojedyńcze ustępy z proroków, służące

do odczytów (Haftara), przełożone już były dawno na język aramejski, zarówno w syryjskiem, jak i chaldejskiem narzeczu. Chaldejskie tłomaczenie Tory, dokonane według ulubionego greckiego przekładu Akylasa, nosiło nazwę Targum Onkelos; syryjskie, przeznaczone do użytku Żydów syryjskich w Mezopotamji i Syrji, zwano Peszitta (proste). Ale przeważna część ksiąg prorockich czekała jeszcze tłomacza i Józef to pierwszy uzupełnił przekład chaldejski.

Po śmierci Józefa znalazło się kolegjum w niemałym kłopocie z wyborem jego następcy. Czterech uczonych ubiegało się o urząd rektora, wszyscy równej niemal powagi: Abaji, Raba, Seira II i Rabba Bar-Matana. Współzawodnicy postanowili między sobą oddać głos swój temu, kto najtrafniej i bez zarzutu rozwiąże zadane pytanie. Abaji z przydomkiem Nachmani (ur. ok. 280, um. 338) odniósł zwycięstwo na tym turnieju i wybrany został rektorem. Rodzice odumarli go wcześnie. Opiekunka zastąpiła mu matkę, a ojca wuj jego Rabbah, bystry Amoraita pumbaditański. Z wdzięcznością i rozrzewnieniem wspominał później o swej matce przybranej i komunikował w jej imieniu różne środki lecznicze. Rabbahowi zawdzięczał Abaji znajomość Zakonu i wprawę w analizie talmudycznej. Tak on, jak kolega jego Raba, rokowali już w młodości wielkie nadzieje; mówiono o nich: „Przyszły melon zapowiada się w zawiązku.“ Abaji posiadał, jak się zdaje, tylko mierny majątek. Ale jak większość nauczycieli babilońskich, miał kawałek gruntu własnego, który dlań uprawiał wolny ogrodnik. Łagodny i do ustępstw skłonny, zawsze był jednaki w obcowaniu z różnemi warstwami społeczeństwa. Ulubiona jego maksyma opiewa w ten sposób: „Człowiek powinien być mądrym w bojaźni bożej, przemawiać łagodnie, pojednawczo, z braćmi, krewnymi, z całym światem, nawet z poganami żyć zawsze w pokoju,

aby go powszechnie kochano i szanowano i aby miał znaczenie u ludzi.“ W tym czasie przekonania, słowa i czyny jeszcze nie kłóciły się z sobą. Jego sprawiedliwość umieli ocenić nawet zamieszkali w Babilonji Samarytanie. Pod kierunkiem Abaji (333 - 338) stopniała liczba słuchaczów akademji pumbaditańskiej do 200; wspominając dawną jej rojność, nazywał się „sierotą sierot.“ Chęć do nauki nie osłabła bynajmniej, ale założona przez Rabę akademja w Machuzie była obecnie szczęśliwą rywalką Pumbadity. W obydwu mistrzach doszła metoda pumbaditańska do swego zenitu; szli oni z sobą o lepszą w bystrych pomysłach i rozwiązali niejedno zagadnienie, z którem uporać się nie mogli Rabbah i Józef.

Po śmierci Abaji wybrany został jednomyślnie rektorem Raba Bar-Józef Bar-Chama z Machuzy (ur. około 299, zm. 352), mąż bogaty, zdolny i bystry, ale też nie wolny od szpetnych skaz charakteru i o tyle niższy w tej mierze od swoich kolegów, o ile górował nad nimi umysłem. Znał sam siebie na wylot i takiemi maluje się słowy: „Z trzech rzeczy, których pragnąłem, dwie się ziściły, ale trzeciej los mi odmówił; pożądałem nauki Huny i bogactwa Chasdy i uzyskałem oboje, wszakże skromna bezpretensjonalność Rabbaha Bar-Huny nie była mi dana.“ Chociaż nieskończenie wyższy od swych współrodaków, Machuzańczyków, miał coś w sobie z ich charakteru, zwłaszcza ich upodobanie w przepychu i samowolę, a pochlebiał im nad miarę godziwą, pomimo że nie cieszyli się najlepszą opinją. „Kiedym został sędzią,“ tak sam opowiada, „bałem się, aby Machuzańczycy nie cofnęli mi swej przychylności, lecz teraz, skoro poznali moją bezstronność, powinni mnie albo wszyscy nienawidzieć albo wszyscy kochać.“ Tę pogoń za popularnością kosztem godności etycznej zganił mu kiedyś Abaji: „Jeżeli nauczyciel Zakonu zyskał sobie zbyt wielką wziętość u współobywateli, to jej przyczyny nie

w jego zasługach dopatrywać się trzeba, lecz w pobłażliwości; widać nie wytyka im ich przywar i nie upomina ich należycie.“ Machuzańczycy, o czem wyżej była już mowa, pochodzili przeważnie od prozelitów, wskutek czego szlachta babilońska nie chciała zawierać z nimi związków małżeńskich. Niemały snać mieli kłopot z wyborem towarzyszek życia, skoro Seira II pozwolił im w przemówieniu publicznem pojmować kobiety, zrodzone z związków nieślubnych. Ale w tem pozwoleniu tkwiła postpozycja, która do tego stopnia ubodła Machuzańczyków, że niewiele brakło, aby go ukamienowali owocami świątecznymi—było to właśnie święto szałasów —jak niegdyś omal nie ukamienowano nimi na dziedzińcu świątyni króla Aleksandra Jannaja. Ostro złajał Raba Seirę za tę obcesowość: „Któż to się wyrywa z takiem bezwzględnem orzeczeniem w gminie, w której tylu jest potomków prozelitów!“ Aby sobie jeszcze więcej serce ludu przychylić, wykazał w przeciwieństwie do Seiry, że prozelici mogą się nawet żenić z córkami kapłanów, a pochlebstwo to wprawiło Machuzańczyków w taki zachwyt, że go obsypali materjami jedwabnemi.

Grzeszył też Raba, pomimo swych bogactw, wadą chciwości, którą przy niejednej okazji ujawnił. Pewien prozelita machuzański, imieniem Isor, złożył u Raby sumę 12000 denarów (około 3,500 rs.), przeznaczając ją dla syna, który się kształcił na nauczyciela Zakonu. Gdy Isor zachorował, umyślił Raba przywłaszczyć sobie depozyt jako mienie bezpańskie, gdyż prozelita nie mógł przekazać swego majątku synowi, zrodzonemu przed jego przejściem na religję żydowską; takiego syna nie uznawało prawo talmudyczne. Obeznany z wszystkimi tajnikami prawa, chciał unieważnić rozporządzenie Isora i pozbawić dziedzictwa jego syna. Atoli inny uczony udzielił stroskanemu ojcu wskazówki, jak ma wywindykować złożony na rzecz syna kapitał. Dowiedziawszy się

o tej radzie, rozgniewał się Raba, jakgdyby mu kto wydarł prawnie nabyty majątek. Ubogich traktował nieraz z nieczułością, stojącą w jaskrawej sprzeczności z nauką dobroci i miłosierdzia, które prawo talmudyczne zaleca równie usilnie, jak Pismo. Brat jego Saurim okazał jeszcze większy brak serca. Narzucił się na sędziego obyczajów i, gdy jaki biedak wydał mu się niedość religijnym, obracał go w swego niewolnika i paradował na jego barkach w pozłocistej lektyce. Raba uświęcił tę samowolę przez odgrzebanie przebrzmiałego prawa, które Żyda, nie żyjącego według Zakonu, pozwalało traktować jako niewolnika.

W ogóle zauważyć się daje w tym czasie częściowy zanik dawnej prostoty i zacności obyczajów, które ustępują miejsca zbytkowi, próżności i żądzy panowania. Niektórzy nauczyciele Zakonu szeleścieli wspaniałemi szatami i kazali się nosić w lektykach złoconych. Nie czuli się już za jedno z ludem, z którego byli wyszli, lecz stanowili odrębną kastę uczonych, broniącą solidarnie swych interesów i spoglądającą z dumą i pogardą na niższe klasy ludowe. Raba sam wyznaje, że gdy mu przyszło rozsądzać sprawę towarzysza, nie mógł zmrużyć oka, póki na jego korzyść prawa nie nakręcił. Członkowi uczelni, który przyjechał na targ z towarem, służył przywilej pierwszej sprzedaży, aby mógł wyższą cenę osiągnąć. Gdy się prawował, proces jego rozpatrywano przed innemi sprawami. W gminach, które płaciły ryczałtowy podatek, uchylali się uczeni od składek. Co za rażący kontrast z dawniejszymi czasami, gdy Tanaici nawet za cenę życia nie chcieli ciągnąć korzyści z nauki. Raba w tem uprzywilejowaniu nauczycieli Zakonu posunął się bardzo daleko. Pozwolił im wydawać się za czcicieli ognia, aby się mogli pozbyć opłaty pogłównego.

Takie postępowanie uczonych wywołało do nich z czasem odrazę wśród ludu. Warstwy ludowe odzy-

wały się o nich tonem pogardy: „Ci tam uczeni.“ W tem wyrażeniu tkwiło widać sporo trafnego szyderstwa, jeżeli uczeni z swej strony ogłosili za kacerza (epikuros) każdego, ktoby sobie na nie pozwolił. Przedstawiciele nauki postradali tedy dawniejsze znaczenie; mówiono obecnie: „Co nam po tych wykładaczach Zakonu, którzy zajmują się nauką dla własnej korzyści.“

Z tem wszystkiem zapał dla studjów Zakonu nietylko nie ostygnął, ale wzmógł się jeszcze. Tłumniej, niż kiedykolwiek napływali uczniowie do akademji Raby w Machuzie, zaniedbując dla nauki wszystkich interesów życiowych. Raba musiał ich ostrzegać o skutkach takiej przesady: „Proszę was, byście się nie pokazywali u mnie w miesiącach wiosennych i jesiennych, bo gdy nie dopilnujecie żniw i zbioru oliwy i wina, przyjdzie wam rok cały walczyć z niedostatkiem.“ Wykłady jego cieszyły się jeszcze większą wziętością niż wykłady Abaji dla jasnej interpretacji i subtelnych dystynkcji. Właściwy Talmud, ponętna gra umysłowa bystrych zagadnień, odpowiedzi, zestawień i odróżnień, wysoki lot myśli, która z jednego szczebla wychodząc, przemierza błyskawicznie drabinę sylogizmów, owa djalektyczna forma Talmudu jest płodem tej epoki. Tryumwirat Rabbah, Abaji i Raba byli talmudystami w właściwem tego słowa znaczeniu, t. j. djalektykami. Rozległa wiedza, niezwykła inteligiencja, a poczęści też może bogactwo uczyniły zeń jedyny autorytet podczas jego działalności w akademji. Zwracano się do niego z Judei, gdy ustawiczne prześladowania za Konstancjusza i Gallusa pogrążyły Ziemię świętą w okropnej niedoli.

Atoli i dla Żydów pod berłem perskiem nie były to czasy pomyślne. Wojsko perskie kwaterowało w Machuzie, której ludność, wyłącznie żydowska, musiała zaopatrywać je we wszelkie potrzeby. Dotkliwy ucisk, wywierany przez Szabura na Żydów, zniewolony był Raba łagodzić znacznemi sumami. Gdy go przyjaciele wysławiali jako jedyny szczęśliwy wyjątek w ogólnej niedoli narodu żydowskiego, gdyż nigdy jeszcze nie padł ofiarą zdzierstwa ciemiężców, odparł: „Alboż to wiedzieć możecie, ile łożyć muszę po cichu na dwór Szabura?“ Ale i nad jego głową skłębiły się chmury. Pewnego razu kazał, jako rektor, osmagać Żyda za porubstwo z Persjanką. Delinkwent zmarł skutkiem chłosty. Dowiedział się o tem Szabur i Raba miał ponieść surową karę za wykonywanie jurysdykcji kryminalnej. Jak się zdaje, uciekł przed karą, ale dom jego złupiono. Dalsze następstwa odwróciła królowa-matka Ifra, która pono tak przemówiła do syna: „Nie zadzieraj z Żydami, bo o cokolwiek błagają, Bóg się do ich prośby przychyla.“ W przeciwieństwie do swego syna była Ifra wielką przyjaciółką Żydów, a zwłaszcza nauczycieli Zakonu, którym przypisywała zdolność zaglądania do najgłębszych tajników serca ludzkiego. Jak niegdyś ofiarowała kiesę złota r. Józefowi, tak i Rabie przesłała 400 złotych denarów. Rozdał je ubogim poganom. Taż królowa-matka, pragnąc zadokumentować swą cześć dla jedynego Boga, wpadła na pomysł szczególny; posłała rektorowi z Machuzy zwierzę ofiarne, aby je złożył w ofierze według rytuału judzkiego.

Po śmierci Raby (352) Machuza postradała swe znaczenie i Pumbadita odzyskała wydartą jej przez Rabę palmę pierwszeństwa. Następuje teraz, rzecz dziwna, okres miernoty; rzekłbyś, że wyczerpana tylu wysiłkami działalność duchowa potrzebowała wytchnienia. Żaden z sukcesorów Raby nie mógł go godnie zastąpić. Przedstawiciele uczelni babilońskich, Nachman Bar-Izaak (zm. 356) i Papa (zm. 375), byli umysłami pośledniej wielkości; duch pumbaditański subtelnej analizy i djalektyki znalazł wprawdzie uprawców, ale ich zabiegi nie wydały nowych owoców. Temiż czasy w Palestynie rządy

bratanka cesarza Konstantyna przyniosły krótką ulgę gminom ujarzmionym, pozwalając im otrząsnąć się na chwilę z przygnębienia i obetrzeć pot z czół uznojonych ciężarem nad siły.

Cesarz Juljan, którego kościół nazywa Odstępcą (Apostata), był świadomym swych celów charakterem i wyryłby swe imię głębiej w pamięci potomnych, gdyby śmierć przedwczesna nie była skróciła jego zawodu. Nad tą latoroślą domu Konstancjusza Chlorosa wisiał długo miecz bratobójczy, a obawa śmierci zniewalała go do obłudnego wyznawania chrześcijaństwa, do którego żywił odrazę. Cudem niemal mianowany został współcesarzem przez brata stryjecznego Konstancjusza, który już gotował mu zgubę. Przez zbuntowanych żołnierzy okrzyknięty cesarzem, zasiadł niebawem istotnie na tronie, dzięki niespodziewanej śmierci Konstancjusza. Za cel swego życia wytknął sobie urzeczywistnienie idei, które przejął od swych mistrzów Libanjusza i Maximusa a które jego hojnie obdarzony umysł potrafił jeszcze uszlachetnić. Przedsięwziął bronić od prześladowań wszystkich uciemiężonych, bez względu na narodowość i wiarę, podnieść dobrobyt poddanych, przedewszystkiem przez ulżenie im ciężaru podatków, wskrzesić stare pogaństwo, jednakże z usunięciem wszelkich jaskrawości, które czyniły zeń przedmiot pogardy i śmiechu; wreszcie spotężniałe w krótkim czasie chrześcijaństwo cofnąć do granic właściwych. Wszelako pomny prześladowań, których sam był doznał, nie chciał płacić pięknem za nadobne prześladowczemu chrześcijaństwu, lecz tylko powściągnąć jego zapędy. Tem przychylniejszy był Żydom. Składały się na tę jego życzliwość różne przyczyny. Sam przyznał, że go oburzał srogi ucisk, który cierpieli Żydzi za Konstancjusza, gdy panujące chrześcijaństwo napiętnowało ich wiarę jako bluźnierczą. Nauka judaizmu o Bogu przejmowała go czcią, pomimo pogańskiego sposobu myślenia. Podziwiał dobroczynność Żydów, ich troskliwość o dolę ubogich, która sprawiała, że nie było wśród nich żebraków. W faworach, jakie zlewał na Żydów, grała niewątpliwie pewną rolę chęć dokuczenia chrześcijanom, którzy przez poniżenie Żydów chcieli unaocznić wyższość swej religji. Mając szczególną predylekcję dla ofiarnictwa, podobał sobie też Juljan w żydowskim kulcie ofiarnym z uroczystą pompą świątyni i kapłanami. Wreszcie chodziło mu może o zjednanie sobie Żydów babilońskich, aby na wypadek wojny z Persami, ku której wszystkie jego myśli były zwrócone, zapewnić sobie z tej strony, jeżeli nie czynne poparcie, to przynajmniej neutralność, i nie spotkać, jak cesarz Trajan zaciętego oporu.

Dwuletnie niespełna rządy Juljana (Listopad 361 do Czerwca 363) były dla Żydów rzymskiemu berłu podległych nader szczęśliwe. Z patrjarchą Hillelem utrzymywał stosunki listowne i nazywał go „czcigodnym przyjacielem.“ Już i to mogli sobie Żydzi za szczęście poczytać, że nie czuli teraz nad sobą ciężkiej ręki pierwszych cesarzów chrześcijańskich i że otwarto dla nich znowu tak długo niedostępne bramy grodu świętego.

Jakże się zdumieć i ucieszyć musieli, gdy im cesarz Juljan oznajmił niespodzianie swój zamiar odbudowania własnym kosztem świątyni jerozolimskiej, w której będą mogli po dawnemu czcić swego Boga. Zamiar ten zakomunikował wszystkim gminom żydowskim tchnącem wielką dla nich życzliwością pismem datowanem z Antjochji (jesień 362).

Brzmi ono jak następuje:

„Do gmin żydowskich.

„O wiele jeszcze dotkliwiej, niż jarzmo niewoli w dobie minionej dała się wam we znaki okoliczność, że bez uprzedniej zapowiedzi nakładano na was nowe podatki i żeście do skarbu cesarskiego dostarczać musieli nie-

zliczoną moc złota. Niejedno z własnej wiem obserwacji, a dowiedziałem się więcej, gdym znalazł rejestra podatkowe, przechowywane na waszą niekorzyść. Sam zniosłem podatek, którym zamierzano was obarczyć, i nie dopuściłem, by wam wyrządzono taką krzywdę i hańbę. Rejestra podatkowe, które znalazłem w archiwum, wrzuciłem do ognia, aby was nikt nie mógł zniesławiać jako bluźnierców. Nie tyle winien był temu brat mój Konstancjusz, godny pamięci, ile owi barbarzyńcy i bezbożnicy, którzy wymyślili tę kontrybucję. Strąciłem ich w przepaść zguby, aby nie pozostała nawet pamięć o ich zagładzie. Pragnąc wam jeszcze większą łaskę okazać, zachęciłem brata mego, czcigodnego patrjarchę Julosa (Hillela), do skasowania tak zwanej przez was *apostole*, aby was nikt nadal nie uciskał takiemi daniami i abyście w całem mojem państwie próżni byli trosk i kłopotów. W dobrym bycie będziecie mogli tem żarliwsze modły za moje państwo zanosić do Wszechmocnego Stwórcy świata, który mnie raczył wesprzeć swą przeczystą prawicą. Leży to w naturze człowieka, że ci, których dręczą kłopoty, mają myśl skrępowaną i nie śmią wznosić rąk do modlitwy. Kogo zaś żadna troska nie gnębi, ten ma duszę pełną wesela i może się modlić gorąco o pomyślność państwa do Najwyższego, w którego mocy jest nadać moim rządom najlepszy kierunek.—Czyńcie to, abym po szczęśliwem zakończeniu wojny z Persami mógł odwiedzić święte miasto Jerozolimę,—którą własnym kosztem odbuduję tak, jak ją od lat wielu zbudowaną mieć chcecie,—i oddać w niej wespół z wami pokłon Wszechmocnemu."

To miłościwe pismo, w którem pobrzmiewają serdeczniejsze jeszcze tony, niż w piśmie Cyrusa do babilońskich wygnańców, spadło niby kropla rosy ożywczej po długiej posusze i z pewnością pokrzepiło na duchu gminy uciśnione. To też Żydzi zastosowali do Juljana

wiersz księgi Daniela: „A gdy się potkną, dana im będzie pomoc niejaka."

Nie poprzestał Juljan na obietnicy. Jakkolwiek pochłoniony całkowicie przez przygotowania do wojny z Persami, wziął sobie jednak do serca sprawę podźwignięcia z gruzów świątyni jerozolimskiej i mianował w tym celu specjalnego intendenta budowy, najlepszego swego przyjaciela, uczonego i cnotliwego Alipiusa z Antjochji, któremu zalecił, aby żadnych kosztów nie szczędził. Namiestnicy Syrji i Palestyny otrzymali rozkaz zaopatrywania Alipiusa we wszelkie potrzeby. Niebawem zwieziono materjały budowlane i tłumne zastępy robotników zajęły się uprzątaniem rumowisk, które w ciągu trzech niemal wieków nagromadziły się na posadach świątyni.

Odległe gminy nadesłały podobno fundusze na koszta budowy, kobiety sprzedawały nawet swe klejnoty i nosiły w podołku kamienie. Ale to wszystko było zgoła zbyteczne, albowiem dzięki hojności Juljana nie brakło ani materjałów ani rąk roboczych. Chrześcijanie rozpuścili pogłoskę, że te fawory Juljana były tylko przynętą, którą chciał zwabić Żydów do pogaństwa. Szczególną złośliwością tchnie plotka, jakoby Żydzi spalili szereg kościołów w Judei i krajach ościennych i grozili chrześcijanom odwetem za wszystko zło, jakie im wyrządzili cesarze chrześcijańscy. Wiarogodniej natomiast brzmi wieść, że chrześcijanie wyrżnęli temi czasy wszystkich Żydów w Edessie, rozgniewani względami, którymi cesarz darzył ogół żydowski.

Krzywem okiem patrzyli chrześcijanie na początki robót około odbudowy Jerozolimy i świątyni. Podczas uprzątania ruin i odkopywania fundamentów wybuchły płomienie, w których zginęło kilku robotników. Te ognie podziemne wszczęły się niewątpliwie w dawnych chodnikach pod świątynią od nagłego kontaktu zgęszczo-

nej skutkiem tyloletniego ciśnienia i raptem wyzwolonej warstwy powietrza z powietrzem zewnętrznem. Nagłe wybuchy ognia jęły się powtarzać i zniechęciły robotników do pracy. Juljan miał podobno przypisać winę tych pożarów chrześcijanom i grozić im, że za powrotem z wojny zbuduje dla nich z gruzów świątyni więzienie. Źródła chrześcijańskie następnych pokoleń opowiadają najdziwniejsze rzeczy o cudach, które się działy jakoby przy tej bezbożnej budowie, a które ryczałtem służyć miały zatwardziałym Żydom ku przestrodze, a Chrystusowi ku chwale.

Niepomyślny dla Juljana wynik wojny z Persami położył kres krótkotrwałej radości Żydów i nowy tryumf zgotował chrześcijanom. Juljan skoncentrował całą potęgę rzymską i żadnego środka nie zaniedbał, aby sprostać swemu przeciwnikowi, Szaburowi II. Szabur z swej znów strony zarządził przygotowania wojenne, aby wyrugować z Azji orła rzymskiego.

I oto znowu Europa i Azja stanęły naprzeciw siebie w rynsztunku bojowym. Widownią wojny była przeważnie dzielnica Babilonji żydowskiej. Zamieszkane przez wielu Żydów miasto Peroz-Szabur kapitulowało po trzydniowem ciężkiem oblężeniu i w końcu obrócone zostało w perzynę. Machuza, poniekąd przedmieście Ktezyfonu, gdzie konsystowała załoga perska, ściśnięta żelaznym pierścieniem oblężców, stawiła opór tak zacięty, że cała potęga wojenna Rzymian zaledwie zdołała opanować jej mury. Machuza, której dumni mieszkańcy żydowscy współzawodniczyli w przepychu z mieszkańcami stolicy, padła wreszcie w dziesięć lat po śmierci Raby pod ciosami rzymskich machin oblężniczych i zamieniła się w gruzy. Pomimo wszelkich postępów oręża nie udało się Juljanowi dotrzeć do Ktezyfonu. Zuchwała odwaga nietylko pozbawiła go owoców zwycięstwa, ale też przyprawiła o zgubę. Legł przeszyty

strzałą, którą wypuścił pono chrześcijanin z jego własnych zastępów. Ze spokojem godnym mędrca wyzionął Juljan ducha.

Śmierć jego (Czerwiec 363) zgasiła dla Żydów ostatni promyk nadziei spokojnego, niezakłóconego uciskiem bytu. Atoli względy, jakimi ich darzył, odroczyły przynajmniej na czas jakiś odnowienie wrogich edyktów Konstantyna i Konstancjusza. Zarządzenia Juljana, o ile nie dotyczyły przywilejów żydowskich, utrzymały się w mocy. Jowjan, następca Juljana (Czerwiec 363 do Lutego 364), który zniewolony był zawrzeć sromotny pokój z zwycięzkim Szaburem, żył zbyt krótko, aby myśleć o zmianach poważnych. Pozwolił każdemu wyznawać swoją religję, bez obawy poniesienia ztąd jakiegokolwiek uszczerbku. Po jego śmierci miało państwo rzymskie znowu dwóch cesarzy: Walentynjana I. (364—375) i Walensa (364—378). Ten ostatni, cesarz Orjentu, był Arjaninem i sam zbyt ciężkie toczyć musiał walki z potężną partją katolików, aby miał być nietolerancyjny w religji; jakoż bronił on Żydów. Brat jego, Walentynjan I, cesarz Zachodu, wybrał również w sporze pomiędzy katolikami a Arjanami drogę tolerancji, pozwalając każdemu wyznawać tę czy ową religję, bez szkody dla swych praw politycznych (371). Tolerancja ta wyszła na dobre i Żydom. Synagogi i miejsca poświęcone kultowi uwolnił Walentynjan od uciążliwego kwaterunku żołnierzy.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Upadek patrjarchatu i zakończenie Talmudu.

(370—600).

Rozpoczynające się rozprzężenie państwa rzymskiego oznacza w dziejach świata jednocześnie śmierć i nowe życie, rozkład i odrodzenie, zburzenie i odbudowę.

Orkan, co się zerwał od muru chińskiego, napędził chmury brzemienne w pioruny, które zdruzgotały bezsoczne, ogołocone z liści, własnym tylko jeszcze ciężarem trzymające się drzewo olbrzymie państwa rzymskiego, zostawiając zeń jeno drzazgi na igrzysko wiatrów kapryśnych. Barbarzyńscy Hunnowie, ów bicz boży, gnali przed sobą hordę za hordą, naród za narodem, których imion pamięć nie ogarnie, język nie powtórzy. Okres wędrówki narodów ziścił niemal literalnie słowa proroka: „Ziemia się chwieje, jak pijany, gniecie ją brzemię jej grzechu; pada i powstać nie może, a Pan Sebaot nawiedzi hufce wyżyn na wyżynie, a królów ziemi na ziemi.“ W Gotach, owej pierwszej fali ludów, które zalały państwo rzymskie powodzią zniszczenia, upatrywali Żydzi zwiastowanego przez proroka Goga z kraju Magog, „który jak burza nadbiegał, jak chmura nadciągał, aby pokryć ziemię całym swym zastępem i licznymi ludami.“ W tym dziwnym kołowrocie zagłady i powstawania narodów narzucało się myślicielom żydowskim niezłomne przekonanie o niepożytości ludu żydowskiego: „Jeden lud powstaje, a drugi przemija, ale Izrael trwa wiekuiście.“ Na gruzach państwa rzymskiego osiadły narody barbarzyńskie, mściciele ludów tak długo gnębionych, dzikie płonki, które miała dopiero uszlachetnić mistrzowska ręka historji, nieokrzesani półludzie, uobyczajeni z czasem przez poważne nauki.

Judea, która, dzięki patrjarchatowi, zawsze jeszcze przewodziła gminom cesarstwa, przedstawia w tej epoce smutniejszy niż kiedykolwiek obraz zupełnej martwoty. Ciężar ucisku nieprzyjaznego chrześcijaństwa tłumił wszelki popęd do studjów. Ze śmiercią pogańskiego cesarza Juljana wybiła ostatnia godzina Rzymu pogańskiego i utrwaliło się państwo chrześcijańskie. Biskupi, acz na zabój wadząc się z sobą o dogmaty, opanowali dwór konstantynopolitański i rzymski. Pogaństwo, jeszcze przez

senat konwulsyjnie bronione, musiało się dysponować na śmierć. Boginię zwycięstwa i jej ołtarz wywleczono z sali obradnej senatu. W gruncie rzeczy upadek wielobóstwa był tryumfem religji żydowskiej, boć w kościołach rozbrzmiewały radosne lub żałobne psalmy żydowskie. Ale judaizm nie mógł się cieszyć z tego zwycięstwa, gdyż na równi z pogaństwem został wyklęty.

Wprawdzie istniała jeszcze instytucja, reprezentująca jedność powszechności żydowskiej, patrjarchat, ostatni szczątek chwały minionej. Trzech jeszcze patrjarchów znamy z imienia: r. Gamaliela V, następcę Hillela II, syna tegoż Judę IV i r. Gamaliela ostatniego. Lecz ich działalności pozostały zaledwie ślady niejasne. Ciągle jeszcze nosili raczej pompatyczny, aniżeli wpływowy tytuł „Oświeconych“ wraz z przywiązanymi doń przywilejami, ciągle jeszcze korzystali z dobrowolnej daniny gmin całego państwa, którą ściągali ich wysłannicy. Ale ich atrybucje skurczyły się znacznie. Jedyny jeszcze wpływ patrjarchy przejawiał się w prawie wyłączania ze społeczeństwa odstępców, którzy bądź to z namowy, bądź też dobrowolnie przeszli na wiarę chrześcijańską. Ale i tego prawa nie chciało im przyznać wyniosłe chrześcijaństwo. Przy pomocy ramienia świeckiego zmuszali biskupi patrjarchów i przełożonych gmin, noszących miano prymasów, do zachowania wykluczonym członkom wszystkich przynależnych im praw. Jakkolwiek podżegany przez kler katolicki, a zwłaszcza przez Ambrożego z Medjolanu, do prześladowania Arjanów i innych kacerzy, bronił jeszcze Teodozjusz Wielki (379—395) żydostwo od fanatycznych zamachów. Ogłosił edykt, potwierdzający patrjarchom i prymasom prawo wyłączania swych współwyznawców i zakazujący władzom świeckim wtrącać się do spraw wewnętrznych społeczności żydowskiej. Tę samą bezstronność okazał względem patrjarchy Gamaliela V, gdy ten zaniósł doń skargę na męża konsu-

larnego Hezychjusza o podstępne zagarnięcie ważnych papierów; Hezychjusz poniósł karę śmierci za to przestępstwo. Nie znamy zresztą bliższych szczegółów tej sprawy.

Teodozjusz musiał często hamować zbytek gorliwości chrześcijańskiej, która szukała zasługi w zakłócaniu nabożeństw żydowskich i w plądrowaniu, paleniu lub zamienianiu w kościoły synagóg. Najgwałtowniejszem zagorzalstwem przeciw Żydom odznaczyli się w tym czasie Jan Chryzostom (Złotousty) z Antjochji i Ambroży z Medjolanu.

Pierwszy, z samotni klasztornej powołany na urząd kaznodziejski, piorunował na Żydów z ambon Konstantynopola i Antjochji; wybrał ich wręcz za temat sześciu kolejnych homilji. Ale bo też Żydzi antjocheńscy pozwalali sobie zanadto; pociągali chrześcijan do swych obyczajów, swojej służby bożej, swych sądów, co prawda,—całkiem bezwiednie. W soboty i dni uroczyste odwiedzało wielu chrześcijan synagogi, szczególniej płeć niewieścia, zarówno możne matrony, jak i kobiety dwuznacznej opinji.

W religijnem skupieniu słuchali dźwięku trąbki w Nowy Rok żydowski, uczestniczyli w uroczystem nabożeństwie dnia Odpuszczenia i brali udział w uciechach święta Szałasów. Miało to tem większy dla nich powab, że się działo za plecami kapłanów chrześcijańskich. Chrześcijanie woleli się prawować przed sędzią żydowskim, bo rota przysięgi żydowskiej wywierała na nich większe wrażenie. Przeciw tej dobrowolnej czci obrządków żydowskich grzmiały potężne kapucynady Chryzostoma, w których nie oszczędził Żydom żadnej zniewagi i synagogi ich nazywał ohydnymi teatrami, jaskiniami łotrów, a nawet czemś jeszcze szpetniejszem.

Ambroży z Medjolanu, niegdyś obcy zgoła teologji urzędnik państwowy, którego tumult powstały w kościele powołał na stolicę biskupią, mądry znawca życia ludzkiego, lecz zarazem fanatyk, wrzał o wiele jeszcze zacieklejszą nienawiścią dla Żydów. Gdy chrześcijanie rzymscy spalili jedną z synagóg i cesarz Maximus polecił senatowi, aby kazał ją odbudować kosztem miasta, rzucił mu Ambroży w twarz najkrwawszą obelgę: nazwał go Żydem. Biskup z Kallinikos w Mezopotamji północnej puścił rękami mnichów z dymem synagogę w stronach tamtejszych. Teodozjusz nakazał biskupowi odbudować ją własnym nakładem, a bezpośrednich sprawców ukarał, czem ściągnął na siebie gniew Ambrożego, który w swem piśmie do cesarza użył tak ostrych wyrazów i gróźb, że zmusił go do cofnięcia rozkazu. Ten gwałtowny biskup wołał do Żydów szyderczo: że nie wydają z pomiędzy siebie ani cesarzów, ani namiestników, nie służą w szeregach, nie zasiadają w senacie, nie mogą nawet brać udziału w ucztach magnatów; że są tylko po to, żeby płacić grube podatki. Łatwo to przemocnemu hańbicielowi rzucać zakałę infamji na ofiarę swego gwałtu. Napróżno podkreślał Teodozjusz, że niemasz prawa, któreby zabraniało wyznawania w państwie rzymskiem religji żydowskiej, napróżno usiłował osłonić ją opieką prawa przeciw zamachom przemocy, rozkazując komesowi Orjentu, aby surowo karał chrześcijan winnych zakłócenia jej obrzędów i znieważenia synagóg (393). Wszystkie edykty i rozkazy cesarskie rozbijały się o moc tchnącego nienawiścią, prześladowczego ducha tej epoki. Nie mogli się zresztą Żydzi na los swój użalać, nie powodziło im się gorzej, niż zwolennikom różnych sekt chrześcijańskich, gdy ich przeciwnicy wzięli właśnie przewagę. Zdziczenie, które nastąpiło z wtargnięciem barbarzyńców do krajów kulturnych, nie oszczędziło też dziedziny religji; wandalizm zapanował wszędzie, zarówno w kościele, jak w państwie.—Jakkolwiekbądź, Teodozjusz I zainicjował lub przynajmniej utrwalił wyjąt-

kowe położenie Żydów w państwie rzymskiem. Odnowił prawo Konstancjusza, zakazujące Żydowi pod karą surową nawracać swego niewolnika na wiarę żydowską. Zniósł też wolność od sprawowania uciążliwych urzędów municypalnych, przywilej, który Żydzi ze względów religijnych potrafili wyjednać sobie u poprzednich cesarzów.

Teodozjusz podzielił państwo między dwóch swoich synów i podziałem tym rozdarł świat rzymski na dwa obozy, czem jeszcze spotęgował rozprzężenie i zamęt. Żydzi rzymscy mieli odtąd dwóch panów, cesarza Wschodu i cesarza Zachodu. Cesarz Wschodu, czyli bizantyjski, Arkadjusz (395—408), a raczej jego wszechpotężni podkomorzowie, Rufin i Eutropjusz, byli dla Żydów przychylni. Rufin lubił pieniądze, a Żydzi zdążyli już poznać czarodziejską moc złota, która miękczy serca kamienne. Jakoż wydano szereg praw w duchu dla nich życzliwym. Jedno z tych praw (396) pozwalało Żydom samodzielnie ustanawiać własnych dozorców targowych i groziło karą ciężkiego więzienia temu, ktoby się je odważył naruszyć. Inne znów broniło „oświeconych patrjarchów“ od zniewag. Gdy się w Illyrji zaczęły napaści na synagogi, rozkazał Arkadjusz lub właściwie Eutropjusz namiestnikom przedsięwziąć przeciw tym ekcesom środki surowe (397). Odnowił też i potwierdził prawo Konstantyna, według którego patrjarchowie, jakoteż wszyscy funkcjonarjusze synagogi wolni być mieli od ciężarów magistrackich, na równi z klerem chrześcijańskim. Inny jeszcze szczątek dawnej udzielności zachowały Żydom rządy Arkadjusza (398); pozwolił on im wytaczać swe sprawy, za zgodą stron obydwu, przed patrjarchę i innych rozjemców żydowskich, a władzom rzymskim nakazał wykonywać ich wyroki, pomimo że w kwestjach nie dotyczących religji podlegali ogólnym prawom państwowym. Niebawem atoli wyszło

nowe prawo, znoszące poprzednie, na mocy którego wszyscy Żydzi, nie wyłączając zwierzchników religijnych, znów obciążeni zostali brzemieniem obowiązków kurjalnych (399), co może pozostawało w związku z zaszłym w tymże roku upadkiem Eutropjusza. Taka zmienność kapryśna nie powinna nas dziwić wobec arbitralnej gospodarki dworu bizantyjskiego.

Kapryśnem również było zachowanie się względem Żydów cesarza Zachodu, niedołężnego Honorjusza, czy też jego władcy Stylichona. Zniesienie wolności kurjalnej w gminach Apulji i Kalabrji nie dowodzi jeszcze tendencyjnej nienawiści do Żydów. Natomiast inne prawo (399) zabraniało pod karą surową na całym obszarze prefektury wywożenia dani patrjarszej i nakazywało konfiskatę na rzecz skarbu cesarskiego zebranych dotąd pieniędzy. I jakgdyby prawodawstwo ówczesne samo zadrwić chciało z swoich grymasów, w pięć lat potem cofnięto ten zakaz i pozwolono Żydom zbierać po dawnemu dań patrjarszą i wysyłać ją na miejsce przeznaczenia (404). Honorjusz wyłączył z jednej strony Żydów i Samarytan od służby wojskowej, z drugiej zaś bronił Żydów od szykan władz krajowych i ogłosił edykt, zakazujący pozywać Żydów przed sądy w soboty i święta (409).

Dopiero z dobrodusznym, lecz ograniczonym cesarzem Teodozjuszem II (408—450), którego niedołęstwo zapewniało bezkarność fanatycznej gorliwości niektórych biskupów i zachęcało ich do czynów okrutnych, rozpoczynają się dla Żydów właściwe wieki średnie. Edykty tego cesarza zakazywały Żydom budowania nowych synagóg, sprawowania funkcji sędziowskich w sporach chrześcijan z Żydami, posiadania niewolników chrześcijańskich i innych jeszcze rzeczy pomniejszego znaczenia. Za tego monarchy nastąpił również upadek władzy patrjarszej, lubo ostatni patrjarcha Gamaliel cieszył się

u dworu cesarskiego większymi niż którykolwiek z jego poprzedników względami. Obok nadanych patrjarsze zdawna tytułów udzielił mu dwór wysokiej godności prefekta z dyplomem honorowym; była to wprawdzie tylko godność tytularna, lecz doniosłego znaczenia w czasie, w którym pozory stanowiły istotę. Nie wiemy, czem sobie Gamaliel zasłużył na to wyróżnienie. Może zawdzięczał je wiedzy medycznej, był bowiem lekarzem i przypisywano mu wynalezienie skutecznego środka na choroby śledziony. Wobec tak wysokiej protekcji sądził Gamaliel, że może się nie liczyć zbyt skrupulatnie z wyjątkowemi prawami, wydanemi przeciw Żydom przez Teodozjusza. Kazał wznosić nowe synagogi, wykonywał sądownictwo w sprawach chrześcijan z Żydami i nie troszczył się o tym podobne ustawy cesarskie. Wskutek tego pozbawił go Teodozjusz II dodatkowych godności, cofnął dyplom honorowy i pozostawił mu jedynie prerogatywy, związane z urzędem patrjarszym (415). Wszakże sam patrjarchat zniósł Teodozjusz dopiero po zgonie Gamaliela, którego potomstwo męskie wymarło, jak się zdaje, w wczesnej młodości (ok. 425). Tak tedy z Gamalielem uschła ostatnia latorośl szlachetnego drzewa rodu Hillela. Półtrzecia wieku przewodniczył dom ten duchowemu życiu żydostwa, wielu jego członków otaczało swą opieką naukę, wolność i narodowość, dzieje ich żywota stanowiły ważną część składową ogólnych dziejów żydowskich. Piętnastu patrjarchów sprawowało kolejno rządy w tym okresie: dwóch Hillelów, trzech Szymonów, czterech Judów i sześciu Gamalielów.

Za panowania Teodozjusza II na Wschodzie, a Honorjusza na Zachodzie mógł sobie biskup aleksandryjski pozwolić na wypędzenie wśród zniewag Żydów z tego miasta. Zebrawszy motłoch chrześcijański, podszczuł go w namiętnych słowach na Żydów, wtargnął do ich synagogi, zajął ją na rzecz chrześcijan, a prawowitych

jej właścicieli wypędził półnagich z miasta, które od wieków było ich ojczyzną. Mienie ich oddał ów biskup Cyryl, żadnego nie wzdragający się gwałtu, na pastwę chciwego łupu pospólstwa (415). Prefekt Orestes, acz do żywego dotknięty tem okrucieństwem, nie mógł w swej bezsilności nic więcej dla Żydów uczynić, jak zaskarżyć biskupa u dworu; lecz w Konstantynopolu przegrał sprawę z kretesem. Miarę fanatyzmu biskupa Cyryla dają wypadki, które rozegrały się wnet po wyrugowaniu Żydów z Aleksandrji. Poduszczeni przez tego gorliwca mnisi z góry Nitra (pod Aleksandrją), których tęsknota do korony męczeńskiej przemieniła w dzikie zwierzęta, napadli na prefekta Oresta i wywierając nań zemstę za jego stanowisko w sprawie rugów żydowskich, omal nie ukamienowali go na śmierć. Ta sama banda zagorzalców rozszarpała w rozbestwieniu filozofkę Hypatję sławną na cały świat z głębokiej nauki, wymowy i cnoty. Jeden tylko członek nieszczęśliwej gminy aleksandryjskiej, niejaki Adamantius, mistrz sztuki lekarskiej, ugiął się pod brzemieniem niedoli i przyjął chrzest. Reszta Żydów poszła w poniewierkę tułactwa z czołem pogodnem, wierna religji swych przodków.

Nie stało tego męstwa Żydom w miasteczku Magona (Mahon) na wyspie Minorce, których tamtejszy biskup Sewer póty nękał walkami ulicznemi, aż ich wszystkich zmusił do apostazji.

Rzecz dziwna, że prefekci i rektorowie prowincji przeważnie stawali w obronie Żydów przeciw klerowi. Prefekt Syrji doniósł cesarzowi o zagrabieniu synagóg w Antjochji i widocznie opisał to bezprawie w całej nagości, skoro ów dewot polecił Antjocheńczykom zwrócić synagogi ich właścicielom. Ale przeciw temu rozkazowi zaprotestował gwałtownie Szymon Słupnik, który nieopodal Antjochji prowadził żywot pełny abnegacji. Lecz pomimo, że na swym słupie wyrzekł się świata

i jego próżności, nienawiść, jaką żywił do Żydów była dlań dostateczną podnietą do wtrącania się w sprawy doczesne. Dowiedziawszy się, że cesarz Teodozjusz rozkazał zwrócić zagarnięte synagogi, wystosował doń pismo wyniosłe, w którem oznajmiał mu, że nikogo prócz Boga nie uznaje za swego pana i władcę, i nalegał na cofnięcie edyktu. Lękliwy Teodozjusz dał się łatwo przekonać i nietylko odwołał swoje rozkazy, lecz w dodatku złożył z urzędu prefekta, który się ujął o krzywdę Żydów (423).

Nietolerancyjny fanatyzm cesarza Wschodu, Teodozjusza II, oddziałał też na cesarza Zachodu, Honorjusza, i obadwaj niedorzecznemi prawami wtrącili Żydów w ową sytuację wyjątkową, w jakiej zastały ich nowe państwa giermańskie. Niedopuszczano Żydów do żadnych urzędów cywilnych, do żadnych funkcji wojskowych, które były dla nich dawniej dostępne; pozostawiono im tylko jeszcze dwuznaczny i uciążliwy zaszczyt urzędów miejskich. Lecz nie poprzestając na pozbawieniu ich praw obywatelskich, ograniczył ich Teodozjusz w prawie dowolnego rozporządzania swoją własnością na cele wyznaniowe, jakgdyby mienie żydowskie stanowiło własność cesarza. Po wygaśnięciu domu patrjarszego nie przestały gminy żydowskie opłacać dawnym trybem dani patrjarszej; zbierali ją prymasowie i przeznaczali według wszelkiego prawdopodobieństwa na utrzymanie uczelni. Naraz wychodzi dekret cesarski, nakazujący prymasom zebrane już sumy tej dani przelać do skarbu cesarskiego, a na przyszłość pobierać ją na rzecz tegoż skarbu przez urzędników cesarskich; nawet wpływające z państwa zachodniego fundusze miały być uważane za własność fiskusu (429). Nowy Rzym przyjął w spadku po starym całą jego nikczemność i chciwość. Jak pogański cesarz Wespazjan dań świątyniową, tak przywłaszczył sobie cesarz chrześcijański dań patrjarszą i z grabieżą łącząc

gwałt religijny, zmienił dobrowolne ofiary serc pobożnych w przymusowy haracz na cudze potrzeby.

Pomimo zbiedzenia żydostwa w państwie wschodnio-rzymskiem, a jeszcze bardziej w Judei, nie wygasł doszczętnie popęd do studjów. Tyberjada zawsze jeszcze była przybytkiem nauki, a obok niej Lidda. Ojciec kościoła łacińskiego, Hieronim (331—420), który założył klasztor panieński w Betlehem, jak niegdyś Origenes, party żądzą wiedzy, zapragnął poznać Biblję w oryginale i pobierał nauki u tamtejszych mistrzów żydowskich. Niepoślednia znajomość języka hebrajskiego i Pisma świętego, jaką sobie Hieronim przyswoił pod ich kierunkiem, świadczy, że odnośna wiedza znajdowała jeszcze w Judei gorliwych uprawców. Bar-Chanina, jeden z nauczycieli tego ojca kościoła, musiał jednak, unikając jawności, odwiedzać go w jego celi ukradkiem, gdyż wobec wrogiego użytku, jaki chrześcijanie czynili ze znajomości hebrajszczyzny, zakazano ostatniemi czasy udzielać im nauki języka świętego. Hieronim nietylko obeznał się z literą Biblji i wymową hebrajską, lecz zdobył również głębsze zrozumienie tekstu, który podawała tradycja. Z formą wykładu agadycznego tak się oswoił, że umiał ją przeszczepić na grunt wyobrażeń chrześcijańskich, a stosował ją ze smakiem i błysnął niejednym zwrotem szczęśliwym.

W ocenie i odróżnianiu pism autentycznych, kanonicznych, od nieautentycznych, apokryficznych, przewyższali Żydzi nieskończenie swych współcześników chrześcijańskich i ubiegli ich o wiele stuleci. Koncyljum nicejskie, które usiłowało pogodzić stronnictwa zapomocą arbitralnych wyroków, rozstrzygnęło też spór o świętość niektórych ksiąg wątpliwej powagi i wcieliło do kanonu kilka apokryfów. Natomiast Żydzi, z którymi Hieronim rozprawiał o Biblji, czynili o wartości pewnych apokryfów tak zdrowe uwagi, że nawet dzi-

siaj, pomimo postępów nauki, wypada uznać ich trafność.

Ten zdrowy sąd był płodem studjów Zakonu, które stanowiły przeciwwagę bezkrytycznej ortodoksji. Judea w okresie swej zgrzybiałości pielęgnowała jeszcze język hebrajski, który nierozerwalnem ogniwem łączył na obczyźnie jej synów. Język święty, którym się posługiwano w modlitwach, odczytach i nauce, stał się stróżem jedności duchowej narodu żydowskiego.

Kilka promieni gasnącego słońca Judei pochwyciło chrześcijaństwo, a kościół piastował je jako światło niebieskie. Znajomość hebrajszczyzny, której Hieronim nabył od nauczycieli żydowskich, a która pozwoliła mu w przekładzie Pisma na język łaciński (Wulgata) odstąpić od skażonej błędami Septuaginty i trzymać się więcej pierwowzoru hebrajskiego, znajomość ta musiała wystarczyć na całe tysiąclecie i dopiero z Odrodzeniem nauk zaczęła czynić postępy. Lecz z każdym krokiem naprzód oddalało się chrześcijaństwo coraz bardziej od religji żydowskiej i trzeba było wymowy wielu wieków, aby mu przywieść znowu na pamięć, że się poczęło z judaizmu. Fanatyzm religijny sprawił, że zapomniano o tem pokrewieństwie, tak dalece, iż nawet Hieronim, który siadywał u stóp nauczycieli żydowskich i uznawał w starym Testamencie „prawdę hebrajską," nie mógł się otrząsnąć z zakorzenionej głęboko nienawiści do Żydów." Nieprzyjaciół swych, którzy wyrzucali mu studja hebrajskie jako kacerstwo, przekonywał o swej prawowierności słowami, tchnącemi nieprzyjaźnią dla Żydów: „Jeżeli konieczna gardzić każdym z osobna i ogółem narodu, to pałam niewypowiedzianą nienawiścią do Żydów." Nie stanowił on w tej mierze wyjątku, gdyż temi samemi uczuciami ożywiony był współczesny mu ojciec kościoła, Augustyn. To kredo nienawiści do Żydów nie pozostało osobistym poglądem jednego pisarza, lecz stało się wyrocznią dla całego chrześcijaństwa, które pisma otoczonych aureolą świętości ojców kościoła chłonęło niby objawienia. To kredo uzbrajało później przeciw Żydom królów i pospólstwo, mężów stanu i mnichów, krzyżowców i pasterzy, wynajdywało dla nich narzędzia katowskie i zapalało stosy pod nimi.

Rzecz to godna uwagi, że pomimo upośledzenia przez państwo, Żydzi w Cezarei, rezydencji wielkorządcy, zarazili się niedorzeczną modą wyścigów. I wśród nich również byli woźnice, zawodnicy i stronnictwa zielonych i niebieskich, jak w Rzymie, Rawennie, Konstantynopolu i Antjochji. Lecz że w owym czasie każdy przejaw życiowy nosił jednostronną cechę religji, tedy i do walk partyjnych onych kolorów przymieszał się antagonizm wyznaniowy. Zwycięstwo lub porażka woźniców żydowskich, samarytańskich, czy też chrześcijańskich dawały jednocześnie hasło do napaści jednej grupy współwierców na drugą. Co prawda, liczna ludność żydowska w Cezarei powlekła się grubszym niż gdzieindziej pokostem światowym. Nie rozumiano tam języka hebrajskiego i wyznanie w modlitwie o jedności Boga odmawiano po grecku. Smakowanie w języku hebrajskim i poczucie wzniosłości Pisma świętego stępiły się też w innych miejscowościach. Niepiękne, bezkształtne narzecze chaldejskie zepsuło wszędzie smak. Skażenie języka przedstawia powszechne temi czasy zjawisko; zatraciła się też zwięzłość łaciny i wytworność greczyzny. Zaczynał się okres barbarzyństwa. Zabarwione hebrajszczyzną modlitwy z tego czasu niezdolne są wprawić ducha w stan pobożnego skupienia; alfabetyczne początki wierszy, oto cała ich forma, zresztą nie mają nic wspólnego z poezją.

Atoli i duch badawczy w dziedzinie Talmudu dotknięty został w Judei bezwładem. Po okresie rządów patrjarchy Judy III wyłaniają się tylko pojedyńcze imio-

na uczonych, którzy zajmowali się jego wykładem. Wprawdzie z Babilonji nadchodziły ciągle jeszcze do rektorów tyberjadzkich zapytania w kwestjach wątpliwych. Wszakże nietylko głucho o ich działalności, lecz nawet gołych imion nie przekazały nam dzieje. Nietolerancja cesarzy bizantyjskich zgasiła doszczętnie ducha w Judei.

Aby jednak nie zaprzepaścić zgromadzonego materjału, wykładu i rozszerzenia Miszny, zebrano go pod mianem „Talmudu jerozolimskiego“ (właściwiej tyberjadzkiego), wszelako bez należytego porządku, nieraz w pstrej gmatwaninie, niekompletnie, z lukami, tak jak go pamięć zachować zdołała. Co zacz byli owi zbieracze? W jakim czasie zbiór ten ukończono? Milczą o tem wspomnienia. Talmud jerozolimski przyszedł na świat w nieszczęśliwej godzinie, zawsze zostawał w poniewierce, traktowany jak pasierb. Jedną jeszcze tylko stronę nauczania uprawiano w Judei, budujące kazanie. Miało ono krzepić ducha i budzić nadzieję w owej dobie niedoli. Zaczęto też podówczas układać zbiory homilji (wykład agadyczny), zrazu kazania na dni świąt i żałoby, tudzież na szczególnie ważne soboty. W miarę wzmagania się klęski a z nią też potrzeby leków duchowych w każdą sobotę, nauki moralne częściej bywają głoszone i pojawiają się cykle kazań na rok cały. Zdradzają one właściwy owym czasom smak a raczej brak smaku; opaczny wykład wierszy Pisma świętego z wtrętem różnych obcych pierwiastków stanowi cechę tych zbiorów, które otrzymały nazwę Midrasz. Powagą w tej dziedzinie i wzorem był Tanchuma Bar-Abba. Kazania jego odznaczały się już pewnemi formami i posiadały wstęp, tekst przewijający się nicią przez całość, efektowny epilog i oratorskie pomysły. Ale i im do wytworności formy bardzo daleko.

Im bardziej skutkiem upadku uczelni i patrjarchatu traciła Judea swe znaczenie przewodniczki narodu, tem

bardziej stawała się ogniskiem judaizmu Babilonja żydowska ze swym książęcym zwierzchnikiem i budzącemi ducha szkołami. W tej samej właśnie dobie, kiedy Judea, w której dogasały już ostatnie promienie nauki, nie mogła swej hegiemonji nadal utrzymać, zdobył pewien mąż utalentowany i energiczny dla Babilonji rolę koryfejki żydostwa. Mężem tym był znakomity r. Aszi, syn Simlaja z Sury (ur. 352, um. 427). Skojarzyła się w nim gruntowność szkoły surańskiej z bystrością i umiejętną analizą pumbaditańskiej. Zjednało mu to powszechnie uznaną powagę i przyciągało doń żądne światła zastępy młodzieży. R. Aszi musiał przebudować i rozszerzyć akademję surańską, której mury porosły już pleśnią dwóch wieków. Wykład jego niecił zapał w słuchaczach. Wiele kwestji bądź to wątpliwych, bądź też niedostatecznie rozwiązanych, rozstrzygał trafnie, łącząc bystrość rozumu z jasnością. Współcześnicy nadali mu zaszczytny tytuł Rabbana (nasz mistrz). Za jego pięćdziesięciodwuletniej działalności publicznej przewinęło się w Pumbadicie siedmiu rektorów. I Nahardea, która od czasu zburzenia przez Odenata przestała grać rolę, wraca teraz do niejakiego znaczenia. Ale żaden z tamtejszych nauczycieli nie mógł się mierzyć z r. Aszi, i Sura odzyskała dawny rozgłos, jaki zawdzięczała Rabowi. Najstarsi Amoraici ulegali dobrowolnie autorytetowi r. Aszi i pozwalali mu pracować nad utwierdzeniem jedności. Nawet obadwaj współcześni mu egzylarchowie (Mar-Kahana i Mar-Sutra) poddawali się jego decyzjom. W Surze odbierali teraz książęta wygnania hołdy od delegatów wszystkich gmin babilońskich, gdy dotychczas przyjmowali je w swej rezydencji. Również nadzwyczajne zgromadzenia ludowe zwoływali odtąd do Sury. Aszi uczynił tedy Surę środowiskiem życia babilońsko-żydowskiego i związał z nią wszystkie interesa publiczne, wszystkie akty, obchodzące cały ogół.

Działalność r. Aszego przypadła na lata panowania sprzyjającego Żydom króla sasanidzkiego Jezdygierda (399—420). Magowie nadali temu szlachetnemu monarsze przydomek „Al-Hatim“ (grzesznik), ponieważ nie chciał być w ich rękach ślepem narzędziem. Natomiast Żydom był nader przychylnym, a i nad chrześcijanami roztoczył opiekę. W dni hołdu widywano na jego dworze trzech przedstawicieli Żydów babilońskich: r. Aszego z Sury, Mar-Sutrę z Pumbadity i Amemara z Nahardei. Względem poważanego męża Huny Bar-Natan, który miał z dworem stosunki, okazał kiedyś taką uprzejmość, że poprawił mu pasa z uwagą: „Jesteście ludem kapłańskim i powinniście przeto nosić pas jak kapłani.“ Taką grzeczność ze strony króla perskiego, który się nazywał synem słońca, czcicielem Ormuzda i królem królów Iranu, można niewątpliwie uważać za dowód łaski niezwykłej. A ten Huna podporządkował się dobrowolnie rektorowi surańskiemu.

R. Aszi, obcy wszelkiemu marzycielstwu, tłumił, jak się zdaje, nadzieje mesjaniczne, które w czasie wędrówek ludów i ogólnego przewrotu, gdy na grzeszny Rzym spadła rózga zasłużonej kary, pokutowały w umysłach żydowskich z większem niż kiedykolwiek napięciem. Noszono się ze starą wyrocznią sybillińską, przypisywaną prorokowi Eljaszowi, że Mesjasz zjawi się w osiemdziesiątym piątym jubileuszu (4,200 od stworzenia świata = 440 ery zwyczajnej). Podobne rojenia mesjaniczne zawsze pobudzały gdzieś marzycieli do przekucia w stal czynów wiary głębokiej. Przed takiemi złudnemi nadziejami przestrzegał r. Aszi, nadając owej krążącej wśród ludu przepowiedni odmienne znaczenie: „Przed tym czasem, przed osiemdziesiątym piątym jubileuszem Mesjasz z pewnością ukazać się nie może, dopiero po upływie tego czasu można mieć nadzieję, atoli nie pewność, że się pojawi.“

Jakoż istotnie wystąpił za czasów r. Aszego na Krecie taki marzyciel, który objechawszy w ciągu roku wszystkie gminy żydowskie tej wyspy, zjednał sobie wszędzie stronników. Przyrzekł im, że, jak Mojżesz, przeprawi ich pewnego dnia suchą stopą przez morze do ziemi obiecanej; przybrał nawet podobno imię wielkiego prawodawcy. Uwiódł liczne rzesze zapowiedzią cudów, które miał uczynić. Wielu z tych otumanionych znalazło śmierć w morzu, innych ocalili żeglarze. A fałszywy Mojżesz zniknął bez śladu.

Dzięki swojej wielkiej powadze mógł r. Aszi przedsięwziąć dzieło brzemienne w doniosłe następstwa dla losów i rozwoju ludu żydowskiego. Zaprzągł się do olbrzymiej pracy zebrania i uporządkowania objaśnień, wniosków i uzupełnień Miszny, objętych mianem Talmudu. Bezpośrednią pobudką do tego przedsięwzięcia była niewątpliwie obawa, aby ów przebogaty materjał, owoc wysiłków umysłowych trzech pokoleń, nie zaginął z pamięci, gdyby się kiedyś zmniejszył interes dla niego; pragnął stworzyć środek, ułatwiający nabycie nauki. Sam r. Aszi narzekał już na osłabienie za jego czasów pamięci w porównaniu z dawniejszemi czasami, nie biorąc w rachubę, że spiętrzony w istną górę materjał obciąża pamięć daleko bardziej niż przedtem. Opanowanie go ułatwiła mu okoliczność, że dano mu było pracować nad nim przeszło pół wieku.

Uporządkowany w ten sposób kolosalny materjał nie został spisany. Utrwalenie na piśmie ustnej tradycji, niby ucieleśnienie pierwiastków duchowych, uchodziło zawsze jeszcze za grzech, a tembardziej w owej epoce, gdy chrześcijaństwo, zawładnąwszy Pismem świętem, jako swoją własnością duchową, uważało się w jego posiadaniu za wybrany lud Izraela. Pozostawała tedy judaizmowi, według ówczesnego poglądu, jako cecha swoista, jedynie ustna nauka. Myśl ta przyoble-

czona w szatę poetyczną, powtarza się nieraz: „Mojżesz zamierzał spisać również Misznę, ustną naukę. Atoli w przewidywaniu, że narody posiądą kiedyś Torę w greckim przekładzie i będą mówiły: „Jesteśmy Izraelem, jesteśmy dziećmi bożemi," gdy naród żydowski twierdzi: „Myśmy dzieci boże," — dał Bóg znamię szczególne: „Kto posiada moją tajemnicę (Mysterjon), ten jest moim synem." Tajemnicą zaś tą jest Miszna i ustny wykład Zakonu. Dla tego też prorok Hozeasz powiada: „Gdybym był spisał mnogość przepisów, Izrael byłby poczytany za obcego." Aszi dokończył dzieła, rozpoczętego przed dwoma wiekami przez Judę I. Wszelako jego praca była bez porównania trudniejsza. Miszna dawała tylko suchą Halachę, sztucznie zaokrąglone paragrafy prawa, gdy natomiast Talmud roztacza żywy obraz Zakonu wraz z jej treścią duchową, a w dodatku z drobiazgową subtelnością. Talmud babiloński, zebrany niemal równocześnie z jerozolimskim, stał się daleko dzielniejszym od niego czynnikiem, żywiołem o wiele potężniejszym w wpływach i skutkach. Nie doprowadził jednak Aszi kolosalnej budowli do samego szczytu. Jakkolwiek bowiem z wielkim zapałem oddał się pracy zbierania, to przecież ani w nim, ani w jego współczesnych, nie zanikła do tego stopnia zdolność twórcza, aby w swej działalności poprzestać mogli jedynie na zawodzie zbieracza.

Rzecby można, że do gorliwej pracy nad zakończeniem gmachu Talmudu parło Aszego przeczucie, iż zbliżają się czasy ucisku i klęski. Jakoż w ćwierć wieku po jego zgonie wszczęły się istotnie prześladowania Zydów w państwie perskiem, prześladowania tem dotkliwsze, że przyzwyczaili się do egzystencji spokojnej. Pierwszy przymus religijny w tym kraju był dziełem Jezdygierda II (456). Niepodobny do swego poprzednika tegoż imienia, który osłaniał Żydów swoją opieką, ogłosił on zakaz święcenia soboty. Powodu do takiej zmiany w nastroju monarchów

perskich względem wiernej im niezmiennie ludności żydowskiej szukać prawdopodobnie należy w fanatyzmie magów, którzy na niejednego króla perskiego wywierali wpływ niemniejszy, niż doradcy duchowni na cesarzy bizantyjskich. Magowie przejęli w owym czasie od chrześcijan żarliwość misyjną i skłonność do prześladowań za wiarę. I bez tego już chrześcijaństwo ze swoją tendencją do nawracania niewiernych uzbroiło przeciw sobie magów na własną obronę. Manichejczycy, którzy wierzenia żydowskie, chrześcijańskie i perskie stopili w jakiś zlepek swoisty, zaszczepili w Persji ducha nietolerancji, oddawna rozwielmożnionej w państwie rzymskiem. Jezdygierd prześladował Manichejczyków i chrześcijan. Prędzej czy później musiała przyjść kolej i na judaizm. Pobożnym nie brakło zapewne sposobności obejścia zakazu, nie słychać też w tej dobie o męczennikach za wiarę. Zresztą pierwszy okres przymusu skończył się rychło, gdyż Jezdygierd zginął śmiercią gwałtowną, a synowie jego, Chodar-Warda i Peroz, wszczęli z sobą wojnę o posiadanie korony. Peroz zwyciężył brata i zasiadłszy na tronie, jął tak okrutnie prześladować Żydów, że groziła im zupełna zagłada. Pobudką do tych prześladowań, trwających lat dziesięć (474—484), miała być żądza zemsty za zabicie i obdarcie ze skóry dwóch magów, której to zbrodni dopuścili się podobno Żydzi ispahańscy. Opanowany przez magów monarcha kazał wyciąć połowę ludności żydowskiej Ispahanu, a dzieci żydowskie wysłać do świątyni w Horwanie i wychowywać je tam w kulcie ognia. Płomień prześladowania ogarnął również gminy babilońskie, gdzie po raz pierwszy pojawiają się męczennicy za wiarę. Peroz wystąpił poprostu z żądaniem, aby Żydzi zostali wyznawcami magizmu. Nie mogąc sobie dać rady z dorosłymi, odrywali siepacze dzieci od łona rodziców i oddawali je magom do nawrócenia. Była to zupełnie nowa

idea, na którą nie wpadł prześladowca Hadrjan i którą dopiero później naśladowało duchowieństwo chrześcijańskie. Egzylarcha Huna-Mari i dwaj nauczyciele Zakonu, Amemar Bar-Mar-Janka i Meszerszaja Bar-Pakod, wtrąceni do więzienia, zginęli niebawem z ręki oprawców. Bezpośrednim skutkiem krwawego prześladowania było zawieszenie wykładów w Babilonji; ustały zgromadzenia kolegjalne, a uczelnie albo świeciły pustkami, albo nawet uległy zburzeniu. Kto mógł, ratował się ucieczką, czego następstwem było gromadne wychodztwo, ku południowi do Arabji, a ku wschodowi do Indji. Emigracja do Indji miała donioślejsze znaczenie. Mąż poważany i zamożny, imieniem Józef Rabban, wywędrował z kilkoma rodzinami żydowskiemi do krainy złota, i dotarł (około 490) do żyznych i handlowych wybrzeży Malabaru. Król bramiński, Airwi (Erawi) z Kranganoru, przyjął życzliwie wychodźców żydowskich, wyznaczył im w swoim kraju siedziby i pozwolił im rządzić się ojczystemi prawami pod kierunkiem własnych zwierzchników (mardeliar). Pierwszy ich zwierzchnik, przywódca emigracji Józef Rabban, otrzymał od króla indyjskiego szczególne przywileje i zaszczyty monarsze, które miały przechodzić dziedzictwem z ojca na syna. Jak książętom indyjskim przysługiwało mu prawo zasiadania na dywanie i jeżdżenia na słoniu, a jeździł poprzedzany przez herolda, przy odgłosie cymbałów i bębnów. Siedemdziesięciu dwóch następców z rodu Józefa Rabbana miało sprawować z kolei rządy nad ową emigracją żydowską. Przywileje, których Airwi udzielił przybyszom żydowskim, wyryto pismem staroindyjskiem (tamulickiem) na tablicy spiżowej, która przechowała się podobno aż do dnia dzisiejszego. Wychodźcy pod Józefem Rabbanem zastali w Indjach, według wszelkiego prawdopodobieństwa, osiadłe tam zdawna rodziny żydowskie; przybyły one również z Persji w tym samym czasie, w którym i Chiny, jak słychać, otrzymały swoją ludność żydowską.

Szczęściem, ze śmiercią Peroza ustały prześladowania. Dwaj jego następcy, Balasz i Kawad (Cavades), porzucili drogę ucisku i życie Żydów babilońskich potoczyło się znowu starem łożyskiem. Otworzono uczelnie, mianowano rektorów, Sura i Pumbadita otrzymały swych ostatnich kierowników amorejskich, pierwsza w osobie Rabiny, druga – Josego. Obadwaj ci zwierzchnicy i ich asesorzy wytknęli sobie za jedyny cel swego życia ukończenie i zamknięcie rozpoczętego przez Aszego zbioru Talmudu. Parły ich do zakończenia tej księgi nieprzebrane cierpienia, zapewne też omdlenie wskutek klęsk zamiłowania nauki i przyszłość niepewna. Rabinę (488—499) i Josego (471—ok. 520) nazywają stare kroniki „ostatnimi z epoki Amoraitów.“ Niewątpliwie przyłożyli ręki do tego dzieła również członkowie obydwu akademji, których imiona przekazały nam dzieje. Przy udziale tych mężów uwieńczyli Rabina i Jose gmach talmudyczny, t. j. uświęcili sporządzony przez siebie zbiór wszystkich poprzednich rozpraw i orzeczeń, jako zamkniętą w sobie całość, której nadal rozszerzać niewolno. Zakończenie Talmudu babilońskiego, zwanego też Gemarą, przypada na schyłek wieku piątego, gdy na półwyspie arabskim Żydzi rzucali pierwsze nasiona nowej religji i nowej światowładnej monarchji, a w Europie na gruzach starożytnego Rzymu powstały królestwa Gotów i Franków.

Na Talmud nie można się zapatrywać, jako na zwykłe dzieło z dwunastu tomów złożone; nie ma on w ogólności żadnego wewnętrznego podobieństwa z jakimkolwiek utworem ducha ludzkiego, lecz bez przenośni stanowi świat zgoła odrębny, który też oceniać należy według jego własnych norm i prawideł. Brak wszelkiej modły porównawczej utrudnia niezmiernie trafną charakterystykę tej księgi. Wprawdzie możnaby ją zestawić z literaturą ojców kościoła, która się narodziła w tym samym okresie. Atoli po dojrzalszej rozwadze upada i to porównanie. Bez

wątpienia Talmud, t. j. zbiór ułożony w Babilonji, niewolny jest od wad, właściwych wszystkim płodom umysłu, które hołdują bezwzględnie jednostronnym kierunkom. Zawiera on wiele rzeczy zbytecznych i błahych, nad któremi się rozwodzi z wielkiem przejęciem i miną poważną. Od swego otoczenia perskiego przejął gusła rozliczne, obce duchowi judaizmu, jak wiara w demony, czarnoksięstwo, egzorcyzmy, kuracje cudowne i przepowiadanie ze snów przyszłości. Czasem zgrzytnie jakiem słowem niechęci lub nieprzychylną ustawą na członków innych narodów i wyznawców innych religji. Wreszcie lubuje się w niezdrowym wykładzie Pisma świętego, w łamańcach niedorzecznej, często niezgodnej z prawdą egzegiezy. Najlżejsze tchnienie poezji nie wieje z jego grubych foljałów i czytelnik, jeżeli się nie chce zżymać na Talmud i wyrządzić mu krzywdy swym gniewem, powinien całkiem zapomnieć o poezji biblijnej, o jej bezpretensjonalnej, a przecież tak pociągającej piękności, o tryskającej życiem wymowie proroków, o psalmach, które unoszą duszę do niebios, o głębiach myślowych księgi Hioba. Wszelako takie oszpecenie i skażenie poezji biblijnej opacznym wykładem nie stanowi wyłącznej właściwości Talmudu; dzieli on ją z literaturą ojców kościoła, którzy pragnąc oprzeć dogmaty na podstawach biblijnych, również wykrzywiali proste i w prostocie swej porywające znaczenie słów Pisma świętego. A przecież talmudyści nie posiadali tak wspaniałych wzorów, jak ojcowie kościoła. Winę tych defektów składano na Talmud i potępiano go jako kolekcję błahostek, jako zepsute źródło, nie biorąc pod uwagę, że nie mamy tu do czynienia z jednym autorem, na którymby ciążyła odpowiedzialność za każde zdanie lub wyraz. Z górą sześć wieków ogarnia Talmud, sześć wieków w kamień zaklętych, lecz w tej skamieniałości tętniących pełnym pulsem życia, z właściwemi im kostjumami,

sposobem myślenia i mówienia, niby jakieś literackie Herkulanum i Pompeji, nie osłabione w efekcie sztucznem naśladowaniem, które zmniejsza skalę olbrzymiego obrazu, aby go mogło w ciasnych ramach pomieścić. Nic tedy dziwnego, że w tym świecie spotykamy obok wzniosłych rzeczy pospolite, obok wielkich małe, obok poważnych śmieszne, że miesza się tu ołtarz z popiołem, pierwiastek żydowski z pogańskim. O braku rozwagi świadczą nienawistne wyrazy, właściwie nic innego, jak wybuchy chwilowego żalu jednostki, uwiecznione przez nazbyt gorliwych adeptów, którzy nie chcieli pominąć ani jednego słowa uwielbionych doktorów. Przesadna gorliwość zbieraczy zaszkodziła i tutaj. Atoli owe niewłaściwe wynurzenia nikną zupełnie w Talmudzie wobec nauk, tchnących życzliwością i miłością bliźniego, bez różnicy pochodzenia i wiary. Niestety, szczytne te sentencje przywalone są taką górą rytuałów, że trzeba bystrego wzroku, aby je wypatrzeć.

Co przedewszystkiem charakteryzuje Talmud babiloński i odróżnia go od jerozolimskiego, to polot myśli, przenikliwość rozumu, błyski dowcipu, które czasem mignął, by za chwilę zgasnąć. Nieprzebrane, pełne podniet skarby duchowe spoczywają w szybach Talmudu, wszakże nie w gotowej postaci, iżby je można było sobie drzemiąc przyswoić, lecz we wszystkich fazach powstawania. Talmud babiloński wprowadza nas do warsztatu myśli i możemy w nim śledzić idee od najpierwszych poruszeń aż do chwili, w której się niekiedy wzbijają na zawrotne wyżyny, poza doniosłość niemal rozumu ludzkiego. Z tego też powodu stał się on w wyższym niż jerozolimski stopniu drogiem dziedzictwem narodu żydowskiego, źródłem jego życia, jego duszą. Pokolenia potomne pozyskały w nim swoją kronikę rodzinną, w której czuły się u siebie, w której żyły i obracały się swobodnie: myśliciel w przędziwie jego myśli, człowiek uczuciowy

śród ideałów świetlanych. Świat zewnętrzny, przyroda i ludzie, potęgi ziemskie i zdarzenia dziejowe wydawały się pokoleniom przez lat tysiąc z górą czemś przypadkowem, nic nie znaczącem, widziadłem poprostu; istotną rzeczywistością był dla nich Talmud. Nowa prawda otrzymywała w ich oczach chryzmat prawdziwości i niezawodności wtedy dopiero, gdy znaleziono dla niej jaki dowód i sankcję w Talmudzie. Nawet Biblja, dawniejsze dzieje narodu, płomienne i jak balsam kojące słowa proroków, wylewy duszy psalmistów, były im znane tylko przez Talmud i w świetle Talmudu. Ale ponieważ judaizm od swych pierwszych zawiązków stał na gruncie życia realnego, i co za tem idzie, Talmud musiał się zaprzątać sprawami tego świata, nie mogło się tu zarodzić owo życie senne, owa pogarda świata, owa nienawiść rzeczywistości, które w wiekach średnich wiodły mężczyzn i kobiety w samotne ustronia i uświęciły życie pustelnicze. Wprawdzie przeważający w Talmudzie kierunek rozumowy wyradza się częstokroć w mędrkostwo, boć niema dziejowego zjawiska bez cieni. Atoli nawet te usterki przyczyniły się do jasnego ujęcia zagadnień i torowały drogę nauce. Talmudyści babilońscy są ojcami owego subtelnego ducha żydowskiego, który w dniach najsroższej niedoli chronił rozproszonych od zdrętwiałości i ogłupienia. Był to eter, co ich zabezpieczał od gnicia, ustawicznie poruszająca siła, która przezwyciężała gnuśność i bezwład, wiecznie tryskający zdrój, który utrzymywał ducha w ciągłej czerstwości i rzeźwości. Słowem Talmud był wychowawcą społeczności żydowskiej we wszystkich krajach djaspory, i to wychowawcą niezgorszym, skoro wbrew wszelkim szkodliwym wpływom wyjątkowego położenia, wbrew upokorzeniom i systematycznej demoralizacji, potrafił utrzymać naród żydowski na wysokim poziomie etycznym. Wreszcie gminom po wszystkich strefach rozpierzch-

łym podał sztandar jedności i ustrzegł je od rozbicia i sekciarstwa; krzewił też wśród potomnych pokoleń znajomość dziejów narodu.

Zaledwie ukończono olbrzymi gmach talmudyczny,— jeszcze w akademjach Sury i Pumbadity żył niejeden współpracownik i zbieracz, jeszcze prześladowania wrogiego króla Peroza nie zatarły się w ludzkiej pamięci,— gdy na Żydów perskich spadła nowa niedola. Wszakże tym razem nie poprzestali na biernym oporze, lecz stawili śmiało czoło przeciwnościom. Wtóry następca Peroza, Kawad (488—531), był monarchą niedołężnym, ale niepozbawionym dodatnich cech charakteru. Uległszy wpływom pewnego fanatyka, stał się w jego ręku powolnem narzędziem do prześladowań za wiarę. Ukazał się był bowiem w Persji mąż, który chciał zreformować kult ognia i uczynić go religją panującą. Mazdak—tak się nazywał ów odnowiciel magizmu—mniemał, że znalazł środek, który, według zapowiedzi, pozwoli światłu odnieść zwycięstwo nad ciemnością, Ahura-Mazdzie nad Angro-Mainjusem, i owoce tego zwycięstwa utrwali na wieki. Chciwość bogactw, pożądanie cudzych żon, oto źródło wszystkiego złego na świecie, podnieta do zazdrości, nienawiści i zbrodni. Mazdak usiłował zniweczyć te bodźce przez wprowadzenie wspólności majątku i kobiet. Na gruncie równości komunistycznej spodziewał się osiągnąć najpewniej ideał nauki Zoroastra. Bezinteresowność reformatora i jego żywot ascetyczny zjednały mu licznych zwolenników, którzy jęli stosować w praktyce tak korzystne dla nich swobody (ok. 501).

Zwolennicy ci przybrali nazwę Zendików, jako prawdziwi wyznawcy Zendu, religji słowa świętego. Sam król Kawad stał się wiernym adeptem Mazdaka i popierał jego szaloną reformę. Ogłosił edykt, nakazujący wszystkim mieszkańcom państwa perskiego przyjąć naukę Mazdaka i w jej duchu urządzić swoje życie. Niż-

sze warstwy ludowe, które nie miały nic do stracenia, owszem, mogły tylko zyskać na tej reformie, i które nie troszczyły się zbytnio o cześć swoich kobiet, były bardzo rade nowym porządkom i przywłaszczały sobie mienie bogatych i kobiety, które im przypadły do smaku. W pojęciach o prawie i bezprawiu, cnocie i występku powstał zamęt, jakiego dotąd nie widziały dzieje narodów. Wprawdzie możnowładcy perscy złożyli z tronu i wtrącili do więzienia króla komunistę, lecz gdy przy pomocy Hunnów odzyskał wolność i koronę, zwolennicy Mazdaka ponowili swawolę, tak że dzieci zrodzone za panowania Kawada nie znały swych ojców i nikt nie mógł być pewnym swojej własności.

Ta plaga komunistyczna nie oszczędziła oczywiście Żydów i chrześcijan i jeżeli uprawnione grabieże Zendyków dawały się we znaki tylko zamożnym, to wspólność kobiet musiała dojąć do żywego wszystkim zarówno. Niepokalaność i świętość małżeństwa były zawsze wśród Żydów domowemi cnotami, które dzięki nauce talmudycznej zapuściły w ich sercach jeszcze głębiej korzenie. Nie mogli patrzeć na hańbę swych kobiet i dziewic, na kalanie ognisk rodzinnych. Nastającym zuchwale na wstyd niewieści Zendykom stawili, jak się zdaje, opór orężny. Powstanie Żydów babilońskich, wybuchłe w tym czasie, było według wszelkiego prawdopodobieństwa reakcją przeciw nieznośnemu komunizmowi. Na czele tego rokoszu stanął młodociany egzylarcha, Mar-Sutra II, niepospolita snać postać, skoro podanie uświetniło glorją cudowności jego narodziny i czyny.

Mar-Sutra był synem owego uczonego księcia wygnania Huny, który po śmierci tyrana Peroza zasiadł na stolicy egzylarszej (488—508). Ojciec odumarł go w wczesnem dzieciństwie. Po dojściu do wieku dojrzałego wystąpił z orężem w ręku w obronie czci rodziny żydowskiej i życia swoich braci. Czterystu wojowników żydowskich zgromadziło się pod sztandarem Mar-Sutry, który na czele tej drużyny wypędził prawdopodobnie łupieskich i rozwiązłych zwolenników Mazdaka z granic Babilonji żydowskiej i odpierał ich zuchwałe zamachy na najświętsze prawa człowieka. A dokazywać miał takich cudów waleczności, że wojska, wysłane przez króla celem stłumienia rokoszu, nie mogły mu poradzić. Machuza nieopodal Ktezyfonu stała się stolicą małego państewka żydowskiego, w której egzylarcha rezydował niby król.

Blizko lat siedem trwała wywalczona przez Mar-Sutrę niepodległość; wreszcie hufiec żydowski uległ przemocy wojska perskiego. Sam egzylarcha wpadł w ręce zwycięzców. On i jego sędziwy dziad Mar-Chanina zostali straceni, a ciała ich przybito do krzyżów na moście w Machuzie (ok. 520). Mieszkańców tego miasta ograbiono z mienia i powleczono w niewolę. Członkowie domu egzylarszego musieli się ratować ucieczką i uwieźli do Judei zrodzonego po śmierci ojca dziedzica godności egzylarszej, któremu nadano również imię Mar-Sutra. Doszedłszy do wieku męskiego, zasłynął on głęboką nauką. W Babilonji więc za panowania Kawada ustała na czas jakiś władza egzylarchów. Zamknięto też akademje talmudyczne, gdyż prześladowani nauczyciele Zakonu musieli pędzić życie w ukryciu. Zemsta Kawada za sprowokowane przez fanatyzm powstanie zadała życiu dziejowemu Żydów babilońskich, którego ogniskiem były akademje w Surze i Pumbadicie, cios tak dotkliwy, że nierychło podźwignęło się z niego. Zresztą, jak się zdaje, prześladowanie nie ogarnęło całej Persji, albowiem w wojsku Kawada, walczącem z wodzem bizantyjskim Belizarem, służyli także żołnierze żydowscy, o których dowódca perski dbał do tego stopnia, że prosił o zawieszenie broni, aby mogli obchodzić święto Paschy.

Smierć Kawada położyła sama przez się kres prześladowaniom Żydów babilońskich. Za jego następcy,

Chosroesa Nuszyrwana (531—579), odzyskali Żydzi spokój i dobrobyt. Zaledwie przeminęła burza, pospieszyli przedstawiciele żydostwa babilońskiego wskrzesić instytucje, otworzyć znowu uczelnie i poniekąd nawiązać zerwany łańcuch tradycji.

Powołano zbiegłego Gizę na katedrę surańską; rektorat akademji w Pumbadicie otrzymał Simuna. Mężowie ci wraz z swymi kolegami i uczniami poświęcili całą swoją działalność uprawie i krzewieniu nauki Talmudu. Był to podówczas jedyny cel wszystkich głów myślących i serc pobożnych, który czynił zadość żarliwości religijnej a zarazem ambicji, zapewniał duszy pogodę, przynosił sławę i popierał zarówno interesa duchowe, jak i doczesne. Prześladowanie nauki uczyniło ją dla wszystkich tem droższą i świętszą.

Atoli uczniom ostatnich Amoraitów zabrakło siły twórczej do kontynuowania Talmudu; zresztą tak wątek nauki, jak i metoda wyczerpały się już do tego stopnia, że nie były zdolne do dalszego rozwoju. To też rektorowie mieli dosyć na tem, że zachowując stary obyczaj, zbierali uczniów w miesiącach akademickich, Adar (Marzec) i Elul (Wrzesień), i przekazywali im osnowę nauki, wtajemniczali w metodę i zadawali tematy do zajęć domowych. Jednakże ustalili według pewnych norm wiele kwestji, dotyczących rytuału, tudzież prawa cywilnego i małżeńskiego, kwestji bądź nie rozstrzygniętych dotychczas, bądź stanowiących przedmiot sporu uczelni. Nieprzebrany materjał Talmudu, rozwinięty w formie dyskusji, a tem samem niedość określony, miał być przystosowany do praktycznego użytku. Sędziowie musieli mieć stałą normę, według której mogliby wydawać wyroki, a każdemu potrzebne były jasne przepisy dla wykonywania praktyk religijnych. Ta strona działalności, ustalenie zasad praktyki religijnej i sądowej, po rozważeniu dowodów za i przeciw, zjednała następcom mi-

strzów amoraickich miano Saburaitów, gdyż po zbadaniu i ocenie różnych opinji uchwalali ostateczne rezolucje. Trzymali się raczej praktycznego, niż teoretycznego kierunku. Nie ważyli się mieć zdania własnego, któreby stało w sprzeczności z powagami Talmudu.

Na okres saburajski przypadają początki nauki, bez której Pismo święte pozostałoby księgą na siedm pieczęci zamkniętą i która przyczyniła się z czasem do przezwyciężenia jednostronności Talmudu. Święte księgi z ich uroczą poezją i szczytnemi naukami były nieczytelne dla drobnego napozór braku—samogłosek. Tekst składał się wyłącznie ze spółgłosek, które bez ożywiającego pierwiastku samogłosek były martwym szkieletem, gdyż można je było czytać na różne sposoby i zależnie od tego nadawać im różne znaczenia. Tylko nauczyciele Zakonu i ich uczniowie posiadali dostateczną wprawę w czytaniu, lecz czytali je przez okulary Talmudu. Natomiast dla ludu, który od młodości nie nauczył się tradycyjnej sztuki czytania, stanowiły one niedostępną warownię. Wprawdzie już w czasach dawniejszych starano się zaradzić temu brakowi przez oznaczenie trzech głównych samogłosek, lecz przeprowadzono to w skromnym zakresie i nierównomiernie. Nawet uczeni z trudnością odróżniali wyrazy, złożone z tych samych spółgłosek, ale mające odmienne znaczenia. Jakże tedy można było dojść w tych warunkach prawdziwego sensu Pisma świętego?

Wtem od obumierającej Grecji powiał lekki prąd naukowych pobudek. Fanatyzm prześladowczy cesarza Justynjana zamknął szkołę filozofów w Atenach, forytując natomiast ciemnych zakonników. Ostatni siedmiu mędrców greckich wywędrowali do Persji, doszła ich bowiem wieść, że król Nuszyrwan jest mecenasem nauki. Jakoż było to prawdą poniekąd. Z podniety ducha greckiego powstała w okolicy gęsto zaludnionej

Żydami szkoła medycyny i nauk przyrodzonych. I językoznawstwo znalazło niejaką uprawę wśród chrześcijan syryjskich nad Eufratem i z tamtej strony Tygrysu. Była to sekta Nestorjanów, którzy dla sporów dogmatycznych odłączyli się od swoich współwyznawców na zachód Eufratu, Jakobitów, i pałali ku nim nienawiścią zaciekłą. Nestorjanie zostawali w bliższych z Żydami stosunkach, bo ich kapłani i uczeni nie podzielali przesądów i nienawiści zachodnich lub, jak się nazywali, prawowiernych chrześcijan. Chrześcijanie syryjscy— nie wiadomo dokładnie w jakim czasie—wprowadzili do tekstów swoich ksiąg kościelnych samogłoski, do czego nieodzowna była znajomość prawideł gramatycznych. Zachęceni ich przykładem, poczęli też Żydzi sąsiedni zwracać większą na Pismo święte uwagę. Dla ułatwienia czytania i rozumienia ksiąg biblijnych należało przedewszystkiem zaopatrzyć tekst w samogłoski. Uczynił to pewien nieznajomy (a może też kilku), wprowadzając zrazu wzorem Syryjczyków tylko punktację słów różnoznacznych, a następnie stopniowo system kompletny. Wynalezienie tych znaków wydaje się nam teraz igraszką dziecinną, a jednak minęły tysiąclecia, zanim ten pomysł przyszedł komu do głowy. Cała rzecz, prosta w istocie, polega na tem, że niektóre spółgłoski hebrajskie, mające, obok spółgłoskowego, niekiedy brzmienie samogłoskowe [1]), otrzymały w drobnej postaci znaczenie samogłosek. Te zmniejszone litery kładziono jako znaki samogłoskowe nad spółgłoskami.

Dość było pięciu czy sześciu znaków, [2]) aby tchnąć odrazu życie w bezduszny szkielet spółgłosek i treść ich

1) Jak **w i u, j i i**

2) Krótkie **a** oznaczono przez maleńkie *Ajin* **i** przez drobne *Jod* lub też kropkę, **o** (lub długie **a**) reprezentowało małe *Aleph*, **u** zaś pionowa kreseczka, t. j. małe *Waw*, wreszcie **ei** (albo **ai**) wyobrażały dwie kropki = dwa *Jod* obok siebie, a długie **o** (lub **au**) dwie kropki jedna nad drugą.

uprzystępnić dla ogółu czytelników. Kto je wynalazł? Nie wiemy tego i zapewne nie dowiemy się nigdy. Może jakiś bakałarz, który chciał w ten sposób ułatwić dzieciom czytanie Pisma świętego? Nieznajomy, który wpadł na ów prosty środek, oddał nauce Pisma niezmierną usługę. Ten mały klucz do tajemnego znaczenia wyrazów i wierszy pozwolił dopiero wydobyć na jaśnię zasadnicze prawdy i nauki judaizmu i, co za tem idzie, podnieść i rozkrzewić moralność. Gdy się chrześcijaństwo obudziło z głębokiego snu średniowiecza, sięgnęli jego przewodnicy duchowi przedewszystkiem do ksiąg biblijnych w oryginale hebrajskim i odżegnali nimi mary mrocznej przeszłości. A należyte tych ksiąg zrozumienie umożliwił li tylko wynalazek samogłosek.

Nieznany nam wynalazca tych znaków w Babilonji lub Persji, czy też może kto inny, wymyślił również proste znaki akcentowe, aby pooddzielać nimi wersety i zdania. Rzeczony system znaków samogłoskowych i akcentowych, który przez długie wieki pozostawał w ukryciu i wyszedł dopiero na jaw w połowie ubiegłego stulecia, nazywa się babilońskim, czyli asyryjskim. Istnieją już tylko nader nieliczne egzemplarze, zaopatrzone w te znaki. Albowiem wyparł go system późniejszy, opracowany w Tyberjadzie. Od czasu wynalezienia tych znaków przepisywacze Pisma świętego wokalizowali tekst jego miejscami; stanowiło to czynność „punktatorów.“ Tylko pięcioksiąg Tory, z którego odczytywano ustępy publicznie w synagogach, nie miał i nie ma do dnia dzisiejszego znaków samogłoskowych, gdyż fałszywie pojęta religijność nie pozwoliła na dodanie najmniejszej bodaj kreski w księdze, zawierającej objawienie boskie. Punktatorzy kierowali się po części przekazaną od wieków wymową, po części zaś pewnym taktem gramatycznym. Skutkiem ich ustawicznej pracy nad Pismem mdłe z początku ogniki przeczuć budowy gramatycznej ję-

zyka hebrajskiego wystrzeliły z czasem żywem światłem poznania niewzruszonych prawideł. Studja gramatyki hebrajskiej i Pisma świętego byłyby już dawniej zadały cios samowładztwu Talmudu, gdyby nie zawieruchy, które spadły na gminy babilońskie i perskie.

Magizm szedł w tym wieku w zawody z chrześcijaństwem o palmę nietolerancji. Oboje żywiły do judaizmu odrazę i kapłani obydwu tych religji, z których jedna głosiła zwycięstwo światła nad mrokiem, a druga braterstwo wszystkich ludzi, obracały niedołężnych monarchów w narzędzia strasznych prześladowań.

Syn i następca Chosroesa Nuszyrwana, Hormisdas (Hormuz) IV (579—589) nie był w niczem podobny do wielkiego rodzica. Dopóki żył jego wychowawca i doradca Buzurdż-Mihir, perski Seneka, który dla nieudolnego władcy miał podobno wynaleźć grę w szachy, aby mu unaocznić zależność króla od wojska i ludu,— nie śmiał Hormisdas dać upustu swym wrodzonym skłonnościom. Ale skoro się ów mędrzec usunął, wybuchła jego Neronowa natura i zerwała wszystkie tamy umiarkowania i rozsądku. Z poduszczenia magów, którzy zbliżający się upadek swojej religji usiłowali powstrzymać drogą prześladowania innowierców, wywarł gniew swój na Żydów i chrześcijan. Znowu zamknięto akademje talmudyczne w Surze i Pumbadicie i nauczyciele zakonu musieli znów, jak za Peroza i Kawada, wywędrować gromadnie (ok. 581). Osiedli w Peroz-Szaburze (nieopodal Nahardei), gdzie pod rządami szeika arabskiego znaleźli bezpieczne schronienie. Tu też założyli nową akademję i ciągnęli dalej swoją działalność.

Na szczęście okrutne panowanie Hormisdasa nie trwało zbyt długo; zniecierpliwieni Persowie poczęli się buntować, a polityczni nieprzyjaciele Persji wdzierać zewsząd w jej granice i zagarniać jej ziemie. Państwo Sasanidów padłoby już podówczas łupem szczęśliwemu

zwycięzcy, gdyby go nie ocalił od zagłady waleczny wódz Bahram-Czubin. Gdy nierozsądny król posunął się tak dalece w swem zaślepieniu, że płacąc zbawcy ojczyzny czarną niewdzięcznością, złożył go z urzędu, podniósł Bahram chorągiew rokoszu, zdarł z niegodnego koronę (589) i wtrącił do więzienia, w którem go później stracono. Bahram przybrał zrazu pozory regenta, sprawującego rządy w imieniu księcia Chosroesa, lecz niebawem zrzucił maskę i zasiadł na tronie (589—590). Żydzi perscy i babilońscy powitali w Bahramie swego wybawcę; był on dla nich tem samem, czem dwa wieki przedtem cesarz Juljan dla Żydów poddanych państwu rzymskiemu. Zniósł gnębiący ich ucisk i sprzyjał ich dążeniom. To też lgnęli do niego całem sercem, zapomagali go pieniędzmi i ludźmi i byli jego chwiejnego tronu podporą, bez której nie zdołałby się chyba na chwilę utrzymać. Albowiem naród perski, po krótkiem wahaniu, przechylił swoje sympatje na stronę prawowitego dziedzica korony; tylko większa część wojska dochowała Bahramowi wierności, a Żydzi zaopatrywali go w pieniądze i żywność. Ponowne otwarcie zamkniętych akademji w Pumbadicie i Surze (589) stoi w przyczynowym związku z życzliwością Żydów perskich dla tego monarchy.—Chanan z Iskiwanu powrócił z swymi kolegami i uczniami z Peroz-Szaburu do Pumbadity i wskrzesił tam dawne porządki akademickie.

Z tem wszystkiem panowanie Bahrama skończyło się rychło. Cesarz bizantyjski Mauritius, u którego zbiegły królewicz Chosroes znalazł przytułek, wyprawił mu w pomoc wojsko, z którem połączyli się wierni swemu panu Persowie. Wielu Żydów przypłaciło życiem swoje przywiązanie do uzurpatora. Wódz perski Mebodes, zająwszy Machuzę, gęsto zaludnioną Żydami, wyciął ich niemal do nogi. Tego samego losu doznali zapewne i w innych miejscach, dokąd dotarły zwycięskie hufce

Chosroesa. Wojsko Bahrama zostało rozbite doszczętnie, a on sam musiał się ratować ucieczką do Hunnów. Chosroes II z przydomkiem Peroz wstąpił na tron swoich ojców. Ten równie sprawiedliwy, jak łagodny monarcha, podobny raczej do swego dziadka Nuszyrwana, niż do ojca Hormisdasa, nie mścił się na Żydach za udział w powstaniu. Za jego długiego panowania (590—628) funkcjonowały obydwie akademje bez przerwy. Po Chananie nastąpił Mari bar-Mar, który założył był uczelnię w Peroz-Szaburze, a współcześnie Mar Bar-Huna sprawował w Surze obowiązki rektora (609—620). W okresie tym Żydzi palestyńscy odnieśli nowe zwycięstwa i doznali nowych porażek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Żydzi w krajach europejskich.

(500—640)

Dla Żydów, zamieszkujących Wschód perski, zmieniały się przynajmniej nawałnice z pogodą. Natomiast w kraju macierzystym i na Wschodzie bizantyjskim nie mieli oni tego pokoju, który zwykła dawać obojętność władców względem pewnej klasy poddanych, ani też nie chłostały ich burze, które choć na razie obalą, hartują jednak do czynu męskiego. Państwo bizantyjskie, któremu Ziemia święta przypadła w udziale, przybrało jeszcze do pychy starorzymskiej złość grecką i zjadliwą nienawiść do Żydów, którą wierni wysysali z pism ojców kościoła. W Bizancjum poraz pierwszy rozległo się hasło, obarczające Żydów najcięższą zbrodnią; napiętnowano ich jako zabójców Boga. Nie uśmiercano ich jednak, lecz tolerowano, by ich upokarzać, ciemiężyć i nękać i uczynić z nich odstraszający przykład dla świata.

W myśl ustawodawstwa Teodozjusza Młodszego odsunięci zostali Żydzi od sprawowania urzędów honorowych i nie mogli też budować nowych synagóg. Jego następcy, wszyscy przejęci ślepą żarliwością religijną, wykonywali z całą surowością wymierzone przeciw nim prawa. O duchu, jakim ożywieni byli względem Żydów mocarze wschodnio-rzymscy, świadczą wymownie słowa cesarza Zenona, parwenjusza izauryjskiego. W Antjochji, gdzie, jak po wszystkich większych miastach państwa bizantyjskiego, kwitnął sport wyścigowy i antagonizm stronnictw niebieskich i zielonych, wszczęli ci ostatni jeden z owych tumultów, które prawie zawsze kończyły się krwawo. Zieloni ubili przy tej sposobności pomiędzy innymi wielu również Żydów, wrzucili w ogień ich ciała i obrócili w perzynę ich synagogę. Gdy doniesiono o tem cesarzowi Zenonowi, rzekł, że zieloni zasłużyli na karę jedynie dla tego, że spaliwszy martwych Żydów, nie spalili i żywych! Lud zdziczały skutkiem sporów kościelnych i waśni stronniczych widział w nienawiści, jaką płonęli do Żydów mocarze, milczące wezwanie do wylania na nich swojej wściekłości.

Aż do wstąpienia na tron Justynjana cieszyli się Żydzi palestyńscy i bizantyjscy, pomimo uszczuplenia praw obywatelskich, przynajmniej zupełną wolnością religijną. Cesarze nie wtrącali się do spraw wewnętrznych żydostwa. Pierwszym, który jeszcze bardziej ograniczył ich prawa i w dodatku na wszelkie sposoby gwałcił ich sumienie, był cesarz Justynjan (527—565). On to jest autorem haniebnego prawa, odmawiającego świadkom żydowskim wiarogodności w sprawach przeciwko chrześcijanom i uwzględniającego ich zeznanie jedynie w sporach Żydów z Żydami. Szczęśliwsi jednak jeszcze byli od Samarytan, których świadectwo nie miało wagi najmniejszej i którzy nie mieli nawet prawa rozporządzać swym majątkiem przez testament. Byłto akt zemsty za kilka-

krotne bunty Samarytan przeciw władzy cesarskiej; razu pewnego obrali sobie nawet króla, niejakiego Juljana Bar-Sabar. Żydzi nie uczestniczyli w tych powstaniach i ztąd płynęły ich względne przywileje. Poza tem zrównał Justynjan całkowicie wyznawców obydwu religji. Lubo, jak wszyscy kacerze, odsunięci zostali od sprawowania urzędów honorowych, zniewalano ich jednocześnie do pełnienia uciążliwego i kosztownego dekurjonatu (urząd magistracki), nie przyznając im jednak związanego z nim wyróżnienia, wolności od chłosty i wygnania. „Niechaj dźwigają jarzmo i jęczą pod jego ciężarem, ale mają być uważani za niegodnych wszelkiego zaszczytu.“ Zakazał też cesarz Żydom pod karą surową obchodzić Paschę nabożeństwem uroczystem i spożywaniem przaśników. Istniała mianowicie dotychczas sekta chrześcijańska „Quartodecimani“ (czternastodniowcy) która święciła Wielkanoc nie według zapadłej za Konstantyna uchwały soboru nicejskiego, w niedzielę po pierwszej pełni wiosennej, lecz według Paschy żydowskiej, wraz z Żydami, dnia piętnastego Nisan. Zamiast zmusić tę sektę do przestrzegania zasady kościelnej, wolał Justynian dopuścić się barbarzyńskiem prawem gwałtu na Żydach. Ilekroć mianowicie w roku poprzedzającym rok przybyszowy zbiegła się Pascha żydowska z Wielkanocą chrześcijańską, niewolno było Żydom obchodzić swego święta dla uniknięcia pozoru, jakoby chrześcijanie święcili Paschę żydowską. Nie był to zresztą jedyny zamach Justynjana na religję żydowską. Gmina żydowska w Cezarei czy też Konstantynopolu stała się od niejakiego czasu widownią rozterek. Część jej członków żądała, aby odczytom z Pięcioksięgu i proroków w soboty i święta towarzyszył dla niewykształconych i kobiet przekład grecki odczytanych ustępów. Natomiast pobożni, a zwłaszcza nauczyciele Zakonu, nie chcieli wprowadzić do służby bożej języka swych ciemięzców i języka kościoła, może też obawiali się zresztą, że nie starczyłoby już czasu na budujące kazanie. Spór tak się zajątrzył, że stronnictwo greckie założyło skargę do cesarza, jako najwyższej instancji. Justynjan ze swego punktu widzenia musiał oczywiście oświadczyć się za wprowadzeniem tłomaczenia greckiego. Zalecił Żydom posługiwać się przy nabożeństwie Septuagintą lub przekładem Akylasa (Aquila). Kazał też tłomaczyć odczyty z Pisma świętego na wszelki inny język, tak np. na łaciński w prowincjach italskich. Jak dotąd, nie można mu odmówić słuszności. Zakazał wprawdzie także pod grozą kary cielesnej zwolennikom starej liturgji rzucać klątwę na nowatorskie stronnictwo, ale i to rozporządzenie można jeszcze uważać za akt sprawiedliwości, bronił niem bowiem cesarz wolności liturgji. Atoli inny edykt, związany z poprzednim, świadczy niedwuznacznie, że miał on na oku jedynie sprawę nawracania niewiernych, łudził się bowiem, że wprowadzenie do obrzędów synagogalnych przekładu greckiego, osobliwie zaś zmodyfikowanej już w duchu chrześcijańskim Septuaginty, zjedna Żydów dla wiary chrześcijańskiej. Rozkazał bowiem pod karą surową, aby wszystkie gminy żydowskie w państwie bizantyjskiem posługiwały się koniecznie przy odczytach sobotnich przekładem na język grecki lub łaciński, i te naturalnie, które nie miały do tego żadnej ochoty. Zabronił też nadal używanej dotąd powszechnie agadyczno-budującej egzegiezy Pisma świętego. Justynjan usiłował tedy wykorzenić tradycyjne pojmowanie Pisma świętego na rzecz zmienionego znacznie w duchu chrześcijańskim przekładu. Służba boża w synagogach miała służyć za środek do nawracania żydostwa, a zbożny duch, wiejący z wykładów agadycznych, miał być wyświecony za pomocą tekstów, przeinaczonych w interesie dogmatów chrześcijańskich. Despotyczny Justynjan nie myślał nadawać Synagodze ja-

kichkolwiek wolności, przeciwnie chciał ją skrępować przymusowymi środkami. Jakoż tak wielką przywiązywał wagę do swego edyktu, dotyczącego używania przy odczytach synagogalnych języków krajowych, że ministrowi swemu Areobindusowi polecił rozesłać go do wszystkich urzędników prowincjonalnych i zobowiązać ich do ścisłego wykonywania jego osnowy (553).

Wszelako ten edykt, podyktowany przez nieprzychylną dla Żydów intencję, nie miał dalszych następstw; potrzeba tłomaczenia Pisma świętego nie była na ogół wśród Żydów tak żywą, aby mieli czynić z niego użytek. Stronnictwo, które się go domagało, nie znalazło poparcia i tam, gdzie wśród gminy panowała zgoda, odprawianie nabożeństwa trybem odwiecznym nie przedstawiało, wbrew kontroli rządu, zbyt wielkich trudności. Kaznodzieje posługiwali się po dawnemu zwykłą metodą wykładu i w mowach swych umieli ukryć aluzje do żydożerczego Bizancjum. „Jak wypuszczonej z łuku strzały nie zauważysz prędzej, aż w serce ugodzi, tak samo się dzieje z dekretami Ezawa (państwo bizantyjskie). Strzały jego rażą znagła i nie można ich postrzedz, aż padło słowo, wyrok więzienia lub śmierci. „Strzała mknąca w dzień," to pisanina Ezawa." W tym duchu kazali nauczyciele w Judei. Troskę dworu bizantyjskiego o zbawienie duszne żydostwa stwierdzają inne jeszcze edykty i zakazy. Zabroniono im wygłaszać wyznania jedności Boga, jakby samo tylko wymówienie wyrazów: „Bóg nasz jest jedyny," było bluźnierczym protestem przeciw Trójcy świętej. Niewolno im było dalej odmawiać w modlitwie wiersza „święty, święty, święty jest Pan Sebaot," gdyż wiersz ten, wyzyskany przez chrześcijaństwo jako nieprzeparte świadectwo trójjedyności, zaopatrywali celebranci żydowscy objaśnieniami w duchu przeciwnym. Wreszcie zakazano im czytać i wykładać publicznie w sobotę ustępów z proroka Jezajasza, zapowiadających nie-

szczęsnemu, nieutulonemu, smaganemu burzami Syonowi pocieszenie i podźwignięcie z prochu w przyszłości. Aby zaś Żydzi nie przekraczali tych zakazów, nawiedzali synagogi szpiedzy, którym polecono czuwać nad nabożeństwem. Spędzali oni w soboty i święta, w które służba boża trwa dłużej niż zwykle, całe godziny w domach modlitwy. Żydzi musieli uledz; w obawie kary zmawiali zakazane modlitwy pocichu, albo też zbierali się na modły o innej porze dnia, drżąc, aby ich nie podpatrzyło oko szpiegowskie.

Jedynie w Antjochji, gdzie od wieków istniała liczna gmina żydowska, porwali się Zydzi, rozgoryczeni nieprzerwanem pasmem udręczeń, do mężnej obrony za panowania cesarza Fokasa (602—610), ukoronowanego mordercy. Niewiadomo przy jakiej sposobności napadli na swych nieprzyjaciół, pokonali ich i zemścili się srodze. Powstanie Żydów w Antjochji przybrało widocznie groźne rozmiary, skoro Fokas dla stłumienia go musiał tam posłać dwóch wodzów. Ale Żydzi bronili się tak walecznie, że wojsko rzymskie nie mogło im podołać. Dopiero otoczeni przez liczne hufce, ściągnięte z sąsiedztwa, nie dotrzymali pola nowym atakom i, złożywszy broń, padli ofiarą zemsty rzymskich dowódców, którzy część ich wymordowali, a część okaleczyli.

Niespodzianie znaleźli Żydzi, właśnie dzięki zbrodniom cesarza Fokasa, okazję odwetu. Uzurpatorski zamach tego cesarza na tron poprzednika, spowodował króla perskiego, Chosroesa II, zięcia Mauritiusa, do najazdu posiadłości rzymskich na Wschodzie. Wojska perskie zalały Azję Mniejszą i Syrję, pomimo że obrany tymczasem cesarzem Herakljusz, donosząc mu o straceniu Fokasa, prosił o pokój. Hufiec perski pod wodzą Szarbarzy zestąpił ze szczytów Libanu, aby wydrzeć Palestynę państwu bizantyjskiemu. Wieść o słabości oręża

chrześcijańskiego i o zwycięskim pochodzie armji perskiej natchnęła Zydów palestyńskich wielką odwagą. Zdawało się, że wybiła godzina zemsty za tylowieczne upokorzenia na podwójnym wrogu, Rzymianach i chrześcijanach. Ogniskiem ruchu wojennego Żydów była Tyberjada. Hasło do niego dał pewien mąż imieniem Benjamin, który swój olbrzymi majątek obrócił na zaciąg i uzbrojenie wojska żydowskiego. Do wszystkich Żydów palestyńskich rozesłano wezwanie, aby się zebrali i połączyli z wyprawą perską. Dzielna ludność żydowska Tyberjady, Nazaretu i innych miast galilejskich stanęła niezwłocznie pod chorągwiami perskiemi. Zastęp ten, dyszący zemstą, nie oszczędził z pewnością chrześcijan i ich kościoła w Tyberjadzie. Z armją Szabarzy pomaszerował na Jerozolimę, żeby ją odebrać chrześcijanom. Połączyli się z nimi Żydzi z Palestyny południowej i z ich oraz hufca saraceńskiego pomocą zdobył wódz perski szturmem Jerozolimę (lipiec 614). Dziewięćdziesiąt tysięcy chrześcijan zginęło podobno w tem mieście. Za wymysł jednak uważać należy wieść, jakoby Żydzi kupili od Persów jeńców chrześcijańskich i z zimną krwią ich wymordowali.

Rzecz to całkiem możliwa, że Żydzi srożyli się bezwzględnie nad świętościami chrześcijańskiemi. Czyż nie wydarto im podstępem i przemocą Jerozolimy, odwiecznego Żydów dziedzictwa? Czyż kult kości męczenników nie znieważał w ich oczach grodu świętego tak samo, jak bałwany Antjocha Epifanesa i Hadrjana? Żydzi, jak się zdaje, pieścili nadzieję, że Persowie oddadzą im Jerozolimę wraz z częścią kraju, aby założyć mogli niepodległe państewko.

Pospołu z Persami uwijali się po Palestynie, burząc kościoły i klasztory. Hufiec, złożony z Żydów tyberjadzkich, galilejskich, damasceńskich, a nawet cypryjskich, pociągnął na wezwanie rodaków z Tyru przeciw temu

miastu, aby zaskoczyć i wyciąć chrześcijan tamecznych. Wyprawa ta jednak spełzła na niczem, gdyż chrześcijanie tyryjscy zasięgnęli w porę języka o gotującej się na nich napaści.

Przez lat czternaście blizko wolni byli Żydzi palestyńscy od widoku swych bizantyjskich nieprzyjaciół. Pierwsze sukcesy napełniły ich radością. Niektórzy chrześcijanie, powodowani obawą lub zwątpieniem o trwałości chrześcijaństwa, przeszli na judaizm. Szczególny tryumf zgotowało Żydom nawrócenie się pewnego mnicha, który z własnego popędu przyjął religję żydowską. Mnich ten spędził długie lata w klasztorze na górze Synaj na pokucie i modłach. Naraz ogarnęły go wątpliwości o prawdzie chrześcijaństwa. Przyszły mu one, jak sam opowiadał, w żywym śnie, w którym ukazali mu się z jednej strony Chrystus, apostołowie i męczennicy, spowici w mgłę gęstą, z drugiej zaś Mojżesz, prorocy i święci mężowie żydowscy w aureoli świetlanej. Zmęczony walką wewnętrzną, zstąpił z góry Synaj i, przebiegłszy pustynię, udał się do Tyberjady, gdzie wobec gminy objawił swą niezłomną wolę przyjęcia wiary żydowskiej. Poddał się przymierzu, przybrał imię prozelickie Abraham, poślubił Żydówkę i został gorliwym szermierzem judaizmu a namiętnym przeciwnikiem odziedziczonej religji.

Nie ziściły się atoli nadzieje, które Żydzi pokładali w zwycięscy perskim. Persowie nie oddali im Jerozolimy, nie myśleli bynajmniej o utworzeniu nowego państwa żydowskiego, a może nawet uciskali ich nadomiar podatkami. Zakłóciła się dotychczasowa harmonja między sojusznikami. Wódz perski uwięził licznych Żydów i zesłał ich na wygnanie do Persji. Takie postępowanie wywołało jeszcze większą niechęć wśród Żydów i nasunęło im myśl zbliżenia się do cesarza Heraklјusza. Monarcha ten, który był rzadkim w dziejach

przykładem, że tchórz wierutny może się nagle stać bohaterem, nie odtrącił ręki, wyciągniętej na zgodę w nadziei, że nabawi tem kłopotu głównego przeciwnika. Zawarł tedy z Żydami formalne przymierze, zagajone prawdopodobnie przez Benjamina z Tyberjady, zapewnił im bezkarność za krzywdy wyrządzone chrześcijanom i przyrzekł im nadto jeszcze różne korzyści (ok. 627).

Zaślepienie Chosroesa i bunt jego syna Syroesa powróciły cesarzowi greckiemu wszystkie owe kraje, które, jak się zdawało, miały na wieki zostać satrapjami perskiemi. Między Herakljuszem a Syroesem, który starego ojca pozbawił tronu i życia, stanął pokój. Na mocy zawartego układu Persowie opuścili Judeę i kraina ta podległa znów panowaniu Bizancjum. W wyprawie swej wstąpił Herakljusz do Tyberjady, gdzie go bogaty Benjamin podejmował gościnnie, nie zapominając również o potrzebach wojsk bizantyjskich. W rozmowie z nim zapytał go cesarz o powody jego nieprzyjaźni dla chrześcijan. „Bo są wrogami mojej religji," brzmiała szczera odpowiedź.

Gdy Herakljusz wkroczył w mury miasta świętego, oblegli go mnisi z patrjarchą Modestem na czele, żądając natarczywie, aby wyciął w pień Żydów palestyńskich, czemby nietylko pomścił krzywdy współwierców, lecz i zapobiegł na przyszłość podobnym aktom nienawiści Żydów do chrześcijan w razie nowego najazdu. Cesarz powoływał się na dane Żydom uroczyście i na piśmie przyrzeczenia, które gwałcąc, okazałby się grzesznikiem przed Bogiem, a wiarołomcą przed ludźmi. Nie podzielili mnisi jego skrupułów. Wyrżnięcie Żydów nietylko nie będzie zbrodnią, lecz przeciwnie, miłą Bogu ofiarą. Zresztą grzech biorą na siebie i ustanowią na jego intencję specjalny post siedmiodniowy. Przekonało to bogobojnego cesarza i uśmierzyło niepokój jego sumienia; rozpuścił też na Żydów palestyńskich obławę, która

wymordowała tych wszystkich, co nie zdołali ukryć się w górach lub ocalić ucieczką do Egiptu.

Pamięć haniebnego wiarołomstwa Herakljusza zachowała się długo dzięki ustanowionemu na jego intencję postowi, który chrześcijanie wschodni, Koptowie i Maronici, obchodzili przez kilka wieków w ekspjację perfidji cesarza.

Przy tej sposobności wskrzesił Herakljusz edykt Hadrjana i Konstantyna, zakazujący Żydom wstępu do Jerozolimy i jej okolicy. Ale doczekał się jeszcze tego, że święte miasto i cała Palestyna wraz z Syrją i Egiptem wydarte zostały krzyżowi i przeszły pod berło następcy proroka z Mekki. Chrześcijanie, którzy dotąd prześladowali fanatycznie inne religje, mogli się teraz na własnej skórze przekonać, jak boli nietolerancja. Wszelako półksiężyc był daleko tolerancyjniejszym od krzyża.

Władzy krzyża podlegali Żydzi w Europie. Któż zdoła zajrzeć do wszystkich zakątków, dokąd zawiodła ich żyłka wędrowna lub los? „Po całym świecie rozsiani," mówi słynny obserwator współczesny (Kasjodor), „po całym świecie rozsiani i rozbici, dźwigają Żydzi jarzmo rzymskie, a przecież rządzą się własnemi prawami." Co prawda, jarzma rzymskiego nie dźwigali, bo sam Rzym był podbity i ujarzmiony przez pierwotne, nieokrzesane plemiona, które odpłacały mu za wszystkie zbrodnie, jakich się dopuszczał na narodach i krajach. Wizygotowie i Ostrogotowie, Gepidzi, Herulowie i Longobardowie zdarli rzymskiej wszetecznicy z głowy koronę i zmieszali ją z błotem. O wiele nieszczęśliwszą była od córy Syonu, bo nie pozostawiła nawet dzieci, któreby płakały nad jej smutną dolą i wieszczem słowem opromieniły jej boleść. Dzieci jej zniewieściałe skutkiem próżniactwa i zabaw doszły do nędzy ostatniej. Tylko żądza panowania pozostała jeszcze siedmiogórowemu gro-

dowi, lecz wziął ją odeń w spadku jego dawny nieprzyjaciel, kościół.

Zydzi w Europie nie mają przez czas długi historji; poczyna się ona dopiero, gdy dzięki zbiegowi pomyślnych okoliczności mogli rozwijać wrodzone talenty i zbierać dość pokaźne owoce swoich zabiegów. Pewien interes przedstawiają jedynie szczegóły, dotyczące ich osiedlenia się w krajach europejskich i ich przyjaznych stosunków do współmieszkańców, dopóki tryumfujący kościół nie usiadł im na gardle i nie zaparł oddechu.

W Italji, jak wiadomo, usadowili się Żydzi jeszcze za republiki i korzystali z pełni praw obywatelskich, póki nie uszczuplili im ich cesarze chrześcijańscy. Toteż z usprawiedliwioną radością patrzyli zapewne, jak światowładna Roma stawała się łupem barbarzyńców i igrzyskiem świata, że można było zastosować do niej dosłownie tren na Jerozolimę: „Pani ludów, księżniczka krajów stała się poddanką.“

W nowopowstałych państwach, poodrąbywanych członkach olbrzymiego cielska rzymskiego, osiedlili się Żydzi. W Rawennie, która na przemian z Weroną była rezydencją, zastajemy co najmniej w wieku szóstym gminę żydowską. W dolnej Italji reprezentowani byli Żydzi dość licznie, w pięknym Neapolu i jego rozkosznej okolicy. Pod Wenuzją, gniazdem rodzinnem poety Horacego, świadczą greckie, łacińskie i hebrajskie napisy na grobowcach o istnieniu pokaźnej gminy za cesarzy. Również na wyspie Sycylji, w miastach Palermo, Mesynie i Agrygiencie, egzystowały w dawniejszych czasach gminy żydowskie.

W szczególnem położeniu znaleźli się Żydzi w Italji, gdy jej panem został Teodoryk, król Ostrogotów. Wybuchy wrogiego Żydom nastroju zdarzały się za jego rządów nierzadko, lubo w gruncie rzeczy nietyle godziły w nich samych, ile miały charakter demonstracji

przeciw znienawidzonemu królowi, który był arjaninem, t. j. wierzył, że Bóg Syn nie jest ojcu równy, lecz tylko podobny. Teodoryk nie sprzyjał bynajmniej Żydom i pragnął ich nawrócenia. Przez sekretarza swego Kasjodora pisał kiedyś gminie medjolańskiej: „Czemu szukasz, Judo, doczesnego pokoju, gdy przecież w zatwardziałości swej wiecznego znaleźć nie możesz.“ Prędko i gruntownie przyswoił sobie język kościoła niedawno nawrócony Ostrogot. Gdy go Żydzi genueńscy prosili, aby im pozwolił doprowadzić do lepszego stanu synagogi, kazał im Teodoryk odpowiedzieć: „Czemu życzycie sobie tego, czegobyście raczej powinni unikać? Udzielamy wam pozwolenia, ale potępiamy prośbę, z błędu płynącą. Atoli nie możemy nakazywać religji i zmuszać kogokolwiek, aby wierzył wbrew swemu sumieniu.“ Nie pozwolił Żydom ani budować nowych synagóg, ani ozdabiać starych, lecz tylko naprawiać przez czas uszkodzone.

Wszelako władca ostrogocki umiał też być sprawiedliwym dla Żydów, gdy bez ich winy wyrządzono im krzywdę. Cicha nienawiść katolików do arjanów, których korcił widok rozpierającego się na tronie kacerstwa, gdy kościół katolicki był tylko wspaniałomyślnie tolerowany, nie pominęła żadnej okazji, aby nie spłatać Teodorykowi jakiego figla, jeżeli mogła to uczynić bezkarnie. Kiedy pewnego razu garstka niewolników w Rzymie zbuntowała się przeciw swym panom żydowskim, zbiegło się pospólstwo, spaliło synagogę, sponiewierało Żydów i zrabowało ich mienie na urągowisko z edyktów Teodoryka. Król, dowiedziawszy się o tem, zwrócił się do senatu, który był już zaledwie cieniem swej dawnej wielkości, z cierpkiemi wyrzutami, że pobłaża takiej swawoli, i polecił mu surowo wyśledzić winowajców i zmusić do zapłacenia za szkody. A gdy sprawców tumultu nie odszukano, bo też może odszukać nie

chciano, skazał Teodoryk komunę rzymską na odszkodowanie.

Rzuca to światło korzystne na ówczesnych Żydów italskich, że pomimo powszechnego zdziczenia i skażenia obyczajów, piśmiennictwo polityczne i kościelne nie obarcza ich innymi zarzutami, prócz zatwardziałości i niedowiarstwa. Żydostwo potrafiło się tedy ustrzedz od ogólnego zepsucia. Kasjodor, doradca Teodoryka, który po zrzeczeniu się wszystkich godności przywdział habit i napisał między innemi komentarz homiletyczny do psalmów, wspomina w tem dziele częstokroć o Żydach, apostrofuje ich i wysila całą swą wymowę, aby ich nawrócić. Za charakterystykę czasu służyć mogą obelżywe przezwiska, których nie szczędzi Żydom Kasjodor, obok Boecjusza jedyny przedstawiciel filozofji w szóstem stuleciu. Możnaby z nich ułożyć cały słownik wymysłów: „skorpiony i lwy," „dzikie osły," psy i jednorożce" i t. p.

Pomimo tej antypatji wodzirejów, mogli Żydzi italscy uchodzić jeszcze za szczęśliwych w porównaniu z swymi braćmi w Bizancjum. Następcy Teodoryka, jego piękna i wykształcona córka Amalasunta, a później jej małżonek i zabójca Teodat, filozof—niedołęga, nie odstąpili od zasad swego poprzednika.

Z niezachwianą też wiernością trzymali Żydzi stronę króla Teodata, gdy ten sam był już zwątpił o sobie. Żydzi neapolitańscy gotowi byli życie położyć, byle tylko nie dostać się pod rózgę Justynjana. Belizar, zdobywca państwa Wandalów, uwieńczony wawrzynem bohater, który drżał przed gniewem Justynjana i służył za ślepe narzędzie jego tyranji, podbiwszy całą Sycylję i południowy kraniec lądu italskiego, zbliżał się szybkim krokiem do pięknego Neapolu. Wezwani do poddania miasta, rozszczepili się Neapolitańczykowie na dwa obozy. Nawet stronnictwo wojenne nie chciało się narażać dla znienawidzonych w Italji Ostrogotów. Tylko Żydzi i dwaj

adwokaci, Pastor i Asklepiadorus, którzy zawdzięczali swoją karjerę królowi Ostrogotów, sprzeciwili się poddaniu Neapolu. Żydzi, ożywieni miłością ojczyzny i zamożni, gotowi byli poświęcić w obronie miasta swe życie i mienie. Przyrzekli zaopatrywać Neapol podczas oblężenia we wszelkie potrzeby, aby rozproszyć obawy o brak żywności. Własną piersią bronili miasta od strony morza i walczyli tak mężnie, że nieprzyjaciel musiał gdzieindziej skierować ataki.

Gdy pewnej nocy nieprzyjaciel podstępem wtargnął do miasta i zatknął już w niem swoje sztandary, Żydzi nie zaprzestali walki i bronili się jak lwy. Dopiero o świcie, przytłoczeni przewagą sił przeciwnika, opuścili swe stanowiska, pozostawiając mnóstwo poległych. Niedobitków żydowskich spotkał zapewne los niemniej srogi, niż ich sprzymierzeńców, Pastora i Asklepiadora, którzy padli ofiarą wściekłości ludu. Ziściły się smutne przeczucia Żydów italskich: zostali oni poddanymi cesarza Justynjana. Światowładna Italja zeszła do rzędu prowincji państwa bizantyjskiego (egzarchat), a Żydzi italscy drżeli przed egzarchą z Rawenny.

Ale nie trwało to długo. Następca Justynjana musiał odstąpić znaczną część Italji olbrzymim, nieokrzesanym Longobardom (589), nawpół poganom a nawpół arjanom. Longobardowie nie zaprzątali się zbytnio Żydami; przynajmniej w kodeksie longobardzkim nie spotykamy żadnych ustaw wyjątkowych, wymierzonych przeciw Żydom. Nawet gdy nowi panowie przyjęli katolicyzm, nie mieli Żydzi italscy powodu do skarg, gdyż głowa kościoła katolickiego, papiestwo, było podówczas jeszcze wolne od nietolerancji. Grzegorz I. (590—604), zwany wielkim i świętym, założyciel podwalin panowania katolicyzmu, wygłosił zasadę, że Żydów nawracać należy nie przemocą, lecz łagodnością i perswazją.

Atoli będąc przeciwnikiem chrztu przymusowego, usiłował Grzegorz zwabić Żydów innemi drogami na łono kościoła. Nie wahał się nawet zagrać na strunach chciwości ludzkiej, odpuszczając część czynszu dzierżawcom i włościanom żydowskim, który przyjęli chrześcijaństwo. Nie taił wprawdzie przed sobą, że pozyskani tą drogą neofici będą tylko pozornymi chrześcijanami, ale liczył na ich potomstwo: „Zjednamy sobie, jeżeli nie ich samych, to z pewnością ich dzieci.“ Podczas gdy w państwie bizantyjskiem i Italji chrześcijaństwo od samego początku żywiło mniej lub więcej wrogie dla judaizmu uczucia, ukształtowały się stosunki na zachodzie Europy, we Francji i Hiszpanji, gdzie kościół musiał dopiero mozolnie torować sobie drogę, o wiele dla nich pomyślniej. Najazdy barbarzyńców rozkołatały wiązadła tych krajów. Urządzenia rzymskie, tak polityczne jak kościelne, zatarły się prawie całkiem, a państwa, założone tam świeżo przez pogańskie lub powierzchownie nawrócone narody, zawiązały się niezależnie od ustaw kościoła. Walka katolicyzmu o przewagę w Europie zachodniej trwała długo i przez ten czas cieszyli się osiedleni tam Żydzi niezmąconym pokojem, dopóki tryumfujący kościół nie wsiadł im na karki.

Wychodztwo Żydów do tych ważnych i bogatych prowincji przypadło jeszcze zapewne na czasy republiki albo Cezara. Kupcy żydowscy, których interesa handlowe zawiodły z Aleksandrji lub Azji Mniejszej do Rzymu i Italji, wojownicy żydowscy, których zwycięscy cesarze, Wespazjan i Tytus, rozproszyli jako jeńców po prowincjach państwa rzymskiego, znajdowali też dobrowolnie czy poniewoli drogę do dzielnic Iberji i Galji. Przybywszy tu, jako negocjanci lub ofiary wojny, z sutym trzosem lub w odzieniu niewolnika, korzystali, po wyzwoleniu się jeńców, z pełni praw obywatelskich. Frankowie i Burgundowie, zdobywcy tych krajów traktowali ich

jak Rzymian. Najdawniejsze prawodawstwo frankońskie nie uważało Żydów za upośledzoną, odrębnym ustawom podległą klasę ludu. W założonem przez Klodwiga państwie frankońskiem mieszkali Żydzi w Owernji (Arvenra), w Caracasonne, Orleanie, aż po skrajną północ, w Paryżu i Belgji. Licznie reprezentowani byli w starogreckiem mieście portowem Marsylji, którą nazywano „miastem hebrajskiem,“ i w Arles, gdzie aż do szóstego wieku używali języka greckiego. W Beziers i prowincji narbońskiej osiedli tak gromadnie, że jedna z gór pod Narboną otrzymała od nich miano „żydowskiej“ (mons judaicus). Prowincja narbońska należała przez czas długi do Hiszpanji wizygockiej, dzielili tedy dolę i niedolę swych braci z tamtej strony Pirenejów.

Bez przeszkód trudnili się Żydzi w państwie frankońskiem i burgundzkiem rolnictwem, przemysłem i handlem. Na własnych okrętach żeglowali po rzekach i morzach. Wykonywali też sztukę lekarską, a z usług lekarzy żydowskich korzystali również często duchowni, którzy zdrowia swego nie chcieli zawierzyć wyłącznie cudownym kuracjom świętych i relikwji. Umieli przytem Żydzi robić bronią i brali żywy udział w wojnach Klodwiga z wodzami Teodoryka podczas oblężenia Arles. Żydzi galijscy nosili obok imion biblijnych także krajowe: Armentarius, Gozolas, Priscus, Siderius. Żyli w najlepszej zgodzie z ludnością krajową; pomiędzy chrześcijanami a Żydami kojarzyły się czasem małżeństwa. Nawet kler chrześcijański biesiadował chętnie u Żydów i zapraszał ich nawzajem w gościnę. Śmierć popularnego biskupa z Arles, który potrafił zachować niezależność od biskupa rzymskiego, zasmuciła Żydów nie mniej niż djecezjan i wespół z nimi płakali u jego mogiły, wtórząc trenami hebrajskimi litanjom kościelnym. Niektórych atoli książąt kościoła raziło, że Żydzi na ucztach u chrześcijan powstrzymywali się od pewnych pokarmów zaka-

zanych przez przepisy religijne. Z tego też powodu koncyljum w Vannes (465) zabroniło duchowieństwu uczestnictwa w biesiadach żydowskich, „nie godzi się bowiem, aby chrześcijanie jedli u Żydów, gdy oni gardzą jadłem chrześcijan, co czyni wrażenie, jakgdyby duchowni byli czemś pośledniejszem od Żydów.“

Wszelako ta uchwała koncyljum przebrzmiała bez echa; surowość kanoniczna nie zdołała zakłócić zgodnego pożycia. Nie nadwerężyło też harmonijnych stosunków Żydów z ludnością krajową przejście na katolicyzm Klodwiga, z którem kościół katolicki zapanował w Galji. Klodwig przelewał rzeki krwi ludzkiej, ale nie był fanatykiem. Porzuceniem pogaństwa dla religji chrześcijańskiej zobowiązał sobie kler, nie potrzebował zatem przyznawać mu przewagi i wpływów. Jego następcy, otrzymawszy po nim w spadku berło dziedziczne, nie doświadczali przykrości i kłopotów obieralnych królów gockich i nic też ich nie nagliło do koncesji i ofiar na rzecz kościoła. Dzięki temu obyczaje pogańskie utrzymały się jeszcze przez czas długi u Franków i Żydzi mogli spokojnie pełnić przepisy swojej religji.

Wprawdzie niektórzy fanatyczni duchowni dokładali wszelkich starań, aby Żydów nawrócić, nie cofając się nawet przed środkami brutalnej przemocy i przeprowadzając na koncyljach nieludzkie uchwały; wszakże były to prześladowania sporadyczne, lubo niejeden z Merowingów aprobował te uroczyste uchwały i wspierał je świeckim ramieniem. Natomiast Burgundja żywiła zawsze większą niechęć do Żydów, odkąd król jej Zygmunt, przyjąwszy katolicyzm (516), miał sobie za obowiązek podnieść tępienie arjanów i Żydów do godności zasady państwowej. Król ten wzniósł pierwszy mur graniczny pomiędzy Żydami a chrześcijanami. Zatwierdził uchwałę koncyljum epaońskiego, które pod prezydencją nietolerancyjnego biskupa Awitusa postanowiło, aby i laicy

chrześcijańscy nie brali nadal udziału w ucztach żydowskich (517).

Nieprzyjazne Żydom usposobienie przeniknęło zwolna z Burgundji do krajów frankońskich. Trzecie i czwarte koncyljum orleańskie (538 i 545) powzięły już przeciw nim surowe uchwały. Nietylko zakazywały chrześcijanom uczestniczenia w biesiadach żydowskich, a Żydom przyjmowania prozelitów, lecz zabraniały też tym ostatnim pokazywać się w święta wielkanocne na ulicach i placach, „gdyż widok ich jest jakby obrazą chrześcijaństwa.“ Childebert I z Paryża włączył punkt ostatnio wymieniony do swej konstytucji (554) i podniósł tem samem nietolerancję do znaczenia ustawy państwowej. Wprawdzie nienawiść, którą pałał do Żydów, nie była miarodajną dla jego współkrólów. Podział państwa Franków na drobne królestwa zamykał podobne objawy nietolerancji religijnej w granicach pojedyńczych prowincji. Najwyżsi nawet przedstawiciele kleru byli ciągle jeszcze z Żydami na stopie przyjaznej, nie widząc w tem niebezpieczeństwa dla kościoła. Ale fanatyzm jest zaraźliwy z natury; jeśli w jakim kraju zapuści mocne korzenie, to opanowuje umysły i przezwycięża wszelkie skrupuły. W państwie frankońskiem dał impuls do judofobji pewien mąż, który może uchodzić za jej wcielenie, biskup Awitus z Arwerny, rezydujący w Clermont. Był on dla Żydów frankońskich tem samem, czem dla aleksandryjskich był Cyryl.

Ludność żydowska jego djecezji stała mu solą w oku. Raz wraz upominał Żydów clermonckich, by się nawrócili, a gdy mu się w końcu sprzykrzyło rzucać groch na ścianę, podjudził przeciw nim pospólstwo, które napadło na synagogi i zrównało je z ziemią. Nie zadowolnił się jednak tem zagorzalec, lecz dał Żydom do wyboru: ochrzcić się lub opuścić miasto. Jeden tylko Żyd przyjął chrzest, podając się tym krokiem w po-

gardę całej gminy. Gdy w Zielone świątki szedł ulicą w białych szatach neofity, oblał go jakiś Żyd cuchnącą oliwą. Sfanatyzowany tłum wziął to za wyzwanie i rzucił się na Żydów. Ci uciekli do domów, lecz wślad za nimi wtargnęli napastnicy i wielu ubili. Widok krwi przelanej zachwiał małodusznych i pięciuset z nich jęło błagać biskupa o łaskę chrztu, zaklinając go, aby niezwłocznie położył kres rzezi. Wierni schronili się do Marsylji (576). Ludność chrześcijańska obchodziła dzień chrztu owych pięciuset z huczną radością, jakgdyby krzyż mógł się chlubić zwycięstwem przez miecz odniesionem. Wieść o wypadku w Clermoncie obudziła śród gorliwców wielką radość. Biskup Grzegorz Turoneński zachęcił bogobojnego poetę Wenancjusza do opiania bohaterskich czynów Awitusa.

Skutki tych wybuchów fanatyzmu dały się uczuć w wielu dzielnicach Francji. Na koncyljum maçońskiem zapadło kilka uchwał, zmierzających do zepchnięcia Żydów na niziny społeczne. Odsunięto ich od pełnienia obowiązków sędziowskich i od dzierżawienia ceł i podatków, „aby się nie zdawało na pozór, że ludność chrześcijańska jest im podwładna.“ Nakazano im być z wielką rewerencją dla kapłanów chrześcijańskich i nie siadać w ich obecności, chyba za wyraźnem zezwoleniem. Winowajcom zagrożono surowemi karami. Edykt, zabraniający Żydom pokazywać się w święta wielkanocne, zaostrzono na tym soborze. Sam król Chilperyk, lubo niezbyt sprzyjał klerowi katolickiemu, przejął się żarliwością misjonarską Awitusa. I on też niewolił swoich Żydów do chrztu i osobiście trzymał do niego neofitów żydowskich, zadowalniał się jednak pozorami nawrócenia i nie miał nic przeciw temu, że nowochrzczeńcy dalej święcili sobotę i przestrzegali praw judaizmu.

Ostatni Merowingowie coraz gorliwiej strzegli interesów kościoła i przejmowali się coraz zacieklejszą nie-

nawiścią dla Żydów. Klotar II, matkobójca, a jednak sławiony jako wzór pobożności, zostawszy jedynym panem wszystkich ziem frankońskich (613), sankcjonował uchwały koncyljum paryskiego, odsądzające Żydów od sprawowania urzędów w administracji i wojsku (615). Syna jego Dagoberta zaliczają dzieje żydowskie do najzagorzalszych wrogów imienia żydowskiego. Tysiące Żydów, zbiegłych do państwa Franków przed fanatyzmem króla Wizygotów Sisibuta, obudziły zawiść rozpustnego monarchy. Nie chciał być gorszym od Wizygotów i dać się im ubiedz w gorliwości o wiarę. Ogłosił tedy rozkaz, pozostawiający wszystkim Żydom frankońskim termin na przyjęcie chrześcijaństwa i grożący śmiercią opornym (ok. 629).

W miarę upadku powagi Merowingów, tych królów w szlafmycy, jak ich przezywano, i wzrostu natomiast potęgi mądrych majordomów, potomków Pipina, wolniały też prześladowania i gnębienie Żydów. Poprzednicy Karola Wielkiego przeczuwali zapewne, że Żydzi są użyteczną klasą ludności, której skrzętność i rozgarnięcie mogą przynieść państwu niemałe korzyści. Tylko handel niewolnikami stanowi jeszcze stałą rubrykę skarg na soborach kościelnych; nie mogły one jednakże usunąć tego nadużycia, bo potępiały je zbyt jednostronnie.

Żydów niemieckich niezawodnie uważać należy za wychodźców frankońskich, dzielili też oni losy Żydów frankońskich w podległej Merowingom Austrazji. Według świadectwa pewnej kroniki najdawniejsi Żydzi w krajach nadreńskich mieli być potomkami owych legjonistów, którzy puścili niegdyś z dymem świątynię. Z pośród mnóstwa branek żydowskich wybrali sobie podobno Wangjonowie piękne kobiety i wróciwszy na swoje stanowiska nad Renem i Menem, dochowali się tam z niemi potomstwa. Dzieci, zrodzone z krwi giermańskiej i żydowskiej, wychowane zostały przez matki w religji żydowskiej, gdyż

ojcowie nie troszczyli się o nie. Ci właśnie mieszkańcy mieli być pierwszymi założycielami gmin żydowskich pomiędzy Wormacją a Moguncją. To pewna, że w Kolonji istniała już gmina żydowska, zanim dzięki Konstantynowi chrześcijaństwo urosło w potęgę. Przewodnicy tych gmin i wybitni członkowie otrzymali od cesarzy pogańskich przywilej wolności od uciążliwych urzędów miejskich. Pierwszy cesarz chrześcijański ograniczył ten przywilej, czyniąc tylko wyjątek dla dwóch czy trzech rodzin. Przysługiwał również Żydom kolońskim przywilej własnego sądownictwa, który zachowali aż do średniowiecza. Kto sam nie będąc Żydem, chciał wnieść skargę na Żyda, musiał się z nią udać do sędziego żydowskiego (biskupa żydowskiego), choćby był nawet duchownym.

Jeżeli historja Żydów w Bizancjum, Italji, Frankonji przedstawia słaby tylko interes, to dzieje ich na półwyspie pirenejskim wznoszą się do większego znaczenia. Ludność żydowska tego błogosławionego półwyspu ukochała go, jak się miłuje odwieczną ojczyznę, i przyczyniła się do jego wielkości, występując tem samem na arenę ogólno-dziejową. Do wzrostu judaizmu przyłożyła się Hiszpanja żydowska tyleż niemal, co Judea i Babilonja, i jak w tych krajach, tak i tam, do każdej prawie piędzi ziemi przylgnęły niezapomniane dla szczepu żydowskiego wspomnienia. Korduba, Granada i Toledo budzą w sercach Żydów echa równie swojskie, jak Jerozolima i Tyberjada, a bliższe jeszcze może, niż Nahardea i Sura. Zgrzybiały już na Wschodzie i niemocą dotknięty judaizm, odzyskał w Hiszpanji świeżość młodzieńczą i podjął na nowo płodną działalność, z której owoców korzystały koła szerokie. Hiszpanja stać się miała nowym rozsadnikiem światła dla djaspory.

Pierwsze ślady bytności Żydów w pięknej Hesperji gubią się w nieprzeniknionych ciemnościach. Pojawili się tu niezawodnie jeszcze za czasów republiki rzymskiej,

jako ludzie wolni, którzy chcieli wyzyskać bogate źródła tej ziemi. Ofiary nieszczęśliwych rokoszów za Wespazjana, Tytusa i Hadrjana rzucone też zostały na rubieże skrajnego Zachodu. Osiemdziesiąt tysięcy tych biedaków, jak przesadna wieść głosi, zawlekli zwycięzcy do Hiszpanji. Niedługo chyba nosili suknie niewolników; ich wolni bracia nie omieszkali ich z pewnością wykupić, pełniąc względem nich najważniejszy z obowiązków, jakie judaizm talmudyczny przepisuje swoim wyznawcom. O rojności Żydów w pewnych dzielnicach Hiszpanji świadczą nazwy, które wzięły od nich początek. Granada zwała się niegdyś „miastem żydowskiem,“ jako wyłącznie zamieszkana przez Żydów; toż miano nosiła przed podbojem Arabów prastara Tarragona (Tarracona), założona przez Fenicjan. W Kordubie istniała zdawna „brama żydowska,“ a w Saragossie twierdza, która w epoce panowania Arabów nazywała się Ruta al Jahud.

O osiadłości Żydów w Hiszpanji północnej aż po Tortosę świadczy odkryty tam grobowiec z napisem w trzech językach, hebrajskim, greckim i łacińskim, uwieczniającym pamięć zmarłej w młodym wieku Żydówki, której imię krajowe brzmiało Belliosa, ojczyste zaś Miriam. Pomnik ten służy za dowód, że Żydzi hiszpańscy pochodzili z krajów, używających języka greckiego, że następnie pod rządami rzymskimi przyswoili sobie łacinę i że nie zapomnieli też świętego języka swej praojczyzny.

Właściwa Hiszpanom duma arystokratyczna, która przeszła też w krew i kości Żydom tamtejszym, nie poprzestała na fakcie, że kolonja żydowska w Hiszpanji posiadała już prawo obywatelstwa w tym kraju, zanim jeszcze Wizygoci i inne ludy postawiły w nim stopę żelazną, lecz usiłowała przenieść to prawo w odleglejsze jeszcze czasy. Żydzi hiszpańscy twierdzili, że osadził ich tu po zburzeniu pierwszej świątyni zdobywca babi-

loński Nebukadnecar. Niektóre rodziny żydowskie, jak Ibn-Daudowie i Abrabanelowie, chlubiły się pochodzeniem z domu królewskiego Dawida.

Jakkolwiek chrześcijaństwo zapuściło w Hiszpanji wcześnie już tak głęboko korzenie, że przed nawróceniem Konstantyna mógł się odbyć w Illiberis (Elvira pod Granadą) sobór kościelny, złożony z biskupów, presbyterów i niższego kleru, to jednak Żydzi tamtejsi nie mieli powodu do skarg na upośledzenie, traktowano ich bowiem na równi z ludnością chrześcijańską, jak przedtem z pogańską. Nawróceni na wiarę chrześcijańską Iberyjczycy i Rzymianie nie widzieli podówczas jeszcze w Żydach szczepu odtrąconego przez Boga, którego sąsiedztwa unikać należy. Żyli też z swymi sąsiadami w najlepszej harmonji. Nowonawróceni tubylcy, którzy od swych apostołów słyszeli wiele o Żydach i judaizmie, nie mieli żadnego pojęcia o głębokiej przepaści, dzielącej judaizm od chrześcijaństwa, i zwracali się równie często do duchownych żydowskich, jak do własnego kleru z prośbą o pobłogosławienie płodów ziemi. Małżeństwa pomiędzy Żydami a chrześcijanami zawierano tak samo w Hiszpanji, jak w Galji.

Atoli wyższemu duchowieństwu katolickiemu nie podobała się równie w Hiszpanji, jak w Galji, ta dobra komitywa chrześcijan z Żydami. Upatrywało w tem ono niebezpieczeństwo dla zaledwie utwierdzonego kościoła. Przedstawicielom kościoła katolickiego w Hiszpanji należy się chwała,—jeżeli to chwałą nazwać się godzi—że pierwsi dźwignęli mur graniczny pomiędzy Żydami a chrześcijanami. Sobór illiberytański, na którego czele stał Ozjusz, biskup Korduby, zakazał chrześcijanom utrzymywania z Żydami przyjacielskich stosunków, zawierania z nimi małżeństw i zwracania się do nich o benedykcję płodów ziemi. Wszelako złe nasienie nienawiści do Żydów, które pierwszy posiał synod illyberytański, weszło znacznie później dopiero trującym owocem. Gdy w czasie wędrówki narodów hordy germańskich Swewów, Wandalów i Wizygotów, obróciwszy zrazu piękny kraj ten w pustynię, założyły w nim następnie swoje siedlisko, musieli katolicy tamtejsi ugiąć szyję pod jarzmo zależności politycznej i kościelnej. Albowiem Wizygoci, którzy weszli w trwałe posiadanie półwyspu, ochrzczeni zostali przypadkiem w obrządku arjańskim. A jakkolwiek w gruncie rzeczy niewiele ich obchodziły kontrowersje, czy Bóg Syn równy jest Ojcu, czy też tylko podobny, i czy biskup Arjusz był prawowiernym chrześcijaninem, czy też heretykiem, nienawidzili jednak tubylców katolickich, gdyż w każdym katoliku widzieli Rzymianina, a tem samem i wroga. Natomiast Żydzi wiedli pod berłem królów arjańskich żywot spokojny, ciesząc się równością cywilną i polityczną i piastując nawet różne urzędy.

Pomyślne położenie Żydów w Hiszpanji przetrwało wiek z górą, przez czas, gdy kraj ten stanowił zrazu jedną z prowincji państwa toletańsko-wizygockiego i później nawet, gdy za Teudesa (531) stał się jego głównem ogniskiem. Ci, którzy mieszkali w prowincji narbońskiej i w posiadłościach afrykańskich państwa Wizygotów, korzystali z tych samych praw obywatelskich. Niektórzy z nich oddawali królom wizygockim ważne usługi. Żydzi, osiadli u stóp Pirenejów, bronili dróg, prowadzących z Galji do Hiszpanji, przeciw najazdom Franków i Burgundów. Uchodzili za najwierniejszą straż pograniczną, a ich waleczność zjednała im szczególne odznaczenia.

Atoli z chwilą, gdy kościół katolicki zapanował w Hiszpanji i począł prześladować arjanizm, nastąpił w losach Żydów tamtejszych przełom niepomyślny. Król Reccared, który wyprzysiągł się wyznania arjańskiego, uszczuplił pospołu z synodem ich swobody i prawa.

Zabroniono im zawierania z chrześcijanami związków małżeńskich, nabywania niewolników chrześcijańskich i sprawowania urzędów publicznych; dzieci, zrodzone z małżeństw mieszanych, miały być przemocą wleczone do chrztu (589). Wszyscy ludzie majętni w kraju posiadali niewolników i poddanych, którzy uprawiali ich grunta i oporządzali ich domy, tylko Żydzi mieli być pozbawieni tych wygód. Łatwo pojąć, że zamożni właściciele niewolników nie szczędzili zabiegów, aby skłonić Reccareda do cofnięcia tego prawa. Ofiarowali za to królowi sumę pokaźną. Ale ów odrzucił ofiarę, czem zyskał gorącą pochwałę papieża Grzegorza, któremu bardzo zależało na wprowadzeniu w życie nowej ustawy (599). Grzegorz przyrównywał króla Wizygotów do króla izraelskiego Dawida, „który nie chciał przyjąć wody przyniesionej przez bohaterów z narażeniem życia, i wylał ją przed Panem.“ Tak samo Reccared poświęcił Panu ofiarowane sobie złoto. Jednocześnie zatwierdził Reccared uchwałę koncyljum narbońskiego, zakazującą Żydom śpiewania psalmów na pogrzebach—obyczaj, który zapewne zapożyczyli od kościoła.

Lubo Reccared nakazał wykonywać ściśle prawa wyjątkowe, niezbyt trudno jednak przyszło Żydom poradzić sobie z niemi. Szczególny ustrój państwowy Hiszpanji wizygockiej nastręczał im środki po temu. Król, według tej konstytucji, nie był w kraju panem wszechwładnym; wielmoże wizygoccy, którym przysługiwało prawo obierania króla, byli nieograniczonymi panami w swych ziemiach, a ani oni, ani lud nie podzielali fanatycznej nienawiści kościoła do Żydów. Pozwalali im więc po dawnemu nabywać niewolników, a może też nawet powierzali im urzędy publiczne. Po latach dwudziestu prawa Reccareda straciły zupełnie moc i powagę. Nie stosowali ich jego następcy, którzy byli w ogóle Żydom dosyć przychylni.

Naraz wybrany został królem Wizygotów mąż, zkądinąd łagodny i światły, który przecież dla swych poddanych żydowskich stał się biczem bożym i postępowaniem z nimi ściągnął klęskę na całe królestwo. Sisebut, współcześnik cesarza Herakljusza, nie ustępował mu w zaciekłej nienawiści do Żydów. Lecz gdy Herakljusza usprawiedliwiał poniekąd bunt Żydów palestyńskich i natarczywe nalegania fanatycznych mnichów, to Sisebut prześladował Żydów z własnego popędu, niemal wbrew woli duchowieństwa katolickiego. Od pierwszej chwili swego panowania (612) zajął się sprawą żydowską. Wskrzesił zakaz posiadania niewolników i polecił klerowi i sędziom, tudzież całej ludności krajowej, pilnować, aby Żydzi nietylko nie nabywali niewolników, lecz nie zatrzymywali nabytych już dawniej. Tym tylko, którzy się nawrócili na wiarę chrześcijańską, miało przysługiwać prawo posiadania niewolników, a nawet roszczenia pretensji do części dziedzicznej skonfiskowanych ich krewnym żydowskim niewolników. Sisebut zaklinał uroczyście swoich następców, aby nie naruszali tego prawa. Na króla, któryby się ośmielił uchylić to prawo, niechaj spadną—tak brzmi klątwa Sisebutowa—na tym świecie hańba niezmyta, a na tamtym męki w ogniu piekielnym. Pomimo tak poważnej przestrogi prawo to, jak się zdaje, nie miało i teraz lepszego skutku, niż za Reccareda. Niezależni książęta krajowi osłaniali Żydów swoją opieką z pobudek osobistych korzyści lub na przekór królowi. Zdaje się, że nawet niektórzy księża i biskupi sprzyjali Żydom i nie troszczyli się o edykt królewski. Aby tej pobłażliwości koniec położyć, czy też upór przełamać, wydał Sisebut dekret, nakazujący wszystkim Żydom przyjąć w oznaczonym terminie chrzest lub opuścić granice ziem wizygockich. Rozkaz ten wykonano bezwzględnie. Ludzie słabego charakteru, przywiązani do swego mienia lub kraju,

który ich ojcowie zamieszkali od czasów niepamiętnych, dali się ochrzcić. Mężniejsi natomiast, nie wdając się z sumieniem w kompromisy, wywędrowali do Francji lub do pobliskiej Afryki (612—613). Ów chrzest przymusowy nie podobał się bynajmniej klerowi i jeden z jego głównych przedstawicieli przyganił królowi, „że wprawdzie dał dowód gorliwości o wiarę, lecz postąpił wbrew nakazom sumienia“. Sisebut tem fanatycznem prześladowaniem rzucił ferment, który przyczynił się do upadku państwa Wizygotów.

Surowy edykt Sisebuta nie przetrwał jednak czasu jego panowania. Uchylił go jego następca Swintila, łagodny i sprawiedliwy monarcha, którego uciśnieni nazywali „ojcem ojczyzny.“ Wygnani Żydzi powrócili do kraju, ochrzczeni do wiary swych przodków (621—631). Ale magnaci i kler, uknuwszy spisek, złożyli z tronu szlachetnego Swintilę i wybrali królem powolne swych zamiarów narzędzie, Sisenanda. Za panowania tego króla duchowieństwo odzyskało dawną przewagę. Raz jeszcze stali się Żydzi przedmiotem rozpraw synodalnych na koncyljum toledańskiem (633). Przewodniczył mu wykształcony i wyrozumiały prałat, arcybiskup z Hispalis (Sewilla) Izydor, który jednak podzielał uprzedzenia ówczesne. Koncyljum to wprawdzie orzekło, że nie należy Żydów nawracać na chrześcijaństwo przemocą i grozą kar, postanowiło atoli wskrzesić prawa Reccareda. Cała surowość prawodawstwa kościelnego miała dotknąć Żydów, gwałtem nawróconych za Sisebuta i odpadłych od wiary. Jakkolwiek duchowieństwo potępiło było ów krok, utrzymywało jednakże, iż ci, którzy raz przystąpili do sakramentów kościelnych, powinni wytrwać w chrześcijaństwie, „aby wiara nie została pohańbiona.“ Synod, obradujący za Sisenanda, powziął przeto uchwałę, aby Żydów już przedtem ochrzczonych odwodzono przemocą od pełnienia przepisów religji żydowskiej i obcowania

ze współwyznawcami, a dzieci ich płci obojej oderwano od łona rodziców i zamknięto w klasztorach. Dawniejsi neofici, przekonani o przestrzeganie soboty i świąt żydowskich, zawarcie ślubów małżeńskich według rytuału żydowskiego, powstrzymywanie się od pokarmów, zakazanych przez prawo żydowskie, mieli być karani za te wykroczenia utratą wolności i, jako niewolnicy, rozdarowywani przez króla prawowiernym chrześcijanom. Żydom nawróconym przemocą, oraz ich potomkom odjęto prawo składania świadectwa, „albowiem kto się sprzeniewierzył Bogu, nie zasługuje na wiarę u ludzi,“ jak brzmiał niedorzeczny wniosek synodu. Wobec tej surowości traktowanie Żydów, którzy trzymali się wiernie swego wyznania, uchodzić może jeszcze za nader łagodne.

Ale i tych Żydów usiłowało duchowieństwo oderwać od religji ojczystej. Izydor z Sewilli napisał przeciw Żydom dwie księgi, w których dogmaty chrześcijańskie udowadnia za pomocą argumentów, zaczerpniętych ze Starego Testamentu, posiłkując się, oczywiście, ową niesmaczną i niedorzeczną metodą, która cechuje polemikę patrystyczną przeciw judaizmowi. Żydzi hiszpańscy, dla umocnienia się w wierze swych przodków, zmuszeni byli przyjąć wyzwanie i odeprzeć pozorne dowody. Na zaczepki odpowiadali dziełami polemicznemi, pisanemi prawdopodobnie w języku łacińskim. Przewyższając przeciwników znajomością zabytków biblijnych, odnosili nad nimi łatwe zwycięstwa. Wbrew rezolucjom synodu szlachta hiszpańsko-wizygocka nie wypuszczała Żydów ze swej opieki i władza królewska była wobec tego bezsilna. Wtem na tron wizygocki wstąpił król podobny do Sisebuta, Chintila. Monarcha ten zwołał również sobór powszechny, któremu polecił zatwierdzić wszystkie wymierzone przeciw Żydom paragrafy dawniejszego ustawodawstwa, a nadto ogłosił edykt, zabraniający pobytu w ziemiach wizygockich osobom, nienależą-

cym do kościoła katolickiego. Kler obradujący przyjął skwapliwie te wnioski i nie posiadał się z radości, że „dzięki pobożności króla złamana wreszcie zostanie nieugięta niewiara żydowska.“ Żydzi musieli po raz wtóry chwycić za kij pielgrzymi, a ochrzczeni, lecz w głębi serca przywiązani do wiary ojczystej, podpisać wyznanie, że bez zastrzeżeń przyjmują dogmaty kościoła katolickiego. Ale to wyznanie ludzi obrażonych w najświętszych uczuciach nie było i nie mogło być szczere. Z tęsknotą wyglądali lepszych czasów, aby mogli zdjąć maskę, co wobec obieralności królów w państwie wizygockiem nie było bynajmniej chimerą. Jakoż stan ten przetrwał zaledwie cztery lata, do końca panowania Chintili (638—642).

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Żydzi w Arabji i Mahomet.

(500—640).

Znużone widokiem ciągłej niedoli Żydów w kraju macierzystym i państwach europejskich, oraz jednostajnością fanatycznego ucisku w chrześcijaństwie, zwraca się oko z ulgą radosną ku obrazom ich bytu na półwyspie arabskim. Tutaj synowie Judy nie potrzebowali oglądać się trwożnie, czy nie wyładuje się na nich gniew duchowieństwa, lub czy nie zaciśnie się nad ich karkiem pięść władzy świeckiej. Tu nie zamykano przed nimi drogi zaszczytów, lecz wśród wolnej, młodzieńczej, zdolnej ludności mogli rozwijać swe siły, popisywać się męstwem, ubiegać o palmę sławy i z mieczem w zaprawionej do boju dłoni mierzyć się z wrogiem. Wolni od najlżejszego jarzma, bywali, owszem, Żydzi tamtejsi nierzadko przywódcami szczepów arabskich. Dzięki swej wyższości umysłowej, stanowili potęgę, zawierali przy-

mierza zaczepne i odporne, toczyli walki, co nie przeszkadzało im zresztą zmieniać czasu pokoju miecza i włóczni na lemiesz i lirę i stać się z czasem mistrzami Arabów. Dzieje Żydów arabskich w stuleciu, poprzedzającem wystąpienie Mahometa, i w latach jego działalności tworzą piękną kartę w rocznikach historji żydowskiej.

Pierwsze ślady obecności pokoleń żydowskich na wolnym, urozmaiconym, budzącym siły półwyspie przesłonięte są mgłą podaniową. Izraelici, wysłani przez Jozuego przeciw Amalekitom, mieli się podobno osiedlić w mieście Jathrib (późniejszej Medinie) i w krainie Chajbar, według zaś innej wersji powstała za panowania Dawida kolonja izraelska w Arabji północnej. Być może, że za potężnych królów Judei Izraelici, żeglujący przez morze Czerwone do złotonośnego Ofiru, założyli w Arabji południowej (Jemen) w znacznych miastach handlowych Mariba i Sanaa faktorje dla handlu zamiennego z Indjami i utworzyli tu osady żydowskie. Późniejsi Żydzi arabscy powtarzali zasłyszaną jakoby z ust przodków tradycję, że wielu zbiegów żydowskich po zburzeniu pierwszej świątyni za Nebukadnecara ratowało się ucieczką do Arabji północnej. Natomiast zgoła niewątpliwą jest rzeczą, że wojny Żydów z Rzymianami sprowadziły na półwysep arabski ludność żydowską. Owi nieulękli Zeloci, którzy po spopieleniu drugiej świątyni schronili się w części do Egiptu i Cyreny, aby w dalszym ciągu stawić tam rozpaczliwy opór Rzymianom, uszli wreszcie w rozproszonych gromadach do Arabji, gdzie mogli pielęgnować nadal zamiłowanie wolności i obyczaje rycerskie. Zbiegli obrońcy ojczyzny po nieszczęśliwej wojnie z Hadrjanem szukali też zapewne przytułku w Arabji. Od tych zbiegów pochodziły trzy szczepy żydowsko-arabskie, Benu-Nadhiryci, Benu-Kurajzaici i Benu-Bachdalowie, z których dwa pierwsze

wiodły ród od Arona, zkąd zwali się Kohanim (Alkahinani). Inny jeszcze szczep żydowski zamieszkał Arabję północną, Benu-Kainukaa, różniący się trybem życia od Nadhirytów i Kurajzaitów. Szczepy te, wraz z kilku innymi, nie tak znacznymi i głośnymi, miały swe środowisko w mieście Jathribie, w porosłej palmami i krzewami, małymi strumykami oblanej okolicy Hedżasu. Niepokojone częstokroć przez Beduinów, pobudowały sobie w mieście i okolicy warownie w miejscach wyniosłych, z których broniły swej niepodległości. Z początku wyłączni panowie tej krainy, musiały się one później podzielić ziemią i władzą z szczepami arabskimi, z Benu-Aus i Chazradż, którym służyło też wspólne miano szczepów Kaila i z którymi Żydzi żyli, jak się czasem zdarzyło, raz w przyjacielskich, to znów we wrogich stosunkach.

Na północ Jathribu rozciągała się kraina Chajbar, z ludnością wyłącznie żydowską, która tworzyła tu organizację odrębną. Żydzi chajbarscy posiadali szereg twierdz czyli zamków, na podobieństwo zamków rycerzy chrześcijańskich. Najwarowniejszą twierdzą był Kamus, wzniesiony na górze niedostępnej. Zamki te broniły ich od łupieskich najazdów wojowniczych plemion beduińskich i niejednemu prześladowanemu otwierały gościnnie swe bramy. Wadil-Kora (dolina wsi), żyzna dolina o dzień drogi od Chajbaru, zasiedlona była również Żydami. Natomiast w Mekce, gdzie znajdowała się świątynia Arabów, niewiele zapewne Żydów mieszkało.

Zato licznie reprezentowani byli w Arabji południowej (Jemen, Himjara), w kraju „którego proch był złotem, który wydawał najtęższych ludzi i którego kobiety rodziły bez bólów," jak go wysławiali mieszkańcy. Atoli Żydzi w Arabji Szczęśliwej różnili się od hedżaskich brakiem organizacji szczepowej, t. j. poniekąd politycznej, żyli bowiem w rozproszeniu wśród Arabów. Pomimo to zdobyli sobie z czasem tak wielki wpływ

na szczepy arabskie i królów Jemenu (Himjara), że zdołali przeszkodzić rozszerzeniu się chrześcijaństwa w tych stronach. Dopiero ku końcowi piątego lub w początku szóstego stulecia udało się misjonarzom chrześcijańskim zjednać dla wiary chrześcijańskiej pewnego szejka arabskiego wraz z jego plemieniem, którego główną siedzibą było miasto handlowe Nadżaran.

Dzięki pochodzeniu semickiemu mieli Żydzi arabscy wiele punktów stycznych z ludnością krajową. Język ich był pokrewny arabskiemu, obyczaje ich, o ile nie były wytworem religji, mało się różniły od obyczajów arabskich. To też Żydzi zarabizowali się do tego stopnia, że tylko wyznaniem religijnem wyosobniali się od reszty mieszkańców. Śluby mieszane przyczyniły się do asymilacji charakteru obydwu narodów. Żydzi południowo-arabscy trudnili się, jak Himjaryci, głównie handlem z Indjami, państwem bizantyjskiem i Persją; Żydzi północno-arabscy, wiodąc przeważnie beduiński tryb życia, zajmowali się rolnictwem, hodowlą bydła, handlem karawanowym, sprzedażą broni i nie gardzili też zapewne rzemiosłem rozbójniczem.

Żydzi arabscy połączeni byli patrjarchalnym ustrojem szczepowym, obejmującym kilka rodzin pod dowództwem szejka, który podczas pokoju zasiadał na sądy i rozstrzygał spory, a w czasie wojny stawał na czele zdolnej do broni ludności i zawierał sojusze z sąsiednimi szczepami. Jak Arabowie, przestrzegali też Żydzi arabscy praw gościnności względem każdego, kto przestąpił próg ich namiotu, i niezłomnej wiary względem sojuszników. Wszelako nie obce im też były wady tubylców, jak nieubłagana zemsta za śmierć członka plemienia lub zdradzieckie zasadzki na nieprzyjaciela. Zdarzało się również, że szczep żydowski, zawarłszy przymierze z arabskim, stawał we wrogich stosunkach względem szczepu bratniego, jeżeli ten należał do partji prze-

ciwnej. Lecz nawet w tych bratobójczych zatargach łagodziła odziedziczona po przodkach cnota właściwe Beduinom okrucieństwo, nie pozwalając mu zagłuszyć uczucia litości. Żydzi wykupywali z rąk sojuszników jeńców z bratniego plemienia, z którem dopiero co wojnę toczyli, aby nie jęczeli w niewoli pogańskiej, gdyż, jak powiadali: „ Wykup współwyznawców z niewoli jest obowiązkiem religijnym.“ Nie ustępując w męstwie Arabom, ubiegali się też z nimi o palmę poezji. Albowiem obok waleczności i odwagi stanowiła i poezja ozdobę szlachetnego Araba.

Znajomość religji, którą Żydzi arabscy przynieśli z ojczyzny i która odnawiała się później dzięki pobudkom, płynącym z uczelni, zapewniała im nad pogańskimi szczepami wielką przewagę duchową. Gdy aż do połowy wieku siódmego nieliczni tylko Arabowie posiadali sztukę pisania, była ona wśród Żydów tak dalece powszechna, że krajowcy zwali ich „ludem pisma.“ Judaizm w przekazanej postaci i z piętnem, jakie wyryli na nim talmudyści, stanowił dla Żydów arabskich świętość największą. Ściśle przestrzegali przepisów pokarmowych, świąt uroczystych i postu w dzień Odpuszczenia. Sobotę święcili tak skrupulatnie, że jakkolwiek bodły ich wiecznie instynkty rycerskie, umieli się przecież oprzeć pokusie i za nic by nie dobyli w dzień ten oręża. Pomimo że w tym kraju gościnnym nie doznawali żadnych przykrości, pomimo że kochali go jak własną ojczyznę, tęsknili jednak za świętą ziemią praojców i oczekiwali codzień przybycia Mesjasza. Jak wszyscy Żydzi rozproszeni po świecie, obracali się i oni przy modlitwie twarzą do Jerozolimy. Utrzymywali stosunki z Żydami palestyńskimi, a po upadku patrjarchatu kierowali się wskazówkami powag tyberjadzkich. Jathrib był siedliskiem nauki żydowskiej; w założonej tam uczelni (Midras) wykładali Pismo nauczyciele Zakonu, zwani Achbarami. Ale Żydzi arabscy nie mogli się pochlubić wielką erudycją. Znali Pismo

jedynie przez szkła agadystów, z których wykładem obeznawali się w podróżach, lub przez emigrantów. Świetne dzieje przeszłości do tego stopnia zrosły się w ich umysłach z legiendą, że nie umieli oddzielić złota od żużlów. Obdarzeni fantazją poetycką, upiększali z swojej strony historję biblijną ciekawymi szczegółami, które krążyły potem, jako fakty prawdziwe.

Korzystając z zupełnej wolności i nie znając żadnego przymusu, mogli Żydzi arabscy bez obawy głosić swoje wierzenia i w przyjacielskich rozmowach wtajemniczać w nie swych pogańskich sąsiadów. Wrażliwy na podniety duchowe umysł Arabów podobał sobie w dziecięco-naiwnej, a przecież tak wzniosłej poezji Pisma świętego, tudzież w związanych z niem legiendach, i stopniowo niektóre wyobrażenia żydowskie i pojęcia religijne zakorzeniły się silnie w Arabji. Żydzi arabscy udzielili Arabom pewnych wskazówek kalendarzowych, bez których nie mogliby wybrnąć z trudności. Uczeni żydowscy z Jathribu nauczyli Arabów, którzy rachowali czas na podstawie obiegu księżyca, wtrącać miesiące przybyszowe, aby zrównać rok księżycowy z słonecznym. Arabowie przejęli zatem od Żydów (ok. 420) dziewiętnastoletni cykl interkalacyjny i interkalacje te przezwali *nassi*, z tej niewątpliwie przyczyny, że Żydzi swój kalendarz świąteczny otrzymywali od patrjarchy (Nassi).

Udało się też Żydom oświecić Arabów w przedmiocie ich dziejowego początku, o którym milczały ich wspomnienia; opowieści odnośne przyswoili sobie z wiarą najgłębszą jako swoje własne tradycje. Żydom zależało wiele na tem, aby Arabowie uważali ich i uznawali za lud spokrewniony. Ognisko kraju, święte miasto Mekka, zbudowane dokoła starożytnej świątyni (Kaaba, czworobok), a właściwie wokół czarnego kamienia, było schronieniem dla wszystkich Arabów, w którem miecz

musiał zawsze w pochwie spoczywać. Pięć jarmarków, z których najwalniejszy był w Okaz, odbywało się tylko w okresie czterech świętych miesięcy, w ciągu których panował pokój boży. Kto chciał korzystać z tego zawieszenia broni i z bezpieczeństwa życia pośród żądnej krwi i boju ludności, musiał się wykazać powinowactwem z Arabami, inaczej bowiem nie służyły mu dobrodziejstwa pokoju.

Szczęściem przypomnieli sobie Żydzi arabscy relacje pierwszej księgi Mojżeszowej o pochodzeniu Arabów i na tym dokumencie rodowodnym oparli swe pobratymstwo z ludnością tubylczą. Podług ich przeświadczenia łączyły ich z Arabami podwójne związki krwi, przez Joktana i Izmaela. Obydwa główne szczepy arabskie przyswoiły sobie skwapliwie gienealogje biblijne i za przewodem Żydów z całem przekonaniem wywodziły właściwych Arabów (Himjarytów) od Joktana (Kachtan), a niewłaściwych, czyli Arabów północnych, od Izmaela. Wychodząc z tego założenia, skonstruowali Żydzi cały arsenał dowodów swej wspólności plemiennej z pierwotnymi mieszkańcami. Arabowie zaś, radzi, że się w ten sposób rozszerzyły szczupłe ramy ich wspomnień dziejowych, sięgając aż do patrjarchów żydowskich, przyjęli na wiarę owe argumenty i na południu mianowali się Kachtanitami, a na północy Izmaelitami. Chętnie przyznali Żydom prawa szczepowe, t. j. równy udział we wszystkich korzyściach swej społeczności.

Wobec zażyłych stosunków Żydów z Arabami i obfitej treści nauk, jakie judaizm rozsiewał wśród synów pustyni, dla których ich własna, obrana z poezji mitologja nie miała najmniejszego uroku, nie dziw, że niektórzy szejkowie arabscy przechylili się do religji żydowskiej i przyjęli ją w końcu. Praktykowane przez Arabów pogańskich obrzezanie usuwało największą przeszkodę w tej mierze. Spoisty ustrój plemienia, którego

członków ożywiała jedna wola i myśl, sprawiał, że gdy naczelnik, jako najmędrszy, przyjął wiarę żydowską, natychmiast szli za nim ławą wszyscy podwładni. Benu-Kinanah, szczep wojowniczy, spokrewniony z słynnymi Korajszytami mekkańskimi, kilka rodów ze szczepu Aus i Chazradż w Jathribie, wreszcie pewien szczep gassanidzki, z którego wyszedł głośny poeta żydowsko-arabski, nawróciły się kolejno na judaizm. Epokowym atoli wypadkiem w dziejach arabskich było przejście na religję żydowską potężnego króla Jemenu.

Jeden z książąt czyli królów Jemenu, którzy mianowali się Tobba i nieraz rozpościerali swoją władzę na całą Arabję, Abu-Kariba Assad-Tobban, był mężem rozumnym, zdolnym poetą i walecznym rycerzem. Żądny podbojów Abu-Kariba podjął pewnego razu, za czasów króla Kawada (ok. 500), zbrojną wyprawę przeciw Persji i prowincjom arabskim państwa bizantyjskiego. W pochodzie swym zajął stolicę Arabji północnej, Jathrib, i nie spodziewając się nic złego po mieszkańcach tamtejszych, pozostawił w niej swego syna jako namiestnika. Ale zaledwie ruszył w dalszą drogę, gdy doszła go wieść, że Jatrybeńczycy zamordowali mu syna. Miotany bólem i gniewem, zawrócił, aby się krwawo pomścić na zdradzieckiem mieście. Opasał je szczelnie liczną konnicą i kazał powycinać drzewa palmowe, których owoce stanowiły główne pożywienie ludności miejscowej. Żydzi, idąc o lepszą z Arabami, stawiali mężnie czoło Abu-Karibie i dali się dobrze we znaki jego zastępom. Podczas oblężenia zapadł król ciężko na zdrowiu i nie mógł znaleźć w pobliżu świeżej wody, aby ugasić palące go pragnienie. Dwóch żydowskich nauczycieli Zakonu z Jathribu, Kaab i Assad, korzystając z wyczerpania Abu-Kariby, udali się do jego namiotu i usilnemi perswazjami przywiedli go do tego, że przebaczył Jatrybeńczykom i zniósł oblężenie. Zdarzenie to przybrali Arabo-

wie w szaty legiendy. To pewna, że mędrcy żydowscy znaleźli sposobność do wyłuszczenia Abu-Karibie zasad religji żydowskiej i że potrafili go natchnąć żywą dla niej sympatją. Postanowił przyjąć judaizm i skłonił swoje wojsko do pójścia za jego przykładem.

Na jego życzenie towarzyszyli mu obaj mędrcy z Jathribu do Jemenu, aby nawrócić lud na judaizm. Nie poszło to jednak tak łatwo; naród nie wyzbywa się na rozkaz swoich wyobrażeń, zwyczajów i zdrożności. Pozostało zapewne w kraju więcej pogan niż Żydów. Wogóle judaizm, wyznawany przez króla Jemenu, był, jak się zdaje, nader powierzchownym i na tryb jego życia i nałogi głębszego wpływu nie wywarł. Swego siostrzeńca, naczelnika szlachetnego szczepu Kenditów, Haritha Ibn-Amru, nawróconego na wiarę żydowską, mianował Abu-Kariba wicekrólem Maadditów nad morzem Czerwonem oraz namiestnikiem Mekki i Jathribu. Wraz z Harithem przeszła też na judaizm część szczepu Kenditów. Wieść o królu i państwie żydowskiem w najpiękniejszej i najżyzniejszej dzielnicy Arabji rozniosła się szybko po świecie dzięki licznym cudzoziemcom, którzy odwiedzali ten kraj w interesach handlowych, i dotarła do najodleglejszych zakątków, zamieszkanych przez Żydów. Ale dopiero najmłodszy syn, czy też wnuk Abu-Kariby, Zorah Dhu-Nowas (520—530), począł poważnie traktować sprawę religji żydowskiej. Do arabskiego przybrał również imię hebrajskie Jussuf (Józef). Gorliwość o wiarę uwikłała go w nader przykre zatargi. Dowiedziawszy się o poniewierce Żydów bizantyjskich, chciał zniewolić cesarza bizantyjskiego do sprawiedliwego obchodzenia się z nimi. Pewnego razu kazał uwięzić i stracić kupców bizantyjskich, objeżdżających Himjarę w interesach swego zawodu. Czyn ten rzucił trwogę na kupców chrześcijańskich, którzy utrzymywali stosunki z krainą wonności, i wywołał zastój w handlu indyjsko-

arabskim. Dhu-Nowas ściągnął nim na swe państwo niebezpieczną wojnę. Zmuszony do odparcia nieprzyjacielskich kroków swych wasalów chrześcijańskich, obległ zamieszkane przez chrześcijan miasto Nadżaran i zdobywszy je, wywarł swój gniew na mieszkańcach. Stugębna fama rozgłosiła po świecie wypadki nadżarańskie, przesadzając liczbę ich ofiar i przeistaczając ukaranie buntowników w prześladowanie chrześcijan przez króla żydowskiego, w pełną łez i krwi martyrologję. Pewien biskup syryjski, Szymon z Bet-Arszam, który odbywał właśnie podróż po Arabji północnej, uwierzył tym przesadnym opisom i zrobił, co tylko mógł, aby zbudzić wrogów królowi żydowskiemu. Posłał pismo podżegawcze innemu biskupowi w sąsiedztwie Arabji, zaklinając go, aby podburzył chrześcijan przeciw królowi Dhu-Nowasowi, a przedewszystkiem zagrzał do wojny z nim negusa (króla) Etjopji. Wystąpił też z wnioskiem uwięzienia nauczycieli Zakonu w Tyberjadzie i zmuszenia ich do wstawiennictwa za uciśnionem w Arabji chrześcijaństwem. Nadto do cesarza bizantyjskiego, Justyna I., zaniesiono prośbę, aby wziął odwet na królu żydowsko-arabskim. Ale ten starzec niedołężny, którego wojsko toczyło podówczas wojnę z Persami, odpowiedział: „Himjara daleko, nie mogę posyłać wojsk na skraj świata przez pustynie piaszczyste. Ale napiszę do króla etjopskiego; jest on chrześcijaninem równie, jak my, a mieszka bliżej Arabji, niż ja.“ Jakoż istotnie poduszczył króla etjopskiego do wyprawienia swych wojsk w granice Himjary.

Tak tedy liczni wrogowie sprzysięgli się na zgubę króla, który śmiał się ująć gorąco za krzywdę swych współwyznawców. Najpotężniejszym nieprzyjacielem Dhu-Nowasa był negus etjopski Elesbaa, mąż wielce gorliwy o wiarę, którego korciła korona na głowie Żyda. Owo państwo żydowskie stało mu oddawna solą

w oku, nie potrzebował więc tylorakich podjudzań i zachęt. Uzbroił znaczną flotę, którą cesarz bizantyjski, a raczej jego młody współrządca Justynjan, zasilił okrętami z Egiptu. Przez morze Czerwone przeprawił do Jemenu liczne zastępy, do których się przyłączyła dysząca zemstą ludność chrześcijańska Arabji. Los króla himjaryckiego zawisł teraz od wiernego wojska, złożonego z konnicy, i własnego męstwa. Walka skończyła się niepomyślnie dla Dhu-Nowasa. Stolica jego Zafara (Tafara) wpadła w ręce wroga, a wraz z nią królowa i skarby. Wojownicy himjaryccy upadli na duchu. Widząc, że wszystko stracone, Jussuf Dhu-Nowas postanowił umrzeć śmiercią godną króla. Aby nie wpaść w ręce pysznemu wrogowi, rzucił się na rumaku ze skały do morza i zginął w jego odmętach (ok. 530). Zwycięscy Etjopowie spustoszyli Himjarę ogniem i mieczem, grabiąc przytem i uprowadzając bezbronną ludność w niewolę. Najbardziej pastwili się nad Żydami, których tysiące poległy w ekspjację za męczenników nadżarańskich. Taki był koniec państwa żydowsko-himjaryckiego, które znikło tak nagle, jak powstało.

Pod tęż samą mniej więcej porę wybuchły też gwałtowne zatargi pomiędzy Żydami jathribskimi a ludnością tubylczą. Dzięki blizkim stosunkom z królem himjarickim, zwierzchnikiem tej krainy, przewodziły tam szczepy żydowskie szczepom pogańsko-arabskim. Wódz żydowski, Alghitigun, piastował władzę naczelną. Ale szczepy Aus i Chazradż, ze wstrętem dźwigając jarzmo żydowskie, skorzystały z upadku Himjary, aby się z pod niego wyłamać. Naczelnik szczepu Gassan, Harith Ibn-Abu-Szammir, spowinowacony z szczepami arabskimi w Jathribie, otrzymał zaproszenie, aby przywiódł do Jathribu swe waleczne drużyny. Ten awanturniczy książę, pozostający w służbie dworu bizantyjskiego, stanął skwapliwie na wezwanie. Dla uśpienia podejrzliwości

Żydów i wprowadzenia ich w błąd co do właściwego celu wyprawy, zaprosił uprzejmie szejków żydowskich do swego obozu pod Jathribem. Jakoż wielu z nich przybyło w nadziei, że hojny książe, zgodnie z obyczajem krajowym, nie poskąpi im darów. Ale zaledwie weszli pod namiot Haritha, zamordowano ich jednego po drugim. Po tym krwawym czynie rzekł książę do Arabów jathribskich: „Uwolniłem was od znacznej części nieprzyjaciół, z resztą uporacie się łatwo, jeżeli nie brak wam siły i męstwa.“ Z temi słowy odciągnął. Wszelako Arabowie, nie śmiąc zaczepić Żydów otwarcie, uciekli się do podstępu. Podczas uczty zgładzili wszystkich szejków żydowskich z Jathribu. Pozbawieni swych wodzów, ulegli Żydzi jathribscy przemocy Arabów i musieli im odstąpić najlepsze miejsca. W pierwszych chwilach bodło ich upokorzenie i utrata dotychczasowej przewagi. Ale niepewność egzystencji zniewoliła ich do zatłumienia w sobie uczucia nienawiści. Uciekli się w końcu pod opiekę tego lub owego plemienia i zostali klijentami Ausów i Chazradżów.

Książę gassanidzki, Harith Ibn-Abu-Szammir, pogromca szczepów żydowskich, zaczepił też podczas swej wyprawy jathribskiej pewnego poetę żydowskiego, którego imię, dzięki temu wypadkowi, nabyło wśród Arabów niezmiernego rozgłosu. Samuel Ibn-Adija (ur. ok. 500, zm. ok. 560), znany z swej rycerskości i z stosunków z najznakomitszym poetą arabskim przed Mahometem, pochodził z Jathribu. Ojciec jego, Adija, wzniósł później w okolicy Taimy zamek, od pstrego pomalowania przezwany Alablak i pod tem mianem uwieczniony w poezji arabskiej. Samuel, naczelnik drobnego plemienia, był tak poważany, że słabe szczepy arabskie udawały się pod jego opiekę. Każdy prześladowany lub wywołaniec mógł liczyć na schronienie w Alablak, a pan zamku własną głową gwarantował bezpieczeństwo swe-

mu gościowi. Kiedy awanturniczy książę kendicki Imrulkais, któremu skrytobójcy zabili ojca i na którego zewsząd czyhali skryci i otwarci wrogowie, nie miał gdzie skłonić głowy, szukał przytułku w Alablak.

Pan tego zamku i sam też poeta, dumny, że może udzielić schronienia najsłynniejszemu wieszczowi Arabji, którego pieśni i przygody znane były na całym półwyspie, przyjął Imrulkaisa z córką i towarzyszącym mu orszakiem i gościł ich przez czas pewien w Alablak. Ponieważ książę kendicki nie miał nadziei, aby wśród szczepów arabskich znaleźli się ludzie, którzyby mu pomogli ukarać skrytobójców i odzyskać dziedzictwo ojcowskie, umyślił tedy zwrócić się z prośbą o pomoc do cesarza bizantyjskiego, Justynjana. Przed wyjazdem wręczył Samuelowi na przechowanie, oprócz innej broni, pięć kosztownych kolczug. Ten przyrzekł mu strzedz, jak źrenicy oka własnego, powierzonych jego pieczy osób i rzeczy. Ale ów oręż przyniósł mu nieszczęście. Książę gassanidzki Harith, zacięty nieprzyjaciel rycerskiego poety, pociągnął na zamek Samuela, Alablak, i zażądał wydania broni Imrulkaisa. Samuel, wierny swemu przyrzeczeniu, odpowiedział odmownie, czem rozgniewany Harith obległ zamek swoimi hufcami. Widząc jednak, że go nie zdobędzie, uciekł się do okrutnego środka, aby złamać opór Samuela. Schwytał jego syna, z którym piastunka wyszła za mury, i groził, że go zabije, jeżeli ojciec nie będzie powolny. Na chwilę tylko zawahał się nieszczęsny pomiędzy powinnością a uczuciem ojcowskiem; wnet pierwsza przemogła i poddała mu te słowa: „Czyń, jak ci się podoba; zdrada to naszyjnik, który nie rdzewieje, a syn mój ma braci!“ Potwór, niewzruszony taką wzniosłością duszy, zabił syna na oczach rodzica, i nic nie wskórawszy, odciągnął. Wśród Arabów krążyło odtąd przysłowie: „Wierniejszy od Samuela.“ Miało ono oznaczać najwyższy stopień wierności.

Syn jego Szorajch poszedł w ślady honoru i wielkoduszności ojcowskiej. Gdy pewnego razu sławny poeta arabski Majmun Asza, któremu szalone wybryki narobiły mnóstwo nieprzyjaciół, ścigany przez przeciwnika, popadł w niewolę i wraz z innymi jeńcami, niepoznany, dostał się do zamku Szorajcha, okupił swą wolność pieśnią pochwalną na cześć Samuela:

„Bądź jak Samuel, kiedy go opasał
„Wódz srogi murem swych hufców żelaznym.
„Bezdzietność? Zdrada? Okrutny wyborze!
„Niedługo rycerz zmaga się i waży,
„Wnet da odpowiedź: zabij swego jeńca,
„Wiary gościowi ja za nic nie złamię.“

Pod koniec wieku szóstego Żydzi jathribscy wzmogli się do pewnego stopnia z ciężkich ciosów, które zadały im szczepy arabskie. Ich rozkazodawcy, Ausowie i Chazradżowie, wycieńczyli się dwudziestoletniemi, krwawemi walkami, które podwładnym im Żydom mniej się dały we znaki. Wskutek drugiej wojny pomiędzy tymi szczepami odzyskali Żydzi swe dawne znaczenie w Jathribie.

Judaizm nietylko zjednał sobie niektóre plemiona arabskie i zaszczepił wśród synów pustyni pewne niezbędne urządzenia, ale zbudził też założyciela nowej religji, którego działalność zatoczyła szerokie kręgi w dziejach powszechnych i aż po dziś dzień przejawia się w skutkach. Mahomet, „prorok z Mekki i Jathribu,“ nie wyszedł wprawdzie z łona judaizmu, lecz bądź co bądź był jego wychowankiem. Z judaizmu zaczerpnął podnietę do stworzenia na fundamencie państwowości nowej formy religji, która pod mianem islamu oddziałała nawzajem potężnie na ukształtowanie dziejów żydowskich i rozwój żydostwa.

W przyjacielskich pogawędkach w Mekce, gdzie po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, na rynkach i w po-

dróżach słyszał częstokroć syn Abdallaha o religji, której naczelnym dogmatem była wiara w jednego, światowładnego Boga, o Abrahamie, który się poświęcił służbie tego Boga, o religijnych i moralnych instytucjach, które wyznawców tego Boga odróżniały dodatnio od bałwochwalców, i wrażliwa jego dusza przejęła się tem wszystkiem. Znakomity Mekkańczyk, Waraka Ibn-Naufal, ze szlachetnego szczepu Korajszytów, kuzyn małżonki Mahometa, Chadidży, który przyjął judaizm i umiał czytać po hebrajsku, natchnął niezawodnie przyszłego proroka miłością dla religji Abrahama.

Pierwsze nauki Mahometa, które poczęły się wśród przypadłości wielkiej choroby i krążyły w ciasnem kole pierwszych zwolenników jako wyższe objawienia, poddane przez anioła Gabrjela, miały zabarwienie nawskroś żydowskie. Przedewszystkiem wystąpił z prostą, lecz jeszcze nie uznaną powszechnie ideą judaizmu: „Niemasz Boga, prócz Allaha," i dopiero później pycha jego uzupełniła ten dogmat słowami: „a Mahomet jest jego prorokiem." Gdy o tym Bogu powiadał, że nie ma towarzysza (antytrynitaryzm), że nie wolno go czcić w wizerunku, kiedy zwalczał chaotyczne bałwochwalstwo Kaaby z jej trzystu bogami, gdy piorunował na złe obyczaje, panoszące się wśród Arabów z jawnością bezwstydu, gdy potępiał oburzającą zbrodnię topienia dla wygody lub z biedy noworodków płci żeńskiej i gdy to wszystko przedstawiał nie jako coś nowego, lecz jako naukę odwiecznej religji Abrahamowej, to judaizm musiał upatrywać w tem zwycięstwo swych prawd i ziszczenie swych proroctw, zupełnie jak w owym czasie, kiedy Paweł z Tarsu zaczął po raz pierwszy zaznajamiać Greków z dziejami i treścią judaizmu. Wszystko, co dobre i piękne w Koranie, księdze religijnej, zawierającej objawienia Mahometa, zapożyczone jest z Biblji lub też Talmudu.

Nie znajdując posłuchu w Mekce, siedlisku bałwochwalstwa arabskiego, i w dodatku narażony na niebez-

pieczeństwo, zwrócił się Mahomet do kilku mężów z Jathribu z wezwaniem, aby przyjęli jego naukę. Lepiej od Mekkańczyków obeznani z zasadami religji żydowskiej, upatrzyli ci mężowie w objawieniach Mahometa wiele pokrewieństwa z tem, co niejednokrotnie słyszeli od swych sąsiadów żydowskich. Chętnie tedy przystali do niego i skłonili swych pobratymców do zaproszenia proroka w nadziei, że chociażby ze względu na liczną ludność żydowską w Jathribie, nauki jego znajdą tu oddźwięk głośniejszy. Przybywszy do Jathribu (622, rok ucieczki Mahometa z Mekki, hedżyra), starał się Mahomet przedewszystkiem ująć sobie Żydów tamtejszych, przedstawiając w tym celu swe dążności, jako skierowane do zjednania judaizmowi powszechnego w Arabji uznania. Wjechał do miasta, które otrzymało odeń później miano „miasta proroka" (Medina), w sam dzień Odpuszczenia. Na widok poszczących Żydów rzekł: „Nam bardziej niż Żydom przystoi dzień ten postem obchodzić." Jakoż ustanowił post Aszura (dziesiąty). Ze szczepami żydowskimi zawarł formalne przymierze ku obopólnej pomocy i gwoli im nakazał przy modlitwie zwracać się twarzą do Jerozolimy (Kiblah). Przy rozsądzaniu spraw swych zwolenników (muzułmanów) z Żydami, ujawniał większą dla tych ostatnich przychylność.

Przez czas jakiś miał u boku sekretarza żydowskiego, który załatwiał korespondencję niepiśmiennego proroka. Żydom medyńskim nader pochlebiała ta uprzejmość ze strony męża, rokującego tak wielkie nadzieje. Uważali go poniekąd za prozelitę żydowskiego i wierzyli, że dzięki jego działalności, judaizm zapanuje w Arabji. Niektórzy z nich szczerze przystali do niego, jako najbliżsi pomocnicy (Ansar), w tej liczbie uczony Żyd Abdallah Ibn-Salam ze szczepu Kainukaa. Ten Abdallah, tudzież inni Żydzi pomagali Mahometowi w układaniu objawień Koranu, i niewierni Arabowie wyrzuca-

li mu nieraz, że „jest uchem, i że go nie anioł Gabrjel, lecz człowiek poucza.“

Atoli mała tylko cząstka Żydów medyńskich powiększyła zastęp jego zwolenników, zwłaszcza gdy przejrzeli jego samolubstwo, pychę i niepohamowaną zmysłowość. Zbyt szczytny wypiastowali w sercu ideał proroka, aby na równi ze swoimi kłaść tego lubieżnego człowieka, w którym nieciła żądze lada gładyszka. „Spójrzcie tylko na niego,“ powiadali, „przebóg! nie nasyci go żadne jadło, a w głowie mu jeno podwika. Jeślić jest prorokiem, niechże sprawuje swój urząd prorocki, a da pokój kobietom.“ Innym znów razem mówili: „Jeżeli Mahomet jest prorokiem, niechaj wystąpi w Palestynie, gdyż tam tylko Bóg się objawia swoim wybrańcom.“ Albo też zarzucali mu: „Chlubisz się, że wyznajesz wiarę Abrahama, ale Abraham nie jadł mięsa i sera wielbłądziego.“ Głównymi przeciwnikami Mahometa ze strony żydowskiej byli Pinehas Ibn-Azura, mąż pełen gryzącego dowcipu, który drwił sobie z niego przy wszelkiej okazji; dalej Kaab Ibn-Aszaraf, z ojca Araba a matki Żydówki; poeta Abu-Afak, starzec z górą stuletni, który, gdzie tylko mógł, podawał go w nienawiść nieokrzesanych i ciemnych Arabów, i Abdallah, syn Saury, uchodzący za najuczeńszego Żyda w Hedżasie. Ci żydowscy nieprzyjaciele Mahometa przekomarzali się z nim i nie szczędzili mu dotkliwych przycinków, obracali w śmiech jego mowy i objawienia, słowem traktowali go z góry, nie przeczuwając zgoła, że słaby zbieg z Mekki, który przybył do Medyny z prośbą o pomoc, niebawem upokorzy ich plemiona i aż w najodleglejsze czasy ważyć będzie losami znacznej części ich współwyznawców! Zbyt dufali w swą odwagę i siłę.

Z początku, maskując się przebiegle, przyjmował Mahomet to lekceważące traktowanie go przez Żydów z pozorną obojętnością. Upominał swych wiernych:

„Z ludem Pisma (Żydami) toczcie spory w sposób przyzwoity i mówcie: „Wierzymy w to, co nam i wam objawiono. Nasz Bóg i wasz Bóg jest jeden i ten sam, i jesteśmy mu całkiem oddani.“ Ale stosunek ten nie mógł się długo utrzymać w granicach tolerancji. Z jednej strony starali się Żydzi odstręczyć mu wiernych i istotnie udało im się podburzyć przeciw prorokowi najznakomitszego obywatela Medyny, Chazradżytę Abdallaha Ibn-Ubej, który miał być wybrany królem tego miasta, a przez przybycie Mahometa usunięty został w cień; wytrwał on w nieprzejednanej opozycji przeciw Mahometowi aż do końca dni swoich.

Z drugiej strony nalegali nań wierni, aby wyraźnie zaznaczył swoje stanowisko wobec judaizmu. Widząc, że jego zwolennicy żydowscy przestrzegali po dawnemu przepisów swej wiary i nie jedli mięsa wielbłądziego, mówili: „Jeżeli Tora jest księgą daną od Boga, to pełnijmyż i my jej przepisy.“ Ale Mahomet, jako Arab z krwi i kości, nie mógł przyjąć judaizmu w całym zakresie i rozumiał też zapewne, że jego ziomkowie oparliby się wprowadzeniu zgoła obcych praktyk religijnych. Nie pozostało mu nic innego, jak zerwać stanowczo z Żydami. Ogłosił długą Surę (zwaną Surą krowy), pełną obelżywych wycieczek przeciw Żydom. Zmienił kierunek przy modlitwie i nakazał wiernym, aby się nadal obracali nie do Jerozolimy, ale do Mekki i świątyni Kaaba (624). Zamiast zniesionego postu Aszura ustanowił święty Arabom od wieków miesiąc Ramadan. Niejedno jeszcze musiał uchylić, co dawniej wydawał za objawienie Boga. Twierdził teraz, że w Torze wiele było wzmianek o jego pojawieniu się i posłannictwie prorockiem, lecz że Żydzi wyrzucili te ustępy. Gdy dawniej głosił, że Żydzi posiadają wiarę prawdziwą, rozpowiadał później, że czczą Ezdrasza (Ozair) jako syna bożego, podobnie jak chrześcijanie Jezusa, że więc

ich także uważać należy za bezbożników. Jego rozgoryczenie przeciw Żydom, którzy zaprzeczali mu posłannictwa, gdyż poznali się na jego szalbierstwach, pchało go do coraz większej względem nich niesprawiedliwości.

Wszelako swej nienawiści do Żydów nie śmiał z początku ujawnić czynami. Jeszcze powaga jego nie utwierdziła się dosyć, a Żydzi swoją liczbą i stosunkami przeważali zastęp jego stronników. Rzecz wzięła inny obrót po bitwie pod Bedrem (zima 624), gdy szczupła garść mahometan odniosła zwycięstwo nad licznymi Korajszytami. Mahomet nabrał takiej pewności siebie, że z pokornego proroka został podejrzliwym tyranem, nie wzdrygającym się żadnego środka, nawet skrytobójstwa, byle się pozbyć swych nieprzyjaciół. Ale zawsze jeszcze unikał roztropnie zatargu z potężnemi plemionami żydowskiemi; zaczął od słabego szczepu Kajnukaa. Powód był błahy. Pewien mahometanin zabił Żyda z tego plemienia za jakiś kiepski żart, a Kajnukaaici pomścili tę zbrodnię. Mahomet wezwał ich do przyjęcia islamu, grożąc im wojną w razie odmowy. Odpowiedzieli mu: „Chcemy wprawdzie pokoju z tobą i przymierza; skoro jednak szukasz przyczepek, żeby z nami zadrzeć, pokażemy ci, że i nam nie brak męstwa.“ Licząc na pomoc szczepów współwierczych, Nadhirytów i Kurajzaitów, zamknęli się w swych twierdzach pod Medyną. Mahomet ściągnął swe wojska i obległ Kajnukaaitów. Gdyby liczni Żydzi z Arabji północnej, Nadhiryci, Kurajzaici z Medyny i Żydzi chajbarscy, zrozumiawszy, że i ich również czeka ten sam los, co szczep Kajnukaa, podążyli im byli na pomoc, gdyby z nieprzyjaciółmi Mahometa zawarli sojusz zaczepno-odporny, jak to uczynili poniewczasie, mogliby byli zgnieść jego nieznaczne, po części nawet niezupełnie pewne stronnictwo. Ale jak Arabowie, tak i Żydzi żyli w rozdrobnieniu, pilnując samolubnie swych interesów szczepowych. Piętnaście dni

walczyli mężnie Kajnukaaici, wciąż czekając na posiłki od swych współwyznawców. Ale gdy ich ta nadzieja zawiodła, otworzyli nieprzyjacielowi bramy swoich twierdz. Mahomet kazał wszystkich zakuć w kajdany, zamyślając wyciąć ich do nogi; wszelako groźne spojrzenie Abdallaha Ibn-Ubej, ich sprzymierzeńca, odwiodło go od tego zamiaru. Chwyciwszy proroka za kolczugę, zawołał: „Nie puszczę cię, aż nie uczynisz zadość mej prośbie i nie zwrócisz jeńcom wolności; oni bowiem są moją siłą, oni bronili mnie przeciw czerwonym i czarnym.“ Onieśmielony Mahomet rzekł: „Puście ich, niech Bóg ich pokarze i jego wraz z nimi!“ Kajnukaaici, w liczbie siedmiuset, musieli porzucić swój dobytek i, obrani ze wszystkiego, wywędrować do Palestyny. Osiedli po lewej stronie Jordanu, w Batanei, której stolicą było Adraat, gdzie ich prawdopodobnie przyjęli po braterstku współwyznawcy tameczni, wyzwoleni chwilowo z pod ciężkiego jarzma bizantyjskiego.

Po zwycięstwie nad Kajnukaaitami przyniósł Mahomet muzułmanom objawienie, odsądzające Żydów od wszelkiej opieki: „O wierni, nie wybierajcie Żydów i chrześcijan na sojuszników; niechaj się sami bronią. Kto się z nimi przyjaźni, staje się jako jeden z nich; Bóg nie znosi ludu grzesznego.“ Biernym i nielicznym w Arabji północnej chrześcijanom nietyle zaszkodziła ta klątwa, ile Żydom, pełnym animuszu rycerskiego i przyzwyczajonym do niepodległości. Tych interdykt Mahometa uwikłał w niebezpieczne zatargi. Dawniejsi sprzymierzeńcy wyrzekli się ich przeważnie i z rozkazu Mahometa wywierali na nich zemstę zdradziecką.

Wobec tej wzajemnej nienawiści Mahometa i Żydów, zasługuje na zupełną wiarę relacja, że Benu-Nadhiryci zaprosili go kiedyś do swojej twierdzy Zuhara, w zamiarze strącenia go z tarasu. Wodzem ich był podówczas Hujej Ibn-Achtab, waleczny wojownik. Mahomet

przyjął zaproszenie, lecz podejrzane ruchy gospodarzy naprowadziły go na myśl, że urządzono na niego zasadzkę; wymknął się więc i podążył do Medyny. Żydzi nadhiryccy ciężko odpokutowali swoje przedsięwzięcie. Mahomet pozostawił im alternatywę: albo w dziesięć dni opuścić ojczyznę, albo przygotować się na śmierć. Nadhiryci chcieli zrazu dać za wygraną i wyemigrować, ale zachęceni przez Abdallaha Ibn-Ujej, który przyrzekł im pomoc, podjęli rzuconą rękawicę. Wszelako daremnie czekali w murach swych zamków na obiecane posiłki. Mahomet rozpoczął wojnę z nimi od zniszczenia drzew daktylowych, które im dostarczały pożywienia. Po kilkodniowem oblężeniu musieli Nadhiryci kapitulować pod warunkiem, że wywędrują bez broni i z dobytku swego zabiorą tyle jeno, ile zdoła udźwignąć jeden wielbłąd. W sześćset dusz opuścili swe siedziby, przy odgłosie hucznej muzyki, i osiedli częścią u swych braci w Chajbarze, częścią zaś pod Jeryho i w Adraat (625).

Pozostała w Arabji część wypędzonych Nadhirytów nie mogła się pojednać z swoim losem i zabiegała gorliwie koło utworzenia koalicji nieprzyjaciół Mahometa, aby go zwalczyć połączonemi siłami. Trzej wybitni Nadhiryci: Hujej, Kinanah Ibn ul-Rabia i Sallam Ibn-Miszkam, podburzyli Korajszytów mekkańskich, możny szczep Gatafanów i inne plemiona do wojny z tyrańskim prorokiem, którego okrucieństwo rosło w miarę zwiększającej się z dniem każdym potęgi. Nieprzyjaciele Mahometa w Mekce, pomimo zaciekłej nienawiści do swych pobratymców, dopiero z podniety Żydów porwali za oręż. Nareszcie, dzięki zabiegliwości Nadhirytów, przygotowały się szczepy arabskie do wojny. Trudniej im przyszło nakłonić do wzięcia udziału w tej wyprawie własnych współwyznawców, Benu-Kurajzaitów. Wódz tych ostatnich, Kaab Ibn-Assad, nie chciał z początku

przyjąć Nadhiryty Hujeja, który go prosił o przytułek, powołując się na łączące go z Mahometem i muzułmanami przymierze, gdyż w dziwnem zaślepieniu budował na słowach proroka. Ale Hujej otworzył mu oczy na niebezpieczeństwo, grożące im, jako Żydom, ze strony Mahometa, i potrafił natchnąć go taką pewnością zwycięstwa licznych sprzymierzeńców nad niepokaźną garstką muzułmanów, że przyłączył się ze swoim szczepem do koalicji. Dziesięć tysięcy sprzymierzonych wyruszyło w pole, zamierzając zaskoczyć Medynę nagłym napadem. Ale Mahomet, w porę ostrzeżony przez zdrajcę, nie chcąc ryzykować walki w polu otwartem, co byłoby szaleństwem wobec takiej przemocy, opasał miasto głęboką fosą i zarządził inne jeszcze środki obrony.

Arabowie, przyzwyczajeni potykać się oko w oko, jak na rycerzy przystało, wypróżnili swe kołczany w bezskutecznem strzelaniu do szańców. Udało się wreszcie Mahometowi posiać wzajemną nieufność wśród głównych aljantów, Korajszytów, Gatafanów i Żydów. Wojna w fosach, jak ją nazwano, skończyła się pomyślnie dla Mahometa, a zgubnie tylko dla Żydów, na których prorok wywarł cały swój gniew. Nazajutrz po odejściu sprzymierzonych pociągnął Mahomet w trzy tysiące żołnierza przeciw Kurajzaitom, powołując się na wrzekome objawienie. Zwolenników swych natchnął fanatycznym wręcz zapałem dla tej wojny: „Kto chce być posłusznym, niechaj odprawi modlitwę w pobliżu Kurajzaitów.“ Zbyt słabi na walkę otwartą, okopali się Żydzi w swych zamkach. Mahomet oblegał ich przez dwadzieścia pięć dni z rzędu trzema tysiącami wojownika (od lutego do marca 627). Wyczerpawszy zapasy żywności, oblężeni postanowili się poddać. Prosili Mahometa o przyznanie im tych samych warunków, pod którymi kapitulowali ich bracia Nadhiryci, t. j., aby pozwolono im odejść z żonami,

dziećmi i częścią dobytku. Ale mściwy prorok odrzucił te propozycje, żądając poddania się na łaskę i niełaskę. Zaczem około siedmiuset Żydów wraz z wodzami Kaabem i Hujejem wymordowano na placu publicznym w Medynie i zwłoki ich powrzucano do wspólnego dołu. Plac ów otrzymał ztąd nazwę „Rynek Kuraiza.“ Ohydną tę zbrodnię popełniono w imieniu Boga. Odnośny werset Koranu opiewa: „Bóg wypędził posiadaczy Pisma (Żydów), którzy pomagali sprzymierzonym, z ich twierdz i rzucił trwogę w ich serca. Część ich poraziliście, część zaś wzięliście w niewolę; dał wam w dziedzictwo ich ziemię, na której nigdy przedtem nie postała wasza stopa, wraz z ich domami i mieniem. Bóg jest wszechmocny.“

Kobiety wymieniono na oręż i konie, a piękną brankę, Rihanę, zatrzymał Mahomet dla siebie, jako nałożnicę, nie zdołał jednak pozyskać serca dumnej dziewicy. Jeden tylko Kurajzaita, sędziwy Zabir Ibn-Bata, mógł był unieść duszę z ogólnego pogromu swego plemienia. Chazradżyta Thabit, któremu starzec ocalił niegdyś życie, wstawił się za swym zbawcą u Mahometa. Wobec wielkich zasług petenta, zgodził się prorok wypuścić na wolność Zabira, a nawet zwrócić mu krewnych i mienie. Pełen radości, śpieszy Thabit z dobrą nowiną do przyjaciela. „Dzięki ci,“ rzekł starzec, zakuty jeszcze w kajdany, „ale powiedz mi, jaki los spotkał naszego szejka Kaaba?“—„Zginął,“ brzmiała odpowiedź.—„A Hujej Ibn-Achtab, książę żydowski?“ — „Zginął.“—„A Azzel Ibn-Samuel, nieulękły wojownik?“ — „Zginął.“—„Tedy i ja żyć już nie chcę,“ powie Zabir, „i proszę cię, przyjacielu, o jedną tylko łaskę, abym mógł poledz z twojej ręki.“ Rzekłszy to, nadstawił gardła z męstwem, godnem Zeloty, i Thabit zadał mu śmierć.

W rok potem przyszła kolej na Żydów chajbarskich, tworzących związek małych republik żydowskich. Wojna z Chajbarem przedstawiała większe trudności i przybrała rozmiary poważnej wyprawy. Wznosił się tam szereg zamków, starannie obwarowanych i bronionych przez mężów, którzy uchodzić mogli za żywe warownie. Wygnani Nadhiryci w Chajbarze zagrzali swych towarzyszy do mężnego boju. Szczepy arabskie, Gatafan i Fezara, przyrzekły swą pomoc. Duszą Chajbarytów był wygnaniec nadhirycki, Kinanah Ibn ul-Rabia, niezłomny jak Zelota i odważny jak lew; tytułowano go królem żydowskim. Sekundował mu Marhab, olbrzym pochodzenia himjaryckiego, od którego odbijały się miecze. Przed rozpoczęciem kroków wojennych błagał Mahomet Boga, by mu dał zwycięstwo nad Żydami. Wojna z Chajbarem, na którą Mahomet wyprowadził 14,000 ludzi, trwała niespełna dwa miesiące (wiosna 628). I tym razem zagaił akcję wycięciem drzew palmowych i ubieżeniem pomniejszych warowni, które upadły po krótkim oporze. Najdłużej i najmężniej bronił się zamek Kamus, dźwignięty na stromej skale. Po kilkakroć odbijali Żydzi szturm muzułmanów. Abu-Bekr i Omar, dwaj najwaleczniejsi wodzowie Mahometa, jego późniejsi następcy (kalifowie), pogrzebali swoją sławę wojenną pod murami tego zamku. Marhab dokazywał cudów waleczności; wrzał przytem pragnieniem zemsty za śmierć swego brata Haritha, który poległ był w jednej z potrzeb poprzednich. Gdy Mahomet posłał przeciw niemu trzeciego wodza Alego, późniejszego antykalifa, zawołał rycerz żydowski: „Chajbar zna moje męstwo, jam bohater Marhab, ciężko uzbrojony i doświadczony w polu.“ Zaczem wyzwał Alego na rękę. Ale godzina jego wybiła. Padł w walce z godnym siebie przeciwnikiem. Po długich wysiłkach udało się nieprzyjacielowi wtargnąć do twierdzy. Nie znamy losu jeńców. Kinanaha wzięto do niewoli i rozciągnięto na mękach, aby wyjawił skarby ukryte. Lecz podobnie jak Zeloci po upad-

ku Jerozolimy, zniósł katusze i śmierć, ust nie otworzywszy. Po ubieżeniu zamku Kamus wojownicy żydowscy upadli na duchu i poddali resztę twierdz pod warunkiem, aby pozwolono im odejść bezpiecznie. Później pozostawiono ich w posiadaniu gruntów z obowiązkiem oddawania połowy plonów tytułem corocznego haraczu. Ruchomości złupiono i żołnierze mahometańscy powrócili do domu, obładowani skarbami żydowskimi. Poddały się również Fadak, Wadil-Kora i Taima, a ich mieszkańcom żydowskim pozwolono na mocy układu pozostać w ojczyźnie. Rok 628 był w ogólności dla Żydów fatalny. Oznacza on zwycięstwo Mahometa nad Żydami chajbarskimi, upadek ostatnich wolnych szczepów żydowskich i prześladowanie przez cesarza Herakljusza Żydów palestyńskich, którzy znów rozwinęli sztandary powstańcze. Miecz, za który Hasmoneusze porwali pierwsi na obronę swej wiary i który przekazali w spuściźnie Zelotom, a przez nich znowu Żydom arabskim, wytrącony został z rąk ostatnich bohaterów żydowskich z Chajbaru i odtąd musieli Żydzi szukać innego oręża ku obronie swoich świętości.

Dwie piękne kobiety żydowskie uwiózł Mahomet z wojny chajbarskiej, Safję, córkę swego śmiertelnego wroga, Nadhiryty Hujeja, i siostrę Marhaba, urodziwą Zajnabę. Ta mężna niewiasta umyśliła zemścić się podstępem na mordercy swych współwyznawców i krewnych. Udając wielką miłość dla niego, zaprosiła go na ucztę. Bez cienia niepokoju zasiadł Mahomet z towarzyszami do stołu. Podano im zatrute udo wielbłądzie, które jednego z biesiadników przyprawiło o śmierć. Sam Mahomet, znajdując mięso niesmacznem, wypluł ukąszony kawałek, czem wprawdzie ocalił sobie życie, ale nie uniknął ciężkich skutków przewlekłego otrucia, które dokuczały mu do zgonu. Zapytana o powód tej zbrodni, odpowiedziała Zajnaba z zimną krwią: „Wyrządziłeś

memu ludowi niewymowne cierpienia, pomyślałam tedy sobie, że jeżeli jesteś tylko żądnym walki ciemięzcą, to ta trucizna zapewni spokój memu ludowi, jeżeli zaś prorokiem, to Bóg cię przestrzeże i wyjdziesz bez szwanku.“ Mahomet kazał ją stracić.—Pozostali Żydzi żywili zawsze jeszcze nadzieję, że pozbędą się śmiertelnego wroga. Pocichu kopali pod nim dołki i połączyli się z malkontentami arabskimi. Dom Żyda Suwajlima w Medynie był punktem zbornym dla przeciwników Mahometa, którzy proroka i jego fanatycznych zwolenników nazywali obłudnikami. Rzecz jednak wyszła na jaw, i dom Suwajlima obrócono w perzynę.

Śmierć Mahometa (632) napełniła Żydów arabskich łatwo zrozumiałą radością, spodziewali się bowiem, jak inni, że Arabowie otrząsną się z wiary obłędnej, jakoby ich prorok był wyższą, nieśmiertelną istotą. Ale fanatyzm, skojarzony z animuszem wojennym i żądzą podbojów, opętał już na dobre umysły Arabów, i na równi z zapożyczonemi od judaizmu prawdami przyjmowali szpetne karty Koranu za niewątpliwe słowo boże. W islamie, który sam wypiastował, pozyskał sobie judaizm drugiego potężnego wroga. Koran stał się księgą świętą dla znacznego odłamu ludzkości w trzech częściach świata, a będąc przepełniony namiętnemi wycieczkami przeciw wyznawcom religji żydowskiej, wychował ludy mahometańskie, jak ewangelje ludy chrześcijańskie, w nienawiści do Żydów. Wtóry Kalif, Omar, dzika, energiczna natura, takim tchnął fanatyzmem, że łamiąc zaprzysiężone przez Mahometa przymierze z Żydami z Chajbaru i Wadil-Kora, wypędził ich, jak i chrześcijan nadżarańskich z siedzib odwiecznych, aby stopa Żyda i chrześcijanina nie kalała świętej gleby arabskiej. Grunta żydowskie rozdarował swoim wojownikom, a wypędzonym Żydom—co jeszcze uważać można za akt sprawie-

dliwości—nadał połać ziemi w pobliżu miasta Kufy nad Eufratem (ok. 640).

Atoli jak niema w historji zła bez następstw zbawiennych, tak i panowanie islamu przyczyniło się do podźwignięcia judaizmu z częściowego upadku.

TOW. NAUKOWE W PŁOCKU BIBLIOTEKA ZIELIŃSKICH IMIENIA
C. 4326/II
2021 I p.

1820 TNP
Biblioteka im. Zielińskich
Tow. Nauk. Płockiego
C.4326
t.I.6